



**Richard Morgan**

**Upadłe Anioły**  
*(Broken Angels)*

*Przełożył: Marek Pawelec*

# **Spis treści**

## **PODZIĘKOWANIA**

### **CZEŚĆ I**

#### **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

#### **ROZDZIAŁ DRUGI**

#### **ROZDZIAŁ TRZECI**

#### **ROZDZIAŁ CZWARTY**

#### **ROZDZIAŁ PIĄTY**

#### **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

#### **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

#### **ROZDZIAŁ ÓSMY**

### **CZEŚĆ II**

#### **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

#### **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

#### **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

#### **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

#### **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

#### **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

#### **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

#### **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

#### **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

### **CZEŚĆ III**

#### **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

#### **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

#### **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

### **CZEŚĆ IV**

#### **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

#### **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

#### **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

#### **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

#### **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

#### **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY**

### **CZEŚĆ V**

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI](#)

[EPILOG](#)

Ta powieść jest dla Virginii Cottinelli -  
compañera

*afileres, camas, sacapuntas*

## PODZIĘKOWANIA

Jeszcze raz dziękuję mojej rodzinie i przyjaciołom za to, że wytrzymali ze mną w trakcie pisania *Upadłych aniołów*. Na pewno nie było to łatwe. Podziękowania należą się też mojej agentce Carolyn Whitaker za cierpliwość, oraz Simonowi Spantonowi i jego załodze, zwłaszcza pełnemu pasji Nicoli Sinclarowi za to, że *Modyfikowany węgiel* poszybował jak złoty orzeł na dopalaczu.

Napisałem powieść fantastyczno-naukową, ale nie są nimi książki, które miały na nią wpływ. W szczególności chciałbym wyrazić swój najszczerzy szacunek dla dwóch pisarzy z mojego banku nie-fantastów; składam podziękowania Robinowi Morganowi za *The Demon Lover*, stanowiącą prawdopodobnie najbardziej spójną, pełną i konstruktywną krytykę przemocy politycznej, jaką kiedykolwiek czytałem, oraz Johnowi Pilgerowi za *Heroes*, *Distant Voices* i *Hidden Agendas*, razem stanowiące nieustanny i brutalnie szczery akt oskarżenia przeciw nieludzkim czynom popełnianym na całym świecie przez tych, którzy nazywają się naszymi przywódcami. W przeciwieństwie do mnie, pisarze ci nie wymyślili tematów swoich książek, ponieważ nie musieli. Widzieli i doświadczyli tego osobiście, a my powinniśmy ich wysłuchać.

# CZEŚĆ I

## STRONY POSZKODOWANE

*Wojna jest jak każdy kiepski związek. Oczywiście, że chcesz się wyrwać, ale za jaką cenę? I, co być może ważniejsze, kiedy już się wyrwiesz, czy będzie ci lepiej?*

QUELLCRISTA FALCONER

*Dzienniki kampanii*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jana Schneidera pierwszy raz spotkałem, straszliwie cierpiąc w orbitalnym szpitalu Protektoratu, trzysta kilometrów nad poszarpanymi chmurami Sanction IV. Formalnie rzecz biorąc, w całym systemie Sanction nie powinno być żadnych jednostek Protektoratu – resztki planetarnego rządu ze swych podziemnych bunkrów uparcie głosiły, że sprawa ma charakter czysto wewnętrzny, a lokalni udziałowcy korporacyjni milcząco zgodzili się trzymać tej wersji.

W związku z tym, statki Protektoratu kręcące się po systemie od chwili, gdy Joshua Kemp podniósł w Indigo City sztandar rewolucji, zmieniły swoje kody identyfikacyjne i zostały odstąpione w długoterminową dzierżawę różnym zainteresowanym korporacjom, a następnie wypożyczone obłożonemu rządowi w charakterze lokalnego funduszu rozwojowego (z ulgą podatkową). Te, których nie strąciły z orbity nadspodziewanie skuteczne, czarnorynkowe pociski samonaprowadzające Kempa, zostaną w końcu odsprzedane Protektoratowi bez zrywania umowy, a wszelkie straty netto znów odpisze się od podatku. Wszystkie ręce czyste. A w tym samym czasie cały starszy rangą personel ranny w walce z siłami Kempa zostanie wywieziony promem ze strefy walk, co stanowiło dla mnie istotny czynnik w wyborze stron. Wiedziałem już, co znaczy brudna wojna.

Prom wylądował nas bezpośrednio na pokład hangaru szpitala przy pomocy urządzenia przypominającego potężny pas amunicyjny, wyrzucając tuziny kapsuł noszowych i sprawiając przy tym wrażenie bezceremonialnego pośpiechu. Gdy grzechocząc i stukając, zjeżdżaliśmy przez skrzydło na pokład, wciąż jeszcze słyszałem jękliwe wycie gasnących silników, a kiedy otworzyli moją kapsułę, powietrze hangaru sparzyło mi płuca mrozem świeżo przegnanej próżni. Na wszystkim, łącznie z moją twarzą, uformowała się natychmiast cienka warstwa kryształków lodu.

– Ty! – Kobięcy głos, ostry z przemęczenia. – Czujesz ból?

Mrugając, pozbyłem się części lodu z oczu i spojrzałem na swój zalany krwią kombinezon.

– Niech pani zgadnie – zaskrzeczałem.

– Sanitariusz! Dawka endorfin i przeciwwirusowych. – Nachyliła się nade mną i poczułem równoczesny dotyk palców w rękawiczkach na czole oraz ukłucie hipnosprayu na karku. Ból znacząco osłabł. – Pan z frontu Evenfall?

– Nie – udało mi się słabo zaprzeczyć. – Szturm na Pomocną Grań. Co się stało w Evenfall?

– Jakiś pieprzony, cholerny kretyn zrzucił tam właśnie głowicę jądrową. – W głosie lekarki słyhać było ledwie kontrolowaną zimną furię. Jej dłonie przesuwaly się po moim ciele, oceniając uszkodzenia. – Czyli nie ma uszkodzeń z promieniowania. Jakies chemikalia?

Przechyliłem lekko głowę w stronę klapy.

– Dozometr... powinien... to wyjaśnić.

– Przepadł – odparła ostro. – Razem z większą częścią ramienia.

– Och. – Zebrałem myśli. – Chyba jestem czysty. Nie możecie zrobić skanu komórkowego?

– Nie, tutaj nie. Skanery komórkowe wbudowane są w pokłady szpitalne. Może wrócimy do tego później, jak uda się nam zrobić tam dla pana trochę miejsca. – Dłonie mnie opuściły. – Gdzie ma pan kod paskowy?

– Lewa skroń.

Ktoś starł z tego miejsca krew i niewyraźnie poczułem przesunięcie przez twarz skanera laserowego. Maszyna świergotem wyraziła aprobatę i zostawiono mnie samego. Zaliczony.

Przez chwilę po prostu tam leżałem, pozwalając dawce endorfin z uprzejmą skwapliwością lokaja odbierającego płaszcz pozbawić mnie zarówno bólu, jak i świadomości. Jakaś mała część



mnie zastanawiała się, czy ciało, które noszę, uda się jeszcze uratować, czy będą musieli mnie na nowo upowłokowić. Wiedziałem, że Klin Carrery utrzymuje garść klonów dla swojej tak zwanej niezastąpionej kadry, a jako jeden z pięciu walczących dla Carrery byłych Emisariuszy zdecydowanie zaliczałem się do tej elity. Niestety, bycie niezastąpionym to dwusieczne ostrze. Z jednej strony, zapewnia elitarną opiekę medyczną, aż do całkowitej wymiany ciała. Minusem jest fakt, że jedynym celem takiego traktowania jest możliwość rzucenia człowieka z powrotem do walki przy pierwszej nadarzającej się okazji. Szeregowcowi na poziomie planktonu, którego ciało zostało zbyt mocno uszkodzone, wycięto by po prostu z przytulnego gniazda na szczycie rdzenia kręgowego stos korowy, i wrzucono by go do pojemnika, w którym prawdopodobnie zostałby do końca wojny. Nie było to idealne wyjście, i pomimo reputacji Klina, który dbał o swoich ludzi, nie miało się właściwie gwarancji upowłokowienia, ale po kilku ostatnich miesiącach szalejącego chaosu tego rodzaju odejście w niepamięć wydawało mi się absolutnie pożądane.

– Pułkowniku. Hej, pułkowniku.

Nie byłem pewien, czy utrzymało mnie w stanie przytomności warunkowanie Emisariusza, czy do świadomości przywrócił mnie dochodzący z boku głos. Ociężałe przekręciłem głowę, by sprawdzić, kto mnie woła.

Wyglądało na to, że nadal byliśmy w hangarze. Na noszach obok mnie leżał muskularny młodzieniec z gęstą szopą krótkich czarnych włosów i widoczną na twarzy przenikliwą inteligencją, której nie mogło zamaskować nawet oszołomienie wywołane endorfiną. Ubrany był w kombinezon bojowy Klina, taki jak mój, ale na niego nie pasował zbyt dobrze, a otwory w stroju zdawały się nie pokrywać z dziurami w ciele. Na lewej skroni, gdzie powinien znajdować się kod kreskowy, czerniała wygodna oparzelina po strzale z blastera.

– Do mnie mówisz?

– Tak jest. – Podniósł się na jednym łokciu. Musieli mu dać znacznie mniej niż mnie. – Wygląda na to, że naprawdę nieźle pogoniliśmy Kempa tam na dole, prawda?

– A to ciekawe ujęcie sytuacji. – Przez głowę przeleciały mi obrazy mojego 391 plutonu rozrywanego wokół mnie na strzępy. – Jak ci się zdaje, dokąd będzie uciekał? Biorąc pod uwagę, że to jego planeta.

– Och, myślałem...

– Odradzałbym to, żołnierzu. Nie czytałeś warunków swojego kontraktu? A teraz zamknij się i oszczędzaj płuca. Jeszcze będziesz ich potrzebował.

– Hm, tak jest, sir. – Gapił się trochę, a sądząc po odgłosach odwracanych na okolicznych noszach głów, nie on jeden był zaskoczony, że oficer Klina Carrery mówi w taki sposób. Podobnie jak większość wojen, Sanction IV wzbudzała dość intensywne emocje.

– I jeszcze jedno.

– Pułkowniku?

– To mundur porucznika. A struktura dowodzenia Klina nie przewiduje pułkownika. Postaraj się to zapamiętać.

Nagle z jakiejś okaleczonej części ciała nadpłynęła nieoczekiwana fala bólu, przedarła się przez uścisk stojących na straży drzwi do mego mózgu endorfinowych goryli i zaczęła histerycznie wyrzaskiwać raporty o uszkodzeniach do wszystkich, którzy mogli słyszeć. Uśmiech, który przykleiłem do twarzy, rozplynał się tak samo, jak musiał roztopić się krajobraz w Evenfall, i nagle przestało mnie interesować cokolwiek poza wrzaskiem.

Kiedy znów się obudziłem, gdzieś pode mną delikatnie pluskała woda, a łagodne promienie słoneczne ogrzewały mi twarz i ramiona. Ktoś musiał zdjąć ze mnie poszarpane odłamkami resztki mojej kurtki bojowej, zostawiając mnie w pozbawionym rękawów podkoszulku Klina. Poruszyłem ręką, a czubki moich palców przesunęły się po ciepłych, wygładzonych ze starości drewnianych deskach. Światło słoneczne rysowało na zamkniętych powiekach tańczące wzory.

Ból zniknął.

Usiadłem. Od miesięcy nie czułem się tak dobrze. Leżałem rozciągnięty na małym, prostej konstrukcji moło, wcinającym się na jakiś tuzin metrów w coś, co wyglądało na fiord lub wąską zatokę. Z obu stron zatoczki wznosiły się niskie góry o łagodnych stokach, a w górze wiatr przesuwał białe obłoki. Nieco dalej z wody wystawały głowy rodziny fok, przyglądających mi się poważnie.

Miałem na sobie tę samą Afrokaraibską powłokę bojową, którą nosiłem w trakcie szturmu na Północną Grań. Bez uszkodzeń i blizn.

A więc...

Na deskach za mną zastukały ciche kroki. Przechyliłem głowę w bok, automatycznie podnosząc rękę do zasłony. Dużo później niż odruch przyszła myśl, że w prawdziwym świecie nikt nie byłby w stanie podejść do mnie tak blisko bez uaktywniania czujnika zbliżeniowego mojej powłoki.

– Takeshi Kovacs – odezwała się kobieta w mundurze, stając obok mnie, właściwie wymawiając miękkie słowiańskie „cz” na końcu nazwiska, – Witamy w przechowalni rekonwalescencyjnej.

– To miło. – Wstałem, ignorując wyciągniętą dłoń. – Nadal jestem na pokładzie szpitala?

Kobieta potrząsnęła głową i odgarnęła z twarzy o regularnych rysach długie, niesforne włosy w kolorze miedzi.

– Pańska powłoka wciąż przebywa na intensywnej terapii, ale świadomość przesłano drogą cyfrową do przechowalni Klina Jeden do czasu, aż będzie pan gotów do fizycznego ożywienia.

Rozejrzałem się wokół i znów zwróciłem twarz w stronę słońca. Na Północnej Grani ciągle pada.

– A gdzie mieści się przechowalnia Klina Jeden? Czy to tajne?

– Obawiam się, że tak.

– No i skąd ja to wiedziałem?

– Pańskie kontakty z Protektoratem bez wątpienia umożliwiły panu zaznajomienie się z...

– Och, daj spokój, to było pytanie retoryczne. – I tak orientowałem się, gdzie mieścił się ten wirtualny format. Standardową praktyką w przypadku wojny planetarnej było umieszczanie na szalonych, eliptycznych orbitach garści satelitów o niskim albedo w nadziei, że nie zahaczy o nie żaden sprzęt wojskowy. W takiej sytuacji ma się całkiem duże szanse, że nikt nigdy tego nie znajdzie. Jak to pisują w podręcznikach, kosmos jest wielki.

– Przy jakim stosunku to puszczacie?

– Odpowiednik czasu rzeczywistego – odpowiedziała natychmiast. – Ale mogę to spowolnić, jeśli pan sobie życzy.

Idea rozciągnięcia mojej, niewątpliwie krótkiej, rekonwalescencji o dowolny współczynnik, na przykład do około trzystu, była kusząca, ale jeśli miałem zostać ściągnięty z powrotem do walki w miarę szybko w czasie rzeczywistym, prawdopodobnie lepiej było nie tracić gotowości. Zresztą, nie byłem pewien, czy dowództwo Klina pozwoliłoby mi na zbytnie rozciągnięcie odpoczynku. Kilka miesięcy pustelniczego obijania się po tak pięknej, naturalnej okolicy musiałyby ujemnie wpłynąć na mój entuzjazm do masowej rzezi.

– Tam może pan zamieszkać – stwierdziła kobieta, wskazując przed siebie ręką. – Jeśli życzy pan sobie jakichś modyfikacji, proszę dać znać.

Spojrzałem we wskazanym kierunku, gdzie na brzegu piaszczystej plaży stał dwupiętrowy budynek z drewna i szkła, przykryty dachem o szerokich okapach.

– Wygląda nieźle. – Owinęły mnie ledwie wyczuwalne macki seksualnego pobudzenia. – Czy masz stanowić mój ideał interpersonalny?

Kobieta znów potrząsnęła głową.

– Jestem wewnątrzformatowym konstruktem technicznym kontroli systemów Klina Jeden, wzorowanym fizycznie na porucznik major Lucii Mataran z Głównego Dowództwa Protektoratu.

– Z tymi włosami? Nabijasz się ze mnie.

– Dysponuję swobodą i dyskrecją. Życzy pan sobie, żebym wygenerowała dla pana ideał interpersonalny?

Podobnie jak oferta spowolnienia czasu było to kuszące. Ale po sześciu tygodniach w towarzystwie hałaśliwych zabijaków z komanda Klina, bardziej niż czegokolwiek chciałem przez jakiś czas pobyć sam.

– Zastanowię się nad tym. Masz dla mnie coś jeszcze?

– Ma pan nagraną odprawę od Isaaca Carrery. Życzy pan sobie umieszczenia jej w domu?

– Nie. Odtwórz ją tutaj. Zawołam cię, jeśli będę jeszcze czegoś potrzebował.

– Jak pan sobie życzy. – Przechyliła głowę i zniknęła. W miejscu, które do niedawna zajmowała, z wolna pojawiła się męska postać w czarnym mundurze Klina. Gładko zaczesane, czarne włosy ze srebrnymi nitkami, pobrużdżona twarz patrycjusza, której ciemne oczy i śniada cera w jakiś sposób były równocześnie twarde i pełne zrozumienia, a pod mundurem ciało oficera, którego wysoka ranga nie oznaczała rezygnacji z pola bitwy. Isaac Carrera, odznaczony był kapitan komanda próżniowego, a następnie twórca najgroźniejszych sił najemnych w Protektoracie. Przykładowy żołnierz, dowódca i taktik. Okazjonalnie, gdy nie miał innego wyboru, kompetentny polityk.

– Witam, poruczniku Kovacs. Przepraszam, że to tylko nagranie, ale Evenfall postawiło nas w złej sytuacji i nie ma czasu na zestawianie połączenia. Według raportu medycznego, pańskie ciało może zostać naprawione w ciągu około dziesięciu dni, więc nie zastosujemy tu opcji z bankiem klonów. Chcę, żeby wrócił pan na Północną Grań najszybciej jak to możliwe, ale prawdę mówiąc, zostaliśmy tam zmuszeni do powstrzymania ofensywy i przez kilka tygodni poradzą sobie i bez pana. Do nagrania dołączony jest raport z uaktualnieniem statusu, łącznie z listą strat z ostatniego szturm. Chciałbym, żeby przejrzał pan to w trakcie pobytu w wirtualu, zaprzęgając do pracy słynną intuicję Emisariuszy. Bóg mi świadkiem, że potrzebne nam tam nowe pomysły. W szerszym kontekście zdobycie terytorium Grani stanowi jeden z dziewięciu głównych celów koniecznych do doprowadzenia tego konfliktu...

Już byłem w ruchu, idąc wzdłuż pomostu, a następnie w górę wznoszącego się wybrzeża w stronę najbliższych wzgórz. Niebo w całości przesłaniały kłębiące się chmury, ale nie były dość ciemne, by groziła burza. Miałem wrażenie, że jeśli uda mi się wejść dostatecznie wysoko, będę miał wspaniały widok na całą zatokę.

Za mną głos Carrery cichł na wietrze, w miarę jak oddalałem się od projekcji na pomoście, deklamującej słowa w powietrze albo do fok, oczywiście przy założeniu, że nie miały nic lepszego do roboty niż słuchanie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W sumie trzymali mnie tam tydzień.

Niewiele straciłem. Poda mną chmury kłębiły się i przewalały nad powierzchnią północnej półkuli Sanction IV, zalewając deszczem kobiety i mężczyzn zabijających się jeszcze niżej. Konstruktor regularnie odwiedzał dom, na bieżąco informując mnie o co ciekawszych szczegółach. Pozaplanetarni sojusznicy Kempa bezskutecznie próbowali przerwać blokadę Protektoratu, tracąc przy tym transportowce międzyplanetarne. Stado inteligentniejszych niż zwykle pocisków samonaprowadzających przyleciało z jakiegoś nieokreślonego miejsca i odparowało pancernik Protektoratu. Siły rządowe utrzymywały pozycje w tropikach, podczas gdy na północnym wschodzie Klin i inne jednostki najemników ustępowały pola elitarniej gwardii prezydenckiej Kempa. Evenfall dymiło dalej.

Jak już powiedziałem, niewiele straciłem.

Kiedy obudziłem się w komorze upowłokowień, od stóp do głów przesycony byłem blaskiem doskonałego samopoczucia. Oczywiście, był to efekt chemikaliów; szpitale wojskowe tuż przed przelaniem szprycują powłoki rekonwalescentów mnóstwem środków na dobre samopoczucie. To ich odpowiednik przyjęcia powitalnego, a przy okazji dzięki temu człowiek czuje się, jakby sam mógł wygrać tę cholerną wojnę, gdyby tylko wypuścili go na tych złych. Rzecz jasna, to przydatny efekt. Jednak w rzece tego patriotycznego koktajlu płynął też mały strumyczek prostego zadowolenia z faktu bycia w całości i posiadania pełnego zestawu działających organów i kończyn.

Przynajmniej do chwili rozmowy z lekarką.

– Wyciągnęliśmy pana wcześniej – powiedziała mi głosem, w którym nie było już tak wyraźnie słycać wściekłości demonstrowanej na pokładzie załadunkowym – na rozkaz dowództwa Klina. Wygląda na to, że nie ma pan czasu na pełne ozdrowienie z ran.

– Czuję się dobrze.

– Oczywiście, że tak. Naszprycowaliśmy pana endorfinami po same uszy. Kiedy się wypala, odkryje pan, że lewe ramię ma tylko dwie trzecie sprawności. Och, i płuca wciąż są zniszczone. Blizny po Guerlain 20.

Zamrugalem.

– Nie wiedziałem, że rozpylali to świństwo.

– Tak, najwyraźniej nikt nie wiedział. Powiedzieli mi, że to prawdziwy triumf potajemnego ataku. – Zrezygnowała zaledwie w połowie rozpoczętego grymasu. Zmęczona, zbyt zmęczona. – Wyczyściliśmy większość, przepuściliśmy biosprzęt regeneracyjny przez najbardziej oczywiste obszary i wyleczyliśmy wtórne infekcje. Po kilku miesiącach odpoczynku prawdopodobnie w pełni doszedłby pan do siebie. W obecnym stanie... – Wzruszyła ramionami. – Proszę raczej nie palić. Lekki wysiłek. Och, niech to wszyscy diabli.

Spróbowałem lekkiego wysiłku. Przeszedłem się po pokładzie szpitalnym. Zmusiłem spalone płuca do wciągania powietrza. Zgiąłem ramię. Cały pokład zapchany był pięcioma rzędami rannych ludzi wykonujących podobne ćwiczenia. Niektórych znałem.

– Hej, poruczniku!

Tony Loemanako z twarzą składającą się w większości z maski postrzępionego ciała z zielonymi łatami wszczepionych biosprzętów regeneracyjnych. Wciąż się uśmiechał, choć z lewej strony widać było zdecydowanie zbyt wiele z jego przesadnej liczby zębów.

– Udało się panu, poruczniku. Niezłe osiągnięcie!

Odwrocił się w tłumie.

– Hej, Eddie, Kwok. Porucznik przeżył.

Kwok Yuen Yee miała oba oczodoły ściśle zalepione jasnopomarańczową galaretką inkubatora tkankowego. Ogląd świata umożliwiała jej przymocowana zewnętrznie do czaszki mikrokamera. Jej ręce odrastały na szkielecie z czarnych włókien. Nowa tkanka wyglądała na moką i nieuforną.

– Porucznik. Myśleliśmy...

– Porucznik Kovacs!

Eddie Munharto, utrzymywany w pionie przez kombinezon ruchowy, podczas gdy biosprzęt regenerował jego prawe ramię i obie nogi z poszarpanych strzępów, jakie zostawił z nich inteligentny szrapnel.

– Dobrze pana widzieć, poruczniku! Widzi pan, wszystkich nas składają. Bez obaw, za kilka miesięcy pluton 391 wróci skopać trochę kernpistowskich tyłków.

Powłoki bojowe Klina Carrery aktualnie dostarcza Khumalo Biosystems. Najwyższej klasy bojowy biotech Khumalo dysponuje paroma uroczymi dodatkami, z których warto wspomnieć o systemie blokowania serotoniny, zwiększającym zdolność bezmyślnej przemocy, oraz drobne dodatki wilczych genów, zwiększających szybkość i brutalność, a także podwyższających poczucie lojalności grupowej, którą odczuwa się niemal fizycznie. Patrząc na otaczające mnie wymizerowane resztki plutonu, poczułem, jak ściska mi się gardło.

– No, ale odpłaciliśmy im, no nie? – odezwał się Munharto, wymachując jedyną pozostałą mu kończyną. – Widziałem wczoraj raport.

Mikrokamera Kwok przekrzywiła się, wydając ciche odgłosy siłowników hydraulicznych.

– Weźmie pan nowy 391, sir?

– Ja nie...

– Hej, Naki. Gdzie jesteś, stary? To porucznik.

Później trzymałem się już z dala od pokładu osiowego.

\* \* \*

Schneider znalazł mnie następnego dnia, gdy siedziałem w sali rekonwalescencyjnej dla oficerów i paliłem papierosa, trzymając się z dala od okna. Głupie, ale jak powiedziała pani doktor, niech to wszyscy diabli. Nie ma sensu o siebie dbać, jeśli ciało w każdej chwili może zostać rozerwane na strzępy przez latające kawałki stali albo rozpuszczone na amen przez opad chemiczny.

– Ach, porucznik Kovacs.

Chwilę trwało, zanim go rozpoznałem. Pod wpływem szoku z ran ludzkie twarze wyglądają zupełnie inaczej, a zresztą obaj byliśmy pokryci krwią. Przyjrzałem mu się znad papierosa, zastanawiając się, czy to kolejna osoba, którą będę musiał zastrzelić za chwalenie doskonałej bitwy. Nagle coś w jego zachowaniu sprawiło, że zaskoczyłem i przypomniałem sobie dok wyładunkowy. Gestem poprosiłem, żeby usiadł, lekko zaskoczony, że wciąż jest na pokładzie, a jeszcze bardziej tym, że udało mu się blefem dostać tutaj.

– Dziękuję. Jestem, hm, Jan Schneider. – Wyciągnął do mnie dłoń, w stronę której skinąłem, po czym poczęstował się moimi papierosami leżącymi na stole. – Naprawdę doceniam, że pan nie, hm...

– Zapomnij o tym. Ja zapomniałem.

– Rany, tak, rany mogą robić dziwne rzeczy z ludzkim umysłem i pamięcią... – Poruszyłem się zniecierpliwiony. – Sprawily, że pomieszałem rangi i to wszystko...

– Słuchaj, Schneider, naprawdę wcale mnie to nie obchodzi. – Wciągnąłem w płuca zdecydowanie niezalecany dym i zakaszałem. – Chcę tylko przeżyć w tej wojnie dostatecznie długo,

by znaleźć sposób na wyrwanie się z niej. Jeśli jeszcze raz to powtórzysz, dopilnuję, żeby cię zastrzelili. W innym przypadku możesz robić, na co masz cholerną ochotę. Dotarło?

Kiwnął głową, ale jego poza uległa subtelnej zmianie. Nerwowość przygasła, ograniczając się do kontrolowanego przygryzania kciuka. Przyglądał mi się drapieżnie. Kiedy umilkłem, wyjął kciuk z ust, uśmiechnął się i zastąpił go papierosem. Niemal swobodnie wydmuchał dym w stronę okna i widocznej w nim planety.

– Dokładnie – powiedział.

– Co dokładnie?

Schneider rozejrzał się wokół konspiracyjnie, ale kilka pozostałych osób przebywających w sali siedziało w drugim jej końcu, oglądając holopornosa z Latimera. Znow się uśmiechnął i nachylił bliżej.

– Dokładnie to, czego szukałem. Ktoś ze zdrowym rozsądkiem. Poruczniku Kovacs, chciałbym złożyć panu propozycję. Coś, co wiąże się z wyrwaniem z tej wojny, nie tylko z życiem, ale i bogactwem, większym niż mógłby pan sobie wyobrazić.

– Mam całkiem sporą wyobraźnię, Schneider.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno. Niech będzie, że mnóstwo pieniędzy. Jest pan zainteresowany?

Zastanowiłem się nad tym, usiłując doszukać się możliwych pułapek.

– Nie, jeśli wymaga to zmiany stron. Wtedy nie. Osobiście nie mam nic przeciwko Joshule Kempowi, ale obawiam się, że przegra, a ja...

– Polityka. – Schneider lekceważąco machnął ręką. – To nie ma nic wspólnego z polityką. W ogóle nic wspólnego z wojną, poza aktualną sytuacją. Mówię o czymś konkretnym. O czymś, za posiadanie czego każda z korporacji gotowa byłaby zapłacić jednocyfrowy procent rocznych dochodów.

Bardzo wątpiłem, by na tak zacofanym świecie jak Sanction IV istniało coś takiego, a jeszcze bardziej, by miał do tego dostęp ktoś taki jak Schneider. Z drugiej strony, udało mu się wkręcić na pokład praktycznie rzecz biorąc okrętu Protektoratu oraz uzyskać opiekę medyczną, o którą bezskutecznie błagało w cierpieniu pół miliona ludzi na powierzchni – i to biorąc za dobrą monetę rządowe szacunki. Mógł faktycznie coś mieć, a w tej chwili warte wysłuchania było wszystko, co umożliwiłoby mi wyrwanie się z tej kuli błota, zanim rozleci się na strzępy.

Kiwnąłem głową i zdusiłem papierosa.

– Dobra.

– Wchodzi pan?

– Słucham – powiedziałem spokojnie. – To, czy wejść, będzie zależało od tego, co usłyszę.

Schneider zagryzł od wewnątrz policzki.

– Nie jestem pewien, poruczniku, czy możemy rozmawiać na takich zasadach. Potrzebuję...

– Potrzebujesz mnie. To oczywiste, inaczej nie odbywalibyśmy tej rozmowy. A więc będziemy rozmawiać na tych zasadach. A może mam wezwać ochronę Klina i pozwolić im to z ciebie wykopać?

Zapadła martwa cisza, w której uśmiech Schneidera z wolna poszerzył się jak krwawiąca rana.

– Cóż – powiedział w końcu. – Widzę, że źle pana oceniłem. Rejestry nie ujawniają tego... hmm... aspektu pańskiego charakteru.

– Wszelkie rejestry, do których mogłeś mieć dostęp, nie dadzą ci nawet połowicznego obrazu. Do twojej wiadomości, Schneider, mój ostatni oficjalny przydział wojskowy to Korpus Emisariuszy.

Przyglądałem się, jak to w niego zapada, zastanawiając się, czy spanikuje. W całym

Protektoracie Emisariusze mają niemal mityczny status i nie są bynajmniej znani z łagodności charakteru. Na Sanction IV moja historia nie była tajemnicą, ale o ile okoliczności tego nie wymagały, starałem się raczej o tym nie wspominać. Był to rodzaj reputacji, która w najlepszym razie wywoływała nerwową ciszę za każdym razem, gdy wchodziłem do mesy, a w najgorszym prowadziła do szalonych wyzwania ze strony pierwszopowłokowych z większą ilością mięśni i wspomaganie niż zdrowego rozsądku. Carrera wezwał mnie na dywanik po trzeciej śmierci (stos zachowany). Dowodzący oficerowie mają tendencję do niechętnego traktowania śmierci podwładnych. Ten rodzaj entuzjazmu należałoby zachować dla wroga. Zgodziliśmy się, że wszystkie odniesienia do mojej emisariuszowskiej przeszłości zostaną zagrzebane głęboko w banku danych Klina, a na ich miejsce zostanie stworzona historia najemnika z przeszłością w marines Protektoratu. Była to dostatecznie przeciętna kariera.

Jednak jeśli moja emisariuszowska przeszłość wystraszyła Schneidera, nie pokazał tego po sobie. Znowu nachylił się do przodu, wyraźnie zamyślony.

– Emki, tak? Kiedy pan służył?

– Jakiś czas temu. A co?

– Był pan na Innenin?

Jego papieros *zarzył* się w moją stronę. Przez krótką chwilę poczułem się, jakbym na niego spadał. Czerwone światło rozmyło się w ślady laserowego ognia, rysującego zrujnowane ściany i błoto pod stopami, gdy Jimmy de Soto walczył z moim uściskiem i zginął, krzycząc od ran, a potem przyczółek Innenin rozpadł się wokół nas.

Na chwilę zamknąłem oczy.

– Tak, byłem na Innenin. Chcesz mi powiedzieć o tym interesie na skalę bogactwa korporacji czy nie?

Schneider prawie pękał z chęci podzielenia się informacjami. Poczęstował się kolejnym papierosem z mojej paczki i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Wie pan o tym, że na wybrzeżu Północnej Grani, aż do Sauberville, leżą najstarsze osiedla marsjańskie znane ludzkiej archeologii?

*No cóż.* Westchnąłem i przesunąłem spojrzenie z jego twarzy z powrotem na panoramę Sanction IV. Powinienem był się spodziewać czegoś takiego, ale i tak poczułem się rozczarowany Janem Schneiderem. W ciągu tych kilku krótkich minut naszej znajomości odniosłem wrażenie, że jest zbyt twardo stąpającą po ziemi osobą, by uwierzyć w te bzdury o zaginionych cywilizacjach i zakopanym w ziemi technoskarbie.

Upłynęła już większa część z połowy tysiąclecia, od kiedy natknęliśmy się na mauzolea marsjańskiej cywilizacji, a ludzie wciąż nie potrafią zrozumieć, że artefakty naszych wymarłych, planetarnych sąsiadów walające się tu i ówdzie są w większości albo niedostępne, albo zniszczone (lub najprawdopodobniej jedno i drugie, lecz skąd mielibyśmy o tym wiedzieć?). Mniej więcej jedynymi naprawdę przydatnymi przedmiotami, jakie udało się nam zdobyć, były mapy astrogacyjne, których ledwie zrozumiany zapis pozwolił nam wysłać statki kolonizacyjne do gwarantowanych celów przypominających Ziemię.

Sukces ten, w połączeniu z porozrzucanymi ruinami i artefaktami znalezionymi na planetach poznanych dzięki mapom, spowodował rozkwit różnorodnych teorii, idei i kultów religijnych. W czasie, jaki spędziłem, przeskakując w tę i z powrotem przez Protektorat, zdążyłem już usłyszeć większość z nich. W niektórych miejscach bełkotliwie tłumaczą paranoidalną ideę, że wszystko to stanowi jedynie przykrywkę, wymyśloną przez NZ dla ukrycia faktu, że mapy astrogacyjne zostały nam w rzeczywistości dostarczone przez przybyszów z naszej własnej przyszłości. Istnieje starannie

skonstruowana religia twierdząca, że jesteśmy zagubionymi potomkami Marsjan, czekającymi na zjednoczenie z duchami naszych przodków po osiągnięciu oświecenia. Paru naukowców zabawia się luźnymi teoriami, według których Mars stanowił w rzeczywistości jedynie odległą placówkę, kolonię odciętą od rodzimej kultury, i że główne centra cywilizacji wciąż gdzieś tam są. Moja ulubiona głosi, że Marsjanie przenieśli się na Ziemię i stali się delfinami, by zrzucić z siebie ograniczenia cywilizacji technicznej.

W końcu wszystko jednak sprowadza się do jednego. Nie ma ich, a my jedynie zbieramy resztki.

Schneider wyszczerzył zęby.

– Myślisz, że jestem świrem, prawda? I że żyję w świecie dziecięcych holofilmów?

– Coś w tym stylu.

– Jasne. No cóż, wysłuchaj mnie do końca. – Palił w krótkich, szybkich pociągnięciach, wypuszczając dym z ust w trakcie mówienia. – Widzisz, wszyscy zakładają, że Marsjanie byli jak my. Nie, że przypominali nas fizycznie. Chodzi mi o to, że zakładamy, że ich cywilizacja miała takie same podstawy kulturalne jak nasza.

*Podstawy kulturalne?* Nie brzmiało to na język Schneidera. Ktoś mu to powiedział. Moje zainteresowanie odrobinę wzrosło.

– To znaczy, że kiedy mapujemy świat taki jak ten, wszyscy zacierają ręce, kiedy znajdujemy centra zamieszkania. Wszyscy mówią, że to miasta. Jesteśmy prawie dwa lata świetlne od głównego systemu Latimera, gdzie znajdują się dwie nadające się do zamieszkania biosfery i trzy wymagające odrobiny pracy, a na wszystkich mamy przynajmniej garść ruin, ale jak tylko sondy dostały się tutaj i zarejestrowały coś, co wygląda jak miasta, wszyscy zostawili swoje sprawy i rzucili się na sensację.

– Powiedziałbym, że z tym rzucaniem się to lekka przesada.

Przy szybkościach podświetlnych nawet najbardziej dopakowanej barce kolonijnej przeskoczenie przestrzeni oddzielającej układ podwójny Latimera od tej, bez wyobraźni nazwanej jego młodszym bratem, gwiazdy zajęłoby prawie trzy lata. W przestrzeni międzygwiazdnej nic nie dzieje się szybko.

– Tak? A wiesz, ile to trwało? Od odebrania sygnałów z sondy przekazem strunowym do inauguracji rządu Sanction?

Kiwnąłem głową. Jako lokalny doradca wojskowy musiałem znać tego rodzaju fakty. Zainteresowane korporacje przepchnęły papierkową robotę z Kartą Protektoratu zaledwie w kilka tygodni. Ale to było prawie stulecie temu i nie odnosiłem wrażenia, żeby miało jakiś związek z tym, co Schneider miał mi teraz do powiedzenia. Machnąłem na niego, żeby przeszedł do rzeczy.

– Więc tak – powiedział, nachylając się do przodu i unosząc dłonie, jakby dyrygował orkiestrą. – Przylatują archeologowie. Takie same warunki, jak wszędzie indziej: roszczenia na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy, z rządem działającym jako pośrednik między znalazcami i kupcami korporacyjnymi.

– Za odpowiedni procent.

– Tak, za procent. Plus prawo do wywłaszczenia, cytata „za adekwatną rekompensatą wszelkich znalezisk uznanych za mające kluczowe znaczenie dla interesów Protektoratu et caetera, et caetera”, koniec cytatu. Rzecz w tym, że każdy przyzwoity archeolog, który chce coś złapać, rzuca się na centra zamieszkania, i to właśnie wszyscy zrobili.

– Skąd ty to wszystko wiesz, Schneider? Nie jesteś archeologiem.

Wyciągnął lewą rękę i podwinął rękaw, prezentując mi sploty uskrzydłonego węża, wytatuowane pod skórą przy pomocy farby z iluminium. Łuski węża błyszcząły, każda z nich świeciła



własnym światłem, a skrzydła poruszały się odrobinię w górę i w dół, tak że prawie słyszałem szelest, który mogłyby wydawać. W zęby węża wpleciono inskrypcję *Gildia Pilotów MP Sanction*, a cały obrazek otoczony był słowami *Ziemia jest dla martwych*. Wyglądało to na prawie nowe. Wzruszyłem ramionami.

– Niezłe. I?

– Robiłem za transport dla grupy archeologów pracujących na wybrzeżu Dangrek na północny zachód od Sauberville. W większości byli to grzebacze, ale...

– Grzebacze?

Schneider zamrugał.

– Tak. Co z nimi?

– To nie jest moja planeta – wyjaśniłem cierpliwie. – Ja tu tylko prowadzę wojnę. Kim są grzebacze?

– Och. No wiesz, dzieciaki. – Machnął ręką zakłopotany. – Prosto z akademii. Pierwsze wykopaliska. Grzebacze.

– Grzebacze. Rozumiem. Więc kto nie był?

– Co? – Znow zamrugał.

– Kto nie był grzebaczem? Powiedziałeś, że w większości byli to grzebacze, ale. Ale kto?

Schneider wyglądał na urażonego. Nie podobało mu się, że przerwałem mu narrację.

– Mieli też parę doświadczonych rąk. Grzebacze muszą brać wszystko, co znajdują w wykopaliskach, ale zawsze trafiają się jacyś weterani, którzy nie kupują konwencjonalnej mądrości.

– Albo zjawili się za późno, by załapać się na coś lepszego.

– Jasne. – Z jakiegoś powodu ta uwaga też mu się nie spodobała. – Czasami. Rzecz w tym, że my... oni coś znaleźli.

– Co?

– Marsjański statek międzygwiazdny. – Schneider zdusił papierosa w popielniczce. – Nienaruszony.

– Bzdury.

– Właśnie, że tak.

Znow westchnąłem.

– Chcesz, żebym uwierzył, że wykopaliście cały statek kosmiczny, nie, przepraszam, międzygwiazdny, a wiadomość o tym w jakiś sposób nie wydostała się na zewnątrz? Nikt tego nie widział. Nikt nie zauważył, że tam sobie leży. Co zrobiliście, przykryliście go plastobańką?

Schneider przejechał językiem po wargach i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nagle znow się dobrze bawił.

– Nie powiedziałem, że go wykopaliśmy. Powiedziałem, że go znaleźliśmy. Kovacs, on jest wielkości cholernego asteroidu i wisi gdzieś na granicach systemu Sanction na orbicie parkingowej. My wykopaliśmy prowadzącą do niego bramę. System cumujący.

– Bramę? – Zadając to pytanie, poczułem bardzo delikatny dreszcz schodzący w dół kręgosłupa. – Mówisz o transporcie hiperprzestrzennym? Jesteś pewien, że dobrze odczytali technoglify?

– Kovacs, to jest brama. – Schneider zachowywał się, jakby mówił do małego dziecka. – Otworzyliśmy ją. Można przez nią patrzeć wprost na drugą stronę. Wygląda jak efekt specjalny z taniej sensorii. Układ gwiazd zdecydowanie identyfikowalny jako lokalny. Wszystko, co musieliśmy zrobić, to przejść na drugą stronę.

– Do statku? – Wbrew sobie, byłem zafascynowany. Korpus Emisariuszy uczy człowieka wszystkiego na temat kłamstwa; kłamstwa przy polarografii, kłamstwa w warunkach ekstremalnego

stresu i w dowolnych wymagających tego warunkach. Kłamstwa wypowiedzianego z całkowitym przekonaniem. Emisariusze kłamią lepiej niż dowolna istota ludzka w Protektoracie, naturalna lub wspomagana, a patrząc na Schneidera, wiedziałem, że on nie kłamie. Cokolwiek mu się przydarzyło, całkowicie wierzył w to, co mówi.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Nie do statku. Brama skupiona jest w miejscu odległym od kadłuba o jakieś dwa kilometry. Obraca się prawie równo co cztery i pół godziny. Potrzeba kombinezonu kosmicznego.

– Albo promu. – Kiwnąłem głową w stronę tatuażu na jego ramieniu. – Czym latałeś?

Skrzywił się.

– Gównianym suborbitalnym mowai. Wielkości pieprzonego domu. Nie zmieściłby się przez portal.

– Co? – Zdławiłem nieoczekiwany śmiech, od którego rozboleły mnie piersi. – Nie zmieściłby się?

– Jasne, proszę bardzo, śmieję się – posępnie rzucił Schneider. – Gdyby nie ten drobny szczegół, nie siedziałbym teraz w tej wojnie. Nosiłbym powłokę na zamówienie w Latimer City. Klony na lodzie, zdalne kopie, cholerny nieśmiertelny, stary. Cały cholerny program.

– Nikt nie miał kombinezonu?

– Po co? – Schneider rozrzucił ręce. – To był prom suborbitalny. Nikt nie spodziewał się wychodzić w próżnię. Prawdę mówiąc, nikt nie miał pozwolenia na lot poza planetę poza portem międzyplanetarnym w Landfall. Wszystko, co znaleziono na wykopaliskach, musiało przejść przez kwarantannę eksportową. A do tego nikt z nas jakoś się nie spieszył. Pamiętasz tę klauzulę wyłączeniową?

– Jasne. Dowolne znaleziska uznane za mające kluczowe znaczenie dla interesów Protektoratu. Nie mieliście ochoty na adekwatne odszkodowanie? Czy nie uznaliście, że będzie adekwatne?

– Och, daj spokój, Kovacs. Ile wyniosłoby adekwatne odszkodowanie za znalezienie czegoś takiego?

Wzruszyłem ramionami.

– To zależy. W sektorze prywatnym bardzo mocno zależy to od tego, z kim się rozmawia. Możliwe, że kulę w stos.

Schneider uśmiechnął się drapieżnie.

– Uważasz, że nie bylibyśmy w stanie poradzić sobie ze sprzedaniem tego korporacji?

– Myślę, że bardzo źle byście sobie z tym poradzili. To, czy byście przeżyli, zależałoby od tego, na kogo byście trafili.

– A więc do kogo ty byś poszedł?

Wytrząsnąłem sobie z paczki świeżego papierosa, pozwalając, by pytanie zawisło na chwilę w powietrzu, zanim cokolwiek powiedziałem.

– Nie o tym tu teraz rozmawiamy, Schneider. Moje stawki jako konsultanta są trochę poza twoimi możliwościami. Z drugiej strony, jako partner, cóż – sam się do niego uśmiechnąłem – wciąż słucham. Co się potem stało?

Schneider wybuchnął gorzkim śmiechem, dostatecznie głośnym, by nawet widownię holopornosa oderwać na chwilę od jaskrawych, plastikowych ciał, wykrzywiających się w pełnej skali w trójwymiarowej reprodukcji na drugim końcu sali.

– Co się stało? – Znów ściszył głos i odczekał, aż spojrzenia fanów wrócą do przedstawienia. – Co się stało? Ta cholerna wojna się stała.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Gdzieś płakało dziecko.

Na dłuższą chwilę zawisłem, trzymając się dłońmi krawędzi włazu i pozwalając równikowemu klimatowi dostać się na pokład. Zostałem zwolniony ze szpitala jako zdolny do służby, ale moje płuca wciąż nie działały tak dobrze, jak bym sobie życzył, a wilgotne powietrze utrudniało oddychanie.

– Gorąco tu.

Schneider wyłączył silnik promu i przepchnął się obok mojego ramienia. Odsunąłem się od włazu, pozwalając mu wyjść, i osłoniłem oczy przed blaskiem słońca. Z powietrza obóz dla internowanych wyglądał równie niewinnie, jak większość budowanych schematycznie osiedli, ale z bliska jednolita schludność poległa pod atakiem rzeczywistości. Wzniesione na szybko plastobańki pękały od gorąca, a w alejkach między nimi płynęły strumykami nieczystości. Przy najłżejszym powiewie wiatru dochodził do mnie smród palonego polimeru; podmuch lądującego promu rozrzucił w powietrze sterty papieru i plastikowych odpadków. Spadały teraz na ogrodzenie energetyczne, które spalało je na popiół. Za płotem ze spieczonej ziemi wyrastały automatyczne wieżyczki strażnicze, przypominające wyglądem żelazne rośliny. Senne buczenie kondensatorów tworzyło równomierne tło dla szumu ludzkich głosów w obozie.

Mały oddziałek lokalnej milicji garbił się za plecami sierżanta, przypominającego mi trochę mojego ojca w jednym z lepszych dni. Dostrzegli mundur Klina i natychmiast się wyprostowali. Sierżant niechętnie mi zasalutował.

– Porucznik Takeshi Kovacs, Klin Carrery – odezwałem się energicznie. – To kapral Schneider. Przylecieliśmy przejąć i zabrać na przesłuchanie jedną z waszych internowanych, Tanyę Wardani.

Sierżant zmarszczył czoło.

– Nie zostałem o tym poinformowany.

– Informuję pana, sierżancie.

W tego rodzaju sytuacjach zazwyczaj wystarczył mundur. Na Sanction IV powszechnie wiadomo było, że Klinowcy są nieoficjalnymi przedstawicielami Protektoratu, więc generalnie dostawali to, czego chcieli. Nawet inne jednostki najemników wykazywały tendencje do rezygnacji z roszczeń, kiedy pojawiały się konflikty dotyczące rekwizycji. Jednak w tym sierżancie zdawało się coś tkwić. Jakieś luźno pamiętane uwielbienie dla przepisów, wbite na placu defilad w czasach, kiedy wszystko to jeszcze miało jakieś znaczenie. Zanim wybuchła wojna. To, albo może po prostu widok jego własnych pobratymców głodujących w plastobańkach.

– Muszę zobaczyć jakąś autoryzację.

Strzeliłem palcami w stronę Schneidera i wyciągnąłem rękę po wydruk. Nietrudno było go uzyskać. W trakcie ogólnoplanetarnego konfliktu, takiego jak ten, Carrera dawał swoim młodszym oficerom swobodę inicjatywy, dla której dowódca dywizji Protektoratu gotów byłby zabić. Nikt nawet mnie nie zapytał, na co potrzebna mi jest Wardani. Nikogo to nie obchodziło. Jak dotąd, najtrudniej było z promem; wykorzystywali je, a wiecznie brakowało środków transportu międzyplanetarnego. W końcu musiałem zabrać go pod groźbą użycia broni pułkownikowi dowodzącemu szpitalem polowym na południowy wschód od Suchindy. Później będę miał z tego powodu kłopoty, ale jak lubił mawiać Carrera, to w końcu wojna, nie konkurs popularności.

– Czy to wystarczy, sierżancie?

Bardzo uważnie obejrzał wydruk, jakby miał nadzieję, że kody autoryzacyjne okażą się nędzną podróbką. Przystąpiłem z nogi na nogę z niecierpliwością, którą nie do końca musiałem udawać.

Atmosfera obozu działała depresyjnie, a gdzieś blisko nie ustawał płacz dziecka. Chciałem się z stamtąd wynieść.

Sierżant uniósł wzrok i oddał mi wydruk.

– Będzie pan musiał porozmawiać z komendantem – powiedział drewnianym głosem. – Wszyscy ci ludzie znajdują się pod nadzorem rządowym.

Rzuciłem spojrzeniem za niego, w lewo i w prawo, po czym wróciłem wzrokiem do jego twarzy.

– Racja. – Pozwoliłem, by moje parsknięcie zawisło przez chwilę w powietrzu, a sierżant spuścił wzrok. – A więc chodźmy porozmawiać z komendantem. Kapralu Schneider, zostańcie tutaj. To nie potrwa długo.

Biuro komendanta mieściło się w dwupiętrowej bańce oddzielonej od reszty obozu dodatkowym ogrodzeniem energetycznym. Na szczytach słupów kondensatorów przysiadły mniejsze jednostki strażnicze, przypominając gargulce sprzed tysiąclecia, a przy bramie stali nastoletni jeszcze rekruci w mundurach, trzymając przerośnięte karabiny plazmowe. Pod napakowanymi gadżetami hełmami ich młode twarze wyglądały surowo i nie na miejscu. Zupełnie nie rozumiałem, po co tam stoją. Albo automatyczne jednostki strażnicze nie działały, albo obóz cierpiał na potężny przerost personelu. Przeszliśmy między nimi bez słowa i wspięliśmy się po schodach z lekkiego stopu, które ktoś niedbale przykleił do ściany bańki epoksydem, po czym sierżant zadzwonił do drzwi. Umieszczona nad framugą kamera przesunęła po nas spojrzeniem i drzwi się otworzyły. Wszedłem do środka, z ulgą wciągając klimatyzowane powietrze.

Większość światła w biurze pochodziła z zestawu monitorów systemu ochrony zamontowanych na przeciwległej ścianie. Pasowało do nich formowane, plastikowe biurko, zajęte z jednej strony przez tani terminal holograficzny i klawiaturę. Reszta powierzchni zavalona była rulonami wydruków, pisakami i innymi administracyjnymi śmieciami. Z bałaganu wyrastały porzucone kubki z kawą, przypominające wieże chłodzące w krajobrazie przemysłowym, a w jednym miejscu przez biurko przeciągnięte było węzowate okablowanie, niknące w ramieniu skurczonej postaci siedzącej za biurkiem.

– Komendancie?

Widok z kilku kamer ochrony zmienił się i w migotliwym świetle *dostrzegłem* połysk stali wzdłuż ramienia.

– O co chodzi, sierżancie?

Głos miał rozmazany i przygłuszony, bez śladu zainteresowania. Wszedłem głębiej w chłodny mrok, a mężczyzna za biurkiem lekko uniósł głowę. Udało mi się zobaczyć niebieskie, fotoreceptorowe oko i składankę protetycznych tworzyw schodzących w dół jednej strony twarzy i karku do masywnego lewego ramienia, które wyglądało jak zbrojony kombinezon kosmiczny, lecz nim nie było. Nie miał większości lewej połowy ciała, od biodra do ramienia zastępowały je urządzenia mechaniczne. Ramię wykonane było z gładkich systemów stalowych, zakończonych czarnym szponem. Na nadgarstku i przedramieniu umieszczono tuzin błyszczących, srebrnych gniazd, a do jednego z nich wpięto kable ze stołu. Lampka umieszczona obok gniazda błyskała równomiernie czerwonym światłem. Prąd płynął.

Stałem przed biurkiem i zasalutowałem.

– Porucznik Takeshi Kovacs, Klin Carrery – powiedziałem spokojnie.

– Cóż. – Komendant z wysiłkiem wyprostował się w fotelu. – Pewnie chciałby pan tu mieć więcej światła, poruczniku. Lubię ciemność, ale – zachichotał przez zaciśnięte wargi – mam do niej oko. Pan zapewne nie.

Sięgnął do klawiatury i po kilku próbach w rogach pokoju włączyło się światło. Fotoreceptor jakby przygasł, a równocześnie skupiło się na mnie zaczerwienione ludzkie oko. To, co zostało z twarzy sierżanta, miało regularne rysy i niegdyś mogło być przystojne, lecz długi kontakt z okablowaniem pozbawił drobne mięśnie spójnego sterowania i sprawił, że twarz wyglądała na bezmyślną i głupią.

– Czy tak lepiej? – Twarz spróbowała przybrać wyraz bardziej przypominający grymas niż uśmiech. – Przypuszczam, że tak, w końcu przybył pan z Zewnętrznego Świata. – Wielkie litery zabrzmiały ironicznym echem. Machnął ręką przez pokój, w stronę scen na ekranach. – Świata poza tymi oczkami i czymkolwiek, o czym mogą śnić te małe umysły. Niech mi pan powie, poruczniku, czy wciąż prowadzimy wojnę o zrabowaną, archeologicznie bogatą i rozgrzebaną ziemię naszej ukochanej planety?

Moje spojrzenie powędrowało do łącza i pulsującego czerwonego światła, a potem z powrotem na jego twarz.

– Chciałbym mieć pańską pełną uwagę, komendancie.

Przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę, potem jego głowa przekręciła się jak coś całkowicie mechanicznego i spojrzał na wpięty w ramię kabel.

– Och – wyszeptał. – To.

Gwałtownie okręcił się w stronę sierżanta, tkwiącego z dwoma milicjantami tuż przy drzwiach.

– Wynoś się.

Sierżant wykonał polecenie ze skwapliwością sugerującą, że w ogóle nie miał wielkiej ochoty na przebywanie tam. Jego umundurowani podwładni podążyli za nim, a jeden z nich delikatnie zamknął za sobą drzwi. Kiedy zaskoczyły, komendant opadł z powrotem w fotel, a jego prawa ręka powędrowała do gniazda z kablem. Z jego ust wyrwał się dźwięk, który mógł być westchnieniem, kaszlem czy nawet śmiechem. Odczekałem, aż na mnie spojrzy.

– Do ostatniej kropli, zapewniam pana – stwierdził, wskazując na wciąż błyskające światelka. – Przypuszczam, że na tym etapie nie przeżyłbym natychmiastowego odłączenia. Jeśli się położę, prawdopodobnie nigdy już nie wstanę, więc zostaję w tym... fotelu. Niewygoda mnie budzi. Czasami. – Spróbował widocznego wysiłku. – Czegóż więc, jeśli wolno spytać, chce ode mnie Klin Carrery? Wie pan, że nie mamy tu nic cennego. Sprzęt medyczny wyczerpał się wiele miesięcy temu i nawet żywność, jaką nam przysyłają, ledwie wystarcza na pełne racje. Oczywiście, dla moich ludzi. Mam na myśli korpus doskonałych żołnierzy, którymi tu dowodzę. Nasi rezydenci otrzymują jeszcze mniej. – Kolejny gest, tym razem na zewnątrz, w stronę rzędu monitorów. – Oczywiście, maszyny nie potrzebują jedzenia. Są samowystarczalne, pozbawione potrzeb i niewygodnej empatii wobec strzeżonych obiektów. Każda z nich jest doskonałym żołnierzem. Jak pan widzi, próbowałem się zmienić w jedną z nich, ale proces nie posunął się jeszcze zbyt daleko...

– Nie przyszedłem tu po pańskie zapasy, komendancie.

– Ach, więc to dzień sądu, prawda? Czyżbym przekroczył jakąś wyznaczoną ostatnio granicę w porządkach Kartelu? Może stałem się źródłem wstydu dla wysiłku wojennego? – Pomysł zdawał się go bawić. – Jest pan mordercą? Zabójcą Klina?

Potrząsnąłem głową.

– Przyleciałem tu po jedną z pańskich internowanych. Tanyę Wardani.

– Ach, tak, pani archeolog.

Poczułem lekkie spięcie mięśni. Nie odezwałem się, po prostu położyłem na stole przed komendantem wydruk z autoryzacją i czekałem. Podniósł go niezgrabnie i przechylił głowę pod przesadnym kątem, trzymając papier wysoko, jakby była to jakaś holozabawka, na którą koniecznie

trzeba patrzeć od dołu. Zdawało się, że mamrocze coś do siebie pod nosem.

– Jakiś problem, komendancie? – zapytałem cicho. Opuścił ramię i oparł się na łokciu, machając autoryzacją w moją stronę. Jego ludzkie oko nagle wydało się jaśniejsze.

– Czego od niej chcecie? – zapytał równie cicho. – Mała Tanya to grzebacz. Kim ona jest dla Klina?

Nagle zacząłem się na zimno zastanawiać, czy nie będę czasem musiał zabić tego człowieka. Nie byłoby to zbyt trudne, a i tak prawdopodobnie tylko okradłbym kabel z kilku miesięcy życia, ale przed drzwiami stał sierżant ze swoją milicją. Z gołymi rękami nie byłoby to proste, a zresztą nie wiedziałem, jakie parametry mają programy robotów strażniczych. Pozwoliłem, by lód wypłynął w moim głosie.

– To, komendancie, jest dla pana jeszcze mniej ważne niż dla mnie. Mam rozkaz ją stąd zabrać, a pan ma swoje rozkazy. Trzyma pan tu Wardani czy nie?

Ale on nie odwrócił wzroku tak jak sierżant. Może kierowało nim coś z głębin uzależnienia, jakaś gorycz, którą odkrył, kiedy został podpięty do opadającej orbity wokół centrum siebie. A może zostało jeszcze coś z granitu, którym kiedyś był. Nie zamierzał ustąpić.

Przygotowując się, wolno zacisnąłem i rozluźniłem trzymaną za plecami dłoń.

Nagle jego wyprostowane przedramię opadło na biurko jak wysadzona wieża, a pomiędzy luźnych palców wyleciał dokument. Moja ręka gwałtownie wyprysnęła do przodu i przycisnęła papier do powierzchni biurka, zanim zsunął się z jego krawędzi. Komendant wydobył cichy głos z głębi gardła.

Przez chwilę obaj w ciszy patrzyliśmy na dłoń trzymającą kartkę, potem komendant odchylił się z powrotem na oparcie fotela.

– Sierżancie – zawołał ochryple.

Otworzyły się drzwi.

– Sierżancie, wyciągnijcie Wardani z bańki osiemnastej i zaprowadźcie do promu porucznika.

Sierżant zasalutował i wyszedł, z wyraźnie widoczną na twarzy ulgą, że zdjęto z niego całą odpowiedzialność. Przepłynęła przez niego fala uspokojenia jak po zażyciu lekarstwa.

– Dziękuję, panie komendancie. – Dodałem własny salut, zabrałem z biurka wydruk autoryzacji i odwróciłem się do wyjścia. Prawie dotarłem do drzwi, gdy znów się odezwał.

– Popularna kobieta – rzucił.

Obejrzałem się.

– Słucham?

– Wardani. – Przyglądał mi się z błyskiem w oku. – Nie jest pan pierwszy.

– Nie jestem pierwszy do czego?

– Niecałe trzy miesiące temu – mówiąc, podłączył prąd do lewego ramienia i jego twarz zadygotała spazmatycznie – mieliśmy tu mały rajd. Kempieści. Pokonali maszyny z perymetru i dostali się do środka, co biorąc pod uwagę stan, w jakim były części, wymagało zaawansowanej techniki. – Jego głowa przechyliła się ospale z powrotem na oparcie fotela i wydał z siebie długie westchnienie. – Bardzo zaawansowana technika... Mając na uwadze... Przyszli po nią...

Czekałem na ciąg dalszy, ale jego głowa tylko przetoczyła się lekko na bok. Zawahałem się. Z dołu dwaj stojący na placu milicjanci przyjrzeni mi się z ciekawością. Podszedłem z powrotem do biurka komendanta i ująłem jego twarz w dłonie. W ludzkim oku widać było tylko białko, ze źrenicą unoszącą się gdzieś pod górną powieką jak balon odbijający się od sufitu pokoju, w którym już dawno wypaliła się impreza.

– Poruczniku?

Pytanie nadeszło od strony zewnętrznych schodów. Przez chwilę jeszcze wpatrywałem się w pustą twarz. Oddychał słabo przez w pół otwarte usta i zdawało mi się, że w kącikach jego warg czai się uśmiezek. Na granicy mojego pola widzenia błyskało rubinowe światełko.

– Poruczniku?

– Idę. – Pozwoliłem głowie wytoczyć się z moich dłoni i wyszedłem w upał, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Schneider siedział na jednej z przednich łap lądownika, zabawiając tłumek obszarpanych dzieci sztuczkami iluzjonistycznymi. Z większej odległości, stojąc w cieniu najbliższej plastobańki, przyglądało mu się również kilka postaci w mundurach. Spojrzał na mnie, gdy podszedłem.

– Problemy?

– Nie. Pozbądź się tych dzieciaków.

Schneider uniósł brwi i bez pośpiechu dokończył sztuczkę. Na zakończenie powyciągał zza ucha każdego z dzieci małe zabawki z pamiętającego plastiku. W pełnej niedowierzania ciszy patrzyły, jak demonstruje działanie maleńkich figurek. Zgniół je na płask, potem ostro zagwizdał i przyglądał się, jak z wysiłkiem, niczym ameby, wracają do oryginalnego kształtu. Jakieś korporacyjne laboratorium genetyczne powinno wymyślić takich żołnierzy. Dzieci przyglądały się z otwartymi ustami, co stanowiło sztuczkę samą w sobie. Jeśli o mnie chodzi, coś tak niezniszczalnego przyprawiłoby mnie w dzieciństwie o koszmary, ale cóż, nawet jeśli moje dzieciństwo było ponure, w porównaniu z tym miejscem przypominało trzydniowy piknik.

– Nie robisz im przysługi, skłaniając je do myślenia, że ludzie w mundurach wcale nie są tacy źli – powiedziałem cicho.

Schneider rzucił mi zaciekawione spojrzenie i głośno klasnął.

– To wszystko, dzieciaki. Zabierajcie się stąd. No już, przedstawienie skończone.

Dzieciaki zmyły się, niechętnie porzucając małą oazę zabawy i prezentów. Schneider założył ręce i z nieruchomą twarzą przyglądał się, jak odchodzą.

– Skąd wzięłeś te rzeczy?

– Znalazłem w ładowni. Kilka pakietów pierwszej potrzeby dla uciekinierów. Przypuszczam, że szpital, z którego wzięliśmy tę łajbę, nie miał z nich wiele pożytku.

– Nie, już zastrzelili tam wszystkich uchodźców. – Kiwnąłem głową w stronę oddalających się dzieci, dyskutujących teraz w podnieceniu o swoich nowych zabawkach. – Milicja z obozu pewnie skonfiskuje im je, jak tylko stąd odlecimy.

Schneider wzruszył ramionami.

– Wiem. Ale rozdałem już czekoladę i środki przeciwbólowe. Co zamierzasz zrobić?

Było to rozsądne pytanie z całą kupą nierozsądnych odpowiedzi. Wpatrując się w najbliższego strażnika, zacząłem rozważać niektóre z bardziej krwawych opcji.

– Oto i ona – odezwał się Schneider, wskazując przed siebie ręką. Spojrzałem i zobaczyłem sierżanta, jeszcze dwóch ludzi w mundurach i idącą między nimi szczupłą postać z rękami spiętymi za plecami. Zmrużyłem oczy z powodu rażącego słońca i uruchomiłem wzmocnienie wspomaganego neurochemią wzroku.

W swoim czasie jako archeolog Tanya Wardani musiała wyglądać o niebo lepiej. Sylwetka o długich kończynach miała zapewne więcej ciała, i pewnie zrobiłaby coś z ciemnymi włosami, może po prostu umyłaby je i rozpuściła. Równie mało prawdopodobne było, by wcześniej miała pod oczami blednące siniaki. Możliwe, że uśmiechnęła się delikatnie, kiedy nas zobaczyła, zaledwie lekkie skrzywienie długich, zaciśniętych warg.

Zachwiała się i zatoczyła. Jeden z członków eskorty musiał ją podtrzymać. Stojący obok mnie

Schneider zerwał się do przodu, ale udało mu się powstrzymać.

– Tanya Wardani – sztywno oświadczył sierżant, wyciągając długą, białą plastikową taśmę, zadrukowaną na całej długości kodami kreskowymi, oraz skaner. – W celu zwolnienia muszę odczytać pana numer identyfikacyjny.

Wskazałem palcem na kod na mojej skroni i czekałem w bezruchu, gdy czerwone światło przesuwano się po mojej twarzy. Sierżant odnalazł kawałek taśmy odpowiadający Wardani i przesunął po nim skanerem. Schneider podszedł do przodu i wziął kobietę za ramię, wciągając ją na pokład z doskonale udawaną szorstką obojętnością. Sama Wardani odegrała swoją rolę bez mrugnięcia okiem. Kiedy się odwracałem, by podążyć za tą dwójką, sierżant zawołał za mną głosem, którego sztywność stała się nagle bardzo krucha.

– Poruczniku.

– Tak, o co chodzi? – Głosem zdradziłem rosnące zniecierpliwienie.

– Czy ona tu wróci?

Odwróciłem się we włązie, unosząc brwi w ten sam wyszukany sposób, jaki Schneider zademonstrował mi kilka minut wcześniej. Zdecydowanie wyszedł ze swojej roli i wiedział o tym.

– Nie, sierżancie – powiedziałem jak do małego dziecka. – Ona tu nie wróci. Zabieram ją na przesłuchanie. Proszę o niej po prostu zapomnieć.

Zamknąłem włącznik.

Jednak gdy Schneider poderwał prom w powietrze, wychyliłem się w bulaju i zobaczyłem, że wciąż tam stoi, poniewierany przez podmuch naszego startu.

Nawet nie zadał sobie trudu osłonięcia twarzy przed pyłem.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Odlecieliśmy z obozu na efekcie grawitacyjnym, przelatując nad mieszanką pustynnych krzewów i plam ciemniejszej roślinności, gdzie flora planety zdołała podpiąć się do niezbyt głęboko biegnących duktów nawadniających. Około dwadzieścia minut później dotarliśmy do wybrzeża i wylecieliśmy nad morze, nad wody, które według raportów wywiadu Klina pełne były kempistowskich inteligentnych min. Schneider przez cały czas utrzymywał niewielką poddźwiękową prędkość. Łatwy cel.

Pierwszą część lotu spędziłem w głównej kabinie, ostentacyjnie przeglądając dane dotyczące aktualnej sytuacji, które prom ściągał z jednego z satelitów dowodzenia Carrery, a tak naprawdę przyglądając się wyszkolonym okiem Emisariusza Tanyi Wardani. Siedziała wyczerpana na miejscu najdalej od wjazdu, więc równocześnie najbliższej okienek z prawej strony, opierając czoło o szybę. Miała otwarte oczy, ale trudno było stwierdzić, czy patrzy na ziemię w dole. Nie próbowałem z nią rozmawiać – tę maskę widziałem już w tym roku na tysiącach twarzy i wiedziałem, że nie wyjdzie z niej, póki sama nie będzie gotowa, co może nigdy nie nastąpić. Wardani wbiła się w emocjonalny odpowiednik kombinezonu próżniowego, co było jedyną możliwością, jaka pozostawała człowiekowi, gdy moralne parametry otoczenia stawały się tak szokująco zmienne, że wystawiony na kontakt z nimi umysł nie zdołałby przetrwać bez jakiejś osłony. Ostatnio zaczęli to nazywać syndromem szoku wojennego, bardzo pojemnym terminem, który dość ponuro i zarazem zgrabnie pozwalał umieścić ofiary w jakiejś szufladce. Mogło istnieć całe morze mniej lub bardziej skutecznych technik psychologicznych leczenia zniszczeń, ale ostateczny cel filozofii medycyny, zgodnie z którym lepiej jest zapobiegać, niż leczyć, w tym przypadku zdecydowanie przekraczał ludzkie możliwości implementacji.

Szczerze mówiąc, wcale mnie nie dziwiło, że wciąż rozbijaliśmy naszymi neandertalskimi maczugami eleganckie szczątki marsjańskiej cywilizacji, nie mając tak naprawdę pojęcia, jak działała ta antyczna kultura. W końcu nie oczekuje się, że wiejski rzeźnik będzie w stanie zrozumieć i przejąć pracę zespołu neurochirurgów. Nie sposób nawet określić, ile nieodwracalnych zniszczeń spowodowaliśmy już w masie wiedzy i techniki, jaką Marsjanie niemądrze po sobie zostawili, pozwalając nam ją odkryć. W końcu nie różnimy się za bardzo od stada szakali, rozgrzebujących poszarpane ciała i szczątki rozbitego samolotu.

– Dolatujemy do wybrzeża – w interkomie rozległ się głos Schneidera. – Przyjdiesz tu na górę?

Oderwałem twarz od wyświetlacza holograficznego, wgniotłem kłębkę danych w podstawę i otwarcie spojrzałem na Wardani. Słyszając głos z interkomu, przechyliła lekko głowę, ale oczy, którymi wypatrzyła głośnik w suficie, wciąż miała przytępione. Nie potrzebowałem wiele czasu, by wyciągnąć ze Schneidera szczegóły dotyczące jego wcześniejszego związku z tą kobietą, ale wciąż nie byłem pewien, jaki to może mieć wpływ na aktualną sytuację. Według niego, ich związek był dość ograniczony i uległ gwałtownemu zerwaniu przez wybuch wojny dwa lata temu. Nie widział powodu, dla którego miałyby to teraz stanowić źródło jakichś problemów. Dla mnie najgorszym możliwym scenariuszem była ewentualność, że cała ta historia ze statkiem kosmicznym miała na celu wyłącznie wydostanie Wardani z obozu i umożliwienie im ucieczki z planety. Jeśli wierzyć komendantowi obozu, już wcześniej próbowano uwolnić Wardani, a część mnie rozważała, czy ci tajemniczy, doskonale wyposażeni komandosi nie stanowili poprzedniego zestawu pionków w planie zjednoczenia Schneidera ze swoją partnerką. Gdyby to okazało się prawdą, byłbym naprawdę zły.

W głębi duszy, tam gdzie to rzeczywiście miało znaczenie, nie przywiązywałem dużej wagi do tego pomysłu. Od chwili gdy opuściliśmy szpital, zgadzało się zbyt wiele szczegółów. Poprawne

były daty i nazwiska – rzeczywiście prowadzono wykopaliska archeologiczne na północny zachód od Sauberville, a Tanya Wardani zarejestrowana była jako nadzorująca prace. Wynajęty do transportu pilot z Gildii nazywał się co prawda Jan Mendel, ale miał twarz Schneidera, a manifest przewozowy zaczynał się od numeru seryjnego i historii lotów niezgrabnego promu suborbitalnego Mowai seria 10. Nawet jeśli Schneider próbował już wcześniej wydostać Wardani, miał ku temu znacznie bardziej materialne niż uczuciowe powody.

A jeśli nie miał, to gdzieś po drodze do gry włączył się jeszcze ktoś.

Cokolwiek zaszło, Schneider znieś fakt, że będę się jej przyglądał.

Zamknąłem wyświetlacz i podniosłem się w chwili, gdy prom skręcił w stronę morza. Przytrzymując się ręką jednej z podsufitowych szafek, spojrzałem w dół, na panią archeolog.

– Na pani miejscu zapiąłbym pasy. Następne kilka minut prawdopodobnie będzie trochę trzęsło.

Nie odpowiedziała, ale jej ręce się poruszyły. Poszedłem naprzód, w stronę kokpitu.

Kiedy wszedłem, siedzący spokojnie z rękami na oparciach fotela ręcznego pilotażu Schneider spojrzał na mnie, po czym kiwnął głową w stronę cyfrowego wyświetlacza, powiększonego przy górnej krawędzi przestrzeni projekcji instrumentów.

– Głębokość wciąż nie przekracza pięciu metrów. Jeszcze kilka kilometrów szelfu kontynentalnego, zanim dotrzemy na głęboką wodę. Jesteś pewien, że te sukinsyny nie podchodzą tak blisko?

– Gdyby tu były, widziałbyś, jak wystają z wody – odpowiedziałem, zajmując fotel drugiego pilota. – Inteligentna mina nie jest wiele mniejsza od pocisku samonaprowadzającego. Zasadniczo to zautomatyzowana miniaturowa łódź podwodna. Włączyłeś zestaw?

– Jasne. Tylko włóż maskę. Systemy uzbrojenia masz po prawej.

Nałożyłem na głowę elastyczną maskę działonowego, zsuwając ją głęboko na twarz, i dotknąłem przycisków aktywacyjnych na skroniach. Wokół mego pola widzenia rozwinął się obraz morskiego krajobrazu w wyraźnych barwach, jasnoniebieski z szarym tłem ukształtowania morskiego dna pod powierzchnią. Sprzęt wyświetlany był w odcieniach czerwieni, w zależności od tego, na ile odpowiadał parametrom, które wcześniej zaprogramowałem. Większość min miała kolor jasnorożowy, oznaczający martwe, metalowe wraki pozbawione wszelkich oznak elektronicznej aktywności. Pozwoliłem sobie wsunąć się w wirtualną reprezentację odczytów czujników promu, zmusiłem się do zaprzestania aktywnego szukania czegokolwiek i rozluźniłem o te ostatnie mentalne milimetry do stanu zen.

Korpus Emisariuszy nie uczy rozminowywania jako takiego, ale totalne opanowanie, paradoksalnie, możliwe do osiągnięcia jedynie przy całkowitym braku oczekiwań, było absolutnie kluczowe w podstawowym treningu. Emisariusz Protektoratu, przesłany jako ludzki ładunek elektroniczny przez transfer strunowy, może spodziewać się obudzenia w dosłownie każdej rzeczywistości. Najmniejszy problem stanowi obudzenie się w nieznanym ciele, na nieznaną planetę, której mieszkańcy do człowieka strzelają. Nawet w najlepszym przypadku żadna odprawa nie zdoła nikogo przygotować na tak absolutną zmianę otoczenia, a w niezmiennie niestabilnym i śmiertelnie niebezpiecznym zestawie okoliczności, do radzenia sobie z którymi stworzono Emisariuszy, po prostu nie ma sensu.

Virginia Viadura, wykładowca Korpusu, z rękami w kieszeniach kombinezonu, patrzy na nas spokojnie. Pierwszy dzień wprowadzenia.

*Ponieważ logistycznie niemożliwe jest spodziewać się wszystkiego, powiedziała spokojnym głosem, nauczymy was nie spodziewać się niczego, W ten sposób będziecie na to gotowi.*

Nawet nie zdążyłem świadomie zobaczyć pierwszej miny. Kątem oka dostrzegłem czerwony

błysk, a moje ręce już dopasowywały współrzędne i wypuszczały samonaprowadzające mikropociski. Obłe kształty sunęły przez wirtualny obraz, zostawiając po sobie zielone ślady, zanurkowały pod powierzchnię jak ostre noże w ciało i przebiły przyczajoną minę, zanim ta mogła się ruszyć czy zareagować. Błysk eksplozji, i powierzchnia morza wygięła się w górę jak ciało na stole przesłuchań.

Dawno temu ludzie musieli sami obsługiwać swoje systemy uzbrojenia. Wzbijali się w powietrze w pojazdach niewiele większych czy lepiej wyposażonych niż wanny ze skrzydłami i strzelali ze sprzętu, jaki udało im się wcisnąć wraz z sobą do kokpitu. Później zaprojektowali maszyny, które mogły wykonać robotę szybciej i dokładniej niż człowiek i przez jakiś czas to maszyny nimi rządziły. Potem zaczęły nadganiać nowe bionauki i nagle ta sama szybkość i precyzja znów stała się dostępna w opcji ludzkiej. Od tamtego czasu trwa swoisty wyścig między technologiami o to, co szybciej można poprawić: maszyny czy czynnik ludzki. W tym wyścigu psychodynamika Emisariuszy okazała się ostrym, niespodziewanym sprintem z wewnętrznego pasa.

Istnieją maszyny wojenne szybsze niż ja, ale nie mieliśmy dość szczęścia, by posiadać je na pokładzie. Prom stanowił pomocnicze wyposażenie szpitala i jego stricte obronne uzbrojenie ograniczało się do mikrowieżyczki na dziobie i pakietu unikowo-kamuflującego, któremu nie powierzyłbym sterowania nawet latawcem. Musieliśmy sobie z tym poradzić sami.

– Jeden mniej. Reszta stada będzie w pobliżu. Zmniejsz prędkość. Opuść nas na poziom wody i uzbrój flary.

Nadeszły od zachodu, pędząc przez morze jak tłuste, cylindryczne pająki przyciągnięte śmiercią brata. Poczulem, jak prom przechyla się w dół, gdy Schneider opuścił nas na zaledwie dziesięć metrów nad poziom morza, i dotarł do mnie wyraźny wstrząs wysuwanego ramienia z wyrzutniami flar. Przesunąłem spojrzeniem po minach. Siedem, zbiegające się. Zazwyczaj poruszały się w stadach po pięć, więc musiały to być pozostałości po dwóch grupach, choć tajemnicą dla mnie było, kto mógł przerzedzić ich liczbę. Z tego, co wyczytałem w raportach, od początku wojny na tych wodach nie było niczego oprócz łodzi rybackich. Całe dno morza było nimi usłane.

Niemal od niechcienia namierzyłem najbliższą minę i ją zniszczyłem. W tym samym czasie z pozostałych sześciu wystrzeliły pierwsze torpedy, sunąc przez wodę w naszą stronę.

– Atakują nas.

– Widzę – lakonicznie odparł Schneider, a prom przechylił się w uniku. Przyprawilem morze mikropociskami na autowykrywanie.

Inteligentna mina to myląca nazwa. Tak naprawdę są dość głupie. Nie bez przyczyny, w końcu zostały stworzone dla tak wąskiego zakresu działań, że nie byłoby rozsądnie programować w nie zbyt wiele inteligencji. Pazurem przyczepiają się do dna morza, żeby uzyskać stabilną pozycję do strzału, po czym czekają, aż *coś* nad nimi przepłynie. Niektóre mogą zagrzebać się dostatecznie głęboko, by ukryć się przed spektroskanerami, niektóre udają wraki na dnie. Zasadniczo są bronią statyczną. W ruchu też mogą walczyć, ale cierpi na tym ich celność.

Co więcej, ich programy mają dogmatyczny system namierzania celów albo/lub, który przed wystrzeleniem oznacza wszystkie cele jako powietrzne lub nawodne. Przeciw celom latającym używa mikropocisków woda-powietrze, przeciw statkom – torped. Torpedy w razie potrzeby mogą działać jako pociski, wyskakując nad powierzchnię i używając prostych dopalaczy, ale są *wolne*.

Prawie na poziomie wody, prawie stojąc w miejscu, zostaliśmy sklasyfikowani jako statek. Torpedy wyszły na powierzchnię w naszym cieniu, niczego nie znalazły i zostały zniszczone przez nasze mikropociski, jeszcze zanim udało im się odrzucić podwodne silniki. W tym samym czasie wystrzelona przeze mnie chmura pocisków odnalazła dwie, nie trzy miny. Przy tej szybkości...

*Awaria.*

*Awaria.*

*Awaria.*

Światelko alarmu pulsowało w lewym górnym rogu mojego pola widzenia, wypisując poniżej szczegóły. Nie miałem czasu czytać. Sterowanie ogniem na amen umierało w moich rękach, a dwa następne pociski zablokowały się na wyrzutniach. *Pieprzony staroświecki sprzęt z demobilu NZ* przemknęło mi przez myśli niczym spadający meteor. Trzasnąłem w opcję automatycznej naprawy awaryjnej. Zablokowanymi obwodami zajął się prymitywny moduł rozwiązywania problemów. Brak czasu. Naprawienie tego może zająć całą minutę. Pozostałe trzy miny wystrzeliły w nas pociski woda-powietrze.

– Sch...

Schneider, cokolwiek by o nim powiedzieć, był bardzo dobrym pilotem. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, postawił prom na ogonie. Moja głowa uderzyła o oparcie, gdy wyskoczyliśmy w niebo, ciągnąc za sobą chmurę pocisków.

– Jestem zablokowany.

– Wiem – rzucił.

– Puść w nie flary – krzyknąłem, konkurując z alarmami zbliżeniowymi wrzeszczącymi mi do uszu. Cyfry altimetru skakały nad znacznikiem kilometra.

– Gotowe.

Prom zadygotał od wypuszczonych bomb z flarami. Ekspłodowały dwie sekundy później, zasypując niebo maleńkimi elektronicznymi przynętami. Pociski woda-powietrze dały się na nie nabrać. Na panelu sterowania bronią, z boku pola widzenia, migające światelko błysnęło zielenią, i jakby na potwierdzenie tego wyrzutnia wykonała ostateczne polecenie przed awarią, wypuszczając dwa czekające mikropociski w pustą przestrzeń przed nami. Poniewczasie zareagowały pola manewrujące, kompensując przyspieszenie. Poczułem, jak skręt przetacza się przez moje wnętrza jak wzburzona woda, i miałem chwilkę na nadzieję, że Tanya Wardani nie jadła ostatnio posiłku.

Przez moment zawiśliśmy na skrzydłach pół antygravitacyjnych promu, po czym Schneider wyłączył wznoszenie i ostro zanurkowaliśmy z powrotem w stronę powierzchni morza. Z wody leciała nam na spotkanie druga fala pocisków.

– Flary!!!

Znów zatrzęsło nami od wyrzucanych bomb. Opróżniłem magazynki promu, celując w trzy nieuszkodzone miny w dole, i z nadzieją wstrzymałem oddech. Pociski wyleciały bez problemów. W tej samej chwili Schneider znów włączył pola grawitacyjne, i mały pojazd zadygotał od dziobu do ogona. Bomby z flarami, lecące teraz szybciej niż hamujący prom, który je wypuścił, wybuchły tuż przed nami. Moje pole widzenia zalała purpura z burzy fałszywych sygnałów wysyłanych przez flary, a potem eksplozji pocisków wystrzelonych spod wody, rozrywających chmurę na strzępy. Moje mikropociski były już daleko, wystrzelone w jednej dogodnej chwili przed eksplozją bomb, pędząc ku minom gdzieś w dole.

– Jesteśmy pod wodą – stwierdził Schneider.

Na moim ekranie jasny błękit morza pogłębiał się, w miarę jak schodziliśmy coraz niżej, nosem w dół. Okręciłem się wokół, szukając min, i znalazłem tylko satysfakcjonujące kupy złomu. Wypuściłem oddech, wstrzymany gdzieś w trakcie lotu przez pełne pocisków niebo, i ułożyłem głowę z powrotem na oparciu fotela.

– To – oświadczyłem w próżnię – był straszny bajzel.

Dotknęliśmy dna, przywarliśmy do niego na chwilę, a potem podryfowaliśmy z powrotem do

góry. Wokół nas na dno opadały strzępki flar. Uważnie przyjrzałem się różowym włóknom i uśmiechnąłem się. Osobiście załadowałem ostatnie dwie bomby – niecała godzina pracy w wieczór poprzedzający wyjazd po Wardani, ale trzy dni zajęło nam krążenie i rozgrzebywanie opuszczonych pól bitew i zbombardowanych lotnisk w poszukiwaniu potrzebnych kawałków obudów i obwodów do ich wypełnienia. Ściągnąłem maskę działonowego i potarłem oczy.

– Jak daleko jesteśmy?

Schneider zrobił coś z ekranem wyświetlacza.

– Przy tej prędkości, około sześciu godzin. Jeśli pomogę prądowi polami grawitacyjnymi, możemy tam dotrzeć w połowę tego czasu.

– Jasne, i możemy również zostać wysadzeni w powietrze. Nie przeszedłem przez ostatnie dwie minuty, żeby poćwiczyć sobie strzelanie. Trzymaj pola wyłączone przez całą drogę i wykorzystaj ten czas na wymyślenie jakiegoś sposobu, żeby się stąd wydostać.

Schneider rzucił mi buntownicze spojrzenie.

– A co ty będziesz robił przez cały ten czas?

– Naprawiał – rzuciłem krótko, kierując się z powrotem ku Tanyi Wardani.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ogień rzucał ruchome cienie, zmieniając jej twarz w maskę jasnych i ciemnych plam. Zanim połknął ją system, ta twarz mogła być ładna, ale ciężkie warunki obozu dla internowanych politycznie zostawiły z niej tylko skórę i kości. Oczy były podkrążone, policzki zapadnięte. Głęboko w studniach jej spojrzenia na nieruchomych źrenicach tańczyły odbicia płomieni. Zbłąkane włosy sterczały z jej czoła jak siano. Z ust zwisał zgaszony papieros.

– Nie chcesz go zapalić? – zapytałem po chwili.

Przypominało to rozmowę przez fatalne łącze satelitarne – dwusekundowa przerwa, zanim blask w jej oczach przesunął się i skupił na mojej twarzy. Rozległ się jej cichy głos, przerdzewiały od nieużywania. – Co?

– Papieros. Site seveny, najlepsze, jakie mogłem dostać poza Landfall. – Podałem jej paczkę, którą obróciła kilka razy w dłoniach, zanim znalazła łatkę zapalającą i dotknęła nią końca papierosa trzymanego w ustach. Większość dymu uciekła i odpłynęła z łagodnym wiatrem, ale część udało się jej wciągnąć. Skrzywiła się od jego ugryzienia.

– Dzięki – powiedziała cicho, trzymając paczkę w zgiętych dłoniach i przyglądając się jej, jakby była małym zwierzątkiem, które uratowała przed utonięciem. W ciszy wypaliłem resztę mojego papierosa, przesuwając spojrzeniem wzdłuż linii drzew za plażą. Była to zaprogramowana ostrożność, nieoparta na żadnym realnym poczuciu zagrożenia, emisariuszowski odpowiednik wybijania palcami rytmu przez zrelaksowanego człowieka. Emisariusze zawsze są świadomi potencjalnych niebezpieczeństw w otoczeniu, tak samo jak zwykli ludzie mają świadomość, że przedmioty wypadną im z dłoni, jeśli je wypuszczą. Nigdy nie rezygnuje się z ostrożności, nie bardziej niż normalny człowiek w zamyśleniu puściłby w powietrzu napełnioną szklanekę.

– Coś ze mną zrobiłeś.

Był to ten sam cichy głos, którym podziękowała mi za papierosa, ale kiedy oderwałem spojrzenie od drzew, by na nią spojrzeć, w jej oczach coś się rozjarzyło. Nie zadawała mi pytania.

– Czuję to – stwierdziła, dotykając boku głowy palcami. – Tutaj. To jak... otwór.

Skinąłem głową, ostrożnie szukając właściwych słów. Na większości odwiedzonych przeze mnie planet wejście bez zaproszenia do czyjegoś umysłu stanowi poważne naruszenie moralności i tylko agencjom rządowym uchodzi to na sucho. Nie miałem powodu zakładać, że sektor Latimera, Sanction IV czy Tanya Wardani mogliby się na tym polu czymś wyróżniać. Emisariuszowskie techniki dokooptowywania w dość brutalny sposób wykorzystują głębokie zasoby energii psychoseksualnej kierującej ludźmi na poziomie genetycznym. Odpowiednio wykorzystana matryca zwierzęcej siły, czerpiącej z tych źródeł, może przyspieszyć leczenie psychiki o całe rzędy wielkości. Zaczyna się od lekkiej hipnozy, przechodzi do szybkiego powiązania osobowości, a następnie do bliskiego kontaktu cielesnego, jedynie w drobnych szczegółach technicznych niepodchodzącego pod definicję seksualnej gry wstępnej. Łagodny, wzmocniony hipnotycznie orgazm zazwyczaj cementuje proces wiązania, ale w przypadku Wardani na ostatnim etapie coś sprawiło, że się cofnąłem. W jej obecnym stanie cały proces niebezpiecznie przypominał napaść seksualną.

Z drugiej strony, potrzebowałem Wardani w jednym psychicznym kawałku, a w normalnych warunkach osiągnięcie tego wymagałoby miesięcy, jeśli nie lat. Nie dysponowaliśmy taką ilością czasu.

– To technika – odparłem z wahaniem. – System leczenia. Kiedyś byłem Emisariuszem.

Zaciągnęła się papierosem.

– Myślałam, że Emisariusze mają stanowić maszyny do zabijania.

– Protektorat właśnie chciałby, żebyś tak myślała. Utrzymuje kolonie na poziomie panicznego strachu. Prawda jest o wiele bardziej złożona, a jeśli się ją przemyśli, równocześnie znacznie bardziej przerażająca. – Wzruszyłem ramionami. – Większość ludzi nie lubi wszystkiego przemyślać. Za dużo wysiłku. Wolą raczej przeedytowane, krwiste nagłówki.

– Doprawdy? I cóż w nich jest?

Poczułem, że konwersacja zrywa się do lotu, i nachyliłem się w stronę ognia.

– Sharya. Adoracion. Wielcy, źli Emisariusze, pełni najnowszej techniki, jeżdżący na przekazach strunowych i przelewani w najnowocześniejsze biotechnologiczne powłoki w celu zmiażdżenia wszelkiego oporu. Oczywiście, takie rzeczy też robiliśmy, ale zazwyczaj ludzie nie mają pojęcia, że pięć naszych najbardziej udanych akcji stanowiły tajne misje dyplomatyczne, prawie zupełnie bez rozlewu krwi. Przygotowanie reżimu. Przybyliśmy i odeszliśmy, a nikt nawet nie zdawał sobie sprawy, że tam byliśmy.

– Mówisz, jakbyś był z tego dumny.

– Nie jestem.

Patrzyła na mnie spokojnie.

– I stąd „robiliśmy”?

– Coś w tym stylu.

– A więc w jaki sposób można przestać być Emisariuszem? – Myliłem się. To nie była konwersacja. Tanya Wardani mnie badała. – Zrezygnowałeś czy cię wyrzucili?

Uśmiechnąłem się słabo.

– Jeśli nie sprawi ci to różnicy, wolałbym o tym nie mówić.

– Wolałbyś o tym nie mówić? – Nie podniosła głosu, ale zabrzmiały w nim syczące dźwięki furii. – Niech cię szlag, Kovacs. Za kogo ty się uważasz? Przybywasz na tę planetę ze swoją pieprzoną bronią masowej zagłady i aurą profesjonalnej przemocy i wydaje ci się, że możesz wobec mnie odgrywać skrzywdzone dziecko. Pieprzę cię i twój ból. Omal nie umarłam w tym obozie, a przyglądałam się, jak giną kobiety i dzieci. Nic mnie, cholera, nie obchodzi, przez co przeszedłeś. Odpowiadaj. Czemu już nie jesteś Emisariuszem?

Ognisko trzaskało z cicha, opowiadając własne historie. W jego głębi wypatrzyłem rozżarzony węgielek i wpatrywałem się w niego przez chwilę. Znów zobaczyłem światło laserowych wiązek, błyskające na błocie i zniszczonej twarzy Jimmiego de Soto. W umyśle odwiedziłem to miejsce już niezliczoną ilość razy, ale to nigdy się nie zmieniało. Jakiś idiota powiedział kiedyś, że czas leczy wszystkie rany, ale w czasach, kiedy to napisano, nie mieli jeszcze Emisariuszy. Z warunkowaniem Emisariusza łączy się pamięć absolutna, a kiedy cię zwalniamy, nie oddaje się im jej z powrotem.

– Słyszałaś może o Innenin? – zapytałem.

– Oczywiście. – Istniała niewielka szansa, by nie słyszała. Protektorat niezbyt często brudzi sobie ręce krwią, a kiedy do tego dojdzie, wiadomości rozchodzą się nawet na dystansach międzygwiazdnych. – Byłaś tam?

Kiwnąłem głową.

– Słyszałam, że wszyscy zginęli w ataku wirusowym.

– Niezupełnie. Zginęli wszyscy z drugiego rzutu. Wypuścili wirusa za późno, by dostać pierwszy przyczółek, ale części udało się przebić przez sieć komunikacyjną i to załatwiło większość z nas. Miałem szczęście. Moje łącze wysiadło.

– Straciłeś przyjaciół?

– Tak.

– I zrezygnowałeś?

Potrząsnąłem głową.

– Zostałem uznany za inwalidę. Profil psychologiczny nieodpowiedni do obowiązków Emisariusza.

– Powiedziałaś chyba, że twoje łącze...

– Nie dopadł mnie wirus, tylko jego skutki. – Mówiłem wolno, próbując zachować kontrolę nad pamiętaną goryczą. – Przeprowadzili rozprawę sądową... O tym też musiałaś słyszeć.

– Postawili dowództwo w stan oskarżenia, prawda?

– Tak, na jakieś dziesięć minut. Oskarżenie odrzucono. Mniej więcej wtedy przestałem się nadawać do pełnienia obowiązków Emisariusza. Można by powiedzieć, że przeżyłem kryzys wiary.

– Wzruszające. – Nagle zabrzmiała na bardzo zmęczoną, jakby wcześniejszy gniew kosztował ją zbyt wiele sił. – Szkoda, że nie trwało to dłużej, co?

– Nie pracuję już dla Protektoratu, Tanya.

Wardani wskazała ręką.

– Mundur, który nosisz, mówi coś innego.

– Ten mundur – z niesmakiem wskazałem palcem na materiał – to zdecydowanie czasowa sprawa.

– Nie wydaje mi się, Kovacs.

– Schneider też taki nosi – podsunąłem.

– Schneider... – Wypowiedziała to słowo z wątpliwością. Najwyraźniej wciąż znała go jako Mendla. – Schneider to dupek.

Zerknąłem wzdłuż plaży w miejsce, gdzie Schneider rozbijał się w promie, hałasując przy tym nieproporcjonalnie głośno. Niezbyt podobały mu się techniki, jakie wykorzystałem do wyciągnięcia psychiki Wardani z powrotem na powierzchnię, a jeszcze mniej zadowolony był, kiedy powiedziałem mu, żeby dał nam trochę czasu bez niego przy ognisku.

– Naprawdę? Myślałem, że ty i on...

– Cóż... – Przez chwilę wpatrywała się w ogień. – To atrakcyjny dupek.

– Znałaś go przed wykopaliskami?

Potrząsnęła głową.

– Nikt nikogo wcześniej nie znał. Po prostu dostaje się przydział i ma nadzieję na trafienie.

– Dostałaś przydział na wybrzeże Dangrek? – zapytałem od niechcenia.

– Nie. – Objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło się jej zimno. – Jestem mistrzem Gildii.

Gdybym chciała, mogłabym pracować przy wykopaliskach na Równinach. Sama wybrałam Dangrek. Resztę zespołu stanowili grzebacz z przydziału. Nie uwierzyli w moje motywy, ale w końcu wszyscy byli młodzi i pełni entuzjazmu. Uznali, że nawet wykopaliska z ekscentryczką są lepsze od braku wykopalisk.

– A jakie miałaś motywy?

Zapadła dłuższa przerwa, którą spędziłem przeklinając się w milczeniu za swój błąd. Pytanie było szczere – większość mojej wiedzy na temat Gildii Archeologów wywodziła się z popularnych streszczeń jej historii i okazjonalnych sukcesów. Nigdy jeszcze nie spotkałem mistrza Gildii, a to co Schneider miał do powiedzenia na temat wykopalisk, stanowiło ewidentnie przefiltrowaną wersję łożkowych opowieści Wardani, zniekształconą przez jego brak głębszej wiedzy. Chciałem pełnej historii, ale jeśli było coś, na co Tanya Wardani napatrzyła się w nadmiarze podczas pobytu w obozie dla internowanych, to z pewnością przesłuchanie. Delikatny wzrost dociekliwości w moim głosie musiał uderzyć w nią jak pocisk samosterujący.

Zbierałem się do powiedzenia czegoś, co wypełniłoby ciszę, kiedy przerwała ją za mnie



głosem, który o mikrometry zaledwie odbiegał od stabilności.

– Chcesz się dostać do statku? Mende... – Zaczęła od nowa. – Schneider ci o nim powiedział?

– Tak, choć mówił dość mętnie. Wiedziałaś, że coś takiego tam znajdziesz?

– Nie dokładnie. Ale to miało sens, prędzej czy później musiało do tego dojść. Czytałeś kiedykolwiek prace Wycinskiego?

– Słyszałem o nim. Teoria centrum?

Pozwoliła sobie na pierwszy, leciutki uśmiech.

– Teoria centrum nie jest Wycinskiego, po prostu wszystko mu zawdzięcza. To, co w tamtych czasach między innymi powiedział Wycinski, to stwierdzenie, że wszystko, co odkryliśmy na temat cywilizacji marsjańskiej, wskazuje na znacznie bardziej atomistyczne społeczeństwo niż nasze. Wiesz, skrzydlaci mięsożercy, wywodzący się z latających drapieżników, prawie zupełny brak zachowań grupowych. – Słowa zaczęły płynąć, wzory rozmowy niknąć pod wpływem podświadomego uruchomienia nawyków wykładowcy. – Sugeruje to potrzebę znacznie większej niż u ludzi przestrzeni osobistej i ogólny brak zachowań prospołecznych. Jeśli chcesz, możesz o nich myśleć jak o ptakach drapieżnych. Solidarność i agresja. Sam fakt, że budowali miasta, stanowi dowód, że udało im się przynajmniej częściowo przezwyciężyć genetyczne dziedzictwo, może w ten sam sposób, jak ludziom udało się zdławić tendencje ksenofobiczne z czasów stadnych. Wycinskiego od większości ekspertów odróżnia wiara, że ta tendencja została jedynie przytłumiona przez czas, gdy dostatecznie pożądane było wspólne działanie, a rozwój techniki odwrócił tę tendencję. Nadażasz za mną?

– Tylko nie przyspieszaj.

Prawdę mówiąc, nie miałem problemów, a część z tych bardziej podstawowych rzeczy słyszałem już w takiej czy innej formie. Wardani jednak w miarę mówienia wyraźnie się rozluźniała, a im dłużej to trwało, tym większe były szanse, że na dobre dojdzie do siebie. Nawet w ciągu tych paru chwil, których potrzebowała na rozpoczęcie wykładu, wyraźnie się ożywiła, gestykulując, a na jej twarzy zamiast obojętności pojawiło się zaangażowanie. Tanya Wardani powolutku odżywała.

– Wspomniałeś o teorii centrum, to pieprzenie. Cholerni Carter i Bogdanovich przerobili na opak wszystkie prace Wycinskiego na temat marsjańskiej kartografii. Widzisz, cechą charakterystyczną marsjańskich map jest to, że nie mają wspólnego centrum. Niezależnie od tego, gdzie zespoły archeologiczne powędrowały na Marsie, zawsze znajdowały się w samym środku znalezionych tam map. Każde osiedle umieszczało się w centrum swoich map, zawsze oznaczone największym znaczkim, niezależnie od faktycznej wielkości czy funkcji. Wycinski argumentował, że to nie powinno nikogo dziwić, bo pasowało do wcześniej zgromadzonej wiedzy na temat możliwego funkcjonowania marsjańskich umysłów. Dla dowolnego Marsjanina rysującego mapę najważniejszym na niej punktem musiało być miejsce, w którym się znajdował w chwili jej tworzenia. Wszystko, co zrobili Carter i Bogdanovich, to zastosowanie tego toku rozumowania do map astrogacyjnych. Jeśli każde miasto uważało się za centrum planetarnej mapy, to każdy skolonizowany świat mógłby uznawać się za centrum marsjańskiej hegemonii. W związku z tym fakt, że Mars stanowił wielką, centralną plamę na wszystkich mapach, nie miałby żadnego obiektywnego znaczenia. Mars mógłby być świeżo skolonizowaną prowincją, a prawdziwe centrum kultury marsjańskiej znajdować się na dowolnej kropce z ich map. – Na jej twarzy odmalował się niesmak. – Do tego sprowadza się teoria centrum.

– W twoich ustach nie brzmi to zbyt przekonująco.

Wardani wydmuchała dym z papierosa w noc.

– Nie jest. Jak swego czasu powiedział Wycinski, i co z tego? Carter i Bogdanovich kompletnie

nie zrozumieli, o co chodzi. Akceptując poprawność tego, co Wycinski powiedział na temat marsjańskiej percepcji przestrzennej, powinni zrozumieć, że sama idea hegemonii prawdopodobnie zupełnie nie mieściła się w marsjańskiej ideologii.

– Uch-och.

– Właśnie. – Znów lekki uśmiech, tym razem bardziej sztuczny. – W tym momencie nabrało to wydźwięku politycznego. Wycinski jeszcze to podkreślił, stwierdzając, że niezależnie od tego, skąd wywodziła się rasa Marsjan, nie ma powodów przypuszczać, by ich macierzystej planecie przypisywano większe znaczenie niż, cytuję „absolutnie konieczne w zakresie podstawowej edukacji dotyczącej faktów”, koniec cytatu.

– Mamusiu, skąd się wzięliśmy? Tego rodzaju rzeczy?

– Tego rodzaju, dokładnie. Można pokazać na mapie *stąd kiedyś przywędrowaliśmy*, ale skoro w życiu codziennym to, *gdzie jesteśmy teraz* jest dużo ważniejsze, to rodzima planeta mogłaby dostać najwyżej tyle – pokazała na palcach – uwagi.

– Nie przypuszczam, żeby Wycinski pomyślał kiedykolwiek o uznaniu takiego spojrzenia na rzeczywistość za absolutnie i nieodwracalnie nieludzkie, prawda?

Wardani rzuciła mi ostre spojrzenie.

– Ile ty naprawdę wiesz o Gildii, Kovacs?

Uniosłem dłoń z palcem wskazującym niezbyt odległym od kciuka.

– Przepraszam, po prostu lubię się popisywać. Jestem ze Świata Harlana. Minoru i Gretzky poszli pod sąd mniej więcej wtedy, kiedy stałem się nastolatkiem. Byłem w gangu. Typowym dowodem na nastawienie antyspołeczne było rzeźbienie w powietrzu graffiti o procesie w miejscach publicznych. Wszystkie transkrypcje znaliśmy na pamięć. „Absolutnie i nieodwracalnie nieludzkie” często pojawiało się w wypowiedziach Gretzky’ego, kiedy odwoływał swoje poglądy. Brzmiało to jak standardowe oświadczenie Gildii, która chciała utrzymać swoje granty.

Opuściła wzrok.

– I tak było, przez jakiś czas. Wycinski nie śpiewał na tę melodię. Kochał Marsjan, podziwiał ich i mówił to publicznie. Dlatego właśnie słyszy się o nim wyłącznie w kontekście cholernej teorii centrum. Zabrali mu fundusze, ukryli większość odkryć i przekazali wszystko Carterowi i Bogdanovichowi. A te dwie dziwki odstawiły w zamian elegancki numer. Komisja NZ przegłosowała tego roku siedmioprocentowe zwiększenie budżetu strategicznego Protektoratu, wszystko w oparciu o paranoidalne fantazje o nadkulturze marsjańskiej czekającej gdzieś tam, by na nas napaść.

– Zgrabne.

– Jasne. I absolutnie niemożliwe do obalenia. Wszystkie mapy astrogacyjne, jakie znaleźliśmy na innych planetach, potwierdzają odkrycie Wycinskiego: każda planeta umieszcza się w centrum map, tak samo jak Mars, i fakt ten wykorzystywany jest do straszenia NZ i utrzymania wysokiego budżetu strategicznego oraz stałej obecności wojskowej w całym Protektoracie. Nikt nie chce słuchać o tym, co naprawdę znaczą prace Wycinskiego, a ktokolwiek mówi o tym zbyt głośno albo próbuje zastosować jego teorie do własnych badań, nagle zostaje pozbawiony funduszy albo ośmieszony, co w sumie sprowadza się do tego samego.

Rzuciła niedopałkiem papierosa w ognisko i patrzyła, jak się spala.

– Tobie też przytrafiło się coś takiego? – spytałem.

– Niezupełnie.

Wypowiedziała to słowo, bardzo silnie akcentując przedostatnią sylabę, jakby coś odcinała. Za sobą usłyszałem Schneidera nadchodzącego plażą. Najwyraźniej skończyła mu się lista sprzętu do

sprawdzenia lub po prostu cierpliwość. Wzruszyłem ramionami.

– Porozmawiamy o tym później, jeśli chcesz.

– Może. A może byś tak dla odmiany ty wyjaśnił mi, o co chodziło z tymi wygłupami z manewrowaniem na maksymalnych przyspieszeniach?

Zerknąłem na Schneidera, który dołączył do nas przy ognisku.

– Słyszysz? Skarga na rozrywki w trakcie lotu.

– Pieprzeni pasażerowie – zaburzał Schneider, płynnie podejmując sugestię żartobliwego tonu rozmowy. – Nigdy nic się nie zmienia.

– Ty jej to powiesz czy ja?

– To był twój pomysł. Masz seveny?

Wardani wyciągnęła paczkę i rzuciła nią w stronę wyciągniętej ręki Schneidera. Odwróciła się z powrotem do mnie.

– No więc?

– Wybrzeże Dangrek – powiedziałem wolno – niezależnie od swoich niewątpliwych zalet archeologicznych, stanowi część terytorium Północnej Grani, a ta z kolei została uznana przez Klin Carrery za jeden z dziewięciu kluczowych dla wygrania wojny terytoriów. Sądząc po skali zniszczeń organicznych, do jakich tam teraz dochodzi, kempisci wpadli na ten sam pomysł.

– Więc?

– Więc zorganizowanie wyprawy archeologicznej w trakcie gdy Kemp i Klin walczą tam o dominację terytorialną, niezupełnie pasuje do mojej definicji rozsądku. Musimy w jakiś sposób doprowadzić do zaprzestania walk.

– Zaprzestania? – Brzmiące w jej głosie zdumienie sprawiło mi dużą przyjemność. Znowu wzruszyłem ramionami.

– Zaprzestania lub czasowego wstrzymania. Cokolwiek zadziała. Rzecz w tym, że potrzebujemy pomocy. A jedyne miejsca, gdzie możemy uzyskać pomoc tego rzędu, to korporacje. Musimy udać się do Landfall, a skoro ja powinienem być w aktywnej służbie, Schneider jest kempistowskim dezerterskim, a ty więźniem, i do tego poruszamy się skradzionym promem, potrzebujemy najpierw jakiejś przykrywkę. Na podstawie zdjęć satelitarnych naszego spotkania z minami będzie wyglądało, jakby nas załatwiły. Poszukiwania na dnie morza pozwolą znaleźć pasujące do naszego promu resztki. Przy założeniu, że nikt nie będzie się przyglądał dowodom zbyt uważnie, zostaniemy uznani za zaginionych z dużą szansą na odparowanych, co całkiem mi odpowiada.

– Myślisz, że dadzą ci spokój po czymś takim?

– No cóż, w końcu mamy wojnę. Fakt, że ktoś zginął, nikogo nie powinien zbytnio dziwić. – Wyciągnąłem sterczącą z ognia gałąź i zacząłem rysować na piasku zarys mapy kontynentów. – Och, mogą się zastanawiać, co tam robiłem, skoro powinienem był przejąć swój oddział na Grani, ale tego rodzaju szczegóły zazwyczaj rozgrzebuje się już po zakończeniu konfliktu. W tej chwili Klin Carrery jest dość mocno rozciągnięty, a siły Kempa wciąż spychają ich w stronę gór. Na tę flankę – dźgnąłem piach improwizowanym wskaźnikiem – naciska Gwardia Prezydencka, a z tej strony atakują ich siły powietrzne startujące z kempistowskiej Floty Gór Lodowych. Carrera ma na głowie ważniejsze sprawy niż szczegóły mojego zejścia.

– I naprawdę myślisz, że kartele wstrzymają wszystkie te działania specjalnie dla ciebie? – Tanya Wardani przerzuciła ogniste spojrzenie z mojej twarzy na Schneidera. – Nie kupiłeś chyba tego na poważnie, prawda, Jan?

Schneider machnął niedbale ręką.

– Po prostu go posłuchaj, Tanya. Jest częścią tej maszyny i wie, o czym mówi.

– Jasne, *racja*. – Intensywne spojrzenie gniewnych oczu wróciło do mnie. – Nie myśl, że nie jestem wdzięczna za wyciągnięcie mnie z obozu, bo to nieprawda. Nie wydaje mi się, żebyś był w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo jestem wdzięczna. Ale skoro już się wydostałam, to wolałabym raczej żyć. Ten plan to jedna wielka *kupa bzdur*. Wszystko, co osiągniesz, to sprowadzisz na nas śmierć, albo w Landfall z rąk korporacyjnych samurajów, albo w krzyżowym ogniu w Dangrek. Oni nie pozwolą, żeby...

– Masz rację – powiedziałem cierpliwie, a ona przerwała, zaskoczona. – Do pewnego stopnia masz rację. Największe korporacje, te w Kartelu, nie spojrzaliby na ten plan dwa razy. Mogą nas zamordować i wpiąć na przesłuchanie w wirtualu, aż wszystko im wyśpiewamy, a potem utrzymać wszystko w tajemnicy do czasu, aż wojna się skończy, a oni wygrają.

– Jeśli wygrają.

– Wygrają – zapewniłem. – Oni zawsze wygrywają, w taki czy inny sposób. Ale my nie pójdziemy do tych największych. Musimy być sprytniejsi.

Przerwałem i zacząłem grzebać w ognisku, czekając. Kątem oka zauważyłem, jak Schneider się spina. Jeśli Tanya Wardani nie zgodzi się na nasz układ, cała sprawa traciła sens i dobrze o tym wiedzieliśmy.

Morze szeptało do siebie, obejmując plażę i cofając się. Coś strzeliło i zaskwierczało w głębi ogniska.

– Dobra. – Poruszyła się lekko, jak ktoś przywiązany do łóżka, przesuając się do mniej bolesnej pozycji. – Mów dalej, słucham.

Ulga Schneidera była wręcz słyszalna. Kiwnąłem głową.

– Zrobimy coś takiego. Skierujemy się do jakiejś konkretnej korporacji, jednej z mniejszych, tych o większym apetycie. Może potrwa chwilę, zanim taką znajdziemy, ale nie powinno to być trudne. A kiedy już będziemy mieć ofiarę, złożymy jej propozycję nie do odrzucenia. Jednorazową, o ograniczonym czasie ważności, ofertę targu z gwarantowaną satysfakcją.

Zauważyłem, że wymienia spojrzenia ze Schneiderem. Może po prostu chwilowe wspomnienia sprawiły, że na niego popatrzyła.

– Nawet jeśli będzie mała i głodna, Kovacs, nadal mówisz o graczu korporacyjnym. – Utkwiła we mnie spojrzenie. – Planetarne bogactwo. A morderstwo i programy do wirtualnych przesłuchań nie są zbyt kosztowne. Jak proponujesz wykluczyć tę opcję?

– To proste. Wystraszymy ich.

– Chcesz ich wystraszyć? – Przyglądała mi się przez chwilę, a potem wbrew sobie roześmiała się cicho. – Kovacs, powinni cię nagrać na dysku. Stanowisz idealną rozrywkę rekonwalescencyjną. No więc oświeć mnie. Chcesz wystraszyć szefów korporacji. Czym? Morderczymi pacynkami?

Pozwoliłem, by na moich ustach pojawił się uśmiech.

– Czymś w tym rodzaju.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wyczyszczenie pamięci promu zajęło Schneiderowi większą część następnego poranka, zaś Tanya Wardani cały ten czas krążyła bez celu po piasku w pobliżu otwartego wjazdu i o czymś z nim rozmawiała. Zostawiłem ich samych i odszedłem na odległy kraniec plaży, gdzie z piasku sterczała czarna skała. Okazało się, że nie miałem problemów z wspięciem się na nią, zaś widok z góry wart był tych kilku zadrapań, które zebrałem po drodze. Oparłem plecy o wygodnie ukształtowany kamień i zapatrzyłem się w horyzont, przywołując fragmenty snu z poprzedniej nocy.

Świat Harlana jest dość mały jak na zamieszkałą planetę, a jego morza falują nieprzewidywalnie pod wpływem przyciągania trzech księżyców. Sanction IV jest znacznie większa, większa nawet od Latimera czy Ziemi, i nie ma naturalnych satelitów, dzięki czemu mnóstwo na niej szerokich i spokojnych oceanów. Wobec moich wspomnień z dzieciństwa i młodości na Świecie Harlana, spokój ten zawsze wydawał mi się lekko podejrzany, jakby morze wstrzymywało swój wodny oddech, czekając, aż zdarzy się jakiś kataklizm. Uczucie przyprawiające o dreszcze. Na szczęście, warunkowanie Emisariusza przez większość czasu utrzymywało je pod kontrolą, po prostu nie pozwalając na to, by porównanie przyszło mi do głowy. We śnie warunkowanie jest znacznie mniej skuteczne, i coś w mojej głowie wyraźnie martwiło się pęknięciami w barierze.

We śnie stałem na błyszczącej plaży gdzieś na Sanction IV, przyglądając się leniwym falom, kiedy powierzchnia oceanu zaczęła wzbierać. Przyglądałem się wmurowany w ziemię, jak wzniesione wodne przesuwają się, łamią i mijają nawzajem niczym jakieś mroczne, czarne mięśnie. Wszelkie fale na brzegu zniknęły, wessane tam, gdzie wyginało się morze. Zrodziła się we mnie pewność, wywodząca się w równej części z zimnego przerażenia i bolesnego smutku. Byłem absolutnie pewien. Nadchodziło coś monstrualnego.

Jednak obudziłem się, zanim wyszło na powierzchnię.

W mojej nodze zadrżał mięsień, więc usiadłem, poirytowany. Resztki snu trzymały się gdzieś w głębi myśli, szukając związku z czymś bardziej materialnym.

Może były to efekty pojedynku z inteligentnymi minami. Przyglądałem się, jak morze wznosi się w górę pod wpływem eksplozji naszych pocisków pod powierzchnią.

*Jasne. Bardzo traumatyczne.*

Moje myśli przebiegły przez kilka ostatnich wspomnień bitewnych, szukając pasującego. Szybko to przerwałem. Bezsensowne ćwiczenie. Półtorej roku codziennych paskudztw dla Klina Carrery upakowało we mnie dość traumy, by zapewnić pracę dla całego plutonu psychochirurgów. Miałem prawo do kilku koszmarów. Bez warunkowania Emisariusza prawdopodobnie już kilka miesięcy temu poddałbym się z krzykiem. A wspomnienia bitewne nie były czymś, w co miałem w tej chwili ochotę wnikać.

Zmusiłem się, by położyć się z powrotem i odprężyć. Poranne słońce zaczynało już przeradzać się w upał tropikalnego południa, a skała była ciepła w dotyku. Pod moimi półprzymkniętymi powiekami światło poruszało się tak samo, jak w moim wirtualu rekonwalescencyjnym nad brzegiem fiordu. Pozwoliłem sobie dryfować.

Czas płynął jałowo.

Telefon zabrzączał cicho. Sięgnąłem w dół, nie otwierając oczu, i uaktywniłem go. Zauważyłem zwiększone parcie ciepła na moje ciało i światło wyciskające pot z nóg.

– Gotów do startu – rozbrzmiał głos Schneidera. – Wciąż siedzisz na tej skale?

Odruchowo usiadłem.

– Tak. Zadzwońłeś już?

– Wszystko gotowe. To ukradzione przez ciebie urządzenie szyfrujące jest cudowne. Kryształowo czyste. Czekają na nas.

– Już schodzę.

W mojej głowie wciąż ta sama obecność. Sen nie odszedł.

*Coś nadchodzi.*

Wyłączyłem tę myśl razem z telefonem i zacząłem schodzić ze skały.

\* \* \*

Archeologia to brudna nauka.

Człowiek mógłby pomyśleć, że wraz z postępem techniki przez ostatnie kilka stuleci doprowadziliśmy technologię rabowania grobów do poziomu sztuki. W końcu teraz potrafimy wykryć ślady cywilizacji marsjańskiej na odległości międzyplanetarne. Pomiary satelitarne i zdalne czujniki pozwalają nam wykreślać mapy ich przykrytych ziemią miast nawet przez kilometry skał i setki metrów morza. Zbudowaliśmy maszyny, które potrafią generować w miarę inteligentne domysły odnośnie bardziej zagadkowych pozostałości tego, co po sobie zostawili. Mając za sobą pół tysiąca lat praktyki, naprawdę powinniśmy być w tym niezli.

Pozostaje jednak faktem, że niezależnie od tego, jak subtelna stała się nasza technika detekcji, kiedy się coś znajdzie, wciąż trzeba to jeszcze wykopać. A przy potężnych inwestycjach kapitałowych, jakie korporacje pakują zazwyczaj w wyścig do zrozumienia Marsjan, kopanie przeważnie odbywa się z subtelnością, jaką prezentuje załoga na przepustce w portowym burdelu Madame Mi. Trzeba dokonać znalezisk i wypłacić dywidendy, a nie pomaga tu fakt, że – najwyraźniej – nie ma żadnych Marsjan, którzy mogliby protestować przeciw zniszczeniu środowiska. Korporacje przylatują, wrywają zamki z opuszczonych światów i odsuwają się na bok, przepuszczając roje mrówek z Gildii Archeologów. A kiedy wyczerpią się główne stanowiska, zazwyczaj nikt nie zawraca sobie głowy sprzątaniem.

I stąd się biorą miejsca takie jak Odkrywka 27.

Trudno byłoby powiedzieć, że to oryginalna nazwa miasta, ale z pewnością jej wybór do pewnego stopnia pasuje. Odkrywka 27 rozrosła się wokół wykopu o tej samej nazwie, przez pięćdziesiąt lat służyła za noclegownię, refektarz i kompleks wypoczynkowy dla siły roboczej archeologów, a teraz przeżywała okres upadku, wraz z zupełnym wyczerpaniem żył ksenokulturalnej rudy. Oryginalnym centrum wykopu była naga, wijąca się szkieletowa struktura, pokracznie wyłaniająca się zza horyzontu, stercząca nad nieruchomymi pasami transmisyjnymi i niezręcznie powyginanymi podporami. Nadlecieliśmy od wschodu. Miasto zaczynało się pod opadającym ogonem struktury i rozszerzało w okazjonalnych i chaotycznych skupieniach jak pozbawiony entuzjazmu grzyb na betonie. Budynki rzadko przekraczały wysokość pięciu pięter, a wiele z tych, którym się to udało, było w oczywisty sposób opuszczonych, jakby wysiłek pionowego wzrostu wyczerpał ich możliwość podtrzymania wewnętrznego życia.

Schneider wykręcił wokół drugiego końca nieruchomej struktury, wyrównał i zaczął opuszczać prom w stronę obszaru wyznaczonego trzema sterczącymi pylonami, które prawdopodobnie stanowiły granice lądowiska Odkrywki 27. Opuszczając się, wzbiliśmy olbrzymie chmury pyłu z kiepsko utrzymanego żelazobetonu. Dostrzegłem w nim postrzępione szczeliny, odsłonięte przez podmuch silników hamujących. Z komunikatora rozległo się, wysłane przez wiekowy system nawigacyjny, żądanie identyfikacji. Schneider je zignorował, wyłączył główny napęd i ziewając, wstał ze swojego fotela.

– Koniec trasy. Wszyscy wysiadają.

Poszliśmy za nim do głównej kabiny i przyglądaliśmy się, jak zarzuca na ramię jeden z miotaczy cząsteczkowych, które uwolniliśmy razem z promem. Uniósł wzrok, zauważył, że mu się przyglądam, i mrugnął.

– Myślałam, że to twoi przyjaciele. – Tanya Wardani również mu się przyglądała, mocno podenerwowana, jeśli wierzyć wyrazowi jej twarzy.

Schneider wzruszył ramionami.

– Byli nimi – stwierdził. – Ale ostrożności nigdy dość.

– Cudownie. – Odwróciła się do mnie. – Masz może coś odrobinę mniejszego od tego działa, co mógłbyś mi pożyczyć? Coś, co byłabym w stanie unieść.

Rozchyliłem poły mojej kurtki, pokazując wykonane na zamówienie dla Klina interfejsowe pistolety kałasznikowa, spoczywające w uprzęży na piersi.

– Dałbym ci jeden z nich, ale są do mnie kodowo przypisane.

– Weź blaster, Tanya – rzucił Schneider, nie podnosząc wzroku. – I tak w ten sposób masz większe szanse trafienia. Miotacze pocisków są dla niewolników mody.

Uniosła brwi. Uśmiechnąłem się lekko.

– Chyba ma rację. Proszę, nie musisz owijać sobie tego wokół nadgarstka. Pas zapina się w ten sposób. Przerzuć go sobie przez ramię.

Podszedłem pomóc jej dopasować broń, i kiedy odwróciła się w moją stronę, w małej przestrzeni między naszymi ciałami zaszło coś, co nie dało się zdefiniować. Kiedy układałem zawieszoną na taśmie broń na krzywiznie jej lewej piersi, jej oczy skoczyły w górę, do moich. Zauważyłem, że mają barwę nefrytu pod szybko płynącą wodą.

– Tak wygodnie?

– Niezbyt.

Sięgnąłem, by poprawić kaburę, ale uniosła dłoń, żeby mnie powstrzymać. Przy szarej czerni mojego ramienia jej palce wyglądały jak nagie kości, szkieletowe i kruche.

– Zostaw, tak wystarczy.

– OK. Słuchaj, po prostu pociągnij w dół, a kabura puści. Pchnij z powrotem do góry, a znowu złapie. W ten sposób.

– Rozumiem.

Schneider zauważył, że coś się wydarzyło. Głośno odchrząknął i ruszył otworzyć właz. Kiedy kłapa odchyliła się na zewnątrz, przytrzymał się uchwyty na jej brzegu i wyskoczył z pojazdu z wyćwiczoną nonszalancją pilota. Efekt popsuł nieco fakt, że natychmiast po wylądowaniu rozkaszał się od wciąż wiszącego w powietrzu pyłu wzbitego przez nasze lądowanie. Powstrzymałem złośliwy uśmiech.

Wardani poszła za nim, opuszczając się niezgrabnie na dłoniach z otwartego włazu. Mając na uwadze unoszący się pył, zostałem w sterowniku, mrużąc oczy przed kurzem i próbując wypatrzeć nasz komitet powitalny.

Rzeczywiście się pojawił.

Wyłonili się z pyłu jak figury we frezarce, stopniowo oczyszczane piaskowaniem przez kogoś takiego jak Tanya Wardani. Naliczyłem w sumie siedem masywnych postaci, osłoniętych pustynnymi strojami i kolczastych od broni. Centralna figura wyglądała na zdeformowaną, wyższą od innych o pół metra, ale od klatki piersiowej w górę spuchniętą i zniekształconą. Zbliźali się w ciszy.

Złożyłem ramiona na piersiach tak, że czubki palców dotykały rękojeści kałasznikowów.

– Djoko? – Schneider znów zakaszłał. – To ty, Djoko?

Wciąż cisza. Pył opadł na tyle, by umożliwić mi wypatrzenie przytłumionych błysków metalu na lufach broni i noszonych przez nich maskach wzmocnionego widzenia. Pod luźnymi strojami pustynnymi mieli dość miejsca na ukrycie pełnych zbroi.

– Djoko, skończ z tym pieprzeniem.

Wysoki, trudny do zniesienia śmiech z potężnej, zniekształconej postaci pośrodku. Zamrugalem.

– Jan, Jan, przyjacielu. – Brzmiało to jak głos dziecka. – Naprawdę robisz się nerwowy na mój widok?

– A jak myślisz, popaprańcu? – Schneider wyszedł krok do przodu i na moich oczach potężna postać zadrzała i jakby rozpadła się na części. Zaskoczony, podbiłem neurochemiczne wzmocnienie wzroku i udało mi się zobaczyć małego chłopca w wieku około ośmiu lat schodzącego w dół z ramion mężczyzny, który trzymał go na piersiach. Kiedy chłopiec zszedł na ziemię i zaczął biec w stronę Schneidera, zauważyłem, że trzymający go mężczyzna dziwnie znieruchomiał. Coś przewędrowało wzdłuż neuronów mojej lewej ręki. Podbiłem wzmocnienie wzroku jeszcze bardziej i przeskanowałem postać od stóp do głów. Ten nie nosił maski, a jego twarz była...

Gdy uświadomiłem sobie, na co patrzę, poczułem, jak zaciskają mi się usta.

Schneider wymieniał z chłopcem skomplikowane uściski dłoni i dziwne powitania. W połowie tego rytuału chłopiec przerwał i z formalnym ukłonem oraz jakimś wyszukany tekst, którego nie udało mi się dosłyszeć, podał rękę Tanyi Wardani. Wyglądało na to, że będzie chciał całe spotkanie utrzymać w żartobliwym tonie. Emanował nieszkodliwością jak fontanna z lamety w Dzień Harlana. Kiedy pył opadł wreszcie na swoje miejsce, reszta komitetu powitalnego straciła złowieszczo groźny wygląd, jaki nadawały im niewyraźne kształty sylwetek. Oczyszczające się powietrze ujawniło, że stanowili zbieraninę wyglądających na zdenerwowanych i dość młodych najemników. Dostrzegłem, że kaukaski typ z rzadką brodą zagryza wargę poniżej pustego spokoju maski wzmacniającej. Inny przestępował z nogi na nogę. Wszyscy mieli broń zwieszoną na pasach lub wsadzoną w kabury. Kiedy zeskoczyłem z wjazdu na ziemię, nerwowo podskoczyli.

Powoli uniosłem ręce na wysokość ramion, prezentując puste dłonie.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj tego idioty. – Schneider niezbyt skutecznie usiłował właśnie trzepnąć chłopca w tył głowy. – Djoko, chodź tutaj i przywitaj się z prawdziwym, żywym Emisariuszem. To Takeshi Kovacs. Był na Innenin.

– Naprawdę? – Chłopiec podszedł i wyciągnął dłoń. Powłoka miała ciemną skórę, delikatne kości i już była przystojna – w późniejszych latach będzie wręcz piękna. Był nieskazitelnie ubrany w jasnofioletowy, dopasowany sarong i pasującą do niego pikowaną marynarkę. – Djoko Roespinoedji, do usług. Przepraszam za przedstawienie, ale w tych niepewnych czasach trudno przesadzić z ostrożnością. Wasza transmisja nadeszła na częstotliwościach, do których nie ma dostępu nikt poza Klinem Carrery, a Jan, choć kocham go jak brata, nie jest znany z powiązań wśród ważnych ludzi. To mogła być pułapka.

– Wycofany z użytku sprzęt kodujący – z naciskiem oświadczył Schneider. – Ukradliśmy go z Klina. Tym razem, Djoko, jak mówię, że mam wejścia, to powinieneś mi wierzyć.

– Kto mógłby chcieć zastawić na ciebie pułapkę? – zapytałem.

– Ach. – Chłopiec westchnął ze świadomością sytuacji o kilkadziesiąt lat nie pasującą do jego głosu. – Nie da się przewidzieć. Agencje rządowe, Kartel, analitycy korporacyjni, kempistowscy szpiedzy. Nikt z nich nie ma żadnego powodu, by kochać Djoko Roespinoedjiego. Utrzymywanie w wojnie neutralności wcale nie zapobiega robieniu sobie wrogów, choć powinno. W ten sposób raczej traci się przyjaciół, których można by mieć, i budzi podejrliwość ze wszystkich stron.



– Wojna nie dotarła jeszcze tak daleko na południe – zauważyła Wardani.

Djoko Roespinoedji przyłożył dłoń do piersi.

– Za co wszyscy jesteście niezmiernie wdzięczni. Ale w tych czasach fakt, że nie znajduje się na linii frontu, oznacza po prostu, że jest się pod okupacją, w takiej czy innej formie. Landfall leży zaledwie osiemset kilometrów na zachód. Jesteśmy dostatecznie blisko, by uważać nas za placówkę na perymetrze, co oznacza garnizon milicji państwowej i okresowe wizyty rzeczoznawców politycznych Kartelu. – Znów westchnął. – Wszystko to jest bardzo kosztowne.

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

– Masz tu garnizon? Gdzie oni są?

– O, tutaj. – Chłopiec wskazał kciukiem na luźną grupkę za plecami. – Och, zostało ich jeszcze paru w bunkrze łączności, zgodnie z przepisami, ale zasadniczo garnizon masz przed sobą.

– *To* jest państwowa milicja? – zapytała Tanya Wardani.

– Tak jest. – Roespinoedji przez chwilę wyglądał na zasmuconego, potem odwrócił się z powrotem do nas. – Oczywiście, kiedy mówiłem, że to kosztowne, miałem na myśli głównie koszt sprawienia, by wizyta rzeczoznawcy była dostatecznie przyjemna. Dla nas wszystkich i dla niego. Rzeczoznawca nie ma zbyt wyszukanego gustu, ale posiada znaczące, hm, apetyty. Oczywiście, pewność, że pozostanie *naszym* rzeczoznawcą politycznym, też wymaga znaczących wydatków. Zwykle zmieniają przydziały co kilka miesięcy.

– Jest tu teraz?

– Raczej bym was tu nie zaprosił, gdyby był. Opuścił nas w zeszłym tygodniu. – Chłopiec uśmiechnął się lubieżnie, co było denerwujące na tak młodej twarzy. – Można powiedzieć, że był usatysfakcjonowany tym, co dostał.

Stwierdziłem, że się uśmiecham. Nic na to nie mogłem poradzić.

– Wydaje mi się, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu.

– Cóż, to zależy od tego, po co tu przybyliście – stwierdził Roespinoedji, zerkając na Schneidera. – Jan nie wyrażał się zbyt jasno. Ale chodźcie. Nawet w Odkrywce 27 są lepsze miejsca na rozmowę o interesach.

Poprowadził nas z powrotem do grupki czekających milicjantów i wydał przy pomocy języka ostry, klaszczący dźwięk. Postać, która wcześniej go niosła, nachyliła się niezgrabnie. Za plecami usłyszałem, jak Tanya Wardani wstrzymuje oddech, widząc, co zrobiono temu człowiekowi.

Zdecydowanie nie była to najgorsza z rzeczy, jakie widziałem, którą można zrobić istocie ludzkiej; prawdę mówiąc, nie była nawet najgorsza z tych, które ostatnio widziałem. A jednak było coś nienaturalnego w zniszczonej głowie i srebrzystym stopie, którego użyto do połączenia pozostałych kawałków. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że powłoka została trafiona przez kawałek szrapnela. Dowolna kierunkowa broń po prostu nie zostawiłaby po sobie dość ciała. Ktoś gdzieś podjął jednak trud naprawienia czaszki trupa, zaklejenia pozostałych szczelin żywicą i zastąpienia oczu fotoreceptorami tkwiącymi w głębinach oczodołów jak czekające na zdobycz srebrzyste, cyklopowe pająki. Potem prawdopodobnie wpompował dość życia w resztki mózgu i rdzenia, by podtrzymać wegetatywne i motoryczne funkcje ciała, oraz zapewnić reakcję na kilka zaprogramowanych poleceń.

Zanim poharatali mnie na Grani, znałem pracującego dla mnie cywilnego Klina, którego Afrokaraibska powłoka faktycznie należała do niego. Którejś nocy, gdy przyglądaliśmy się satelitarnemu bombardowaniu z ruin jakiejś świątyni, opowiedział mi o mitach swojego ludu, przewożonego w łańcuchach przez ocean starej Ziemi, i późniejszej nadziei na nowy początek, na drugim brzegu marsjańskich map astrogacyjnych, na planecie nazwanej później Latimerem. Była to

historia magików i niewolników, których przywoływano z martwych. Zapomniałem, jakiej nazwy użył wobec tych stworów w opowieści, ale wiedziałem, że tak właśnie określiliby to coś, co trzymało w ramionach Djoko Roespinoedjiego.

– Podoba ci się? – Chłopiec przytulił się obscenicznie do zniszczonej głowy i przyjrzał mi się uważnie.

– Niezbyt.

– No cóż, estetyczne rzeczywiście nie jest... – Chłopiec pozwolił swojemu głosowi zaskrzeczeć lekko. – Ale przy hojnym użyciu bandaży i dostatecznie zniszczonych ubrań, powinniśmy wyglądać na naprawdę żalospną parę. Ranny i niewinny, uciekający z ruin swojego strzaskanego życia... Naprawdę idealny kamuflaż, gdyby sprawy zaszły aż tak daleko.

– Ten sam stary Djoko – odezwał się Schneider. – Mówiłem ci. Zawsze o krok przed innymi. Wzruszyłem ramionami.

– Widziałem kolumny uchodźców wystrzelane po prostu dla ćwiczeń.

– Och, jestem tego świadom. Zanim dotarł do swego nieszczęśliwego końca, nasz przyjaciel był taktycznym marine. W korze mózgowej, czy gdzie tam siedzą takie rzeczy, wciąż zostało mu jeszcze sporo odruchów. – Mrugnął do mnie. – Jestem biznesmenem, nie technikiem. Pewna firma w Landfall doprowadziła to, co z niego pozostało, do stanu używalności. Patrz.

Ręka dziecka zniknęła w kieszeni, a martwy człowiek płynnym ruchem wyszarpnął z kabury na plecach długolufy blaster. Był bardzo szybki. Fotoreceptory zaświergotały w oczodołach, skanując od lewa do prawa. Roespinoedji wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i wyciągnął z kieszeni dłoń z pilotem. Przesunął kciukiem i blaster gładko wrócił do pochwy. Ramię trzymające chłopca nie drgnęło nawet na milimetr.

– Tak więc widzisz – paplał radośnie. – Gdzie nie da się wykorzystać litości, zawsze dostępne są mniej subtelne opcje. Ale tak naprawdę to jestem optymistą. Byłbyś zdziwiony, jak wielu żołnierzom trudno jest zastrzelić małe dzieci, nawet w tych trudnych czasach. No dobrze. Dość pogaduszek. Możemy coś zjeść?

\* \* \*

Roespinoedji zajmował górne piętro i nadbudówkę w podniszczonych magazynach niezbyt daleko od ogonowego końca wykopalisk. Większość milicjantów zostawiliśmy na zewnątrz. W towarzystwie pozostałych dwóch przeszliśmy przez mroczne pomieszczenie do tkwiącej w jednym z rogów przemysłowej windy. Żywy trup jedną ręką odciągnął na bok zabezpieczającą wejście kratę. W całej sali rozbrzmiały metaliczne echa.

– Pamiętam czasy – powiedział chłopiec, gdy wznosiliśmy się w stronę dachu – kiedy wszystko to wypchane było pierwszej klasy artefaktami zapakowanymi w skrzynki i oznakowanymi do przewozu powietrznego do Landfall. Ekipy inwentaryzacyjne pracowały na zmiany przez okrągłą dobę. Wykopalisk nigdy nie przerywano, całą dobę ich odgłosy przebijały się przez wszystkie inne dźwięki. Jak bicie serca.

– Czy nie tym się właśnie zajmowałaś? – zapytała Wardani. – Zbieraniem artefaktów?

Dostrzegłem, jak Schneider uśmiecha się do siebie w półmroku.

– Kiedy byłem młodszy – odpowiedział Roespinoedji prześmiewczo. – Ale byłem bardziej zaangażowany... powiedzmy, że w działalność organizacyjną.

Kabina windy przeszła przez dach magazynu i zatrzymała się w nieoczekiwanie jasnym świetle. Promienie słoneczne przenikały przez zasłonięte materiałem okna do sali recepcyjnej, oddzielonej od

reszty poziomu przez pomalowane na bursztynowo ściany. Przez kraty windy widziałem kalejdoskopowe wzory na dywanach, płytki podłogowe z ciemnego drewna i długie, niskie sofy ustawione wokół czegoś, co wyglądało na mały, podświetlony od dołu basen. Kiedy wyszliśmy z windy, przekonałem się, że zagłębienie w podłodze nie mieści wody, tylko szeroki, poziomy ekran video, na którym widać było jakąś śpiewającą kobietę. W dwóch rogach sali obraz powtórzony był w bardziej nadającej się do oglądania formie, na pionowych zestawach ekranów o rozsądniejszych wymiarach. Przy przeciwległej ścianie stał stół, na którym ktoś umieścił dość jedzenia i picia dla całego plutonu.

– Rozgoście się – stwierdził Roespinoedji, gdy jego martwy strażnik wynosił go przez łukowate drzwi. – Za chwilę wrócę. Jedzenie i picie są tam. Ach, i głośność, jeśli chcecie.

Muzyka z ekranu nagle zaczęła być słyszalna; natychmiast rozpoznałem kawałek Lapinee, choć nie jej debiutancki cover z popularnego hitu w stylu salsy *Open Ground*, który w zeszłym roku spowodował tyle problemów. Ten był wolniejszy, połączony ze sporadycznym suborgazmicznym jęczeniem. Na ekranie Lapinee wisiała głową w dół, z udami owiniętymi wokół lufy pajęczego czołgu, i nuciła do kamery. Prawdopodobnie hymn rekrutacyjny.

Schneider szybkim krokiem podszedł do stołu i zaczął napełniać talerz każdym rodzajem jedzenia, jakie bufet miał do zaoferowania. Przyjrzałem się dwóm milicjantom, którzy zajęli pozycje przy drzwiach windy, wzruszyłem ramionami i dołączyłem do niego. Tanya Wardani wyglądała, jakby zamierzała pójść naszym śladem, ale nagle zmieniła kurs i zamiast tego podeszła do jednego z przysłoniętych firankami okien. Jedna z jej wąskich dłoni powędrowała do wzoru wyszytego na tkaninie.

– Mówiłem ci – odezwał się do mnie Schneider. – Jeśli po tej stronie planety jest ktoś, kto może zapewnić nam wejścia, to właśnie Djoko. Ma kontakty z każdym graczem w Landfall.

– Raczej miał, zanim zaczęła się wojna.

Schneider potrząsnął głową.

– Przed i w trakcie. Słyszałeś, co mówił o tym rzeczoznawcy. Nie ma mowy, żeby mógł wykonać taki przekręt, gdyby nadal nie miał znajomości.

– Jeśli ma wejścia do maszyny – zapytałem cierpliwie, wciąż wpatrzony w Wardani – to jakim cudem mieszka w tym gównianym mieście?

– Może mu się tu podoba. Tutaj dorastał. Zresztą, byłeś kiedyś w Landfall? To dopiero kloaka.

Z ekranu znikła Lapinee, zastąpiona przez jakiś program dokumentalny o archeologii. Zabraliśmy nasze talerze do jednej z sof, gdzie Schneider już zamierzał zabrać się do jedzenia, kiedy zauważył, że ja tego nie robię.

– Zaczekajmy – powiedziałem cicho. – Tak będzie uprzejmie.

Parsknął.

– Co, boisz się, że nas otruje? Po co? Nic by na tym nie zyskał.

Ale odstawił talerz.

Obraz na ekranie znów się zmienił, tym razem na zdjęcia z wojny. Radosne błyski ognia laserowego gdzieś nad mroczną równiną i karnawałowe rozbłyski uderzeń pocisków. Ścieżka dźwiękowa była ugrzeczniona, kilka wybuchów przytłumionych odległością i z nałożonym suchym komentarzem przedstawiającym niewinnie brzmiące fakty. Straty wśród ludności cywilnej, zneutralizowane działania rebeliantów.

Djoko Roespinoedji wyłonił się z łukowatych drzwi po przeciwnej stronie sali, bez marynarki, za to w towarzystwie dwóch kobiet wyglądających, jakby wyszły wprost z oprogramowania wirtualnego burdelu. Ich okryte muślinem ciała miały tę samą plastikową sztuczność i niepodlegające

grawitacji krzywizny, a twarze były pozbawione wyrazu. Ośmioletni Roespinoedji wyglądał w ich towarzystwie wprost niedorzecznie.

– Ivanna i Kas – przedstawił, gestem wskazując na każdą z kobiet. – Moje nieodłączne towarzyszkę. Zgodzicie się chyba, że każdy chłopiec potrzebuje matki, prawda? A jeszcze lepiej dwóch. A teraz... – strzelił palcami, a kobiety ruszyły w stronę bufetu. Usadowił się na sąsiedniej sofie. – Pora przejść do interesów. Co dokładnie mogę zrobić dla ciebie i twoich przyjaciół, Jan?

– Ty nie jesz? – zapytałem.

– Och. – Uśmiechnął się i wskazał na swoje towarzyszkę. – Cóż, one jedzą, a ja wolę się im przyglądać.

Schneider wyglądał na zakłopotanego.

– Nie? – Roespinoedji westchnął i wyciągnął rękę, biorąc z mojego talerza przypadkowy kawałek mięsa. Ugryzł go. – Proszę bardzo. Jan, możemy wreszcie przejść do interesów? Proszę.

– Chcemy ci sprzedać prom, Djoko. – Schneider ugryzł potężny kęs kurzego udka i mówił z pełnymi ustami. – Wyjątkowa cena.

– Doprawdy?

– Jasne. Nazwij to sprzętem z demobilu. Wu Morrison ISN70, prawie nieużywany i brak zapisów o wcześniejszym właścicielu.

Roespinoedji się uśmiechnął.

– Trochę trudno w to uwierzyć.

– Sprawdź, jeśli chcesz. – Schneider przełknął swoją porcję. – Pamięć wyczyszczona lepiej niż twoje rejestry podatkowe. Zasięg sześćset tysięcy klików. Uniwersalna konfiguracja, twarda próżnia, suborbitalny, podwodny. Prowadzi się jak harpia z burdelu.

– Tak, wydaje mi się, że pamiętam, siedemdziesiątki miały niezłe parametry. Czy może ty mi o tym opowiadałeś, Jan? – Chłopiec pogładził pozbawiony zarostu podbródek w geście wyraźnie stanowiącym dziedzictwo poprzedniej powłoki.

– Nieważne – zdecydował po chwili. – Zakładam, że ta wasza rewelacyjna oferta jest uzbrojona?

Schneider kiwnął głową, przeżuując.

– Działko mikropocisków na nosie. Systemy unikowe. Pełne oprogramowanie obronne, bardzo ładny pakiet.

Zakrzusilem się pasztetem.

Dwie kobiety podryfowały do sofę, na której siedział Roespinoedji, i usadowiły się symetrycznie po obu jego stronach w dekoracyjnych pozach. Od chwili gdy weszły, żadna z nich nie powiedziała ani słowa, nie wydały też z siebie żadnych dźwięków, które byłbym w stanie wykryć. Kobieta po lewej stronie Roespinoedjiego zaczęła go karmić ze swojego talerza. Odchylił się w jej stronę i przyglądał mi się taksująco, żując jednocześnie to, co mu podawała.

– Dobra – powiedział w końcu. – Sześć milionów.

– NZ? – zapytał Schneider, a Roespinoedji roześmiał się w głos.

– Spoa. Sześć milionów spoa.

Standardowe Potwierdzenie Odkrycia Archeologicznego, powołane w czasach, gdy rząd Sanction był niewiele więcej niż planetarnym administratorem znalezisk, a obecnie popularna, ogólnoplanetarna waluta. Jej notowania wobec latimerskiego franka, którego zastąpiła, przypominały bagienne panterę próbującą wspiąć się na rampę potraktowaną polem beztarciowym. Aktualnie płacono dwieście trzydzieści spoa za jednego dolara Protektoratu (NZ).

Schneider wyglądał na przerażonego, a jednocześnie głęboko dotkniętego handlarza.

– Nie mówisz serio, Djoko. Nawet sześć milionów NZ to tylko jakaś połowa jego wartości.

Człowieku, to wu morrison.

– Ma kriokapsuły?

– Och... Nie.

– Więc co ja, do cholery, z nim zrobię, Jan? – spokojnie zapytał Roespinoedji. Spojrzał w bok na kobietę po swojej prawej, a ona bez słowa podała mu kieliszek z winem. – Słuchaj, w tym momencie poza wojskiem pojazdy kosmiczne mają zastosowanie tylko jako środek na wydostanie się stąd; przerwanie blokady i przelot na Latimera. Ten zasięg sześciuset tysięcy kilometrów może zostać zmodyfikowany przez kogoś, kto zna się na swojej robocie, a wu morrisony mają przyzwoity system naprowadzający, ale przy szybkości, jaką można wycisnąć z ISN-70, zwłaszcza przerabianego, przelot na Latimera wymaga trzech dekad. Do tego potrzeba kriokapsuł. – Uniósł dłoń, powstrzymując protest Schneidera. – A nie znam nikogo, naprawdę nikogo, kto jest w stanie zdobyć kriokapsuły. Ani za przysługi, ani za pieniądze. Kartel Landfall wie, do czego służą, i doskonale ich pilnuje. Nikt nie wydostanie się stąd żywy, przynajmniej do zakończenia wojny. Tak to wygląda.

– Zawsze możesz sprzedać go kempistom – stwierdziłem. – Desperacko brakuje im sprzętu, zapłacą.

Roespinoedji kiwnął głową.

– Tak, panie Kovacs, zapłacą, i zrobią to w spoa. Ponieważ tylko to mają. Pańscy przyjaciele z Klina już się o to postarali.

– Nie moi przyjaciele. – Wskazałem na mundur. – Ja tylko to noszę.

– Ale dość dobrze na panu wygląda.

Wzruszyłem ramionami.

– Co powiesz na dziesięć – z nadzieją zaproponował Schneider. – Kemp płaci pięć razy tyle za przerobiony suborbital.

Roespinoedji westchnął.

– Tak. A w tym czasie muszę go gdzieś schować i zapłacić, żeby nikt go nie widział. To nie skuter pustynny. Potem będę musiał skontaktować się z kempistami, co jak może wiesz, grozi teraz natychmiastową kasacją. Będę musiał zorganizować potajemne spotkanie, i to z uzbrojoną eskortą na wypadek, gdyby ci rewolucjoniści od siedmiu boleści zdecydowali się zarekwirować mój towar, zamiast za niego zapłacić. Co często robią, jeśli nie jest się dobrze przygotowanym. Przyjrzyj się logistyce, Jan. Robię wam przysługę przez sam fakt, że nie musicie się już nim przejmować. Do kogo jeszcze mógłbyś z nim pójść?

– Osiem...

– Sześć wystarczy – uciałem gładko. – I doceniamy przysługę. Ale co powiesz na osłodzenie nam tego podwieszeniem do Landfall i odrobiną darmowej informacji? Po prostu żeby udowodnić przyjacielskie zamiary.

Wzrok chłopca wyostrzył się i skierował na Tanyę Wardani.

– Darmowa informacja, co? – Dwukrotnie, raz za razem, uniósł brwi, co wyglądało komicznie. – Oczywiście, tak naprawdę nie ma czegoś takiego, wiesz o tym. Ale żeby zademonstrować przyjacielskie uczucia... Co chciałbyś wiedzieć?

– Poza Kartelem, kto jest najostrzejszą piranią w Landfall – powiedziałem. – Mówię o korporacjach z drugiej ligi, może nawet trzeciej. Kto w tej chwili ma najbardziej obiecującą przyszłość?

Roespinoedji z namysłem pociągnął łyk wina.

– Hmm. Pirania. Nie wydaje mi się, żeby na Sanction IV były takie ryby. Albo w Latimer City,

jeśli już o tym mowa.

– Jestem ze Świata Harlana.

– Och, proszę. Mam nadzieję, że nie quellista. – Wskazał na mundur Klina. – To znaczy, biorąc pod uwagę aktualną przynależność polityczną.

– Nie należy zbytnio upraszczać nauk Quell. Kemp wciąż ją cytuje, ale podobnie jak większość, jest dość wybiórczy.

– Cóż, naprawdę nie mam o tym pojęcia. – Roespinoedji przesunął dłoń, by zablokować kolejną porcję jedzenia, przygotowywaną dla niego przez konkubinę. – Ale wracając do piranii. Powiedziałbym, że jest ich co najwyżej pół tuzina. Spóźnieni przybysze, większość z bazą w Latimer City. Międzygwiezdni blokowali większość lokalnej konkurencji mniej więcej dwadzieścia lat temu. A teraz oczywiście mają w kieszeniach lokalny Kartel i rząd. Dla innych zostało niewiele kawałków. Większość trzeciej ligi szykuje się do powrotu do domu. Tak naprawdę nie stać ich na wojnę. – Pogłaskał się po nieistniejącej brodzie. – Druga liga, cóż... Może Sathakarn Yu Associates, PKN, Korporacja Mandrake. Wszyscy są niezłymi drapieżnikami. Może mógłbym wygrzebać dla was jeszcze kilka. Chcesz podejść do tych ludzi z jakąś ofertą? Kiwnąłem głową.

– Nie bezpośrednio.

– Cóż, w takim razie dodam do darmowej informacji darmową radę. Podaj im to na długim kijku. – Roespinoedji uniósł szklankę w moją stronę i wychylił ją do dna. Uśmiechnął się przyjacielsko. – Bo jeśli tego nie zrobisz, odgryzą ci rękę przy ramieniu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podobnie jak wiele miast, które swoje istnienie zawdzięczają portowi kosmicznemu, Landfall nie ma prawdziwego centrum. Rozprzestrzenia się chaotycznie na rozległej, półpustynnej równinie na południowej półkuli, gdzie przed stuleciem wylądowały pierwsze barki kolonizacyjne. Każda korporacja mająca udziały w przedsięwzięciu zbudowała po prostu własne lądowisko na równinie, otaczając je pierścieniem pomocniczych struktur. Z czasem pierścienie te rozrosły się na zewnątrz, spotkały ze sobą i w końcu połączyły w labirynt pozbawionej centrum aglomeracji, jedynie w najogólniejszym zarysie wykazującej jakiekolwiek planowanie. Z czasem wkroczyli tu jeszcze drugorzutowi inwestorzy, kupując lub wynajmując dla siebie przestrzeń od tych pierwotnych i wyrzezując sobie nisze zarówno na rynkach, jak i w gwałtownie rosnącej metropolii. W tym samym czasie wokół planety powyrastały inne miasta, ale klauzula kwarantanny eksportowej w Karcie zapewniła, że całe generowane przez przemysł archeologiczny Sanction IV bogactwo na którymś etapie musiało trafić do Landfall. Obżarty nielimitowaną dietą eksportu artefaktów, alokacji gruntów i licencji na wykopaliska, były port kosmiczny spuchł do monstrualnych proporcji. Zajmował obecnie dwie trzecie równiny, a mając dwanaście milionów mieszkańców, stanowił dom dla prawie trzydziestu procent tego, co zostało z całej populacji Sanction IV.

I nadal była to dziura.

Szedłem ze Schneiderem przez kiepsko utrzymane ulice, pełne miejskich odpadków i czerwonego, pustynnego piasku. Powietrze było suche i gorące, a cienie rzucane przez budynki po obu stronach oferowały bardzo mało osłony przed padającymi pod wysokim kątem promieniami słońca. Czulem pot zbierający mi się na twarzy i moczący skórę pod włosami i na karku. Dotrzymywały nam kroku ubrane na czarno odbicia w oknach wystaw i lustrzanie ekranowanych frontach budynków. W południowym upale na ulicy nie było nikogo innego, a migotanie gorącego powietrza wyglądało wręcz niesamowicie. Piach głośno zgrzytał pod stopami.

Niezbyt trudno było znaleźć miejsce, którego szukaliśmy. Sterczała na krawędzi dystryktu jak wypolerowany kiosk łodzi podwodnej z brązu, o wysokości dwukrotnie większej niż okoliczne budynki i z zewnątrz zupełnie pozbawiona jakichkolwiek cech szczególnych. Podobnie jak spora część architektury w Landfall, miała lustrzaną powierzchnię, a odbite słońce sprawiało, że trudno było patrzeć nań wprost. Nie była to najwyższa wieża w Landfall, ale jej struktura miała w sobie czystą moc, która promieniowała na okoliczne zabudowania i wiele mówiła o jej projektantach.

*Testowanie ludzkiego ciała aż do zniszczenia...*

Fraza wyskoczyła z mojej pamięci jak ciało z szafy.

– Jak blisko chcesz podejść? – zapytał nerwowo Schneider.

– Trochę bliżej.

Powłoka Khumalo, podobnie jak wszystkie specjalnie zamawiane dla Klina Carrery, miała w standardzie wbudowany wyświetlacz lokalizacyjny nawigacji satelitarnej, który uważany był za dość przyjazny dla użytkownika, przynajmniej dopóki nie rozpieprzały go sieci zakłóceń i przeciwwzakłóceń zalewających aktualnie większość Sanction IV. Mrugnąłem, przywołując lokalizator w pole widzenia, a ten wyświetlił mi siatkę ulic i zabudowań zajmującą całą lewą połowę pola widzenia. Na jednym ze skrzyżowań pulsowały dwie kropki.

*Testowanie...*

Zmieniłem skalę i widok rozmył się na chwilę, po czym w oku pojawił mi się widok na czubek własnej głowy z wysokości szczytu bloku.

– Cholera.

– Co? – Obok mnie Schneider spiał się wyraźnie w pozie, którą przypuszczalnie uważał za pozycję gotowości bojowej ninji. Jego osłonięta okularami słonecznymi twarz wyglądała na komicznie zmartwioną. *Testowanie...*

– Nieważne. – Znów zmieniłem skalę, aż na krawędziach wyświetlacza z powrotem pojawiła się wieża. Najkrótsza możliwa droga rozjarzyła się na żółto, prowadząc do budynku przez dwa skrzyżowania. – Tędy.

*Testowanie ludzkiego ciała aż do zniszczenia stanowi tylko jedną z najwyższej klasy linii...*

Po kilku minutach marszu wzdłuż żółtej linii Jedna z ulic wyprowadziła nas na wąską, podwieszaną kładkę nad suchym kanałem. Dwudziestometrowej długości most wznosił się lekko na całej długości, opierając się z drugiej strony na podniesionym betonowym przyczółku. W odległości stu metrów po jego obu stronach tkwiły dwa równoległe mosty, które również się wznosiły. Na dnie kanału walało się mnóstwo porzucanych śmieci wszelkiego typu – porzucony sprzęt domowy, z wysypującymi się z pękniętych obudów obwodami, puste opakowania po jedzeniu i wyblakłe od słońca strzępy ubrań, przypominające mi resztki pociętych ogniem maszynowym ciał. Nad tym wszystkim wznosiła się czekająca po drugiej stronie kanału wieża.

*Testowanie ludzkiego...*

Schneider zatrzymał się przy granicy mostu.

– Zamierzasz przejść?

– Tak, i ty też. Jesteśmy partnerami, pamiętasz? – Pchnąłem go lekko w plecy i ruszyłem tak blisko za nim, że nie miał innego wyboru. Bulgotał we mnie lekko histeryczny chichot, efekt warunkowania Emisariusza starającego się niezbyt subtelnie stłumić hormony przygotowania bojowego, które, jak wyczuwało moje ciało, mogły być potrzebne.

– Po prostu nie wydaje mi się, żeby to...

– Jeśli coś pójdzie źle, będziesz mógł mówić, że to moja wina. – Znów go popchnąłem. – No chodźże wreszcie.

– Jeśli cokolwiek pójdzie źle, będziemy trupami – wymamrotał ponuro.

– Tak, wreszcie.

Przeszliśmy, przez całą drogę Schneider trzymał się barierki, jakby most chwiało się na potężnym wietrze.

Przyczółek po drugiej stronie okazał się krawędzią pozbawionego jakichkolwiek ozdób pięćdziesięcimetrowego placu. Weszliśmy na dwa metry w głąb niego i zatrzymaliśmy się, patrząc w górę na nieruchomą powierzchnię wieży. Niezależnie od tego, czy efekt był zamierzony, ktokolwiek zbudował betonowy fartuch wokół podstawy wieży, stworzył tym samym idealny teren do eksterminacji. W żadną stronę nie było osłony, a jedyna droga ucieczki prowadziła przez wąski, wyeksponowany most z możliwością długiego skoku na dno wyschniętego kanału.

– *Tylko przestrzeń ze wszystkich stron* – zaśpiewał Schneider pod nosem, przywołując melodię i słowa kempistowskiego hymnu pod tym samym tytułem. Nie miałem do niego pretensji. Sam kilka razy złapałem się na nuceniu tego cholernego kawałka, od kiedy dostaliśmy się na nieobjęte zagłuszaniem tereny wokół miasta – wersja Lapinee była wszędzie, dostatecznie podobna do kempistowskiego oryginału, żeby wywołać wspomnienia z zeszłego roku. Słyszało się wtedy oryginał na kanałach propagandowych rebeliantów za każdym razem, gdy przestawało działać rządowe zagłuszanie. Opowiadający – oczywiście umoralniającą – historię straceńczego plutonu ochotników utrzymujących pozycję przeciw przeważającym siłom z miłości do Joshuy Kempa i jego rewolucji, hymn śpiewany był do wpadającej w ucho melodii w rytmie salsy, która miała tendencję do trzymania się w głowie. Większość moich ludzi z grupy szturmowej na Północnej Grani mogłaby



śpiewać go z pamięci i często to robiła, budząc wściekłość oficerów politycznych Kartelu, którzy jednak przeważnie zbyt bali się mundurów Klina, by coś z tym zrobić.

Prawdę mówiąc, melodia okazała się tak zaraźliwie memetyczna, że nawet najbardziej szczerze prokorporacyjni obywatele nie byli w stanie oprzeć się bezmyślnemu jej nuceniu. To, plus sieć informatorów Kartelu mających dość dużą autonomię, wystarczyło, by w szybkim tempie przepełnić więzienia na całym Sanction IV co bardziej uzdolnionymi muzycznie potencjalnymi zdrajcami. Biorąc pod uwagę obciążenie, jakie nałożyło to na system władzy, sprowadzono zespół drogich konsultantów, którzy szybko zaproponowali nowy, poprawny politycznie tekst piosenki do oryginalnej melodii. Zaprojektowano Lapinee, wokalistkę z konstruktu, i wypuszczono na rynek jej nagranie z zastępczą piosenką, opowiadającą historię młodego chłopca, osieroconego przez kempistowski rajd, zaadoptowanego następnie przez pracownika korporacji i uświadamiającego sobie z czasem swój pełny potencjał w charakterze wysokiej klasy planetarnego dyrektora.

Jak na balladę, brakowało jej romantycznej aury i chlubnych nut oryginału, ale skoro część kempistowskich słów została z premedytacją powtórzona, ludzie zasadniczo stracili orientację, która piosenka jest która, i po prostu podśpiewywali przemieszaną hybrydę obu sklejonych opartym na salsie nuceniem. Po drodze elegancko zatarte zostały wszelkie idee rewolucyjne. Zespół konsultantów dostał premię oraz część zysków z Lapinee, puszczonej aktualnie na wszystkich państwowych kanałach. Szykowało się wydanie albumowe.

Schneider przerwał nucenie.

– Myślisz, że teren jest kryty?

– Tak sędzę. – Kiwnąłem głową w stronę podstawy wieży, gdzie do wnętrza prowadziły wysokie na pięć metrów, błyszczące drzwi. Potężny portal z obu stron ozdobiony był dwoma filarami, na których umieszczono przykłady sztuki abstrakcyjnej, każdy wart tytułu *Jaja zderzające się w symetrii* lub – podbiłem neurochem, żeby się upewnić – *Morderczy sprzęt z automatycznym sterowaniem*.

Schneider podążył za moim spojrzeniem.

– Strażnicy?

Skinąłem głową.

– Dwa automatyczne działka na pociski i przynajmniej cztery egzemplarze broni promienistej, widoczne z tego miejsca. Na dodatek gustownie dobrane. Trudno je wypatrzyć w tych rzeźbach.

Na swój sposób był to dobry znak.

W ciągu dwóch tygodni, które jak dotąd spędziliśmy w Landfall, nie widziałem zbyt wiele oznak wojny oprócz odrobinę wyższego procentu mundurów na ulicach wieczorami oraz okazjonalnego szczęku wieżyczek przeciwrakietowych na szczytach wyższych budynków. Przez większość czasu można by wybaczyć myśl, że wszystko to dzieje się na innej planecie. Ale jeśli Joshua Kemp zdoła w końcu przebić się do stolicy, przynajmniej Korporacja Mandrake wyglądała na gotową na jego przyjęcie.

*Testowanie ludzkiego ciała aż do zniszczenia stanowi tylko jedną z najwyższej klasy linii stanowiących serce aktualnego programu badawczego Korporacji Mandrake. Naszym ostatecznym celem jest maksymalne wykorzystanie WSZYSTKICH zasobów.*

Mandrake kupiła to miejsce zaledwie przed dekadą. Fakt, że zbudowali swoją siedzibę, biorąc pod uwagę zbrojne powstanie, wskazywał na myślenie strategiczne znacznie wyprzedzające innych graczy korporacyjnych przy tym stole. W logo umieścili przecięte pasmo DNA unoszące się na tle obwodu elektronicznego, ich materiały publiczne lokowały się po właściwej stronie jazgotu ze swoją agresywną, więcej-za-twoje-zainwestowane-dolary, nowy-gracz-w-mieście propagandą, a ich akcje

gwałtownie wzrosły wraz z wybuchem wojny.

Może być.

– Myślisz, że na nas patrzą?

Wzruszyłem ramionami.

– Zawsze ktoś na ciebie patrzy. To fakt. Pytanie brzmi, czy nas zauważyli.

Schneider przybrał zrozpaczony wyraz twarzy.

– W takim razie, czy nas *zauważyli*?

– Wątpię. Automaty nie są do tego zaprogramowane. Wojna jest zbyt odległa na domyślne ustawienia alarmowe. To przyjazne mundury, a godzina policyjna zaczyna się dopiero o dziesiątej. Niczym się nie wyróżniamy.

– Jeszcze.

– Jeszcze – zgodziłem się i wykonałem w tył zwrot. – Więc chodźmy i dajmy się zauważyć.

Ruszyliśmy z powrotem przez most.

\* \* \*

– Nie wyglądacie na artystów – stwierdził promotor, wystukując końcówkę naszej sekwencji kodowej. Po przebraniu się w kupione tego ranka stroje cywilne zostaliśmy poddani ocenie zaraz po przejściu przez jego drzwi, i sądząc po reakcji, nie przeszliśmy testu.

– Jesteśmy ochroniarzami – odpowiedziałem uprzejmie. – Ona jest artystką.

Jego wzrok przeskoczył do stołu, gdzie osłonięta okularami słonecznymi siedziała Tanya Wardani, zaciskając usta w grymasie. Przez ostatnie kilka tygodni zaczęła nabierać ciała, ale pod długim, czarnym płaszczem nie było tego widać, a jej twarz wciąż składała się głównie z kości. Promotor burknął coś, najwyraźniej usatysfakcjonowany tym, co zobaczył.

– Cóż. – Zmaksymalizował wyświetlacz ruchu i przez chwilę go studiował. – Muszę was ostrzec, że cokolwiek chcecie sprzedać, macie przeciw sobie dużą konkurencję sponsorowaną przez państwo.

– Coś jak Lapinee?

Drwina w głosie Schneidera była słyszalna z odległości międzygwiazdnych. Promotor wygładził swoją imitację wojskowej kurtki, rozparł się w fotelu i oparł na krawędzi biurka nogę w podróbce bojowego buta. U podstawy jego wygolonej czaszki sterczały trzy czy cztery znaczniki polowych implantów programowych, zbyt błyszczących, by mogły być czymś oprócz ozdób.

– Nie śmieć się z pierwszoligowców, przyjacielu – powiedział swobodnie. – Gdybym miał choćby dwuprocentowy udział w interesie z Lapinee, żyłbym teraz w Latimer City. Mówię wam, najlepszy sposób na przebicie sztuki czasów wojny to kupienie jej. Korporacyjni to wiedzą. Mają maszynię, umożliwiającą masową sprzedaż, i siłę przebicia, by ocenzurować konkurencję w niebyt. Dobra. – Stuknął w wyświetlacz, na którym nasz pakiet świecił jak czekająca na odpalenie, małeńka fioletowa torpeda. – Cokolwiek tam macie, lepiej, żeby było cholernie gorące, jeśli spodziewacie się płynąć pod prąd.

– Jesteś tak pozytywnie nastawiony do wszystkich swoich klientów? – zapytałem.

Uśmiechnął się ponuro.

– Jestem realistą. Wy mi płacicie, ja to przetaczam. Mam najlepsze oprogramowanie do penetracji i przełamywania zabezpieczeń w całym Landfall i gwarantuję dostarczenie towaru na miejsce. Dokładnie jak na reklamie. Gwarantujemy, że cię zauważą. Ale nie spodziewajcie się, że będę również podbijał wam ego, bo to nie wchodzi w pakiet moich usług. Tam, gdzie chcecie to

wprowadzić, dzieje się zbyt wiele, bym był optymistą odnośnie waszych szans.

Za naszymi plecami, z otwartych okien dobiegały hałasy ulicy trzy piętra niżej. Powietrze na zewnątrz ochłodziło się z nadejściem wieczoru, ale atmosfera w biurze promotora wciąż była stęchła. Tanya Wardani poruszyła się niecierpliwie.

– To niszowa rzecz – wychrypiała. – Możemy sobie to odpuścić?

– Jasne. – Promotor jeszcze raz zerknął na ekran kredytowy i opłatę, świecącą trzema zielonymi cyframi. – Lepiej zapnijcie pasy. Zapłaciliście za szybkość.

Uderzył w przełącznik. Wraz ze zniknięciem torpedy przez ekran przemknęła szybka fala. Udało mi się dostrzec w przelocie reprezentację serii wizualizacji transmisji opartych na helisach, po czym obraz zbladł, pochłonięty przez ściany korporacyjnych systemów ochrony danych, prawdopodobnie również poza możliwościami śledzenia mocno wychwalanego oprogramowania promotora. Zielone cyfry rozmyły się w chaotyczne, rozmazane ósemki.

– Ostrzegałem was – rzucił promotor, potrząsając głową. – Wysokiej klasy systemy blokujące, takie jak ten, za samą instalację musiały ich kosztować roczne dochody. A wcinanie się w taką linię kosztuje, przyjaciele.

– Ewidentnie. – Przyglądałem się, jak nasz kredyt znika jak niechroniony rdzeń z antymaterii i zdławiłem nagle pragnienie zmiżdżenia gołymi rękami gardła promotora. Nie chodziło o pieniądze; mieliśmy ich mnóstwo. Sześć milionów spoa mogło stanowić kiepską zapłatę za prom Wu Morrisona, ale i tak było to dość, by na czas pobytu w Landfall zapewnić nam królewskie życie.

Nie chodziło o pieniądze.

To ten modny strój i pseudowojskowy sprzęt oraz wypowiedane z zadufaniem teorie na temat tego, co robić ze sztuką podczas wojny, udawana aura światowca, podczas gdy po drugiej stronie równika mężczyźni i kobiety rozrywali się nawzajem na strzepy w imię drobnych poprawek do systemu, który pozwalał karmić Landfall.

– No, jest. – Promotor wystukał szybką sekwencję na klawiaturze konsoli. – O ile mogę stwierdzić, jesteście w domu. Czas, chłopcy i dziewczęta, żebyście zrobili to samo.

– Na ile możesz stwierdzić? – wypluł z siebie Schneider. – Co to, do cholery, ma być?

Znów poczęstował nas ponurym uśmiechem.

– Hej. Przeczytaj swój kontrakt. Oferujemy wszystko, co mieści się w ramach naszych możliwości. A na Sanction IV nikt nie robi więcej. Kupiłeś usługę najwyższej klasy, ale nie dostałeś na nią żadnej gwarancji.

Wysunął z urządzenia nasz wypatroszony chip kredytowy i rzucił go na stół przed Tanya Wardani, która z nieruchomą twarzą schowała go do kieszeni.

– To ile teraz będziemy czekać? – spytała ziewając.

– A co ja, jasnowidz? – Promotor westchnął. – Może być szybko, kilka dni, może miesiąc lub więcej. Wszystko zależy od demo, a tego nie widziałem. Ja robię tylko za listonosza. Może nigdy. Idźcie do domu, skontaktuję się z wami.

Wyszliśmy, odprowadzani tym samym wystudowanym brakiem zainteresowania, z jakim zostaliśmy przyjęci i obsłużeni. Na zewnątrz skręciliśmy w wieczornym mroku w lewo, przeszliśmy na drugą stronę ulicy i znaleźliśmy kawiarnię z ulicznym ogródkiem, jakieś dwadzieścia metrów od umieszczonego na wysokości trzeciego piętra jaskrawego hologramu promotora. Tak blisko godziny policyjnej ulica była prawie opuszczona. Wrzuciliśmy torby pod stół i zamówiliśmy kawy.

– Jak długo? – znów zapytała Wardani.

– Trzydzieści minut. – Wzruszyłem ramionami. – Zależy od ich SI. Nie więcej niż czterdzieści pięć.

Zjawili się, zanim zdążyłem dopić kawę.

Pojazdem była nierzucająca się w oczy furgonetka, pozornie przyciężka i o zbyt małej mocy, ale dla wyszkolonego obserwatora bez wątplenia uzbrojona. Wskoczyła zza rogu jakieś sto metrów w górę ulicy na poziomie ziemi i powolutku podjechała do budynku promotora.

– No i proszę – powiedziałem cicho, czując, jak w moim ciele budzi się do życia neurochem Khumalo. – Zostańcie tutaj, oboje.

Wstałem niespiesznie i z rękami w kieszeniach wolno ruszyłem przez ulicę, wykrzywając głowę w stronę okolicznych wystaw. Z przodu pojazd podleciał do krawężnika i zatrzymał się przed drzwiami promotora. Odsunęły się drzwi i mogłem się spokojnie przyjrzeć, jak ze środka wyskoczyło pięć zamaskowanych postaci, z wyćwiczoną ergonomią ruchów znikając następnie we wnętrzu budynku. Drzwi zasunęły się z powrotem.

Mijając ostatnich wieczornych przechodniów, zacząłem wolno zwiększać prędkość, a moja lewa dłoń zacisnęła się na trzymanym w kieszeni przedmiocie.

Przednia szyba pojazdu sprawiała bardzo solidne wrażenie i była prawie nieprzezroczysta. Dzięki wspomaganemu neurochemią wzrokowi udało mi się wypatrzeć w środku dwie postacie na siedzeniach i cień trzeciego ciała trochę z tyłu, za nimi. Patrząc na wystawy mijanych sklepów, przeszedłem ostatnie kilka kroków dzielących mnie od furgonetki.

*I czas.*

W odległości mniejszej niż pół metra moja dłoń wysunęła się z kieszeni. Z dużą siłą przykleiłem dysk granatu termitowego do przedniej szyby i natychmiast odskoczyłem w bok i do tyłu.

*Trzask!*

Przy granatach termitowych trzeba naprawdę szybko zejść z drogi. Te nowe zaprojektowane są tak, by cały ładunek szrapnela i ponad dziewięćdziesiąt pięć procent siły uderzeniowej dostarczyć od strony kontaktowej, ale wydostające się z drugiej strony pozostałe pięć procent i tak może zrobić z człowieka sieczkę, jeśli znajdzie się na drodze.

Furgonetka cała się zatrzęsła. Zamknięty w opancerzonym kadłubie huk eksplozji został wyciszony do stłumionego tąpnięcia. Wskoczyłem w drzwi budynku promotora, dotarłem do schodów i pobiegłem w górę.

Ładując na pierwszym piętrze, sięgnąłem po pistolety interfejsowe, czując, jak płyty z biotworzywa, zaszyte od wewnętrznych stron moich dłoni, gną się w oczekiwaniu.

Na półpiętrze przed trzecim piętrem umieścili jednego strażnika, ale nie spodziewali się kłopotów od tyłu. Zabiłem go strzałem w tył głowy, wchodząc po ostatnich schodach – *rozbryzg krwi i bledszej tkanki w strzępach na ścianie przed nim* – wylądowałem, zanim opadł na ziemię, i skoczyłem w stronę drzwi do biura promotora.

*Echo pierwszego strzału płonące jak pierwszy łyk whisky...*

Strzępy wizji...

Promotor próbuje wstać ze swojego fotela, do którego przygwoździło go dwóch z nich. Wyrывa jedno z ramion i wskazuje w moją stronę.

– To o...

*Palant najbliżej drzwi odwraca się...*

Ścinam go. Trzypociskowa seria z lewej ręki.

Krew tryska w powietrze – wykręcam się, żeby jej uniknąć, hiperzwinny dzięki neurochemii.

Przywódca grupy – w jakiś sposób rozpoznawalny. Wyższy, bardziej władczy, coś wrzeszczy.

– Co, do chole...

Strzały w tors. Klatka piersiowa i ramię z bronią, wyłączając strzelającą dłoń.

Kałasznikow z prawej ręki wypluwa płomienie i pociski przeciwpiechotne o miękkich rdzeniach.

*Pozostało dwóch, próbujących uwolnić się od przytrzymywanego, machającego teraz rękami promotora, by wyciągnąć broń, która...*

Teraz już obie ręce – głowa, ciało, wszędzie.

Kałasznikowy szczekają jak podniecone psy.

*Ciała szarpane, padające...*

*I koniec.*

W maleńkim biurze z trzaskiem zapadła cisza. Promotor leżał przywalony ciałem jednego z zastrzelonych goryli. Gdzieś coś zaiskrzyło i wywołało spięcie w konsoli – uszkodzenia spowodowane jednym z moich pocisków, który przeszedł na wylot. Słyszałem głosy dochodzące z korytarza.

Uklęknąłem przy resztkach ciała przywódcy grupy, odkładając pistolety. Z pochwy pod kurtką wyciągnąłem wibronóż i uruchomiłem silniczek. Wolną ręką mocno docisnąłem kręgosłup trupa i zacząłem ciąć.

– O kurwa, człowieku. – Promotor zakrztusił się i z wymiotował na swoją konsolę. – Kurwa, kurwa.

Spojrzałem na niego.

– Zamknij się, to nie jest łatwe.

Natychmiast opadł z powrotem.

Po kilku nieudanych próbach wibronóż załapał i rozciął kręgosłup kilka kręgów poniżej miejsca, gdzie dochodził do podstawy czaszki. Unieruchomiłem głowę na podłodze, dociskając kolanem, i zacząłem nowe nacięcie. Nóż ześliznął się i zjechał po krzywiźnie kości.

– Cholera.

Głosy na korytarzu stawały się coraz liczniejsze i chyba się zbliżały. Przerwałem to, co robiłem, podniosłem jeden z kałasznikowów lewą ręką i wypuściłem kilka strzałów przez drzwi w ścianę po drugiej stronie. Głosy czym prędzej oddaliły się z tupotem po schodach.

Z powrotem do noża. Zdołałem wbić się we właściwy punkt, przeciąć kość, a następnie użyłem ostrza jako dźwigni do wydłubania odciętego kawałka kręgosłupa z otaczających go strzępów ciała i mięśni. Brudna robota, ale nie miałem wiele czasu. Wcisnąłem wyciętą kość do kieszeni, wytarłem dłonie w ubranie trupa i schowałem nóż do pochwy. Potem podniosłem pistolety i ostrożnie zbliżyłem się do drzwi.

Spokój.

Wychodząc, zerknąłem na promotora. Wgapiał się we mnie, jakby właśnie wyrosły mi całe rzędy demonich szponów.

– Idź do domu – poradziłem mu. – Oni tu wrócą. I to raczej szybko.

Zbiegłem po schodach, nie napotykając nikogo, choć czułem na sobie wzrok ludzi wyglądających przez drzwi na mijanych piętrach. Na zewnątrz przeskanowałem ulicę w obu kierunkach, schowałem kałasznikowy i odszedłem, mijając gorący, dymiący pancierz zniszczonego wybuchem pojazdu. W obie strony chodnik był pusty na pięćdziesiąt metrów, a fronty sklepów wokół wraku miały spuszczone bariery ochronne. Po przeciwnej stronie ulicy zbierał się tłum, ale wyglądało na to, że nikt nie wie, co właściwie robić. Kilku przechodniów, którzy mnie zauważyli, czym prędzej odwróciło wzrok, gdy ich mijałem. Nieskalani.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W drodze do hotelu nikt nie był zbyt rozmowny.

Większość dystansu przebyliśmy pieszo, wycofując się przez zakryte przejścia i kompleksy handlowe, żeby ograniczyć możliwość wykrycia przez satelity, do których mogłaby mieć dostęp Korporacja Mandrake. Biorąc pod uwagę torby, które nieśliśmy, było to bardzo wyczerpujące. Po dwudziestu minutach znaleźliśmy się pod szerokim okapem magazynu-chłodni, gdzie skierowałem w stronę nieba transportowy pager, a po chwili udało mi się złapać taksówkę. Weszliśmy do niej, nie opuszczając osłony okapu, i bez słowa opadliśmy na siedzenia.

– Mam obowiązek poinformować państwa – zabrzmiał afektowany głos maszyny – że za siedemnaście minut zaczną państwo łamać godzinę policyjną.

– W takim razie lepiej szybko zawieź nas do domu – odpowiedziałem i podałem adres.

– Szacunkowy czas lotu dziewięć minut. Proszę wprowadzić płatność.

Kiwnąłem w stronę Schneidera, który wyciągnął nieużywany chip kredytowy i wsunął go w szczelinę. Taksówka zaświergotała i gładko wznieśliśmy się w prawie pozbawione ruchu niebo, po czym poszybowaaliśmy na zachód. Oparłem głowę o tył fotela i przez chwilę przyglądałem się światłom miasta przemyskającym w dole, w myślach odtwarzając naszą trasę, by przekonać się, na ile dobrze się kryliśmy.

Kiedy znów podniosłem głowę, złapałem Tanyę Wardani na przyglądaniu mi się. Nie odwróciła wzroku.

Wróciłem do wpatrywania się w światła do czasu, aż zaczęliśmy ku nim z powrotem opadać.

Hotel był dobrze wybrany, najtańszy z rzędu wybudowanych w czasach szczytu ruchu komercyjnego i używany niemal wyłącznie przez prostytutki i kablogłowych. Recepcjonista upowłokowiony był w tanie ciało Synthety, którego silokotkanka wykazywała już ślady zużycia wokół kostek. W połowie prawego przedramienia miał bardzo oczywistą łatę kabury. Biał był mocno poplamiony, a wzdłuż jego zewnętrznej krawędzi co dziesięć centymetrów sterczały generatory tarczy. W rogach kiepsko oświetlonej sali migwały kobiety i chłopcy o pustych twarzach, jak prawie zgasłe płomienie.

Spojrzenie oznaczonych logo oczu recepcjonisty przejechało po nas jak mokra szmata.

– Dziesięć spoa za godzinę, pięćdziesiąt z góry w depozyt. Dostęp do prysznic i ekranu to kolejna pięćdziesiątka.

– Chcemy go na noc – oznajmił Schneider. – Gdyby pan nie zauważył, to właśnie zaczęła się godzina policyjna.

Twarz recepcjonisty nie zmieniła się, ale może to wina powłoki. Syntheta znana była z oszczędzania na interfejsach mniejszych nerwów z mięśniami.

– W takim razie osiemdziesiąt spoa plus pięćdziesiąt depozytu. Prysznic i ekran dodatkowa pięćdziesiątka.

– Żadnej zniżki dla całonocnych gości?

Jego spojrzenie przeskoczyło na mnie, a jedna dłoń zniknęła pod ladą. Poczułem kopa od neurochemii, wciąż na podwyższonych obrotach po strzelaniu.

– Chcecie ten pokój czy nie?

– Bierzemy go – oświadczył Schneider, rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie. – Ma pan czytnik chipów?

– To dodatkowe dziesięć procent. – Wyglądał, jakby szukał czegoś w pamięci. – Opłata manipulacyjna.

– W porządku.

Recepcjonista, rozczarowany, podniósł się z miejsca i ruszył przynieść czytnik z pokoju na tyłach.

– Gotówka – wymamrotała Wardani. – Powinniśmy byli o tym pomyśleć.

Schneider wzruszył ramionami.

– Nie da się uwzględnić wszystkiego. Kiedy ostatni raz płaciłaś za coś bez chipa?

Potrząsnęła głową. Myślami wróciłem na chwilę do miejsca odległego o całe lata świetlne i trzy dekady, gdzie zamiast kredytu używałem namacalnych pieniędzy. Nawet przyzwyczałem się do staromodnych, plastikowych banknotów z ich wyszukany wzorem i holograficznymi panelami. Ale to było na Ziemi, a Ziemia to miejsce wprost z przedkolonialnego filmu sensorycznego. Przez chwilę nawet wydawało mi się tam, że się zakochałem, i motywowany mniej więcej w równym stopniu miłością i nienawiścią, popełniłem trochę głupstw. Część mnie zginęła na Ziemi.

Inna planeta, inna powłoka.

Strząsnąłem z myśli nieprzyzwoicie dobrze pamiętaną twarz i rozejrzałem się, pragnąc zakotwiczyć się w teraźniejszości. Z cieni spojrzwały na mnie jaskrawo pomalowane twarze, potem znów odwróciły wzrok.

*Rozważania w burdelowym holu. O bogowie.*

Recepcjonista wrócił, wczytał jeden z chipów Schneidera i rzucił na kontuar porysowaną, plastikową kartę.

– Do tyłu i w dół po schodach. Czwartą poziom. Uaktywniłem ekran i prysznic do końca godziny policyjnej. Jeśli chcecie dłużej, musicie tu wrócić i dopłacić. – Silikotkankowa twarz wykrzywiła się w czymś, co prawdopodobnie miało być uśmiechem. – Wszystkie pokoje są dźwiękoszczelne. Róbcie, co chcecie.

Korytarz i stalowe schody były jeszcze gorzej oświetlone niż hol. W niektórych miejscach iluminowane płytki podpadały od ścian i sufitu. W innych po prostu się zużyły. Poręcz schodów pomalowano iluzynową farbą, ale ona też zbladła, schodząc mikronową warstwą z każdą dłonią, która przesuwała się wzdłuż metalu.

Na schodach mijaliśmy rozproszone dziwki, z których większość holowała klientów. Wokół nich unosiły się dźwięczące, małe bańki sztucznej wesołości. Wyglądało na to, że interes się kręci. Wśród klienteli wypatrzyłem kilka mundurów i stojącego na drugim poziomie, opartego o poręcz i palącego papierosa oficera politycznego Kartelu. Nikt nam się nie przyglądał.

Pokój był długi i wąski, z niskim sufitem i wymodelowaną z szybko schnącej żywicy dekoracją udającą gzymsy i kolumnienki, przyklejoną do ścian z surowego betonu, a całość pomalowano w ognistą czerwień. Mniej więcej w połowie długości, z przeciwległych ścian wystawały dwa łóżka, zostawiając około półmetrowej szerokości przejście. Jedno z łóżek miało w rogach przymocowane plastikowe łańcuchy. W drugim końcu pomieszczenia stała samodzielna kabina prysznicowa, dostatecznie szeroka, by pomieścić trzy osoby równocześnie, jeśli ktoś miałby taką zachciankę. Naprzeciw łóżek umieszczono duży ekran z menu świecącym na bladoróżowym tle.

Rozejrzałem się, wypuściłem powietrze w atmosferę o temperaturze krwi i zrzuciłem torbę na podłogę.

– Upewnij się, że drzwi są zabezpieczone.

Wyciągnąłem z torby mały detektor i przejechałem nim wokół pokoju. Na suficie wykryłem trzy pluskwy, po jednej nad każdym z łóżek plus jedna nad prysznicem. Bardzo oryginalne. Schneider umieścił obok każdej z nich standardowe neutralizatory samoprzylepne. Dostaną się do pamięci pluskiew, wyciągną z nich cokolwiek nagrano tam przez ostatnie kilka godzin i będą to odtwarzać

w pętli. Lepsze modele potrafią nawet skanować zawartość i generować z nagranych obrazów wiarygodne sceny, ale nie miałem wrażenia, by było to konieczne w tym przypadku. Recepcjonista nie wyglądał, jakby prowadził tu działalność o wysokim poziomie zabezpieczeń.

– Gdzie mam położyć te rzeczy? – zapytał Schneider Wardani, rozpakowując jedną z toreb na pierwsze łóżko.

– Tu będzie dobrze – stwierdziła. – Tutaj. Ja to zrobię. To trochę, hm, skomplikowane. Schneider uniósł brwi.

– Dobra. Świetnie. Ja będę się tylko przyglądał.

Skomplikowane czy nie, zmontowanie wyposażenia zajęło pani archeolog około dziesięciu minut. Kiedy skończyła, wyciągnęła z prawie opróżnionej torby parę modyfikowanych gogli wzmacniających wzrok i umieściła je sobie na głowie. Odwróciła się do mnie.

– Dasz mi to?

Sięgnąłem do kieszeni kurtki i wyciągnąłem kawałek kręgosłupa. Do drobnych wgłębień i nierówności kości wciąż przyczepione były świeże kawałki tkanki, ale wzięła go bez większego obrzydzenia i wrzuciła do właśnie zmontowanej oczyszczarki artefaktów. Pod szklaną osłoną rozbłysło słabe, fioletowe światło. Razem ze Schneiderem przyglądaliśmy się zafascynowani, jak podpięła swoje gogle do boku urządzenia, wzięła połączone kablem narzędzie i siedząc ze skrzyżowanymi nogami, zabrała się do pracy. Z wnętrza maszyny zaczęły dobiegać trzeszczące dźwięki.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

Odburknęła coś.

– Jak długo to potrwa?

– Dłużej, jeśli nie przestaniesz mi zadawać głupich pytań – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku od tego, co robiła. – Nie macie nic innego do roboty?

Kątem oka zauważyłem, jak Schneider szczyrzy zęby.

Do czasu gdy zmontowaliśmy drugie urządzenie, Wardani była prawie gotowa. Zajrzałem jej przez ramię w fioletowy blask i zobaczyłem, co zostało z kawałka kręgosłupa. Większość już usunięto i właśnie eliminowane były ostatnie kawałki nerwów przylegające do metalowego cylindra stosu korowego. Nie pierwszy raz widziałem stos korowy usunięty z kręgosłupa trupa, ale patrzyłem na jedną z najbardziej elegancko prowadzonych operacji z tych, których kiedykolwiek byłem świadkiem. Kość cofała się, znikając w maleńkich kawałkach, gdy Tanya Wardani odcinała ją swoimi narzędziami, a osłona stosu wyłaniała się oczyszczona z tkanki, lśniąca jak nowa.

– Ja naprawdę wiem, co robię, Kovacs – stwierdziła Wardani głosem zdradzającym koncentrację. – W porównaniu do oczyszczania zbitków marsjańskich obwodów to przypomina piaskowanie.

– Nie wątpię. Po prostu podziwiam twój kunszt.

Słyszając to, podniosła wzrok, gwałtownie unosząc głowę i odsuwając gogle na czoło, chcąc się przekonać, czy się z niej naśmiewam. Kiedy zobaczyła, że nie, znów opuściła gogle, dokonała kilku poprawek w zestawie narzędzi i usiadła z powrotem. Fioletowe światło zgasło.

– Gotowe. – Sięgnęła do urządzenia i wyciągnęła stos, trzymając go między palcem wskazującym i kciukiem. – Tak się składa, że nie jest to najlepszy sprzęt. Prawdę mówiąc, coś na poziomie tego, co grzebacze kupują do pracy. Czujniki są dość prymitywne. Na Grani będę potrzebowała czegoś dużo lepszego.

– Nie przejmuj się. – Wziąłem od niej stos korowy i skierowałem się do urządzenia na drugim łóżku. – Jeśli to zadziała, zrobią ci sprzęt na indywidualne zamówienie. A teraz oboje słuchajcie



uważnie. Ten stos może mieć wbudowany lokalizator środowiska wirtualnego. Wielu korporacyjnych samurajów ma taki sprzęt. Ten nie musi, ale lepiej założyć, że ma. To oznacza, że zostało nam około minuty bezpiecznego dostępu, zanim lokalizator się naładuje i zaskoczy. Więc kiedy ten licznik dojdzie do pięćdziesięciu sekund, natychmiast wszystko wyłączcie. To prosty sprzęt IOO, ale po podciągnięciu i tak daje stosunek rzędu trzydzieści pięć do jednego w czasie rzeczywistym. Trochę ponad pół godziny, ale to powinno wystarczyć.

– Co zamierzasz mu zrobić? – Tanya Wardani wyglądała na niezbyt szczęśliwą.

Sięgnąłem po elektrody.

– Nic. Nie ma czasu. Zamierzam po prostu z nim porozmawiać.

– Rozmawiać? – W jej oczach rozbłysło dziwne światło.

– Czasem – odpowiedziałem – to wszystko, czego trzeba.

\* \* \*

Wejście było brutalne.

Identyfikacja i Ocena Ofiar to stosunkowo nowe narzędzie wojskowej buchalterii. Nie mieliśmy tego na Innenin; prototypowe systemy pojawiły się już po tym, jak wylali mnie z Korpusu, a nawet wtedy upłynęły całe dziesięciolecia, zanim mógł sobie na nie pozwolić ktokolwiek, poza elitarnymi jednostkami Protektoratu. Tańsze modele pojawiły się około piętnastu lat temu, bardzo ciesząc wszystkich wojskowych księgowych, choć oczywiście to nie oni musieli obsługiwać systemy. IOO to robota wykonywana zazwyczaj na polu bitwy przez sanitariuszy próbujących wyciągnąć rannych i martwych, często pod ostrzałem. W takich warunkach gładkie wejście w format zazwyczaj uważane jest za zbędny luksus, a model, który uwolniliśmy ze szpitalnego promu, zdecydowanie nie należał do odmian z górnej półki.

Zamknąłem oczy w pokoju o betonowych ścianach, a indukcja kopnęła mnie w tył głowy jak strzał tetrametu. Przez kilka sekund tonąłem zdezorientowany w oceanie szumów, po czym sprzęt zaskoczył, zastępując szumy bezgranicznym polem pszenicy, tkwiącej w nienaturalnym bezruchu w popołudniowym słońcu. Coś twardo uderzyło mnie w piętę, skacząc w górę, i nagle stałem na długiej, drewnianej werandzie, z rozległym widokiem na pole. Za mną wznosił się dom, którego częścią była weranda; jednopiętrowy, drewniany budynek, najwyraźniej stary, ale zbyt idealnie wykończony, by nie było to sztuczne starzenie. Deski stykały się z geometryczną precyzją bez żadnych szczelin i pęknięć w zasięgu wzroku. Wyglądało to jak coś, co z magazynu obrazków mogłaby wybrać SI bez interfejsu odczuć ludzkich, i prawdopodobnie dokładnie tak było.

Trzydzieści minut, przypomniałem sobie.

Czas na Identyfikację i Ocenę.

Dla współczesnych działań wojennych naturalnym jest, że często niezbyt wiele zostaje z martwych żołnierzy, a to może utrudniać życie księgowym. Niektórych żołnierzy zawsze warto będzie ponownie upowłokować; doświadczeni oficerowie to cenny towar, a szeregowiec dowolnego poziomu może dysponować cenną wiedzą lub umiejętnościami. Problem polega na szybkiej identyfikacji takich żołnierzy i oddzieleniu ich od masy niewartych kosztu nowej powłoki. Jak można tego dokonać w szalejącym chaosie strefy działań wojennych? Kodowanie paskowe spala się wraz ze skórą, nieśmiertelniki ulegają stopieniu lub rozerwaniu przez szrapnele. Czasem możliwe jest skanowanie DNA, ale to skomplikowany proces chemiczny, trudny do wykonania na polu bitwy, a niektóra złośliwsza broń chemiczna i tak może spaskudzić wyniki.

Jeszcze gorsze jest to, że żadna z tych metod identyfikacji nie daje informacji, czy zabity żołnierz

wciąż psychologicznie nadaje się do ponownego upowłokowienia. Sposób, w jaki się ginie – szybko, wolno, samotnie, z przyjaciółmi, w agonii czy bez czucia – musi mieć wpływ na poziom odczuwanej traumy. Poziom traumy wpływa na zdolności bojowe. Podobnie jak historia upowłokowień. Zbyt dużo nowych powłok zbyt szybko prowadzi do syndromu ponownego upowłokowienia, który zdarzyło mi się widzieć przed rokiem u jednego o raz za dużo upowłokowanego sierżanta Klina, eksperta od materiałów wybuchowych. Przelali go, dziewięć razy od początku wojny, do świeżutkiego, prosto z klonowania ciała dwudziestolatka, a on siedział w nim jak niemowlę, krzycząc i płacząc niespójnie, z przerwami na introspekcje, w czasie których oglądał swoje palce, jakby stanowiły zabawki, których już wcale nie chciał.

*Ups.*

Problem w tym, że nie ma możliwości poznania tych faktów z jakimś poziomem pewności na podstawie inspekcji zniszczonych i przypalonych kawałków, z którymi często mają do czynienia sanitariusze. Na szczęście dla księgowych, technika stosów korowych umożliwia nie tylko identyfikację i oznaczenie poszczególnych ofiar, ale również stwierdzenie, czy nie stali się przypadkiem nieodwracalnie szaleni. Umieszczona wewnątrz kręgosłupa tuż pod czaszką czarna skrzynka umysłu jest możliwie jak najlepiej zabezpieczona. Otaczająca ją kość jest zdumiewająco odporna na uszkodzenia, a na wypadek gdyby stara, dobra ewolucja nie wystarczyła, materiały używane do produkcji stosów korowych należą do najtwardszych sztucznych substancji znanych ludzkości. Stos korowy można wpiaskować do czysta bez obaw o uszkodzenie go, ręcznie wpiąć do generatora środowiska wirtualnego, a potem po prostu zanurkować w poszukiwaniu jego mieszkańca. Cały potrzebny do tego sprzęt spokojnie mieści się w dużej walizce.

Podszedłem do idealnych drewnianych drzwi. Na przybitej do desek obok miedzianej płycie wyryto ośmiocyfrowy numer i nazwisko: Deng Zhao Jun. Sięgnąłem do klamki. Drzwi otworzyły się bezgłośnie i przeszedłem przez nie do klinicznie czystego pomieszczenia, zdominowanego przez długi drewniany stół. Po jednej stronie stała para wyściełanych musztardowych foteli, przodem do kominka, na którym trzaskał niewielki ogień. Z drugiej strony pokoju widać było drzwi prowadzące do kuchni i sypialni.

Siedział przy stole, z głową w dłoniach. Najwyraźniej nie słyszał otwieranych drzwi. Środowisko uaktywniło go kilka sekund przed wpuszczeniem mnie, więc prawdopodobnie miał parę minut na otrząśnięcie się z początkowego szoku przybycia i uświadomienie sobie, gdzie jest. Teraz tylko musiał sobie jakoś z tym poradzić.

Odchrząknąłem.

– Dobry wieczór, Deng.

Podniósł głowę, a widząc mnie, opuścił ręce na stół. Słowa zaczęły wypływać z niego w pośpiechu.

– Wystawili nas, stary, to była cholerna pułapka. Ktoś na nas czekał, możesz powiedzieć Handowi, że jego ochrona jest gównem warta. Musieli...

Umilkł, a jego oczy rozszerzyły się, gdy mnie rozpoznał.

– Tak.

Zerwał się na nogi.

– Kim ty, do cholery, jesteś?

– To nie jest takie ważne. Słuchaj...

Ale było już za późno. Ruszył na mnie, omijając stół, z oczami nabiegłymi furją. Cofnąłem się.

– Słuchaj, nie ma sensu...

Połknął oddzielającą nas przestrzeń i wyskoczył z kopnięciem w kolano i uderzeniem w żebra.

Zbiłem kopnięcie, zablokowałem rękę wyciągniętą w uderzeniu i rzuciłem go na podłogę. Ładując, spróbował następnego kopnięcia, i musiałem się wycofać poza jego zasięg, by uniknąć uderzenia w twarz. Kiedy skoczył na nogi, znów mnie zaatakował.

Tym razem wyszedłem mu naprzeciw, zbijając jego ataki blokami i okrężnymi kopnięciami, używając kolana i łokci do powalenia go. Uderzony, zajęczał z głębi trzewi i upadł po raz drugi, z jedną ręką zwiniętą pod ciałem. Ruszyłem za nim, wylądowałem mu na plecach i odciągnąłem osiągalną rękę, blokując ramię, aż zatrzeszczało.

– Dobra, to wystarczy. Jesteś w pieprzonym wirtualu. – Odzyskałem oddech i uspokoiłem głos.  
– Jeszcze jakieś wygłupy i złamię ci rękę. Rozumiesz?

Kiwnął głową, z twarzą przyciśniętą do podłogi.

– W porządku. – Zmniejszyłem odrobinę nacisk dźwigni na ramieniu. – Teraz zamierzam cię puścić i przejdziemy przez to w cywilizowany sposób. Chcę ci zadać kilka pytań, Deng. Nie musisz na nie odpowiadać, jeśli nie chcesz, ale będzie to leżało w twoim interesie, więc lepiej mnie wysłuchaj.

Wstałem i odsunąłem się od niego. Po chwili on też się podniósł i chwiejnie wrócił na krzesło, masując ramię. Usiadłem z drugiej strony stołu.

– Masz sprzęt do wirtualnej lokalizacji?

Potrząsnął głową przecząco.

– Jasne. Cóż, prawdopodobnie i tak byś to powiedział, nawet gdybyś miał. To w niczym nie pomoże. Uruchomiliśmy szyfrator odbitego kodu. Chciałbym się dowiedzieć, kto jest twoim przełożonym.

Wbił we mnie wzrok.

– Czemu miałbym ci cokolwiek powiedzieć?

– Ponieważ jeśli to zrobisz, oddam twój stos korowy z powrotem do Mandrake, a oni prawdopodobnie dadzą ci nową powłokę. – Nachyliłem się na krzesło. – To jednorazowa oferta promocyjna, Deng. Złap ją, póki trwa.

– Jeśli mnie zabijesz, Mandrake...

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Zdobądź się na odrobinę realizmu. Kim jesteś, kierownikiem ochrony? Szefem jednostki operacji taktycznych? Mandrake może mieć w zapasie tuzin takich jak ty. W rezerwie rządowej są całe plutony ludzi, którzy lizaliby tyłki za szansę uniknięcia wojny. Każdy z nich mógłby wykonywać twoją pracę. Zresztą, kobiety i mężczyźni, dla których pracujesz, sprzedaliby własne dzieci do burdelu, gdyby oznaczało to możliwość położenia łap na tym, co pokazałem im dziś wieczorem. A poza tym, przyjacielu, ty... nic... nie znaczysz.

Cisza. Siedział, patrząc na mnie z nienawiścią.

Zastosowałem chwyt z podręcznika.

– Oczywiście, moglibyście chcieć spróbować zemsty w oparciu o zasady. Dać do zrozumienia, że nie tyka się ich ludzi bez poważnych konsekwencji. Większość twardzieli lubi śpiewać na tę melodię, a nie wydaje mi się, żeby Mandrake czymś się tu wyróżniała. – Machnąłem ręką. – Jednak nie operujemy w tej chwili w kontekście ogólnych zasad, prawda, Deng? Oczywiście, zdajesz sobie z tego sprawę. Spotkałeś się kiedykolwiek z tak ostrą reakcją? Miałeś zestaw tak pełnych instrukcji? Co w nich wyczytałeś? Dowiedz się, kto nadał ten sygnał, i sprowadź ich z nienaruszonym stosem, niezależnie od kosztów i strat? Coś w tym stylu?

Pozwoliłem, by pytanie zawisło w powietrzu między nami, jak rzucona niedbale lina, którą bardzo chce się złapać.

*No, dalej. Złap. Potrzeba tylko monosylaby.*

Ale cisza się przedłużała. Zaproszenie do zgody, do mówienia, do odpuszczenia sobie i odpowiedzi wisiało w powietrzu, trzaskając pod własnym ciężarem. Zaciśnął wargi.

Spróbujmy jeszcze raz.

– Coś w tym stylu, Deng?

– Lepiej daj sobie spokój i od razu mnie zabij – powiedział z napięciem.

Pozwoliłem, by uśmiech zaigrał mi na ustach...

– Nie zamierzam cię zabijać, Deng.

... i czekałem.

Jakbyśmy mieli szyfrator lustrzanego kodu. Jakby nie można nas było namierzyć. Jakbyśmy mieli czas. *Uwierz w to. Cały czas do końca świata.*

– Ty jesteś...? – zapytał w końcu.

– Nie zamierzam cię zabić, Deng. Nie... zamierzam... cię zabić. – Wzruszyłem ramionami. – To o wiele za proste. Tak jakbym po prostu cię wyłączył. Nie tak łatwo zostaje się korporacyjnym bohaterem.

Zauważyłem, że napięcie zaczyna ustępować zakłopotaniu.

– Och, i niech ci też nie złączą przychodzić do głowy żadne pomysły na temat tortur. Nie mam do tego dość mocnego żołądka. Zresztą, kto wie, jaki rodzaj oprogramowania odpornościowego w ciebie wpakowali. Za dużo babraniny, zbyt nieskuteczne i długotrwałe. A odpowiedzi mogą uzyskać gdzie indziej, jeśli będę musiał. Jak już powiedziałem, to jednorazowa oferta promocyjna. Odpowiedz na pytania teraz, póki jeszcze masz szansę.

– Bo jak nie to? – Prawie lita brawura, ale nowa niepewność uczyniła ją śliską u podstawy. Już dwukrotnie przygotował się na to, czego się spodziewał, i dwukrotnie jego założenia okazały się błędne. Wciąż tłumił w sobie strach, ale ten narastał.

Wzruszyłem ramionami.

– Bo jak nie, to cię tu zostawię.

– Co?

– Zostawię cię tutaj. Widzisz, Deng, jesteśmy głęboko w Pustkowie Chariset. Jakieś porzucone osiedle archeologiczne, nawet nie wiem, czy ma jakąś nazwę. Równo tysiąc kilometrów pustyni w każdym kierunku. Po prostu zostawię cię podłączonego.

Zamrugnął, próbując zrozumieć groźbę. Znów nachyliłem się w jego stronę.

– Jesteś w systemie IOO dla rannych. Działa na zasilaniu polowym. Przy tych ustawieniach będzie działać całe dziesięciolecie. Setki lat w wirtualu. I będzie to dla ciebie cholernie realny czas, który będziesz mógł spędzić tutaj, siedząc i przyglądając się, jak rośnie zboże. Jeśli ono rośnie w tak podstawowym formacie. Nie będziesz głodny ani spragniony, ale założę się, że oszalejesz przed upływem pierwszego stulecia.

Wyprostowałem się z powrotem. Niech to do niego dotrze.

– Możesz też odpowiedzieć na moje pytania. Jedyna oferta. Więc jak będzie?

Wciąż cisza, ale tym razem innego rodzaju. Pozwoliłem mu przyglądać mi się przez minutę, potem wzruszyłem ramionami i wstałem.

– Miałeś swoją szansę.

Doszedłem prawie do drzwi, zanim się załamał.

– Dobra! – W jego głosie zabrzmiał dźwięk przypominający strunę pękającą w fortepianie. – Dobra, dostaniesz to. Dostaniesz.

Zatrzymałem się, potem sięgnąłem do klamki. Jego głos zrobił się bardziej piskliwy.

– Powiedziałem, że to dostaniesz. Hand, człowieku. Hand. Matthias Hand. To ten facet nas

wysłał. Cholera, stój, człowieku. Mówię ci.

Hand. Nazwisko, które wypowiedział wcześniej. Można bezpiecznie założyć, że naprawdę się zламаł. Wolno odwróciłem się od drzwi.

– Hand?

Szybko pokiwał głową.

– Matthias Hand?

Popatrzył w górę, z wyrazem rozpaczony na twarzy.

– Mam twoje słowo?

– Na ile coś jest warte, tak. Twój stos wróci nienaruszony do Mandrake. Teraz Hand.

– Matthias Hand, Wydział Akwizycji.

– To twój kontroler? – zmarszczyłem brwi. – Wydziałowy kierownik?

– Tak naprawdę nie jest moim kontrolerem. Wszystkie grupy taktyczne odpowiadają przed szefem operacji ochrony, ale od wybuchu wojny przekazali siedemdziesięciu pięciu taktycznych bezpośrednio pod komendę Handa z Akwizycji.

– Czemu?

– A skąd ja, do cholery, mam wiedzieć?

– Pozgaduj trochę. Czy to był pomysł Handa? Czy ogólne wytyczne?

Zawahał się.

– Mówią, że to Hand.

– Od jak dawna jest w Mandrake?

– Nie wiem. – Zauważył wyraz mojej twarzy. – Naprawdę, cholera, nie wiem. Dłużej niż ja.

– Jaką ma reputację?

– Twardziel. Nie wchodzi mu się w drogę.

– Jasne, jemu ani żadnemu innemu korporacyjnemu szefowi powyżej poziomu kierownika departamentu. Wszyscy są takimi cholernie twardymi sukinsynami. Powiedz mi coś, czego sam bym się nie domyślił.

– To nie tylko plotki. Dwa lata temu jakiś kierownik projektu postawił Handa przed radą korporacji za złamanie zasad firmowej etyki...

– Firmowego czego?

– Tak, możesz się śmiać. Jeśli uznają cię winnym, w Mandrake oznacza to kasację.

– Ale go nie uznali.

Deng potrząsnął głową.

– Hand dogadał się z radą, nikt nie wie jak. A dwa tygodnie później tamtego faceta znalezionego martwego w taksówce. Wyglądał, jakby coś w nim wybuchło od środka. Mówią, że Hand był kiedyś houganem w Bractwie Carrefour na Latimerze. Wiesz, całe to gównno z voodoo.

– Całe to gównno z voodoo – powtórzyłem, wcale nie tak pod wrażeniem, jak udawałem. Jak by tego nie zamaskować, religia pozostaje religią, a jak mawiała Quell, zaabsorbowanie sprawami innego świata jasno sygnalizuje nieumiejętność rozsądnego radzenia sobie z tym. Mimo wszystko, Bractwo Carrefour stanowiło paskudną bandę zbirów, na których natknąłem się w podróży przez świat ludzkiej nędzy, w której zaliczyłem między innymi yakuzę ze Świata Harlana, sharykańską policję religijną i, oczywiście, Korpus Emisariuszy. Jeśli Matthias Hand był byłym houganem Carrefour, znaczyło to, że stoi głębiej po stronie mroku niż przeciętny korporacyjny bandyta. – Więc poza tym gównnem z voodoo, co jeszcze o nim mówią?

Deng wzruszył ramionami.

– Że jest sprytny. Tuż przed wojną Akwizycja zdołała wywalczyć sporo kontraktów rządowych.

Rzeczy, na które więksi gracze nie chcieli nawet spojrzeć. Mówi się, że Hand obiecuje radzie nadzorczej za rok miejsce w Kartelu. I jakoś nikt z moich znajomych się z tego nie śmieje.

– Tak. Za duże ryzyko zmiany kariery i udekorowania taksówki swoimi wnętrznościami. Myślę, że...

Spadanie.

Opuszczanie formatu IOO okazało się być równie przyjemne, jak wchodzenie do niego. Poczulem się, jakby pod nogami otwarto mi zapadnię, a moje krzesło zrzuciło mnie w dziurę wprost do środka planety. Ze wszystkich stron otoczyło mnie morze szumu, atakując zmysły połączonym trzaskiem i natychmiastowym kacem empatynowym. Potem wszystko zniknęło, odessane w równie nieprzyjemny sposób. Nagle znów byłem świadom rzeczywistości, z opuszczoną głową i stróżką śliny ściekającej mi z kącika ust.

– W porządku, Kovacs?

Schneider.

Zamrugalem. Po ataku szumów otaczające mnie powietrze zdawało się nienaturalnie mroczne, jakbym zbyt długo wpatrywał się w słońce.

– Kovacs? – Tym razem był to głos Tanyi Wardani. Otarłem usta i rozejrzałem się. Obok mnie cicho brzęczał zestaw IOO, z zielonymi cyframi unieruchomionymi na 49. Wardani i Schneider stali po obu stronach zestawu, przyglądając mi się z komiczną wręcz troską. Za nimi ukształtowane z żywicy dekoracje burdelowego pokoju nadawały całej scenie aurę kiepskiej farsy. Poczulem, jak moja twarz wykrzywia się w uśmiechu, i sięgnąłem ręką do czepka z elektrodami.

– I co? – Wardani cofnęła się troszkę. – No, przestań się tak *szczyrzyć*. Czego się dowiedziałeś?

– Sporo – odpowiedziałem. – Myślę, że jesteśmy już gotowi do handlu.

## CZEŚĆ II

### CZYNNIKI KOMERCYJNE

*Z każdym projektem, politycznym czy nie, zawsze wiążą się jakieś koszty. Zawsze pytaj, czym i kto będzie płacił. Jeśli tego nie zrobisz, tworzący projekt podążą za aromatem twojego milczenia jak pantery bagienne za zapachem krwi, i zanim się zorientujesz, to ty staniesz się osobą ponoszącą koszty. A może się okazać, że nie masz tego, czym trzeba zapłacić.*

QUELLCRISTA FALCONER

*Rzeczy, które powinnam już wiedzieć*

Tom II

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Panie i panowie, proszę o uwagę.

Prowadząca aukcję zastukała delikatnie palcem w przymocowany do ubrania mikrofon, a wywołany tym dźwięk przetoczył się przez przestrzeń nad naszymi głowami jak przytłumiony grzmot. Zgodnie z tradycją, była ubrana w coś w rodzaju kombinezonu próżniowego bez hełmu i rękawic, choć strój uszyty był bardziej w sposób przywodzący na myśl domy mody Nowego Bejingu niż wykopaliska na Marsie. Miała słodki głos, jak ciepła kawa z dodatkiem wzmacnianego rumu.

– Artykuł dwadzieścia siedem. Z pola Dolne Danang, świeżo wykopany. Trzymetrowy pylon z laserowo grawerowaną podstawą z technoglifami. Cena wywoławcza: dwieście tysięcy spoa.

– Jakoś mi się nie wydaje. – Matthias Hand napił się swojej herbaty i zerknął od niechcenia w miejsce, gdzie tuż nad podwyższeniem unosił się hologram, przedstawiający powiększony obraz artefaktu. – Nie dzisiaj i nie z tą cholernie wielką szczeliną przez drugi glif.

– Cóż, nigdy nie wiadomo – odpowiedziałem swobodnie. – Trudno powiedzieć, ilu idiotów ze zbyt dużą ilością pieniędzy kręci się po okolicy.

– Och, całkiem sporo. – Przekręcił się lekko na miejscu, jakby rozglądał się po tłumie potencjalnych kupców, rozproszonym po balkonie. – Ale naprawdę nie spodziewam się, żeby ten kawałek poszedł za więcej niż jakieś sto dwadzieścia.

– Skoro pan tak mówi.

– Mówię. – Ze starannie wyrzeźbionych rysów jego kaukaskiej twarzy powoli zniknął uprzejmy uśmiech. Podobnie jak większość kierownictwa korporacji był wysoki i doskonale wyglądał. – Oczywiście, w przeszłości zdarzało mi się mylić. Okazjonalnie. Ach, dobrze, to wygląda na nasze.

Kelner wbity w tańszą i gorzej skrojoną wersję kombinezonu prowadzącej aukcję przyniósł jedzenie. Biorąc pod uwagę strój, rozładował tacę ze zdumiewającym wdziękiem. Obaj przyglądaliśmy się w ciszy, jak to robi, a potem z podobną ostrożnością czekaliśmy, aż się oddali.

– Nikt z pańskich? – zapytałem.

– Nie. – Hand z powątpiewaniem dziabnął zawartość swojej tacy pałeczkami. – Wie pan, mógł pan wybrać inną kuchnię. Toczy się wojna, a my jesteśmy ponad tysiąc kilometrów od najbliższego oceanu. Naprawdę uważa pan, że sushi to taki dobry pomysł?

– Jestem ze Świata Harlana. Takie rzeczy tam jemy.

Obaj ignorowaliśmy fakt, że bar sushi ustawiony był pośrodku odsłoniętego balkonu, wystawionego na strzał snajperski z wielu miejsc porozrzucanych po całym, dość przestronnym wnętrzu domu aukcyjnego. W jednym z takich miejsc Jan Schneider leżał właśnie przyczajony z karabinem laserowym o skróconej lufie i ekranowanym strzale, przyglądając się przez lunetkę snajperską twarzy Matthiаса Handa. Nie miałem pojęcia, ile kobiet lub mężczyzn robi w tej chwili to samo, przyglądając się mnie.

W górze, na holowysświetlaczu nad naszymi głowami, wyświetlana pomarańczowymi cyframi cena wywoławcza ześlizgiwała się w dół, przeskakując sto pięćdziesiąt, za nic sobie mając błagalne tony prowadzącej aukcję kobiety. Hand kiwnął głową w jej stronę.

– Proszę bardzo. Zaczynają się łamać. – Rozpoczął jedzenie. – Czy możemy w takim razie przejść do interesów?

– Może być. – Rzuciłem coś przez stół w jego stronę. – Myślę, że to należy do pana.

Potoczyło się po blacie, aż zatrzymał to wolną dłonią. Chwycił przedmiot starannie wypielęgowanymi palcami i przyjrzał mu się ciekawie.



– Deng?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Co z niego wydostaliście?

– Niewiele. Biorąc pod uwagę wirtualny lokalizator, ustawiony na wybuch przy aktywacji, nie było czasu, wie pan o tym. – Wzruszyłem ramionami. – Zanim zdał sobie sprawę, że nie jestem psychochirurgiem Mandrake, rzucił pańskim nazwiskiem, ale później dość mocno się zamknął. Twardy sukinynek.

Hand przybrał sceptyczny wyraz twarzy, ale bez dalszych komentarzy wrzucił stos korowy do kieszeni na piersi marynarki. Wolno przeżuwał kolejną porcję sushi.

– Naprawdę musiał pan ich wszystkich powystrzelać? – zapytał w końcu.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak się teraz załatwia sprawy na północy. Może pan nie słyszał. Mamy wojnę.

– Ach, tak. – Wyglądał, jakby pierwszy raz zauważył mój mundur. – Więc jest pan w Klinie. Zastanawiam się, jak zareagowałby Isaac Carrera na wiadomość o pańskim wtargnięciu do Landfall. Jak pan myśli?

Znów wzruszyłem ramionami.

– Oficerowie Klina mają sporo swobody. Pewnie musiałbym się trochę nagimnastykować, żeby to wyjaśnić, ale zawsze mogę stwierdzić, że działałem pod przykryciem, prowadząc inicjatywę strategiczną.

– I robi pan to?

– Nie. To ma charakter wyłącznie osobisty.

– A co, jeśli nagram tę rozmowę i mu ją odtworzę?

– No cóż, jeśli działałem pod przykryciem, musiałbym powiedzieć panu coś, żeby zachować pozory, prawda? To uczyniłoby z tej konwersacji podwójny bluff.

Zapadła cisza, w trakcie której przyglądaliśmy się sobie beznamietnie bez słów, a potem na twarz dyrektora Mandrake wypełził jeszcze szerszy uśmiech. Ten został dłużej i przypuszczałem, że był szczery.

– Tak – stwierdził cicho. – To takie eleganckie. Gratuluję, poruczniku. Wszystko jest tak składne, że sam nie wiem, w co wierzyć. Z tego, co wiem, może pan pracować dla Klina.

– Tak, mógłbym. – Ja też się uśmiechnąłem. – Ale wie pan co? Nie ma pan czasu, żeby się tym martwić. Ponieważ te same dane, które otrzymał pan wczoraj, zostały umieszczone w zablokowanej konfiguracji w pięćdziesięciu miejscach sieci Landfall, zaprogramowane na priorytetowe przesyłki do składów danych każdej korporacji z Kartelu. A zegar tyka. Po czymś takim, cóż, wszyscy pańscy konkurenci będą wiedzieli to, co pan, a pewien kawałek wybrzeża będzie wyglądał jak bulwar Touchdown w Sylwestra.

– Proszę ciszej. – Głos Handa pozostał łagodny, ale pod grzecznymi słowami zabrzmiał nagle stalowy ton. – Jesteśmy na otwartym terenie. Jeśli zamierza pan prowadzić interesy z Mandrake, musi się pan nauczyć pewnej dyskrecji. Proszę bez żadnych więcej szczegółów.

– Świetnie. O ile tylko będziemy się rozumieć.

– Myślę, że się rozumiemy.

– Mam nadzieję. – Pozwoliłem, by mój ton nieco stwardniał. – Nie docenił mnie pan, wysyłając wczoraj wieczorem ten oddział. Niech pan tego więcej nie robi.

– Nie marzyłbym...

– To dobrze. Nawet o tym nie marz, Hand. Ponieważ to, co stało się z Dengiem i jego kumplami, nawet nie zbliża się do niektórych nieprzyjemnych rzeczy, w jakich brałem udział przez ostatnie

osiemnaście miesięcy na północy. Możesz sobie myśleć, że wojna jest daleko, ale jeśli Mandrake jeszcze raz spróbuje zerznąć mnie lub moich współników, poczęstuję cię pobudką Klina tak głęboko w tyłek, że w gardle poczujesz smak własnego gówna. Czy teraz się rozumiemy?

Hand przybrał urażony wyraz twarzy.

– Tak. Bardzo plastycznie przedstawił pan swoje racje. Zapewniam pana, że nie będzie więcej prób wypchnięcia was z obiegu. Oczywiście, przy założeniu, że wasze żądania okażą się rozsądne. Jakiego rodzaju znaleźnego oczekujecie?

– Dwadzieścia milionów dolarów NZ. I nie patrz na mnie w ten sposób, Hand. To nie jest nawet dziesiąta część procentu tego, co Mandrake na tym zarobi, jeśli się nam uda.

W górze na holo cena wywoławcza zahamowała przy stu dziewięciu, a prowadząca aukcję dźwigała ją teraz w górę małymi kroczkami.

– Hmm. – Hand przeżuł i przełknął, zastanawiając się. – Gotówka przy odbiorze?

– Nie. Z góry, depozyt w banku Latimer City. Jednorazowy transfer, standardowy, siedmiodzinny limit odwoławczy. Później dam wam kody konta.

– To bezczelność, poruczniku.

– Można to nazwać zabezpieczeniem. Nie, żeby ci nie ufał, Hand, ale będę szczęśliwszy, wiedząc, że i tak dokonaliście płatności. W ten sposób nikogo w Mandrake nie będzie kusiło, żeby próbować się wykręcać po sprawie. Nic byście na tym nie zyskali.

Dyrektor Mandrake wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

– Zaufanie działa w obie strony, poruczniku. Czemu mielibyśmy płacić, zanim projekt dojrzeje?

– To znaczy z innego powodu niż ten, że jeśli tego nie zrobicie, to po prostu odejdę od tego stołu i stracie największe znalezisko z dziedziny badań i rozwoju, jakie kiedykolwiek widział Protektorat? – Pozwoliłem, by zapadało to w niego przez chwilę, zanim poczęstowałem go uspokajaczem. – Cóż, spójrz na to w ten sposób. Póki trwa wojna, nie zdołam uzyskać dostępu do tych pieniędzy; pilnuje tego Dyrektywa Zasilania Awaryjnego. Więc nie macie pieniędzy, ale ja też nie. Żeby je dostać, muszę się znaleźć na Latimerze. To wasza gwarancja.

– Chce pan również dostać się na Latimera? – Hand uniósł brwi. – Dwadzieścia milionów NZ i przejazd międzyplanetarny?

– Nie udawaj głupiego, Hand. Czego się spodziewałeś? Myślisz, że mam ochotę kręcić się po okolicy, aż Kemp i Kartel zdecydują w końcu, że czas negocjować, zamiast walczyć? Nie jestem aż tak cierpliwy.

– A więc... – Dyrektor Mandrake odłożył swoje pałeczki i oparł dłonie na stole. – Zobaczmy, czy wszystko dobrze rozumiem. Płacimy wam dwadzieścia milionów dolarów NZ, już. To nie podlega negocjacom.

Odpowiedziałem mu spojrzeniem, czekając.

– Mam rację?

– Nie martw się, przerwę, jeśli coś będzie nie tak.

Na jego usta znów na chwilę wypełził uśmiešek.

– Dziękuję. Następnie, po udanym zakończeniu projektu, zobowiązujemy się przesłać pana i prawdopodobnie pańskich współników transferem strunowym na Latimera. Czy to wszystkie pańskie żądania?

– Plus przelanie.

Spojrzał na mnie dziwnie. Prawdopodobnie nie był przyzwyczajony do tego, by negocjacje zmierzały w takim kierunku.

– Plus przelanie. Jakies szczegóły, które powinienem znać?

Wzruszyłem ramionami.

– Oczywiście, wybór powłoki, ale szczegóły możemy ustalić później. Nie muszą być na zamówienie. Raczej coś z górnego zakresu, ale towar z półki wystarczy.

– Och, to dobrze.

Poczułem wzbierający śmiech, łaskoczący mnie po wewnętrznej stronie brzucha. Pozwoliłem mu wypłynąć.

– Daj spokój, Hand. Robisz doskonały interes i dobrze o tym wiesz.

– Tak pan twierdzi. Ale to nie takie proste, poruczniku. Sprawdziliśmy rejestr artefaktów w Landfall za ostatnie pięć lat, i nie ma w nim śladu po niczym w rodzaju tego, co pan opisuje. – Rozłożył ręce. – Żadnych dowodów. Widzi pan, w jakiej jestem pozycji.

– Jasne, widzę. Za około dwie minuty stracisz największe archeologiczne znalezisko ostatnich pięciuset lat, a stanie się tak dlatego, że nie masz na jego temat nic w *archiwum*. Tak wygląda twoja pozycja, Hand, a ja zadaję się z niewłaściwymi ludźmi.

– Twierdzi pan, że znalezisko pozostało niezarejestrowane? Wbrew przepisom Karty?

– Twierdę, że to nie ma znaczenia. Twierdę, że to, co wam wysłaliśmy, wyglądało dostatecznie dobrze dla ciebie lub waszej SI, by w ciągu pół godziny wydać zgodę na uderzenie pełnego komanda miejskiego. Może pliki zostały wymazane, może były uszkodzone lub ktoś je ukradł. Czemu ja w ogóle o tym rozmawiam? Zamierzasz nam zapłacić, czy mam stąd odejść?

Cisza. Był dość dobry – nadal nie potrafiłem stwierdzić, w którą stronę się obróci. Od kiedy usiedliśmy, nie zdradził ani jednej szczerzej emocji. Czekałem. Odchylił się na oparcie krzesła i strzepnął z kłapy niewidoczny pyłek.

– Obawiam się, że będzie to wymagać pewnych konsultacji z moimi kolegami. Nie jestem uprawniony do podpisywania umów na taką skalę na podstawie tak małej ilości informacji. Samo uzyskanie zgody na transfer strunowy będzie...

– Bzdury. – Utrzymałem przyjazny ton. – Ale proszę bardzo. Konsultuj się. Mogę ci dać pół godziny.

– Pół godziny?

Strach – drobnuteńki przebłysk strachu w zwężonych kącikach oczu, ale był tam i poczułem, jak satysfakcja przepełnia moje wnętrze i próbuje wykrzywić mi twarz w uśmiechu, drapieżnym od prawie dwóch lat hamowanej wściekłości.

*Mam cię, sukinsynu.*

– Dokładnie. Trzydzieści minut. Zostanę na miejscu. Słyszałem, że mają tu pyszny sorbet z zielonej herbaty.

– Nie mówi pan poważnie.

Pozwoliłem, by w moim głosie zabrzmiała furia.

– Ależ skąd, jestem poważny. Ostrzegałem cię. Już raz mnie nie doceniłeś, Hand. Albo dasz mi odpowiedź w ciągu trzydziestu minut, albo wyjdę stąd i pójdę rozmawiać z kimś innym. Mogę nawet zostawić ci rachunek.

Potrząsnął głową w irytacji.

– I do kogo by pan poszedł?

– Sathakarn Yu? PKN? – machnąłem pałeczkami. – Kto wie? Ale nie martwiłbym się o to. Coś wymyślę. Ty będziesz dostatecznie zajęty, próbując wytłumaczyć swojej radzie nadzorczej, czemu pozwoliłeś, by ci to uciekło. Prawda?

Matthias Hand wciągnął powietrze i wstał. Wygrzebał skądś blady uśmiech i rzucił nim w moją stronę.

– Więc dobrze. Niedługo wrócę. Ale pan będzie musiał nauczyć się jeszcze trochę o sztuce negocjacji, poruczniku Kovacs.

– Być może. Jak już mówiłem, spędziłem sporo czasu na północy.

Przyglądałem się, jak odchodzi, klucząc między potencjalnymi kupcami na balkonie, i nie byłem w stanie powstrzymać lekkiego dreszczu. Jeśli mieli mi odciąć laserem twarz, to prawdopodobnie powinno to nastąpić teraz.

Mocno postawiłem na to, że Hand dostał od rady nadzorczej zgodę na robienie prawie wszystkiego, co zechce. Mandrake stanowiła w świecie komercji odpowiednik Klina Carrery, i należało założyć istnienie podobnego podejścia do swobody decyzji na poziomie dyrektorskim. Tak naprawdę tego rodzaju organizacja nie mogła działać inaczej.

*Nie spodziewaj się niczego, a będziesz na to gotowy.* Zgodnie ze standardami Korpusu, pozostałem na zewnątrz obojętny i na pozór rozluźniony, ale w głębi czułem, jak mój umysł tłucze się wokół szczegółów jak szczur w klatce.

Dwadzieścia milionów to nie było dużo jak na korporacyjne standardy, nie przy tak gwarantowanym zysku, jaki przedstawiłem Mandrake. I miałem nadzieję, że poprzedniej nocy posiałem dość chaosu, by nie mieli ochoty ryzykować kolejnej próby przejęcia towaru bez płacenia. Mocno naciskałem, ale wszystko było ustawione tak, by zmierzało w zaplanowanym kierunku. Z ich punktu widzenia miało sens nas spłacić.

*Prawda, Takeshi?*

Moja twarz zadrgała.

Jeśli moja, tak ceniona, intuicja Emisariusza się myliła, jeśli dyrektorzy Mandrake mieli smycze znacznie krótsze, niż myślałem, i jeśli Hand nie dostanie zielonego światła na współpracę, może po prostu mimo wszystko zdecydować się na próbę siłowego przejęcia. Zaczynając od mojej śmierci oraz ponownego upowłokowienia w konstrukcie do przesłuchań. A jeśli zapewne obecni na sali snajperzy Mandrake mnie zdejmą, Schneider i Wardani będą mogli co najwyżej uciec i dobrze się ukryć.

*Nie spodziewaj się niczego, a...*

A nie byliby w stanie długo się ukrywać. Nie przed kimś takim jak Hand.

*Nie...*

Coraz trudniej było uzyskać na Sanction IV spokój Emisariusza.

*Ta pieprzona wojna.*

I nagle Matthias Hand zjawił się z powrotem, przeciskając się przez tłum, z lekkim uśmiechem i decyzją wypisaną w sposobie, w jaki stawiał kroki, jakby reklamował ten towar. Nad jego głową, na tle obracającego się marsjańskiego pylonu, pomarańczowe cyfry zatrzymały się i przybrały barwę czerwieni. Koniec aukcji. Sto dwadzieścia siedem tysięcy dwadzieścia trzy spoa.

*Sprzedane.*

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dangrek.

Wybrzeże cofające się przed zimnym, szarym morzem, poznaczone erozją granitowe wzgórza, przybrane cienką warstwą niskiej roślinności i kilkoma łąkami lasu. Krajobraz starał się zrzucić ten strój, zmieniając go na porosty i gładką skałę, gdy tylko zdołał się wznieść dostatecznie wysoko. Niecałe dziesięć kilometrów w głąb lądu zaczynały wystawać kości ziemi, stercząc w spiętrzonych szczytach i turniach starożytnego pasma górskiego, stanowiącego kręgosłup Dangrek. Światło późnego popołudnia przebijało przez strzępy chmur schwytych przez kilka pozostałych krajobrazowi kłków, zmieniając morze w brudną rtęć.

Od oceanu nadeszła lekka bryza, dobroduszenie głaszcząc nasze twarze. Schneider zerknął na swoje ramiona, na których nie było śladu po gęsiej skórcie, i zmarszczył się. Miał na sobie Tshirt z Lapinee i żadnej kurtki.

– Powinno być zimniej – stwierdził.

– Powinno też tu być pełno strzępów martwych komandosów Klina, wiesz, Jan? – Przeszedłem obok niego do miejsca, w którym stał Matthias Hand, z rękami w kieszeniach garnituru na spotkania z radą nadzorczą, patrząc w niebo, jakby spodziewał się deszczu. – To z bazy danych, prawda? Zapisany konstrukt, bez aktualizacji w czasie rzeczywistym?

– Jeszcze bez. – Hand opuścił wzrok i odpowiedział na moje spojrzenie. – Właściwie to coś, co stworzyliśmy na podstawie projekcji wojskowej SI. Nie uruchamialiśmy jeszcze protokołów klimatycznych. Wciąż jest dość prymitywne, ale dla celów lokalizacyjnych...

Odwrócił się wyczekująco do Tanyi Wardani, która przyglądała się krajobrazowi z przeciwnej strony. Nie patrząc na nas, kiwnęła głową.

– To wystarczy – stwierdziła odległym głosem. – Przypuszczam, że WSI nie opuściła zbyt wiele.

– Zakładam więc, że będzie pani w stanie pokazać nam to, czego szukamy. – Długa, wymodelowana przerwa, a ja zacząłem się zastanawiać, czy przyspieszona terapia, którą zaaplikowałem Wardani, nie zacznie pękać w szwach. Pani archeolog odwróciła się.

– Tak. – Kolejna przerwa. – Oczywiście. Tędy.

Ruszyła na przelaj przez wzgórze przesadnie długimi krokami, z połamami płaszcza trzepoczącymi na wietrze. Wymieniłem spojrzenia z Handem, który wzruszył ramionami w swojej starannie skrojonej marynarce i jedną ręką wykonał elegancki gest „pan pierwszy”. Schneider zdążył już ruszyć, więc zostaliśmy z tyłu. Pozwoliłem Handowi iść przodem i z rozbawieniem patrzyłem, jak ślizga się po zboczu w swoich nieodpowiednich do sytuacji, eleganckich trzewikach.

Sto metrów przed nami Wardani znalazła wąską ścieżkę wydeptaną przez jakieś żywiące się trawą zwierzęta i schodziła nią w stronę wybrzeża. Bryza wciąż wiała po stoku, przeczesując wysoką trawę i zmuszając sztywne, pełne kwiaty dzikich róż to potakiwania w sennej zgodzie. Chmury nad naszymi głowami wyglądały, jakby pękały w szwach, przepuszczając spokojną szarość.

Miałem problemy z zauważeniem tego wszystkiego ostatnim razem, gdy byłem na Północnej Grani. Wzdłuż wybrzeża ten sam krajobraz rozciągał się na tysiąc kilometrów w obie strony, ale zapamiętałem go jako śliski od krwi i płynów hydraulicznych wyciekłych z wnętrzości zamordowanych maszyn bojowych. Pamiętałem surowe, granitowe rany wydarte we wzgórzach, rwaną szrapnelami i paloną trawę oraz dobiegające z nieba syczące dźwięki działek cząsteczkowych. Pamiętałem krzyki.

Pokonaliśmy ostatni rząd wzgórz przed brzegiem i stanęliśmy, patrząc w dół na linię brzegową

pełną skalistych cypli wbitych w morze jak tonące lotniskowce. Między tymi powykręcanyimi palcami ładu, w serii małych płytkich zatoczek światło odbijał błyszczący, turkusowy piach. Nieco dalej od brzegu powierzchnię wody przebijały małe wysepki i rafy, a wybrzeże zataczało łuk na wschód, gdzie...

Znieruchomiałem i wyteżyłem wzrok. Na wschodniej krawędzi długiego wybrzeża tkanka wirtualu jakby się rwała, ukazując plamkę szarej nieostrości, wyglądającej jak stalowa wełna. W nieregularnych odstępach z szarości przeświecał przytłumiony, czerwony blask.

– Hand, co to jest?

– To? – Spojrzał we wskazanym kierunku. – Ach, to. Szara strefa.

– To widzę. – Teraz również Wardani i Schneider wyteżyli wzrok, patrząc wzdłuż linii mego wyciągniętego ramienia. – Co to tam robi?

Jednak część mnie, która nurzała się niedawno w czerni i jaskrawej zieleni holomap i modeli geolokacyjnych Carrery, już budziła się do odpowiedzi. Czułem, jak wiedza przepływa kanalikami mojego umysłu niczym drobne kamyczki zwiastujące lawinę.

Tanya Wardani doszła do tego tuż przede mną.

– To Sauberville – powiedziała bezbarwnie. – Prawda? Hand miał dość przyzwoitości, by wyglądać na zakłopotanego.

– To prawda, madame Wardani. WSI interpoluje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że w ciągu dwóch tygodni Sauberville zostanie zniszczone uderzeniem taktycznym.

W powietrzu rozszedł się dziwny chłód. Spojrzenia, jakie Schneider i Wardani wymienili między sobą, odczułem jak prąd. Sauberville miało sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców.

– Jak zniszczone? – zapytałem.

Hand wzruszył ramionami.

– Zależy od tego, kto to zrobi. Jeśli to Kartel, prawdopodobnie użyją jednego z dział orbitalnych. Stosunkowo czyste, więc nie będzie to przeszkadzać twoim kolegom z Klina, jeśli uda im się przebić tak daleko. Jeśli zrobi to Kemp, nie będzie tak subtelny ani czysty.

– Głowica taktyczna – powiedział Schneider płasko. – Wystrzelona w pocisku samonaprowadzającym.

– Cóż, tym właśnie dysponuje. – Hand znów wzruszył ramionami. – I szczerze mówiąc, jeśli będzie musiał to zrobić, i tak nie będzie chciał czystej eksplozji. Będzie się wycofywał, próbując zostawić cały półwysep tak skażony, żeby Kartel nie mógł go okupować.

Kiwnąłem głową.

– Tak, to ma sens. To samo zrobił w Evenfall.

– Popieprzony sukinsyn – rzucił Schneider.

Tanya Wardani nic nie powiedziała, ale wyglądała, jakby usiłowała pozbyć się kawałka jedzenia, które utkwilo jej w gardle.

– No tak. – Ton Handa się zmienił; brzmiała w nim teraz wymuszona rzeźkość. – Madame Wardani, jak rozumiem, miała pani nam coś pokazać.

Wardani się odwróciła.

– W dole na plaży – stwierdziła.

Ścieżka, którą podążaliśmy, wiła się wokół jednej z zatok i kończyła przy niewielkim nawisie, który zawalił się w stożek potrzaskanych skał, zsypujących się na bladobłękitny piach. Wardani zgrabnie zeskoczyła w dół i pomaszerowała przez plażę do miejsca, gdzie skały robiły się większe, a klif górował na wysokości pięciokrotnie wyższej niż jej głowa. Ruszyłem za nią, skanując

wznoszący się za nami łąd z profesjonalnym niepokojem. Powierzchnia skał kurczyła się w górę, tworząc długą płytką alkową o pitagorejskim kształcie i powierzchni mniej więcej porównywalnej z pokładem szpitalnym, na którym spotkałem Schneidera. Większość przestrzeni wypełniona była potężnymi skałami, które zleciały z góry, i mniejszymi kawałkami kamieni.

Zebraliśmy się wokół nieruchomej Tanyi Wardani. Stała twarzą do zwałonych skał jak zwiadowca plutonu na warcie.

– To tutaj. – Kiwnęła głową przed siebie. – Tutaj to zakopaliśmy.

– Zakopaliście? – Matthias Hand rozejrzał się z wyrazem twarzy, który w innych okolicznościach mógłby być komiczny. – Co to znaczy, że zakopaliście?

Schneider wskazał na zwałone kamienie i gładką skałę pod spodem.

– Popatrz uważnie, stary. A jak ci się wydaje?

– Wyszadziliście to w powietrze?

– Ładunki w wywierconych otworach. – Schneider najwyraźniej dobrze się bawił. – Głębokich na dwa metry. Trzeba było widzieć, jak wybuchało.

– Wy... – Hand wypluwał słowa, jakby były mu zupełnie nieznane. – Wyszadziliście... artefakt?

– Och, na miłość boską, Hand. – Wardani patrzyła na niego z nieukrywaną irytacją. – Jak ci się wydaje, gdzie znaleźliśmy tę cholerną rzecz? Pięćdziesiąt tysięcy lat temu zwałił się na to cały ten pieprzony klif, a kiedy to wykopaliśmy, wciąż działała. To nie jakiś kawałek porcelany. Mówimy o hipertecnice. Zbudowane, by trwać.

– Mam nadzieję, że się nie mylicie. – Hand podszedł do skraju sterty kamieni, zaglądając między większymi szczelinami. – Ponieważ Mandrake nie zapłaci wam za uszkodzone towary.

– Co spowodowało zwałenie się skał? – zapytałem zniechęcony.

Schneider odwrócił się z uśmiechem.

– Mówiłem ci, stary. Ładunki...

– Nie. – Patrzyłem na Tanyę Wardani. – Pierwotnie. To jedne z najstarszych skał na planecie. Na Grani nie było żadnej poważnej aktywności sejsmicznej przez znacznie dłużej niż pięćdziesiąt tysięcy lat. A morze absolutnie nie miało szans dostać się tak wysoko, ponieważ oznaczałoby to, że plaża powstała na skutek zarwania, co umieściłoby oryginalną konstrukcję pod wodą, a czemu Marsjanie mieliby to robić. Więc co się tu stało pięćdziesiąt tysięcy lat temu?

– Tak, Tanya – Schneider potakiwał energicznie. – Nigdy nie udało ci się tego ustalić, prawda? To znaczy, rozmawialiśmy o tym, ale...

– To celna uwaga. – Matthias Hand przerwał swoją eksplorację i wrócił do nas. – Jakie wytłumaczenie może nam pani zaoferować, madame Wardani?

Przyjrzała się nam i wybuchnęła śmiechem.

– Zapewniam was, że ja tego nie zrobiłam.

Zauważyłem konfigurację, którą podświadomie wokół niej przybraliśmy, i przerwałem ją, oddalając się trochę i siadając na płaskim kawałku skały.

– Jasne, to było trochę za wcześnie, zgadzam się. Ale kopałaś tu przez całe miesiące. Musisz mieć jakieś pomysły.

– Właśnie, Tanya, powiedz im o tej sprawie z wyciekami – wtrącił się Jan.

– Wyciekami? – z powątpiewaniem zapytał Hand.

Wardani rzuciła Schneiderowi poirytowane spojrzenie. Znalazła sobie skałę do siedzenia i z kieszeni płaszczka, wyglądającego niemal idealnie jak ten, który dziś kupiłem, wyciągnęła papierosy. Landfall lighty, chyba najlepsze, jakie można było kupić za pieniądze od czasu zakazu dla cygar z Indigo City. Wystukała jednego z paczki i zaczęła kręcić nim w palcach, marszcząc czoło.

– Słuchajcie – odezwała się w końcu. – Ta brama tak bardzo wyprzedza wszelką naszą technikę, jak łódź podwodna canoe. Wiemy, jakie spełniała funkcje, a przynajmniej jedną. Niestety, nie mamy zielonego pojęcia, w jaki sposób to robiła. Ja tylko zgaduję.

Kiedy nikt się nie odezwał, żeby zaprzeczyć jej słowom, uniosła wzrok znad papierosa i westchnęła.

– Dobra. Jak długo trwa przeciętna transmisja strunowa? Mówię o przesyle wielu PMC. Trzydzieści sekund, mniej więcej? Minuta jako absolutne maksimum? A otwarcie i utrzymanie transmisji strunowej wymaga pełnej mocy naszych najlepszych reaktorów. – Umieściła papierosa w ustach i przystawiła koniec do łatki zapalającej z boku paczki. Dym popłynął wstęgą na wietrze. – Teraz tak. Kiedy ostatnim razem otworzyliśmy bramę, mogliśmy przez nią patrzeć na drugą stronę. Mówię o stabilnym obrazie, szerokim na kilka metrów, utrzymywanym nieustannie. W terminach transferu strunowego to nieskończona stabilna transmisja danych zawartych w tym obrazie, z emisją fotonów z każdej gwiazdy w polu widzenia i koordynatami przez nią zajmowanymi, aktualizowana sekunda po sekundzie w czasie rzeczywistym, tak długo, jak długo działa brama. W naszym przypadku było to kilka dni. Około czterdziestu godzin, co daje dwa tysiące czterysta minut. Dwa i pół tysiąca razy tyle, ile może trwać nasz najdłuższy transfer. I nie było żadnego śladu świadczącego, że brama działała kiedyś na innych zasadach. Zaczynacie łapać?

– Dużo energii – niecierpliwie stwierdził Hand. – Więc co z tym wyciekiem?

– No cóż, usiłuję sobie wyobrazić, jak wyglądałaby drobna awaria w tego rodzaju systemie. Jeśli dowolną transmisję będzie się prowadziło dostatecznie długo, w końcu trafi się na interferencję. To w chaotycznym kosmosie nieunikniony pewnik. Wiemy, że dzieje się tak z transmisjami radiowymi, ale dotąd nic takiego nie zdarzyło się z transmisją strunową.

– Może wynikać to z tego, że w hiperprzestrzeni nie ma interferencji, madame Wardani. Dokładnie tak, jak piszą w podręcznikach.

– Tak, możliwe. – Wardani, wyraźnie nieporuszona uwagą Handa, wypuściła z ust dym. – A może to dlatego, że jak dotąd mieliśmy szczęście. Statystycznie, nie byłoby to takie dziwne. Robimy to dopiero niecałe pięćset lat, przy przeciętnym czasie transmisji rzędu kilku sekund, więc w sumie nie było tego wiele. Ale jeśli Marsjanie na co dzień używali tego rodzaju bram, ich czas ekspozycji był znacznie dłuższy niż nasz, a przy cywilizacji z tysiącletnią techniką strunową można się spodziewać okazjonalnych awarii. Problem polega na tym, że impuls przechodzący przez tę bramę mógłby mieć dość energii, by rozwalić na przestrzał skorupę planety.

– Ups.

Pani archeolog rzuciła mi spojrzenie niewiele mniej lekceważące niż wcześniejsza chmura dymu wypuszczona na zaprezentowaną przez Handa i zatwierdzoną przez Protektorat szkolną fizykę.

– Dokładnie – stwierdziła kwaśno. – Ups. Oczywiście, Marsjanie nie byli głupi. Jeśli ich technika była podatna na tego rodzaju rzeczy, musieli wbudować bezpiecznik. Coś jak przerywacz obwodu.

Kiwnąłem głową.

– Więc brama zamyka się automatycznie przy wzroście...

– I zakopuje się pod pięciuset tysiącami ton urwiska? Wydaje mi się to nieco przesadnym zabezpieczeniem, jeśli wolno mi się wtrącić, madame Wardani.

Machnęła ręką, poirytowana.

– Nie twierdzę, że miało się tak stać. Ale jeśli napływ energii był dostatecznie duży, przerywacz mógł nie zadziałać dostatecznie szybko, żeby to wszystko wytłumić.

– Lub – swobodnie wtrącił Schneider – bramę mógł po prostu zasypać mikrometeoryt. To moja



teoria. W końcu ta rzecz była otwarta na głęboki kosmos. Nie sposób przewidzieć, co może przez nią przelecieć, jeśli będzie dostatecznie długo otwarta, prawda?

– Już to omawialiśmy, Jan. – Wardani wciąż była poirytowana, ale miała chyba już dość wielogodzinnych dyskusji. – To nie jest...

– Właśnie, że jest to możliwe.

– Tak. Po prostu jest to bardzo *mało prawdopodobne*. – Odwróciła się od Schneidera w moją stronę. – Nie można mieć pewności. Wiele glifów widziałam po raz pierwszy, i trudno się je czytało, ale jestem prawie pewna, że w układ wbudowany jest hamulec mocy. Nie przejdzie przez nią nic powyżej pewnej prędkości.

– Nie wiesz tego na pewno – Schneider się dąsał. – Sama powiedziałaś, że nie mogłabyś...

– Tak, ale to ma *sens*, Jan. Nie buduje się drzwi w otwarty kosmos bez jakiegoś rodzaju zabezpieczeń przed śmieciami, które można tam znaleźć.

– Och, daj spokój, Tanya, a co powiesz na...

– Poruczniku Kovacs – głośno wtrącił się Hand. – Może mógłby pan zejść ze mną na brzeg? Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym usłyszeć opinię na temat okolicy z perspektywy żołnierza.

– Jasne.

Zostawiliśmy Wardani i Schneidera sprzeczekających się między skałami i ruszyliśmy przez połąkę błękitnego piachu z prędkością podyktowaną możliwościami eleganckich trzewików Handa. Początkowo żaden z nas nie miał nic do powiedzenia, a jedynymi dźwiękami było skrzypienie piasku pod stopami i szum fal zamierających na brzegu. Nagle Hand się odezwał.

– Niezwykła kobieta.

Burknąłem pod nosem.

– Wie pan, przeżyła rządowy obóz dla internowanych z bardzo małą ilością ewidentnych blizn. Musiało to wymagać olbrzymiego wysiłku woli. A teraz ma przed sobą operację sekwencjonowania technoglifów...

– Poradzi sobie – stwierdziłem lakonicznie.

– Tak, jestem pewien, że tak. – Lekka pauza. – Rozumiem, czemu Schneider tak się do niej zapalił.

– Myślę, że to się już skończyło.

– Doprawdy?

W jego głosie zabrzmiało delikatne rozbawienie. Zerknąłem na niego, ale twarz miał bez wyrazu i patrzył gdzieś w głąb morza.

– Co z tą wojskową perspektywą, Hand?

– Och, tak. – Dyrektor Mandrake zatrzymał się kilka kroków od lekkich wybrzuszeń na wodzie, które na Sanction IV udawały fale, i się odwrócił. Wskazał na wznoszący się za nami teren.

– Nie jestem żołnierzem, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że nie jest to idealny teren do walki.

– Masz całkowitą rację. – Przeskanowałem plażę od końca do końca, bezskutecznie rozglądając się za czymś, co mogłoby poprawić mi nastrój. – Jak tylko tu wylądujemy, będziemy stanowić siedzący cel dla każdego na wyżynie, wystarczy że będzie uzbrojony w coś więcej niż zaostrzony kołek. To otwarte pole ostrzału aż do podnóża gór.

– A do tego dochodzi morze.

– A do tego dochodzi morze – powtórzyłem ponuro. – Jesteśmy otwarci na ostrzał każdego, kto będzie w stanie zebrać grupę szturmową. Cokolwiek mamy tu zrobić, potrzebowalibyśmy małej armii

do osłony. Chyba że możemy to zrobić szybko. Przylatujemy, robimy zdjęcia, odlatujemy.

– Hmm. – Matthias Hand przykucnął i w zamyśleniu wpatrzył się w fale. – Rozmawiałem z prawnikami.

– Zdezynfekowałaś się potem?

– Według Karty Inkorporacyjnej, prawo własności dowolnego artefaktu w przestrzeni pozaorbitalnej można uznać za prawomocne tylko wtedy, jeśli w odległości mniejszej niż kilometr od rzeczoności obiektu umieści się boję roszczeniową. Żadnych furtek, szukaliśmy. Jeśli po drugiej stronie tej bramy jest statek międzygwiazdny, musimy tam przejść i go oznaczyć. A z tego, co mówi madame Wardani, może to zająć trochę czasu.

Wzruszyłem ramionami.

– W takim razie mała armia.

– Mała armia przyciągnie dużo uwagi. Będzie rzucać się w oczy na zdjęciach satelitarnych jak klatka piersiowa holodziwki. A na to raczej nie możemy sobie pozwolić, prawda?

– Klatka piersiowa holodziwki? No nie wiem, chirurgia plastyczna nie może być aż tak kosztowna.

Hand przechylił głowę, przyglądając mi się przez chwilę, potem wbrew sobie zachichotał.

– Bardzo śmieszne. Nie możemy sobie pozwolić, żeby oznaczyły nas satelity, prawda?

– Nie, jeśli chcesz mieć wyłączność.

– Myślę, poruczniku, że to rozumie się samo przez się. – Hand sięgnął w dół i palcami zaczął rysować wzory na piasku. – Więc tak. Musimy tu wejść małą grupą i to po cichu, nie robiąc hałasu. Co z kolei oznacza, że cały obszar musi zostać oczyszczony z personelu operacyjnego na czas waszej wizyty.

– Tak, jeśli chcemy wyjść z tego cało.

– Tak. – Nieoczekiwanie Hand przechylił się do tyłu na obcasach i wylądował w pozycji siedzącej na piasku. Oparł przedramiona na kolanach i wyglądał, jakby zapatrzył się w horyzont. W ciemnym garniturze i z białym kołnierzykiem wyglądał jak szkic w wykonaniu przedstawiciela szkoły absurdystów z Millsport.

– Niech mi pan powie, poruczniku – odezwał się w końcu. – Zakładając, że możemy oczyścić półwysep, jaka, według pańskiej profesjonalnej opinii, byłaby dolna granica liczebności grupy wspomagającej to przedsięwzięcie? Ilu będzie nam potrzeba?

Zastanowiłem się nad tym.

– Jeśli będą dobrzy... Siły specjalne, nie jacyś prymitywni poborowi... Powiedzmy sześciu. Pięciu, jeśli wykorzystać Schneidera jako pilota.

– Cóż, nie wywarł na mnie wrażenia kogoś, kogo można by zostawić w domu, w czasie gdy będziemy się zajmować jego inwestycją.

– Nie.

– Mówi pan „siły specjalne”. Ma pan na myśli jakieś szczególne umiejętności?

– Raczej nie. Może materiały wybuchowe. Ten zwał wygląda dość solidnie. I nie zaszkodziłoby, gdyby kilku z nich potrafiło prowadzić prom, po prostu na wypadek, gdyby Schneiderowi coś się przytrafiło.

Hand obrócił głowę i spojrzał na mnie.

– Czy to prawdopodobne?

– Kto wie? – Wzruszyłem ramionami. – Świat jest pełen niebezpieczeństw.

– Rzeczywiście. – Hand wrócił do przyglądania się miejscu, gdzie morze docierało do szarości nierozstrzygniętego losu Sauberville. – Zakładam, że sam pan będzie chciał prowadzić rekrutację.

– Nie, wy możecie to zrobić. Ale chcę brać w tym udział i mieć prawo weta wobec wybranych przez was ludzi. Masz jakiś pomysł, skąd wziąć pół tuzina ochotników o odpowiednich kwalifikacjach? I to bez wzbudzania podejrzeń?

Przez chwilę miałem wrażenie, że mnie nie usłyszał. Wyglądało, jakby horyzont pochłaniał jego duszę i ciało. Potem przesunął się lekko, a w kącikach jego ust zagościł uśmiech.

– W tych niespokojnych czasach – powiedział cicho, prawie do siebie – nie powinno być problemu ze znalezieniem żołnierzy, za którymi nikt nie będzie tęsknił.

– Miło mi to słyszeć.

Znów spojrzał w górę, na jego ustach wciąż widać było ślady uśmiechu.

– Czy to pana obraża, Kovacs?

– Myślisz, że byłbym porucznikiem w Klinie Carrery, gdybym dawał się tak łatwo obrazić?

– Nie wiem. – Hand znów spojrzał w morze. – Jak dotąd okazał się pan pełen niespodzianek. A z tego co wiem, Emisariusze są dość dobrzy w kamuflażu adaptacyjnym.

Więc.

Niecałe dwa dni od spotkania w domu aukcyjnym, a Hand już zdołał spenetrować bazę danych Klina i przejrzeć przykrywkę, jaką Carrera osłonił moją emisariuszowską przeszłość. Po prostu sygnalizował mi, że wie.

Opuściłem się na niebieskawy piasek obok niego i wybrałem własny punkt na horyzoncie, żeby się w niego wpatrywać.

– Nie jestem już Emisariuszem.

– Nie. O ile wiem. – Nie patrzył na mnie. – Już nie Emisariusz, już nie Klin Carrery. To odrzucanie przynależności grupowej balansuje na granicy patologii, poruczniku.

– Nie ma w tym żadnego balansowania.

– Ach. Widzę wyłaniające się dowody na potwierdzenie pańskich korzeni na Świecie Harlana. *Podstawowe zło skupionej ludzkości*, czy nie tak to nazwała Quell?

– Nie jestem quellistą, Hand.

– Oczywiście, że nie. – Dyrektor Mandrake chyba dobrze się bawił. – To z konieczności wiązałoby się z uczestnictwem w grupie. Powiedz mi, Kovacs, czy ty mnie nienawidzisz?

– Jeszcze nie.

– Naprawdę? Zaskakujesz mnie.

– Cóż, jestem pełen niespodzianek.

– I zupełnie szczerze nie czujesz do mnie urazy po tym małym spotkaniu z Dengiem i jego ekipą? Znów wzruszyłem ramionami.

– To oni nabawili się dodatkowych otworów wentylacyjnych.

– Ale to ja ich wysłałem.

– Co tylko dowodzi braku wyobraźni. – Westchnąłem. – Słuchaj, Hand. Wiedziałem, że ktoś w Mandrake wyśle ekipę, ponieważ tak właśnie działają organizacje takie jak twoja. Oferta, którą wam wysłał, praktycznie stanowiła zaproszenie, żeby przyjść i nas zgarnąć. Moglibyśmy być ostrożniejsi, spróbować mniej bezpośredniego podejścia, ale nie mieliśmy czasu. Więc pomachałem mulecą przed nosem byka, a efektem była walka. Nienawidzenie cię za to przypominałoby nienawidzenie kostek pięści goryla, którego ciosu uniknąłem. Moje metody spełniły swoje zadanie i proszę, oto jesteśmy. Osobiście cię nie nienawidzę, ponieważ nie dałeś mi jeszcze ku temu powodu.

– Ale nienawidzisz Mandrake.

Potrząsnąłem głową.

– Nie mam dość energii, by nienawidzić korporacji, Hand. Od czego miałbym zacząć? I, jak

mawiała Quell, *wydrzyj zgnię serce korporacji, a co wyleci na zewnątrz?*

– Ludzie.

– Racja. Ludzie. Wszystko to ludzie. Ludzie i ich głupie, pieprzone grupy. Pokaż mi indywidualnego decydenta, którego ręka mnie skrzywdziła, a stopię jego stos na żużel. Pokaż mi grupę zjednoczoną w celu skrzywdzenia mnie, a zabiję ich wszystkich, jeśli zdołam. Ale nie oczekuj, że będę tracił czas i siły na abstrakcyjną nienawiść.

– Jakież to rozważne.

– Twój rząd nazwałby to antysocjalnym obłędem i wsadził mnie za to do obozu.

Hand zacisnął wargi.

– Nie mój rząd. My tylko niańczymy tych klaunów do czasu, aż Kemp się uspokoi.

– Po co? Nie możecie dogadać się bezpośrednio z Kempem?

Nie patrzyłem, ale odniosłem wrażenie, że gdy to mówiłem, jego spojrzenie uciekło w bok. Chwilę trwało, zanim udało mu się sformułować odpowiedź, która go satysfakcjonowała.

– Kemp to krzyżowiec – stwierdził w końcu. – Otoczył się ludźmi podobnymi sobie. A krzyżowcy zasadniczo nie mają zdrowego rozsądku, o ile ktoś im go nie wbije do głowy. Kempieści muszą zostać pokonani, krwawo i z hukiem, zanim będzie można posadzić ich przy stole negocjacyjnym.

Wyszczrzyłem się w uśmiechu.

– A więc już próbowaliście?

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Oczywiście, nie powiedziałeś. – Znalazłem w piasku fiołkowy kamień i rzuciłem nim w leniwe zmarszczki na wodzie. Czas na zmianę tematu. – Nie powiedziałeś także, gdzie zamierzasz zebrać naszą eskortę.

– Nie zgadniesz?

– Targi dusz?

– Masz z tym jakiś problem?

Potrząsałem głową, ale coś we mnie rozdmuchało chęć izolacji jak rozżarzone węgle.

– A przy okazji. – Hand wykręcił się, by spojrzeć z powrotem na zwałone skały. – Mam alternatywne wyjaśnienie powodu zwałenia się tego urwiska.

– Jak rozumiem, nie kupiłeś tego mikrometeorytu?

– Jestem skłonny wierzyć w teorię madame Wardani odnośnie hamulca prędkościowego. To ma sens. Podobnie jak teoria przerywacza obwodu, do pewnego stopnia.

– To znaczy?

– Że gdyby rasa tak zaawansowana jak Marsjanie zbudowała obwód przerywany, to zadziałałby właściwie. Niczego by nie przepuścił.

– Zgadza się.

– Więc nadal mamy problem. Dlaczego pięćdziesiąt tysięcy lat temu zwało się to zbcze? A może, czemu zostało zwałone?

Rozejrzałem się wokoło za kolejnym kamieniem.

– Tak, też się nad tym zastanawiałem.

– Otwarte drzwi do dowolnego zestawu współrzędnych na dystansie międzyplanetarnym, możliwe nawet, że międzygwiazdowym. To niebezpieczne, ideowo i faktycznie. Nie da się przewidzieć, co może przejść przez tego rodzaju drzwi. Duchy, obcy, potwory z kłami półmetrowej długości... – rzucił mi ukośne spojrzenie. – Nawet quelliści.

Gdzieś za sobą namacałem drugi, większy kamień.

– To rzeczywiście byłoby straszne – zgodziłem się, wrzucając swoje znalezisko do morza. – Koniec cywilizacji takiej, jaką znamy.

– Dokładnie. Coś, o czym Marsjanie bez wątpienia również pomyśleli i co uwzględnili. Można założyć, że oprócz hamulca energetycznego i przerywacza obwodu prawdopodobnie zamontowałyby system zapobiegający przypadkowym wizytom potworów z kłami półmetrowej długości.

Hand wydobył skądś własny kamień i posłał go nad wodę. Jak na rzut z pozycji siedzącej naprawdę nieźle mu poszło, ale i tak kamień upadł trochę przed falami wywołanymi przez mój pocisk. Neurochem na zamówienie Klina – trudno to przebić. Hand cmoknął z rozczarowaniem.

– To dopiero system zapobiegawczy – stwierdziłem. – Zakopać swoją bramę pod pół milionem ton kamiennego urwiska.

– Tak. – Wciąż wpatrywał się w miejsce, w którym wylądował jego kamień, przyglądając się, jak fale łączą się z moimi. – Człowiek zaczyna się zastanawiać, co próbowali zablokować, prawda?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Lubisz go, prawda?

Było to oskarżenie, wypowiedziane z twarzą wzniesioną w górę, w słabej poświacie wytartego iluminowego baru. Wokół brzęczała irytująco słodka muzyka, dochodząca z głośników umieszczonych zdecydowanie zbyt nisko nad naszymi głowami. Przycupnięty przy moim łokciu, niczym duży uśpiony żuk, szyfrator rezonansowy przestrzeni osobistej, których noszenie przez cały czas wymogła na nas Mandrake, świecił zielonym okiem aktywności, ale najwyraźniej nie potrafił ekranować hałasu z zewnątrz. Szkoda.

– Kogo lubię? – zapytałem, odwracając się do Wardani.

– Nie udawaj durnia, Kovacs. Tę śliską bryłę zużytego smaru w garniturze. Ty się z nim, cholera, zaprzyjaźniasz.

Poczułem, jak kącik moich ust drga w rozbawieniu. Jeśli archeologiczne wykłady Tanyi Wardani wywarły w trakcie ich poprzedniego związku jakiś wpływ na sposób mówienia Schneidera, wyglądało na to, że pilot oddał przynajmniej tyle, co dostał.

– To nasz sponsor, Wardani. Co chciałabyś, żebym robił? Pluł na niego co dziesięć minut, żeby mu przypomnieć, o ile jesteśmy wyżsi moralnie? – Postukałem znacząco w umieszczone na ramieniu mojego munduru oznaki rangi. – Jestem płatnym mordercą, Schneider dezserterem, a ty, niezależnie od swoich grzechów, jesteś naznaczona wraz z nami sprzedażą największego znaleziska archeologicznego tysiąclecia za bilet poza planetę i dożywotnią przepustkę do wszystkich miejsc rozrywki elity rządzącej w Latimer City.

Wzdrygnęła się.

– Próbował nas zamordować.

– Cóż, biorąc pod uwagę wynik, jestem skłonny mu to wybaczyć. To banda zbirów Denga powinna czuć się wydymana.

Schneider roześmiał się, a potem umilkł, gdy Wardani posłała mu lodowate spojrzenie.

– Tak, to prawda. Wysłał tych ludzi na śmierć, a teraz ubija interes z człowiekiem, który ich pozabijał. To kawał gówna.

– Jeśli najgorszy grzech Handa polegał będzie na wysłaniu ośmiu ludzi na śmierć – oświadczyłem ostrzej, niż planowałem – to jest znacznie czystszy ode mnie. Albo jakiegokolwiek spotkanego ostatnio przeze mnie oficera.

– Widzisz? Bronisz go. Wykorzystujesz własną nienawiść do siebie, by pozwolić mu wyśliznąć się poza zakres i oszczędzić sobie oceny moralnej.

Popatrzyłem na nią twardo, potem osuszyłem szklaneczkę i odstawiłem ją z przesadną ostrożnością.

– Biorę pod uwagę – powiedziałem płasko – że niedawno przez wiele przeszłaś, Wardani. Dlatego daję ci trochę luzu. Ale nie jesteś ekspertem od wnętrza mojej głowy, więc wolałbym, żebyś zatrzymała dla siebie te pieprzone bzdury na poziomie psychochirurga-amatora. Dobra?

Zacisnęła usta w wąską linię.

– Pozostaje faktem...

– Kochani – Schneider nachylił się przed Wardani z butelką rumu i napełnił moją szklaneczkę. – Kochani, mieliśmy świętować. Jeśli chcecie walczyć, jedźcie na północ, tam jest to znacznie bardziej popularne. Tu i teraz świętuję fakt, że nigdy więcej nie będę musiał walczyć, a wy dwoje psujecie mi zabawę. Tanya, czemu nie...

Spróbował napełnić szklanekę Wardani, ale odsunęła szyjkę butelki krawędzią dłoni. Patrzyła na

niego z pogardą, od której aż się skrzywiłem.

– To wszystko, co się dla ciebie liczy, Jan, prawda? – powiedziała niskim głosem. – Wyśliznąć się stąd z grubym kredytem. Szybka, prosta i łatwa droga do basenowej egzystencji na szczycie. Co się z tobą stało, Jan? Zawsze byłeś płytki, ale...

Wykonała bezradny gest.

– Dzięki, Tanya. – Schneider zrezygnował ze swoich prób, a kiedy znów mogłem zobaczyć jego twarz, uśmiechał się promiennie. – Masz rację, nie powinienem być tak samolubny. Powinienem trochę dłużej zostać z Kempem. A w końcu, cóż złego może się zdarzyć?

– Nie bądź dziecinny.

– Ależ skąd. Teraz znacznie lepiej to wszystko rozumiem. Takeshi, chodź, idziemy powiedzieć Handowi, że zmieniliśmy zdanie. Chodźmy wszyscy walczyć, to przecież znacznie *ważniejsze*. – Wskazał palcem Wardani. – I ty. Możesz wrócić do obozu, z którego cię wyciągnęliśmy, bo nie chciałbym, żeby ominęło cię coś z tego wzniosłego cierpienia.

– Wyciągnęłaś mnie z obozu, bo byłem ci potrzebna, Jan, więc nie udawaj, że było inaczej.

Otwarta dłoń Schneidera zdążyła już nabrać niezłego rozpędu, zanim uświadomiłem sobie, że zamierza ją uderzyć. Dzięki wspomaganym neurochemią reakcjom znalazłem się tam na czas, by zablokować uderzenie, ale żeby tego dokonać, musiałem rzucić się tuż przed Wardani, i przy okazji ramieniem strąciłem ją ze stołka. Usłyszałem, jak krzyknęła, uderzając w podłogę. Jej drink wywrócił się, rozlewając po całym barze.

– Dość – z naciskiem powiedziałem do Schneidera. Ramieniem przyciskałem jego ramię do baru, a drugą dłoń, zaciśniętą w pięść, uniosłem w okolice ucha. Twarz miałem dostatecznie blisko, by dostrzec ślady łez w jego oczach. – Wydawało mi się, że nie chcesz już walczyć.

– Jasne – bąknął przyduszonym głosem. Odchrząknął. – Jasne, masz rację.

Poczułem, jak się rozluźnia, i odblokowałem mu ramię. Odwracając się, zobaczyłem, że Tanya Wardani podnosi się z podłogi. W głębi sali kilku gości zajmujących miejsca przy barze podniosło się z krzeseł i przyglądało nam niepewnie. Popatrzyłem na nich, więc czym prędzej usiedli. Napakowany wspomaganiami taktycznymi marine w jednym z rogów wytrzymał trochę dłużej niż reszta, ale w końcu i on usiadł, nie mając ochoty zadzierać z mundurem Klina. Za sobą bardziej usłyszałem, niż zobaczyłem, jak barman wyciera rozlanego drinka. Oparłem się na świeżo osuszonej powierzchni.

– Myślę, że lepiej będzie, jak się trochę uspokoiimy, dobrze?

– Może być. – Tanya postawiła stołek z powrotem na miejsce. – To ty mnie wywróciłeś. Ty i twój partner od zapasów.

Schneider złapał butelkę i nalał sobie kolejną porcję. Wychylił ją i wskazał na Wardani pustą szklaneczką.

– Chcesz wiedzieć, Tanya, co się ze mną działo? Naprawdę...

– Mam wrażenie, że zamierzasz mi to powiedzieć.

– ...chcesz wiedzieć? Musiałem przyglądać się sześciolatce ginącej od pieprzonego szrapnela. Sam ją tak załatwiłem, ponieważ schowała się w zautomatyzowanym bunkrze, do którego wrzuciłem pieprzone granaty. – Zamrugnął i wlał do szkła więcej rumu. – I nie zamierzam już, kurwa, nigdy więcej patrzeć na coś takiego. Wynoszę się stąd, niezależnie od kosztów. Niezależnie od tego, jak płytki jestem w twoich oczach. Dla twojej pieprzonej informacji.

Przez kilka sekund wodził wzrokiem między nami, jakby nie umiał sobie przypomnieć, które z nas jest które. Potem wstał ze stołka, chwiejnie podszedł do drzwi i wyszedł. Jego ostatni drink stał nietknięty w słabej poświacie barowego blatu.

– O cholera – rzuciła Wardani w ciszy, którą zostawił razem z drinkiem. Zajrzała do własnej pustej szklanki, jakby miała nadzieję znaleźć na dnie wąż awaryjny.

– Tak. – Nie miałem zamiaru jej pomagać.

– Myślisz, że powinnam pójść za nim?

– Raczej nie.

Odstawiła szklankę i zaczęła szukać papierosów. Wyciągnęła paczkę landfall lightów, które zauważyłem w wirtualu, i wzięła jednego.

– Nie chciałam..

– Przypuszczam, że nie chciałaś. Tak samo jak on, co zrozumie, kiedy już wytrzeźwieje. Nie przejmuj się tym. Prawdopodobnie nosił w sobie to wspomnienie od chwili, kiedy się to zdarzyło. Ty po prostu podałaś mu dość katalizatora, by mógł to z siebie wyrzucić. Przypuszczam, że tak będzie lepiej.

Wciągając powietrze, rozżarzyła papierosa i kątem oka rzuciła mi spojrzenie przez dym.

– Nic z tego już cię nie dotyka? – zapytała. – Ile trzeba czasu, żeby stać się kimś takim?

– Podziękuj Emisariuszom. To ich specjalność. Jak długo, to pytanie pozbawione znaczenia. To system. Inżynieria psychodynamiczna.

Sięgnąłem po butelkę i napełniłem szklaneczki. Nie próbowała mnie zatrzymać.

– Kiedy byłem młodszy, nie dbałem o to. Prawdę mówiąc, myślałem, że to wspaniałe. Testosteronowe marzenie. Widzisz, zanim zostałem Emisariuszem, służyłem w regularnych siłach zbrojnych i używałem sporo oprogramowania wspomagającego z implantów bojowych. To po prostu zdawało się być wersją super. Pełna zbroja dla duszy. A zanim stałem się dostatecznie dojrzały, by myśleć inaczej, warunkowanie już we mnie tkwiło.

– Nie możesz go pokonać?

Wzruszyłem ramionami.

– Zwykle wcale nie chcę. Na tym polega dobre warunkowanie. A to produkt najwyższej klasy. Z nim działałam lepiej. Walka to ciężka praca. Skąd wzięłaś te papierosy?

– Te? – nieobecny spojrzeniem przejechała po paczce. – Och, chyba od Jana. Tak, to on mi je dał.

– To miło z jego strony.

Jeśli usłyszała sarkazm w moim głosie, nie zareagowała.

– Chcesz jednego?

– Czemu nie? W obecnej sytuacji prawdopodobnie niedługo nie będę już potrzebował tej powłoki.

– Naprawdę myślisz, że dotrzemy aż do Latimer City? – Przyglądała się, jak wytrząsam sobie papierosa z paczki i zapalam. – Ufasz, że Hand dotrzyma swojej części umowy?

– Naprawdę nie miałyby sensu, żeby nas oszukiwał. – Wypuściłem dym i przyglądałem się, jak dryfuje nad barem. W moim umyśle krążyło niechciane, przemożne uczucie osamotnienia, wrażenie nienazwanej straty. Usiłowałem znaleźć słowa, którymi mógłbym to wszystko z powrotem zebrać w całość. – Pieniądze już poszły, Mandrake nie może ich odzyskać. Tak więc jeśli Hand nas wyroluje, oszczędzi sobie kosztu przesyłu strunowego i trzech powłok z półki. Za to będzie musiał się martwić automatycznym odwetem.

Wardani opuściła wzrok na szyfrator rezonansowy na barze.

– Jesteś pewien, że to czyste?

– Skąd. Dostałem to od niezależnego producenta, ale rekomendowała go Mandrake, więc z tego co wiem, może być zapluskwiony. To tak naprawdę nie ma znaczenia. Jestem jedyną osobą, która



wie, jak przygotowane są programy odwetowe, i wcale nie zamierzam ci tego mówić.

– Dzięki. – W jej tonie nie było słyhać ironii. Obóz uczy człowieka wartości niewiedzy.

– Nie ma o czym mówić.

– A co odnośnie uciszenia nas po sprawie?

Rozrzuciłem ramiona.

– Po co? Mandrake nie jest zainteresowana ciszą. To największa sprawa, jaką pojedyncza korporacja kiedykolwiek wygrzebała. Będą chcieli to rozgłosić. Przygotowane przez nas kapsuły informacyjne, kiedy w końcu przyjdzie czas ich uwolnienia, będą pełne bardzo starych wiadomości. Jak tylko Mandrake ukryje gdzieś bezpiecznie ten statek, zaczniesz się tym chwalić przez każde większe łącze informacyjne na Sanction IV. Hand użyje tego do natychmiastowego uzyskania członkostwa w Kartelu i prawdopodobnie na dodatek miejsca w Radzie Handlowej Protektoratu. Mandrake z dnia na dzień stanie się grubą rybą. Nasze znaczenie w tym wszystkim będzie dokładnie zerowe.

– Wszystko to sobie opracowałaś, co?

Znów wzruszyłem ramionami.

– To nie tak, jakbyśmy nigdy tego jeszcze nie omawiali.

– Nie. – Wykonała drobny, dziwnie bezradny gest. – Po prostu nie spodziewałam się, że będziesz tak cholernie uprzejmy wobec tego korporacyjnego dupka.

Westchnąłem.

– Słuchaj. Moja opinia o Matthiasie Handzie nie ma znaczenia. Wykona pracę, której od niego chcemy. Tylko to się liczy. Dostaliśmy pieniądze, jesteśmy na pokładzie, a Hand ma o włos więcej osobowości niż przeciętny korporacyjny dyrektor, co jeśli o mnie chodzi, uważam za błogosławieństwo. Lubię go dostatecznie, by z nim żyć. Jeśli spróbuje nas oszukać, nie będę miał problemu z umieszczeniem pocisku w jego stosie. Czy to dla ciebie wystarczający dystans?

Wardani postukała w obudowę szyfratora.

– Lepiej, żeby to nie było zapluskwione. Jeśli Hand nas teraz słucha...

– Cóż. – Sięgnąłem przez nią i podniosłem nietkniętego drinka Schneidera. – Jeśli to robi, prawdopodobnie myśli podobnie jak ja. Więc twoje zdrowie, Hand, jeśli mnie słyszysz. Piję za wzajemny brak zaufania i wspólne odstraszenie.

Przełknąłem rum i odstawiłem szklaneczkę do góry dnem na szyfratorze. Wardani wywróciła oczami.

– Cudownie. Polityka rozpaczy. Dokładnie tego potrzebowałam.

– To, czego potrzebujesz – powiedziałem ziewając – to odrobina świeżego powietrza. Przejdziemy się z powrotem do wieży? Jeśli wyjdziemy teraz, powinniśmy dotrzeć tam przed godziną policyjną.

– Myślałam, że w tym mundurze nie musisz przejmować się godziną.

Spojrzałem na czarną bluzę i wskazałem na nią palcem.

– No cóż. Prawdopodobnie nie, ale nie powinniśmy teraz rzucać się w oczy. Zresztą, jeśli trafi się na automatyczny patrol, to maszyny mogą być cholernie uparte. Lepiej nie ryzykować. Więc co, przejdziemy się?

– Będziesz mnie trzymał za rękę? – Miał to być żart, ale zabrzmiało inaczej. Oboje wstaliśmy i nagle znaleźliśmy się krępująco blisko siebie.

Chwila wcisnęła się między nas jak niezaproszony pijak.

Odwróciłem się, by zdusić papierosa.

– Jasne – odpowiedziałem, próbując lekkiego tonu. – Na zewnątrz jest już ciemno.

Schowałem szyfrator do kieszeni, równocześnie zabierając papierosy, ale moje słowa nie

rozluźniły napięcia. Zamiast tego wisały w powietrzu jak powidok laserowego ognia.

*Na zewnątrz jest ciemno.*

Po wyjściu z baru oboje poszliśmy przed siebie z rękami wciśniętymi do kieszeni.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Trzy górne piętra wieży Mandrake przeznaczono na mieszkania dla dyrekcji, bez dostępu z dołu, przykryte wielopoziomowym kompleksem kawiarni i ogrodów. Ze sterczących na parapecie słupów emitowany był ekran energetyczny o zmiennej przepuszczalności, utrzymujący przez cały dzień przyjemny, przefiltrowany blask słońca ogrzewający kompleks, zaś w trzech kawiarniach można było zjeść śniadanie o dowolnej porze dnia. Nasze dostaliśmy w południe i wciąż walczyliśmy z jego końcówką, kiedy przyszedł nas szukać Hand w nieskazitelnym, formalnym stroju. Jeśli słuchał wieczornej rozmowy o charakterach, nie wyglądał, jakby go to poruszyło.

– Dzień dobry, madame Wardani. Panowie. Ufam, że wasz wieczór w mieście okazał się wart ryzyka.

– Miał swój urok. – Wyciągnąłem rękę i nabiłem na widelec kolejny kawałek *dim sum*, nie patrząc na żadne z moich towarzyszy. Wardani i tak zaraz po tym, jak siadła do stołu, schroniła się za swoimi okularami słonecznymi, a Schneider medytował intensywnie nad fusami w swojej filiżance kawy. Jak dotąd, konwersacja raczej nie rozkwitała. – Siadaj i poczęstuj się.

– Dziękuję. – Hand wyciągnął krzesło i usiadł. Z bliska widać było, że wokół oczu ma lekkie zmarszczki świadczące o zmęczeniu. – Już jadłem lunch. Madame Wardani, przybyły pierwsze elementy sprzętu z pani zamówienia. Kazałem dostarczyć je do pani apartamentu.

Kiwnęła głową, po czym obróciła twarz w stronę słońca. Kiedy stało się oczywiste, że nie zamierza dodać nic więcej, Hand zwrócił uwagę, do mnie i uniósł brwi. Lekko potrząsnąłem głową.

*Nie pytaj.*

– Cóż. Jesteśmy w zasadzie gotowi do rekrutacji, poruczniku, jeśli...

– Świetnie. – Splukałem *dim sum* szybkim łykiem herbaty i wstałem. Zaczynała mi doskwierać atmosfera panująca przy stole. – Chodźmy.

Nikt nic nie powiedział. Schneider nawet nie podniósł wzroku, ale ciemne okulary Wardani śledziły moją ucieczkę przez taras jak puste twarze czujników karabinów strażniczych.

Zjechaliśmy z dachu w gadatliwej windzie, która podawała nazwę każdego mijanego piętra i przy okazji opisywała w zarysie kilka projektów Mandrake. Żaden z nas się nie odezwał i zaledwie trzydzieści sekund później drzwi otworzyły się na poziom parteru, z niskim sufitem i ścianami z surowego topionego szkła. Paski aluminium rzucały błękitnawe światło na szkliwo, a przy drugim końcu otwartej przestrzeni wyjście sygnalizowała plama ostrego światła słonecznego. Naprzeciw drzwi czekał niedbale zaparkowany samochód w kolorze słomkowym.

– Pole Thaisawasdi – powiedział Hand, nachylając się w stronę przedziału kierowcy. – Targ dusz.

Odgłosy silnika nasiliły się, przechodząc z ledwo słyszalnego szumu do miarowego buczenia. Wsiadliśmy i gdy zajmowaliśmy miejsca w samoczynnie dopasowujących się fotelach, pojazd wzniósł się i zakręcił w miejscu jak pajak na nici. Przez niespolaryzowane szkło kabiny kierowcy i nad jego wygoloną głową przyglądałem się plamie światła, rosnącej w miarę jak sunęliśmy do wyjścia. Potem światło eksplodowało wokół nas w uderzającym blasku metalu i zaczęliśmy wznosić się spiralą w bezwzględne, błękitne pustynne niebo nad Landfall. Po przytłumionej tarczy atmosferycznej na dachu jego głębia budziła jakiś rodzaj dzikiej satysfakcji.

Hand dotknął przełącznika na drzwiach i szkło spolaryzowało się na niebiesko.

– Wczoraj wieczorem byliście śledzeni – oznajmił.

Spojrzałem na niego poprzez kabinę.

– Po co? Jesteśmy po tej samej stronie, prawda?

– Nie przez nas. – Niecierpliwie machnął ręką. – Cóż, tak, przez nas oczywiście też, i dlatego ich zauważyliśmy. Ale nie o tym mówię. To nie był zbyt zaawansowany sprzęt. Ty i Wardani wróciliście do domu osobno, nie ze Schneiderem, co przypadkiem wcale nie było takie inteligentne, i mieliście ogon. Jeden szedł za Schneiderem, ale urwał się, prawdopodobnie jak tylko stwierdził, że Wardani nie wychodzi. Pozostali poszli za wami aż do Find Alley, tuż za mostem.

– Ilu?

– Trzech. Sądząc po tym, jak się ruszali, dwóch ludzi i cyborg bojowy.

– Zgarnęliście ich?

– Nie. – Hand postukał lekko zaciśniętą pięścią w okno. – Maszyny strażnicze były zaprogramowane na ochronę i doprowadzenie. Zanim zostaliśmy powiadomieni, zeszli pod ziemię w pobliżu Kanału Latimer, a zanim tam dotarliśmy, zniknęli. Szukaliśmy ich, ale...

Rozłożył ręce. Zmęczenie wokół jego oczu zaczynało mieć sens. Przez całą noc był na nogach i próbował chronić swoją inwestycję.

– Czemu tak szczerzysz zęby?

– Przepraszam. Nic takiego. Ochrona i doprowadzenie, tak?

– Cha, cha. – Wbił we mnie wzrok i patrzył, aż mój uśmiech zaczął blaknąć. – Może więc chciałbyś mi coś powiedzieć?

Przez chwilę pomyślałem o komendancie obozu i jego przytłumionych prądem mamrotaniach o próbach uwolnienia Tanyi Wardani. Potrząsnąłem głową.

– Jesteś pewien?

– Bądź poważny, Hand. Gdybym wiedział, że ktoś za mną chodzi, myślisz, że byłby w lepszym stanie niż Deng i jego osiłki?

– Więc kim oni są?

– Chyba przed chwilą powiedziałem, że nie wiem. Jakieś uliczne bandziory?

– Uliczne ścierwa idące za mundurem Klina? – Posłał mi urażone spojrzenie.

– No dobra, może udowadniali sobie męskość. Terytorializm. Macie pewnie jakieś gangi w Landfall, prawda?

– Kovacs, proszę. Trochę powagi. Skoro ty ich nie zauważyłeś, jakie jest prawdopodobieństwo, że byli tak kiepscy?

Westchnąłem.

– Niewielkie.

– Dokładnie. Więc kto jeszcze próbuje uciąć sobie kawałek tego artefaktowego tortu?

– Nie wiem – przyznałem ponuro.

Reszta lotu minęła w ciszy.

W końcu pojazd przechylił się na bok w skřęcie, a ja wyjrzałem przez okno. Schodziliśmy po spirali ku czemuś, co wyglądało jak płachta brudnego lodu zaśmieconą pustymi butelkami i puszkami. Zmarszczyłem brwi i dostosowałem skalę.

– Czy to są oryginalne...?

Hand kiwnął głową.

– Tak, część z nich. Te duże. Reszta to konfiskaty, rzeczy, które zostały tu po upadku rynku artefaktów. Natychmiast, gdy przestajesz płacić postojowe, zabierają ci ładunek i ściągają go tutaj barkami grawitacyjnymi do czasu, aż wszystko pokryjesz. Oczywiście, biorąc pod uwagę sytuację na rynku, prawie nikomu nie chciało się płacić za swój towar, więc weszły tu ekipy zarządu portu i przy pomocy palników plazmowych przeprowadziły likwidację.

Wolno przesunęliśmy się nad najbliższą z uziemionych barek kolonizacyjnych. Przypominało to

unoszenie się nad potężnym zwalonym drzewem. Przy jednym z końców, niczym ogromne gałęzie połamane upadkiem, sztywno sterczały w niebo konstrukcje silników, które przepchały pojazd przez zatokę przestrzeni oddzielającej Sanction IV od Latimera. Barka nigdy już nie będzie w stanie wystartować i prawdę mówiąc, projektowana była z myślą o wyłącznie jednorazowej podróży. Zmontowana przed wiekiem na orbicie Latimera, przewidziana jedynie na pojedynczy skok przez przestrzeń międzygwiazdną i jedno lądowanie na koniec podróży, przy schodzeniu na planetę wypaliła antygravitacyjny system umożliwiający lądowanie. Odpalone w ostatniej chwili przed uziemieniem hamujące silniki raketowe stopiły pustynny piasek pod spodem w szklisty owal, z czasem powiększony przez inżynierów i stykający się z podobnymi owalami, utworzonymi przez inne barki. W ten sposób powstało Pole Thaisawasdi, służące nieopierzonej kolonii przez pierwszą dekadę jej życia.

Do czasu gdy korporacje zabrały się do budowania własnych lądowisk i kompleksów pomocniczych, barki zostały wypatroszone, wykorzystane jako kwatery mieszkalne, a następnie jako źródło oczyszczonych stopów i sprzętu do nowych budowli. Na Świecie Harlana byłem wewnątrz kilku barek z oryginalnej floty Konrada Harlana. Nawet pokłady zostały skanibalizowane, wyrzeżane do wielowarstwowych wręg sterczących z kadłuba. Nie ruszono jedynie samych kadłubów, co spowodował szacunek w rodzaju tego, który skłaniał wcześniejsze pokolenia do poświęcania życia na budowę katedr.

Nasz pojazd przeleciał nad kręgosłupem barki i zsunął się wzdłuż krzywizny kadłuba, lądując łagodnie w cieniu rzucanym przez uziemionego kolosa. Wyszliśmy w nieoczekiwany chłód i ciszę, przerywaną tylko przez szept wiatru na szklanej równinie i niewyraźne odgłosy ludzkiej aktywności dobiegające z wnętrza kadłuba.

– Tędy.– Hand wskazał na wznoszącą się przed nami krzywiznę metalowej ściany i ruszył w stronę trójkątnego luku towarowego przy poziomie ziemi. Złapałem się na tym, że skanuję budowlę pod kątem możliwych stanowisk snajperskich. Poirytowany, porzuciłem ten pomysł i ruszyłem za nim. Wiatr posłusznie zdmuchnął mi z drogi śmieci, zgarniając je w miniaturowych wirach pyłu.

Z bliska luk towarowy wydawał się ogromny. Miał kilka metrów w najwyższym miejscu i dostateczną szerokość, by przepuścić przewożony na wagonie kadłub orbitalnego pocisku samonaprowadzającego. Do wejścia prowadziła rampa załadunkowa, która w trakcie lotu pełniła funkcję wjazdu, a teraz zwisała na nieużywanych od dziesiątków lat hydraulicznych podnośnikach. Przy górnej krawędzi wejścia w powietrzu unosiły się bardzo starannie rozmyte holograficzne projekcje, które mogły przedstawiać zarówno Marsjan, jak i anioły w locie.

– Sztuka wykopalisk – z dezaprobatą rzucił Hand. Minęliśmy je i weszliśmy do mrocznego wnętrza.

Wrażenie rozkładającej się przestrzeni przypominało to, co widziałem na Świecie Harlana, ale o ile kadłuby floty Harlana zachowano z muzealną powagą, to pomieszczenie wypełniały chaotyczne rozbłyśki barw i dźwięków. W przypadkowych na pierwszy rzut oka miejscach do krzywizny kadłuba i pozostałości głównych pokładów przyklejono epoksydami przegrody z jaskrawych plastików i drutów, sprawiające wrażenie rozprzestrzeniającej się po strukturze kolonii trujących grzybów. Łączyły to wszystko odcięte fragmenty zejściówek i pospawane drabiny wsporników. Tu i tam, obok blasku lamp i pasm iluminium, dodatkowego światła użyczały kolejne projekcje holograficznej sztuki. Z zamontowanych do kadłuba głośników wielkości skrzyń na zmianę zawodziła i dudniła muzyka. Wysoko w górze ktoś wydłubał w kadłubie metrowej wielkości dziury, tak że przez mrok przebijały skośne słupy słonecznego światła.

W miejscu oświetlanym przez najbliższą wiązkę stał wysoki mężczyzna, ubrany w łachmany,

kierując czarną, spoconą twarz w stronę światła, jakby był to gorący prysznic. Na głowę miał wciśnięty mocno zużyty kapelusz, a jego szczupłą sylwetkę osłaniał równie wytarty, długi czarny płaszcz. Słyszając nasze kroki na metalu, obrócił się, rozrzucając szeroko ramiona.

– Ach, panowie. – Głos przypominał sztuczny bulgot, emitowany przez dość wyraźnie widoczną jednostkę przymocowaną do poharatanego gardła. – Jesteście na czas. Jestem Semetaire. Witajcie na Targu Dusz.

Całemu procesowi mogliśmy się przyjrzeć na górze, na osiowym pokładzie.

Gdy wychodziliśmy z klatki windy, Semetaire odsunął się na bok i wykonał szeroki gest.

– Podziwiajcie – powiedział teatralnie.

Po szynach umieszczonych na pokładzie posuwał się mały wózek, trzymając w wysoko uniesionych ramionach ładunkowych niewielką skrzynkę. Skrzynka przechyliła się do przodu i coś zaczęło się z niej wysypywać, lecąc kaskadą na pokład i odbijając się z grzechotem spadających kamyków.

Stosy korowe.

Bez uaktywniania neurochemicznego wzmocnienia wzroku trudno było mieć pewność, ale większość wyglądała na zbyt masywne, by mogły być czyste. Zbyt masywne i zbyt białawożółte od kawałków kości i tkanki rdzenia, wciąż trzymającej się metalu. Wózek mocniej przechylił ramiona, a stukot kaskady zamienił się w szum całej rzeki metalicznego brzęku. Jadąc w tył, wózek zostawiał po sobie rozszerzający się kobierzec przedmiotów. Gradobicie nabrzmiało we wściekle *crescendo*, po czym ucichło, gdy nieprzerwana kaskada stosów została wchłonięta przez kopce tych, które już leżały na posadzce.

Wózek znieruchomiał w ciszy z opróżnionym pojemnikiem.

– Właśnie dotarli – rzucił Semetaire, prowadząc nas wokół szerokiego stosu. – Większość z bombardowania Suchindy, cywile i wojsko, ale z pewnością znajdą się też jakieś ofiary wśród oddziałów szybkiego reagowania. Zbieramy ich na całym wschodzie. Ktoś dość poważnie pomylił się w odczycie zamiarów Kempa.

– Nie po raz pierwszy – wymamrotałem.

– I mamy nadzieję, że nie po raz ostatni. – Semetaire przykucnął i nabrał pełne garście stosów. Kość trzymała się ich w łątach, jak pożółkły szron. – Interes nigdy jeszcze nie kręcił się tak dobrze.

W mrocznej pieczarze coś zazgrzytało i zastukotało. Gwałtownie podniosłem głowę, usiłując zlokalizować źródło dźwięku.

Wokół stosów zbierali się handlarze z łopatami i wiadrami, rozpychając się łokciami o lepsze miejsca do kopania. Wbijając się w hałdę, łopaty zgrzytały i szurały, a każda nabrana nimi porcja stosów lądowała w wiadrze z grzechotem żwiru.

Zauważyłem, że pomimo twardej konkurencji o dostęp zostawili szeroką przerwę dla Semetaira. Mój wzrok powrócił do ubranej w szpiczasty kapelusz, przykucniętej przede mną postaci, a wtedy pobrużdżona twarz Semetaira wykrzywiła się w uśmiechu, jakby czuł moje spojrzenie. Domyśliłem się, że ma poszerzone pole widzenia, i przyglądałem się, jak wciąż z delikatnym uśmiechem rozszerzył palce i pozwolił, by stosy przesypały się z powrotem na ziemię. Gdy jego dłonie opustoszały, otrzepał je i wstał.

– Większość kupuje na wagę – wyjaśnił cicho. – Tak jest taniej i prościej. Jeśli chcesz, możesz z nimi porozmawiać. Inni dla swoich klientów odrzucają cywili, odsiewając plewy od wojskowego ziarna, a cena i tak pozostaje niska. Być może to wystarczy na wasze potrzeby. Możliwe jednak, że potrzebujecie Semetaira.

– Może przejdź do rzeczy – rzucił szorstko Hand.

Odniosłem wrażenie, że oczy ukryte pod podniszczonym, wysokim kapeluszem zwężyły się lekko, ale jeśli było to spowodowane gniewem, nie było go dość, by przebić się do głosu czarnego człowieka w łachmanach.

– Rzecz w tym – odpowiedział uprzejmie – co zawsze. Rzecz w tym, czego pragniecie. Semetaire sprzedaje tylko to, czego pragną ci, którzy do niego przychodzą. Czego pragniesz, człowieku Mandrake? Ty i twój wilk z Klina?

Poczułem, jak przechodzi przeze mnie metaliczny dreszcz neurochemii. Nie miałem na sobie munduru. Nie wiem, co gość miał wmontowane, ale było to zdecydowanie więcej niż ulepszony wzrok.

Hand powiedział coś w chrapliwym języku, którego nie rozpoznałem, i wykonał niewielki gest lewą dłonią. Semetaire zeszywniał.

– Prowadzisz ryzykowną grę – cicho oświadczył dyrektor Mandrake. – Skończ te gierki. Zrozumiałeś?

Semetaire przez chwilę stał nieruchomo, po czym na jego twarzy znów pojawił się upiorny uśmiech. Sięgnął w głąb poszarpanego płaszcza i nagle stwierdził, że jakieś pięć centymetrów przed jego twarzą kończy się lufa mojego kałasznikowa. Moja lewa dłoń umieściła tam broń bez jednej świadomej myśli.

– Powoli – zasugerowałem.

– Nie ma problemu, Kovacs. – Głos Handa brzmiał spokojnie, ale jego spojrzenie wciąż utkwione było w oczach Semetaira. – Wyjaśniliśmy sobie tylko rodzinne więzi.

Uśmiech Semetaira sugerował, że wcale tak nie było, ale wyciągnął ręce z płaszcza dostatecznie powoli. W każdej dłoni trzymał coś, co wyglądało na kraba z metalu. Przeniósł wzrok z jednego zestawu łagodnie rozprostowujących się nóg na drugi, a potem znów na lufę mojej broni. Jeśli się bał, nie było tego widać.

– A więc czego pragniesz, człowieku korporacji?

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, a może będę zmuszony pociągnąć za spust.

– On nie mówi do ciebie, Kovacs. – Hand nieznacznie wskazał głową na kałasznikowa, więc go schowałem. – Oddziały specjalne, Semetaire. Świeże śmierci, nic starszego niż miesiąc. I spieszy się nam. Bierzemy tylko to, co już masz.

Semetaire wzruszył ramionami.

– Najświeżsi są tutaj – stwierdził i rzucił kraby na stertę stosów, gdzie zaczęły buszować po owadziemu, podnosząc w swoich delikatnych ramionach kolejne cylindry, przytrzymując je pod świecącą na błękitno soczewką i odrzucając. – Ale skoro zależy wam na czasie...

Odsunął się na bok i poprowadził nas do czarno oznaczonej przegrody, gdzie szczupła kobieta, tak blada jak on był czarny, nachylona nad urządzeniem czyszczącym, usuwała fragmenty kości ze stosów leżących na płytkiej tacy. Delikatny, wysoki dźwięk pękających kości tworzył ledwie słyszalny kontrapunkt dla basowego zgrzytu, chrupania i grzechotu łopat i wiader za naszymi plecami.

Semetaire odezwał się do kobiety w języku, którego wcześniej użył Hand, a ona ociężale oderwała się od pracy. Z półki na tyłach przepierzenia ściągnęła matowy metalowy pojemnik wielkości mniej więcej robota inwigilacyjnego i przyniosła go do nas. Unosząc go do prezentacji, stuknęła przesadnie długim, pomalowanym na czarno paznokciem w symbol wygrawerowany w metalu i powiedziała coś w języku powtarzających się sylab.

Zerknąłem na Handa.

– Wybrańcy Ogona – wyjaśnił bez zauważalnej ironii. – Chronieni żelazem dla pana żelaza i wojny. Wojownicy.

Kiwnął głową, a kobieta postawiła pojemnik. Z boku swojego stanowiska roboczego wyciągnęła miskę perfumowanej wody, w której obmyła dłonie i nadgarstki. Przyglądałem się zafascynowany, gdy położyła mokre palce na pokrywce puszk, zamknęła oczy i zaintonowała kolejny ciąg dziwnych dźwięków. Potem otworzyła oczy i odkręciła pokrywę.

– Ile chcesz kilogramów? – zapytała, absurdalnie pragmatycznie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Hand sięgnął nad stołem i wyłowił z pojemnika garść stosów. Błyszczały w jego dłoni czystym srebrem.

– Jak bardzo zamierzasz mnie obedrzeć?

– Siedemdziesiąt dziewięć pięćset za kilo.

Hand parsknął.

– Ostatnim razem kiedy tu byłem, Pravet policzył sobie czterdzieści siedem pięćset i bardzo mnie za to przeproszał.

– To cena odpadów i dobrze o tym wiesz, panie korporacyjny. – Semetaire z uśmiechem potrząsnął głową. – Pravet handluje niesortowanym towarem i zazwyczaj nawet go nie czyści. Jeśli chcesz spędzać swój cenny, korporacyjny czas na wydłubywaniu kawałków kości ze sterty cywili i poborowych, proszę bardzo, idź się targować z Pravetem. Ci tutaj to wyłącznie klasa wojowników, oczyszczeni i namaszczeni, warci tyle, ile żądam. Nie powinniśmy marnować czasu.

– Dobra. – Hand zważył w dłoni garść ludzi w kapsułkach. – W końcu masz swoje wydatki. Równo sześćdziesiąt tysięcy. I wiesz, że kiedyś tu wrócę.

– Kiedyś. – Semetaire zdawał się smakować to słowo. – Kiedyś Joshua Kemp może zrzucić na Landfall atomowy ogień. Kiedyś, panie korporacyjny, wszyscy zginiemy.

– To faktycznie możliwe. – Hand przesypał stosy z powrotem do pojemnika. Wydały stukający dźwięk, jak spadające kości do gry. – I niektórzy z nas trochę szybciej, jeśli będą dalej wygłaszać antykartelowe hasła o wygranej Kempa. Mógłbym cię za to kazać aresztować, Semetaire.

Błada kobieta za stołem zasyczała i uniosła dłoń, rysując w powietrzu jakieś symbole, ale Semetaire powiedział coś ostro i przestała.

– Jaki miałoby sens aresztowanie mnie? – zapytał gładko, sięgając do pojemnika i wyciągając pojedynczy błyszczący stos. – Spójrz na to. Beze mnie musiałbyś iść do Praveta. Siedemdziesiąt.

– Sześćdziesiąt siedem pięćset i zrobię z ciebie preferowanego dostawcę Mandrake.

Semetaire zaczął obracać stos w palcach, dumając.

– Dobrze – oświadczył w końcu. – Sześćdziesiąt siedem pięćset. Ale zgodzę się na tę cenę tylko przy minimalnej ilości. Pięć kilo.

– Zgoda. – Hand wyciągnął chip kredytowy z holograficznym logo Mandrake. Podając go Semetairowi, nieoczekiwanie się uśmiechnął. – I tak przyszedłem tu po dziesięć. Ładnie je zapakuj.

Semetaire wrzucił stos z powrotem do puszk. Kiwnął głową bladej kobiecie, a ta wyciągnęła spod stołu wkłęsłą szalę do wagi. Przechylając pojemnik i sięgając do środka wolną ręką, wygarniała stosy garściami, wysypując je łagodnie na krzywiznę tacy. W powietrzu nad rosnącą kupką zmieniały się wyszukane, fioletowe cyfry.

Kątem oka złapałem błysk ruchu na poziomie ziemi i błyskawicznie odwróciłem się w jego stronę.

– Znalezisko – rzucił Semetaire i uśmiechnął się.

Jeden z krabokształtnych roboczków wrócił z hałdy, doszedł do stopy Semetaira i zaczął wspinać się mozolnie po nogawce jego spodni. Kiedy dotarł do poziomu paska, Semetaire oderwał go i przytrzymał, drugą ręką wyciągając coś z kleszczy. Potem odrzucił maszynę. Wyczuwając



spadek, robot podciągnął wszystkie kończyny, tak że uderzając w pokład, stanowił tylko nierówną, jajowatą bryłę, która kilka razy odbiła się, przeturlała i znieruchomiła. Chwilkę później kończyny rozprostowały się ostrożnie. Robocik podniósł się i ruszył dalej pełnić służbę dla swego pana.

– Ach, spójrz. – Semetaire pocierał palcami pobrudzony strzępami tkanki stos, wciąż szczerząc zęby. – Spójrz na to, wilku Wedge. Widzisz? Widzisz, jak zaczyna się nowy zbiór?

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sztuczna Inteligencja Mandrake wczytała przywiezionych przez nas w stosach żołnierzy jako trójwymiarowe dane w kodzie maszynowym i natychmiast skreśliła jedną trzecią jako nieodwracalnie uszkodzonych psychicznie. Nawet nie warto z nimi rozmawiać. Po zmartwychwstaniu do wirtualu krzyczeliby tylko do całkowitego zdarcia gardła.

Hand zbył to wzruszeniem ramion.

– Mniej więcej standard – stwierdził. – Niezależnie od kogo kupisz, zawsze jest trochę odpadków. Przepuścimy pozostałych przez psychochirurgiczny sekwencer snów. To powinno nam dać rozsądną listę bez konieczności ich budzenia. Tu masz wymagane parametry.

Podniosłem wydruk ze stołu i przebiegłem po nim wzrokiem. Po drugiej stronie pokoju konferencyjnego dane zabitych żołnierzy przesuwają się w dwóch wymiarach na ściennym ekranie.

– Doświadczenie w walce w środowisku o podwyższonym poziomie promieniowania? – Podniosłem wzrok na dyrektora Mandrake. – Powinienem o czymś wiedzieć?

– Och, daj spokój, Kovacs. Przecież już wiesz.

– Ja... – Błysk sięgnąłby gór. Przegnałby cienie mew, które od eonów nie widziały tak ostrego światła. – Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Hand przyglądał się powierzchni stołu, jakby wymagała polerowania.

– Musimy oczyścić ten półwysep – powiedział ostrożnie. – I tak się stanie przed końcem tygodnia. Kemp się wycofuje. Nazwij to szczęśliwym trafem.

Kiedyś, w trakcie zwiadu wzdłuż krawędzi pogiętego kręgosłupa Dangrek, widziałem Sauberville błyszczące z daleka w późno popołudniowym słońcu. Odległość była zbyt duża, bym mógł dostrzec szczegóły – nawet przy neurochemii podciągniętej na maksimum miasto wyglądało jak srebrna bransoletka upuszczona na brzegu wody. Odległa i niezwiązana z niczym, co ludzkie.

Nasze spojrzenia spotkały się nad stołem.

– Więc wszyscy zginiemy.

– Wydaje się to nieuniknione, prawda? – Wzruszył ramionami. – Skoro wejdziemy tam tak szybko po wybuchu. Dla nowych rekrutów możemy użyć klonów o wysokiej tolerancji, a środki przeciw promieniowaniu utrzymają nas w działaniu przez wymagany okres, ale na dłuższą metę...

– Tak. Cóż, na dłuższą metę będę nosił powłokę na zamówienie w Latimer City.

– Dokładnie.

– Jaki rodzaj powłok z tolerancją na radiację masz na myśli?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Nie jestem pewien. Będę musiał porozmawiać z technicznymi. Prawdopodobnie coś z Maori. Czemu, chcesz jedną?

Poczułem, jak biopłyty Khumalo w moich dłoniach swędzą mnie jakby gniewnie i potrząsnąłem głową.

– Dzięki, ale zostanę przy tym, co mam.

– Nie ufasz mi?

– Skoro pytasz, to nie. Ale nie o to chodzi. – Dźgnąłem kciukiem własną klatkę piersiową. – To produkt na indywidualne zamówienie Klina. Khumalo Biosystems. Nikt nie buduje lepszych powłok do walki.

– A antyradiacja?

– Wytrzymam dostatecznie długo na to, co musimy zrobić. Powiedz mi coś, Hand. Co zaoferujecie rekrutom długoterminowo? Poza nową powłoką, która może wytrzymać promieniowanie

lub też nie. Co dostaną, kiedy już skończymy?

Hand zmarszczył się na to pytanie.

– No cóż. Zatrudnienie.

– Już to mieli. Zobacz, gdzie ich to doprowadziło.

– Zatrudnienie w Landfall. – Z jakiegoś powodu drwina w moim głosie chyba go dotknęła.

A może gryzło go coś innego. – Zakontraktowany personel ochrony w Mandrake, gwarantowane do końca wojny lub na pięć lat, w zależności od tego, co potrwa dłużej. Czy to zaspokaja twoje quellistowskie, anarchistyczne skrupuły obrońcy uciśnionych?

Uniosłem brwi.

– Te filozofie są bardzo słabo powiązane, Hand, i tak naprawdę nie jestem wiernym wyznawcą żadnej z nich. Ale skoro pytasz, powiedziałbym, że wygląda to na niezłą alternatywę w stosunku do bycia martwym. Gdybyś miał tam mnie, pewnie zgodziłbym się na tę cenę.

– Głos poparcia. – Ton głosu Handa wyraźnie złagodniał. – Cóż za ulga.

– Oczywiście pod warunkiem, że nie miałbym przyjaciół ani krewnych w Sauberville. Lepiej sprawdź dane pod tym kątem.

Spojrzał na mnie ostro.

– Usiłujesz być zabawny?

– Jakoś nie potrafię zauważyć nic zabawnego w skasowaniu całego miasta. – Wzruszyłem ramionami. – Przynajmniej w tej chwili. Ale może dotyczy to tylko mnie.

– Ach, więc w twojej brzydkiej głowie budzą się wątpliwości moralne?

Uśmiechnąłem się słabo.

– Nie gadaj bzdur, Hand. Jestem żołnierzem.

– Tak, lepiej, żebyśmy o tym pamiętali. I nie wylewaj na mnie swoich uczuć z demobilu, Kovacs. Jak już powiedziałem, nie ja wydaję polecenie uderzenia na Sauberville. To po prostu korzystna okoliczność.

– Tak po prostu. – Rzuciłem wydruk z powrotem przez stół, próbując nie marzyć, by był to uzbrojony granat. – Więc dajmy temu spokój. Ile czasu zajmie praca tego sekwencera snów?

\* \* \*

Według psychochirurgów, we śnie dopuszczamy do głosu znacznie więcej z naszych prawdziwych instynktów niż w jakiegokolwiek innej sytuacji, łącznie ze szczytem orgazmu i chwilą śmierci. Może to wyjaśnia fakt, czemu tak mało z naszych działań w realnym świecie ma jakikolwiek sens.

Z pewnością natomiast umożliwia szybką ocenę psychologiczną.

Sekwencer snów, zaprogramowany w sercu SI Mandrake, z wymaganymi parametrami i związanym z Sauberville sprawdzeniem przeszłości, przeszedł przez pozostałe siedem kilogramów funkcjonalnych ludzkich osobowości w niecałe cztery godziny. Dał nam trzystu osiemdziesięciu siedmiu możliwych najemników, z dwustudwunastoosobową grupą o wysokim prawdopodobieństwie.

– Czas ich obudzić – stwierdził Hand, przeskakując między profilami na ekranie i ziewając. Poczulem, jak mięśnie moich szczęk napinają się w próbie odruchowego naśladownictwa.

Być może z powodu wzajemnego braku zaufania żaden z nas nie opuścił pokoju konferencyjnego w trakcie pracy sekwencera, a po tym, jak krążyliśmy jeszcze trochę wokół tematu Sauberville, nie mieliśmy też zbyt wiele do powiedzenia. Oczy szczypały mnie od wpatrywania się wyłącznie

w przesuwające się po ekranie dane, kończyły rwały się do jakiegoś wysiłku i skończyły mi się papierosy. Impuls ziewania walczył o kontrolę nad moją twarzą.

– Naprawdę musimy rozmawiać ze wszystkimi?

Hand potrząsnął głową.

– Nie, nie musimy. W maszynie jest wirtualna wersja mnie z wbudowanym interfejsem psychochirurga. Wyślę ją, żeby wybrała najlepsze półtorej tuzina. Oczywiście, o ile mi zaufasz.

Poddałem się w końcu i ziewnąłem szeroko.

– Zaufanie uaktywnione. Nie chcesz trochę świeżego powietrza i kawy?

Wyszliśmy na dach.

\* \* \*

W górze, na szczycie wieży Mandrake, dzień roztapiał się w pustynnym zmierzchu koloru indygo. Na wschodzie przez niezmierną przestrzeń mroczniejącego nieba Sanction IV przebijały się gwiazdy. Na zachodnim horyzoncie resztki słonecznych soków sączyły się między wąskimi pasmami chmur przez ciężar zapadającej nocy. Tarcze były prawie opuszczone, wpuszczając większość wieczornego ciepła i lekką bryzę z północy.

W ogrodzie na dachu wybranym przez Handa rozejrzałem się po kręcących się wokół pracownikach Mandrake. Tworzyli pary lub małe grupki przy barach i stołach i rozmawiali modulowanymi, pewnymi siebie głosami, które dobrze się nosły. Amangielski standard korporacyjny, przemieszany z okazjonalną nutą tajskiego i francuskiego. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

Mieszanka języków o czymś mi przypominała.

– Powiedz mi, Hand. – Odpieczętowałem nową paczkę landfall lightów i zapaliłem jednego z nich. – Co to były za bzdety dzisiaj na targu? Ten język, którym mówiłeś, i gesty lewą ręką?

Hand pociągnął łyk kawy i odstawił filiżankę.

– Nie domyśliłeś się?

– Voodoo?

– Można to tak określić. – Bolesny wyraz jego twarzy powiedział mi, że on nie ująłby tego w ten sposób nawet za milion lat. – Choć właściwie, nazwy tej nie używano już od kilku stuleci. Ani nie nazywano tak tego u źródeł. Upraszczasz, zresztą jak większość ludzi, którym brakuje wiedzy.

– Wydawało mi się, że tym właśnie jest religia. Uproszczeniem dla tych, którym trudno się myśli.

Uśmiechnął się.

– W takim razie chyba ci, którzy mają problemy z myśleniem, stanowią większość, nieprawdaż?

– Zawsze tak jest.

– Cóż, być może. – Hand wypił jeszcze kawy i przyjrzał mi się znad filiżanki. – Naprawdę nie uznajesz żadnego boga? Żadnej siły wyższej? Harlanicy są w większości szintoistami, prawda? Albo należą do jakiegoś odgałęzienia chrześcijaństwa?

– Nie jestem żadnym z nich – powiedziałem bezbarwnie.

– Więc nie masz schronienia przed nadchodzącą nocą? Żadnego sojusznika, gdy ogrom stworzenia przygniata kręgosłup twej marnej egzystencji jak tysiącmetrowa kolumna z kamienia?

– Hand, byłem na Innenin. – Strzepnąłem popiół z papierosa i oddałem mu jego uśmiech prawie nieużywany. – Na Innenin słyszałem żołnierzy z mniej więcej tak – rozłożyłem szeroko ramiona – wysokimi kolumnami na plecach, krzyczących do całego spektrum wyższych mocy. I nie zauważyłem,

żeby któraś się pokazała. Mogę żyć bez takich sojuszników.

– Nie nam kierować bogiem.

– Najwyraźniej nie. Opowiedz mi o Semetaire. Ten kapelusz i płaszcz odgrywa jakąś rolę, prawda?

– Tak. – Teraz w głosie Handa pobrzmiwał szczery niesmak. – Przybrał pozór Ghede, w tym przypadku pana umarłych...

– Bardzo sprytne.

– ...w próbie zdominowania co słabszych na umyśle z konkurencji. Prawdopodobnie jest jakiegoś poziomu adeptem, niepozbawionym pewnych wpływów w duchowym świecie, ale z pewnością nie ma dość umiejętności, by przywoływać tę postać. Ja jestem nieco bardziej – poczęstował mnie lekkim uśmiechem – uznany, można by rzec. Po prostu dałem mu to do zrozumienia. Można powiedzieć, że przedstawiłem swoje referencje i dałem do zrozumienia, że uważam jego grę za przejaw złego smaku.

– Dziwne, że ten Ghede nie pojawił się z tą samą uwagą, prawda?

Hand westchnął.

– Prawdę mówiąc, jest bardzo prawdopodobne, że Ghede, podobnie jak ty, uznaje sytuację za zabawną. Jak na Mądrego, łatwo go rozbawić.

– Doprawdy? – Nachyliłem się ku niemu, szukając na jego twarzy śladów ironii. – Ty wierzysz w te bzdury, prawda?

Dyrektor Mandrake przyglądał mi się przez chwilę, potem odchylił głowę i wskazał na niebo nad nami.

– Spójrz na to, Kovacs. Pijemy kawę tak daleko od Ziemi, że trzeba się nieźle wysilić, żeby znaleźć na niebie Słońce. Zostaliśmy tu przyniesieni na wietrze wiejącym w wymiarach, których nie jesteśmy w stanie zobaczyć ni dotknąć. Zamknęci jako sny w umyśle maszyny myślącej w sposób tak bardzo wyprzedzający nasze mózgi, że równie dobrze mogłaby nosić imię boga. Zostaliśmy wskrzeszeni w cudzych ciałach, wyrosłych w tajemnym ogrodzie poza ciałem jakiegokolwiek śmiertelnej kobiety. To fakty, Kovacs. W czym różnią się one lub są mniej mistyczne od wiary, że istnieje inna kraina, gdzie martwi żyją w towarzystwie istnień tak nas przerastających, że musimy nazwać je bogami?

Odwróciłem wzrok, dziwnie zakłopotany ogniem w głosie Handa. Religia jest zabawna i miewa nieprzewidywalne efekty na tych, którzy jej używają. Zdusiłem papierosa i starannie dobrałem słowa.

– Cóż, różnica polega na tym, że fakty nie zostały wyśnione przez bandę ignoranckich kapłanów stulecia przed tym, zanim ktokolwiek opuścił powierzchnię Ziemi czy zbudował cokolwiek, co przypominało maszynę. Dla równowagi powiedziałbym, że to bardziej pasuje do rzeczywistości, którą tu znajdujemy, niż twoja kraina duchów.

Hand uśmiechnął się, najwyraźniej niedotknięty. Chyba dobrze się bawił.

– To ograniczone spojrzenie, Kovacs. Oczywiście, wszystkie pozostałe kościoły mają swoje korzenie w czasach przedindustrialnych, ale wiara to metafora, a kto wie, jak, skąd i jak długo za tą metaforą podróżowały dane. Poruszamy się po ruinach cywilizacji, która najwyraźniej dysponowała boskimi mocami tysiące lat przed tym, zanim mogliśmy stanąć na dwóch nogach. Twój własny świat, Kovacs, otoczony jest przez anioły z ognistymi mieczami...

– Ejże. – Uniosłem dłonie w geście protestu. – Może trochę ograniczmy tę metaforę. Świat Harlana otoczony jest systemem orbitalnych platform bojowych, które Marsjanie zapomnieli wyłączyć, odchodząc.

– Tak. – Hand niecierpliwie machnął ręką. – Stacje orbitalne zbudowane z jakiegoś materiału,

który opiera się wszelkim próbom przeskanowania go, stacje, które mają dość mocy, by zniszczyć miasto lub górę, ale nie niszczą niczego oprócz pojazdów, które próbują podnieść się do niebios. Cóż to innego, jak nie anioł?

– To cholerna maszyna, Hand. Z zaprogramowanymi parametrami, które prawdopodobnie wywodzą się z jakiegoś konfliktu planetarnego...

– Jesteś tego pewien?

Nachylał się teraz nad stołem. Stwierdziłem, że powielam jego pozycję, mocno buzując emocjami.

– Byłeś kiedyś na Świecie Harlana, Hand? Nie? Tak właśnie myślałem. Cóż, ja tam dorastałem i mówię ci, że te satelity nie mają w sobie więcej mistycyzmu niż dowolny inny marsjański artefakt...

– Nie bardziej mistyczne niż śpiewodrzewa? – Jego głos opadł do syku. – Drzewa z kamienia, które śpiewają przy wschodzącym i zachodzącym słońcu? Nie bardziej mistyczne niż brama, która otwiera się jak drzwi kuchenne do...

Przerwał nagle i rozejrzył się, czerwieniejąc na twarzy ze strachu przed niedyskrecją. Oparłem się wygodniej i wyszczerzyłem zęby.

– Pasja godna podziwu jak na kogoś w tak drogim garniturze. Więc usiłujesz mi sprzedać Marsjan jako bogów voodoo? O to ci właśnie chodzi?

– Niczego nie usiłuję ci sprzedawać – wymamrotał, prostując się. – I nie, Marsjanie całkiem zgrabnie pasują do tego świata. Nie musimy uciekać się do źródeł, żeby ich wyjaśnić. Usiłuję ci tylko pokazać, jak ograniczone jest twoje widzenie świata bez akceptacji cudu.

Kiwnąłem głową.

– Bardzo miło z twojej strony. – Dźgnąłem w powietrzu palcem w jego stronę. – Zrób coś dla mnie Hand, dobrze? Kiedy już znajdziemy się tam, gdzie się wybieramy, trzymaj te bzdury dla siebie. I bez twoich uduwnień będę miał dość zmartwień dookoła.

– Wierzę tylko w to, co widziałem – oświadczył sztywno. – Widziałem Ghede i Carrefour chodzących między nami w ludzkim ciele, słyszałem ich głosy przemawiające z ust hougana, przywoływałem ich.

– Jasne.

Przyjrzał mi się uważnie, a jego urażona wiara przetapiała się wolno w coś innego. Jego głos złagodniał i opadł do szeptu.

– To dziwne, Kovacs. Masz wiarę równie głęboką jak moja. Dziwi mnie tylko, czemu tak mocno zależy ci na tym, żeby nie wierzyć.

Coś zawisło między nami prawie przez minutę, zanim to wreszcie dotknąłem. Gwar dobiegający z okolicznych stołów przycichł i nawet wiatr z północy zdawał się wstrzymywać oddech. Nachyliłem się nad stołem, odzywając się bardziej, żeby odegnąć z głowy laserowe światło wspomnień niż z potrzeby komunikacji.

– Mylisz się, Hand – powiedziałem cicho. – Bardzo chciałbym mieć dostęp do tych wszystkich bzdur, w które wierzysz. Cudownie byłoby móc przywołać kogoś, kto jest odpowiedzialny za tę popieprzoną kreację. Ponieważ mógłbym go wtedy zabić. Powoli.

W głębi maszyny wirtualny Hand ograniczył długą listę do jedenastu pozycji. Zajęło mu to prawie trzy miesiące. Puszczony przy maksymalnych możliwościach SI, wynoszących trzysta pięćdziesiąt razy czas rzeczywisty, cały proces zakończył się krótko przed północą.

Do tego czasu intensywność konwersacji na dachu opadła, najpierw przeradzając się w pasmo wspomnień i grzebanie w poglądach, które mogłyby poprzeć nasze sposoby widzenia świata, a później w wymianę coraz luźniejszych obserwacji dotyczących życia, przerywanych długimi

okresami milczenia, w trakcie których wpatrywaliśmy się w bariery wieży i w pustynną noc. Kieszonkowy telefon Handa zabrzmiał w wyciszonym nastroju jak zgrzyt diamentu po szkłe.

Zeszliśmy w dół przyjrzeć się temu, co zostało, ziewając i mrugając w nieoczekiwane ostrym świetle wewnątrz wieży. Niecałą godzinę później, gdy minęła północ i zaczął się nowy dzień, wyłączyliśmy wirtualnego Handa i załadowaliśmy się do maszyny na jego miejsce.

Ostateczna selekcja.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

We wspomnieniach wracają do mnie ich twarze.

Nie twarze pięknych, odpornych na promieniowanie powłok bojowych Maori, które ubrali na Dangrek i dymiące ruiny Sauberville. Zamiast tego widzę twarze, które mieli, zanim zginęli. Twarze, które przywłaszczył sobie Semetaire i sprzedał z powrotem w chaos wojny. Twarze, jako które się zapamiętali, twarze, które przybrali w niewinnym wirtualu z pokojem hotelowym, gdzie pierwszy raz ich spotkałem.

Twarze trupów.

\* \* \*

*Ole Hansen:*

Absurdalnie blady Europejczyk o równo przyciętych śnieżnych włosach i oczach w kolorze spokojnego błękitu cyfr na wyświetlaczu sprzętu medycznego w normalnej pracy. Dostarczony w całości z Latimera z pierwszą falą zamrożonych posiłków NZ, kiedy jeszcze wszyscy myśleli, że sprawa z Kempem zakończy się na sześciomiesięcznej przepychance.

– Lepiej, żeby to nie była kolejna bitwa na pustyni. – Na jego czole i kościach policzkowych wciąż widać było ślady oparzeń słonecznych. – Ponieważ jeśli tak jest, równie dobrze możecie wsadzić mnie z powrotem do pudła. Melanina komórkowa swędzi jak jasna cholera.

– Tam, gdzie się wybieramy, jest zimno – zapewniłem. – Najwyżej jak w zimą w Latimer City. Wiesz, że wszyscy z twojego oddziału nie żyją?

Kiwnął głową.

– Widziałem błysk z koptera. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam. Można się domyślić. Złapany pocisk samosterujący. Mówiłem im, żeby po prostu wysadzili draństwo tam, gdzie leżało. Nie można tych rzeczy przekonać. Są zbyt uparte.

Hansen był członkiem zespołu saperskiego nazywanego Łagodny Dotyk. Słyszałem o nich plotki w Klinie. Mieli reputację dobrych ekspertów. Kiedyś.

– Będzie ci ich brakować?

Hansen obrócił się na krześle i spojrzał przez wirtualny pokój hotelowy na barek. Przeniósł wzrok z powrotem na Handa.

– Mogę?

– Proszę bardzo.

Wstał i podszedł do lasu butelek, wybrał jedną i nalał do szklaneczki po same brzegi bursztynowego płynu. Uniósł napój w naszą stronę z mocno zaciśniętymi ustami i twardym spojrzeniem.

– Za Łagodny Dotyk, gdziekolwiek mogą być rozrzucone ich cholerne atomy. Epitafium: powinni byli słuchać cholernych rozkazów. Byliby tu teraz.

Wlał alkohol do gardła jednym płynnym ruchem, głęboko wciągnął powietrze i rzucił szklaneczkę przez pokój. Uderzyła w dywan z mało dramatycznym stuknięciem i poturlała się pod ścianę. Hansen wrócił do stołu i usiadł. W oczach miał łzy, ale przypuszczam, że był to efekt alkoholu.

– Jeszcze jakieś pytania? – zapytał zdartym głosem.

\* \* \*



*Yvette Cruickshank:*

Twarz dwudziestolatki o barwie prawie błękitnej, struktura kości adekwatna dla przedniego profilu wysokościowego myśliwca przechwytyjącego, włosy w dreadach zebranych na czubku głowy w ogon, z którego spadały kaskadą spiral, obwieszona groźnie wyglądającą stalową biżuterią i kilkoma implantami oznaczonymi zielenią i czernią. U podstawy czaszki wystawały złącza kolejnych trzech.

– Do czego służą? – zapytałem.

– Pakiety językowe, tajski i mandaryński, dziewiąty dan w szotokan – wskazywała palcem poszczególne łąty z wprawą sugerującą, że prawdopodobnie mogłaby je zerwać i wymienić na ślepo pod obstrzałem. – Zaawansowany medyk polowy.

– A te we włosach?

– Interfejs nawigacji satelitarnej i skrzypce koncertowe. – Uśmiechnęła się szeroko. – Ten ostatni teraz rzadko bywa potrzebny, ale przynosi mi szczęście. – Jej twarz zmieniła się z komiczną ostrością, zmuszając mnie do przygryzienia wargi. – Przynosił.

– Siedem razy w tym roku domagała się pani przydziału do oddziałów szybkiego reagowania – stwierdził Hand. – Czemu?

Rzuciła mu zaciekawione spojrzenie.

– Już mnie pan o to pytał.

– Inny ja.

– Och, rozumiem. Duch w maszynie. No cóż, jak mówiłam wcześniej: większe skupienie, większy wpływ na wynik bitwy, lepsze zabawki. Wie pan, ostatnim razem, kiedy to powiedziałam, szerzej się pan uśmiechał.

\* \* \*

*Jiang Jianping:*

Blade, azjatyckie rysy, inteligentne oczy sprawiające wrażenie zbieżnych i lekki uśmiech. Miało się wrażenie, że kontempluje nieco zabawną anegdotę, którą właśnie opowiedział. Poza stwardnieniami skóry na krawędziach dłoni i rozluźnioną postawą pod czarnym kombinezonem trudno było znaleźć dowody jego profesjonalizmu. Wyglądał bardziej na zmęczonego nauczyciela niż kogoś, kto zna pięćdziesiąt siedem sposobów na wyłączenie ludzkiego ciała.

– Ta ekspedycja – powiedział cicho – przypuszczalnie nie mieści się w ogólnych ramach wojny. To sprawa komercyjna, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Cała wojna jest komercyjna, Jiang.

– Masz prawo w to wierzyć.

– Podobnie jak pan – ostro wtrącił Hand. – Znam treść komunikatów rządowych na najwyższym poziomie i tak właśnie mówię. Bez Kartelu Kempieści znaleźliby się w Landfall zeszłej zimy.

– Tak, walczyłem, aby temu właśnie zapobiec. – Złożył ramiona na piersiach. – Zginąłem, żeby temu zapobiec.

– Dobrze – rzucił Hand. – Opowiedz nam o tym.

– Już odpowiedziałem na to pytanie. Czemu je powtarzasz?

Dyrektor Mandrake potarł dłonią oko.

– To nie byłem ja, tylko mój konstrukt Nie było dość czasu na przegląd danych, więc proszę.

– To był nocny atak na równinie Danang, ruchomy punkt przekaźnikowy dla kempistowskiego systemu zarządzania pociskami samonaprowadzającymi.

– Brałeś w tym udział? – Spojrzałem na rozpartego na krześle ninę z nowym szacunkiem. Na froncie Danang uderzenia na kempistowską sieć komunikacyjną stanowiły jedyny realny sukces, jaki rząd mógł sobie przypisać w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. Znałem żołnierzy, których życia ocaliła ta operacja. Kanały propagandowe wciąż rozpowszechniały wieści o strategicznym zwycięstwie mniej więcej wtedy, gdy mój pluton i mnie rozrywało na strzępy na Północnej Grani.

– Zostałem zaszczycony przyznaniem mi dowództwa komórki.

Hand spojrział na swoją dłoń, po której niczym jakaś ruchoma choroba skóry przesuwały się dane. Magia systemu. Wirtualne zabawki.

– Pańska komórka osiągnęła cel, ale pan zginął w trakcie wycofywania się. Jak do tego doszło?

– Popełniłem błąd. – Jiang wypowiedział te słowa z takim samym niesmakiem, z jakim wymawiał nazwisko Kempa.

– I na czym on polegał? – Nikt nie mógłby posądzić dyrektora Mandrake o choćby śladowe ilości taktu.

– Sądziłem, że automatyczne jednostki strażnicze zostaną zdezaktywowane po wysadzeniu stacji. Nie zostały.

– Ups.

Błysnął oczami w moją stronę.

– Moja komórka nie mogła się wycofać bez krycia. Zostałem z tyłu.

– Godne podziwu. – Hand pokiwał głową.

– To mój błąd. Ale była to niewielka cena za powstrzymanie ofensywy Kempa.

– Nie jest pan wielkim fanem Kempa, prawda, Jiang? – Starannie pilnowałem swojego tonu. Wyglądało na to, że mieliśmy tu fanatyka.

– Kempieści głoszą rewolucję – powiedział potępiająco. – Ale co się zmieni, jeśli przejmą władzę na Sanction IV?

Podrapałem się za uchem.

– Cóż, z pewnością pojawi się na skwerach dużo pomników Joshuy Kempa. Poza tym, prawdopodobnie niewiele.

– Dokładnie. I ile setek tysięcy ludzkich istnień poświęcił, żeby to osiągnąć?

– Trudno powiedzieć. Słuchaj, Jiang, nie jesteśmy kempistami. Jeśli dostaniemy to, czego chcemy, mogę ci obiecać, że wszyscy nagle zaczną być znów zainteresowani niedopuszczeniem Kempa do władzy na Sanction IV. Czy to wystarczy?

Położył dłonie płasko na stole i przez chwilę je studiował.

– Czy mam jakąś alternatywę? – zapytał.

\* \* \*

*Ameli Vongsavath:*

Wąska twarz z orlim nosem i skórą koloru patynowanej miedzi. Włosy krótko ścięte w stylu pilotów, choć zaczynały już odrastać, zdradzając farbowanie henną. Z tyłu głowy prawie zakryły już srebrne gniazda do podłączania symbiotycznych kabli kontroli lotu. Pod lewym okiem wytatuowane na czarno krzyżyki oznaczały kość, gdzie powinno mieścić się gniazdo nici danych. Kryształowoszare oczy z brązowymi plamkami w tęczówce prawego oka.

– Szpitalne badziewie – odezwała się, gdy jej wspomagany wzrok wyłapał, na co patrzę. –

W zeszłym roku nad Bootkinaree Town dostałam się w ostrzał i wywaliło mi łącze danych. Załatali mnie na orbicie.

– Doleciałaś z powrotem ze spalonymi łączami danych? – zapytałem sceptycznie. Przeciążenie powinno spalić każdy obwód w jej kości policzkowej i tkance wokół na całą dłoń. – Co się stało z autopilotem?

Wykrzywiła się.

– Spłonął.

– Więc jak sterowałaś w takim stanie?

– Wyłączyłam urządzenia i leciałam na ręcznych. Ograniczyłam się do podstawowego wektora i równowagi. To był lock mit; ich układ sterowania wciąż pozwala na ręczne sterowanie.

– Nie, chodziło mi o to, jak udało ci się sterować w stanie, w którym byłaś?

– Och. – Wzruszyła ramionami. – Mam wysoki próg bólu.

Jasne.

\* \* \*

*Luc Deprez:*

Wysoki i niechlujny, z włosami w kolorze piaskowego blondu, dłuższymi niż miało sens na polu bitwy oraz zupełnie bez stylu. Twarz składająca się z ostrych kaukaskich kątów, długi kościsty nos, szeroka szczęka i oczy w ciekawym odcieniu zieleni. Rozrzucony swobodnie na wirtualnym krześle, z głową przechyloną na bok, jakby nie był w stanie wyraźnie nas widzieć w tym świetle.

– No. – Długą ręką zgarnął ze stołu moje papierosy i wyciągnął jednego z paczki. – Zamierzacie powiedzieć mi coś na temat tego numeru?

– Nie – odpowiedział Hand. – To tajemnica do czasu przyjęcia do ekipy.

Cichy, gardłowy chichot zmieszany z dymem.

– To właśnie powiedziałaś poprzednio. I jak ci wtedy odpowiedziałem, komu mam o tym powiedzieć? Jeśli mnie nie wynajmiecie, po prostu wrócę do puszki, prawda?

– Mimo wszystko.

– No dobra. Chcecie mnie o coś spytać?

– Opowiedz nam o twojej ostatniej misji szturmowej – zasugerowałem.

– To tajne. – Przez chwilę przyglądał się naszym poważnym twarzom. – Hej, to był żart. Już opowiadałem o tym twojemu partnerowi. Nie wprowadził cię?

Usłyszałem, jak Hand wydaje z siebie rozpaczliwy dźwięk.

– Ach, to był konstrukt – wyjaśniłem pospiesznie. – Słyszemy to po raz pierwszy. Przejdź przez to dla nas jeszcze raz.

Deprez wzruszył ramionami.

– Jasne, czemu nie. Mieliśmy sprzątnąć jednego z kempistowskich dowódców sektora wewnątrz jego krążownika.

– Udało się?

Wyszczерzył do mnie zęby.

– Można tak powiedzieć. Wiesz, jego głowa odleciała.

– Tak się tylko zastanawiałem. W końcu jesteś martwy...

– Miałem pecha. Krew tej gnidy była naładowana zablokowaną toksyną. Wolnodziałającą. Odkryliśmy to dopiero, kiedy lecieliśmy do domu.

Hand zmarszczył czoło.

– Opryskało cię?

– Nie. – Na kanciastą twarz przebiło się uczucie bólu. – Moja partnerka została opryskana, kiedy poszły arterie. Prosto w oczy. – Wydmuchał dym w stronę sufitu. – Pech, była naszym pilotem.

– Ach.

– Właśnie. Wlecieliśmy prosto w budynek. – Znow się wyszczerzył. – To była szybka akcja, stary.

\* \* \*

*Markus Sutjiadi:*

Piękny, z niezwykłą geometryczną perfekcją rysów, która mogłaby konkurować z Lapinee gdzieś w sieci. Oczy o kształcie i barwie migdałów, prosta linia ust, twarz zbliżona kształtem do równobocznego trójkąta rozmytego w kątach przez szeroki podbródek i czoło, proste czarne włosy zaczesane do tyłu. Rysy dziwnie nieruchome, jakby znajdował się pod wpływem prochów. Poczucie czekającej, znieruchomiałej energii. Twarz planetarnego playboya, który ostatnio grał zbyt wiele w pokera.

– Buu! – Nie potrafiłem się temu oprzeć.

Migdałowe oczy ledwie się poruszyły.

– Obciążają pana bardzo poważne zarzuty – oświadczył Hand, posyłając mi potępiające spojrzenie.

– Tak.

Czekaliśmy przez chwilę, ale Sutjiadi najwyraźniej nie uważał, że ma cokolwiek do powiedzenia na ten temat. Zaczynał mi się podobać.

Hand machnął ręką jak magik, a w powietrzu tuż obok jego palców pojawił się ekran. Więcej cholernej magii systemu. Westchnąłem i przyglądałem się, jak obok przepływających po ekranie biodanych materializuje się głowa i ramiona w mundurze takim jak mój. Twarz była podobna.

– Zamordowałeś tego człowieka – zimno oświadczył Hand. – Zechciałbyś nam wyjaśnić dlaczego?

– Nie.

– Nie musi. – Machnąłem w stronę twarzy na ekranie. – Pies Veutin wielu ludzi przyprawiał o podobne myśli. Ja jestem po prostu ciekaw, jak udało ci się go zabić.

Tym razem w jego oczach pojawiła się iskierka zainteresowania i jego zmieszane spojrzenie spoczęło na moich insygniach Klina.

– Strzeliłem mu w tył głowy.

Kiwnąłem głową.

– Wykazujesz inicjatywę. Jest naprawdę martwy?

– Tak. Użyłem sunjeta z pełnym ładunkiem.

Hand strzeleniem palcami wywołał kolejną magiczną sztuczkę, odsyłając ekran w niebyt.

– Twój prom może i został zestrzelony, ale Klin uważa, że twój stos prawdopodobnie ocalał. Wyznaczyli nagrodę dla każdego, kto go dostarczy. Nadal chcą cię poddać formalnej egzekucji. – Zerknął na mnie pytająco. – Z tego co słyszałem, jest to dość nieprzyjemne przedsięwzięcie.

– Tak, zdecydowanie. – Widziałem kilka takich lekcji podczas kariery w Klinie. Zabiera to dużo czasu.

– Nie jestem zainteresowany przekazaniem cię do Klina – podjął Hand. – Ale nie mogę zaryzykować udziału w ekspedycji człowieka, który doprowadza niesubordynację do takiego

ekstremum. Muszę wiedzieć, co się stało.

Sutjiadi przyglądał mi się. Bardzo delikatnie zasugerowałem mu odpowiedź.

– Kazał obciąć głowy moim ludziom – powiedział sztywno.

Znów kiwnąłem głową, tym razem do siebie. Obcięcie głowy było wedle wszystkich doniesień jedną z jego ulubionych form kontaktu z lokalnymi oddziałami.

– Z jakiego powodu?

– Och, do kurwy nędzy, Hand – obróciłem się na krześle. – Nie słyszałeś go? Rozkazano mu obciąć głowy swoim podwładnym i nie chciał tego zrobić. Mogę żyć z kimś, kto nie wypełnia takiego rozkazu.

– Mogą istnieć czynniki, które...

– Tracimy czas – przerwałem mu i odwróciłem się z powrotem do Sutjiadiego. – Czy gdybyś znalazł się jeszcze raz w tej samej sytuacji, zrobiłbyś coś inaczej?

– Tak. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, choć nie jestem pewien, czy dobrze odczytałem ten grymas. – Ustawiłbym sunjeta na szeroką wiązkę. W ten sposób podgotowałbym cały jego oddział i nie byłiby w stanie mnie aresztować.

Rzuciłem spojrzenie na Handa. Potrząsał głową, jedną ręką zasłaniając oczy.

\* \* \*

*Sun Liping:*

Ciemne, mongolskie oczy schowane głęboko w fałdach skóry nad wysokimi i szerokimi kośćmi policzkowymi. Usta z kącikami lekko w dół, co mogło być efektem żalosego uśmiechu. Delikatne rysy twarzy, opalona skóra i grzywa czarnych włosów udrapowanych nad ramieniem, podtrzymywanych przez duży srebrny generator pola statycznego. Aura równie niewzruszonego spokoju.

– Zabiłaś się? – zapytałem z powątpiewaniem.

– Tak twierdzą. – Usta ze skierowanymi w dół kącikami wykrzywiły się w uśmiech. – Pamiętam pociągnięcie za spust. Miło wiedzieć, że moja celność nie spada pod wpływem stresu.

Pocisk z jej pistoletu przeszedł pod linią prawej szczęki, wbił się prosto w środek mózgu i wylatując, wybił zadziwiająco symetryczną dziurę w górze głowy.

– Trudno byłoby spudłować na taką odległość – oświadczyłem, próbując brutalnego tonu.

Spokojne oczy nawet nie zamrugały.

– Rozumiem jednak, że to możliwe – powiedziała ponuro.

Hand odchrząknął.

– Zechciałaby pani powiedzieć nam, dlaczego pani to zrobiła?

Zmarszczyła czoło.

– Znów?

– Tamto – oświadczył Hand przez lekko zaciśnięte zęby – to był konstrukt do przesłuchań, nie ja.

– Och.

Jej oczy skoczyły w bok i do góry, jak przypuszczałem, w poszukiwaniu podpiętego do siatkówki wyświetlacza. Wirtual został napisany tak, że nie pozwalał na generację wewnętrznego okablowana poza pracownikami Mandrake, ale nie wykazała zdziwienia brakiem odpowiedzi, więc może po prostu przypominała to sobie staroświeckim sposobem.

– To był szwadron automatów. Czołgi pajęczce. Próbowałam zmienić ich parametry reakcji, ale

w ich systemy kontrolne wmontowano pułapkę wirusową. Wydaje mi się, że wariant Rawlinga. – Znów łagodny grymas. – Jak nietrudno się domyślić, brakowało czasu na usunięcie stosu, więc nie jestem pewna. W każdym razie nie miałam czasu na wypięcie się, pierwsze fale wirusa już mnie namierzyły. W czasie, jaki mi pozostał, zanim w pełni się załadował, udało mi się wymyślić tylko jedną opcję.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdził Hand.

\* \* \*

Kiedy było po wszystkim, wróciliśmy z powrotem na dach, by odświeżyć umysł. Oparłem się o parapet i wyrzałem na zewnątrz, na spokojne Landfall objęte godziną policyjną, podczas gdy Hand poszedł przynieść kawę. Taras za mną był opuszczony, z krzesłami i stołami rozrzuconymi jak jakaś hieroglificzna wiadomość zostawiona dla orbitalnych oczu. Kiedy byliśmy na dole, noc zrobiła się zimna, a bryza sprawiła, że zadrzałem. Wróciły do mnie słowa Sun Liping.

*Wariant Rawlinga.*

To właśnie wirus Rawling zabijał na przyczółku Innenin. Spowodował, że Jimmy de Soto wydrapał przed śmiercią własne oko. W tamtych czasach najwyższej klasy technika, teraz tani wojskowy demobil z półki, jedyny soft wirusowy, na jaki mogli sobie pozwolić przyciśnięci ludzie Kempa.

Czasy się zmieniają, ale siły *rynku* są wieczne. Historia się rozwija, ale naprawdę martwi już tacy pozostają.

Reszta uczy się iść dalej.

Hand wrócił, przepaszając wręczając mi puszkę z kawą z automatu. Oparł się o parapet obok mnie.

– I jak myślisz?

– Myślę, że smakuje jak łajno.

Zachichotał.

– Co powiesz o naszym zespole?

– Nadadzą się. – Popijałem kawę i wpatrywałem się w miasto w dole. – Nie jestem przesadnie szczęśliwy z powodu ninji, ale ma przydatne umiejętności i chyba jest gotów zginąć, wypełniając obowiązki, co zawsze jest dużą zaletą u żołnierza. Ile potrwa przygotowanie klonów?

– Dwa dni. Może trochę krócej.

– Dwa razy tyle potrwa, zanim ci ludzie dojdą do odpowiednich odruchów w nowych powłokach. Możemy zrobić indukcję w wirtualu?

– Nie widzę powodu, żeby z tego rezygnować. SIM może przygotować stuprocentowo dokładne renderingi dla każdego kлона z danych w maszynach biolaboratorium. Przy trzystupięćdziesięciokrotnym przyspieszeniu w stosunku do czasu rzeczywistego możemy dać całej grupie pełen miesiąc w nowych powłokach na terenie konstruktu Dangrek, a wszystko w ciągu kilku godzin czasu rzeczywistego.

– Dobrze – odpowiedziałem i zacząłem się zastanawiać, czemu nie czuję się zadowolony.

– Moje zastrzeżenia dotyczą Sutjiadiego. Nie jestem przekonany, czy po tego rodzaju człowieka można się spodziewać dobrego przyjmowania rozkazów.

Wzruszyłem ramionami.

– Więc daj mu dowództwo.

– Mówisz poważnie?

– Czemu nie? Ma do tego kwalifikacje, odpowiedni stopień i doświadczenie. Wydaje się być lojalny w stosunku do swoich ludzi.

Hand nie odpowiedział. Czuję, jak marszczy czoło.

– Co?

– Nic. – Odchrząknął. – Po prostu... zakładałem, że sam będziesz chciał dowodzić.

Znów zobaczyłem pluton w chwili, gdy inteligentny szrapnel wybuchł nam nad głowami. Błysk, eksplozja i odłamki, pędzące z wściekłym sykiem przez srebrną zasłonę deszczu. W tle trzeszczące wyładowania z blastera, jak drący się materiał.

Krzyki.

To, co wylądowało na mojej twarzy, nie sprawiało wrażenia uśmiechu, ale najwyraźniej nim było.

– Co cię tak bawi?

– Czytałeś moje akta, Hand.

– Tak.

– I mimo wszystko myślałeś, że będę chciał dowodzić. Powaliło cię?

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kawa nie pozwoliła mi usnąć.

Hand poszedł do łóżka czy innego pojemnika, do którego wpełzał, kiedy nie potrzebowała go Mandrake, zostawiając mnie wpatzonego w pustynną noc. Przeszukałem niebo w poszukiwaniu Słońca i znalazłem je, błyszczące na wschodzie u podstawy konstelacji, którą tubylcy nazywali Kciukiem Domu. Przypomniałem sobie słowa Handa.

*... tak daleko od Ziemi, że trzeba się nieźle wysilić, żeby znaleźć na niebie Słońce. Zostaliśmy tu przyniesieni na wietrze wiejącym w wymiarach, których nie jesteśmy w stanie zobaczyć ni dotknąć. Zamknijęci jako sny w umyśle maszyny...*

Odrzuciłem to od siebie, poirytowany.

Nie, żebym się tam urodził. Ziemia nie była dla mnie domem w większym stopniu niż Sanction IV, a jeśli ojciec pokazał mi kiedyś Słońce w przerwach między urządzanymi nam pijackimi burdami, nie pamiętałem tego. Wszelkie znaczenie tego światełka odebrałem z dysków. A stąd nie było nawet widać gwiazdy, wokół której kręcił się Świat Harlana.

*Może na tym polega problem.*

A może po prostu to fakt, że byłem tam, w legendarnej kolebce rasy ludzkiej, i teraz, patrząc w górę, mogłem sobie wyobrazić w odległości jednostki astronomicznej od gwiazdy wirującą planetę, miasto nad brzegiem morza zapadające w mrok z nastaniem nocy lub wracające do światła, zaparkowany gdzieś policyjny radiowóz i pewną panią porucznik policji, pijącą kawę nie lepszą od mojej i może myślącą...

*Dość tego, Kovacs.*

*Gdybyś nie wiedział – światło, na które patrzysz, opuściło Słońce pięćdziesiąt lat przed jej urodzeniem. A ta powłoka, na temat której fantazjujesz, ma teraz sześćdziesiąt lat, jeśli w ogóle wciąż ją jeszcze nosi. Daj spokój.*

*Jasne, jasne.*

Wytrząsałem z puszek ostatnie krople kawy i skrzywiłem się, bo były zimne. Sądząc po wyglądzie horyzontu na wschodzie, zbliżał się świt, i nagle poczułem przemożne pragnienie, żeby znaleźć się gdzie indziej. Zostawiłem pojemnik z kawą na straży parapetu i przez porozsuwane krzesła i stoły odnalazłem drogę do najbliższej windy.

Winda opuściła mnie trzy piętra do mojego apartamentu i udało mi się przejść łagodną krzywizną korytarza nikogo nie spotykając. Wyciągałem z gniazda przy drzwiach skaner siatkówki przyczepiony nitkowato cienkim kablem, kiedy odgłos kroków w absolutnej ciszy rzucił mnie pod przeciwną ścianę. Prawą ręką sięgnąłem po pojedynczy pistolet interfejsowy, który wciąż z przyzwyczajenia nosiłem wciśnięty za pasek.

Czubek.

*Jesteś w wieży Mandrake, Kovacs. Poziomy dyrektorskie. Tutaj bez autoryzacji nie dostanie się nawet kurz. Daj sobie spokój, cholera.*

– Kovacs?

Głos Tanyi Wardani.

Przełknąłem ślinę i odepchnąłem się od ściany. Wardani wyłoniła się zza krzywizny korytarza i przyjrzała mi się w napięciu.

– Przepraszam, wystraszyłam cię?

– Nie. – Ponownie wyciągnąłem rękę po skaner siatkówki, który zwinął się do ściany, gdy sięgnąłem po kałasznikowa.



– Byłeś na nogach całą noc?

– Tak. – Przyłożyłem czytnik do oka, a drzwi się otworzyły. – A ty?

– Mniej więcej. Próbowałam przespać się kilka godzin temu, ale... – wzruszyła ramionami – jestem zbyt spięta. Skończyliście już?

– Rekrutację? Tak.

– Jacy oni są?

– Wystarczająco dobrzy.

Drzwi wydały z siebie przepaszające brzęknięcie, zwracając uwagę na to, że nikt przez nie jeszcze nie przeszedł. – Czy ty...

– Chcesz... – machnąłem ręką w stronę pokoju.

– Dzięki. – Poruszyła się niezgrabnie i weszła pierwsza.

Zewnętrzna ściana pokoju wykonana była ze szkła, które wychodząc, zostawiłem w trybie półprzezroczystym. Światła miasta przebłyskiwały przez przydymioną powierzchnię jak głębinowe, świecące ryby schwymane w sieci trawlera z Millsport. Wardani zatrzymała się pośrodku gustownie umeblowanego pomieszczenia i odwróciła się.

– Ja...

– Usiądź. Te fioletoworóżowe to fotele.

– Dzięki. Jeszcze się do nich nie przyzwyczaiałam.

– Najwyższa klasa. – Przyglądałem się, jak przysiada na brzegu jednego z modułów, a ten bezskutecznie usiłuje ukształtować się odpowiednio do jej ciała. – Napijesz się?

– Nie, dzięki.

– Fajka?

– Boże, nie.

– Więc jak tam twój sprzęt?

– Jest dobry. – Kiwnęła głową, bardziej do siebie niż do mnie. – Tak. Dostatecznie dobry.

– To dobrze.

– Myślisz, że jesteśmy prawie gotowi?

– Ja... – Przysłoniłem powiekami błysk w oku i podszedłem do jednego z pozostałych siedzisk, ostrożnie się w nim sadowiąc. – Czekamy na rozwój wypadków. Wiesz o tym.

– Tak.

Cisza.

– Myślisz, że to zrobią?

– Kto? Kartel? – Potrząsnąłem głową. – Nie, jeśli będą w stanie tego uniknąć. Ale Kemp może. Słuchaj, Tanya. To w ogóle nie musi się zdarzyć. Ale czy nastąpi, czy nie, żadne z nas nie ma na to wpływu. Jest już za późno na tego rodzaju interwencje. Tak działa wojna. Abolicja indywidualności.

– Co to ma być? Jakiś quellistowski epigram?

Uśmiechnąłem się.

– Tak, luźna parafraza. Chcesz wiedzieć, co Quell miała do powiedzenia na temat wojny i wszystkich konfliktów z przemocą?

Wykonała niedbały gest.

– Raczej nie. OK, dobra. Powiedz mi. Czemu nie. Powiedz mi coś, czego jeszcze nie słyszałam.

– Powiedziała, że wojny toczy się z powodu hormonów. Przeważnie męskich. Wcale nie chodzi o zwycięstwo i przegraną, tylko o wyładowanie hormonów. Napisała wiersz na ten temat, jeszcze zanim zeszła do podziemia. Zobaczmy...

Zamknąłem oczy i wróciłem myślą do Świata Harlana. Melina na wzgórzach nad Millsport.

Skradziony biosprzęt rzucony w kącie, fajki i poakcyjne celebracje kłębiące się w powietrzu. Luźne dyskusje o polityce z Virginią Viadurą i jej ekipą, niesławnymi Małymi Niebieskimi Robaczkami. Quellistowskie cytaty i poezja rzucona w obie strony.

– Coś cię boli?

Otworzyłem oczy i rzuciłem jej spojrzenie pełne wyrzutu.

– Tanya, te rzeczy zostały w większości napisane w stripjapie. To język handlu na Świecie Harlana, dla ciebie czysty bełkot. Usiłuję przypomnieć sobie amangielską wersję.

– Cóż, wygląda, jakbyś czuł przy tym ból. Nie bicuj się z mojego powodu. Uniosłem dłoń.

– Idzie to mniej więcej tak:

*W męskich powłokach*

*Wstrzymajcie swe hormony*

*Lub zużyjcie je w jękach*

*Innego kalibru*

*(Zapewnimy was – ładunek jest dostatecznie duży)*

*Pompowana krwią*

*Duma z waszej sprawności*

*Zawiedzie was, spieprzy was*

*I wszystko, czego dotkniecie*

*(Zapewnicie nas – cena jest dostatecznie niska)*

Usiadłem wygodniej. Pociągnęła nosem.

– Trochę dziwne podejście jak na rewolucjonistkę. Czy nie prowadziła jakiegoś krwawego powstania? Walka na śmierć przeciw tyranii Protektoratu czy coś takiego?

– Tak. Prawdę mówiąc, kilka rodzajów krwawych powstań. Ale nie ma dowodu na to, że zginęła. Zniknęła w trakcie ostatniej bitwy o Millsport. Nigdy nie odzyskali jej stosu.

– Nie bardzo widzę, jak szturmowanie bram waszego Millsport pasuje do tego wiersza.

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż, nigdy tak naprawdę nie zmieniła swoich poglądów na temat źródeł przemocy, nawet w szczytowym momencie konfliktu. Po prostu uświadomiła sobie, że nie da się tego uniknąć. Przypuszczam. Zmieniła swoje działania, dostosowując je do terenu.

– Niezbyt głęboka ta filozofia.

– Ano, niezbyt. Ale quellizm nigdy nie był zbyt mocny w dogmatach. Mniej więcej jedyne credo, do którego przyznawała się Quell, to *Stańcie przed faktami*. Chciała mieć na nagrobku taki napis. *Stańcie przed faktami*. To oznacza: radźcie sobie z nimi, a nie ignorujcie czy udawajcie, że stanowią tylko jakąś historyczną niedogodność. Zawsze twierdziła, że nie da się kontrolować wojny. Nawet kiedy sama jedną zaczynała.

– Dla mnie brzmi to jak defetyzm.

– Wcale nie. To po prostu uświadomienie sobie niebezpieczeństwa. Stawanie przed faktami. Nie zaczynajcie wojen, jeśli tylko możliwe jest ich uniknięcie. Ponieważ kiedy już to zrobicie, nie da się ich rozsądnie kontrolować. Nikt nie może nic zrobić. Trzeba tylko myśleć o tym, żeby przetrwać, podczas gdy one pędzą swoim hormonalnym kursem. Trzymać się drogi i nie dać ponieść. Zostać przy życiu i przeczekać wyładowanie.

– Niech ci będzie. – Ziewnęła i wyjrzała przez okno. – Nie jestem zbyt dobra w czekaniu,

Kovacs. Pewnie myślisz, że archeologia mogła mnie z tego wyleczyć, prawda? – Nieśmiały, cichy śmiech. – To i... obóz...

Wstałem gwałtownie.

– Przyniosę ci tę fajkę.

– Nie. – Nie poruszyła się, ale jej głos był ostry i zdecydowany. – Nie potrzebuję niczego zapomnieć, Kovacs. Potrzebuję...

Odchrząknęła.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Ze mną. To, co już mi zrobiłeś. Widzisz... – Spojrzała w dół, na swoje dłonie. – To miało skutki, których... się nie spodziewałam.

– Ach. – Usiadłem z powrotem. – To.

– Tak, to. – W jej głosie zabrzmiał teraz gniew. – Myślę, że to ma sens. To proces wiążący emocjonalnie.

– Tak, to prawda.

– Tak, to prawda – powtórzyła. – Cóż, jest jedna emocja, którą muszę wcisnąć z powrotem na miejsce i naprawdę nie widzę na to innego sposobu, niż pieprzyć się z tobą.

– Nie jestem pewien, czy...

– Nie dbam o to – powiedziała ostro. – Zmieniłeś mnie. Naprawiłeś. – Jej głos przycichł. – Przypuszczam, że powinnam być wdzięczna, ale nie tak to odbieram. Nie czuję się wdzięczna, czuję się naprawiona. Ty to zrobiłeś, a ja chcę odzyskać tę część mnie.

– Tanya, słuchaj, nie jesteś w tej chwili w formie...

– Och. – Uśmiechnęła się słabo. – Rozumiem, że nie jestem w tej chwili szczególnie atrakcyjna seksualnie dla nikogo, może za wyjątkiem...

– Nie to miałem na myśli.

– ...kilku świrów, którzy lubią pieprzyć zagłodzone pisklaki. Nie, będziemy musieli to zmienić. Pójdziemy na to do wirtualu.

Usiłowałem zrzucić z siebie ogarniające mnie wrażenie nierealności.

– Chcesz to zrobić w tej chwili?

– Tak, chcę. – Kolejny półuśmiech. – To interferuje z moimi snami, Kovacs. A w tej chwili potrzebuję snu.

– Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

– Tak. – Przypominało to dziecięcą grę w „kto się odważy”.

– Więc gdzie dokładnie?

– Na dole. – Wstała i spojrzała na mnie z góry. – Wiesz, zadajesz sporo pytań jak na faceta, który właśnie ma iść z kimś do łóżka.

\* \* \*

Na dole oznaczało piętro mniej więcej w połowie wysokości wieży, które według windy stanowiło poziom rekreacyjny. Drzwi otworzyły się na niepodzieloną przestrzeń centrum fitness, pełną przypominających groźne, olbrzymie insekty urządzenia. W tyle sali zauważyłem przechylone sieci około tuzina stanowisk wirtualnych podłączeń.

– Zrobimy to tutaj? – zapytałem niechętnie.

– Nie. Z tyłu są zamykane pomieszczenia. Chodź.

Przeszliśmy przez las nieruchomych urządzeń, ze światełkami błyskającymi na, pod i między nimi, które gasły, gdy je mijaliśmy. Przyglądałem się temu wszystkiemu z neurastenicznej jaskini,

rosnącej wokół mnie jak koral, od kiedy zjechałem z dachu. Za dużo wirtualu robi czasem z człowiekiem takie rzeczy. Przy odłączaniu pojawia się w głowie to niewyraźne uczucie zużycia, niepokojące wrażenie, że rzeczywistość nie jest już dostatecznie wyraźna, topniejące i zanikające rozmycie, które może dać pojęcie, jak wygląda skraj szaleństwa.

Lekarstwem na to zdecydowanie *nie* jest więcej czasu w wirtualu.

Było tam dziewięć zamkniętych kabin, modułowych pęcherzyków wystających z końcowej ściany pod odpowiednimi numerkami. Siedem i osiem były półotwarte, rozświetlając mrok słabym, pomarańczowym światłem wokół krawędzi wjazdu. Wardani stanęła przed siódmką, a drzwi otworzyły się na zewnątrz. Szczelinę wypełniło miłe pomarańczowe światło dostrojone do łagodnego hipnorytmu. Nic jaskrawego. Odwróciła się, by na mnie spojrzeć.

– Idź dalej – powiedziała. – Ósemka jest podporządkowana tej. Po prostu wybierz w menu „współzmysłowe”.

I zniknęła w pomarańczowym blasku.

Wewnątrz modułu ósmego ktoś uznał za stosowne ozdobić ściany i dach empatystyczną sztuką psychogramową, która w hipnotycznym oświetleniu zdawała się nie więcej niż przypadkowym zbiorem rybich ogonów i spiral. Z drugiej strony, tak właśnie wygląda większość sztuki empatystów w dowolnym świetle. Powietrze było tuż po właściwej stronie znaczenia słowa „ciepły”, a za automatycznie dostosowującą kształty leżanką stał wieszak na ubrania w kształcie skomplikowanej metalowej spirali.

Rozebrałem się, położyłem na leżance, założyłem hełm i gdy włączyły się wyświetlacze, wcisnąłem błyszczący klawisz współzmysłowości. Pamiętałem jeszcze, żeby włączyć opcję sprzężenia fizycznego, i tuż potem zastartował system.

Pomarańczowe światło zdawało się gęstnieć, przybierając formę mglistej substancji, przez którą płynęły zawirowania i mazaje psychogramu, sprawiając wrażenie jakichś złożonych równań albo życia w sadzawce. Przez chwilę zastanawiałem się, czy artysta planował któreś z tych porównań – empatyści to dziwny ludek – a potem pomarańcz zaczął niknąć i rozpadać się jak para, i nagle znalazłem się w potężnym tunelu z czarnych, metalowych paneli, rozświetlonym tylko przez linie czerwonych, błyskających diod, ciągnących się w nieskończoność w obu kierunkach.

Przedemną z kratki wentylacyjnej wypłynęła kolejna porcja pomarańczowego oparu, przybierając po chwili rozpoznawalną żeńską postać. Przyglądałem się zafascynowany, jak z ogólnych zarysów zaczęła wyłaniać się Tanya Wardani, początkowo zbudowana wyłącznie z migotliwego dymu, potem stopniowo nabierając ciała od głowy w dół. Początkowo była osłonięta tylko niewielkimi łatami pary, a gdy i te się rozpląnęły, stanęła całkiem naga.

Zerkając w dół na siebie, przekonałem się, że i ja byłem nagi.

– Witamy na pokładzie startowym.

Kiedy znów na nią spojrzałem, od razu pomyślałem, że już się sobą zajęła. Większość konstruktów ładuje się z obrazami ciała, jakie przechowuje w pamięci, z procedurami usuwającymi wszystko, co wynika ze zbyt daleko posuniętej wyobraźni – w sumie ładuje się tu z mniej więcej takim samym wyglądem, jak w rzeczywistości, plus centymetr czy dwa i może kilka kilo mniej. Wersja Tanyi Wardani, na którą patrzyłem, nie miała tego rodzaju ograniczeń – prezentowała ogólny okaz zdrowia, którego nie odzyskała jeszcze w realnym świecie. Oczy były mniej zapadnięte, kości policzków i karku mniej wyraźne. Pod lekko obwisłymi piersiami widać było żebra, ale nie tak wystające jak teraz, tak przynajmniej mi się wydawało.

– Poza salą przesłuchań w obozie nie mieli za dużo luster – rzuciła, być może odczytując coś z wyrazu mojej twarzy. – A poza tym, po jakimś czasie wolałam nie widzieć się w mijanych oknach.

Prawdopodobnie nadal wyglądam o wiele gorzej, niż mi się wydaje. Zwłaszcza po tej szybkiej naprawie, jaką mi zaaplikowałaś.

Nie byłem w stanie wymyślić niczego, co choćby w najmniejszym stopniu nadawało się do powiedzenia.

– Z drugiej strony... – Podeszła i sięgnęła nisko, łapiąc mnie za członka. – No cóż, zobaczmy, co tu mamy.

Stwardniał niemal natychmiast.

Może zostało to wpisane w protokoły tego systemu, a może po prostu zbyt dawno się nie wyładowywałem. A może zrodziła się we mnie jakaś nieczysta fascynacja, wynikająca z pragnienia, by osiąść to ciało, zniszczone głodem i przesłuchaniami – dość, by ujawnić maltretowanie, jakiemu ją poddano, za słabo, by odrzucać. *Świry, które lubią pieprzyć zagłodzone pisklaki?* Nie da się powiedzieć, jak może być okablowana na tym poziomie powłoka bojowa. Albo dowolna męska powłoka, skoro się nad tym zastanowić. Co się pod nią kryje, zagrzebane w krwawych głębinach hormonalnych fundamentów, gdzie przemoc, seks i władza rosną pospołu. Tam w głębinach jest strasznie ciemno. Nie da się stwierdzić, co się wykopie, gdyby zacząć grzebać.

– Tak dobrze – wydyszała nieoczekiwanie blisko mojego ucha. – Ale ja nie jestem tyle warta. Nie dbałeś o siebie, żołnierzu.

Jej druga ręka z szeroko rozsuniętymi palcami przesunęła się od podstawy mojego członka do mostka, jak stolarska rękawica ścierna wygładzając warstewkę tłuszczu, który zaczął zbierać się nad wyhodowaną w zbiorniku muskulaturą brzucha. Spojrzałem w dół i z lekkim oszołomieniem zauważyłem, że część tłuszczu faktycznie zaczęła znikać w miejscach, gdzie przesunęła dłoń. Pozostawiała po sobie rozszerzające się w mięśniach uczucie ciepła, jak spływająca w przelęku whisky.

*Magia systemowa*, zdołałem pomyśleć przez spazm wywołany mocnym pociągnięciem zaciśniętej na mnie ręki, gdy zaczęła powtarzać wygładzający gest na moim członku.

Uniosłem do niej dłoń, ale się cofnęła.

– Um-m. – Cofnęła się jeszcze jeden krok, – Jeszcze nie jestem gotowa. Spójrz na mnie.

Uniosła dłonie do swoich piersi. Wypchnęła je w górę, naciskając nadgarstkami, potem pozwoliła im opaść, większym i pełniejszym. Sutki – czy jeden z nich nie był wcześniej przerwany? – nabrzmiały czernią i sterczały jak czekoladowe osłonki na miedzianej skórze.

– Podobają ci się? – zapytała.

– Bardzo.

Powtórzyła gest otwartymi dłońmi, wspomagając go kolistym, masującym ruchem. Kiedy tym razem puściła, jej piersi znajdowały się na dobrej drodze do rozmiarów jednej z przeczących prawom grawitacji konkubin Djoko Roespinoedjiego. Sięgnęła w tył i zrobiła coś podobnego ze swoimi pośladkami, odwracając się, by zaprezentować mi kreskówkowe krągłości, jakie im nadała. Nachyliła się do przodu i rozchyliła wargi.

– Poliz mnie – zażądała z nagłym pożądaniem.

Opadłem na jedno kolano i przycisnąłem twarz do przerwy, dżgając językiem, liząc wokół ciasnego skrzytu zamkniętego zwieracza. Owinąłem ramię wokół jednego z długich ud, żeby się przytrzymać, a drugą ręką sięgnąłem do przodu i stwierdziłem, że jest już wilgotna. Mój kciuk zapadł się w nią od przodu, podczas gdy język zagłębiał się coraz bardziej od tyłu, a oba przesuwwały się w łagodnych, zsynchronizowanych ruchach w jej wnętrzu. Jęknęła gdzieś z głębi gardła i...

Przeskoczyliśmy...

... w płynny błękit. Zniknęła podłoga, a razem z nią większość grawitacji. Wierznąłem

i straciłem równowagę. Wardani wolno okręciła się dookoła i otoczyła mnie jak pięknorost skałę. Płyn nie był wodą; sprawiał, że nasza skóra gładko ślizgała się po sobie, i mogliśmy nim oddychać, jakby było to tropikalne powietrze. Wciągnąłem go pełne płuca, gdy Wardani zsunęła się w dół, gryząc mnie w piersi i żołądek, i w końcu biorąc w dłonie i usta mój naprężony członek.

Nie trwało to długo. Unosząc się w nieskończonym błękitcie, nowo ukształtowane pneumatyczne piersi Tanyi Wardani przyciskały się do moich bioder, jej sutki przesuwwały się w górę i w dół po mojej oleistej skórze, jej palce pompowały, a usta ssały. Miałem akurat dość czasu, by zauważyć źródło światła nad nami, zanim mięśnie karku zaczęły mi się napręzać, odginając głowę w tył, a intensywnie drgające wiadomości przesyłane nerwami zebrały się w końcowy szczyt.

W konstrukt wbudowano zgubny efekt odtwarzania wibracji. Mój orgazm ciągnął się przez trzydzieści sekund.

Kiedy wygasł, Tanya Wardani przedryfowała obok mnie, z włosami rozrzuconymi wokół twarzy i nitkami nasienia wydmuchanymi razem z pęcherzykami powietrza z kącików jej uśmiechu. Wyciągnąłem rękę i złapałem jedno z ud, przyciągając ją z powrotem do siebie.

Kiedy zanurzył się w niej mój język, wyprężyła się w analogu wody, a z jej ust wyleciały kolejne pęcherzyki. Przez płyn przeniósł się pogłos jej jęku, który odebrałem we wnętrznościach jak przyjemne wibracje silnika odrzutowego, i poczułem, jak reaguję zeszywnieniem. Mocniej przycisnąłem język, zapominając o oddychaniu i odkrywając nagle, że od dłuższego czasu wcale nie muszę tego robić. Wardani wiała się coraz intensywniej, aż w pewnym momencie objęła mnie udami i zahaczyła stopy za moimi plecami, blokując się w miejscu. Chwyciłem dłońmi i ścisnąłem jej pośladki, wciskając twarz w głąb fałd jej sromu, po czym wsunąłem kciuk z powrotem do jej wnętrza i ponownie podjąłem łagodny, okrężny ruch w przeciwną stronę niż poruszający się spiralnie język. Chwyciła moją głowę i wgniotła mi twarz w swoje ciało. Jej drzenie przeszło w dygotanie, a jęk przerodził się w coraz głośniejszy krzyk, wypełniający mi uszy jak dźwięk fali przyboju. Ssałem. Zeszywniała, krzyknęła, a potem dygotała przez kilka minut.

Razem dryfowaliśmy ku powierzchni. Za horyzont chował się wolno nierealny astronomicznie czerwony gigant, zalewając przywróconą nagle do rzeczywistości wodę wokół nas połyskliwym światłem. Wysoko na wschodzie wisiały dwa księżyce, a za nami fale rozbijały się na plaży ze śnieżnobiałego piasku otoczonej przez palmy.

– Ty to napisałaś? – zapytałem, rozchlapując wodę i wskazując na widok.

– Och nie. – Starła wodę z oczu i zgarnęła włosy do tyłu. – Jest z półki. Dzisiaj po południu sprawdziłam, co tu mają. Czemu, podoba ci się?

– Jak dotąd. Ale wydaje mi się, że to słońce stanowi astronomiczną bzdurę.

– No cóż, oddychanie pod wodą też nie jest całkowicie realistyczne.

– Nie miałem okazji oddychać. – Uniosłem zagięte ręce nad wodą, naśladowując uchwyt, w który złapała moją głowę, i zrobiłem minę jak ktoś, kogo właśnie odcięto z szubienicznego sznura. – Z czymś ci się to kojarzy?

Ku mojemu zdziwieniu oblała się czerwienią. Potem roześmiała się, chlusnęła mi wodą w twarz i popędziła do brzegu. Przez chwilę ze śmiechem ścierałem wodę z twarzy, potem ruszyłem za nią.

Piasek był ciepły, drobnoziarnisty i dzięki magii systemowej zupełnie nie przyklejał się do mokrej skóry. Za plażą z palm kokosowych sporadycznie spadały orzechy, które jeśli nikt ich nie zbierał, pękały same na części, odnoszone przez maleńkie kraby w kolorach klejnotów.

Pieprzyliśmy się znów na brzegu wody. Tanya Wardani dosiadła mojego członka, ciepłymi idealnymi pośladkami miękko opierając się na moich skrzyżowanych nogach. Zatopiłem twarz w jej piersiach, a dłońmi schwyciłem w talii i unosiłem lekko w górę i w dół, aż znów pojawiło się

drzenie, łapiąc mnie jak zaraźliwa gorączka i przechodząc przez nas oboje. Procedura odtwarzania wibracji miała wbudowany system rezonansowy, który przerzucał między nami orgazm jak oscylujący sygnał, zalewając nas i oplatając przez czas, który zdawał się wiecznością.

To była miłość. Idealna kompatybilność pasji, schwytana, wydestylowana i wzmocniona niemal ponad ludzkie możliwości.

– Włączyłeś sprzężenie? – zapytała mnie później, oszołomiona.

– Oczywiście. Myślisz, że chciałbym przechodzić przez to wszystko, a potem wynurzyć się pełen buzujących hormonów i spermy?

– Przechodzić? – Uniosła głowę z piasku, rozłoszczona.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko.

– Jasne. To dla twojej korzyści, Tanya. Inaczej by mnie tu nie było... Hej, nie ma rzucania piaskiem.

– Pieprzony...

– Słuchaj...

Ostłoniłem się ramieniem przed garścią piachu i pchnąłem ją w fale. Ze śmiechem wywróciła się na plecy. Stałem w absurdalnej pozycji bojowej Mickiego Nozawy, podczas gdy się podnosiła. Coś z *Demonów syreniej pięści*.

– Nie próbuj dotykać mnie swoimi rękami profana, kobieto.

– Moim zdaniem wyglądasz, jakbyś chciał, żeby się do ciebie dobrać – odpowiedziała, wytrząsając wodę z włosów i wskazując palcem mój członek.

Miała rację. Widok wynurzającego się z wody jej magicznie ulepszonych ciała wysłał znów sygnały do moich nerwów, a żołądek członka napełniał się już krwią jak dojrzewająca śliwka pokazywana na przyspieszonym podglądzie.

Rozluźniłem się i rozejrzałem po konstrukcie.

– Wiesz, Tanya, z półki czy nie, to naprawdę niezły towar.

– No cóż, miało plakietkę z akceptacją zeszłorocznego CyberSex Down. – Wzruszyła ramionami. – Zaryzykowałam. Chcesz znów spróbować wody? A może wodospad? Powinien być gdzieś tam za drzewami.

– Brzmi nieźle.

Po drodze przez pierwszą linię palm, których potężne, falliczne pnie sterczały z piasku jak szyje dinozaurów, zgarnąłem z piasku świeżo spadły orzech kokosowy. Kraby rozbiegły się z komiczną szybkością, pędząc do jamek w piachu, z których ostrożnie wystawiały oczy na szypułkach. Obróciłem orzech w dłoniach. Przekonałem się, że mały kawałek oderwał się już od zielonej skorupy, odsłaniając miękkie, gumowate wnętrze. Miły drobiazg. Przebiłem wewnętrzną błonę kciukiem i przechyliłem jak tykwę. Mleczko w środku było nieprawdopodobnie schłodzone.

Kolejny miły motyw.

Poszycie leśne w głębi było wygodnie pozbawione wszelkich ostrych śmieci i owadów. Skądś spływała woda, rozpryskując się z przykuwającym uwagę czystym dźwiękiem. Między pniami palm biegła wyraźna ścieżka, wiodąca w stronę źródła odgłosów. Przeszliśmy, trzymając się za ręce, pod parasolami palmowych liści, między którymi uwijały się jaskrawe ptaki i małe małpki, wydając podejrzanie harmonijne skrzeki.

Wodospad miał dwa stopnie, woda spadała najpierw długą strugą do szerokiego basenu, a potem, burząc się na skałach, ze znacznie mniejszej wysokości do mniejszego jeziora. Doszedłem tam pierwszy i stanąłem na mokrych kamieniach na brzegu drugiego basenu, po czym podparłszy się pod boki, zacząłem wpatrywać się w dół. Powstrzymałem uśmiech. Miała idealną okazję wepchnąć

mnie do wody.

Nic.

Odwróciłem się, by na nią spojrzeć, i zauważyłem, że lekko dygocze.

– Hej, Tanya. – Spojrzałem na jej twarz, którą uniosłem w dłoniach. – Wszystko w porządku?

O co chodzi?

Ale wiedziałem, o co chodziło.

Techniki Emisariuszy czy nie, leczenie jest skomplikowanym, powolnym procesem, który zawali się, jak tylko odwrócisz się do niego plecami.

Cholerny obóz.

Wszechobecne podniecenie znikło, wyciekając z mojego systemu jak sok ze ściśniętej cytryny.

Obudziła się we mnie furia.

Cholerna wojna.

Gdybym miał tu teraz Isaaca Carrerę i Joshuę Kempa, pośrodku tego rajskiego zakątka wyrwałbym im wnętrzności gołymi rękami, związałbym je razem i kopniakiem posłał ich do jeziora, żeby utonęli.

*W tej wodzie nie da się utonąć*, odpowiedziała jakaś część mnie, która nigdy nie pozwoli mi wyłączyć zadowolona z siebie samokontrola Emisariusza. *W tej wodzie można oddychać*.

Może ludzie tacy jak Kemp i Carrera nie mogliby tego zrobić.

Jasne.

Więc zamiast tego objąłem Tanyę Wardani, przycisnąłem do siebie i wskoczyłem za nas oboje.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wyszedłem z nozdrzami pełnymi alkalicznego zapachu i brzuchem lepkiem od świeżej spermy. Jądra bolały mnie jak po kopnięciu. Wyświetlacz nad głową przełączył się w tryb oczekiwania. W rogu pulsował zegar. Byłem tam niecałe dwie minuty czasu rzeczywistego.

Usiadłem półprzytomnie.

– Pieprzyć... to... – Odchrząknąłem i rozejrzałem się. Tuż obok leżanki na ścianie zamontowano rolkę ze świeżym ręcznikiem samonawilżającym, prawdopodobnie właśnie w tym celu. Oderwałem spory kawałek i dokładnie się wytarłem, próbując mruganiem odegnać sprzed oczu wirtualizację.

Kiedy już Wardani przestała się trząść, kochaliśmy się leniwie pod wodą, w zbiorniku pod wodospadem.

Pieprzyliśmy się znów na plaży.

Pieprzyliśmy się jeszcze raz na pokładzie startowym, w ostatniej chwili przed opuszczeniem tamtego miejsca.

Urwałem więcej ręcznika, wytarłem twarz i oczy. Ubrałem się powoli i schowałem pistolet, mrugając, gdy wsuwał się za pasek, dotykając obolałego krocza. Na ścianie kabiny znalazłem lustro i zajrzałem do niego, próbując dojść, co się tam ze mną stało.

Psychoklej Emisariuszy.

Użyłem go wobec Wardani wcale się nad tym nie zastanawiając, a teraz kobieta podniosła się i chodziła o własnych siłach. Tego właśnie chciałem. Uzależnienie było niemal nieuniknionym efektem ubocznym, ale co z tego? Tego rodzaju rzeczy zazwyczaj nie miały znaczenia w zwykłym biegu spraw Emisariuszy – istniała duża szansa, że wtedy będzie się już na wojnie, mając na głowie inne troski, często zanim rozwinie się problem. Zazwyczaj nie zdarzały się tego rodzaju lecznicze oczyszczenia, jakie przepisała sobie i zrealizowała Wardani.

Nie byłem w stanie przewidzieć, jak mogło to zadziałać.

Nie słyszałem, żeby coś takiego kiedyś się zdarzyło. Nigdy nic takiego nie widziałem.

Nie byłem w stanie dojść do tego, jakie uczucia we mnie wzbudziła.

I nie dowiedziałem się niczego nowego przez fakt patrzenia na siebie w lustrze.

Zmusiłem się do wzruszenia ramionami i uśmiechu i wyszedłem z kabiny w mrok przedświt, między nieruchome maszyny. Wardani czekała na zewnątrz, przy jednej z otwartych sieci i...

*Nie była sama.*

Myśl potwornie wolno przebiła się przez mój ospały system nerwowy, a potem w podstawę mojej czaszki wbił się charakterystyczny pierścieniowo-kolczasty wylot lufy sunjeta.

– Lepiej unikaj gwałtownych ruchów, koleś. – Akcent był dziwny, miał w sobie jakieś równikowe naleciałości słyszalne nawet przez zniekształczacz głosu. – Albo razem ze swoją dziewczyną straciecie głowy.

Profesjonalna dłoń obmacała mnie w talii, wyłowiła kałasznikowa i rzuciła go przez salę. Usłyszałem przygłuszony stukot, gdy upadł na pokrytą dywanem podłogę i przesunął się nieco dalej.

Spróbuj go zlokalizować.

Równikowy akcent.

Kempiści.

Spojrzałem w stronę Wardani, na jej dziwnie bezwładnie wiszące ramiona i postać, która przystawiała do jej karku mniejszy ręczny blaster. Napastnik ubrany był w dopasowany do sylwetki czarny maskujący strój szturmowy, na twarzy zaś miał maskę z plastiku, przez którą przesuwaly się fale, nieustannie zniekształcając jego rysy, za wyjątkiem dwóch zabarwionych na niebiesko obszarów

wokół oczu.

Na plecach miał torbę, a w niej zapewne sprzęt, dzięki któremu udało im się dostać do środka. Musiał tam nieść przynajmniej zestaw obrazowania biosygnatów, próbnik kodu blokującego i zagłuszcacz systemów zabezpieczeń. Cholerna zaawansowana technika.

– Już jesteście trupami – powiedziałem, siląc się na spokój.

– Ekstra śmieszne, koleś. – Ten, który mnie pilnował, chwycił mnie za ramię i obrócił, tak że patrzyłem teraz w skośną rynną lufy sunjeta. Ten sam strój, taka sama plastikowa maska na twarzy. Identyczny czarny plecak. Za nim widać było jeszcze dwie podobne jak klony postacie, pilnujące przeciwnych końców pomieszczenia. Ich sunjety zwisały nisko, zwodniczo niedbale. Mój entuzjazm odnośnie naszych szans zgasł jak zestaw wyłączonych z prądu wyświetlaczy diodowych.

Grać na czas.

– Kto was wysłał?

– Widzisz – odezwał się ich mówca głosem podlegającym nieustannym zniekształceniom. – To działa w ten sposób. Chcemy jej, ty jesteś tylko chodzącym węglem. Przymknij gębę, to może weźmiemy i ciebie, żeby było czyściej. Pluj się dalej, a napaskudzę tylko po to, żeby zobaczyć, jak lata twój emisariuszowski mózg. Dociera?

Potwierdziłem skinieniem głowy, desperacko próbując odegnać rozleniwienie przepełniające moje ciało po seksie. Przesunąć lekko środek ciężkości...

Wyciągając z pamięci...

– Dobra, więc daj mi tu ręce. – Opuścił lewą rękę do pasa i wyciągnął ogłuszcacz kontaktowy. Trzymany w prawej sunjet nie odchylił się nawet o milimetr. Maska wygięła się w grymasie przypinającym uśmiech. – Oczywiście pojedynczo.

Wyciągnąłem w jego stronę lewe ramię. Prawe zgiąłem za plecami, usiłując zwalczyć tak potężne uczucie bezsilnej furii, że aż drżała mi dłoń.

Niewielkie szare urządzenie opadło do mojego nadgarstka, mrugając światełkami ładunku. Oczywiście będzie musiał przesunąć sunjeta, bo inaczej po wystrzale z ogłuszacza masa mojego bezwładnego ramienia uderzy w niego jak maczuga...

Teraz. Tak cicho, że nawet mój neurochem ledwie to wyłapał. Cichy świst w klimatyzowanym powietrzu.

Ogłuszcacz wystrzelił.

Brak bólu. Zimno. Zlokalizowana wersja tego, co czuło się po trafieniu z ogłuszacza wiązkowego. Ręka opadła jak kawał mięsa, pomimo nowego położenia minimalnie tylko mijając sunjeta. Odskokzył nieznacznie na bok, ale był to zrelaksowany ruch. Maska się uśmiechnęła.

– Bardzo dobrze. Teraz druga. Uśmiechnąłem się i strzeliłem do niego... *Mikrotechnika grawitacyjna – przełom w technice zbrojeniowej z rodziny kałasznikowa.*

... z biodra. Trzy pociski w klatkę piersiową, mając nadzieję na przebicie się przez noszoną przez niego zbroję i sprzęt w plecaku. Krew...

*Pistolet interfejsowy AKS91 na niewielkie odległości uniesie się i przeleci wprost do implantowanej w dłoń płyty bazowej z biotworzywa.*

... zalała kombinezon maskujący i spryskała mi twarz. Zatoczył się, machając sunjetem jak grożącym palcem. Jego kumple...

*Niemal absolutnie bezgłośnie generator wypuści pełny magazynek w dziesięciosekundowej serii.*

...jeszcze niczego nie zauważyli. Strzeliłem wysoko w dwóch za nim i chyba jednego z nich trafiłem. Odtoczyli się, szukając osłony. Ich strzały zaskwierczały wokół mnie, ale nie zbliżając się

za bardzo.

Poszedłem w drugą stronę, ciągnąc za sobą bezwładne ramię jak torbę, szukając Wardani i jej strażnika.

– Cholera, człowieku, nie rób tego, ja... Zastrzelony poprzez płynnie zmieniającą kształty maskę. Pocisk odrzucił go dobre trzy metry do tyłu, w pajęczę ramiona maszyny wspinaczkowej, gdzie zawisł bezwładnie.

Wardani opadła na podłogę jak worek. Rzuciłem się na dół, ponaglany przez strzały z sunjetów. Wylądowaliśmy twarzą w twarz.

– Wszystko w porządku? – wysyczałem.

Kiwnęła głową z policzkiem przyciśniętym do podłogi i ramionami drgającymi od prób poruszenia ramionami.

– Dobrze. Zostań tu. – Przerzuciłem bezwładną rękę na drugą stronę i przeszukałem maszynową dżunglę w poszukiwaniu dwóch pozostałych kempistów.

Żadnych śladów. Sukinsyny mogli być wszędzie. Czekaając na okazję.

Pieprzyć to.

Wycelowane w skurczoną postać dowódcy oddziału, w plecak. Dwa strzały rozwalili go na strzępy. Kawalki sprzętu wyleciały przez otwory wylotowe w tkaninie.

Obudziły się systemy ochrony Mandrake.

Zapłonęły światła. Z dachu rozległo się wycie syren, a z otworów wentylacyjnych w ścianach wyłoniły się chmary owadokształtnych nanokopterów. Zawirowały nad nami, zamrugały oczkami ze szklanych kulek i poleciały dalej. Kilka metrów od nas cała chmara zaczęła strzelać laserami gdzieś za nieruchomym sprzętem.

Krzyki.

Chybiony strzał z sunjeta wypalił ścieżkę przez powietrze. Dotknięte przez nią nanokoptery spłonęły i spadły jak przypalone ćmy. Laserowy ogień pozostałych przybrał na sile.

Krzyki ścichły do jęków. Dotarł do mnie ohydny smród przypalonego ciała. Poczujęm się jak w domu.

Chmara nanokopterów podniosła się wyżej, dryfując w dal bez wyraźnego celu. Kilka na odchodnym wystrzeliło jeszcze pojedyncze wiązki. Jęki umilkły.

Cisza.

Leżąca za mną Wardani wciągnęła pod siebie kolana, ale nie potrafiła się podnieść. Nie miała dość siły w powoli dochodzącym do siebie ciele. Rzuciła mi rozpaczliwe spojrzenie. Podparłem się sprawnym ramieniem i podciągnąłem na nogi.

– Zostań tu. Wrócę.

Odruchowo poszedłem sprawdzić ciała, unikając wałęsających się w powietrzu nanokopterów.

Maski znieruchomiały w pośmiertnych uśmiechach, ale co jakiś czas przez plastik wciąż przesuwwały się słabe zniekształcenia. Przyglądałem się dwójce zabitych przez nanokoptery, kiedy coś zaskwierczało pod ich głowami i w górę uniosły się dwie smuzki dymu.

– O cholera.

Pobiegłem z powrotem do tego, któremu wystrzeliłem w twarz, tego który wisiał teraz zawieszony w maszynie, ale tu zobaczyłem to samo. Podstawa czaszki była już zwęglona i nierówna, a głowa zwisała bezwładnie, opierając się o jedną z wypustek maszyny wspinaczkowej. Pominięty przez nawałę ognia nanokopterów. Poniżej eleganckiej dziury, którą zrobiłem w środku maski, usta szczyrzyły się do mnie z plastikową hipokryzją.

– Cholera.

– Kovacs.

– Tak, przepraszam. – Schowałem karabinek i bezceremonialnie podciągnąłem Wardani do pozycji stojącej. Na końcu sali otworzyły się drzwi windy, wyrzucając ze środka drużynę uzbrojonych ochroniarzy.

Westchnąłem.

– No i proszę.

Zauważyli nas. Dowodząca grupą kobieta wycelowała blaster.

– Nie ruszać się! Ręce do góry!

Uniosłem sprawną rękę. Wardani wzruszyła ramionami.

– Nie żartuję, nie wkurzajcie mnie!

– Jesteśmy ranni – zawołałem do niej. – Ogluszacze kontaktowe. A wszyscy inni są już martwi. Żli faceci mieli wbudowane detonatory stosów. Już po wszystkim. Idź obudzić Handa.

\* \* \*

Biorąc pod uwagę okoliczności, Hand przyjął to całkiem nieźle. Kazał im odwrócić jedno z ciał i przykucnął przy nim, dłubiąc metalowym pisakiem w zwęglonym rdzeniu kręgowym.

– Zbiornik z kwasem molekularnym – stwierdził z namysłem. – Zeszłoroczny wynalazek Shorn Biotech. Nie wiedziałem, że kempieści już to mają.

– Oni mają wszystko to, co ty, Hand. Tylko w trochę mniejszych ilościach, to wszystko. Przeczytaj swojego Brankovitcha *Bogacenie się w gospodarce opartej na wojnie*.

– Tak, dziękuję, Kovacs. – Hand potarł oczy. – Mam już doktorat z inwestycji konfliktowych. Nie potrzebna mi lista lektur uzdolnionego amatora. Jednak chciałbym się dowiedzieć, co robiliście tu o tej porze.

Wymieniłem spojrzenia z Wardani. Wzruszyła ramionami.

– Pieprzyliśmy się – wyjaśniła.

Hand zamrugał.

– Och, już?

– Co to miało znac...

– Kovacs, proszę. Przyprawiasz mnie o migrenę. – Wstał i kiwnął głową w stronę czekającej nieopodal ekipy śledczej. – Dobra, zabierzcie ich stąd. Sprawdźcie, czy uda się dopasować tkanekę z tych kawałków, które zebraliśmy w Find Alley i w kanale. Plik c221mh, centrala autoryzacji da wam kody.

Wszyscy przyglądaliśmy się, jak ładują trupy na zerograwitacyjne platformy transportowe i eskortują je do wind. Hand zauważył, że chowa pisak do kieszeni, i podał go ostatniemu członkowi wycofującej się ekipy śledczej. W zamyśleniu zatarł końce palców obu dłoni.

– Ktoś chce panią odzyskać, madame Wardani – stwierdził. – Ktoś o dużych możliwościach. Przypuszczam, że fakt ten powinien mnie upewnić co do wartości naszej inwestycji w panią.

Wardani wykonała lekki, ironiczny ukłon.

– Ktoś, kto ma dojścia do środka – dodałem ponuro. – Nawet z plecakiem pełnym sprzętu penetracyjnego nie ma mowy, żeby dostali się tu bez pomocy. Masz przeciek.

– Tak, na to by wyglądało.

– Kogo wysłałeś, żeby sprawdził cienie, które przyprowadziliśmy z baru przedwczoraj wieczorem?

Wardani spojrzała na mnie spłoszona.

– Ktoś za nami szedł?

Machnąłem ręką na Handa.

– Przynajmniej on tak twierdzi.

– Hand?

– Tak, madame Wardani, to prawda. Śledzono was aż do Find Alley. – Jego głos dowodził, że jest już bardzo zmęczony. Rzucił mi rozżalone spojrzenie. – Wydaje mi się, że to Deng.

– Deng? Mówisz poważnie? Cholera, ludzie, ile czasu dajecie ofiarom akcji, zanim wrzucicie ich z powrotem w powłokę?

– Deng miał klona na łodzi – padła ostra odpowiedź. – To standardowa praktyka dla wyższego personelu ochrony. I dostał przed załadowaniem tydzień wirtualnych konsultacji oraz pełnowymiarowy urlop wypoczynkowy. Był gotów do służby.

– Doprawdy? Więc może go wezwiesz?

Przypomniałem sobie, co powiedziałem mu w konstrukcie IOO. *Kobiety i mężczyźni, dla których pracujesz, sprzedaliby własne dzieci do burdelu, gdyby oznaczało to możliwość położenia łap na tym, co pokazałem im dziś wieczorem. A poza tym, przyjacielu, ty... nic... nie znacysz.*

Moment ożywienia to ryzykowny stan umysłu dla takich, którzy przeszli to pierwszy raz. Czyni człowieka podatnym na sugestie. A Emisariusze są mistrzami perswazji.

Hand włączył audiotelefon.

– Proszę obudzić Denga Zhao Juna. – Czekał. – Rozumiem. No dobrze, w takim razie proszę tego spróbować.

Potrząsnąłem głową.

– Stara, dobra brawura w rodzaju plucia do morza, w którym omal się człowiek nie utopił, co, Hand? Ledwie wyszedł ze wstrząsu pośmiertnego, a ty rzuciłeś go z powrotem do akcji nad powiazaną sprawą? Daj spokój, wyłącz ten telefon. Nie ma go. Sprzedał cię i zwiął z forszą.

Hand mocniej zacisnął szczęki, ale wciąż trzymał telefon przy uchu.

– Hand, ja praktycznie powiedziałem mu, żeby to zrobił. – Wytrzymałem niedowierzające spojrzenie, jakie mi posłał. – Tak, proszę bardzo. Zrzuć winę na mnie, jeśli ma ci to poprawić humor. Powiedziałem mu, że Mandrake w ogóle się nim nie interesuje, a ty zaraz mu to udowodniłeś, ubijając z nami interes. A potem jeszcze doprawiłeś, wysyłając go na psią służbę.

– Niech cię szlag, Kovacs. Nie ja wysłałem do tego Denga. – Resztką sił trzymał nerwy na wodzy i wiele go to kosztowało. Dłoń zacisnięta na telefonie zbielała z wysiłku. – A ty wcale nie musiałeś niczego mu mówić. A teraz, do cholery, zamknij się. Tak, tu Hand.

Słuchał. Odzywał się monosylabami, w których drżała wściekłość. Z trzaskiem zamknął telefon.

– Deng opuścił wieżę własnym transportem wczoraj wczesnym wieczorem. Zniknął w kompleksie handlowym Starej Izby Rozrachunkowej krótko przed północą.

– Nie można już dostać dobrych pracowników, co?

– Kovacs. – Zacisnął dłoń, jakby fizycznie trzymał mnie na wyciągnięcie ręki. Oczy ciskały gromy kontrolowanego z wysiłkiem gniewu. – Nie chcę tego słyszeć. Dobra? Nie... chcę... tego... słyszeć.

Wzruszyłem ramionami.

– Nikt nie chce. Dlatego wciąż dzieją się takie rzeczy.

Hand głośno wypuścił powietrze.

– Nie zamierzam z tobą omawiać przepisów zatrudnienia, Kovacs, zwłaszcza o piątej rano. – Odwrócił się na pięcie. – Lepiej, żebyście już skończyli waszą zabawę. O dziewiątej ładujemy się do konstruktów Dangrek.

Zerknąłem w bok na Wardani i zauważyłem uśmieszek. Był po dziecięcemu zaraźliwy i poczułem, jakbym za plecami grał mu na nosie.

Po dziesięciu krokach Hand zatrzymał się, jakby to wyczuł.

– Och. – Odwrócił się do nas. – Przy okazji. Godzinę temu kempieści odpalili nad Sauberville pocisk samosterujący. Wysokiej mocy. Sto procent ofiar.

Kątem oka zauważyłem błysk bieli w oczach Wardani, gdy odwróciła ode mnie wzrok. Z zaciśniętymi ustami wbiła spojrzenie gdzieś w pustkę.

Hand stał i przyglądał się nam.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli wiedzieć – dodał.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dangrek.

Niebo wyglądało jak stary džins; wytarta misa błękitu poznaczona paskami białych chmur na dużych wysokościach. Przebijało przez nie światło słońca, dostatecznie jasne, bym musiał mrużyć oczy. Jego ciepłe palce głaskały nieosłonięte fragmenty mojej skóry. Od ostatniego razu wiatr przybrał nieco na sile, dmąc ostro z zachodu. Roślinność wokół nas pokryta była małymi strzępkami czarnego opadu.

Na przylądku Sauberville wciąż płonęło. Dym wspinał się na niebo ze starego džinsu jak maźnięcia pobrudzonych olejem palców.

– Jesteś z siebie dumny, Kovacs?

Tanya Wardani powiedziała mi to cicho do ucha, przechodząc obok mnie, by uzyskać lepszy widok. Były to pierwsze słowa, jakie od niej usłyszałem od chwili, gdy Hand obwieścił nam nowinę.

Poszedłem za nią.

– Jeśli chcesz na to narzekać, lepiej zgłoś się do Joshuy Kempa – rzuciłem, dogoniwszy ją. – Zresztą, nie zachowuj się, jakby było to coś nowego. Wiedziałaś, że to się stanie, tak samo jak wszyscy inni.

– Tak, ale w tej chwili ta wiedza przyprawia mnie o mdłości.

Nie sposób było przed tym uciec. Ekran w całej wieży Mandrake puszczały to na okrągło. Jasny błysk, w całkowitej ciszy rosnący od punktu do wielkiej kuli, złapany w kamerach jakiegoś wojskowego zespołu dokumentalnego, a potem dźwięk. Trajkotliwy komentarz na tle przetaczającego się grzmotu i rosnący grzyb, chmura. Potem śliczne powtórki klatka po klatce.

SIM pożarła to i wbudowała dla nas, wymazując wreszcie z konstruktów tę szarą chmurę niepewności.

– Sutjiadi, rozłokuj swoich ludzi.

Głos Handa, brzęczący z głośniczka indukcyjnego. Po nim dobiegła mnie luźna wymiana wojskowych komand, więc w irytacji zdarłem słuchawkę z mocowania za uchem. Zignorowałem odgłosy stóp wbiegających za nami na zbocze i skupiłem się na przygiętym karku i schylonej głowie Tanyi Wardani.

– Przypuszczam, że nie trwało to długo – powiedziała, wciąż wpatrując się w półwysep.

– Tak jak w piosence. Nic nie trwa długo.

– Madame Wardani. – To Ole Hansen, ze słabym echem intensywnego błękitu pierwotnych źrenic płonącym w szeroko rozstawionych oczach nowej powłoki. – Będziemy musieli zobaczyć miejsce wybuchu.

Zdławiła coś, co mogło być śmiechem.

– Jasne – rzuciła. – Proszę za mną.

Przyglądałem się, jak schodzą po drugiej stronie wzgórza ku plaży.

– Hej! Emisariuszu!

Podświadomie odwróciłem się i zauważyłem Yvette Cruickshank nawigującą niepewnie swoją powłokę Maori w górę zbocza, z sunjetem przewieszonym luźno przez klatkę piersiową i odsuniętym na czoło zestawem soczewek dalmierza. Oczekałem, aż do mnie podejdzie, co zrobiła, wywracając się w długiej trawie najwyżej kilka razy.

– Jak nowa powłoka? – zawołałem, gdy po raz kolejny wylądowała na ziemi.

– Jest... – Potrząsnęła głową, zamknęła usta i zaczęła jeszcze raz, tym razem normalnym głosem.

– Jest troszkę dziwna, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Skinąłem głową. Moje pierwsze upowłokowienie nastąpiło ponad trzydzieści subiektywnych lat temu, obiektywnie prawie dwa stulecia, ale tego się nie zapomina. Szok ponownego wejścia przy pierwszym razie nigdy nie przechodzi do końca.

– No i przy tym cholernie blada. – Szczypnęła skórę na wierzchu dłoni i pociągnęła nosem. – Czemu nie mogłam dostać jakiejś pięknej czarnej powłoki, jak ty?

– Ja nie zginąłem – przypomniałem jej. – Zresztą, jak tylko zaczniesz kasać promieniowanie, będziesz zadowolona. To co masz na sobie, potrzebuje połowy prochów, których ja będę wymagał, żeby utrzymać się przy życiu.

Zmarszczyła czoło.

– Choć i tak w końcu nas dostanie, prawda?

– To tylko powłoka, Cruickshank.

– Tak jest, podziel się ze mną tym spokojem Emisariuszy. – Zaśmiała się głośno i podciągnęła wyżej sunjeta, chwytając swobodnie krótką, grubą lufę szczupłą dłonią. Zezując znad otworu wylotowego prosto na mnie, zapytała: – Myślisz, że pociągałaby cię taka powłoka białej dziewczyny?

Zastanowiłem się. Powłoki bojowe Maori miały długie kończyny oraz szerokie klatki piersiowe i ramiona. Większość z nich, tak jak ta, miała bladą skórę, a fakt, że były świeżo po wyciągnięciu ze zbiorników do klonowania, jeszcze podkreślał ten efekt. Twarze miały wysokie kości policzkowe, szeroko rozstawione oczy i płaskie usta i nosy. Surowy produkt. Do tego jeszcze w osłonie bezkształtnego, kamelonochromowego kombinezonu bojowego...

– Jak chcesz się tak przyglądać – zauważyła Cruickshank – to lepiej, żebyś coś kupił.

– Przepraszam. Po prostu dokładnie rozważam odpowiedź.

– Jasne. Daj sobie spokój. Nie przejmuję się aż tak bardzo. Działałeś w tej okolicy, prawda?

– Kilka miesięcy temu.

– I jak tu było?

Wzruszyłem ramionami.

– Strzały. Powietrze pełne pędzących kawałków metalu, które szukają domu. Dość standardowo. Czemu pytasz?

– Słyszałam, że Klin dostał lanie. To prawda?

– Zdecydowanie na to wyglądało z miejsca, w którym stałem.

– Więc jak to się stało, że Kemp zdecydował się wycofać z silnych pozycji i rzucić za sobą bombę?

– Cruickshank... – Zacząłem i umilkłem, nie potrafiąc wymyślić sposobu na przebicie się przez jej pancerną zbroję młodości. Miała dwadzieścia dwa lata i podobnie jak wszyscy w jej wieku, uważała, że stanowi nieśmiertelny, centralny punkt wszechświata. Jasne, zginęła, ale jak dotąd dowodziło to tylko jej nieśmiertelności. Nie przyszłoby jej na myśl, że może istnieć pogląd na świat, w którym nie tylko pełniłaby rolę marginalną, ale byłaby wręcz całkowicie bez znaczenia. Czekwała na odpowiedź.

– Słuchaj – powiedziałem w końcu. – Nikt mi nie powiedział, za co tu walczymy, a sądząc po tym, co wyciągnęliśmy z przesłuchiwanym więźniów, oni też tego nie wiedzieli. Już jakiś czas temu dałem sobie spokój z oczekiwaniem, że ta wojna będzie miała jakiś sens, i jeśli planujesz przeżyć jeszcze jakiś jej kawałek, radziłbym ci zrobić to sam.

Uniosła brwi w grymasie, którego jeszcze nie opanowała w nowej powłoce.

– To znaczy, że nie wiesz.

– Nie.



– Cruickshank! – Nawet przy odpiętym głośniczku indukcyjnym usłyszałem słabiutki wrzask Markusa Sutjiadiego przez interkom. – Zechcesz tu przyjść i zapracować na życie razem z resztą?

– Idę, kapitanie. – Przybrała ponurą minę i zaczęła schodzić w dół pochyłości. Po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

– Hej, Emisariuszu.

– Tak?

– Ta gadka o Klinie zbierającym cięgi to nie była krytyka, dobra? Po prostu tak słyszałam. Poczułem, że na mojej twarzy rysuje się rozbawienie wywołane ostrożnością.

– Zapomnij, Cruickshank. W ogóle mnie to nie obchodzi. Bardziej się przejmuję tym, że nie podoba ci się, jak się na ciebie gapię.

– Och. – Uśmiechnęła się. – Cóż, sama pytałam. – Jej spojrzenie przesunęło się na moje krocze i dla efektu zamknęła oczy. – Co powiesz na to, żeby wrócić do tego później?

– Proszę bardzo.

Głośniczek indukcyjny zabrzęczał mi na karku. Wcisnąłem go z powrotem na miejsce i podpiąłem mikrofon.

– Tak, Sutjiadi?

– Jeśli to nie będzie za duży problem, *sir* – ostatnie słowo wręcz ociekało ironią – zechciałby pan nie przeszkadzać moim żołnierzom w trakcie akcji?

– Przepraszam. Więcej się to nie powtórzy.

– Dobrze.

Właśnie miałem się rozłączyć, kiedy przez sieć doszedł mnie cichy głos klnącej Tanyi Wardani.

– Kto to? – ostro trzasnął Sutjiadi. – Sun?

– Cholera jasna, nie wierzę w to.

– To madame Wardani, *sir* – wyjaśnił Ole Hansen, lakonicznym, spokojnym głosem przebijając się przez przekleństwa pani archeolog. – Myślę, że lepiej będzie, jak wszyscy tu zejdziecie i sami na to spojrzycie.

\* \* \*

Ścigałem się z Handem do plaży i przegrałem o kilka metrów. Papierosy i uszkodzone płuca w wirtualu nie mają znaczenia, więc musiała go gnąć troska o inwestycję Mandrake. Bardzo szlachetne. Reszta towarzystwa przybyła na miejsce po nas, wciąż nieprzyzwyczajona do nowych powłok. Znaleźliśmy samą Wardani.

Zastaliśmy ją mniej więcej w tej samej pozycji, jaką przybrała, stojąc przed zwalonymi skałami poprzednim razem, gdy byliśmy w konstrukcie. Przez chwilę nie byłem w stanie zobaczyć, w co się tak wpatruje.

– Gdzie jest Hansen? – zapytałem głupio.

– Wszedł do środka – odpowiedziała, machając ręką przed siebie. – Na ile to cokolwiek warte.

Wtedy to zobaczyłem. Blade ślady zadrapań po świeżym wybuchu, zebrane wokół dwumetrowej szczeliny otwierającej się w klifie i ścieżki niknącej dalej z pola widzenia.

– Kovacs? – Ton, jakim Hand zadał to pytanie, zdradzał napięcie.

– Widzę. Kiedy aktualizowaliście konstrukt?

Hand podszedł bliżej, żeby uważniej przyjrzeć się śladom wybuchu.

– Dzisiaj.

Tanya Wardani kiwnęła głową.

– Skan z wysokiej orbity, tak?

– Zgadza się.

– No cóż. – Odwróciła się i sięgnęła do kieszeni płaszcza po papierosy. – W takim razie niczego się tu nie dowiemy.

– Hansen! – Hand przyłożył dłonie do ust i zawołał w głąb szczeliny, najwyraźniej zapominając o mikrofonie indukcyjnym.

– Słyszę cię. – Głos eksperta od eksplozji doszedł z głośniczka; brzmiało w nim lekkie rozbawienie. – Tutaj nic nie ma.

– Oczywiście, że nie – skomentowała Wardani.

– ...Jakiś rodzaj kolistego otworu, około dwadzieścia metrów średnicy, ale skały wyglądają dziwnie. Jakby stopione.

– To improwizacja – niecierpliwie rzucił Hand do mikrofonu. – SIM zgaduje, co może tam być.

– Zapytaj go, czy coś jest w środku – poprosiła Wardani, zaciągając się papierosem w łagodnej bryzie od morza.

Hand przekazał pytanie. Przez głośniczek wróciła odpowiedź.

– Tak, jakiś rodzaj centralnie położonego kamienia, może stalagmit.

Wardani kiwnęła głową.

– To twoja brama – stwierdziła. – Prawdopodobnie jakieś stare dane z echolokacji, które sztuczna inteligencja Mandrake wygrzebała z jakichś starych badań terenowych. Próbuje teraz połączyć dane z tym, co może uzyskać z podglądu orbitalnego, a ponieważ nie ma powodów spodziewać się tam czegoś poza skałami...

– Ktoś tu był – powiedział Hand, mocno zaciskając szczęki.

– Cóż, tak. – Wardani wydmuchnęła dym i wskazała ręką. – Och, i jest jeszcze to.

Zakotwiczony na płytcźnie kilkaset metrów od plaży na falach w prądzie płynącym wzdłuż wybrzeża kołysał się mocno zużyty trawler. Z burty zwieszały się sieci jak wylewające się z rozciętego brzucha wnętrzności.

Niebo zbiałało.

\* \* \*

Jazda nie była tak ostra jak w zestawie IOO, ale i tak gwałtowny powrót do rzeczywistości uderzył w mój system nerwowy jak chluśnięcie lodowatą wodą, mroząc kończyny i wysyłając dreszcze głęboko do wnętrza. Otworzyłem oczy na kosztowny egzemplarz empatystycznej sztuki psychogramowej.

– Cudownie – wymamrotałem, siadając w przyćmionym świetle i sięgając ręką po elektrody.

Drzwi komory otworzyły się na zewnątrz przy akompaniamencie cichego szumu. W drzwiach stał Hand, wciąż nie do końca ubrany, wyraźnie rysując się na tle padającego od tyłu normalnego światła. Rzuciłem mu nieprzychylnie spojrzenie.

– Czy to naprawdę było konieczne?

– Ubieraj się, Kovacs. – Mówiąc to, wciągał na siebie koszulę. – Mamy sprawy do załatwienia. Wieczorem chcę być na półwyspie.

– Czy nie przesadzasz odrobi...

Już się odwracał.

– Hand, rekruci nie przyzwyczaili się jeszcze do nowych powłok.

– Zostawiłem ich tam. – Rzucił przez ramię. – Mogą mieć jeszcze dziesięć minut, czyli dwa dni

w wirtualu. Potem przelejemy ich naprawdę i ruszamy. Jeśli ktoś znalazł się w Dangrek przed nami, będzie bardzo tego żałował.

– Jeśli byli tam, kiedy Sauberville dostało – krzyknąłem za nim, ogarnięty złością – to prawdopodobnie już żałują. Razem ze wszystkimi innymi.

Słyszałem jego oddalające się korytarzem kroki. Człowiek Mandrake, z zapiętą koszulą, marynarką poprawianą na wyprostowanych ramionach, idący przed siebie. Aktywny. Zajęty poważnymi interesami Mandrake, podczas gdy ja siedziałem goły w bajorze własnego gniewu.

## CZEŚĆ III

### ELEMENTY DESTRUKTYWNE

*Różnica między wirtualizacją a życiem jest bardzo prosta. W konstrukcie wiesz, że wszystkim steruje wszechpotężna maszyna. Rzeczywistość nie oferuje takiej pewności, więc bardzo łatwo jest rozwinąć błędne wrażenie, że to ty sprawujesz kontrolę.*

QUELLCRISTA FALCONER

*Etyka nad przepaścią*

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie ma subtelnego sposobu na przemieszczenie pojazdu międzyplanetarnego przez pół planety, więc wcale nie próbowaliśmy.

Mandrake wykupiła nam w wydziale ruchu suborbitalnego Kartelu priorytetowy start i parabolę lądowania, i poleciliśmy na anonimowe pole startowe na przedmieściach Landfall, gdy tylko upał przestał dławić popołudnie. Z betonu wystawał tam śliczny, nowiutki międzyplanetarny statek szturmowy Lockheeda Mitomy, wyglądający jak skorpion z przydymionego szkła, któremu ktoś oderwał szczypcę. Na jego widok Ameli Vongsavath zamruczała z zadowolenia.

– Seria Omega – powiedziała do mnie, głównie dlatego, że akurat stałem obok niej, kiedy wysiadła z naszego transportu. Odruchowo poprawiała włosy, skręcając grube czarne pasma z dala od gniazd podpinania systemów kontroli lotu na karku, blokując luźny kok przy pomocy klipsów statycznych. – Mógłbyś polecieć tym cackiem prosto na Incorporation Boulevard i nawet nie podpalić drzew. Wystrzelić torpedy plazmowe przez główne drzwi gmachu Senatu, stanąć na ogonie i znaleźć się na orbicie, zanim by wybuchły.

– Na przykład – powiedziałem sucho. – Oczywiście, mając takie cele misji, musiałybyś być kempistką, a to znaczyłoby, że leciałabyś jakimś potrzaskanym gównem w rodzaju mowai. Prawda, Schneider?

Schneider wyszczerzył zęby.

– Tak, nie do pomyślenia.

– Co jest nie do pomyślenia? – Yvette Cruickshank chciała koniecznie wiedzieć. – Bycie kempistą?

– Nie, latanie mowai – odpowiedział jej Schneider, przeciągając wzrokiem z góry na dół po jej powłoce bojowej z Maori. – Bycie kempistą nie jest takie złe. Oczywiście, jeśli nie liczyć tego całego śpiewania.

Cruickshank zamrugwała.

– Naprawdę byłeś kempistą?

– On żartuje – wtrąciłem, rzucając Schneiderowi ostrzegawcze spojrzenie. Tym razem nie było z nami oficera politycznego, ale przynajmniej Jiang Jianping zdawał się mieć bardzo wyraźne poglądy odnośnie Kempa i nie sposób było przewidzieć, ilu członków zespołu je podzielało. Wzbudzenie potencjalnych animozji wyłącznie w celu zaimponowania dobrze zbudowanej kobiecie nie wydało mi się zbytnio inteligentne.

Z drugiej strony, Schneider nie miał tego ranka okazji na pozbycie się nadmiaru hormonów w wirtualu, więc może po prostu niesprawiedliwie go w tej kwestii oceniałem.

Jeden z włazów lock mita otworzył się na zawiasach. Chwilę później w wejściu pojawił się Hand, elegancko ubrany w dopasowany bojowy kombinezon kameleonochromowy, w tej chwili bladoszary na tle dominującej barwy statku szturmowego. Zmiana w stosunku do jego codziennego stroju korporacyjnego była tak drastyczna, że irytowała nawet pomimo faktu, że wszyscy pozostali ubrani byli tak samo.

– Witamy na cholernej wycieczce – wymamrotał Hansen.

\* \* \*

Byliśmy gotowi do startu pięć minut przed otwarciem okienka startowego wykupionego przez Mandrake. Ameli Vongsavath wprowadziła do rdzenia lock mita plan lotu, włączyła systemy,

a potem wydawało się, że usnęła. Podłączona do statku u podstawy karku oraz na kości policzkowej, leżała z zamkniętymi oczami w pożyczonym ciele Maori jak uśpiona w kriokapsule księżniczka z prymitywnej baśni Lat Osiedlenia. Dostała jej się chyba najciemniejsza i najszcuplejsza z powłok, więc kable transmisyjne wystawały z jej skóry jak białe robaki.

Usadowiony w fotelu drugiego pilota Schneider rzucał tęskne spojrzenia na urządzenia sterowe.

– Będziesz miał swoją szansę – zapewniłem.

– Tak? Kiedy?

– Jak będziesz milionerem na Latimerze.

Rzucił mi urażone spojrzenie i umieścił jedną z obutych nóg na konsoli przed sobą.

– Cha, pieprzone cha.

Pomimo zamkniętych oczu, usta Ameli Vongsavath wykrzywiły się w lekkim uśmiešku. Musiało to dla niej brzmieć jak bardzo wyszukana forma stwierdzenia, że nie będzie miał szansy nawet za milion lat. Nikt z ekipy Dangrek nie wiedział o naszej umowie z Mandrake. Hand przedstawił nas jako konsultantów i tak to zostawił.

– Myślisz, że przejdzie przez bramę? – zapytałem Schneidera, próbując wyciągnąć go z ponurego nastroju.

Nie spojrzał na mnie.

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

– Po prostu...

– Panowie – Ameli Vongsavath nie otworzyła nawet oczu – czy mogłabym prosić o odrobinę spokoju dla pilota przed startem?

– Właśnie, zamknij się, Kovacs – złośliwie dorzucił Schneider. – Może poszedłbyś do tyłu i dołączył do pasażerów?

W głównej kabinie siedzenia po obu stronach Wardani zajęte były przez Handa i Sun Liping, więc przeszedłem na drugą stronę i opadłem na miejsce obok Luca Depreza. Przyjrzał mi się ciekawie, a potem wrócił do oglądania swoich nowych dłoni.

– Podoba ci się powłoka? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Ma swój urok. Tylko że nie jestem przyzwyczajony do takiej masy.

– Przywykniesz. Sen pomaga.

Znów zaciekawione spojrzenie.

– W takim razie wiesz to na pewno. Właściwie, co z ciebie za konsultant?

– Były Emisariusz.

– Naprawdę? – Poprawił się na fotelu. – To niespodzianka. Będziesz musiał mi o tym opowiedzieć.

Wszyscy, którzy usłyszeli moje słowa, powtórzyli jego ruch. Natychmiastowy rozgłos. Poczulem się, jakbym wrócił do Klina.

– Długa historia. I wcale nie tak interesująca.

– Od startu dzieli nas minuta – w interkomie rozległ się sardoniczny głos Ameli Vongsavath. – Chciałabym skorzystać z okazji i oficjalnie powitać was na pokładzie szybkiego szturmowca *Nagini*, ostrzegając jednocześnie, że jeśli nie jesteście przypięci do foteli, przez najbliższych piętnaście minut nie mogę zagwarantować wam integralności fizycznej.

Wzdłuż siedzeń zapanowało ożywienie. Osoby, które już się przypięły, zaczęły się szeroko uśmiechać.

– Myślę, że przesadza – zauważył Deprez, niespiesznie wygładzając i poprawiając zapięcia

i paski uprząży na klatce piersiowej. – Te pojazdy mają dobre kompensatory.

– Cóż, nigdy nie wiadomo. Możemy złapać po drodze jakiś ostrzał orbitalny.

– Tak jest, Kovacs. – Hansen się do mnie wyszczerzył. – Zawsze patrzeć na aspekty pozytywne.

– Po prostu myślę z wyprzedzeniem.

– Boisz się? – zapytał nagie Jiang.

– Regularnie. A ty?

– Strach jest przeszkodą. Musisz się nauczyć go blokować. To właśnie oznacza być oddanym żołnierzem. Porzucić strach.

– Nie, Jiang – ponuro zaprotestowała Sun Liping. – To właśnie oznacza być trupem.

Statek szturmowy przechylił się nagle, a moje wnętrzności i klatkę piersiową przygniótł ogromny ciężar. Krew odpłynęła z kończyn. Straciłem oddech.

– Jezu cholerny Chryste – wydyszał Ole Hansen przez zęby.

Trochę odpuściło, prawdopodobnie gdy dotarliśmy na orbitę, i część mocy, którą Ameli Vongsavath wepchnęła w silniki, wróciła do pokładowego systemu grawitacyjnego. Przetoczyłem głowę w bok, by spojrzeć na Depreza.

– Przesadza, co?

Zauważył na dłoni krew z przegryzionej wargi i przyjrzał się jej krytycznie.

– Tak, zdecydowanie nazwałbym to przesadą.

– Osiągnęliśmy orbitę – potwierdził głos Vongsavath. – Mamy szacunkowo sześć minut bezpiecznego przelotu pod osłoną Wysokoorbitalnego Parasola Geosynchronicznego Landfall. Po tym czasie będziemy odsłonięci i zaczniemy stosować krzywe unikowe, więc lepiej trzymajcie języki za zębami.

Deprez ponuro kiwnął głową i uniół spryskaną krwią dłoń. Wzdłuż przejścia wybuchł śmiech.

– Hej, Hand – odezwała się Yvette Cruickshank. – Czemu Kartel nie wystrzelił po prostu pięćdziesięciu tych WPG na orbitach wokół planety i nie zakończył tej wojny?

Nieco dalej, po drugiej stronie przejścia, Markus Sutjiadi uśmiechnął się lekko, ale nic nie powiedział. Jego spojrzenie powędrowało na Ole Hansena.

– Hej, Cruickshank. – Ekspert od zniszczeń odezwał się zgodnie z sugestią przełożonego. Mówił miażdżącym tonem. – Czy ty chociaż potrafisz przeliterować „samosterujący”? Masz pojęcie, jaki cel stanowi taki WPG z kosmosu?

– Jasne. – Cruickshank nie odpuszczała. – Ale większość kempistowskich pocisków samonaprowadzających jest w tej chwili na ziemi, a mając na orbicie geosynchronicznej...

– Spróbuj to powiedzieć mieszkańcom Sauberville – powiedziała do niej Wardani, co wywołało chwilę ciszy. Wzdłuż rzędów siedzeń wymieniano spojrzenia, co przywodziło na myśl przeładowywanie broni w celu wprowadzenia naboju do komory.

– Ten atak został wyprowadzony z powierzchni, madame Wardani – wyjaśnił w końcu Jiang.

– Doprawdy?

Hand odchrząknął.

– Prawdę mówiąc, Kartel nie jest całkiem pewien, ile pocisków Kempa wciąż krąży poza planetą...

– Coś takiego – burknął Hansen.

– ...ale próba umieszczenia na wysokiej orbicie każdej większej platformy nie byłaby na tym etapie dostatecznie...

– Dochodowa? – zapytała Wardani.

Hand uśmiechnął się do niej nieprzyjemnie.

– Mało ryzykowna.

– Za chwilę opuścimy zasięg parasola WPG Landfall – przez interkom rozległ się głos Ameli Vongsavath, mówiącej tonem przewodnika wycieczki. – Może trochę trząść.

Poczułem lekkie zwiększenie ciśnienia na skroniach, gdy odciągnięto moc z pokładowych kompensatorów. Vongsavath przygotowywała się do akrobacji wokół krzywizny planety i ponownego zejścia na jej powierzchnię. Kiedy WPG zostanie w tyle, nie będzie już ojcowskiej opieki korporacyjnej, która osłaniałaby nurkowanie w strefę wojny. Od tej chwili będziemy zdani na własne siły.

Wykorzystują, handlują i nieustannie zmieniają warunki, ale mimo wszystko można się do nich przyzwyczaić. Można się przyzwyczaić do ich błyszczących wież i nanokopterowej ochrony, ich karteli i WPG, rozciągniętego na stulecia nieludzkiej cierpliwości i odziedziczonego statusu ojców chrzestnych rasy ludzkiej. Tak bardzo się przyzwyczajają, że zaczyna się być wdzięcznym za ich równą boskiej łaskawość, z jaką pozwalają człowiekowi na nędzną egzystencję na ich korporacyjnej platformie.

Przyzwyczajają się tak bardzo, że uważa to za o wiele lepsze od wywracającego wnętrzości spadku w ludzki chaos czekający na dole.

Przyzwyczajają się tak bardzo, że zaczyna być wdzięcznym.

Lepiej na to uważać.

– Jesteśmy nad Granią – odezwała się Ameli Vongsavath z kokpitu.

Spadliśmy.

Przy komputerze pokładowym działającym w trybie bojowym, przypominało to początek skoku grawitacyjnego, zanim zaskoczy uprząż. Żołądek podskoczył mi do gardła i zaswędziały mnie od środka gałki oczne. Nieoczekiwanie zasyczała budząca się do życia neurochemia i zadygotały wbudowane w dłonie płyty z biotworzywa. Vongsavath musiała przycisnąć nas do dna wykupionego przez Mandrake korytarza przelotowego i wykorzystać wszystko, co dawały główne silniki w nadziei wyprzedzenia wszelkich możliwych systemów wczesnego ostrzegania, jakie kempieści mogli wykorzystywać do dekodowania z transmisji Kartelu informacji o lotach.

Wyglądało na to, że jej się udało.

Zeszliśmy nad morze około dwóch kilometrów od wybrzeża Dangrek, a Vongsavath wykorzystwała wodę do wychłodzenia powierzchni wejściowych w sposób zatwierdzony przez wojskowe podręczniki. W niektórych miejscach grupy zwolenników ochrony środowiska podnosiły szum wokół takiego skażenia, ale wątpię, by poważił się na to ktokolwiek na Sanction IV. Wojna wywiera kojący wpływ na politykę, działający na tych, którzy ją uprawiają, jak strzał betatanatyny. Nie trzeba już wyważać poglądów i prawie wszystko można usprawiedliwić. Walcz, zwyciężaj i daj masom zwycięstwo. Wszystko inne można wymazać, jak niebo nad Sauberville.

– Osiągnięty status powierzchniowy – poinformowała Vongsavath. – Wstępny skan wykazuje brak ruchu. Lecę w stronę plaży na pomocniczych, ale lepiej, żebyście zostali na miejscach, dopóki nie zezwolę na ich opuszczenie. Komandorze Hand, dostaliśmy przekaz strunowy od Isaaca Carrery i chyba będzie pan chciał go zobaczyć.

Hand wymienił ze mną spojrzenia. Sięgnął w tył i uaktywnił mikrofon w fotelu.

– Puść to na prywatnym obwodzie. Ja, Kovacs i Sutjiadi.

– Zrozumiałam.

Ściągnąłem zestaw słuchawkowy i nasunąłem na twarz maskę prywatnego odbioru. Po chwili świstów i zgrzytów przekazywanych kodów uwierzytelniających na ekranie pojawił się Carrera. Miał na sobie kombinezon bojowy, a przez czoło i policzek ciągnęła się pomazana leczniczym żelem



świeża rana. Wyglądał na zmęczonego.

– Tu kontrola Północnej Grani do nadlatującego FAL 931/4. Znamy wasz plan lotu i cel misji, ale musimy was ostrzec, że w obecnych warunkach nie możemy sobie pozwolić na udzielenie wam wsparcia lądowego lub powietrznego. Siły Klina wycofały się do systemu jezior Masson, gdzie utrzymujemy postawę defensywną do czasu oceny ofensywy Kempa oraz ustalenia jej konsekwencji. Spodziewamy się pełnowymiarowej ofensywy zagłuszającej poprzedzającej bombardowania, więc prawdopodobnie to ostatnia okazja, kiedy możecie się skutecznie komunikować z kimkolwiek poza strefą działań. Poza tym, powinniście mieć świadomość, że Kartel ulokował w rejonie Sauberville eksperymentalny system nanorekonstrukcyjny. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jak system ten zareaguje na nieoczekiwane ingerencje. Osobiście – nachylił się w stronę ekranu – doradzałbym wycofanie się na silnikach pomocniczych aż do okolic Masson i odczekanie, aż będę mógł nakazać kontrofensywę do wybrzeża. Nie powinno was to opóźnić o więcej niż dwa tygodnie. Badania skutków wybuchu – przez jego twarz przebiegł ślad niesmaku, jakby właśnie doszedł go smród gnijącej rany – raczej nie stanowią celu godnego ryzyka, na jakie się narażacie, niezależnie od przewagi, jaką może to zapewnić waszym korporacyjnym panom. Z transmisją przekazujemy kod aktywacyjny Klina, na wypadek gdybyście zdecydowali się skorzystać z opcji wycofania. W przeciwnym wypadku nic dla was nie mogę zrobić. Powodzenia. Koniec. Odsunąłem maskę i odstawiłem na miejsce zestaw słuchawkowy. Hand przyglądał mi się z lekkim uśmiechem w kącikach ust.

– Trudno to nazwać przyjętą przez Kartel perspektywą. Zawsze jest taki szczerzy?

– W przypadku głupoty klientów tak. Dlatego właśnie mu płacą. O co chodzi z tym eksperymentalnym...

Hand wykonał dłonią nieznaczny gest nakazujący milczenie i potrząsnął głową.

– Tym bym się nie martwił. Standardowy straszak Kartelu. Trzyma niechciany personel z daleka od miejsc, gdzie nie powinien zaglądać.

– To znaczy, że ty to tak nazwałeś?

Hand znów się uśmiechnął. Sutjiadi nic nie powiedział, ale mocniej zacisnął wargi. Na zewnątrz zawyły silniki.

– Jesteśmy na plaży – oznajmiła Ameli Vongsavath. – Dwadzieścia jeden koma siedem kilometra od centrum Sauberville. Ktoś chce robić zdjęcia?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Strzępki bieli.

Gdy stanąłem we władzie *Nagini* i rozejrzałem się po piaszczystej plaży, przez chwilę wydawało mi się, że padał śnieg.

– Mewy – rzucił domyślnie Hand, wyskakując na dół i kopiąc jeden z walających się kłębków pierza. – Musiało je dopaść promieniowanie z wybuchu.

Spokojne fale morza pokryte były pierzastymi, kołyszącymi się łagodnie białymi strzępkami.

\* \* \*

Kiedy barki kolonizacyjne po raz pierwszy wylądowały na Sanction IV – i Latimerze czy Świecie Harlana, skoro już o tym mowa – dla wielu lokalnych gatunków stanowiły dokładnie taki kataklizm, na jaki wyglądały. Planetarna kolonizacja to proces niezmiennie destruktywny, a zaawansowana technika nie uczyniła tu wiele więcej ponad złagodzenie procesu gwarantującego ludziom ich zwyczajową pozycję na szczycie gwałconego przez nich ekosystemu. Inwazja jest wszechobecna i nieuchronna od chwili, gdy barki pierwszy raz dotykają gruntu.

Potężne statki stygną wolno, ale wewnątrz już wre aktywność. Ze zbiorników kriogenicznych wylaniają się zwarte szeregi sklonowanych embrionów, ładowane następnie z maszynową troską do zbiorników szybkiego wzrostu. W wypełniających zbiorniki odżywkach szaleją sztucznie stworzonych hormonów, wyzwalając erupcje komórkowego rozwoju, które doprowadzą każdy z klonów do wczesnej dojrzałości w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Pierwsza fala, wyhodowana w ostatnich stadiach podróży międzygwiazdnej, trafia do ładowarki, przelewającej do budzonych ciał umysły kolonialnej elity, gotowej zająć przynależne jej miejsce i ustanowić nowy porządek. Nie jest to jednak do końca kraina tak nieograniczonych możliwości i przygód, jak chcieliby przekonać potomków kronikarzy.

Gdzie indziej w kadłubie prawdziwe zniszczenie dokonują urządzenia modelowania środowiskowego.

Każdy szanujący się kolonizator zabiera ze sobą kilka ekologicznych sztucznych inteligencji. Po wczesnych katastrofach na Marsie i Adoracion stało się boleśnie oczywiste, że próba przesadzenia fragmentu ziemskiego ekosystemu do obcego środowiska to nie polowanie na słonie z karabinem plazmowym. Pierwsi koloniści, którzy wciągnęli w płuca powietrze świeżo sterraformowanego Marsa, zginęli w ciągu kilku dni, a sporo z tych, którzy zostali w środku, zginęło walcząc z małymi żarłocznymi żuczkami, których nikt wcześniej nie widział. Rzeczony żuczki okazały się być odległymi potomkami pewnego gatunku ziemskich roztoczy, które nieco zbyt wiele skorzystały na przewrocie ekologicznym spowodowanym przez terraforming.

Czyli z powrotem do laboratorium.

Przeszły jeszcze dwa pokolenia, zanim marsjańscy koloniści mogli w końcu oddychać świeżym powietrzem.

Na Adoracion było jeszcze gorzej. Barka kolonizacyjna *Lorca* wyleciała kilka dekad przed marsjańskim niepowodzeniem, zbudowana i wystrzelona w stronę najbliższego z nadających się do zamieszkania światów, wskazanego na marsjańskich mapach astrogacyjnych z brawurą godną koktajlu Mołotowa rzuconego na czołg. Był to na wpół desperacki atak na zbrojne głębiny przestrzeni międzygwiazdnych, akt technologicznego niepodporządkowania się opresyjnej fizyce rządzącej kosmosem i równie aroganckiej wiary w świeżo odczytane marsjańskie archiwa. Sądząc po zapisach,

prawie wszyscy spodziewali się, że poniosą klęskę. Nawet ci, którzy wprowadzili swoje skopiowane świadomości do bazy danych statku i geny do banków embrionów, zdecydowanie nie byli optymistami co do losu, jaki czeka ich zapisane osobowości na końcu podróży.

Jak sugeruje nazwa, Adoracion musiała wydać się im urzeczywistnionym snem. Zielono-pomarańczowy świat z mniej więcej takim samym składem mieszanki azotowo-tlenowej jak na Ziemi i bardziej przyjaznym stosunkiem powierzchni lądu do morza. Roślinność, którą mogły żywić się kolonijne zwierzęta hodowane we wnętrznościach *Lord* i żadnych widocznych drapieżników, których nie dałoby się łatwo zastrzelić. Koloniści albo byli od początku religijni, albo pchnęło ich ku temu przybycie do nowego Edenu, ponieważ pierwszą rzeczą, jaką zrobili po opuszczeniu statku, było zbudowanie katedry i podziękowanie Bogu za bezpieczny transport.

Minął rok.

Przekaz strunowy był wtedy jeszcze w powijakach, i ledwie mógł przenieść proste wiadomości w postaci kodowanych sekwencji. Wiadomość, która dotarła wiązkami na Ziemię, przypominała odgłos krzyku z zamkniętego pokoju na tyłach pustej rezydencji. Dwa ekosystemy spotkały się i starły jak armie na polu bitwy, z którego nie było ucieczki. Z ponad miliona kolonistów na pokładzie *Lorci*, ponad siedemdziesiąt procent zginęło w ciągu osiemnastu miesięcy od lądowania.

Z powrotem do laboratorium.

Obecnie doprowadziliśmy to już do poziomu sztuki. Nic organicznego nie opuszcza kadłuba, zanim ekomodelizator nie rozłoży całego ekosystemu planety. Wypuszcza się automatyczne sondy, które zbierają próbki z całej jej powierzchni. SI przetrawia dane, puszcza model przy założeniu teoretycznej obecności ziemskiego życia w szybkości kilkaset razy większej od rzeczywistej i oznacza potencjalne starcia. Dla wszystkich potencjalnych problemów tworzy rozwiązanie, genetyczne lub nanotechnologiczne, a na podstawie skorelowanej całości wypływa protokoły kolonizacyjne. Po spisaniu protokołu wszyscy zabierają się do roboty.

W protokołach kolonizacyjnych około trzech tuzinów zamieszkałych światów wciąż na nowo pojawiają się pewne gatunki o większych możliwościach dostosowania. To historie sukcesu planety Ziemia – twarde, adaptacyjne ewolucyjnie stworzenia. Większość z nich to rośliny, bakterie i owady, ale między większymi zwierzętami też kilka się wyróżnia. Owce merynosy, niedźwiedzie grizzly i mewy znajdują się na szczycie listy. Trudno się ich pozbyć.

\* \* \*

Woda wokół statku pełna była pokrytych białymi piórami ciał. Przy nienaturalnym spokoju brzegu jeszcze bardziej tłumili słabe stukanie fal o kadłub.

Statek był w opłakanym stanie. Dryfował ospale, ciągnąc za sobą kotwiczne liny, z farbą od strony Sauberville spaloną na sadzę i czysty metal przez podmuch eksplozji. Wybuch wybił równocześnie kilka okien, i wyglądało na to, że część z niechlujnego stosu sieci na pokładzie zapaliło się i stopiło. Pokładowa wciągarka była równie osmalona. Ktokolwiek stałby na pokładzie, prawdopodobnie zginąłby od oparzeń trzeciego stopnia.

Ale na pokładzie nie było żadnych ciał. Wiedzieliśmy to jeszcze z wirtualizacji.

– Pod pokładem też nie ma nikogo – zgłosił Luc Deprez, wystawiając głowę ze śródpokładowej zejściówki. – Od miesiący nikogo nie było na pokładzie. Może od roku. Całe jedzenie pochłonęły robaki i szczury.

Sutjiadi zmarszczył czoło.

– Było jakieś jedzenie na zewnątrz?

– Tak, i to sporo. – Deprez wyciągnął się na zewnątrz z zejściówki i usadowił na osłonie. Dolna część jego stroju maskującego przez chwilę pozostała matowoczarna, potem dostosowała się do zalanego słońcem otoczenia. – Wygląda na spore przyjęcie, ale nikt nie został, żeby po nim posprzątać.

– Brałam udział w takich imprezach – rzuciła Vongsavath.

Z dołu rozległo się charakterystyczne świsto-skwierczenie sunjeta. Sutjiadi, Vongsavath i ja równocześnie zeszywnieliśmy. Deprez się uśmiechnął.

– Cruickshank strzela do szcurów – wyjaśnił. – Są dość duże.

Sutjiadi opuścił broń i rozejrzał się po pokładzie, minimalnie swobodniej niż w chwili, gdy weszliśmy na statek.

– Deprez, szacunkowo ile ich tu było?

– Szcurów? – Jego uśmiech się poszerzył. – Trudno powiedzieć.

Zdusiłem uśmiech.

– Załogi – rzucił Sutjiadi z niecierpliwym gestem. – Ile załogi, *sierzancie*?

Deprez wzruszył ramionami, nieporuszony przypomnieniem rangi.

– Nie jestem kucharzem, kapitanie. Trudno powiedzieć.

– Ja byłam kiedyś kucharzem – nieoczekiwanie odezwała się Ameli Vongsavath. – Może zejść tam i się rozejrzeć.

– Zostań tutaj. – Sutjiadi podszedł do burty trawlera, kopiąc po drodze truchło mewy. – Od tej chwili chciałbym widzieć w łańcuchu dowodzenia trochę mniej humoru, a więcej posłuszeństwa. Możecie zacząć od wyciągnięcia sieci. Deprez, wracaj na dół i pomóż Cruickshank pozbyć się szcurów.

Deprez westchnął i odłożył na bok swojego sunjeta. Zza paska wyciągnął antycznie wyglądający pistolet, wprowadził nabój do komory i wycelowwał w niebo.

– Robota w sam raz dla mnie – stwierdził ponuro, po czym zeskoczył z powrotem w zejściówkę, trzymając broń wysoko nad głową.

Zatrzeszczał komunikator indukcyjny. Sutjiadi schylił głowę, słuchając. Podpiąłem swój rozłączony sprzęt z powrotem na miejsce.

– ...Jest zabezpieczony. – Głos Sun Liping. Sutjiadi przydzielił jej dowództwo drugiej połowy grupy i wysłał ją wzdłuż plaży z Handem, Wardani i Schneiderem, którego wyraźnie uważał w najlepszym razie za irytującego cywila, w najgorszym – za kulę u nogi.

– Jak zabezpieczony? – zapytał ostro.

– Ustawiliśmy na perymetrze jednostki strażnicze w półkole nad plażą. Pięćset metrów szerokości u podstawy, sto osiemdziesiąt stopni łuku. Powinny wyłapać wszystko, co nadejdzie od interioru albo nad brzegiem z obu stron. – Sun przerwała na chwilę przepraszająco. – Oczywiście, tylko w polu widzenia, ale daje to kilka kilometrów. To najlepsze, co możemy zrobić.

– Co z, hm, celem misji? – wtrąciłem. – Jest nienaruszony?

Sutjiadi parsknął.

– Jest tam w ogóle?

Rzuciłem wzrokiem w jego stronę. Sutjiadi uważał, że szukamy graala. Wyczulone, emisariuszowskie skanowanie postawy umożliwiło mi odczytanie tego z jego zachowania bez najmniejszych wątpliwości. Sądził, że brama Wardani to jakaś archeologiczna fantazja, wydedukowana z mętnej teorii, żeby wyrzucić wrażenie na Mandrake i trochę ich oskubać. Uważał, że Hand kupił rozbite skorupy, a korporacyjna chciwość pożarła ideę w bezmyślnym pędzie, by pierwszemu znaleźć się na miejscu wszelkiego możliwego rozwoju. Spodziewał się, że kiedy grupa

dotrze na miejsce, dojdzie do poważnej niestrainności. Nie powiedział nic takiego w trakcie odprawy w konstrukcie, ale przez cały czas nosił swój brak wiary jak transparent.

W zasadzie nie mogłem go za to winić. Sądząc po zachowaniu, uważała tak mniej więcej połowa zespołu. Gdyby Hand nie oferował im tak szalonych kontraktów umożliwiających powrót z martwych i ucieczkę od wojny, prawdopodobnie roześmialiby mu się prosto w twarz.

Niewiele ponad miesiąc temu sam prawie zrobiłem to samo wobec Schneidera.

– Tak, jest tutaj. – W głosie Sun było coś dziwnego. O ile udało mi się stwierdzić, nawet nie była jedną z wątpiących, ale teraz w jej głosie brzmiał podziw. – Jest. Nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałam.

– Sun? Jest otwarta?

– Nie, o ile udało nam się ustalić, poruczniku Kovacs. Myślę, że jeśli chce pan znać szczegóły, to lepiej będzie porozmawiać z madame Wardani.

Odcchrząknąłem.

– Wardani? Jesteś tam?

– Jestem zajęta. – Mówiła głosem pełnym napięcia. – Czego dowiedzieliście się na łodzi?

– Jeszcze niczego.

– No cóż. Tutaj to samo. Over.

Znów zerknąłem na Sutjiadię. Wbił wzrok w jakiś punkt przestrzeni, a jego nowa twarz Maori niczego nie zdradzała. Mruknąłem coś pod nosem, wyłączyłem mikrofon i poszedłem sprawdzić, jak działa pokładowa wyciągarka. Za sobą usłyszałem, jak woła do Hansena, żądając raportu o postępach.

Okazało się, że wyciągarkę obsługuje się niemal tak samo, jak ładowarkę promu, więc z pomocą Vongsavath podłączyłem mechanizm do zasilania, zanim Sutjiadi skończył rozmawiać przez radio. Podeszedł do nas akurat, gdy ramię gładko przesunęło się nad wodę i opuściło chwytak w pierwszej próbie połowu.

Wyciągnięcie sieci okazało się być zupełnie inną historią. Opanowanie tej sztuki zajęło nam dobre dwadzieścia minut, a do tego czasu skończyło się polowanie na szczury i dołączyli do nas Deprez i Cruickshank. Nawet wtedy wydobywanie zimnych, nasiąkniętych i ciężkich płacht z wody i przeniesienie ich na pokład w jakimś porządku okazało się wyjątkowo trudne. Nikt z nas nie był rybakiem, a szybko stało się jasne, że w proces zaangażowane są jakieś istotne umiejętności, których nam brakowało. Wielokrotnie przewracaliśmy się i ślizgaliśmy.

Okazało się jednak, że było warto.

W ostatnich fałdach, które wyciągnęliśmy na pokład, zaplątały się szczątki dwóch ciał, nagich, jeśli nie liczyć wciąż błyszczącego łańcucha, który obciążał je na wysokości klatki piersiowej i kolan. Ryby oskubały je do kości i skóry, która wyglądała jak podarte płótno. Ich pozbawione oczu czaszki toczyły się razem w sieci jak głowy pijaków, wspólnie śmiejących się z dobrego żartu. Miękkie karki i szerokie uśmiechy.

Przez chwilę staliśmy, przyglądając się im w milczeniu.

– Dobry pomysł – powiedziałem do Sutjiadi.

– Przydało się sprawdzić. – Podeszedł bliżej i przyjrzał się uważnie nagim kościom. – Zostali rozebrani i wpleceni w sieć. Ręce i nogi, potem łańcuchy. Ktokolwiek to zrobił, nie chciał, żeby wypłynęli. Co nie ma zbyt wiele sensu. Po co ukrywać ciała, skoro statek dryfuje tutaj, więc może go zobaczyć każdy z Sauberville i przejąć jako zdobycz?

– Tak, ale nikt tego nie zrobił – zauważyła Vongsavath.

Deprez odwrócił się i osłonił oczy, patrząc na horyzont, gdzie wciąż dymiło Sauberville.

– Wojna?

Przypomniałem sobie daty, najświeższą historię i wszystko pododawałem.

– Rok temu nie dotarła tak daleko na zachód, ale na południu zaczynało się robić niebezpiecznie.

– Kiwnąłem głową w stronę kolumny dymu. – Baliby się. Mało prawdopodobne, żeby przyszli tu po cokolwiek, co mogłoby przyciągnąć ogień z orbity. Albo coś, co mogło być zaminowane, by ściągnąć zdalne bombardowanie. Pamiętacie miasto Bootkinaree?

– Aż nazbyt dobrze – odpowiedziała Ameli Vongsavath, przyciskając palce do lewej kości policzkowej.

– To było mniej więcej rok temu. Przewalało się przez wszystkie serwisy informacyjne. Chodziło o transportowiec w zatoce. Po czymś takim na całej planecie nie znajdzie się cywilnego zespołu zbierającego wraki.

– Więc po co w ogóle chować tych gości? – zapytała Cruickshank.

Wzruszyłem ramionami.

– Usunięto ich z pola widzenia. Dzięki temu nie zostało nic, co mogłoby ściągnąć tu ciekawskie patrole lotnicze. Ciała mogły wtedy jeszcze wywołać lokalne śledztwo, zanim w Kempopolis sprawy zaczęły się wymykać spod kontroli.

– Indigo City – zauważył karcąco Sutjiadi.

– Tak, nie pozwól, żeby Jiang usłyszał, że tak je nazywasz. – Cruickshank wyszczerzyła zęby. – Skoczył mi już do gardła za to, że określiłam Danang jako uderzenie na postrach. A to miał być pieprzony komplement!

– Wszystko jedno. – Wywróciłem oczami. – *Rzecz* w tym, że bez ciał to zwyczajna łódź rybacka, po którą ktoś nie wrócił, a w związku z tym nie przyciąga za wiele uwagi w okresie poprzedzającym globalną rewolucję.

– Przyciąga, jeśli została wynajęta w Sauberville. – Sutjiadi potrząsnął głową. – A nawet kupiona, wskazuje na lokalny interes. Kim byli ci faceci? Daj spokój, Kovacs, jesteśmy zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od portu.

– Nie ma powodu przypuszczać, że to miejscowa łódź. – Wskazałem w kierunku spokojnego oceanu. – Na tej planecie można taką łodzią przepłynąć całą drogę z Bootkinaree i nie uronić po drodze nawet kropli kawy.

– Tak, ale ciała można też schować przed zwiadem powietrznym, wrzucając je do kambuza razem z resztą bałaganu – zaprotestowała Cruickshank. – To nie ma sensu.

Luc Deprez wyciągnął rękę i lekko przesunął sieć. Czaszki odbiły się od siebie i przeturlały.

– Nie ma stosów – powiedział. – Zostali umieszczeni w wodzie, żeby uniemożliwić identyfikację. Myślę, że ktoś uznał, że woda jest szybsza od szczurów.

– Zależy od szczurów.

– Jesteś ekspertem?

– Może to był pogrzeb – zasugerowała Ameli Vongsavath.

– W sieci?

– Tracimy tylko czas – głośno stwierdził Sutjiadi. – Deprez, znieś ich na dół, zawiń i daj gdzieś, gdzie nie doborą się do nich szczury. Puścimy im później pośmiertne autochirurgiem na *Nagini*. Vongsavath i Cruickshank, przekopcie się przez statek od czubka do steru. Szukajcie czegokolwiek, co mogłoby nam dostarczyć informacji na temat tego, co się tu stało.

– Od dziobu do rufy – poprawiła Vongsavath.

– Wszystko jedno. Interesuje nas każdy szczegół, który mógłby nam coś wyjaśnić. Może ubrania tych dwóch albo... – Potrząsnął głową, nagle zirytowany. – Wszystko. Wszystko, co wzbudzi wasze

podejrzenia. Bierzcie się za to. Poruczniku Kovacs, chciałbym, żeby popłynął pan ze mną. Chcę sprawdzić pierścień obrony.

– Oczywiście. – Przełknąłem kłamstwo z lekkim uśmiechem.

Sutjadi wcale nie chciał sprawdzać perymetru. Tak samo jak ja widział życiorysy Sun i Hansena. Nie trzeba było sprawdzać ich pracy.

Wcale nie chciał skontrolować perymetru.

Chciał zobaczyć bramę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Schneider opisywał mi ją, nawet kilka razy. Wardani naszkicowała ją dla mnie w wolnej chwili u Roespinoedjiego. Warsztat graficzny na Angkor Road przygotował na podstawie opisu Wardani grafikę 3D na przynętę dla Mandrake. Później Hand kazał urządzeniom Mandrake rozwinąć obraz do konstruktów w pełnej skali, który mogliśmy oglądać w wirtualu.

Nic z tego nie zbliżyło się do rzeczywistości.

Tkwiała w wykonanej ludzką ręką jaskini niczym jakaś rozciągnięta w pionie wizja ze szkoły dimensjonalistów, element z koszmarnych technomilitarystycznych krajobrazów Mhlongo czy Osupile. Struktura miała w sobie złożoność, jak siedem dziesięciometrowych wampirzych nietoperzy opierających się o siebie plecami w obronnej falandze. Nie było w niej nic z pasywnej otwartości, sugerowanej przez słowo „brama”. W łagodnym świetle przefiltrowanym przez fragmenty skał w górze obiekt wyglądał na przyczajony.

Podstawa była trójkątna, o boku mniej więcej pięciometrowej długości, choć dolne krawędzie mniej przypominały obiekt geometryczny, a bardziej coś, co wrosło w podłoże jak korzenie drzewa. Materiałem był stop, który widywałem już wcześniej w marsjańskiej architekturze, gęsta matowoczarna powierzchnia, która w dotyku przypominała marmur lub onyks, ale zawsze niosła lekki ładunek statyczny. Panele z technoglifami były brudnozielone i rubinowe, odwzorowane w dziwnych, nieregularnych falach wokół dolnej części, ale nigdy nie wznosząc się wyżej niż pół metra od ziemi. Blisko górnej granicy tego limitu symbole zdawały się tracić spójność i siłę – stawały się cieńsze, gorzej zdefiniowane i nawet styl ich grawerowania był jakby mniej zdecydowany. Sun powiedziała później, że wyglądało to tak, jakby zapisujący glify bali się podejść zbyt blisko tego, co stworzyli na cokole.

Wyżej struktura zaczynała się gwałtownie składać wewnątrz w miarę wznoszenia, tworząc serię ściśniętych kątów z czarnego stopu oraz wiodących ku górze krawędzi, kończących się krótką iglicą. W długich szczelinach między zgięciami czarne zmętnienie stopu zanikało, przechodząc w brudną przezroczystość, a w jej wnętrzu geometria zdawała się dalej składać wewnątrz w bliżej nieokreślony sposób, od patrzenia na który zaczynała boleć głowa.

– Wierzysz w to czy nie? – zapytałem Sutjiadiego, gdy stał obok mnie, gapiąc się bez słowa. Przez chwilę nie odpowiadał, a kiedy to zrobił, w jego głosie brzmiało lekkie oszołomienie, które słyszałem wcześniej u Sun Liping.

– To nie jest nieaktywne – zauważył cicho. – To czuje. Jest w ruchu, jakby się obracało.

– Może to robi. – Sun przyszła z nami, zostawiając resztę zespołu przy *Nagini*. Nikt inny nie palił się, żeby spędzić jakiś czas w jaskini ani nawet w jej pobliżu.

– To ma być łącze hiperprzestrzenne – powiedziałem, odchodząc na bok w próbie zerwania więzi, jaką wymuszała na mnie obca geometria. – Jeśli utrzymuje łączność z jakimś miejscem, to może porusza się w hiperprzestrzeni, nawet kiedy jest wyłączona.

– A może pulsuje – zasugerowała Sun. – Jak boja.

Niepokój.

Czułem, jak krąży we mnie, i równocześnie zauważyłem go w skrzywieniu twarzy Sutjiadiego. A przecież nasza sytuacja wyglądała dostatecznie kiepsko przez fakt, że byliśmy zablokowani na tym eksponowanym kawałku plaży, i bez dodatkowej troski o to, że przedmiot, który przybyliśmy tu uaktywnić, może wysyłać sygnały wywoławcze w wymiarach, o których jako gatunek mieliśmy tylko bardzo blade pojęcie.

– Będziemy tu potrzebować trochę światła – stwierdziłem.



Czar został przerwany. Sutjiadi zamrugał szybko i podniósł wzrok na wpadające do środka promienie słońca. Zaczynały szarzeć w zauważalnym tempie w miarę, jak przez niebo postępował wieczór.

– Wypalimy to – rzucił.

Wymieniłem z Sun zaalarmowane spojrzenia.

– Co wypalimy? – zapytałem ostrożnie.

Sutjiadi machnął ręką.

– Skąły. *Nagini* dysponuje zamontowaną z przodu baterią ultrawibracyjną do ataków naziemnych. Hansen powinien bez trudu wywalić przejście aż dotąd, nawet nie zadrapiując artefaktu.

Sun zakaszłała.

– Nie sędzę, żeby ten pomysł spodobał się komandorowi Handowi, sir. Kazał mi przynieść tu przed zmrokiem zestaw lamp Angiera. A madame Wardani poprosiła o zainstalowanie systemów zdalnego monitoringu, żeby mogła pracować nad bramą z...

– W porządku, poruczniku. Dziękuję. – Sutjiadi jeszcze raz rozejrzał się po jaskini. – Porozmawiam z komandorem Handem.

Ruszył do wyjścia. Zerknąłem na Sun i mrugnąłem.

– Ja chcę słyszeć tę rozmowę – oświadczyłem.

\* \* \*

Przy *Nagini* Hansen, Schneider i Jiang zajęci byli wznoszeniem pierwszych plastobaniek do szybkiej zabudowy. Hand stał oparty w rogu jednego z włazów załadunkowych statku szturmowego, przyglądając się siedzącej ze skrzyżowanymi nogami Wardani, która rysowała coś na panelu pamięciowym. Na jego twarzy malowała się autentyczna fascynacja, dzięki której wyglądał o wiele młodziej.

– Jakiś problem, kapitanie? – zapytał, gdy podeszliśmy do rampy.

– Chcę mieć ten przedmiot – oświadczył Sutjiadi, wskazując kciukiem za swoje plecy – na otwartej przestrzeni. Żebym mógł tego pilnować. Każę Hansenowi wywalić skały przy pomocy ultrawibracji.

– Nie ma mowy. – Hand wrócił do przyglądania się pracy Wardani. – Na tym etapie nie możemy ryzykować ujawnienia.

– Albo uszkodzenia bramy – ostro dodała Wardani.

– Albo uszkodzenia bramy – zgodził się dyrektor. – Obawiam się, kapitanie, że pański zespół będzie musiał poradzić sobie z tą jaskinią. Nie wydaje mi się, żeby wiązało się to z jakimś ryzykiem. Oszalowanie zostawione przez poprzednich gości wygląda na dość solidne.

– Widziałem te szalunki – odpowiedział Sutjiadi. – Wiążący epoksyd to nie substytut dla permanentnej konstrukcji, ale...

– Sierżant Hansen wydawał się być pod wrażeniem – w uprzejmym tonie Handa pojawiły się nutki irytacji. – Ale jeśli to pana martwi, może pan w dowolny sposób wzmocnić istniejącą strukturę.

– Zamierzałem powiedzieć – stwierdził płasko Sutjiadi – że szalunek nie ma nic do rzeczy. Nie chodzi mi o ryzyko zawalenia się. Bardziej martwi mnie to, co znajduje się w jaskini.

Wardani podniosła wzrok znad swojego rysunku.

– Cóż, to dobrze, kapitanie – powiedziała żywo. – W niecałe dwadzieścia cztery godziny czasu rzeczywistego przeszedł pan od uprzejmego niedowierzania do poważnej troski. Czym dokładnie się pan przejmuje?

Sutjiadi wyglądał na niezadowolonego.

– Ten artefakt – burknął – to brama, przynajmniej tak pani twierdzi. Czy może dać nam pani gwarancję, że nic nie przejdzie przez nią z drugiej strony?

– Nie, właściwie to nie.

– Ma pani jakieś pojęcie, co może przez nią przejść?

Wardani się uśmiechnęła.

– Nie, właściwie to nie – powtórzyła.

– W takim razie przykro mi, madame Wardani, ale z wojskowego punktu widzenia wydaje się rozsądne utrzymywać uzbrojenie *Nagini* wycelowane w to coś przez cały czas.

– To nie jest operacja wojskowa, kapitanie. – Hand ostentacyjnie starał się wyglądać na znudzonego. – Wydawało mi się, że jasno dałem to do zrozumienia w trakcie odprawy. Jest pan częścią przedsięwzięcia komercyjnego, a względy handlowe nakazują ukrycie artefaktu przed widokiem z powietrza do czasu, aż zostanie on odpowiednio zabezpieczony. A zgodnie z Kartą Inkorporacyjną, nie będzie to miało miejsca do czasu, aż to, co jest po drugiej stronie bramy, nie zostanie oznaczone boją własnościową Mandrake.

– A jeśli brama postanowi się otworzyć, zanim będziemy gotowi, i przejdą przez nią jacyś wrogowie?

– Wrogowie? – Wardani odłożyła swój panel, wyraźnie rozbawiona. – Czyli kto?

– Pani ma większą wiedzę, żeby to ocenić, madame Wardani – sztywno odpowiedział Sutjiadi.

– Po prostu martwię się bezpieczeństwem tej wyprawy.

Wardani westchnęła.

– Oni nie byli wampirami, kapitanie – rzuciła zmęczonym głosem.

– Słucham?

– Marsjanie. Nie byli wampirami ani demonami. To po prostu zaawansowana technicznie rasa ze skrzydłami. Nic więcej. Po drugiej stronie tego przedmiotu – wskazała palcem w stronę bramy – nie ma nic, czego za najdalej parę tysięcy lat sami nie potrafilibyśmy zbudować. Oczywiście, jeśli będziemy w stanie zapanować nad naszymi skłonnościami militarystycznymi.

– Czy to ma być zniewaga, madame Wardani?

– Niech pan to bierze, za co chce, kapitanie. Wszyscy już wolno umieramy od promieniowania. Wczoraj kilka tuzinów kilometrów w tamtą stronę odparowano sto tysięcy ludzi. Zrobili to żołnierze. – Jej głos przybierał na sile, choć przebijało przez niego drżenie. – Wszędzie indziej na około sześćdziesięciu procentach powierzchni lądu istnieją wysokie szanse na gwałtowną śmierć. Z rąk żołnierzy. Gdzie indziej obozy zabijają głodem lub torturami, jeśli zejdzie się z właściwej linii politycznej. Ta usługa również dostarczana jest nam przez żołnierzy. Czy muszę jeszcze coś dodawać, żeby wyjaśnić panu mój pogląd na militarystykę?

– Madame Wardani. – W głosie Handa brzmiało napięcie, którego jeszcze tam nie słyszałem. Poniżej rampy Hansen, Schneider i Jiang oderwali się od zajęć i przysłuchiwali coraz głośniejszej wymianie zdań. – Wydaje mi się, że zeszliśmy z tematu. Rozmawialiśmy o bezpieczeństwie.

– Doprawdy? – Wardani zmusiła się do śmiechu, a jej głos przycichł. – Cóż, kapitanie. Pozwoli pan, że ujmę to w ten sposób: przez siedemdziesiąt lat, przez które jestem wykwalifikowanym archeologiem, nigdy nie natknęłam się na dowody mogące sugerować, że Marsjanie mieli do zaoferowania coś bardziej nieprzyjemnego niż to, co ludzie pańskiego pokroju uwolnili już na Sanction IV. Jeśli nie liczyć drobnej kwestii opadu po Sauberville, prawdopodobnie byłby pan w tej chwili bezpieczniejszy, siedząc przed bramą niż gdziekolwiek indziej na północnej półkuli.

Na chwilę zapadła cisza.

– Może wycelujesz główne uzbrojenie *Nagini* na wejście do jaskini – zasugerowałem. – Ten sam efekt. Prawdę mówiąc, skoro będziemy dysponować zdalnym monitoringiem tego miejsca, tak będzie lepiej. Jeśli pojawią się potwory z półmetrowymi kłami, będziemy mogli zawalić na nie tunel.

– Słuszna uwaga. – Hand na pozór przypadkowo przesunął się, zajmując we władze pozycję między Wardani i Sutjiadim. – To wydaje się najlepszym kompromisem, nie sądzi pan, kapitanie?

Sutjiadi odczytał pozycję dyrektora i zrozumiał sugestię. Zasalutował i odwrócił się na pięcie. Kiedy mijał mnie, schodząc po rampie, rzucił mi niechętnie spojrzenie. Jego nowa twarz Maori nie była już tak nieruchoma jak wcześniej. Wyglądało na to, że poczuł się zdradzony.

Niewinność znajduje się w najdziwniejszych miejscach.

U podstawy rampy zahaczył stopą o jedno z walających się tam ciał mew i zachwiał się lekko. Kopnął kupkę piór, wznosząc przy tym fontannę turkusowego piasku.

– Hansen – rzucił ostro. – Jiang. Zabierzcie te ścierwa z plaży. Macie ją oczyścić na dwieście metrów od statku w obie strony.

Ole Hansen uniósł brwi i zasalutował ironicznie. Sutjiadi nie patrzył – zdążył już odejść w stronę brzegu morza.

Coś było nie w porządku.

\* \* \*

Hansen i Jiang użyli silników z dwóch będących na wyposażeniu ekspedycji skuterów grawitacyjnych do odepchnięcia ciał mew z piasku w piskliwym, sięgającym kolan froncie burzowym piasku i piór. W oczyszczonej przez nich przestrzeni wokół *Nagini* obóz szybko nabierał kształtów, co przyspieszył jeszcze powrót z trawlera Depreza, Vongsavath i Cruickshank. Zanim zrobiło się całkiem ciemno, z piasku sterczało pięć plastobanek ustawionych wokół statku szturmowego mniej więcej na planie koła. Miały jednolite wymiary, pokrycie z kameleonochromu i jeśli nie liczyć małych, iluminowanych numerów nad drzwiami, niczym się od siebie nie różniły. Każda z banek przygotowana była do pomieszczenia czterech osób w parze dwupiętrowych koi oddzielonych przez centralną przestrzeń użytkową, ale dwie jednostki zostały zmontowane w niestandardowej konfiguracji, z połową łóżek. Jedna miała służyć jako miejsce spotkań, druga jako laboratorium Tanyi Wardani.

Znalazłem ją tam, wciąż rysowała.

Właz był otwarty, świeżo wycięty laserem i zawieszony na miejscu epoksydowymi zawiasami, wciąż lekko pachnącymi żywicą. Dotknąłem panelu dzwonka i wsadziłem głowę do środka.

– Czego chcesz? – zapytała, nie podnosząc głowy znad tego, czym się zajmowała.

– To ja.

– Wiem, kto to, Kovacs. Czego chcesz?

– Zaproszenia za próg?

Przerwała rysowanie i westchnęła, wciąż nie podnosząc głowy.

– Nie jesteśmy już w wirtualu, Kovacs, ja...

– Nie przyszedłem się pieprzyć.

Zawahała się, potem spojrzała na mnie twardo.

– Tak już lepiej.

– Więc mogę wejść?

– Rób, jak chcesz.

Schyliłem się, przechodząc przez wejście, i podszedłem do miejsca, gdzie siedziała, ostrożnie

przeciskając się między płachtami wydruków wypłutych przez panel pamięciowy. Wszystkie stanowiły wariacje jednego tematu – sekwencji technoglifów z nabazgrołonymi notatkami. Przyglądałem się, jak przekreśla kolejny rysunek.

– Dochodzisz do czegoś?

– Powoli. – Ziewnęła. – Nie pamiętam aż tyle, ile mi się zdawało. Będę musiała odtworzyć część wtórnej konfiguracji od zera.

Oparłem się o krawędź stołu.

– Jak myślisz, ile to potrwa?

– Kilka dni. – Wzruszyła ramionami. – Potem będą testy.

– A ile na to?

– Całość? Główne i wspomagające? Nie wiem. Czemu? Już zaczyna cię swędzieć szpik w kościach?

Zerknąłem przez otwarte drzwi w stronę ogni Sauberville rzucających na nocne niebo przyćmiony czerwony blask. Tak krótko po wybuchu i tak blisko epicentrum w okolicy musiało być pełno pierwiastkowej egzotyki. Stront 90, jod 131 i wszyscy ich liczni przyjaciele, jak obficie zakrapiana zabawa harlańskiej rodziny, zalewająca swoim hałaśliwym entuzjazmem nadbrzeżne rejony Millsport. Wszyscy ubrani w niestabilne subatomowe marynarki niczym skóry bagiennych panter i usiłujący wszędzie się wcisnąć, do każdej komórki, którą mogliby zniszczyć.

Przebiegł mnie mimowolny dreszcz.

– Po prostu jestem ciekaw.

– Podziwu godne. Musi ci to utrudniać karierę żołnierza.

Z trzaskiem rozłożyłem jedno z obozowych krzeseł ustawionych w stosiku za stołem i usiadłem.

– Wydaje mi się, że mylisz ciekawość z empatią.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Ciekawość to podstawowa cecha małp. Mnóstwo mają jej kaci i śledczy. Jak widzisz, wcale nie sprawia, że człowiek staje się lepszy.

– Cóż, przypuszczam, że ty byś się nie pomylił.

Celna riposta. Nie wiedziałem, czy była torturowana w obozie – w chwilowym wybuchu złości wcale mnie to nie obchodziło – ale nawet nie mrugnęła, mówiąc te słowa.

– Czemu tak się zachowujesz, Wardani?

– Powiedziała ci, że nie jesteśmy już w wirtualu.

– Nie.

Czekałem. W końcu wstała i podeszła do tylnej ściany pomieszczenia, gdzie cały zestaw ekranów sprzętu do zdalnego monitoringu pokazywał bramę z tuzina różnych kątów.

– Będziesz musiał mi wybaczyć, Kovacs – powiedziała ciężko. – Widziałam dzisiaj śmierć stu tysięcy ludzi, zamordowanych, żeby przygotować drogę dla tego przedsięwzięcia. I choć wiem, że tego nie zrobiliśmy, to trochę zbyt szczęśliwy zbieg okoliczności, żebym nie czuła się odpowiedzialna. Wiem, że jeśli wyjdę na spacer, na wietrze będą powiewać ich drobne strzępy. I to wszystko bez tych bohaterów rewolucji, których tak skutecznie zabiłeś dzisiaj rano. Przykro mi, Kovacs. Nie mam przygotowania do tego rodzaju rzeczy.

– W takim razie, jak rozumiem, nie będziesz chciała rozmawiać na temat ciał, które wyłowiliśmy w sieciach trawlera.

– A jest o czym rozmawiać? – Nie obejrzała się.

– Deprez i Jiang właśnie skończyli przepuszczać ich przez autochirurga. Wciąż nie mamy pojęcia, co ich zabiło. Ani śladu traumy w strukturze kości, a nie ma zbyt wielu resztek, żeby ocenić

tkanki. – Przeszedłem do niej, zbliżając się do monitorów. – Powiedziano mi, że są pewne testy, które można wykonać z kośćmi na poziomie komórkowym, ale mam wrażenie, że one też nic nam nie powiedzą.

To ściągnęło na mnie jej spojrzenie.

– Dlaczego?

– Ponieważ cokolwiek ich zabiło, ma związek z tym. – Stuknąłem palcem w szkło monitora, na którym majaczyła brama. – I nie jest to coś, z czym ktokolwiek z nas już się zetknął.

– Myślisz, że coś przeszło przez bramę w godzinie duchów? – zapytała pogardliwie. – Dorwały ich wampiry?

– Coś ich dorwało – odpowiedziałem spokojnie. – Nie umarli ze starości. Ich stosy zniknęły.

– Czy to nie wyklucza opcji z wampirami? Wycinanie stosów to osobliwie ludzkie okrucieństwo, prawda?

– Niekoniecznie. Cywilizacja, która była w stanie zbudować hiperportal, musiała też umieć digitalizować świadomość.

– Nie ma na to żadnych dowodów.

– Nawet zdrowy rozsądek?

– Zdrowy rozsądek? – W jej głosie znów brzmiała pogarda. – Ten sam zdrowy rozsądek, który tysiąc lat temu kazał nam wierzyć, że Słońce obraca się wokół Ziemi? Zdrowy rozsądek, do którego odwoływał się Bogdanovich, kiedy tworzył swoją teorię centrum? Wiesz, Kovacs, zdrowy rozsądek jest antropocentryczny. Zakłada, że ponieważ tak właśnie postąpiły istoty ludzkie, musi to być droga, jaką obrałyby wszystkie inteligentne gatunki.

– Słyszałem trochę całkiem przekonujących argumentów na ten temat.

– Tak, wszyscy słyszeliśmy – odparowała. – Zdrowy rozsądek dla mas. I już nie trzeba przejmować się karmieniem ich czymś innym. A co, jeśli marsjańska etyka nie pozwalała na ponowne upowłokowienie, Kovacs? Pomyślałeś kiedyś o tym? Co jeśli śmierć oznaczała, że jest się niegodnym życia? Że nawet jeśli można było kogoś ożywić, nie miał do tego prawa?

– W zaawansowanej technicznie kulturze? Kulturze międzygwiazdnej? To bzdury, Wardani.

– Nie, to teoria. Funkcjonalna etyka drapieźników. Ferrer, Yoshimoto i Bradbury. I w tej chwili w zasadzie nie ma żadnych dowodów, które pozwoliłyby ją obalić.

– A ty w to wierzysz?

Westchnęła i wróciła na swoje miejsce.

– Oczywiście, że w to nie wierzę. Po prostu próbuję ci udowodnić, że istnieje coś więcej niż tylko wygodne ludzkie pewniki, które rozdaje nam nasza nauka. O Marsjanach nie wiemy prawie nic, i to po setkach lat badań. To, co nam się wydaje, że wiemy, może w każdej chwili okazać się nieprawdą. Nie mamy pojęcia, czym jest połowa z rzeczy, które wykopaliśmy, a mimo to wciąż sprzedajemy je jako cholerne ozdoby na meble. Całkiem możliwe, że ktoś na Latimerze powiesił sobie na swojej pieprzonej ścianie zakodowaną tajemnicę napędu nadświatelnego. – Przerwała. – I to zapewne do góry nogami.

Roześmiałem się głośno. Rozładowało to napięcie w plastobańce. Twarz Wardani skrzywiła się w mimowolnym uśmiechu.

– Mówię poważnie – wymamrotała. – Wydaje ci się, że coś z tego rozumiem, bo potrafię otworzyć tę bramę. No cóż, nie. Niczego tu nie można zakładać. Nie możemy myśleć w ludzkich kategoriach.

– W porządku, rozumiem. – Przeszedłem za nią do środka pokoju i z powrotem zająłem miejsce na krześle. Prawdę mówiąc, dostawałem dreszczy na samą myśl o marsjańskim komandzie

przechodzącym przez bramę, wyciągającym ludzkie stosy i ściągającym je do jakiejś marsjańskiej wirtualizacji, oraz tym, co mogłoby to zrobić z ludzkim umysłem. Był to pomysł, bez którego byłbym zdecydowanie szczęśliwszy. – Ale teraz to ty brzmisz, jakbyś opowiadała historie o wampirach.

– Po prostu cię ostrzegam.

– Dobra, czuję się ostrzeżony. Teraz powiedz mi coś. Ilu archeologów wiedziało jeszcze o tym miejscu?

– Poza moim zespołem? – Zastanowiła się. – Zgłosiliśmy się do rejestru w Landfall, ale zanim odkryliśmy, co znaleźliśmy. Zostało to zgłoszone po prostu jako obelisk. Artefakt o nieznannej funkcji. Ale jak już mówiłam, czymś takim jest praktycznie połowa rzeczy, które wykopujemy.

– Wiesz, Hand twierdzi, że w rejestrach Landfall nie ma śladu po tego rodzaju obiekcie.

– Tak, czytałam raport. Przypuszczam, że pliki się gubią.

– Wydaje mi się to nieco zbyt wygodne. Zginąć może dowolny plik, ale nie jeśli dotyczy największego odkrycia od czasu Bradbury.

– Mówiłam ci, został zgłoszony jako ANF, nieznaną funkcją. Kolejny obelisk. Zanim go znaleźliśmy, trafiliśmy wzdłuż wybrzeża na tuzin różnych kawałków.

– I nie dokonaliście aktualizacji? Nawet kiedy już wiedzieliście, co to jest?

– Nie. – Posłała mi krzywy uśmiech. – Gildia zawsze robiła mi trudności ze względu na moją słabość do Wycinskiego, a spora część z grzebaczy, których zabrałam, podzielała moje poglądy. Nasi koledzy odwracali się do nas plecami, obsmarowywali w pismach akademickich. Typowe zachowania konformistyczne. Kiedy uświadomiliśmy sobie, co znaleźliśmy, chyba wszyscy doszliśmy do wniosku, że możemy poczekać, aż Gildia będzie musiała w wielkim stylu odszczekać swoje słowa.

– A kiedy zaczęła się wojna, z tych samych powodów zakopaliście bramę?

– Dokładnie. – Wzruszyła ramionami. – Może się to w tej chwili wydawać dziecinne, ale wtedy byliśmy wszyscy strasznie wkurzeni. Nie wiem, czy to zrozumiesz. Wiesz, jak to jest, kiedy każdą pracę, jaką wykonasz, i każdą wymyśloną przez siebie teorię wyśmiewa się z powodu tego, że kiedyś stanąłeś po niewłaściwej stronie w politycznej dyskusji?

Przez chwilę wróciłem myślami do przesłuchań po Innenin.

– Brzmi dość znajomo.

– Myślę... – zawahała się – myślę, że było w tym coś jeszcze. Wiesz, tej nocy, kiedy pierwszy raz otworzyliśmy bramę, wszyscy oszaleliśmy. Wielka impreza, pełno prochów, dużo gadania. Wszyscy mówili o profesurach na Latimerze, powiedzieli, że w uznaniu mojej pracy przyznają mi honorową profesurę na Ziemi. – Uśmiechnęła się. – Wydaje mi się, że nawet zaprezentowałam przemówienie z podziękowaniem. Niezbyt dobrze pamiętam tę część imprezy, zresztą nie pamiętałam już następnego ranka.

Westchnęła i przegoniła z twarzy uśmiech.

– Następnego dnia zaczęliśmy myśleć poważnie. Zaczęliśmy się zastanawiać, co naprawdę nastąpi. Wiedzieliśmy, że jeśli to zgłosimy, stracimy kontrolę. Gildia przysłałaby tu mistrza z odpowiednimi poglądami politycznymi, żeby przejął projekt, a my zostalibyśmy wysłani do domu po lekkim poklepaniu w ramię. Och, oczywiście, wrócilibyśmy z akademickiej głuszy, ale tylko pewnym kosztem. Pozwolono by nam publikować, ale tylko po uważnej cenzurze, żeby upewnić się, że w tekście nie ma zbyt wiele Wycinskiego. Byłaby praca, ale nie niezależna. Konsultacje – wymówiła to słowo, jakby miało w sobie jad – do cudzych projektów. Bylibyśmy dobrze opłacani, ale za trzymanie języka za zębami.

– I tak lepiej niż brak jakichkolwiek pieniędzy.

Grymas.

– Gdybym chciała pracować za pomocnika u jakiegoś politycznie poprawnego sukinsyna z gładką buzią i połową mojego doświadczenia i kwalifikacji, mogłabym wybrać się na równiny, jak wszyscy inni. Jedynym powodem, dla którego tu przyleciałam, było to, że chciałam mieć własne wykopaliska. Chciałam szansy udowodnienia, że coś z tego, w co wierzyłam, jest prawdą.

– Inni mieli równie sprecyzowane poglądy?

– W końcu. Początkowo zapisali się do mnie, ponieważ potrzebowali pracy, a w tym czasie nikt inny nie wynajmował grzebaczy. Ale kilka lat życia w pogardzie zmienia człowieka. A oni byli młodzi, w każdym razie w większości. To daje energię na gniew.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Czy mogliśmy ich właśnie znaleźć w sieciach?

Odwróciła wzrok.

– Tak przypuszczam.

– Ile było osób w zespole? Ludzi, którzy mogliby tu wrócić i otworzyć bramę?

– Nie wiem. Około pół tuzina miało kwalifikacje Gildii, pewnie dwoje lub troje z nich mogłoby to zrobić. Aribowo. Może Weng. Techakriengkrai. Wszyscy byli dobrzy. Ale na własną rękę? Odtwarzając wszystko z naszych notatek, pracując razem? – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, Kovacs. To były inne czasy. Grupowy wysiłek. Nie mam pojęcia, jak którekolwiek z nich poradziłoby sobie w innych okolicznościach. Kovacs, nawet nie wiem, czy sama sobie poradzę.

Na chwilę mignęło mi wspomnienie o niej przy wodospadzie. Zawinęło się w pętelkę w moich wnętrznościach. Zacząłem ważyć swój tok myślenia.

– No cóż, w archiwach Gildii w Landfall będą mieli zapis ich DNA.

– Tak.

– W takim razie możemy odczytać DNA z kości...

– Tak, wiem.

– ...ale trudno będzie się przebić i podłączyć stąd do danych w Landfall. I szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czemu miałyby to służyć. I nie dbam zbytnio o to, kim byli. Po prostu chciałbym wiedzieć, jak skończyli w tej sieci.

Zadygotała.

– Jeśli to oni – zaczęła, potem umilkła. – Kovacs, nie chcę wiedzieć, kto to. Mogę bez tego żyć.

Pomyślałem, że może warto byłoby sięgnąć ku niej przez niewielką przestrzeń między naszymi krzesłami, ale nagle wydała mi się równie surowa i poukładana, jak przedmiot, który mieliśmy tu uaktywnić. Nie byłem w stanie wymyślić, w jakim miejscu dotknąć jej ciała, żeby nie sprawiać wrażenia ingerencji, wymuszonej seksualności czy po prostu śmieszności.

Chwila minęła. Umarła.

– Zamierzam się trochę przespać – powiedziałem wstając. – Przypuszczam, że lepiej by było, gdybyś zrobiła to samo. Sutjiadi będzie chciał zacząć o świcie.

Lekko kiwnęła głową. Przestała zwracać na mnie uwagę. Przypuszczam, że wróciła pamięcią w przeszłość.

Zostawiłem ją samą między śmieciami poprzekreślanych rysunków technoglifów.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Obudziłem się przymulony, albo od promieniowania, albo od chemikaliów, które łykałem, żeby powstrzymać jego efekty. Przez okno w dormitorium plastobańki prześwitywało szare światło, a sen, na w pół widziany na dnie umysłu...

*Widzisz, wilku Klina? Widzisz?*

*Semetaire?*

Straciłem to wspomnienie w dźwiękach entuzjastycznego mycia zębów, dochodzących z niszy łazienkowej. Obracając głowę, zobaczyłem Schneidera wycierającego jedną ręką włosy ręcznikiem i równocześnie energicznie szorującego zęby szczoteczką elektryczną trzymaną w drugiej dłoni.

– Dobry – zapienił się.

– Dobry. – Dźwignąłem się do pionu. – Która godzina?

– Trochę po piątej. – Przepraszająco wzruszył ramionami i obrócił się, by splunąć do umywalki.

– Sam bym jeszcze nie wstawał, ale Jiang wyszedł i rozbija się w jakimś szale sztuk walki, a ja mam lekki sen.

Przechyliłem głowę i nastawiłem uszu. Neurochemia bez trudu wyłapała dobiegające zza zasłony z syntetycznego materiału dźwięki ciężkiego oddechu i powtarzających się uderzeń w powietrze.

– Pieprzony psychol – wymamrotałem.

– Hej, to dobre towarzystwo na tej plaży. Myślałem, że tak trzeba. Połowa ludzi, których wynająłeś, to pieprzeni psychole.

– Tak, ale wygląda na to, że Jiang to jedyny, który cierpi na bezsenność. – Dźwignąłem się na nogi, krzywiąc się na czas, jakiego potrzebowała powłoka bojowa, żeby ustawić się w aktywnym trybie. Może z tym właśnie walczył Jiang Jianping. Uszkodzenia powłoki to nieprzyjemny sygnał do pobudki, niezależnie od tego, jak subtelnie się manifestują, zwiastun śmiertelności. Nawet przy lekkim kluciu, związanym z nadchodzącym wiekiem, wiadomość jest boleśnie jasna. Pozostał ograniczony czas. Mrug, mrug.

Ruch/trzask.

*Haiii!!!*

*Jasne.*

Mocno przycisnąłem oczy palcem wskazującym i kciukiem.

– Obudziłem się już. Skończyłeś z tymi zębami?

Schneider podał mi szczoteczkę. Wbiłem na nią nową główkę z pojemnika, przyciśnięciem obudziłem do życia i wszedłem do niszy prysznicowej.

Radosny i błyszczący.

\* \* \*

Do czasu gdy ubrany i stosunkowo obudzony wyszedłem przez zasłonę dormitorium do centralnej przestrzeni plastobańki, Jiang trochę się uspokoił. Stał w miejscu, przechylając się lekko z boku na bok i tkał wokół siebie powolny wzór pozycji obronnych. Stół i krzesła zajmujące miejsce w pokoju dziennym przesunął na bok, a drzwi wejściowe do bańki były otwarte. Z zewnątrz wdzierало się światło, zabarwione na niebiesko odbiciem od piasku.

Wyciągnąłem z podajnika puszkę wojskowej coli z amfetaminą, otworzyłem ją i zacząłem popijać, przyglądając mu się.



– Jakiś problem? – zapytał Jiang, kiedy jego głowa obróciła się w moją stronę po szerokim zamachu bloku prawym ramieniem. W nocy przystrzygł grube, czarne włosy powłoki Maori równo do dwóch centymetrów na całej głowie. Odslonięta strzyżeniem twarz była grubokoścista i twarda.

– Robisz to każdego ranka?

– Tak. – Sylaba wypowiedziana na ostrym wydechu. Blok i przeciwuderzenie, krocze i mostek. Kiedy chciał, potrafił być bardzo szybki.

– Imponujące.

– Konieczność. – Kolejny śmiertelny cios, prawdopodobnie w skroń, na dodatek wyprowadzony z kombinacji bloków, które sugerowały ucieczkę. Eleganckie. – Każda umiejętność wymaga praktyki. Każdy akt przygotowania. *Kiedy się tniesz, ostrze jest tylko ostrzem.*

Kiwnąłem głową.

– Hayashi.

Wzory lekko zwolniły.

– Czytałeś go?

– Spotkałem go kiedyś.

Jiang zatrzymał się i przyjrzał mi się uważnie.

– Spotkałeś Toru Hayashiego?

– Jestem starszy, niż wyglądam. Byliśmy razem na Adoracion.

– Jesteś Emisariuszem?

– Byłem.

Przez chwilę zdawało się, że nie wie, co powiedzieć. Zastanawiałem się, czy uważa, że żartuję. Nagle wysunął ramiona do przodu, przyłożył prawą pięść do otwartej lewej dłoni na wysokości klatki piersiowej i pokłonił się lekko.

– Takeshi-san, przepraszam, jeśli obraziłem cię tym, co wczoraj mówiłem o strachu. Jestem głupcem.

– Nie ma sprawy. Nie obraziłeś mnie. Wszyscy radzimy z nim sobie na swój sposób. Nie planujesz śniadania?

Wskazał na drugą stronę pomieszczenia, w miejsce, gdzie przesunął stół. W płytkiej misie ustawiono stos świeżych owoców i coś, co wyglądało na kromki żytniego chleba.

– Mógłbym się przyłączyć?

– Byłbym zaszczycony.

Jedliśmy, gdy Schneider wrócił z miejsca, w którym spędził ostatnie dwadzieścia minut.

– Spotkanie w głównej bańce – rzucił przez ramię, znikając w niszy dormitorium. Wyłonił się stamtąd po minucie. – Za piętnaście minut. Sutjiadi chyba spodziewa się, że będą tam wszyscy.

Znów zniknął.

Jiang prawie zdążył zerwać się na nogi, gdy zatrzymałem go ręką i gestem zasugerowałem mu powrót na miejsce.

– Spokojnie. Powiedział, że za piętnaście minut.

– Chcę się wykapać i przebrać – wyjaśnił Jiang nieco sztywno.

– Powiem mu, że zaraz będziesz. Na miłość boską, chociaż skończ śniadanie. Za kilka dni będzie ci się robiło niedobrze od samego faktu przełykania. Ciesz się smakiem, póki możesz.

Usiadł z powrotem z dziwnym wyrazem twarzy.

– Czy mogę ci zadać pytanie, Takeshi-san?

– Czemu nie jestem już Emisariuszem? – W jego oczach dostrzegłem potwierdzenie. – Można to określić objawieniem etycznym. Byłem na Innenin.

– Czytałem o tym.

– Znów Hayashi?

Potwierdził skinieniem głowy.

– No cóż. Opis Hayashiego jest dość wierny, ale jego tam nie było. Dlatego jest taki dwuznaczny. Nie czuł się kompetentny, by osądzać. Ja tam byłem i wybitnie uważam się za kompetentnego do oceny. Wyruchali nas. Nikt nie jest w stanie stwierdzić, czy zrobili to celowo, czy nie, ale powiem ci, że to nie ma znaczenia. Moi przyjaciele zginęli, naprawdę zginęli, choć nie było takiej potrzeby. Tylko to się liczy.

– Jednak jako żołnierz z pewnością musisz...

– Jiang, nie chcę cię rozczarować, ale próbuję nie myśleć już o sobie jako o żołnierzu. Próbuję ewoluować.

– W takim razie za kogo się uważasz? – Nadal mówił uprzejmym tonem, ale usztywnił postawę i zapomniał o jedzeniu na talerzu. – W co wyewoluowałaś?

Wzruszyłem ramionami.

– Trudno powiedzieć. W każdym razie w coś lepszego. Może płatnego mordercę?

Błysnął białkami oczu. Westchnąłem.

– Przepraszam, jeśli cię to obraża, Jiang, ale taka jest prawda. Prawdopodobnie nie chcesz tego słuchać, większość żołnierzy nie chce. Kiedy zakładasz na siebie ten mundur, praktycznie stwierdzasz, że rezygnujesz ze swojego prawa do podejmowania niezależnych decyzji odnośnie wszechświata i twoich z nim stosunków.

– To quellizm. – Odsunął się od stołu.

– Może. Co nie oznacza, że przestaje to być prawdą. – Właściwie sam nie do końca wiedziałem, czemu przejmuję się tym człowiekiem. Może wiązało się to z jego spokojem ninji, sposobem, w jaki wręcz błagał, żeby go rozbić. A może po prostu za wcześnie obudził mnie jego ściśle kontrolowany taniec śmierci. – Jiang, zadaj sobie pytanie, co zrobisz, jeśli przełożony oficer każe ci zrzucić bomby plazmowe na szpital pełen rannych dzieci?

– Są pewne działania...

– Nie! – Mnie samego zaskoczył ostry ton, jakim się odezwał. – Żołnierze nie mają tego rodzaju wyborów. Wyjrzyj przez okno, Jiang. Wymieszana z czarnym świństwem przywiewanym przez wiatr dociera tu cienka warstewka cząsteczek tłuszczu, który kiedyś był ludźmi. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy odparowani przez jakiegoś żołnierza pod rozkazami oficera. Ponieważ stali na drodze.

– To działanie kempistów.

– Och, proszę.

– Nie wykonałbym...

– Więc nie jesteś już żołnierzem, Jiang. Żołnierze wypełniają rozkazy. Mimo wszystko. W chwili gdy odmawiasz wykonania rozkazu, przestajesz być żołnierzem. Stajesz się po prostu płatnym mordercą, próbującym renegejować swój kontrakt.

Wstał.

– Zamierzam się przebrać – oświadczył zimno. – Proszę przedstawić kapitanowi Sutjadiemu moje przeprosiny za spóźnienie.

– Jasne. – Wziąłem ze stołu owoc kiwi i wgrzyłem się w skórkę. – Do zobaczenia na miejscu.

Przyglądałem mu się, jak ucieka do drugiego dormitorium, potem wstałem zza stołu i wyszedłem niespiesznie na zewnątrz, wciąż czując w jedzonym owocu szorstką gorycz włoskowatej skórki.

Na zewnątrz obóz wolno budził się do życia. Po drodze do plastobańki, w której miało się

odbyć spotkanie, zauważyłem Ameli Vongsavath przykucniętą przy jednej z podpór *Nagini*, podczas gdy Yvette Cruickshank pomagała jej podnieść część systemu hydraulicznego, by ułatwić inspekcję. Poza Wardani śpiącą w swoim laboratorium, wszystkie kobiety wylądowały w jednej plastobańce, choć nie wiedziałem, celowo czy przez przypadek. Nikt z męskiej części grupy nie próbował wcisnąć się na czwartą koję.

Cruickshank zauważyła mnie i pomachała.

– Dobrze spałaś? – zawołałem.

– Jak cholerny trup – uśmiechnęła się szeroko.

Hand czekał w drzwiach do bańki odpraw, świeżo ogolony i w nieskazitelnym stroju z kameleonochromu. W powietrzu rozchodził się delikatny korzenny aromat, który brał się chyba od czegoś w jego włosach. Tak bardzo przypominał wyglądem sieciową reklamę szkolenia oficerskiego, że z radością strzeliłbym mu prosto w twarz zaraz po tym, jak powiedział „dzień dobry”.

– Dobry.

– Dzień dobry, poruczniku. Jak się spało?

– Krótko.

Wewnątrz trzy czwarte przestrzeni przeznaczono na salę zebrań, a resztę oddzielono ścianą na użytek Handa. W sali ustawiono mniej więcej w koło tuzin krzeseł z panelami pamięciowymi, a Sutjiadi zajęty był projektorem mapy wyświetlającym pośrodku kręgu obraz wielkości stołu, przedstawiający plażę i okolice. Kapitan umieszczał na obrazie jakieś znaczniki i robił notatki na panelu swojego krzesła. Kiedy wszedłem, podniósł wzrok.

– Kovacs, dobrze. Jeśli nie masz nic przeciwko, zamierzam cię dziś rano wysłać razem z Sun z zadaniem. Weźmiecie skutery.

Ziewnąłem.

– Będzie zabawa.

– Tak, no cóż, to nie jest zasadniczym celem. Chcę ustawić drugi pierścień czujek kilka kilometrów dalej, żeby uzyskać większą szansę na reakcję, a skoro Sun będzie się tym zajmować, nie może pilnować własnego tyłka. Ty będziesz robił za wieżyczkę. Wyślę Hansena i Cruickshank, żeby zaczęli od północnego krańca i zawięli do interioru. Ty i Sun polecicie na południe i zrobicie tak samo. – Uśmiechnął się do mnie lekko. – Spróbujcie spotkać się gdzieś w pół drogi.

Kiwnąłem głową.

– Humor. – Wybrałem krzesło i opadłem na nie. – Musisz na to uważać, Sutjiadi. To uzależnia.

\* \* \*

W górze, na opadającej ku morzu stronie kręgosłupa Dangrek, zniszczenia Sauberville były bardziej ewidentne. Widać było, gdzie kula ognia wypaliła otwór w zgięciu cypla i wpuściła morze, zmieniając kształt linii brzegowej. Wokół krateru dym wciąż wspinał się ku niebu, ale z tej wysokości dało się rozróżnić tysiące ogni karmiących przepływ, ich przygaszoną czerwień jak koguty używane do oznaczania potencjalnych zagrożeń na mapie politycznej.

Z budynków i miasta nie zostało kompletnie nic.

– Musisz przekazać to Kempowi – powiedziałem, głównie do wiatru wiejącego od morza. – Nie babrze się z podejmowaniem decyzji przez komitet. Ten facet nie ma szerszego spojrzenia. Jak tylko zaczyna wyglądać na to, że przegrywa, bam! Po prostu wzywa ogień piekielny.

– Słucham? – Sun Liping wciąż siedziała we wnętrzościach systemu strażniczego, który właśnie instalowaliśmy. – Mówisz do mnie?

– Raczej nie.

– Więc mówisz do siebie? – Uniosła brwi. – To zły znak, Kovacs.

Burknąłem i poprawiłem się na siodełku strzelca. Skuter grawitacyjny zaparkowany był pod kątem na nierównej trawie, z pokładowymi sunjetami przechylonymi w dół, żeby zachować poziom horyzontu od strony lądu. Chwilami podskakiwały, gdy detektory ruchu zaczynały śledzić wiatr głaszczący trawę czy jakieś małe zwierzęta, które zdołały przetrwać, kiedy w Sauberville uderzyła bomba.

– Dobra, gotowe. – Sun zamknęła klapkę nad analizowanym panelem i cofnęła się o krok, przyglądając się wieżyczce, która nieco pijanym ruchem podniosła się na nogi i ustawiła w stronę gór. Jej pozycja ustabilizowała się, gdy z górnej części pancerza wyłoniła się bateria działek ultrawibracyjnych, jakby nagle automat przypomniał sobie cel swego istnienia. Systemy hydrauliczne ustawiły ją w przysiadzie, który ukrył większość korpusu poniżej linii widoczności dla kogokolwiek nadchodzącego od strony tego grzbietu. Z pancerza poniżej segmentu z działkami wysunął się na długim ramieniu czujnik i wyciągnął w powietrze. Całe urządzenie wyglądało dość absurdalnie, niczym wygłodzona żaba w ukryciu, badająca atmosferę szczególnie wychudzoną przednią nogą.

Uaktywniłem mikrofon kontaktowy.

– Cruickshank, tu Kovacs. Słuchasz?

– Całą sobą – odpowiedziała. – Przy której jesteście, Kovacs?

– Właśnie daliśmy jeść i pić numerowi sześć. Przechodzimy do piątego. Niedługo powinniśmy mieć cię w polu widzenia. Upewnij się, że macie oznaczenia.

– Odpręż się, dobra? W końcu z tego żyję.

– Co nie uratowało cię ostatnim razem, prawda?

Usłyszałem, jak prycha.

– Cios poniżej pasa. Swoją drogą, Kovacs, ile razy ty byłeś martwy?

– Kilka – przyznałem.

– Więc – jej głos zabrzmiał szyderczo – zamknij się, do cholery.

– Do zobaczenia, Cruickshank.

– Nie, jeśli to ja pierwsza cię wypatrzę. Over.

Sun wspięła się na pokład skutera.

– Lubi cię – rzuciła przez ramię. – Tak dla twojej informacji. Razem z Ameli spędziłyśmy większość nocy słuchając, co chciałaby ci zrobić w zamkniętej kapsule ratunkowej.

– Dobrze wiedzieć. A przypadkiem nie kazała wam zachować tajemnicy?

Sun uruchomiła silniki i otoczyła nas osłona przeciwwietrzna.

– Wydaje mi się – powiedziała w zamyśleniu – że plan polegał na tym, iż jedna z nas powie ci o tym możliwie jak najszybciej. Jej rodzina wywodzi się z Gór Limon na Latimerze, a z tego co słyszałam, dziewczyny z Limonów nie bawią się w subtelności, kiedy chcą sobie coś wsadzić. – Obróciła się, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie. – Jej dobór słów, nie mój. Uśmiechnąłem się szeroko.

– Oczywiście, będzie musiała się pospieszyć – kontynuowała Sun, zajmując się równocześnie kontrolkami. – Za kilka dni nikt z nas nie będzie miał żadnego sensownego libido.

Przestałem się uśmiechać.

Wznieśliśmy się i poleciliśmy wolno wzdłuż zbocza od strony morza. Skuter grawitacyjny zapewniał bardzo wygodną jazdę, nawet obciążony załadowanymi kuframi, a przy aktywnej tarczy przeciwwietrznej mogliśmy spokojnie rozmawiać.

– Myślisz, że ta pani archeolog może rzeczywiście otworzyć bramę, jak twierdzi? – zapytała

Sun.

– Jeśli ktokolwiek to potrafi.

– Jeśli ktokolwiek potrafi – powtórzyła w zamyśleniu.

Pomyślałem o naprawach psychodynamicznych, które przeprowadziłem na Wardani, poharatanym wewnętrznym krajobrazie, który musiałem otworzyć, odrywając go jak zabrudzone bandaż, przyklejone do ciała pod spodem. A głębiej mieścił się rdzeń, ciasno oplecione skupienie, dzięki któremu udało się jej przeżyć zniszczenia.

Płakała, kiedy się do niej przebiłem, ale robiła to z otwartymi oczami, jak ktoś walczący z sennością, mruganiem przeganiając łzy z oczu, z dłońmi zwiniętymi w pięści i mocno zaciśniętymi zębami.

Obudziłem ją, ale to ona sprowadziła się z powrotem.

– Cofam to, co powiedziałem – stwierdziłem. – Poradzi sobie z tym. Nie mam wątpliwości.

– Wykazujesz zdumiewające zaufanie. – W głosie Sun nie usłyszałem ani śladu krytycyzmu. – To dziwne u człowieka, który tak ciężko pracuje nad zakopaniem się pod masą niewiary.

– To nie wiara – odpowiedziałem krótko. – To wiedza. Między nimi jest spora różnica.

– Jednak z tego, co słyszałam, warunkowanie Emisariuszy umożliwia zamianę jednego w drugie.

– Kto ci powiedział, że byłem Emisariuszem?

– Sam to zrobiłeś. – Tym razem wydawało mi się, że wychwytyuję rozbawienie w jej głosie. – No dobra, w każdym razie powiedziałeś Deprezowi, a ja słuchałam.

– Jakże sprytnie.

– Dziękuję. W takim razie powiedz mi, czy mam rację?

– Niezupełnie. Nie. Gdzie to słyszałaś?

– Moja rodzina pochodzi z Hun Home. Mamy tam chińską nazwę na Emisariuszy. – Wypowiedziała krótką sekwencję ostrych sylab. – To znaczy Ten, który Czyni Fakty z Wiary.

Parsknąłem.

– Kilkadziesiąt lat temu słyszałem coś podobnego na Nowym Bejingu. Większość kolonialnych kultur prędzej czy później tworzy mity związane z Emisariuszami.

– Nie wyglądasz na przejętego.

– Cóż, to kiepskie tłumaczenie. Tak naprawdę, Emisariusze dysponują systemem wzmacniania intuicji. Na przykład, wychodzisz na zewnątrz, jest ładna pogoda, ale pod wpływem impulsu zabierasz kurtkę. Później pada deszcz. Jak to działa?

Obejrzała się przez ramię i uniosła brwi.

– Szczęście?

– Może i szczęście. Ale znacznie bardziej prawdopodobne, że pewne systemy w twoim ciele i umyśle, z istnienia których nie zdajesz sobie sprawy, mierzą otoczenie na jakimś podświadomym poziomie i okazjonalnie są w stanie przepchnąć wiadomość przez programowanie superego. Szkolenie Emisariuszy zaczyna od tego i rafinuje proces tak, że superego i podświadomość lepiej się dogadują. To nie ma nic wspólnego z wiarą. Po prostu odszukujesz powiązania i z nich jesteś w stanie stworzyć zarys modelu prawdy. Później wracasz i wypełniasz dziury. Utalentowani detektywi robili to od stuleci bez żadnej pomocy. To po prostu znacznie rozwinięta wersja. – Nagle zmoczyły mnie słowa wychodzące z moich ust, gładki przepływ specyfikacji ludzkich systemów, w który można było się owinać, by uciec przed emocjonalną rzeczywistością tego, jak zarabia się na życie. – Może teraz ty mi powiedz, Sun, jak to się stało, że trafiłaś tutaj z Hun Home?

– Nie ja, moi rodzice. Byli kontraktowymi analitykami biosystemów. Przybyli tu transferem strunowym, kiedy spółdzielnie Hun Home postanowiły wziąć udział w zasiedlaniu Sanction IV. To

znaczy, ich osobowości. PMC przelane na Latimerze do wyhodowanych na zamówienie klonów rasy azjatyckiej. Wszystko w ramach kontraktu.

– Wciąż tu są?

Lekko przygięła ramiona.

– Nie. Kilka lat temu wycofali się na Latimera. Kontrakt osiedleńczy był bardzo dobrze opłacany.

– Nie chciałaś się przenieść razem z nimi?

– Urodziłam się na Sanction IV. To mój dom. – Sun znów się na mnie obejrzała. –

Przypuszczam, że trudno ci to zrozumieć.

– Raczej nie. Widziałem gorsze miejsca.

– Naprawdę?

– Jasne. Na przykład Sharya. W prawo! Skręć w prawo!

Skuter opadł i skręcił. Jak na nowe ciało, Sun wykazała podziwu godny refleks. Przesunąłem się na siodełku, skanując wzgórze. Moje dłonie skoczyły do przyrządów sterujących pokładowymi sunjetami i przełączyły je na ręczne poziomowanie. Bez bardzo starannego programowania w ruchu nie zdawały się na wiele jako broń automatyczna, a na to nie mieliśmy czasu.

– Coś się tam rusza. – Włączyłem mikrofon. – Cruickshank, mamy tu w okolicy ruch. Chcesz się przyłączyć do zabawy?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast:

– Już lecimy. Pilnuj oznaczenia.

– Widzisz to? – zapytała Sun.

– Gdybym to widział, zastrzeliłbym. Jak tam detektor?

– Jak na razie nic.

– Cudownie.

– Myślę... – Wspięliśmy się na grzbiet kolejnego wzgórze, i Sun zaczęła kląć, sądząc po dźwiękach, po mandaryńsku. Przechyliła skuter na bok i skręciła, wspinając się przy tym kolejny metr nad ziemię. Zglądając jej przez ramię, zauważyłem, na co patrzy.

– Cóż to, do cholery, jest? – wyszeptałem.

W innej skali mógłbym pomyśleć, że patrzę na gniazdo świeżo wyklutych, stworzonych przez inżynierię biologiczną larw, używanych do czyszczenia ran. Szara masa, skręcająca się na trawie pod nami, miała taką samą ślisko-mokrą konsystencję i wewnętrzną aktywność, jak milion myjących się wzajemnie, mikroskopijnych par rąk. Jednak tam było dość larw na każdą ranę wywołaną na Sanction IV przez cały poprzedni miesiąc. Patrzyliśmy na mniej więcej metrowej średnicy sferę kipiącej aktywności, przesuwaną się wolno po zboczu jak wypełniony gazem balon. W miejscu gdzie padał na nią cień skutera, na powierzchni formowały się bańki sięgające w górę, pękając jak pęcherze z cichym pykaniem i opadając z powrotem do masy głównego ciała.

– Zobacz – odezwała się cicho Sun. – Lubi nas.

– Cóż to, do cholery, jest?

– Za pierwszym razem też tego nie wiedziałam.

Zawróciła skuter z powrotem na szczyt wzniesienia, które przed chwilą minęliśmy, i osiadła na ziemi. Opuściłem kanały wyładowań sunjetów, skupiając je na naszym nowym koledze.

– Myślisz, że jest dostatecznie daleko? – zapytała.

– Nie martw się – powiedziałem ponuro. – Jeśli choć drgnie w tę stronę, zamierzam rozwalić to na strzępy. Cokolwiek to jest.

– Wydaje mi się to trochę prymitywne.

– No cóż. Nazywaj mnie Sutjadi.

Cokolwiek to było, chyba się uspokoiło, wiedząc, że nie rzucamy już cienia na jego powierzchnię. Wewnętrzna aktywność buzowała dalej, ale nic nie wskazywało na skoordynowany boczny ruch w naszą stronę. Oparłem się na gnieździe sunjetów i przyglądałem się, przez chwilę rozważając, czy przypadkiem nie jesteśmy wciąż w konstrukcie Mandrake i nie patrzymy na kolejną dysfunkcję prawdopodobieństwa, taką jak szara chmura przysłaniająca Sauberville, gdy jego los wciąż pozostawał nierozstrzygnięty.

Do moich uszu dotarło przytłumione brzęczenie.

– Nadciąga ekipa bum bum. – Przeskanowałem grzbiet od północy, wyłapałem drugi skuter i powiększyłem obraz neurochemią. Włosy Cruickshank powiewały na wietrze z jej ławki za uzbrojeniem. Aby uzyskać większą szybkość, ograniczyli osłonę przeciwwietrzną do stożka wokół kierowcy. Hansen prowadził w skupieniu, kuląc się za minimalną osłoną. Byłem zaskoczony przyływem ciepłych uczuć, jakie wywołał we mnie ich widok.

*Wilcze geny, skojarzyłem poirytowany. Nigdy się tego nie pozbędę.*

*Stary, dobry Carrera. Nigdy nie odpuści szansy, stary drań.*

– Powinniśmy przesłać obraz tego czegoś do Handa – mówiła Sun. – Może w archiwach Kartelu mają coś na ten temat.

Przez umysł przedryfowały mi słowa Carrery.

*Kartel ulokował w rejonie Sauberville...*

Spojrzałem na pulsującą masę nowymi oczami.

Cholera.

Hansen gwałtownie zatrzymał skuter obok naszego i nachylił się nad kierownicą. Mocno zmarszczył brwi. – Co...

– Nie wiemy, co to, do cholery, jest – cierpko przerwała mu Sun.

– Właśnie że wiemy – odparłem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Hand przyglądał się w bezruchu emitowanemu obrazowi jeszcze przez chwilę po tym, jak Sun wstrzymała film. Nikt inny nie patrzył już na holowyświetlacz. Siedząc w kółku albo tłocząc się w drzwiach, patrzyli na niego.

– Nanotech, tak? – Hansen zapytał w imieniu wszystkich.

Hand skinął głową. Twarz ukrył pod maską spokoju, ale przed wyczulonymi zmysłami Emisariusza nie potrafił ukryć zalewających go fal wściekłości.

– Eksperymentalny nanotech – podjąłem. – Myślałem, Hand, że to standardowy tekst do straszenia. Nic, czym musielibyśmy się martwić.

– Zazwyczaj tym właśnie jest – powiedział bezbarwnie.

– Pracowałem z wojskowymi nanosystemami – powiedział Hansen. – Ale nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Nie miałeś szansy. – Hand rozluźnił się troszkę i nachylił do przodu, wskazując na holowyświetlacz. – To coś nowego. To, na co patrzycie, to zerowa konfiguracja. Nanoby nie mają żadnego konkretnego programu.

– Więc co robią? – zapytała Ameli Vongsavath.

Hand wyglądał na zdziwionego.

– Nic. Nie robią niczego, madame Vongsavath. Dokładnie. Żywią się promieniowaniem z wybuchu, powielają się w umiarkowanym tempie i egzystują. To jedyne ich zaprojektowane parametry.

– Brzmi niegroźnie – z powątpiewaniem stwierdziła Cruickshank.

Zauważyłem, że Sutjiadi i Hansen wymieniają spojrzenia.

– Przy obecnym stanie rzeczy, niewątpliwie są niegroźne. – Hand uderzył w przełącznik na panelu swojego krzesła, a zamrożony obraz zniknął. – Kapitanie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli na razie to odłożymy. Czy mam rację, zakładając, że ustawione przez nas czujniki ostrzegą nas z wyprzedzeniem przed nieprzewidzianym rozwojem sytuacji? Sutjiadi zmarszczył brwi.

– Wykryjemy wszystko, co się rusza – zgodził się. – Ale...

– Doskonale. W takim razie, wszyscy możemy wracać do pracy.

Przez krąg zgromadzonych przeszła fala szeptów. Ktoś parsknął. Sutjiadi lodowatym spojrzeniem nakazał ciszę. Hand wstał i przepchnął się przez zasłonę do swojej kwatery. Ole Hansen wykrzywił twarz za dyrektorem, wzbudzając kolejną falę mamrotania. Sutjiadi ponownie użył spojrzenia pod tytułem zamknijcie-się-do-cholery i zaczął przydzielać zadania.

Przeczekałem to. Członkowie zespołu Dangrek rozeszli się pojedynczo i dwójkami, ostatni wygarnięci przez Sutjiadiego. Tanya Wardani ociągała się chwilę przy drzwiach i patrzyła w moją stronę, ale Schneider powiedział jej coś do ucha i oboje podążyli z prądem wychodzących. Kiedy Sutjiadi zauważył, że nie wychodzę, rzucił mi ostre spojrzenie, ale także opuścił plastobańkę. Dałem im jeszcze kilka minut, potem wstałem i podszedłem do wejścia do kwatery Handa. Dotknąłem dzwonka i wszedłem do środka.

Hand leżał rozciągnięty na łóżku polowym, wpatrując się w sufit. Ledwie zerknął w moją stronę.

– Czego chcesz, Kovacs?

Z trzaskiem rozłożyłem krzesło i usiadłem.

– No cóż, na początek mógłbyś wyłączyć tę zasłonę dymną, którą tak pracowicie tworzysz.

– Nie wydaje mi się, żebym ostatnio mówił komuś jakieś kłamstwa. A staram się pamiętać takie



rzeczy.

– Ale nie powiedziałaś też za wiele prawdy. W każdym razie nie szeregowcom, a jeśli zatrudnia się komandosów, to moim zdaniem błęd. Nie są głupi.

– Nie, nie są. – Powiedział to z zaangażowaniem botanika opisującego gatunki. – Ale są opłacani, a to prawie równie dobre, albo lepsze.

Obejrzałem krawędź swojej dłoni.

– Ja też zostałem opłacony, ale to nie powstrzyma mnie przed rozerwaniem ci gardła, jeśli odkryję, że próbujesz mnie oszukać.

Cisza. Jeśli groźba odniosła jakiś skutek, nie pokazał tego po sobie.

– A więc – podjąłem – zamierzasz mi powiedzieć, co się dzieje z tym nanotechem?

– Nic się nie *dzieje*. To, co powiedziałem madame Vongsavath, było prawdą. Nanoby są w tej chwili w zerowej konfiguracji, ponieważ dokładnie niczego nie robią.

– Daj spokój, Hand. Jeśli niczego nie robią, to czemu tak cię to wytrąciło z równowagi?

Przez chwilę dalej wpatrywał się w sufit plastobańki. Wyglądał na zafascynowanego jego matową, szarą okładziną. Już miałem wstać i brutalnie zerwać go z łóżka, ale coś w warunkowaniu Emisariusza trzymało mnie na miejscu. Hand przez coś się przedzierał.

– Czy wiesz – powiedział cicho – co jest wielkiego w wojnach takich jak ta?

– Powstrzymują populację od zbyt intensywnego myślenia?

Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– Potencjał innowacyjny – stwierdził.

Te słowa jakby dodały mu energii. Przerzucił nogi przez krawędź łóżka i usiadł, ze złączonymi dłońmi i łokciami opartymi na kolanach. Wbił wzrok w moje oczy.

– Co myślisz o Protektoracie, Kovacs?

– Żartujesz, prawda?

Potrząsnął głową.

– Żadnych gier. Żadnej zabawy. Czym jest dla ciebie Protektorat?

– *Szkieletowy uścisk ręki trupa trzymającej jaja, z których coś próbuje się wykluć.*

– Bardzo poetyczne, ale nie pytałem, jak określiła to Quell. Zapytałem, co ty myślisz.

Wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że miała rację.

Hand skinął głową.

– Tak – powiedział po prostu. – Miała rację. Rasa ludzka sięgnęła gwiazd. Aby to zrobić, sondowaliśmy wnętrza wymiarów, do odbierania których nie mamy żadnych zmysłów. Zbudowaliśmy społeczeństwa na światach tak odległych, że najszybszym z naszych statków dotarcie z jednego krańca sfery naszych wpływów na drugi zajęłoby pół milenium. I wiesz, jak tego wszystkiego dokonaliśmy?

– Wydaje mi się, że już słyszałem tę przemowę.

– Zrobiły to korporacje. Nie rządy. Nie politycy. Nie ta pieprzona parodia Protektoratu, której okazujemy posłuszeństwo. Korporacyjne planowanie dało nam wizję, korporacyjne inwestycje za nią zapłaciły, a wszystko zbudowali korporacyjni pracownicy.

– W takim razie brawa dla korporacji. – Złożyłem dłonie, wykonując pół tuzina suchych uderzeń.

Hand zignorował mój gest.

– A kiedy już skończyliśmy, co się stało? Przyszło NZ i założyło nam kaganiec. Odebrali nam nasze przywileje, którymi wcześniej wynagrodzili nas za diasporę. Znów podnieśli podatki, zmienili

prawa. Wykastrowali nas.

– Łamiesz mi serce, Hand.

– Nie jesteś śmieszny, Kovacs. Czy masz pojęcie, jaki postęp techniczny mogliśmy do tej pory osiągnąć, gdyby nie założyli nam wtedy tego kagańca? Wiesz, jak szybcy byliśmy w trakcie diaspory?

– Czytałem o tym.

– W lotach kosmicznych, kriogenice, naukach biologicznych, sztucznej inteligencji. – Wyliczał na palcach. – Stulecie postępu w niecałą dekadę. Globalny odlot tetrametowy dla całej społeczności naukowej. I wszystko zatrzymane przepisami Protektoratu. Gdyby nas nie zatrzymali, mielibyśmy już cholerne loty nadświatłne. Gwarantuję.

– Teraz łatwo tak mówić. Wydaje mi się, że pomijasz kilka niewygodnych szczegółów historycznych, ale w sumie nie w tym rzecz. Chcesz mi powiedzieć, że Protektorat cofnął dla was swoje przepisy, żebyście mogli szybko wygrać tę wojnę?

– Do tego się to sprowadza. – Jego dłonie obrysowały jakiś kształt w przestrzeni między kolanami. – Oczywiście, to nieoficjalne. Nie bardziej niż wszystkie te pancerniki Protektoratu, których oficjalnie nie ma nigdzie w pobliżu Sanction IV. Ale nieoficjalnie każdy członek Kartelu ma zgodę na pchnięcie każdego produktu związanego z wojną aż po jelec, a potem jeszcze głębiej.

– I to właśnie wije się tu w okolicy? Pchnięty do jelca nanosprzęt?

Hand zacisnął wargi.

– IUS. Inteligentne Ultrakrótkożyjące Systemy Nanobowe.

– Brzmi obiecująco. Więc do czego to służy?

– Nie wiem.

– Och, do kur...

– Nie. – Nachylił się w moją stronę. – Nie wiem. Nikt nie wie. To nowy front. Nazywają to ROSNOP. Reagujące na Otoczenie Systemy Nanoskalowe z Otwartym Programem.

– System ROSNOP? Urocze. I to jest broń?

– Oczywiście, że tak.

– Więc jak to działa?

– Kovacs, nie słuchasz. – W jego głosie narastał entuzjazm. – To system ewoluujący. Inteligentna ewolucja. Nikt nie wie, co robi. Spróbuj wyobrazić sobie, co mogłoby się dziać z życiem na Ziemi, gdyby cząsteczki DNA potrafiły w jakiś pierwotny sposób myśleć. Wyobraź sobie, jak szybko ewolucja mogłaby doprowadzić nas do miejsca, gdzie jesteśmy teraz. Potem przyspiesz to o rząd miliona lub więcej, bo kiedy mówię o krótkożyjących, naprawdę ma to znaczenie. Kiedy ostatni raz przekazywano mi informację o projekcie, każde pokolenie żyło niecałe cztery minuty. Jak działa? – zaczął się gorączkować. – Kovacs, my dopiero zaczynamy mapować jego możliwości. Modelowali to w szybkich konstruktach generowanych przez SIM i za każdym razem wychodziło coś innego. Raz wyprodukowało zrobotyzowane działa przypominające pasikoniki. Miały rozmiary pajęczych czołgów, ale mogły skoczyć na siedemdziesiąt metrów w powietrze i wylądować, celnie strzelając. Innym razem zmieniło się w chmurę zarodników, która przy zetknięciu rozpuszczała cząsteczki z wiązaniami węglowymi.

– O Boże.

– Tutaj nie powinno przyjąć takiego kursu. Nie ma dość dużej gęstości personelu wojskowego, żeby stanowiło to cechę selekcji ewolucyjnej.

– Ale to może zrobić praktycznie wszystko.

– Tak. – Spojrzał na swoje dłonie. – Tak przypuszczam. Jak tylko się uaktywni.

– A ile mamy czasu, zanim to nastąpi?

Hand wzruszył ramionami.

– Do czasu aż wejdzie w drogę systemom strażniczym Sutjiadięgo. Jak tylko otworzą ogień, znacznie odpowiednio ewoluować.

– A jeśli pójdziemy tam i wypalimy to teraz? Bo wiem, że tak chciałby Sutjiadi.

– Czym? Jeśli użyjemy ultrawibracji z *Nagini*, szybciej będzie gotowe na systemy strażnicze. Jeśli wykorzystamy coś innego, wyewoluuje wokół tego i prawdopodobnie ruszy na strażników znacznie twardsze i sprytniejsze. To nanosprzęt. Nie można zabić indywidualnych nanobów. A jakies zawsze przeżyją. Cholera, Kovacs, osiemdziesięcioprocentowy wskaźnik śmiertelności to według naszych laboratoriów ideał ewolucyjny. Na tym polega cała idea. Część przeżyje, te najtwardsze sukinsyny, i to właśnie one zaczną kombinować, jak cię pokonać następnym razem. Cokolwiek zrobisz, wytrąci je to z zerowej konfiguracji i po prostu pogorszy sytuację.

– Musi być jakiś sposób, żeby je wyłączyć.

– Jest. Potrzeba tylko kodów wyłączenia projektu. Których nie mam.

Nie wiem, co mnie dopadło, promieniowanie czy leki, ale nagle poczułem się zmęczony. Wpatrywałem się w Handa półprzytomnymi oczami. Nie miałem do powiedzenia nic, co nie byłoby rozprawą w duchu wczorajszej tyrady Tanyi Wardani przeciw Sutjiadiemu. Strata powietrza. Nie da się przemówić do takich ludzi. Żołnierze, dyrektorzy korporacji, politycy. Wszystko, co można zrobić, to ich pozabijać, a nawet i to rzadko poprawia sytuację. Po prostu zostawiają za sobą gnój, który musi posprzątać ktoś inny.

Hand odchrząknął.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, wyniesiemy się stąd, zanim zbytnio się rozwinie.

– To znaczy, jeśli Ghede jest po naszej stronie?

Uśmiechnął się.

– Można to tak ująć.

– Nie wierzysz w ani jedno słowo z tego gówna, Hand.

Uśmiech natychmiast zniknął.

– Skąd możesz wiedzieć, w co wierzę?

– ROSNOP. IUS. Znasz akronimy. Znasz wyniki modelowania w konstruktach. Znasz ten pieprzony sprzęt i oprogramowanie. Carrera ostrzegł nas przed rozmieszczeniem nanotechu i nawet nie mrugnąłeś. A teraz nagle jesteś wkurzony i wystraszony. Coś tu nie pasuje.

– Niefortunny zbieg okoliczności. – Zaczął się podnosić. – Powiedziałem ci już wszystko, co chciałem, Kovacs.

Podciągnąłem go do pionu i prawą ręką wydobyłem jeden z karabinków interfejsowych. Przywarł do mojej dłoni jak coś żywego.

– Usiądź.

Spojrzał na wycelowaną broń...

– Nie bądź śmiesz...

... potem na moją twarz i umilkł.

– Usiądź.

Ostrożnie opuścił się na łóżko.

– Jeśli mnie skrzywdzisz, Kovacs, wszystko stracisz. Pieniądze na Latimerze, bilet poza planetę...

– Z tego, co słyszę, to i tak niewielkie mam szanse na podjęcie pieniędzy.

– Mam kopię. Nawet jeśli mnie zabijesz, zmarnujesz tylko kulę. Dadzą mi nową powłokę w Landfall i...

– Postrzelono cię kiedyś w żołądek?

Zerknął na mnie niepewnie. Umilkł.

– To są szybkie pociski odłamkowe. Do zwalczania siły żywej na małe odległości. Przypuszczam, że widziałeś, co zrobiły ludziom Denga. Wchodzą w całości, a wylatują prawie w monomolekularnych odłamkach. Jeśli strzelę ci w bebechy, będziesz konał przez większą część dnia. Cokolwiek zrobisz z twoją zapisaną świadomością, przejdziesz przez to tu i teraz. Zginąłem kiedyś w ten sposób i mówię ci, wolałbyś tego unikać.

– Myślę, że kapitan Sutjiadi może mieć coś do powiedzenia na ten temat.

– Sutjiadi robi to, co mu powiem, reszta tak samo. Nie przysporzyłeś sobie na tym spotkaniu żadnych przyjaciół, a nie mają wcale większej ochoty na śmierć z rąk twoich ewoluujących nanobów niż ja. Może jednak uda się nam zakończyć tę konwersację w cywilizowany sposób.

Widziałem, jak ocenia stopień mojego zdecydowania. Z pewnością miał jakieś dyplomatyczne warunkowanie psychocuciowe, jakąś wyuczoną umiejętność oceny takich rzeczy, ale szkolenie Emisariuszy ma wbudowaną umiejętność zwodzenia, która zostawia daleko w tyle większość korporacyjnego biosprzętu. Emisariusze emitują absolutne przekonanie na bazie sztucznej wiary. W tej chwili sam nie byłem w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście go zastrzelę, czy nie.

Odczytał moje intencje. Albo pękł. Zauważyłem, jak przechodzi to przez jego twarz. Odłożyłem karabinek. Nie wiedziałem, w którą stronę potoczą się wydarzenia. Zazwyczaj nie wiem. Tak to już wygląda, kiedy się jest Emisariuszem.

– To nie może opuścić tego pokoju – powiedział. – Powiem innym o IUS, ale reszta zostanie między nami. Inne informacje wywołałyby niepożądany efekt.

Uniosłem brwi.

– Aż tak źle?

– Wygląda na to – mówił wolno, jakby słowa miały nieprzyjemny smak – że przeszarżowałem. Zostaliśmy wrobieni.

– Przez?

– Nie mam pojęcia. Konkurencję.

Usiadłem z powrotem.

– Inna korporacja?

Potrząsnął głową.

– ROSNOP to wynalazek Mandrake. Wynajęliśmy wolnego strzelca jako eksperta od IUS, ale projekt należy do Mandrake. Bardzo ściśle go pilnowaliśmy. Są w Mandrake pracownicy wyższego szczebla walczący o pozycję. Koledzy.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak splunięcie.

– Wielu masz takich kolegów?

Kolejny grymas.

– Kovacs, w Mandrake nie znajdujesz sobie przyjaciół. Współpracownicy poprą cię tylko, jeśli im się to opłaci. Poza tym, zginiesz natychmiast, jeśli komukolwiek zaufasz. To efekt terytorializmu. Obawiam się, że się przeliczyłem.

– Czyli umieścili tu system ROSNOP w nadziei, że nie wrócisz z Dangrek. Czy nie jest to trochę krótkowzroczne? Przynajmniej w świetle tego, po co tu jesteśmy?

Rozłożył ręce.

– Oni nie wiedzą, czemu tu jesteśmy. Dane zostały zapieczętowane w komputerze Mandrake, tylko ja mam do nich dostęp. Dowiedzenie się, że tu jestem, musiało kosztować ich wszelkie możliwe przysługi.

– Jeśli chcą się ciebie pozbyć...

Kiwnął głową.

– Tak.

Dostrzegłem nowe powody, dla których nie chciałby dostać kuli. Dokonałem rewizji swojej wcześniejszej oceny. Hand się nie złamał, obliczył koszty.

– W takim razie, jak bezpieczna jest twoja zdalna kopia?

– Spoza Mandrake? Praktycznie nie do ruszenia. Z wewnątrz? – Spojrzał na swoje dłonie. – Nie wiem. Wyjeżdżaliśmy w pośpiechu. Kody bezpieczeństwa są stosunkowo stare. Mając dostatecznie dużo czasu...

Wzruszył ramionami.

– Zawsze chodzi o czas, co?

– Zawsze możemy się wycofać – zaoferowałem – wykorzystując kod Carrery.

Hand uśmiechnął się krzywo.

– Jak myślisz, czemu Carrera dał nam ten kod? Eksperymentalny nanotech zablokowany jest przepisami Kartelu. Aby go użyć, moi wrogowie musieliby mieć wpływy na poziomie Rady Wojennej. To oznacza dostęp do kodów autoryzacyjnych dla Klina i wszystkich innych latających po stronie Kartelu. Zapomnij o Carrerze. Siedzi im w kieszeni. Nawet jeśli nie było tak w chwili, gdy je nam przekazywał, ten kod jest już po prostu oznaczeniem celu dla czekającego na start pocisku. – Znow krzywy uśmiech. – A z tego, co wiem, Klin zazwyczaj trafia w to, do czego strzela.

– Tak – kiwnąłem głową. – Zazwyczaj trafia.

– Tak więc... – Hand wstał i podszedł do klapy okiennej naprzeciw swojego łóżka. – Teraz wiesz już wszystko. Usatysfakcjonowany?

Przemyślałem to.

– Jedyne rzecz, która zapewni nam wydostanie się stąd w jednym kawałku, to...

– Tak jest. – Nie obejrzał się od okna. – Transmisja zawierająca szczegóły tego, co tu znaleźliśmy, i numer seryjny boi roszczeniowej ustawionej w celu oznaczenia tego jako własność Mandrake. To jedyne, co umożliwi mi powrót do gry na dostatecznie wysokim poziomie, by ukarać niewiernych.

Siedziałem tam jeszcze przez chwilę, ale wyglądało na to, że skończył, więc wstałem, żeby wyjść. Nawet na mnie nie spojrzał. Patrząc na jego twarz, poczułem nieoczekiwane muśnięcie sympatii. Wiedziałem, jak czuje się człowiek, który źle wyliczył szanse. Przy wyjściu zatrzymałem się jeszcze.

– O co chodzi? – zapytał.

– Może lepiej będzie, jeśli się pomodlisz – poradziłem. – Poczujesz się trochę lepiej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wardani zaharowywała się na śmierć.

Zaatakowała poskładaną masą nieaktywnej bramy ze skupieniem graniczącym z furją. Siedziała całymi godzinami, szkicując glify i wyliczając ich prawdopodobne związki z innymi. Błyskawicznie wrzucała sekwencje technoglifów do matowoszarych procesorów natychmiastowego dostępu, pracując z klawiaturą jak jazzowy pianista na tetramecie. Przepuszczała je przez zestaw sprzętu syntezy ustawnego wokół bramy i obejmując się ciasno ramionami, patrzyła, jak panele kontrolne iskrzą holograficznymi protestami wobec wymuszonych na nich obcych protokołów. Skanowała panele technoglifowe na bramie przez system czterdziestu siedmiu monitorów, szukając choćby śladowej reakcji, która mogłaby jej pomóc z następną sekwencją. Z zaciśniętymi szczękami przyjmowała brak spójnej animacji, rzucając je przez glify, po czym zbierała notatki, wracała plażą do swojej plastobańki i zaczynała wszystko od nowa.

Kiedy tam siedziała, trzymałem się z daleka i przyglądałem się jej zgarbionej sylwetce przez otwarte drzwi bańki z dogodnego punktu we władze *Nagini*. Uzyskiwany dzięki neurochemii powiększony obraz umożliwiał mi przyglądanie się jej twarzy skupionej nad panelem rysunkowym czy klawiaturami. Kiedy szła do jaskini, stawałem pomiędzy porzuconymi na podłodze plastobańki rysunkami i przyglądałem się jej na ścianie monitorów.

Włosy nosiła mocno spięte z tyłu, ale poszczególne pasma uciekały i kręciły się jej nad czołem. Jednemu zwykle udawało się opaść w dół z boku jej twarzy, co wywoływało we mnie dziwne uczucie, którego nie potrafiłem zdefiniować.

Przyglądałem się jej pracy i temu, co z nią robiła.

Sun i Hansen na zmianę nadzorowali konsolę sterowania automatycznymi strażnikami.

Sutjiadi pilnował wyjścia z jaskini niezależnie od tego, czy Wardani pracowała w środku, czy nie.

Reszta załogi oglądała częściowo zagłuszane przekazy satelitarne. Kiedy mogli, gapili się dla śmiechu w kempistowskie programy propagandowe, a gdy były niedostępne, kanały rządowe. Pojawienie się na ekranie Kempa wywoływało gwizdy i udawane strzelanie do ekranu. Kawałki rekrutacyjne Lapinee dostawały aplauz i chóralne śpiewy. Gdzieś w trakcie zakres reakcji uległ rozmyciu w ogólną ironię i Kemp oraz Lapinee zaczęli wywoływać reakcje tego drugiego. Deprez i Cruickshank wyciągali broń za każdym pojawieniem się Lapinee, a cała ekipa nauczyła się na pamięć przemów ideologicznych Kempa, powtarzając je z pełną ekspresją i demagogicznymi gestami. Przeważnie obie zabawy wywoływały eksplozje tak potrzebnego wszystkim śmiechu. Od czasu do czasu dołączał się nawet do niego lekkim uśmieszkiem Jiang.

Hand oglądał ocean, kierując wzrok na południe i wschód.

Czasami podnosiłem głowę w stronę rozrzuconych po nocnym niebie gwiazd i zastanawiałem się, kto ogląda nas.

\* \* \*

Po dwóch dniach strażnicy utoczyli nanobom pierwszej krwi.

Wymiotowałem właśnie śniadanie, kiedy uaktywniły się baterie ultrawibracyjne. Po kościach i żołądku rozeszło się dudnienie, które zbytnio nie pomagało.

Trzy pojedyncze impulsy. Potem nic.

Wyczyściłem usta, wcisnąłem przełącznik spuszczenia wody w niszy łazienkowej i wyszedłem

na plażę. Niebo na horyzoncie było jednolicie szare, rozmyte w jednym miejscu stale dymiącym Sauberville. Żadnego innego dymu, żadnej czerwonej poświaty znaczącej zniszczone maszyny.

Na piasku stała już Cruickshank z sunjetem w dłoni, wpatrując się we wzgórze. Podeszedłem do niej.

– Czułeś to?

– Jasne. – Splunąłem na piasek. Moja głowa wciąż pulsowała, nie wiem, czy od wymiotów, czy strzałów ultradźwiękowych. – Wygląda na to, że się zaczęło.

Zerknęła na mnie, nie odwracając głowy.

– Dobrze się czujesz?

– Zwymiotowałem. Nie ciesz się tak. Za kilka dni ciebie też to dopadnie.

– Dzięki.

Znów głębokie dudnienie w trzewiach, tym razem długo. Przewierciło się przez moje wnętrzności. Wtórne wylądowanie, rozchodzący się niekierunkowo odrzut z kierunkowej, wąskiej wiązki fal wypływanych przez baterie. Zaciśnąłem zęby i zamknąłem oczy.

– To główna bateria – stwierdziła Cruickshank. – Pierwsze trzy tylko namierzały. Teraz wstrzeliła.

– Dobrze.

Dudnienie ustało. Schyliłem się i spróbowałem wysmarkać z nosa drobinki wymiocin, które wciąż tkwiły w głębi kanałów nosowych. Cruickshank przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

– Mogłabyś?

– Och, przepraszam. – Odwróciła wzrok.

Przeczyściłem oba otwory, znów splunąłem i przeszukałem horyzont. Wciąż niczego nie widać. Drobne strzępy krwi w smarkach i wymiocinach u moich stóp. Wrażenie rozkładu. *Cholera*.

– Gdzie jest Sutjiadi?

Wskazała w stronę *Nagini*. Pod dziób statku szturmowego podjechała rampa ruchomego podnośnika, a Sutjiadi stał na niej z Ole Hansenem, najwyraźniej omawiając jakieś aspekty przednich baterii pojazdu. Nieco dalej na piaskowej wydmie siedziała Ameli Vongsavath, przyglądając im się. Deprez, Sun i Jiang albo byli jeszcze na śniadaniu w kambuzie statku, albo zajęli się czymś, by zabić czas.

Cruickshank osłoniła dłonią oczy i przyjrzała się mężczyznom na rampie.

– Wydaje mi się, że nasz kapitan tylko na to czekał – powiedziała refleksyjnie. – Ocierał się o te wielkie działa codziennie, od kiedy tu przylecieliśmy. Patrz, uśmiecha się.

Mozolnie ruszyłem w stronę rampy, zwalczając ogarniające mnie fale mdłości. Sutjiadi zauważył, że nadchodzę, i przykucnął na krawędzi. Żadnego śladu po rzekomym uśmiechu.

– Wygląda na to, że nasz czas się skończył – stwierdził.

– Jeszcze nie. Hand powiedział, że wyewoluowanie odpowiedzi na ultradźwięki zajmie nanobom kilka dni. Powiedziałbym, że jesteśmy mniej więcej w połowie.

– W takim razie miejmy nadzieję, że twoja przyjaciółka po archeologii osiągnęła podobne postępy. Rozmawiałeś z nią ostatnio?

– A robił to ktokolwiek?

Skrzywił się. Od kiedy wydała się informacja o systemie ROSNOP, Wardani nie była zbyt komunikatywna. W trakcie posiłków z konieczności jadła i wychodziła. Ogniem monosylab zestrzeliwała wszelkie próby podejmowania rozmów.

– Chętnie uzyskałbym raport o postępach – stwierdził Sutjiadi.

– Tak jest.

Poszedłem plażą via Cruickshank, wymieniając z nią po drodze uścisk dłoni z Limonów, który pokazała mi poprzedniego dnia. Zrobiłem to odruchowo, ale wywołało to na mojej twarzy uśmiech i męczące mnie mdłości odrobinę zelżały. Coś, czego nauczyli mnie w Emisariuszach. Odruchy mogą dotyczyć dziwnych, głęboko schowanych miejsc.

– Możemy porozmawiać? – zapytała Ameli Vongsavath, kiedy do niej doszedłem.

– Jasne, za chwilę tu wrócę. Zajrzę tylko do naszego lokalnego nawiedźca.

Nie wywołało to zbyt szerokiego uśmiechu.

Wardani znalazłem zwaloną na fotel przy jednej ze ścian jaskini; wpatrywała się w bramę. Na filigranowych ekranach umieszczonych na wysięgnikach wokół jej głowy migotały odtwarzane sekwencje. Pulsujący u jej boku ekran wyświetlacza danych był pusty, kłębki informacji krążyły samotnie w lewym górnym rogu, do którego je zminimalizowała. Była to nietypowa konfiguracja – większość ludzi po zakończeniu obliczeń rozpląszcza kłębki na powierzchni projekcyjnej – ale w obu przypadkach stanowiło to elektroniczny odpowiednik przeciągnięcia ręką przez biurko i zrzucenia jego zawartości na podłogę. Wielokrotnie przyglądałem się na monitorach, jak to robi, pełen irytacji gest nabierający w jakiś sposób elegancji przez odwrócone, prowadzone w górę zgarnięcie. Lubiłem się temu przyglądać.

– Wolałabym, żebyś nie zadawał oczywistego pytania – odezwała się.

– Nanoby zaatakowały.

Kiwnęła głową.

– Tak, czułam. Ile to nam daje, jakieś trzy do czterech dni?

– Hand powiedział, że co najmniej cztery. Więc nie czuj się tak, jakbyś miała nóż na gardle.

To wywołało śladowy uśmiech. Najwyraźniej się rozgrzewałem.

– Jakies wyniki?

– To było to oczywiste pytanie, Kovacs.

– Przepraszam. – Znalazłem skrzynkę na sprzęt i przysiadłem na niej. – Jednak Sutjiadi zaczyna się denerwować. Szuka parametrów.

– Przypuszczam, że w takim razie powinnam przestać się tu kręcić i to otworzyć.

Przywołałem uśmiech.

– Tak, to by było miłe.

Cisza. Moją uwagę przyciągała brama.

– To tu jest – wymamrotała. – Długości fal są w porządku, glify dźwięku i wizji odpowiadają. Matematyka działa, przynajmniej na ile ją rozumiem. Cofnęłam się od tego, co wiem, że powinno się stać, dokonałam ekstrapolacji, tak to robiliśmy ostatnim razem. Cholerstwo powinno działać. Czegoś tu brakuje. Czegoś zapomniałam. Może coś, co – przez jej twarz przebiegł skurcz – ze mnie wydarto.

W jej głosie zabrzmiał histeryczny trzask, krawędź tnąca wzdłuż szlaku wspomnień, na które nie mogła sobie pozwolić. Zacząłem drażnić.

– Jeśli ktoś tu był przed nami, mógł w jakiś sposób zmienić ustawienia?

Przez chwilę milczała. Przeczekałem to. W końcu podniosła wzrok.

– Dzięki. – Odchrząknęła. – Hm... za zaufanie. Ale wiesz, to raczej mało prawdopodobne. Szansa jak ciężkie miliony do jednego. Nie, jestem pewna, że po prostu coś przeoczyłam.

– Ale to jest możliwe?

– To możliwe, Kovacs. Wszystko jest możliwe. Ale nie prawdopodobne. Żaden człowiek nie mógłby tego zrobić.

– Ludzie ją otworzyli – zauważyłem.

– Tak, Kovacs, pies też może otworzyć drzwi, jeśli dostatecznie długo będzie stał na tylnych



łapach. Ale kiedy ostatnim razem widziałeś psa otwierającego zamek i blokującego go z powrotem?

– Dobra.

– Mamy tu do czynienia z problemem poziomu kompetencji. Wszystko, czego nauczyliśmy się o marsjańskiej technice: odczytywać mapy astrogacyjne, uaktywniać osłony burzowe, sterować tym systemem meteorologicznym, który znaleźli na Ziemi Nkrumaha, wszystko to są rzeczy, które każdy przeciętny dorosły Marsjanin mógł zrobić przez sen. Podstawowa technika, jak prowadzenie samochodu czy mieszkanie w domu. To – wskazała na przykurzoną kolumnę po drugiej stronie baterii urządzeń. – To szczytowe osiągnięcie ich techniki. Jedyne egzemplarz, jaki znaleźliśmy przez pięćset lat grzebania na ponad trzydziestu planetach.

– Może po prostu szukaliśmy w niewłaściwych miejscach. Zbieraliśmy błyszczące, plastikowe opakowania, równocześnie depcząc delikatne obwody, ukryte kiedyś w środku.

Rzuciła mi twarde spojrzenie.

– A ty co, uwierzyłeś w Wycinskiego?

– Poczytałem trochę w Landfall. Nie jest łatwo znaleźć kopie jego późniejszych prac, ale Mandrake ma całkiem eklektyczny zbiór baz danych. Sądząc z tego, co widziałem, był przekonany, że cały protokół poszukiwań Gildii nie jest nic wart.

– Kiedy to napisał, był już mocno zgorzkniały. Nie jest łatwo jednego dnia być certyfikowanym wizjonerem i niechcianym dysydentem następnego.

– Ale przewidział bramy, prawda?

– W zasadzie tak. Część materiałów archiwalnych, które jego zespół znalazł na Bradburym, zawierała pewne sugestie. Kilka odnośników do czegoś nazywanego Krok Poza. Gildia postanowiła interpretować to jako liryczne, poetyckie podejście do techniki przekazu strunowego. W tamtych czasach nie wiedzieliśmy jeszcze, co czytamy, poezję czy raporty pogodowe – wszystko wyglądało tak samo, a Gildia była szczęśliwa, jeśli mogliśmy wycisnąć z tego jakąś treść. Krok Poza jako tłumaczenie przekaźnika strunowego było znaczeniem wyciągniętym ze szczęk ignorancji. Nie miało znaczenia, jeśli odnosiło się to do jakiegoś kawałka techniki, którego nikt jeszcze nie widział.

Przez jaskinię przetoczyła się narastająca wibracja. Przez prowizoryczne oszalowanie przesypało się trochę pyłu. Wardani uniosła głowę.

– O rany.

– Tak, lepiej na to uważać. Hansen i Sun uważają, że wytrzyma wibracje od strzałów znacznie bliższych niż wewnętrzny pierścień strażników, ale... – Wzruszyłem ramionami. – Oboje popełnili w przeszłości przynajmniej po jednym ostatecznym błędzie. Sprowadzę tu podnośnik i sprawdzę, czy sufit nie zawali się nam na głowy w chwili triumfu.

– Dzięki.

Znów wzruszyłem ramionami.

– Cóż, to leży w interesie nas wszystkich.

– Nie o tym myślałam.

– Och. – Machnąłem ręką, czując się nagle niezdarnie. – Słuchaj, udało ci się to już otworzyć, więc możesz to zrobić ponownie. To tylko kwestia czasu.

– Którego nie mamy.

– Powiedz mi – kierowany emisariuszowskim instynktem, zacząłem szukać jakiegoś sposobu na przerwanie spirali depresji w jej głosie – jeśli to rzeczywiście szczytowe osiągnięcie marsjańskiej techniki, w jaki sposób twojemu zespołowi w ogóle udało się to złamać? To *znaczy*...

Bezradnie uniosłem ręce.

Pozwoliła sobie na kolejny błąd uśmiech i nagle zacząłem się zastanawiać, na ile mocno

uderzało w nią promieniowanie i chemiczne środki zaradcze.

– Nadal tego nie rozumiesz, Kovacs, prawda? Nie mówimy o ludziach. Oni nie myśleli w taki sposób jak my. Wycinski nazwał to oskrobaną technokracją demokratyczną. To jak osłony burzowe. Każdy mógł z nich skorzystać, to znaczy każdy Marsjanin, ponieważ, no cóż, jaki jest sens tworzenia techniki, z której nie potrafiłaby skorzystać część twojego gatunku?

– Masz rację. Nie jest to ludzkie.

– To jeden z powodów, dla których Wycinski w ogóle popadł w konflikt z Gildią. Napisał publikację o schronach przeciwburzowych. Nauka stojąca za ich działaniem jest prawdę mówiąc dość skomplikowana, ale zbudowali je w taki sposób, że nie miało to znaczenia. Systemy sterowania zostały doprowadzone do takiej prostoty, że nawet my mogliśmy się nimi posługiwać. Nazwał to oczywistym wskazaniem na jedność obejmującą cały gatunek, a potem powiedział, że dowodzi to bzdurności koncepcji imperium marsjańskiego rozdieranego na części w wyniku wojny kolonialnej.

– Nie wiedział, kiedy się zamknąć, co?

– Tak też można to ująć.

– Więc za czym argumentował? Wojna z inną rasą? Kimś, kogo jeszcze nie spotkaliśmy?

Wardani wzruszyła ramionami.

– Albo po prostu wycofali się z tego rejonu galaktyki i przenieśli się gdzie indziej. Tak naprawdę nigdy nie poszedł za daleko w żadnym z tych toków rozumowania. Wycinski był ikonoklastą. Bardziej interesowało go demaskowanie idiotyzmów, które Gildia już popełniła, niż tworzenie własnych teorii.

– Zdumiewająco głupie zachowanie jak na kogoś tak inteligentnego.

– Lub zdumiewająco odważne.

– Tak też można to ująć.

Wardani potrząsnęła głową.

– Wszystko jedno. Możemy obsłużyć wszystkie urządzenia techniczne, które odkryliśmy i rozumiemy. – Wskazała na stosy przyrządów ustawionych wokół bramy. – Musimy zsyntetyzować światło z marsjańskiego organu gardłowego i dźwięki, które jak nam się wydaje, wytwarzali, ale jeśli coś rozumiemy, możemy to skłonić do działania. Zapytałeś, jak w ogóle byliśmy w stanie to złamać ostatnim razem. Tak to zostało zaprojektowane. Każdy Marsjanin, który potrzebował przejść przez tę bramę, mógł ją otworzyć. A to oznacza, że mając dość sprzętu i czasu, my też możemy.

W tych słowach czuło się buzujący płomień. Wrócił jej zapach. Wolno kiwnąłem głową, potem zsunąłem się ze skrzynki.

– Idziesz?

– Muszę porozmawiać z Ameli. Potrzebujesz czegoś?

Dziwnie na mnie popatrzyła.

– Dzięki, ale nie. – Wyprostowała się trochę na fotelu. – Muszę tu puścić jeszcze kilka sekwencji, potem przyjdę coś zjeść.

– Dobrze. W takim razie do zobaczenia. Och – zatrzymałem się w wyjściu. – Co mam powiedzieć Sutjadiemu? Coś muszę.

– Powiedz mu, że otworzę tę bramę w ciągu dwóch dni.

– Naprawdę?

Uśmiechnęła się.

– Nie, prawdopodobnie nie. Ale i tak mu to powiedz.

Hand był zajęty.

Podłogę jego kwatery znaczył zawity wzór z wąskiej strużki piasku, a z czarnych świec ustawionych w czterech rogach pomieszczenia unosił się wonny dym. Dyrektor Mandrake siedział ze skrzyżowanymi nogami w jakiegoś rodzaju transie przy jednym z końców piaskowej ścieżki. W dłoniach trzymał płytką miedzianą misę, do której z rozciętego kciuka wolno kapąła krew. W środku misy leżał jakiś rzeźbiony przedmiot z kości, biały z czerwonymi plamami w miejscu, gdzie kapnęła na niego krew.

– Co ty, do cholery, robisz, Hand?

Wynurzył się z transu i przez jego twarz przebiegł dreszcz furii.

– Powiedziałem Sutjiadiemu, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

– Tak, powtórzył mi. Więc co, do cholery, robisz?

Chwila się przeciągała. Odczytałem przekaz Handa. Język ciała zdradzał, że zaraz się na mnie rzuci, co wcale mnie nie martwiło. Powolne umieranie sprawiało, że byłem rozdrażniony, i chętnie bym komuś przyłożył. A sympatia, którą odczuwałem wobec niego parę dni temu, szybko parowała.

Może on też mnie zrozumiał. Wykonał lewą ręką spiralny ruch w dół, a napięcie na jego twarzy znikło. Odstawił misę na bok i zlizwał krew z kciuka.

– Nie spodziewam się, żebyś to zrozumiał, Kovacs.

– Niech zgadnę. – Spojrzałem na świece. Wydzielały ciężki, kwaśny zapach. – Wzywasz odrobinę nadnaturalnych mocy, żeby pomogły nam wydostać się z tego bajzlu.

Hand wychylił się i zdmuchnął najbliższą świecę, nie wstając z miejsca. Jego maska Mandrake znów była na miejscu, głos miał spokojny.

– Jak zwykle, Kovacs, podchodzisz do czegoś, czego nie rozumiesz, z subtelnością stada szympansów. Powiem tylko, że istnieją rytuały, których trzeba dopełniać, jeśli związki ze światem duchowym mają przynosić owoce.

– Wydaje mi się, że jestem w stanie zrozumieć aż tyle. Mówisz o systemie zapłaty. *Qui pro quo*. Odrobina krwi za garść przysług. Bardzo komercyjne, Hand, bardzo korporacyjne.

– Czego chcesz, Kovacs?

– Inteligentnej konwersacji. Poczekam na zewnątrz.

Przeszedłem z powrotem przez zasłonę, zaskoczony lekkim drzeniem, które zagościło w moich rękach. Prawdopodobnie efekt sprzężenia z bioobwodów płytek w dłoniach. W najspokojniejszych sytuacjach były jak wyścigowe psy i agresywnie reagowały na wszelkie wtręty w ich integralność, a przypuszczalnie wcale nie znosiły promieniowania lepiej niż reszta mojego ciała.

Kadzidło Handa osiadło na dnies mojego gardła jak strzępy mokrej szmaty. Wykaszałem je. Pulsowały mi skronie. Skrzywiłem się i wydałem z siebie trochę szympansich odgłosów. Podrapałem się pod pachami. Odchrząknąłem i znów odkaslnąłem. Opadłem na krzesło w kręgu odpraw i obejrzałem jedną z dłoni. Drzenie w końcu ustało.

Posprzątanie utensyliów zajęło przedstawicielowi Mandrake około pięciu minut, po których wyłonił się wyglądając prawie jak funkcjonalna wersja Matthiasa Handa, do której przyzwyczailiśmy się w obozie. Pod oczami pojawiły mu się sine plamy, a jego skóra miała szarawy odcień, ale nie było w jego oczach dystansu, widocznego u innych ludzi umierających z powodu choroby popromiennej. Utrzymywał go pod kontrolą. Była tylko drzemiąca świadomość nadciągającej śmierci, ale by ją dostrzec, trzeba było oczu Emisariusza.

– Mam nadzieję, że to bardzo ważne, Kovacs.

– Mam nadzieję, że nie. Ameli Vongsavath powiedziała mi, że pokładowy system monitorujący

*Nagini* wyłączył się ostatniej nocy.

– Co?

Kiwnąłem głową.

– Tak. Na jakieś pięć do sześciu minut. Nietrudno to zaaranżować. Vongsavath twierdzi, że można przekonać system, że to część standardowego przeglądu. Tak więc, obyło się bez alarmów.

– Och, Damballah. – Spojrzał w stronę plaży. – Kto jeszcze wie?

– Ty. Ja. Ameli Vongsavath. Ona powiedziała mnie. Ja powiedziałem tobie. Ty możesz powiedzieć Ghede i może on coś wymyśli.

– Nie zaczynaj ze mną, Kovacs.

– Czas na decyzje, Hand. Przypuszczam, że Vongsavath jest czysta. W innym przypadku nie miałyby powodu, żeby mi o tym mówić. Wiem, że ja jestem czysty i przypuszczam, że ty też. Poza tym, nie chciałbym wyznaczać, komu jeszcze możemy zaufać.

– Czy Vongsavath sprawdziła statek?

– Mówi, że na ile tylko mogła bez startu. Ja bardziej zastanawiam się nad sprzętem w ładowni.

Hand zamknął oczy.

– Tak. Świetnie.

Zaczynał naśladować mój sposób mówienia.

– Z perspektywy bezpieczeństwa sugerowałbym, żeby Vongsavath zabrała nas na wycieczkę pod pozorem obejrzenia naszych nanoidalnych przyjaciół. Kiedy będziemy przeglądać ładownię, ona może sprawdzić systemy. *Zarządź* to później po południu. Taka przerwa po tym, jak zaskoczyli strażnicy, nie wzbudzi podejrzeń.

– Dobrze.

– Sugerowałbym także, żebyś zaczął nosić przy sobie coś takiego. – Pokazałem mu ogłuszacz kontaktowy, który dostałem od Vongsavath. – Urocze, nieprawdaż? Najwyraźniej standardowy sprzęt floty, prosto ze skrzynki awaryjnej w kokpicie *Nagini*. Na wypadek buntu. Minimalne konsekwencje, jeśli spieprzysz i strzelisz w niewłaściwą stronę.

Sięgnął po broń.

– O nie. Weź sobie własny. – Wrzuciłem maleństwo z powrotem do kieszeni kurtki. – Porozmawiaj z Vongsavath. Ona też to ma. Nasza trójka powinna wystarczyć, żeby zatrzymać cokolwiek, zanim na dobre się zacznie.

– Słusznie. – Znów zamknął oczy i przycisnął kciuk i palec wskazujący do wewnętrznych kątek oczu. – Słusznie.

– Wiem. Wygląda na to, że ktoś naprawdę nie chce, żebyśmy przeszli przez tę bramę, prawda? Może palisz kadzidło niewłaściwym gościom.

Na zewnątrz znów odezwały się baterie ultrawibracyjne.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ameli Vongsavath podniosła nas na pięć kilometrów w górę, chwilę leciała, po czym włączyła autopilota. Cała nasza trójka stłoczyła się w kokpicie i otoczyła holowyświatłacz lotu jak myśliwi zgromadzeni wokół ognia. Kiedy trzy minuty później żaden z systemów *Nagini* nie zawiódł katastrofalnie, Vongsavath wypuściła powietrze, które wstrzymywała chyba od chwili startu.

– Prawdopodobnie w ogóle nie musieliśmy się przejmować – powiedziała bez głębszego przekonania. – Ktokolwiek tu grzebał, raczej nie chciałby zginąć razem z resztą, niezależnie od tego, co jeszcze zamierza osiągnąć.

– To – stwierdziłem ponuro – zależy od stopnia poświęcenia.

– Myślisz, że Ji...

Przyłożyłem palec do ust.

– Żadnych nazwisk. Jeszcze nie. Nie uprzedzaj się do nikogo przed czasem. Zresztą, może wszystko, czego potrzebuje nasz sabotażysta, to trochę zaufania do ekipy ratowniczej. Gdyby ten pojazd spadł, wszyscy mielibyśmy nienaruszone stopy, prawda?

– O ile nie zaminowałby komórek paliwowych, to tak.

– No proszę. – Odwróciłem się do Handa. – Idziemy?

\* \* \*

Znalezienie uszkodzeń nie zajęło nam dużo czasu. Kiedy Hand złamał pieczęć na pierwszym z pojemników z zabezpieczeniami przeciwwuderzeniowymi, dym, który się z niego unióś, wystarczył, żeby wygonić nas z powrotem przez właz na pokład załogowy. Uderzyłem w przycisk awaryjnej izolacji i właz opadł, blokując się z głośnym trzaśnięciem. Przetoczyłem się na plecy ze strumieniami łez lejącymi mi się z oczu, walcząc z kaszlem, który wbił szpony w dno moich płuc.

– Cholera jasna!

W pole widzenia wskoczyła Ameli Vongsavath.

– Czy wy...

Hand odgonił ją machnięciem ręki, niemrawo kiwając głową.

– Granat korozyjny – wyrzuciłem, wycierając oczy. – Musiał po prostu go tam wrzucić i zamknąć z powrotem. Ameli, co było w ZPU jeden?

– Daj mi chwilę. – Wróciła do kokpitu, żeby sprawdzić deklaracje. Po chwili dobiegł nas jej głos. – Wygląda na to, że głównie sprzęt medyczny. Zapasowe części do autochirurga, część leków antyradiacyjnych. Oba zestawy IOO, jeden ze strojów ruchowych. Och, i jedna z boi oznaczających własność Mandrake.

Kiwnąłem głową do Handa.

– No tak. – Dźwignąłem się do pozycji siedzącej, opierając się plecami o krzywiznę kadłuba. – Ameli, sprawdź, proszę, gdzie trzymane są pozostałe boje. I wywietrzmy tę ładownię, zanim znów otworzymy właz. Umieram szybko i bez tego syfu.

Na ścianie nad głową miałem podajnik z napojami. Sięgnąłem w górę, wyciągnąłem parę puszek i rzuciłem jedną Handowi.

– Proszę. Możesz tym spłukać tlenki metalu.

Złapał puszkę i wykaszał śmiech. Wyszczrzyłem się do niego.

– A więc?

– A więc... – Otworzył puszkę. – Wygląda na to, że przeciek, który mieliśmy w Landfall, dotarł

z nami aż tu. Czy myślisz, że ktoś z zewnątrz zakradł się w nocy do obozu?

Zastanowiłem się nad tym.

– To naciąganie prawdopodobieństwa. Biorąc pod uwagę szalejący nanosprzęt, podwójny pierścień strażniczy i zalewającą cały półwysep śmiertelną dawkę promieniowania, musieliby to być jacyś psychole z misją.

– Kempisci, którzy dostali się do wieży w Landfall, pasowaliby do tej definicji. W końcu mieli zestawy niszczące stopy. Prawdziwa śmierć.

– Hand, gdybym miał iść przeciw korporacji Mandrake, pewnie sam bym sobie taki zainstalował. Jestem pewien, że wasz wydział kontrwywiadu dysponuje naprawdę uroczym softem do przesłuchań.

Zignorował mnie, podążając szlakiem własnych myśli.

– Wśliznięcie się zeszłej nocy na pokład *Nagini* nie byłoby trudną sztuczką dla kogoś, komu udało się wejść do wieży Mandrake.

– Nie, ale bardziej prawdopodobne, że mamy przeciek na miejscu.

– Dobra, załóżmy, że tak jest. Kto? Twoi ludzie czy moi?

Obróciłem głowę w stronę wjazdu do kokpitu i podniosłem głos.

– Ameli, włącz auto i podejdź tutaj. Nie chciałbym, żebyś myślała, że rozmawiamy o tobie za twoimi plecami.

Nastąpiła krótka przerwa, po której w drzwiach pojawiła się Ameli Vongsavath z bardzo niepewnym wyrazem twarzy.

– Już włączony – powiedziała. – Ja, hm, i tak słuchałam.

– Dobrze. – Gestem zaprosiłem ją bliżej. – Ponieważ logika dyktuje, że jesteś w tej chwili jedyną osobą, której naprawdę możemy zaufać.

– Dziękuję.

– Powiedział, że to wynika z logiki. – Nastrój Handa nie poprawił się od czasu, gdy przerwałem mu modlitwy. – Nie będziemy się tutaj obdarzać komplementami, Vongsavath. Ty powiedziałaś Kovacsowi o włamaniu, to w zasadzie cię oczyszcza.

– Chyba że po prostu kryłam się na wypadek, gdyby ktoś otworzył ten pojemnik i odkrył mój sabotaż.

Zamknąłem oczy.

– Ameli...

– Twoja załoga czy moja, Kovacs. – Dyrektor Mandrake tracił cierpliwość. – Która to?

– Moja załoga? – Otworzyłem oczy i wpatrzyłem się w napisy na puszcze, którą trzymałem w dłoni. Zastanawiałem się nad tym już kilka razy, od kiedy Vongsavath podzieliła się ze mną swoim odkryciem, i wydawało mi się, że opracowałem już pewien schemat. – Schneider prawdopodobnie ma dostateczną wiedzę o statkach, by wyłączyć pokładowe monitory. Wardani pewnie nie. A w obu wypadkach ktoś musiałby zaproponować lepszą ofertę niż... – przerwałem i zerknąłem w stronę kokpitu – ...niż Mandrake. Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Z mojego doświadczenia wynika, że dostatecznie silne przekonania polityczne mogą zwyciężyć motywację w postaci dóbr materialnych. Czy któreś z nich mogłoby być kempistą?

Przemyślałem pod tym kątem moją znajomość ze Schneiderem.

*I nie zamierzam już, kurwa, nigdy więcej patrzeć na coś takiego. Wynoszę się stąd, niezależnie od kosztów.*

I Wardani.

*Widziałam dzisiaj śmierć stu tysięcy ludzi... Wiem, że jeśli wyjdę na spacer, na wietrze będą*

*powiewać ich drobne strzępy.*

– Jakoś mi to do nich nie pasuje.

– Wardani była w obozie dla internowanych.

– Hand, ćwierć populacji tej pieprzonej planety siedzi w obozach dla internowanych. Nietrudno dostać zaproszenie.

Może mój głos nie był tak swobodny, jak chciałem, ale Hand się wycofał.

– Dobra, moi ludzie. – Rzucił przepaszające spojrzenie na Vongsavath. – Zostali dobrani losowo, a do ciał przelano ich kilka dni temu. Mało prawdopodobne, żeby kempieści dostali się do nich przez ten czas.

– Ufasz Semetairowi?

– Ufam, że nie interesuje go absolutnie nic poza procentem od dochodów. A jest dostatecznie inteligentny, żeby wiedzieć, że Kemp nie może wygrać tej wojny.

– Podejrzewam, że sam Kemp jest dość inteligentny, żeby to wiedzieć, ale to nie koliduje z jego wiarą w walkę. Krótkoterminowe zyski materialne, pamiętasz?

Hand przewrócił oczami.

– Dobra, kto? Na kogo stawiasz?

– Jest jeszcze jedna możliwość, której nie bierzesz pod uwagę.

Rzucił mi ciężkie spojrzenie.

– Och, proszę. Tylko nie potwory z półmetrowymi kłami. Nie na melodię Sutjiadięgo.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak chcesz. Mamy dwa tajemnicze ciała z usuniętymi stosami i cokolwiek się z nimi stało, wygląda na to, że ich właściciele stanowili część ekspedycji, która miała otworzyć bramę. Teraz my próbujemy otworzyć bramę i... – dźgnąłem kciukiem w podłogę – mamy to. Różne wyprawy w odstępie miesiąca, może roku. Łączy je tylko to, co jest po drugiej stronie bramy.

Ameli Vongsavath przekrzywiła głowę.

– Pierwsza wyprawa Wardani nie miała żadnych problemów, prawda?

– Nie, o żadnych nie mówili. – Usiadłem trochę bardziej wyprostowany, próbując schwytać dłońmi pomysły, które raz za razem pojawiały się w mojej głowie. – Ale kto wie, w jakiej skali czasowej reaguje brama. Otworzysz ją raz, zauważa cię. Jeśli jesteś wysoki i masz skrzydła nietoperza, nie ma problemu. Jeśli nie, uaktywnia jakiś rodzaj... nie wiem, może coś w rodzaju wolno reagującego wirusa przenoszonego powietrzem.

Hand prychnął.

– Który czemu ma służyć?

– Nie wiem. Może wchodzi ci do głowy. Miesza tam. Robi z ciebie wariata. Skłania cię do zamordowania kolegów, wycięcia ich stosów i ukrycia ich w sieci. Sprawia, że niszczysz sprzęt wyprawy. – Zauważyłem, w jaki sposób oboje na mnie patrzą. – Dobra, wiem. Po prostu rzucam przykład. Ale pomyślcie o tym. Gdzieś tam mamy system nanotechnologiczny, który ewoluuje własne maszyny bojowe. I to my go zbudowaliśmy. Rasa ludzka. A rasa ludzka jest kilka tysięcy lat do tyłu w stosunku do Marsjan, i to przy konserwatywnych szacunkach. Kto wie, jakiego rodzaju systemy obronne mogli rozwinąć i zostawić w okolicy.

– Może to tylko moje szkolenie komercyjne, Kovacs, ale trudno mi uwierzyć w system obrony, który do uaktywnienia się potrzebuje roku. Ja nie kupiłbym w nim udziałów, a jestem tylko jaskiniowcem w porównaniu do Marsjan. Wydaje mi się, że hiperteknika zakłada superwydajność.

– Jesteś pieprzonym jaskiniowcem, Hand. Po pierwsze, patrzysz na wszystko, łącznie z wydajnością, pod kątem zysków. Żeby być wydajnym, system nie musi przynosić zewnętrznych

zysków, musi po prostu działać. Bez wątpienia jest to prawdą dla systemu uzbrojenia. Wyrzuj przez okno na to, co zostało z Sauberville. Gdzie widzisz w tym zysk? Hand wzruszył ramionami.

– Zapytaj Kempa. On to zrobił.

– W porządku, w takim razie pomyśl o tym. Pięć czy sześć wieków temu broń w rodzaju tej, jaka zrównała z ziemią Sauberville, byłaby bezużyteczna. Mogłaby co najwyżej służyć jako środek odstraszający. Głowice jądrowe przerażały wtedy ludzi. Teraz rzucamy nimi jak zabawkami. Wiemy, jak po nich posprzątać, mamy strategie, które pozwalają sensownie je wykorzystać. Aby uzyskać efekt odstraszający, musimy szukać broni genetycznej albo nanobowej. Możemy więc bezpiecznie założyć, że Marsjanie mieli nawet większy problem, jeśli kiedykolwiek wybierali się na wojnę. Czego mógłbyś użyć jako straszaka?

– Czegoś, co zmienia ludzi w morderczych szaleńców? – Hand nie wyglądał na przekonanego. – Po roku? Daj spokój.

– A co, jeśli nie mógłbyś tego zatrzymać? – powiedziałem cicho.

Zapanowała przejmująca cisza. Tym razem to ja na nich popatrzyłem i kiwnąłem głową.

– Co jeśli przechodzi to przez hiperłącze, takie jak ta brama, przepala protokoły behawioralne w każdym mózgu, z jakim się zetknie, i w końcu infekuje wszystko po drugiej stronie? Nie miałoby znaczenia, jak wolno działa, jeśli w efekcie mogłoby zjeść całą populację planety.

– Ewa... – zaczął Hand, ale zauważył, do czego to prowadzi, i się zamknął.

– Nie możesz nikogo ewakuować, bo tylko zaciągniesz za sobą zarazę wszędzie, gdzie dotrzesz. Nie możesz zrobić nic, tylko zablokować planetę i przyglądać się, jak umiera, w ciągu pokolenia czy dwóch. Bez... pieprzonej... reemisji.

Cisza opadała niczym mokry koc, owijając nas zimnymi zwojami.

– Myślisz, że na Sanction IV uwolniono coś takiego? – zapytał w końcu Hand. – Wirusa behawioralnego?

– No cóż, to przynajmniej wyjaśniłoby wojnę – powiedziała radośnie Vongsavath i wszyscy troje wybuchliśmy nieoczekiwanym śmiechem.

Napięcie prysło.

\* \* \*

Z awaryjnego zestawu ratunkowego na wypadek rozbicia Vongsavath wygrzebała dwie maski tlenowe i razem z Handem wróciliśmy do ładowni. Otworzyliśmy pozostałe osiem pojemników i szybko odskoczyliśmy.

Trzy były skorodowane poza granice używalności. Czwarty był tylko częściowo uszkodzony – wadliwy granat zniszczył jedną czwartą zawartości. Znaleźliśmy kawałki obudowy, które udało się zidentyfikować jako część uzbrojenia *Nagini*.

Cholera.

Straciliśmy jedną trzecią leków przeciwradiacyjnych.

Zapasowe oprogramowanie dla połowy zautomatyzowanych systemów misji zostało rozbite.

Pozostała jedna sprawna boja.

\* \* \*

Po powrocie na pokład załogowy opadliśmy na fotele, zdarliśmy maski i siedzieliśmy w ciszy, przemyśliwując to wszystko. Zespół Dangrek jako pojemnik przeciwuderzeniowy, zapieczętowany na



dobre umiejętnościami oddziałów specjalnych i powłokami bojowymi Maori.

Wewnętrzna korozja.

– No więc, co zamierzacie powiedzieć reszcie? – chciała wiedzieć Ameli Vongsavath.

Wymieniłem z Handem porozumiewawcze spojrzenia.

– Ani słowa – zdecydował. – Ani jednego pieprzonego słowa. Zostanie to wyłącznie między nami. Przypiszemy to wypadkowi.

– Wypadkowi? – Vongsavath wyglądała na zaskoczoną.

– On ma rację, Ameli. – Wpatrywałem się w przestrzeń, szukając strzępów intuicji, które mogłyby dać mi odpowiedź. – Nic nie zyskamy, rozgłaszając to teraz. Po prostu musimy z tym żyć do czasu, aż dostaniemy się do następnej planszy. Powiemy, że nastąpił przeciek układu zasilającego.

Mandrake zaoszczędziła na przeterminowanym sprzęcie wojskowym. Powinni w to uwierzyć.

Hand się nie uśmiechnął. Trudno było mieć o to do niego pretensje.

Wewnętrzna korozja.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Zanim wylądowaliśmy, Ameli Vongsavath dokonała przelotu zwiadowczego nad kolonią nanobów. Odtworzyliśmy film w sali zebrań.

– Czy to są sieci? – ktoś zapytał.

Sutjiadi wywołał na kontrolce maksymalne powiększenie. Na wyświetlaczu pojawiła się szara sieć, długa na setki metrów i szeroka na dziesiątki, wypełniając zagłębienia i szczeliny poza zasięgiem automatycznych baterii ultrawibracyjnych. Po okolicy poruszały się kanciaste obiekty, przypominające czteronogie pająki. Miałem wrażenie, że w głębi dzieje się znacznie więcej.

– Szybka robota, nie ma co – stwierdził Luc Deprez z ustami pełnymi gryzionego włośnika jabłka.

– Ale dla mnie wygląda to defensywnie.

– W tej chwili – zgodził się Hand.

– No cóż, lepiej niech tak zostanie. – Cruickshank rozejrzała się wojowniczo. – Dostatecznie długo siedzieliśmy już nieruchomo dla tego paskudztwa. Proponuję wyciągnąć jeden z mózdzierzy i wrzucić prosto w środek tego czegoś skrzynkę pocisków odłamkowych.

– A wtedy dzięki nam nauczą się, jak sobie z tym radzić, Yvette. – Hansen patrzył w przestrzeń. Wydawało się, że skutecznie sprzedaliśmy historię z wyciekami paliwa, ale ograniczenie do jedynej pozostałej boi mimo wszystko zdumiewająco mocno go zmartwiło.

Cruickshank gniewnie machnęła ręką.

– Niech się uczą. To kupi nam więcej czasu, prawda?

– Dla mnie brzmi sensownie. – Sutjiadi wstał z miejsca. – Hansen, Cruickshank. Jak tylko zjecie, rzućcie im rdzeń plazmowy w powłokach odłamkowych. Chcę stąd widzieć, jak płoną.

\* \* \*

Sutjiadi dostał to, czego chciał.

Po pospiesznym wieczornym posiłku w kambuzie *Nagini* wszyscy wylegli na plażę, żeby podziwiać spektakl. Hansen i Cruickshank ustawili jeden z przenośnych systemów artyleryjskich, wprowadzili do procesora celowniczego zdjęcia lotnicze, które zrobiła Ameli Vongsavath, a potem odsunęli się, gdy broń zaczęła wypluwać pociski nad wzgórzami w nanokolonie i to, w co ewoluowały pod pajęczynowatymi kokonami. Horyzont od strony lądu zapłonął ogniem.

Przyglądałem się temu razem z Luciem Deprezem z pokładu trawlera. Opieraliśmy się na relingu i dzieliliśmy butelką whisky z Sauberville, znalezionej w szafce na mostku.

– Bardzo ładne – stwierdził, wskazując szklanką blask na niebie.

– I bardzo prymitywne.

– Cóż, to wojna.

Rzucił mi zaciekawione spojrzenie.

– Dziwny punkt widzenia jak na Emisariusza.

– Byłego Emisariusza.

– W takim razie byłego Emisariusza. Korpus ma reputację subtelnego.

– Kiedy to im pasuje. Jeśli chcą, mogą być bardzo brutalni. Przypomnij sobie Adoracion i Sharyę.

– Innenin.

– Tak, Innenin też. – Zajrzałem w resztki mojego drinka.

– Prymitywizm to nasz główny problem, stary. Przy odrobinie subtelności ta wojna mogła się

skończyć rok temu.

– Tak myślisz? – Uniosłem butelkę.

Kiwnął głową i podsunął szklanę.

– Na pewno. Wysłać ekipę od mokrej roboty do Kempopolis i wsadzić w łód sukinsyna. Koniec wojny.

– Za łatwo by poszło, Deprez. – Nalałem do szkła. – On ma żonę, dzieci. Kilku braci. Wszyscy mogą podjąć jego misję. Co z nimi?

– Ich oczywiście też. – Deprez uniósł swoją szklanę. – Zdrówko. Prawdopodobnie trzeba by zabić większość jego wyższej kadry, ale co z tego? To robota na jedną noc. Dwie lub trzy skoordynowane grupy. Całkowity koszt... Ile?

Wlałem w siebie pierwszą porcję nowego drinka i skrzywiłem się.

– Czy ja wyglądam jak księgowy?

– Wiem, że za tyle, ile kosztuje wysłanie do akcji kilku ekip od mokrej roboty, moglibyśmy zakończyć tę wojnę rok temu. Kilka tuzinów naprawdę martwych ludzi, zamiast całego tego bałaganu.

– No jasne. Albo moglibyśmy po obu stronach zastosować inteligentne systemy i ewakuować planetę do czasu, aż doprowadzą do remis. Zniszczenia maszyn, żadnych strat w ludziach. Jakoś nie wydaje mi się, żeby mieli zrobić coś takiego.

– Nie – zgodził się trzeźwo. – To by za dużo kosztowało. Zawsze taniej jest zabić ludzi niż maszyny.

– Nie jesteś trochę zbyt przewrażliwiony jak na zabójcę z tajnych misji, Deprez? Jeśli się nie obrazisz na takie pytanie.

Potrząsnął głową.

– Wiem, kim jestem – powiedział. – Ale to decyzja, którą sam podjąłem, i jestem w tym dobry. Widziałem martwych po obu stronach w Chatichai, między nimi były dziewczynki i chłopcy, nie dość dorośli, by legalnie ich powołać. To nie była ich wojna, i nie zasłużyli, żeby w niej zginąć.

Przez chwilę myślałem o plutonie Klina, który prowadziłem we wrogi ogień kilkaset kilometrów na południe stąd. Kwok Yuen Yee, z rękami i oczami wyrwanymi przez ten sam wybuch inteligentnego szrapnela, który zabrał kończyny Eddiego Munharto i twarz Tony'ego Loemanako. Inni mieli mniej szczęścia. Żaden z nich nie był niewinny, ale też nie prosili się o śmierć.

Na plaży ustał ogień zaporowy z moździerza. Skupiłem wzrok na postaciach Cruickshank i Hansena, niewyróżniających się teraz w narastającym mroku wieczoru, i dostrzegłem, że zaczęli składać broń. Osuszyłem swoją szklanę.

– No cóż, to by było na tyle.

– Myślisz, że to zadziała?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak mówił Hansen, na chwilę.

– Czyli nauczą się radzić sobie z naszymi pociskami wybuchowymi. Prawdopodobnie wykształcą też odporność na broń promienistą, efekt ciepła jest bardzo podobny. A już przestały się przejmować ultrawibracjami strażników. Mamy coś jeszcze?

– Zaostrzone kije?

– Zbliżamy się do otwarcia bramy?

– Czemu pytasz mnie? To Wardani jest ekspertem.

– Myślałem, że... jesteście blisko.

Znów wzruszyłem ramionami i w milczeniu wbiłem wzrok w wodę za burtą. Przez zatokę skradał się zmierzch, szargając po drodze powierzchnię wody.

– Zamierzasz tu zostać?

Podniosłem butelkę w mroczniejsze niebo i czerwony blask poniżej. Wciąż jeszcze miała w sobie ponad połowę zawartości.

– Na razie nie widzę żadnego powodu, żeby się stąd zabierać.

Zachichotał.

– Zdajesz sobie sprawę, że pijemy obiekt kolekcjonerski? Może tak nie smakuje, ale to jest teraz warte spore pieniądze. – Wskazał w miejsce, gdzie kiedyś było Sauberville. – Nie będą już tego więcej produkować.

– Jasne. – Przetoczyłem się na poręczy, odwracając w stronę pokładu i zamordowanego miasta. Nalałem sobie znów do pełna i uniosłem szklankę ku niebu. – A więc za nich. Wypijmy tę cholerną flaszkę.

Później już prawie nic nie mówiliśmy. Rozmowa stała się niewyraźna i zwalniała wraz z opadaniem poziomu płynu w butelce i umacnianiem się otaczającej trawler nocy. Świat ograniczył się do pokładu, bryły mostka i przysłoniętej chmurami nędznej garstki gwiazd. Daliśmy spokój poręczy i usiedliśmy na pokładzie, oparci wygodnie o wystające elementy konstrukcji.

W którymś momencie Deprez nagle zapytał:

– Kovacs, czy ty wyrosłeś w zbiorniku?

Podniosłem głowę i skupiłem na nim wzrok. Był to powszechny mit dotyczący Emisariuszy. Nazywano nas „zbiornikowcami” na przeszło pół tuzinie światów, na które przesłano mnie strunowo. Mimo wszystko, ktoś z oddziałów specjalnych...

– Nie, oczywiście, że nie. A ty?

– Oczywiście, że nie. Ale Emisariusze...

– Tak, Emisariusze... To wygląda mniej więcej tak: stawiają cię pod ścianą, rozbierają psychikę w wirtualu i budują ją od nowa z olbrzymią kupą gównianych warunkowań, których w rozsądniejszych chwilach wolałbyś nie mieć. Ale większość z nas pozostaje normalnymi ludźmi. Prawdziwe dorastanie daje ci elastyczność, która jest dość istotna.

– Niekoniecznie. – Deprez wycelował palcem. – Mogliby wygenerować konstrukt, dać mu wirtualne życie przy zwiększonej szybkości, a potem przetransferować do klona. Coś takiego nie musiałoby nawet wiedzieć, że nie miało prawdziwego życia. Z tego, co wiem, ty też mógłbyś być czymś takim.

Ziewnąłem.

– Jasne, jasne. Równie dobrze i ty. Jak i my wszyscy. To coś, z czym musisz żyć po każdym nowym upowłokowieniu. A wiesz, skąd mam pewność, że nie zrobili ze mną czegoś takiego?

– Skąd?

– Bo nie ma mowy, żeby zaprogramowali tak spieprzone wychowanie jak moje. Od najmłodszych lat uczyniło mnie socjopatą, który sporadycznie reaguje przemocą na autorytety, nieprzewidywalnego emocjonalnie. A to sprawia, że jestem cholernie popieprzonym klonowanym wojownikiem, Luc.

Roześmiał się. Po chwili do niego dołączyłem.

– Jednak to daje do myślenia – stwierdził.

– Co daje?

Machnął ręką dookoła.

– To wszystko. Ta plaża, tak spokojna. Cisza. Może wszystko to jest jakimś wojskowym konstruktem, stary. Może to miejsce, gdzie wrzucają nas, kiedy jesteśmy martwi, i muszą zdecydować, co teraz z nami zrobić.

Wzruszyłem ramionami.

– Ciesz się tym, póki trwa.

– Byłbyś szczęśliwy w konstrukcie?

– Luc, po tym, co widziałem przez ostatnie dwa lata, byłbym szczęśliwy w poczekalni dla dusz potępionych.

– Bardzo romantyczne. Ale mówię tu o wojskowej wirtualizacji.

– Różni nas wyłącznie terminologia.

– Uważasz się za potępionego?

Wypiłem więcej whisky z Sauberville i skrzywiłem się, gdy spływając, wypaliła mi gardło.

– To żart, Luc. Staram się być zabawny.

– Ach, powinieneś być mnie ostrzec. – Nagle nachylił się w moją stronę. – Kiedy pierwszy raz kogoś zabiłeś, Kovacs?

– To chyba zbyt osobiste pytanie.

– Możemy zginąć na tej plaży. Naprawdę zginąć.

– Nie, jeśli to konstrukt

– A jeśli, jak mówisz, jesteśmy potępieni?

– Nie uważam tego za powód, żeby otwierać przed tobą duszę.

Deprez zrobił przesadnie żalostną minę.

– W takim razie, porozmawiajmy o czymś innym. Pieprzysz panią archeolog?

– Szesnaście.

– Co?

– Szesnaście. Miałem szesnaście lat. To właściwie bliżej osiemnastki w ziemskich latach.

Świat Harlana wolniej orbituje.

– I tak bardzo młodo.

Zastanowiłem się.

– Nie, już nadszedł na to czas. Kombinowałem z gangami od czasu, gdy skończyłem czternaście lat. Już wcześniej kilka razy byłem tego bliski.

– To było zabójstwo dla gangu?

– To był bajzel. Próbowaliśmy zedrzeć dealera tetrametu, ale okazał się twardszy, niż się spodziewaliśmy. Inni uciekli, ja zostałem złapany. – Spojrzałem na swoje dłonie. – Wtedy ja okazałem się twardszy, niż się spodziewał.

– Zabrałeś jego stos?

– Nie, po prostu się wyrwałem. Słyszałem, że mnie szukał, kiedy dostał nową powłokę, ale wtedy już się zaciągnąłem. Nie miał dostatecznych pleców, żeby zadzierać z wojskiem.

– A w wojsku nauczyli cię, jak zadawać prawdziwą śmierć.

– Jestem pewien, że i tak bym się tego dowiedział. A co z tobą? Miałeś równie porabane wejście w tę krainę?

– Och, nie – zaprzeczył swobodnie. – Mam to we krwi. Na Latimerze moja rodzina ma historyczne powiązania z wojskiem. Moja matka była pułkownikiem w międzyplanetarnych marines Latimera. Jej ojciec był komandorem floty. Mam brata i siostrę, oboje w wojsku. – Uśmiechnął się i w mroku błysnęły jego nowiutkie zęby klona. – Można by powiedzieć, że do tego się urodziliśmy.

– A jak do tej historycznej rodziny wojskowej pasują oddziały specjalne? Chyba byli mocno zawiedzeni, kiedy skończyłeś jako spec od mokrej roboty.

Deprez wzruszył ramionami.

– Żołnierz to żołnierz. Niewielkie ma znaczenie, w jaki sposób zabijasz. Przynajmniej tak

twierdzi moja matka.

– A twój pierwszy trup?

– Na Latimerze. – Znów się uśmiechnął. – Przypuszczam, że nie byłem wiele starszy od ciebie.

Podczas powstania Sourfiere byłem członkiem grupy zwiadowczej wysłanej na bagna. Wyszedłem z drzewa i bam! – Trzasnął pięścią w otwartą dłoń. – Zobaczyłem go. Zastrzeliłem go, zanim zdałem sobie z tego sprawę. Odrzuciło go na dziesięć metrów i rozerwało na dwa kawałki. Widziałem, jak się to dzieje, ale nie rozumiałem tego. Nie rozumiałem, że to ja zastrzeliłem tego człowieka.

– Zabrałeś jego stos?

– Och tak. Mieliśmy takie instrukcje: zebrać wszystkie ofiary śmiertelne do przesłuchania, nie zostawiać żadnych śladów.

– To musiało być fajne.

Deprez potrząsnął głową.

– To było chore – przyznał. – Inni w moim oddziale śmiali się ze mnie, ale sierżant pomógł mi ciąć. Później jeszcze mnie wyczyścił i powiedział, żebym się za bardzo nie przejmował. Potem byli inni i cóż... Przyzwyczailem się.

– I jesteś w tym dobry.

Wymieniliśmy spojrzenia i zaiskrzyło między nami potwierdzenie tego wspólnego doświadczenia.

– Po kampanii Sourfiere dostałem order. Rekomendacja do oddziałów specjalnych.

– Spotkałeś się kiedyś z Bractwem Carrefour?

– Carrefour? – zmarszczył brwi. – Maczali palce w wojnie dalej na południe. Bissou i przyładek. Znasz tę sprawę?

Potrząsnąłem głową.

– Bissou zawsze było ich terenem, ale tajemnicą pozostawało, dla kogo właściwie walczą. Hougani Carrefour przemycali broń buntownikom na przyładku. Wiem, bo sam zabiłem jednego czy dwóch. Ale inni z kolei pracowali dla nas. Dostarczali dane wywiadowcze, prochy, czasem usługi religijne. Sporo żołnierzy było mocno wierzących, więc każdy dowódca zabiegał przed bitwą o błogosławieństwo hougana. Miałeś z nimi jakieś kontakty?

– Kilka razy w Latimer City. Ale znam ich bardziej ze słyszenia. Hand jest houganem.

– Doprawdy? – Deprez nagle się zamyślił. – To bardzo interesujące. Nie zachowuje się jak kapłan.

– To prawda.

– A przez to jest... mniej przewidywalny.

– Hej, Emisariuszu. – Krzyk dobiegł z drugiej strony relingu, a razem z nim cichy pomruk silników. – Jesteś na pokładzie?

– Cruickshank? – Wyrwałem się z zadumy. – To ty, Cruickshank?

Śmiech.

Z wysiłkiem podniosłem się z pokładu i podszedłem do relingu. Spoglądając w dół, dostrzegłem Schneidera, Hansena i Cruickshank, upchniętych we trójkę na jednym skuterze grawitacyjnym. Trzymali butelki i inne utensylia imprezowe, a sądząc po sposobie, w jaki skuter chwiał się na wodzie, impreza zaczęła się już jakiś czas temu na plaży.

– Lepiej wejdźcie na pokład, zanim wszyscy się potopicie – stwierdziłem.

Nowa ekipa przywiozła ze sobą muzykę. Zwalili sprzęt na pokład i noc wypełniła salsa z Limonów. Schneider i Hansen zmontowali fajkę wodną i włączyli zasilanie w podstawie. Dym wypełnił aromatem przestrzeń między zwieszonymi sieciami i omasztowaniem. Cruickshank rozproszyla cygara z ozdobioną ruinami i szafotem banderolą Indigo City.

– One są nielegalne – zauważył Deprez, obracając jedno w palcach.

– Zdobycz wojenna. – Cruickshank odgryzła koniec swojego cygara i położyła się na pokładzie, wciąż trzymając go w ustach. Obróciła głowę, żeby zapalić go od żarzącej się podstawy fajki wodnej, i bez wyraźnego wysiłku wygięła się w górę. Podnosząc się, szeroko wyszczerzyła do mnie zęby. Udałem, że wcale nie przyglądam się zafascynowany jej wyciągniętemu ciału Maori.

– Dobra – odezwała się, zabierając mi butelkę. – Teraz dopiero puszcza interferencje.

Znalazłem w kieszeni zmaltretowaną paczkę landfall lightów i zapaliłem swoje cygaro od łatki na opakowaniu.

– Zanim się pojawiliście, to była dość cicha impreza.

– Jasne, cicha. Dwa stare psy porównują liczbę ofiar, co?

Dym z cygara gryzł w gardło.

– No dobra, komu to ukradłaś, Cruickshank?

– Urzędnikowi pilnującemu w Mandrake dostaw sprzętu wojskowego, tuż przed wyjazdem. I niczego nie ukradłam, doszliśmy do porozumienia. Spotka się ze mną w zbrojowni – ostentacyjnie podniosła oczy w górę i w bok, sprawdzając czas na wyświetlaczu siatkówkowym. – Mniej więcej za pół godziny od teraz. Więc jak, stare psy porównywały zabójstwa?

Zerknąłem na Depreza. Uśmiechnął się krzywo.

– Nie.

– To dobrze. – Wydmuchała dym ku niebu. – Miałam dość tych bzdur w Szybkim Reagowaniu. Stado bezmózgich dupków. Na miłość Samedi, nie o to chodzi, że zabijanie ludzi jest trudne. Wszyscy to potrafimy. To tylko kwestia stłumienia emocji.

– I, oczywiście, udoskonalania techniki.

– Kovacs, czy ty mnie chcesz wkurzyć?

Potrząsałem przecząco głową i osuszyłem swoją szklanę. Smutno było patrzeć, jak ktoś tak młody jak Cruickshank popełnia wszystkie te błędy, które samemu popełniło się kilka subiektywnych dekad wcześniej.

– Jesteś z Limonów, prawda? – zapytał Deprez.

– Góralka z urodzenia i wychowania. Czemu?

– W takim razie musiałaś mieć do czynienia ze sługami Carrefour.

Cruickshank splunęła. Całkiem celny strzał, poniżej relingu, wprost za burtę.

– Te sukinsyny. Jasne, kręcili się po okolicy. Zima '28. Ganiali w górę i w dół wzdłuż kabli, nawracając, a kiedy to nie działało, paląc wioski.

Deprez rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

Zrozumiałem.

– Hand jest byłym houganem Carrefour – oświadczyłem.

– Nie widać. – Wydmuchała dym. – Cholera, bo niby czym miałby się zdradzić? Wyglądają jak normalne istoty ludzkie do czasu, aż przyjdzie pora na praktyki religijne. Słyszałeś całe to łajno, jakim obrzucają Kempa – zawahała się i rozejrzała wokół z odruchową ostrożnością. Na Sanction IV odruch sprawdzania, czy w pobliżu nie ma oficera politycznego, był wbudowany, jak sprawdzanie dozymetru. – A on przynajmniej nie ma Wiary po swojej stronie płotu. Publicznie wygnał ich z Indigo

City, przynajmniej tak czytałam jeszcze w Limonach, zanim zarzucili blokadę.

– Cóż, Bóg – sucho stwierdził Deprez. – Wiesz, to dość spora konkurencja przy takim ego jak u Kempa.

– Słyszałam, że tak jest z quellizmem. Nie pozwalają na żadną religię.

Prychnąłem.

– Hej. – Schneider przepchnął się do przodu. – Daj spokój, ja też tak słyszałem. Jak to powiedziała Quell? *Spluć na tyrańskiego Boga, jeśli sukinsyn spróbuje wezwać cię na sąd?* Coś w tym stylu?

– Kemp nie jest pieprzonym quellistą – odezwał się Ole Hansen z miejsca, gdzie opierał się o reling, z końcówką fajki w wolnej ręce. Podał mi ustnik z taksującym spojrzeniem. – Prawda, Kovacs?

– Raczej nie. Tylko pozuje. – Napełniłem fajkę i pociągnąłem przez ustnik, trzymając cygaro w drugiej ręce. Dym zalał moje płuca, otulając wewnętrzną powierzchnię jak rozłożysta, chłodna płachta. Atakował subtelniej niż cygaro, choć może nie aż tak subtelnie, jak Guerlain 20. Kop nadszedł jak lodowe skrzydła rozwijające się przez klatkę piersiową. Zakaszlałem i dźgnąłem cygarem w stronę Schneidera. – A ten cytat to bzdura. Śmieci wyprodukowane przez neoquellistów.

To wywołało burzę.

– Och, daj spokój...

– Co?

– Na miłość Samedi, powiedziała to na łożu śmierci.

– Schneider, ona nigdy nie zginęła.

– No to dopiero – odezwał się ironicznie Deprez – mamy wyznanie wiary.

Wokół mnie wybuchł śmiech. Znów pociągnąłem z fajki, potem podałem ustnik Deprez.

– Dobra, nic nam nie wiadomo o tym, żeby zginęła. Po prostu zniknęła. A nie wygłasza się na łożu śmierci przemów, jeśli nie ma tego łoża.

– Może to była mowa pożegnalna.

– Może to była bzdura. – Wstałem niepewnie. – Chcecie cytatu, dam wam cytat.

– Hurra!!!

– Brawo!!!

Cofnęli się, robiąc mi miejsce.

Odchrząknąłem.

– *Nie mam żadnych wymówek* – powiedziała. *To z Zapisków z Kampanii*, nie z jakichś bzdurnych, sfalszowanych mów pożegnalnych. Wycofywała się z Millsport, rozpieprzonego przez ich mikrobombowce, a władze Świata Harlana grzmiały na wszystkich kanałach, twierdząc, że Bóg wezwie ją na sąd za wszystkie śmierci po obu stronach. Powiedziała: *Nie mam żadnych wymówek, a już najmniej dla Boga. Jak wszyscy tyrani, nie jest wart śliny, którą stracilibyście na negocjacje. Mamy znacznie prostszą umowę – ja nie wzywam go na sąd, a on rewanżuje mi się tą samą uprzejmością.* Dokładnie tak powiedziała.

Brawa, jak wystraszone ptaki zrywające się z pokładu.

Kiedy umilkły, przeskanowałem twarze, oceniając gradient ironii. Dla Hansena te słowa chyba coś znaczyły. Siedział z przymkniętymi oczami, w zamyśleniu pociągając z fajki. Na drugim końcu skali Schneider przegonił brawa długim gwizdem i nachylał się nad Cruickshank z oczywistymi zamiarami seksualnymi. Góralka z Limonów zerknęła w bok i szeroko się uśmiechnęła. Siedzący naprzeciw nich Luc Deprez miał nieprzeniknioną twarz.

– Powiedz wiersz – powiedział cicho.



– Jasne – wrzasnął Schneider. – Wojenny wiersz.

Coś sprowadziło mnie nagle z powrotem na zewnętrzny pokład statku szpitalnego. Loemanako, Kwok i Munharto, zgromadzeni wokół mnie, obnoszący swoje rany jak ordery. Pozbawieni poczucia winy. Wilcze szczenięta na rzeź. Patrzyli na mnie, bym ocenił to wszystko i poprowadził ich znowu, żeby mogli zacząć wszystko od początku.

Jakie miałem wymówki?

– Nigdy nie nauczyłem się jej wierszy – skłamałem i poszedłem wzdłuż relingu na dziób, gdzie oparłem się ciężko i odetchnąłem głęboko powietrzem, jakby było czyste. Na horyzoncie od strony łądu zaczynały już gasnąć płomienie po bombardowaniu. Przyglądałem im się przez chwilę, przeskakując wzrokiem od blasku ognia do żaru na końcu trzymanego w dłoni cygara.

– Zdaje się, że te quellistowskie teksty głęboko wchodzą. – Cruickshank usiadła obok mnie na poręczy. – To nie żart, jeśli jesteś ze Świata H., co?

– Nie o to chodzi.

– Nie?

– Nie. Quell była pieprzoną wariatką. Prawdopodobnie sama spowodowała więcej prawdziwych śmierci niż cały korpus protektoratowych marines przez cały rok.

– Robi wrażenie.

Spojrzałem na nią i nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu. Potrząsnąłem głową.

– Och, Cruickshank, Cruickshank.

– Co?

– Kiedyś przypomnisz sobie tę rozmowę. Kiedyś, sto pięćdziesiąt lat od dzisiaj, kiedy będziesz już stała po mojej stronie płotu.

– Jasne. Racja, staruszk.

Znów potrząsnąłem głową, ale nie potrafiłem zrzucić z twarzy uśmiechu.

– Jak sobie chcesz.

– Cóż, tak. Robię to, od kiedy miałam jedenaście lat.

– Rety, prawie cała dekada.

– Mam dwadzieścia dwa lata, Kovacs. – Mówiąc to, uśmiechała się, ale tylko do siebie, patrząc w czarną, słabo rozświetloną gwiazdami powierzchnię wody w dole. W jej głosie zabrzmiał ton, który zupełnie nie pasował do uśmiechu. – Mam za sobą pięć lat w wojsku, z czego trzy w rezerwie taktycznej. Szkolenie marines, byłam dziewiąta w mojej klasie. A było w niej ponad osiemdziesięciu kadetów. W umiejętnościach bojowych byłam siódma. Dystynkcje kaprala w wieku dziewiętnastu lat, sierżanta w dwudziestu jeden.

– Martwa przy dwudziestu dwóch. – Zabrzmiało to ostrzej, niż chciałem.

Cruickshank wolno wciągnęła powietrze.

– Człowieku, ale masz paskudny nastrój. Tak, martwa w wieku dwudziestu dwóch. A teraz wróciłam do gry, dokładnie jak wszyscy inni wokół. Jestem dużą dziewczynką, Kovacs, więc może podaruj sobie na chwilę te bzdury w stylu starszego brata.

Uniosłem brwi, w gruncie rzeczy zaskoczony uświadamiając sobie, że ma rację.

– Jak sobie życzysz, duża dziewczynko.

– Tak, widziałam, jak się gapisz. – Mocno zaciągnęła się cygarem i wydmuchała dym w stronę plaży. – Więc co powiesz, staruszk? Weźmiemy się za to, zanim opad całkiem nas powali?

Przez myśli przeleciały mi wspomnienia innej plaży, z palmami jak karki dinozaurów nachylającymi się nad białym piaskiem i Tanyą Wardani poruszającą się na moich biodrach.

– Nie wiem, Cruickshank. Nie jestem przekonany, czy to odpowiedni czas i miejsce.

– Brama się na ciebie rzuciła, co?

– Nie to miałem na myśli.

Machnęła ręką.

– Wszystko jedno. Myślisz, że Wardani potrafi to otworzyć?

– Cóż, ze wszystkich doniesień wynika, że raz już to zrobiła.

– Tak, ale ona teraz wygląda jak trup.

– No cóż, przypuszczam, że to efekty obozu dla internowanych, Cruickshank. Powinnaś kiedyś tego spróbować.

– Odwal się, Kovacs. – Mówiła z wystudiowanym znudzeniem, które obudziło we mnie przyływ gniewu. – My nie pracujemy w obozach, stary. To rządowa działka. Wyłącznie ich pomysł.

Dałem się porwać złości.

– Cruickshank, o niczym nie masz zielonego pojęcia.

Zamrugnęła, straciła rezon, ale po chwili odzyskała równowagę. Przez twarde chłód opanowania wydmuchała tylko małe smuzki bólu.

– Cóż, *wiem*, co mówią o Klinie Carrery. Słyszałam, że przeprowadzają rytualne egzekucje więźniów. *Wszystkie* źródła twierdzą, że to bardzo wredne. Więc może zanim zaczniesz rzucać się na mnie całym ciężarem, upewnij się, że jesteś przyczepiony do linki, co?

Odwróciła się z powrotem w stronę wody. Przez chwilę przyglądałem się jej profilowi, usiłując zrozumieć, czemu tracę kontrolę, choć wcale mi się to nie podoba. Potem oparłem się na relingu obok niej.

– Przepraszam.

– Daruj sobie. – Ale mówiąc to, drgnęła, odsuwając się ode mnie wzdłuż barierki.

– Nie, naprawdę jest mi przykro. To miejsce mnie zabija.

Wbrew sobie, uśmiechnęła się lekko.

– Mówię poważnie. Ginałem już wcześniej więcej razy, niż mogłabyś uwierzyć – potrząsnąłem głową. – Tylko że nigdy jeszcze nie trwało to tak długo.

– Jasne. A poza tym, zwieszasz jęzor za panią archeolog, prawda?

– Czy to aż tak oczywiste?

– Teraz już tak. – Obejrzała cygaro, pstryknięciem pozbyła się żarzącego się końca i schowała resztę do kieszeni na piersiach. – Nie mam do ciebie pretensji. Jest inteligentna i ma głowę przepelnioną rzeczami, które dla reszty stanowią tylko bajki i matematykę. Naprawdę mistyczna laska. Rozumiem, co cię może ciągnąć.

Rozejrzała się wokół.

– Zaskoczyłam cię, co?

– Trochę.

– No cóż. Może i jestem mięsem armatnim, ale potrafię poznać Raz na Całe Życie, kiedy to zobaczę. Brama, którą tu mamy, będzie musiała zmienić sposób, w jaki patrzymy na świat. Czuje się to, kiedy się na to patrzy. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak, wiem.

– Właśnie. – Machnęła ręką w stronę plaży błyszczącej bladym turkusem nad czarną wodą. – Wiem to. Cokolwiek innego będziemy potem robić, spojrzenie przez tę bramę będzie czymś, co zmieni nas na resztę życia.

Spojrzała na mnie.

– Dziwne uczucie, wiesz? W końcu niedawno zginęłam. A teraz wróciłam i muszę się z tym zmierzyć. Nawet nie wiem, czy powinnam się bać. Ale się nie boję. Człowieku, nie mogę się tego

doczekać. Chciałabym już zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

W przestrzeni między nami zaczęło narastać coś ciepłego. Coś, co żywiło się jej słowami, wyrazem twarzy i głębszym poczuciem czasu pędzącego wokół nas jak z wodospadu.

Jeszcze raz się uśmiechnęła, po czym się odwróciła.

– Zobaczymy się tam, Kovacs – powiedziała cicho.

Przyglądałem się, jak nie obejrzawszy się ani razu, idzie przez całą długość łodzi i znów przyłącza do zabawy.

*Nieźle ci poszło, Kovacs. Nie mogłeś być bardziej gruboskórny?*

*Okoliczność łagodząca. Ja umieram.*

*Wszyscy umieracie, Kovacs. Wszyscy.*

Trawler poruszył się na wodzie i usłyszałem trzeszczenie sieci na wyciągarce. Mój umysł wrócił do wspomnień połowu, który wyciągnęliśmy na pokład. Śmierć zwisająca w splotach, jak gejsza z Newpest w hamaku. Na tle tego obrazu mała grupka zebrana na drugim końcu pokładu wydała się nagle krucha i zagrożona.

Prochy.

Ta stara śpiewka o zmienionym znaczeniu, przy zbyt dużej ilości prochów krążących w ciele. Och, i znów te cholerne wilcze geny. Nie zapomnij o nich. Lojalność grupowa, właśnie kiedy najmniej ci jest potrzebna.

*Nie szkodzi, dostanę ich wszystkich. Zaczyna się nowy zbiór.*

*Zaniknąłem oczy. Sieci szepczą, ocierając się o siebie.*

*Byłem zajęty na ulicach Sauberville, ale...*

*Spadaj.*

Wyrzuciłem cygaro za burtę, odwróciłem się i szybkim krokiem poszedłem do głównej zejściówki.

– Ahoj, Kovacs? – To Schneider, ze szklanym wzrokiem znad fajki wodnej. – Gdzie idziesz, stary?

– Zew natury – rzuciłem przez ramię i zszedłem na dół w półmetrowych skokach, podpierając dłonie na poręczach. Na dole niemal wpadłem na otwarte w mroku drzwi do kabiny, ale uniknąłem ich dzięki nagłej interwencji neurochemu, i wskoczyłem w wąską przestrzeń za nimi.

Płytki z iluminium ze źle dopasowanymi pokrywami wierzchnimi rzucały pod ostrym kątem wzdłuż jednej ze ścian wąskie linie blasku. Akurat dość, by *dostrzec szczegóły* wzrokiem bez wspomagania. Skrzyniowe łóżko, wystające z podłogi i stanowiące część struktury statku. Po drugiej stronie półki. Biurko i stacja robocza we wnęce na drugim końcu. Nie mając ku temu żadnego konkretnego powodu, zrobiłem trzy kroki, by dojść do wnęki, i spuszcżając głowę, nachyliłem się nad poziomym panelem biurka. Obudziła się do życia spirala wyświetlacza danych, zalewając moje rysy niebieskim i purpurowym blaskiem. Zamknąłem oczy i pozwoliłem światłu przeciekać przez ciemność. Cokolwiek było w zwoju, rozprostowywało swoje węzowe sploty wewnątrz mnie.

*Widzisz, wilku Wedge? Czy widzisz, jak zaczyna się zbiór?*

*Wynoś się w diabły z mojej głowy, Semetaire.*

*Mylisz się. Nie jestem szarlatanem, a Semetaire to tylko jedno z setki imion...*

*Kimkolwiek jesteś, prosisz się o pocisk przeciwpiechotny prosto w twarz.*

*Ale to ty mnie tu sprowadziłeś.*

*Nie wydaje mi się.*

Zobaczyłem czaszkę, zwisającą w sieciach. Sardoniczne rozbawienie w szerniałych, wyjedzonych ustach.

*Byłem zajęty na ulicach Sauberville, ale już tam skończyłem. A teraz czeka mnie praca tutaj. I tu się mylisz. Jeśli będę cię chciał, sam cię znajdę.*

*Kovacs-vacs-vacs-vacs-vacs...*

Zamrugałem. Wyświetlacz wypuścił falę światła wprost w moje otwarte oczy. Za mną ktoś się poruszył.

Wyprostowałem się i wpatrzyłem w ścianę nad biurkiem. Matowy metal odbijał błękit z wyświetlacza. Światło rozpraszało się na tysiącu drobnych wgniecień i szczerb.

Ktoś za mną się przesunął...

Wciągnąłem powietrze.

Bliżej.

Zawirowałem morderczo.

– Cholera, Kovacs, chcesz mnie przyprawić o atak serca?

Cruickshank stała zaledwie o krok, z rękami na biodrach. Blask wyświetlacza danych ujawnił niepewny uśmiech na jej twarzy i rozpiętą koszulę pod kameleonochromową kurtką.

Głośno wypuściłem powietrze z płuc. Buzująca adrenalina opadła.

– Cruickshank, co ty, u diabła, tu robisz?

– A ty Kovacs, co, u diabła, tu robisz? Powiedziałeś, że to zew natury. Co chcesz zrobić, nasikać na dane z holowyświetlacza?

– Po co mnie śledziłaś? – wysyczałem. – Zamierzasz mi go potrzymać?

– Nie wiem. Lubisz w taki sposób, Kovacs? Ty jako cyfrowy człowiek? To cię kręci?

Przymknąłem na chwilę powieki. Semetaire zniknął, ale to dziwne uczucie w moich piersiach wciąż skręcało się leniwie. Znów otworzyłem oczy, a ona wciąż tam była.

– Skoro tak mówisz, Cruickshank, lepiej, żebyś nie strzepiła języka.

Uśmiechnęła się szeroko. Pozornie przypadkowym ruchem przesunęła rękę do rozpięcia w koszuli i zahaczywszy kciukiem, rozsunęła materiał, odsłaniając pierś. Spojrzała w dół na niedawno pozyskane ciało, jakby nim zafascynowana. Potem uniosła palce, pocierając sutek i drażniąc go lekko, aż zeszywniał.

– Czy ja wyglądam, jakbym miała tylko gadać, Emisariuszu? – zapytała leniwie.

Podniosła na mnie wzrok i ruszyło. Zwarliśmy się, a jej udo wsunęło się między moje, ciepłe i twarde przez miękki materiał kombinezonu. Odepchnąłem jej dłoń od piersi i zastąpiłem ją własną. Oboje patrzyliśmy na odsłonięty sutek ściśnięty między nami i to, co robiły z nim moje palce. Słyszałem, jak jej oddech zaczyna świszczec. Rozpięła mi pasek i wsunęła rękę do środka. Otoczyła palcami koniec mojego penisa i zaczęła pocierać go kciukiem o wnętrze dłoni.

Opadliśmy w bok na łóżko w splocie ubrań i kończyn. Z koi uniósł się otaczając nas prawie widzialny kłęb soli i stęchlizny. Cruickshank wyrzuciła w górę jedną z nóg i kopnięciem zatrzasnęła drzwi kabiny. Zamknęły się z hukiem, który pewnie rozniósł się po całym statku, również na pokładzie z imprezą. Roześmiałem się w jej włosy.

– Biedny Jan.

– Hm? – Na chwilę wypuściła mój członek.

– Myślę, *aaaach*, myślę, że to go wkurzy. Kręcił się wokół ciebie, od kiedy tylko opuściliśmy Landfall.

– Słuchaj, mam teraz takie nogi, że każdy z męskim genem heteroseksualności musi się przy mnie kręcić. Nie przypisywałabym – zaczęła przesuwając palce w kilkusekundowych odstępach – temu... żadnego... znaczenia.

Wciągnąłem powietrze.

– Dobra, nie będę.

– Dobrze. Zresztą – opuściła jedną z piersi na żołądź mojego penisa i zaczęła pocierać, zataczając wolno kręgi wokół sutka – przypuszczam, że ma pełne ręce roboty przy pani archeolog.

– Co?

Spróbowałem usiąść. Cruickshank nieobecny gestem pchnęła mnie z powrotem, większość uwagi wciąż poświęcając pocieraniu piersi.

– O nie, zostaniesz tutaj, aż z tobą skończę. Nie zamierzałam ci tego mówić, ale – wskazała na to, czym się zajmowała. – Cóż, myślę, że jakoś sobie z tym poradzisz. Już kilka razy widziałam tę dwójkę wymykającą się razem. A Schneider zawsze potem wraca z tak cholernie zadowoloną gębą, że pomyślałam sobie, sam wiesz. – Wzruszyła ramionami. – W końcu on... nie jest... tak paskudnym... facetem... jak na... białasa. A Wardani. Cóż, ona pewnie... weźmie cokolwiek... może złapać. Podobają ci się, Kovacs?

Jęknąłem.

– Tak myślałam. Wy, faceci – potrząsnęła głową. – Standardowe sztuczki z konstruktów porno. Nigdy nie zawodzi.

– Chodź no tu, Cruickshank.

– E-e. Nie ma mowy. Później. Chcę widzieć twoją twarz, kiedy będziesz chciał dojść, a ja ci nie pozwolę.

Pracowała, mając przeciw sobie alkohol i fajkę, nieuchronnie narastające zatrucie promieniowaniem, kręcącego się po dnie mojego umysłu Semetaira i teraz jeszcze myśli o Tanyi Wardani w objęciach Schneidera – a mimo wszystko doprowadziła mnie tam w niecałe dziesięć minut, używając kombinacji twardych uderzeń i miękkich przesunięć piersią. A kiedy się jej udało, cofnęła mnie z tej krawędzi trzy razy, wydając z głębi gardła zadowolone, podniecone odgłosy, zanim w końcu masturbując mnie ostro i brutalnie, wywołała szczytowanie, które spryskało nas oboje nasieniem.

Rozładowanie przypominało wyjęcie korka z mojej głowy.

Wardani, Schneider, Semetaire i nawet czekająca nas śmierć, wszystko odpłynęło razem z nim, wyrzucone z czaszki przez oczy siłą orgazmu. Poczulem się całkowicie bezwładny na wąskiej pryczy, a kabina odleciała w odległe rejony bez znaczenia.

Kiedy znów coś poczułem, był to gładki dotyk ud Cruickshank, przesuwaną się w górę i siadającą na mojej klatce piersiowej.

– Dobra, Emisariuszu – powiedziała, sięgając rękami do mojej głowy. – Przekonajmy się, czy potrafisz się za to odwdzięczyć.

Jej palce splotły się za moją głowę i przycisnęła mnie do obiecujących fałd jej ciała jak karmiąca matka, lekko się kołysząc. Była gorąca i wilgotna, a soki, które z niej wyciekły, smakowały gorzkimi przyprawami. Pachniała lekko płonącym drewnem, a dźwięk wydobywający się z głębi jej gardła przypominał jęk przesuwającego się po desce ostrza piły. Czułem, jak w miarę zbliżania się do szczytu rośnie napięcie w długich mięśniach jej ud. Pod koniec podniosła się lekko z miejsca zajmowanego na mojej piersi i zaczęła poruszać słabo miednicą w przód i w tył, w ślepym naśladownictwie spółkowania. Klatka z palców trzymających moją głowę między jej udami wykonywała lekkie ściskające ruchy, jakby ześlizgiwała się z ostatniego uchwytu nad przepaścią. Dźwięk w jej gardle przekształcił się w coraz intensywniejsze dyszenie, przechodząc w końcu w ochryply krzyk.

*Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, wilku Wedge.*

Cruickshank podniosła się na pośladkach, zaciskając sztywno mięśnie, i wykrzyzczała swój

orgazm w wilgotną atmosferę kabiny.

*Nie tak łatwo.*

Zadygotała i opadła z powrotem, wyciskając ze mnie powietrze. Rozluźniła palce i moja głowa opadła na lepkie prześcieradło.

*Jestem zamknięty w środku i...*

– A teraz – powiedziała, sięgając wzdłuż mojego ciała. – Zobaczmy, co my tu... Och.

Nie sposób było nie zauważyć zaskoczenia w jej głosie, ale dobrze ukryła towarzyszące mu rozczarowanie. Byłem tylko częściowo sztywny w jej dłoni; zawodny członek odpompował krew z powrotem do mięśni, ponieważ moje ciało sądziło, że będzie ich potrzebować do walki lub ucieczki przed tym czymś w mojej głowie.

*Tak. Czy widzisz, jak zaczyna się nowy zbiór. Możesz uciekać, ale...*

*Wynoś się, DO CHOLERY, z mojej głowy.*

Dźwignąłem się na łokciach, czując, jak blokada opada na moją twarz, obejmując ją szczelną maską. Ogień, który rozpaliliśmy w kabinie, wygasał. Spróbowałem się uśmiechnąć, ale poczułem, jak Semetaire mi to uniemożliwia.

– Przepraszam za to. Chyba... To umieranie dobiera się do mnie szybciej, niż myślałem.

Wzruszyła ramionami.

– Hej, Kovacs. Słowa „tylko fizycznie” nigdy nie były bardziej prawdziwe niż tu i teraz. Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów.

Zamrugalem.

– O cholera, przepraszam. – Na jej twarzy pojawił się ten sam strapiony wyraz, który widziałem już w trakcie wywiadu w konstrukcie. Na powłoce Maori wyglądał jeszcze zabawniej.

Zachichotałem, kurczowo chwytając się zaoferowanej szansy śmiechu. Chwyciłem ją i uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

– Aaach – stwierdziła, czując zmianę. – Może jednak chcesz spróbować? Nie trzeba wiele, jestem w środku cała mokra.

Przesunęła się do tyłu i wygięła nade mną. W słabym świetle z kłębka danych dość desperacko skupiłem wzrok na miejscu, gdzie schodziły się jej uda, a ona wprowadziła mnie w siebie ze swobodą kogoś ładującego pocisk do komory.

Ogień i napięcie oraz długie, wygięte ciało ujeżdżającej mnie kobiety były tym, co utrzymywało mnie na powierzchni, ale i tak nie można było tego nazwać wyjątkowym seksem. Kilka razy się wysunąłem, a moje problemy stały się i jej problemami, gdy oczywisty brak zaangażowania przyhamował jej podniecenie do niewiele więcej niż metodycznego, technicznego doświadczania i determinacji do osiągnięcia celu.

*Czy widzisz, jak...*

Zdławiłem głos w tyle mojej głowy i przywołałem determinację, by dorównać kobiecie, z którą byłem połączony. Przez chwilę wymagało to skupienia, uwagi na gesty i kontrolowanych uśmiechów. Potem wsunąłem kciuk w jej usta, pozwalając jej go nawilżyć, i odnalazłem jej łechtaczkę. Chwyciła moją drugą dłoń i przycisnęła do swojej piersi, a niedługo potem osiągnęła orgazm.

Ja nie, ale po radosnym, zlanym potem pocałunku, który wymieniliśmy po tym, jak doszła, nie wydawało się to mieć większego znaczenia.

Nie był to cudowny seks, ale na chwilę zatrzasnął drzwi przed Semetairem. A później, kiedy Cruickshank wciągnęła na siebie z powrotem ubranie i wróciliśmy na pokład, witani gratulacjami i brawami od reszty imprezy, zostałem w mroku, czekając na niego, lecz on nie zdecydował się pokazać.

Było to najbliższe zwycięstwu doświadczenie, jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się cieszyć na Sanction IV.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Świadomość rąbnęła mnie w głowę jak pazurzasta łapa wojownika z areny.

Zadrzałem od impetu i przetoczyłem się na łóżku, próbując wczłgać się z powrotem w sen, ale ruch przywołał narastającą falę mdłości. Wysiłkiem woli powstrzymałem torsje i mrugając, podniosłem się na łokciu. Światło dnia zaczynało przewiercać niewyraźną dziurę w mroku nad moją głową z okienka, którego nie zauważyłem poprzedniej nocy. Na drugim końcu kabiny kłębek danych wił swą niekończącą się spiralę z rzutnika na biurku do zwiniętego w lewym górnym rogu obszaru roboczego danych systemowych. Przez bulaj za mną docierały do mnie jakieś głosy.

*Sprawdź, czy jesteś gotowy do działania.* Usłyszałem napomnienia Virginii Viadury z kursów szkoleniowych Emisariuszy. *Nie obchodzi was rana, liczą się uszkodzenia. Ból możecie albo wykorzystać, albo wyłączyć. Rany mają znaczenie tylko, jeśli powodują upośledzenie strukturalne. Nie martwcie się krwią; nie jest wasza. Włożyliście na siebie to ciało kilka dni temu i wkrótce je zdejmiecie, jeśli tylko nie dacie się najpierw zabić. Nie przejmujcie się ranami. Sprawdźcie, czy jesteście gotowi do działania.*

Czułem się tak, jakby ktoś rozdzierał mi głowę od środka. Zalewały mnie fale potu. Dno żołądka wspięło się wysoko i mościło się gdzieś na tyłach przełyku. Płuca bolały mnie w dziwny, przymglony sposób. Czułem się, jakbym został postrzelony ogłuszaczem, który nosiłem w kieszeni, i to bynajmniej nie słabą wiązką.

*Gotowość do działania!*

*Dzięki, Virginia.*

Trudno powiedzieć, ile z tego wynikało z kaca, a ile z powolnego umierania. Żadna różnica. Ostrożnie usiadłem na krawędzi półki i zauważyłem wreszcie, że usnąłem w ubraniu. Przeszukałem kieszenie i wygrzebałem połowy pistolet medyczny oraz kapsułki antyradiacyjne. Zważyłem w dłoni przejrzyste plastikowe kapsułki i pomyślałem nad tym. Szok iniekcji najprawdopodobniej wywoła we mnie wymioty.

Głębsza penetracja kieszeni pozwoliła mi w końcu wyłowić pakiet wojskowych środków przeciwbólowych. Oderwałem jedną pastylkę, przytrzymałem między palcem wskazującym i kciukiem i chwilę się jej przyglądałem. Kontrolę przejęły uwarunkowane odruchy, więc sprawdziłem lufę pistoletu medycznego, oczyściłem komorę i załadowałem do niej dwie kapsułki wypełnione kryształkami. Zasuwałem pokrywę, a pistolet zaczął wydawać z siebie jęki, narastający dźwięk w wysokiej tonacji w miarę, jak ładował się generator pola magnetycznego.

Zakłuło mnie w głowie. Potworna kombinacja odczucia twardości pod czymś miękkim, która z jakiegoś powodu spowodowała, że zacząłem myśleć o danych systemowych unoszących się w rogu splotu na drugim końcu pokoju.

Światelko ładowania pistoletu zamrugało do mnie gotowością. Wewnątrz komory, w kapsułkach, czekały przygotowane dla wojska kryształowe okruchy, z ostrymi krawędziami wycelowanymi wzdłuż lufy jak miliony zatrutych sztyletów. Przyłożyłem wylot lufy do zgięcia łokcia i przycisnąłem spust.

Ulga była natychmiastowa. Łagodny, czerwony powiew przez głowę, wymiatający ból w różowych i szarych smugach. Jakość Klina. Wyłącznie najlepsza dla wilków Carrery. Uśmiechnąłem się do siebie, nawalony endorfinami, i sięgnąłem po kapsułki przeciwradiacyjne.

*Teraz czuję się gotowy do działania, Virginia.*

Wyrzuciłem zużyte kapsułki środków przeciwbólowych. Załadowałem przeciwradiacyjne, zamknąłem pokrywę.



*Spójrz na siebie, Kovacs. Umierający, rozpadający się zestaw komórek, zszytych do kupy chemiczną nicią.*

To nie brzmiało jak Virginia Viadura, więc mógł to być Semetaire, wkradający się z powrotem z wczorajszej ucieczki. Odsunąłem obserwację w głąb umysłu i skupiłem się na działaniu.

*Włożyliście na siebie to ciało kilka dni temu i wkrótce je zdejmiecie...*

*Tak, tak.*

Przeczekać wznoszący się pisk. Poczekać na mrugnięcie czerwonego oczka.

Strzał.

*Gotowy do działania.*

\* \* \*

Uporządkowawszy jako tako ubranie, udałem się za szmerem rozmów do kambuza. Zebrali się tam wszyscy biorący udział w imprezie, z zauważalnym wyjątkiem Schneidera. Jedli śniadanie. Moje pojawienie się wywołało krótki aplauz. Cruickshank uśmiechnęła się szeroko, szturchnęła mnie biodrem i podała mi kubek kawy. Sądząc po wyglądzie jej źrenic, nie tylko ja byłem pod wpływem wojskowych medykamentów.

– O której się zebraliście? – zapytałem siadając.

Ole Hansen sprawdził zegar siatkówkowy.

– Jakaś godzinę temu. Luc zaferował, że coś ugotuje, więc poleciałem do obozu po rzeczy.

– Co ze Schneiderem?

Hansen wzruszył ramionami i wsadził widelcem jedzenie do ust.

– Poleciał ze mną, ale został. Czemu?

– Tak pytam.

– Masz. – Luc Deprez podsunął w moją stronę talerz z omletem. – Zatankuj.

Zjadłem kilka porcji, ale jakoś nie potrafiłem wykrzesać z siebie entuzjazmu. Nie czułem konkretnego bólu, ale miałem wrażenie niestabilności wynikającej z otępienia, o którym dobrze wiedziałem, że ma korzenie na poziomie komórkowym. Już od paru dni nie miałem apetytu i coraz trudniej było mi utrzymać w sobie jedzenie po śniadaniu. Pociąłem omlet i przesuwalem kawałki po talerzu, ale w końcu większość na nim zostawiłem.

Deprez udawał, że nie widzi, ale chyba sprawiłem mu przykrość.

– Ktoś zwrócił uwagę, czy nasi mali przyjaciele wciąż płoną?

– Widać dym – stwierdził Hansen. – Ale nie ma go wiele. Nie zamierzasz tego zjeść?

Potrząsnąłem głową.

– Dawaj. – Zabrał mój talerz i zgarnął zawartość na własny. – Musiałeś wczoraj w nocy naprawdę mocno przesadzić z lokalnym bimbrem.

– Umieram, Ole – powiedziałem poirytowany.

– Tak, może. Albo to fajka. Ojciec powiedział mi kiedyś, żebym nigdy nie mieszał alkoholu i dymów. To szkodzi.

Z drugiego końca stołu rozbrzmiał sygnał wywoławczy zestawu komunikacyjnego. Ktoś zostawił włączony obwód indukcyjny. Hansen prychnął i sięgnął po niego wolną ręką. Przystawił go sobie do ucha.

– Hansen. Tak. – Słuchał. – Tak jest. Pięć minut. – Znów nasłuch, tym razem na jego twarzy pojawił się wąski uśmiech. – Tak, powiem im. Dziesięć minut. Dobrze.

Rzucił zestaw z powrotem między talerze i się skrzywił.

– Sutjiadi?

– Dokładnie. Zamierza polecieć na zwiad nad nanokoloniami. – Znów się uśmiechnął. – I mówi, żebyście nie wyłączali pieprzonych komunikatorów, jeśli nie chcecie dostać cholernej dyscyplinarki.

Deprez zachichotał.

– Czy to pieprzony cytat?

– Nie, cholerna parafraza. – Hansen rzucił widelec na talerz i wstał. – Nie powiedział o dyscyplinarce, nazwał to DP9.

\* \* \*

Dowodzenie plutonem jest sztuką nawet w najlepszych warunkach. Kiedy dowodzona ekipa składa się z wysoce wyspecjalizowanych komandosów do zadań specjalnych, z których każdy zginął przynajmniej raz, musi to być koszmarem.

Sutjiadi znosił to całkiem dobrze.

Gdy wypełnialiśmy salę odpraw i siadaliśmy na krzesłach, przyglądał się nam z twarzą nie zdradzającą żadnych uczuć. Na panelach pamięciowych przy każdym z siedzeń ustawiono po paczce pigułek przeciwbólowych do łykania. Widząc leki, ktoś wyraził radość głośniejszą niż pozostali, po czym ucichł, gdy Sutjiadi spojrzał w jego stronę. Kiedy się odezwał, jego głos mógłby należeć do restauracyjnego androida polecającego wino.

– Każdy, kto jeszcze ma kaca, niech lepiej zrobi z nim coś już teraz. Jeden ze strażników zewnętrznego pierścienia został zniszczony. Nie wiadomo, w jaki sposób.

Wywołało to pożądaną reakcję. Smer rozmów natychmiast ucichł. Poczulem, jak spada poziom moich endorfin.

– Cruickshank i Hansen, weźmiecie jeden ze skuterów i polecicie to sprawdzić. Na pierwszy znak aktywności, jakiegokolwiek aktywności, zawracacie i pędzicie prosto tutaj. W innym wypadku chcę, żebyście odzyskali wszelkie pozostałości po strażniku i sprowadzili je z powrotem do analizy. Vongsavath, *Nagini* ma mieć włączone zasilanie i być gotowa do startu na mój rozkaz. Cała reszta ma się uzbroić i zostać w miejscach, gdzie można was znaleźć. I cały czas nosić komunikatory. – Odwrócił się do Tanyi Wardani, która opadła na krzesło z tyłu pokoju, zawinięta w płaszcz, osłaniając oczy okularami słonecznymi. – Madame Wardani, może pani ocenić, ile czasu trzeba jeszcze na otwarcie bramy?

– Może jutro. – W żaden sposób nie zasugerowała nawet, że patrzy na niego zza szkieł. – Jeśli będę miała szczęście.

Ktoś parsknął. Sutjiadi nie zawracał sobie głowy sprawdzeniem, kto to.

– Nie muszę pani chyba przypominać, madame Wardani, że grozi nam niebezpieczeństwo.

– Nie, nie musi pan. – Podniosła się z krzesła i oddryfowała w stronę wyjścia. – Będę w jaskini.

Zniknęła, a zebranie się rozpadło.

\* \* \*

Hansena i Cruickshank nie było mniej niż pół godziny.

– Nic – powiedział Sutjiadiemu po powrocie ekspert od wybuchów. – Żadnych resztek, śladów spalenizny ani zniszczonego sprzętu. Prawdę mówiąc – obejrzał się przez ramię w stronę miejsca, gdzie szukali – żadnych śladów wskazujących na to, że w ogóle coś takiego tam było.

Napięcie w obozie jeszcze wzrosło. Większość oddziału specjalnego, zgodnie z indywidualnymi upodobaniami, wycofała się w ponurą ciszę i na wpół obsesyjne sprawdzanie broni, z którą najlepiej sobie radzili. Hansen odpakował granaty korozyjne i studiował ich zapalniki. Cruickshank rozmontowała system artylerii polowej. Sutjadi i Vongsavath zniknęli w kokpicie *Nagini*, a po krótkim wahaniu dołączył do nich Schneider. Luc Deprez trenował z Jiangiem nad brzegiem wody, a Hand wycofał się do swojej plastobańki, prawdopodobnie wypalić jeszcze trochę kadzidła.

Resztę ranka spędziłem siedząc razem z Sun Liping na półce skalnej nad plażą, mając nadzieję, że śmieci z poprzedniej nocy znajdą sobie drogę poza mój system, zanim uczynią to środki przeciwbólowe. Niebo nad nami zapowiadało lepszą pogodę. Wczorajszą jednolitą szarość chmur przerwały rafy błękitu, sunące od zachodu. Od wschodu dym znad Sauberville odpływał wraz z wycofującą się pokrywą chmur. Luźna świadomość kaca czekającego za zasłoną endorfin nadawała całej scenie niesprawiedliwie łagodną tonację.

Dym znad nanokolonii, który rano widział Hansen, zniknął. Kiedy wspomniałem o tym Sun, tylko wzruszyła ramionami. Wyglądało na to, że nie tylko ja czuję melancholię.

– Czy cokolwiek z tego w ogóle cię martwi? – zapytałem.

– Ta sytuacja? – Wyglądało, że się nad tym zastanawia. – Wydaje mi się, że bywałam w groźniejszych.

– Oczywiście, że tak. Przecież zginęłaś.

– No cóż, tak. Ale nie to miałam na myśli. Nanosystem to powód do troski, ale nawet jeśli obawy Matthiasa Handa mają realne podstawy, nie potrafię wyobrazić sobie, żeby mogły wyewoluować w coś, co dałoby radę zestrzelić *Nagini* w locie.

Pomyślałem o pasikonikowatych automatycznych działach, o których wspominał Hand. Był to jeden z wielu szczegółów, którymi postanowił nie dzielić się z resztą grupy, kiedy wprowadzał ich w system ROSNOP.

– Twoja rodzina wie, czym zarabiasz na życie?

Sun wyglądała na zaskoczoną.

– Ależ oczywiście. Mój ojciec doradził mi wojsko. Był to dobry sposób na to, żeby ktoś opłacił moje szkolenie systemowe. Powiedział, że oni zawsze mają pieniądze. *Zdecyduj, co masz ochotę robić, a potem niech za to zapłacą.* Oczywiście, nigdy nie pomyślał o tym, że może tu dojść do wojny. Kto by pomyślał dwadzieścia lat temu?

– Właśnie.

– A twoi?

– Mój ojciec? Nie wiem, nie widziałem go, od kiedy skończyłem osiem lat. Prawie czterdzieści lat czasu subiektywnego temu. Ponad półtora stulecia w obiektywnym.

– Przykro mi.

– Nie ma za co. Kiedy odszedł, moje życie znacznie się poprawiło.

– Nie sądzisz, że byłby teraz z ciebie dumny?

Roześmiałem się.

– Och tak. Oczywiście. Mój staruszek zawsze był dużym fanem przemocy. Wykupił nawet bilet sezonowy na walki na arenie. Oczywiście, sam nie miał żadnego szkolenia, więc musiał wyżywać się na bezbronnych kobietach i dzieciach. – Odchrząknąłem. – W każdym razie, tak. Byłby dumny z tego, co zrobiłem ze swoim życiem.

Sun siedziała przez chwilę w milczeniu.

– A twoja matka?

Odwróciłem wzrok, usiłując sobie przypomnieć. Minusem pamięci absolutnej Emisariuszy jest fakt, że wszelkie wspomnienia sprzed warunkowania wydają się rozmyte i niewyraźne. Był to efekt, którego czasem bardzo mi brakowało. Teraz nie byłem pewien. Nie pamiętałem.

– Wydaje mi się, że ucieszyła się, kiedy się zaciągnąłem – powiedziałem wolno. – Kiedy przyszedłem do domu w mundurze, odprawiła dla mnie ceremonię herbaty. Zaprosiła wszystkich z sąsiedztwa. Chyba była ze mnie dumna. I pieniądze też musiały pomóc. Była nas trójka do wykarmienia, ja i dwie młodsze siostry. Po tym, jak ojciec odszedł, robiła, co mogła, ale zawsze brakowało nam pieniędzy. Kiedy ukończyłem podstawowe szkolenie, musiało to potroić nasze dochody. Na Świecie Harlana Protektorat całkiem dobrze płaci swoim żołnierzom. Musi, żeby konkurować z yakuzą i quellistami.

– A czy wie, że tutaj jesteś?

Potrząsałem głową.

– Zbyt dawno mnie tam nie było. W Emisariuszach wysyłają cię wszędzie, oprócz rodzinnej planety. Mniejsze ryzyko, że rozwinie się jakaś niewygodna empatia z ludźmi, których powinno się zabijać.

– Tak – kiwnęła głową. – Standardowy środek ostrożności. To ma sens. Ale nie jesteś już Emisariuszem. Nie wróciłeś do domu?

Uśmiechnąłem się bez rozbawienia.

– Z karierą kryminalisty? Po opuszczeniu Emisariuszy nie można właściwie robić niczego innego. A do tego czasu moja matka wyszła za mąż za innego mężczyznę, oficera rekrutacyjnego Protektoratu. Spotkanie po latach wydawało się... No cóż, niewłaściwe.

Przez chwilę Sun się nie odzywała. Patrzyła na plażę w dole, jakby na coś czekając.

– Spokojnie tu, prawda? – rzuciłem, by wypełnić ciszę.

– Na pewnym poziomie percepcji. – Skinęła głową. – Oczywiście, nie na poziomie komórkowym. Rozgrywa się tu w tej chwili walna bitwa i niestety przegrywamy.

– Masz rację, pocieszaj mnie.

Z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Przepraszam. Ale trudno myśleć o spokoju, kiedy z jednej strony ma się zamordowane miasto, a z drugiej spętana moc hiperportalu, zbliżającą się gdzieś tuż za wzgórzami armię nanoistot i powietrze wypełnione śmiertelną dawką promieniowania.

– No cóż, skoro tak to ujmujesz...

Uśmiech powrócił.

– To moje szkolenie, Kovacs. Spędzam czas, komunikując się z maszynami na poziomach, których nie potrafią odbierać moje normalne zmysły. Kiedy zarabiasz tym na życie, zaczynasz wszędzie widzieć burzę pod spokojem. Spójrz tam. Widzisz ocean bez przyływów i promienie słońca padające na spokojną wodę. Tak, to spokojny obrazek. Ale pod powierzchnią wody miliony istot zaangażowane są w nieustanne zmagania na śmierć i życie, których celem jest zdobycie pokarmu. Zobacz, zniknęła już większość ciał mew. – Skrzywiła się. – Przypomnij mi, żebym nie wybierała się pływać. Nawet promienie słońca to ciągły ostrzał cząsteczkami subatomowymi, rozwalającymi na części wszystko, co nie wyewoluowało odpowiednich zabezpieczeń, które oczywiście mają wszystkie stworzenia żyjące wokół nas, ponieważ ich odlegli przodkowie ginęli milionami, żeby garstka ocalałych mogła rozwinąć konieczne mutacje.

– Wszelki spokój jest iluzją, co? Brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć mnich pustelnik.

– Nie jest iluzją, ale jest względny. Cały spokój, jaki widzimy, został opłacony w którymś momencie przez jego przeciwieństwo.

– I to właśnie trzyma cię w wojsku, prawda?

– W wojsku trzyma mnie kontrakt. Muszę odsłużyć jeszcze minimum dziesięć lat. A jeśli mam być szczerą – wzruszyła ramionami – prawdopodobnie potem też zostanę. Do tego czasu wojna się skończy.

– Zawsze toczy się jakaś wojna.

– Nie na Sanction IV. Kiedy już zmiażdżą Kempa, wszystko zablokują. Od tego czasu będzie można podejmować wyłącznie akcje policyjne. Nigdy już nie pozwolą, żeby sytuacja aż tak wymknęła się z rąk.

Pomyślałem, jak Hand cieszył się ze swobody, jaką po cichu zyskała obecnie Mandrake, i jakoś wątpiłem w taki przebieg wydarzeń.

Na głos powiedziałem:

– Akcja policyjna może zabić człowieka równie definitywnie jak wojna.

– Byłam martwa. I popatrz na mnie. Nie jest tak źle.

– Dobra, Sun. – Poczulem, jak przewalała się przeze mnie nowa fala znużenia, wywracając żołądek i kłując w oczy. – Poddaję się. Jesteś strasznie twardym sukinsynem. Powinnaś sprzedać te gadki Cruickshank. Jadłaby ci z ręki.

– Nie wydaje mi się, żeby Yvette Cruickshank potrzebowała jakiejś zachęty. Jest dostatecznie młoda, by cieszyć się tym bez podtekstów.

– Tak, prawdopodobnie masz rację.

– A jeśli sprawiłam na tobie wrażenie *twardego sukinsyna*, przykro mi. Nie tego chciałam. Ale jestem profesjonalnym żołnierzem i głupio byłoby chować w sobie urazy. To był wybór. Nie zostałam powołana.

– No cóż, w dzisiejszych czasach to... – straciłem wątek, widząc, jak Schneider wyskakuje z przedniego włazu *Nagini* i pędzi w górę plaży. – Gdzie on idzie?

Pod nami, pod kątem w stosunku do półki, na której siedzieliśmy, wyłoniła się Tanya Wardani. Szła z grubsza w stronę morza, ale w sposobie, w jaki się poruszała, było coś dziwnego. Jej płaszcz z jednej strony połyskiwał błękitnymi plamami, które wyglądały dziwnie znajomo.

Zerwałem się na nogi i uaktywniłem neurochemię.

Sun położyła rękę na moim ramieniu.

– Czy ona...

To był piasek. Plamy wilgotnego, turkusowego piasku z wnętrza jaskini. Piasek musiał się przylepić, kiedy...

Upadła.

Nie był to wdzięczny upadek. Jej noga zawiodła w chwili, gdy ją stawiała, więc praktycznie obróciła się wokół uginającej się kończyny. Już byłem w ruchu, zeskakując z półki w serii wyznaczonych przez neurochem podparć dla stóp, z których każde nadawało się wyłącznie na chwilowe przyhamowanie i odbicie, zanim mógłbym spaść. Wylądowałem na piasku mniej więcej w tej samej chwili, gdy Wardani zakończyła upadek, na kilka sekund przed Schneiderem.

– Widziałem, jak się wywraca po wyjściu z jaskini – wydyszał, kiedy do mnie dobiegł.

– Weźmy ją...

– Nic mi nie jest. – Wardani obróciła się i straciła moją rękę. Podniosła się na łokciu i przeniosła wzrok ze mnie na Schneidera i z powrotem. Nagle dotarło do mnie, jak bardzo zmizerniała. – Nic mi nie jest. Dzięki.

– W takim razie, co się dzieje? – zapytałem cicho.

– Co się dzieje e? – Zakaszłała i splunęła na piasek flegmą z grudkami krwi. – Umieram,

podobnie jak wszyscy inni w okolicy.

– Może lepiej będzie, jeśli nie wrócisz już dzisiaj do pracy – z wahaniem zaproponował Schneider. – Może powinnaś odpocząć.

Rzuciła mu zagadkowe spojrzenie, potem skoncentrowała się na tym, by wstać.

– Aha. – Podciągnęła się na nogi i wyszczerzyła zęby. – Zapomniałam wam powiedzieć. Otworzyłam bramę. Złamałam ją.

Zauważyłem krew w jej uśmiechu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Niczego nie widzę – stwierdził Sutjiadi.

Wardani westchnęła i podeszła do jednej z konsoli. Uaktywniła sekwencję paneli ekranowych i jeden z teleskopowych, filigranowych ekranów opadł w dół, aż znalazł się pomiędzy nami a pozornie nieprzeniknionym szczytem marsjańskiej techniki zajmującym środek jaskini. Kolejny przełączony ekran i lampy ustawione w rogach jaskini rozjarzyły się niebieskim światłem.

– Proszę.

Przez płaszczyznę ekranu wszystko skąpane była w chłodnym, fioletowym świetle. W zmienionym zestawie kolorów górne rogi bramy migotały przesuwanymi się po nich świetlnymi plamami, rozcinającymi otaczający je blask jak wirujące symbole skażenia biologicznego.

– Co to jest? – zapytała stojąca za mną Cruickshank.

– To odliczanie – wyjaśnił Schneider z wyraźnym spokojem. Już to widział. – Prawda, Tanya?

Wardani uśmiechnęła się słabo i oparła o konsolę.

– Jesteśmy głęboko przekonani, że Marsjanie widzieli dalej w zakresie niebieskiego światła niż my. Sporo ich notacji wizualnej odnosi się do pasm w zakresie ultrafioletowym. – Odchrząknęła. – Oni widzieliby to bez żadnej pomocy. A przekaz tego mniej więcej odpowiada poleceniu: odsunąć się.

Przyglądałem się, zafascynowany. Każda plama zdawała się rozpalać na szczycie kolumny, po czym odrywała się i szybko opadała wzdłuż krawędzi do podstawy. Co jakiś czas w trakcie spływania w dół światła wyrzucały część siebie w zwoje wypełniające szczeliny między krawędziami. Trudno było mieć pewność, ale jeśli przyglądało się trajektorii tych wybuchów, odnosiło się wrażenie, że podróżują głęboko w zawiłą geometrię każdej ze szczelin, na odległość dłuższą niż miałyby prawo w trójwymiarowej przestrzeni.

– Część z tego później schodzi do światła widzialnego – odezwała się Wardani. – Częstotliwość spada w miarę zbliżania się do aktywacji. Nie jestem pewna dlaczego.

Sutjiadi odwrócił się w bok. W rzucanych przez filigranowy ekran plamach sztucznego światła jego twarz wyglądała na spiętą.

– Jak długo? – zapytał.

Wardani podniosła rękę i wskazała wzdłuż konsoli na zmieniające się cyfry wyświetlacza odliczającego czas.

– Około sześciu standardowych godzin. Teraz już trochę mniej.

– Na miłość Samedi, to jest piękne – wyszeptała Cruickshank. Stała obok mnie i zafascynowana wpatrywała się w kolumnę i to co, się z nią działo. Przesuwające się po jej twarzy światło zdawało się zmywać z niej wszystkie emocje poza zdumieniem.

– Lepiej przynieśmy tutaj tę boję, kapitanie. – Hand wpatrywał się w wybuchy blasku z wyrazem twarzy, którego nie widziałem od czasu, gdy zaskoczyłem go w trakcie modlitw. – I wyrzutnię startową. Będziemy musieli ją wystrzelić.

Sutjiadi odwrócił się plecami do bramy.

– Cruickshank. Cruickshank!

– Sir. – Zamrugwała i spojrzała na niego, ale jej oczy ciągnęło z powrotem do ekranu.

– Wracaj do *Nagini* i pomóż Hansenowi przygotować boję do odpalenia. I powiedz Vongsavath, żeby przygotowała start i plan lotu na dzisiaj wieczór. Niech zobaczy, czy może się przebić przez zagłuszanie i nadawać do Klina w Masson. Niech im powie, że wylatujemy. – Spojrzał na mnie. – Nie chciałbym na tym etapie zostać zestrzelony przez własnych sojuszników.

Zerknąłem na Handa, ciekaw, jak sobie z tym poradzi.

Nie miałem powodów do obaw.

– Na razie jeszcze żadnych transmisji, kapitanie. – Głos dyrektora był doskonale spokojny. Można by przysiąc, że całkowicie pochłonoło go odliczanie bramy, ale pod swobodnym tonem kryła się nieomylna siła wydanego rozkazu. – Utrzymajmy to na razie w tajemnicy do czasu, aż naprawdę będziemy gotowi wracać do domu. Niech Vongsavath wyliczy tylko trajektorię.

Sutjiadi nie był głupi. Usłyszał stalowe tony ukryte w głosie Handa i rzucił mi kolejne, tym razem pytające spojrzenie.

Wzruszyłem ramionami i dorzuciłem wagę swojego poparcia do decyzji Handa. W końcu od czego są Emisariusze?

– Sutjiadi, spójrz na to z tej strony. Gdyby wiedzieli, że jesteś na pokładzie, prawdopodobnie i tak by nas zestrzelili, tylko po to, żeby się dostać do ciebie.

– Klin Carrery – powiedział sztywno Hand – nie robi nic takiego, ponieważ wiąże go kontrakt z Kartelem.

– Nie masz na myśli rządu? – zadrwił Schneider. – Wydawało mi się, że ta wojna to sprawa wewnętrzna, Hand. Hand rzucił mu znużone spojrzenie.

– Vongsavath. – Sutjiadi przełączył swój mikrofon na kanał ogólny. – Jesteś tam?

– Na miejscu.

– A reszta?

W słuchawce indukcyjnej przy uchu rozbrzmiały mi jeszcze cztery głosy. Hansen i Jiang napięci w gotowości, Deprez lakoniczny, a Sun obojętna.

– Otwieramy za sześć, może siedem godzin.

W słuchawce wybuchły radosne pohukiwania.

– Spróbuj zdobyć trochę danych na temat tego, jak wygląda ruch suborbitalny na trajektorii, ale zachowaj ciszę radiową do startu. Czy to jasne?

– Cichy lot – odpowiedziała Vongsavath. – Zrozumiałam.

– Dobrze. – Sutjiadi kiwnął głową w stronę Cruickshank, a ta wybiegła z jaskini. – Hansen, idź do ciebie Cruickshank, żeby pomóc w przygotowaniu boi roszczeniowej. To wszystko. Reszta zostać w gotowości. – Rozluźnił się trochę i odwrócił w stronę pani archeolog. – Madame Wardani, źle pani wygląda. Czy pani obecność tutaj jest konieczna?

– Ja... – Wardani zachwiała się nad konsolą. – Nie, skończyłam. Do czasu aż będziecie chcieli zamknąć to z powrotem.

– Och, to nie będzie konieczne – zawołał Hand ze swojego miejsca obok bramy, patrząc na nią wzrokiem posiadacza. – Po umieszczeniu boi możemy poinformować Kartel i sprowadzić pełen zespół. Przy wsparciu Klina, wydaje mi się, że będziemy mogli ogłosić ten rejon strefą wyłączoną z walk – uśmiechnął się – i to dość szybko.

– Spróbuj powiedzieć to Kempowi – rzucił Schneider.

– Och, zrobimy to.

– W każdym razie, madame Wardani – ton Sutjiadiego zdradzał zniecierpliwienie – sugerowałbym, żeby pani również wróciła do *Nagini*. Proszę poprosić Cruickshank, żeby uaktywniła swój program lekarza polowego i dobrze się pani przyjrzała.

– No cóż, dziękuję.

– Najmocniej przepraszam.

Wardani potrząsnęła głową i wyprostowała się.

– Wydawało mi się, że któreś z nas powinno to powiedzieć.



Wyszła, nie oglądając się za siebie. Schneider popatrzył na mnie i po chwili wahania podążył w jej ślady.

– Masz podejście do cywili, Sutjiadi. Ktoś ci to już kiedyś mówił?

Wbił we mnie nieruchome spojrzenie.

– Czy jest jakiś powód, dla którego miałbyś tu zostać?

– Podoba mi się widok.

Burknął coś i obejrzał się z powrotem na bramę. Widać było, że nie ma na to ochoty, a skoro Cruickshank wyszła, przestał się maskować. Gdy tylko obrócił się w stronę urzędnika, usztywnił się, a jego postawa prezentowała napięcie widoczne w wojownikach na arenie tuż przed rozpoczęciem pojedynku.

Uniosłem pustą dłoń w zasięg jego wzroku i odczekawszy stosowną chwilę, klepnałem go lekko w ramię.

– Nie mów mi, że ten przedmiot cię przeraża, Sutjiadi. Nie człowieka, który wytrzymał Psa Veutina i cały jego oddział. W tamtych czasach byłeś przez chwilę moim idolem.

Jeśli uznał to za zabawne, nie dał tego po sobie poznać.

– Daj spokój, to maszyna. Jak dźwig, jak... – bezskutecznie usiłowałem przywołać odpowiednie porównania. – Jak maszyna. Sami będziemy je budować już za kilka stuleci. Jeśli wykupisz odpowiednie ubezpieczenie powłoki, kto wie, może nawet tego dożyjesz.

– Mylisz się – zauważył płasko. – To nie przypomina niczego, co stworzyła ludzka ręka.

– Cholera, nie uderzysz chyba w mistyczne tony, co? – Zerknąłem w miejsce, gdzie stał Hand, czując się nagle osaczony. – Oczywiście, że nie przypomina to niczego, co ludzkie. Nie zbudowali tego ludzie, tylko Marsjanie. Ale to tylko inna rasa. Może mądrzejsza od nas, może bardziej zaawansowana, ale to nie czyni z nich bogów ani demonów, prawda? Prawda?

Odwrócił twarz w moją stronę.

– Nie wiem. A są nimi?

– Sutjiadi, przysięgam, że zaczniesz brzmieć jak ten tam idiota. Patrzysz teraz na produkt techniki.

– Nie. – Potrząsnął głową. – To próg, który za chwilę mamy przekroczyć. I będziemy tego żałować. Nie czujesz tego? Nie czujesz, jak to czeka?

– Nie, ale czuję, że sam czekam. Jeśli brama przyprawia cię o gęsią skórkę, możemy pójść zrobić coś konstruktywnego.

– To byłoby dobre.

Hand wydawał się zadowolony, że może zostać i chełpić się swoją nową zabawką, więc zostawiliśmy go tam i wyszliśmy tunelem na zewnątrz. Musiał mi się udzielić niepokój Sutjiadiego, ponieważ gdy tylko pierwszy zakręt zabrał nas z pola widzenia aktywowanej bramy, przyznałem, że też czułem coś na karku. Było to uczucie, którego się doświadcza, odwracając plecami do systemów broni, o której wiadomo, że została uzbrojona. Nie ma znaczenia, że wypadki się zdarzają. Przyjazny ogień zabija równie skutecznie, co wrogi.

Przy wyjściu czekał na nas jasny, rozmyty blask dnia, niczym jakaś inwersja mrocznego, skomplikowanego przedmiotu wewnątrz jaskini.

Poirytowany, strząsnąłem z siebie te myśli.

– Teraz zadowolony? – zapytałem jadowicie, gdy wyszliśmy na światło.

– Będę zadowolony, gdy umieścimy tę boję na miejscu i pół globu oddzieli nas od bramy.

Potrząsnąłem głową.

– Nie rozumiem cię, Sutjiadi. Landfall wybudowano w zasięgu strzału snajpera od szczęściu

dużych wykopalisk archeologicznych. Cała planeta usłana jest marsjańskimi ruinami.

– Pochodzę z Latimera. Idę tam, gdzie mi każą.

– Dobra, na Latimerze też nie brakuje ruin. Jezu, każdy pieprzony świat, który skolonizowaliśmy, kiedyś należał do nich. Musimy dziękować ich mapom za to, że w ogóle się tu znaleźliśmy.

– Dokładnie. – Sutjiadi zatrzymał się w miejscu i zwrócił w moją stronę z wyrazem gniewu na twarzy; po raz pierwszy od chwili, gdy przegrał spór dotyczący zawalenia skał wokół bramy, okazał jakieś emocje. – Dokładnie. I wiesz, co to oznacza?

Odchyliłem się do tyłu, zaskoczony nagłą zmianą w jego zachowaniu.

– Jasne. Powiedz mi.

– Oznacza to, Kovacs, że nie powinno nas tu być. – Mówił niskim głosem, którego jeszcze u niego nie słyszałem. – Nie należymy do tego miejsca. Nie jesteśmy gotowi. To cholernie głupi błąd, że w ogóle trafiliśmy na te mapy astrogacyjne. Gdybyśmy mieli to robić sami z siebie, znalezienie tych planet i skolonizowanie ich zajęłoby nam tysiące lat. Potrzebowaliśmy tego czasu, Kovacs. Potrzebowaliśmy, żeby zasłużyć na miejsce w przestrzeni międzygwiazdnej. Zamiast tego dostaliśmy się tutaj na plecach martwej cywilizacji, której nie rozumiemy.

– Nie wydaje mi się...

Z miejsca odrzucił moje obiekcje.

– Zobacz, ile czasu potrzebowała Wardani, żeby otworzyć tę bramę. Spójrz na te ledwie zrozumiałe resztki, do polegania na których się przyzwyczailiśmy. Jesteśmy przekonani, że Marsjanie widzieli dalej w zakresie światła niebieskiego niż my. – Ironicznie naśladował Wardani. – Ona nic nie wie na pewno, podobnie jak wszyscy inni. Zgadujemy. Kovacs, my nie mamy pojęcia, co robimy. Przechadzamy się po okolicy, przybijając małe antropocentryczne pewniki do kosmosu, i gwizdźmy w ciemności, ale prawda jest taka, że nie mamy bladego pojęcia, co robimy. W ogóle nie powinno nas tu być.

Wypuściłem długo wstrzymywane powietrze.

– No cóż, Sutjiadi. – Spojrzałem w ziemię i niebo. – W takim razie lepiej zacznij oszczędzać na transfer strunowy na Ziemię. Oczywiście to kloaka, ale stamtąd pochodzimy. Z całą pewnością *to jest* nasze miejsce.

Uśmiechnął się odrobinę, traktując to jako osłonę dla wycofujących się już z twarzy emocji, a po chwili na miejsce wróciła jego maska dowódcy.

– Już na to za późno – powiedział cicho. – Na to jest już o wiele za późno.

W dole, przy *Nagini*, Hansen i Cruickshank wyciągali z pojemnika boję roszczeniową Mandrake.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Przygotowanie boi roszczeniowej Mandrake zajęło Cruickshank i Hansenowi prawie godzinę, głównie dlatego, że Hand wyszedł z jaskini i upierał się, żeby trzykrotnie przeprowadzić testy systemów, zanim usatysfakcjonowała go zdolność urządzenia do wykonania pracy.

– Słuchaj – stwierdził zirytowany Hansen, gdy po raz trzeci włączyli komputer lokalizacyjny. – To łapie obraz pola gwiazdowego, blokuje go i kiedy już włączy się w tryb śledzenia, nie wyłączy tego nic, oprócz może przejścia czarnej dziury. O ile ten twój statek nie staje się na co dzień niewidzialny, nie będzie problemu.

– To nie jest niemożliwe – odpowiedział Hand. – Sprawdź jeszcze raz detektor masy. Upewnij się, że włączy się po wystrzeleniu.

Hansen westchnął. Na drugim końcu dwumetrowej boi Cruickshank wyszczerzyła zęby.

Później pomogłem jej przenieść z ładowni *Nagini* wyrzutnię startową i zmontować jej jaskrawożółte prowadnice. Hansen skończył ostatecznie sprawdzanie systemu, zatrzasnął panele wzdłuż stożkowatego kadłuba i z uczuciem poklepał urządzenie po boku.

– Wszystko gotowe na Wielką Głębię – powiedział.

Do pomocy przy zmontowanej i działającej wyrzutni startowej wezwaliśmy Jianga Jianpinga i dźwignęliśmy ostrożnie boję, umieszczając ją na wózku. Zaprojektowana do wystrzeliwania z wyrzutni torpedowej, wyglądała trochę śmiesznie, przykucnięta na kruchej metalowej konstrukcji, jakby w każdej chwili mogła wywrócić się na nos. Hansen przesunął wózek w przód i w tył, potem obrócił kilka razy, żeby sprawdzić jego działanie, i wyłączył pilota zdalnego sterowania. Schował go do kieszeni i ziewnął.

– Ktoś chce sprawdzić, czy złapiemy reklamę Lapinee? – zapytał.

Zerknąłem na siatkówkowy wyświetlacz czasu, na którym zsynchronizowałem stoper z odliczaniem w jaskini. Zostało jeszcze nieco ponad cztery godziny. Za zielonymi cyframi w rogu pola widzenia zobaczyłem, jak nos boi zadrżał, a potem przechylił się do przodu nad podniesionym brzegiem rusztowania wyrzutni. Wylądowała na piasku z głuchym grzmotnięciem. Zerknąłem na Hansena i wyszczerzyłem zęby.

– Och, na miłość Samedi – westchnęła Cruickshank, kiedy zauważyła, gdzie patrzę. Podeszła do konstrukcji. – No co, nie stójcie tam tak, szczerząc zęby jak banda durniów, pomóżcie mi...

Rozerwało ją na strzępy.

Byłem najbliżej, odwracałem się już w odpowiedzi na jej wezwanie o pomoc. Odtwarzając później to wszystko w chorym otępieniu, widziałem, jak uderzenie rozerwało ją tuż nad kością biodrową, rozcięło w górę w beztroskim szarpnięciu i rzuciło strzępy w niebo wraz z fontanną krwi. Spektakularny wybuch, jak jakiś rodzaj nieudanej sztuczki akrobaty totalnego ciała. Widziałem, jak jedno ramię i fragment korpusu przelatuje mi nad głową. Obok mnie zawirowała noga, a zewnętrzna krawędź stopy zahaczyła mnie, uderzając w usta. Posmakowałem krwi. Jej głowa poszybowała w powolnym tańcu ku niebu, a długie włosy i strzępy szyi i ramion wiły się wokół niej serpentyną. Poczulem więcej krwi, spadającej deszczem na moją twarz.

Usłyszałem, że krzyczę, jakby z bardzo dużej odległości. Pół słowa, pozbawionego wszelkiego znaczenia.

Za mną Hansen rzucił się do odłożonego sunjeta.

Zobaczyłem...

Krzyki z *Nagini*.

... to coś...

Ktoś zaczął strzelać z blastera.

... które to zrobiło.

Piasek wokół rusztowania wyrzutni wrzał aktywnością. Gruby, kolczasty kabel, który rozerwał na kawałki Cruickshank, był jednym z pół tuzina bladoszarych i połyskujących w słońcu. Zdawały się wydawać brzęczący dźwięk, który drapał mnie w uszy.

Chwyciły wyrzutnię i rozerwały ją. Metal poddał się z trzaskiem. Z jednego ze spojeń wystrzelił nit i przeleciał obok mnie jak pocisk.

Znów wystrzelił blaster, w towarzystwie innych tworząc nierówny chór trzasków. Zobaczyłem, jak wiązki przelatują przez to coś w piasku i zostawiają je niezmienione. Hansen przebiegł obok z sunjetem przyciśniętym do ramienia, wciąż strzelając. Coś zaskoczyło na miejsce.

– *Wracaj!* – wrzasnąłem za nim. – *Kurwa, wracaj tu!*

W dłonie wskoczyły mi kałasznikowy.

Za późno.

Hansen musiał myśleć, że ma do czynienia z pancerzem albo po prostu szybkimi unikami. Rozszerzył wiązkę, żeby zwalczyć to drugie, i maksymalnie zwiększył moc. Sunjet wzór jedenaście (Snipe) firmy General Systems tnie stal tantalową jak nóż ciało. Na małą odległość po prostu odparowuje ofiarę.

Kable może rozjarzyły się trochę w niektórych miejscach. Potem piach pod jego stopami eksplodował i w górę wystrzeliła nowa macka. Rozerwała mu nogi do kolan w czasie, którego potrzebowałem na opuszczenie inteligentnych karabinków w pół drogi do poziomu. Wrzasnął piskliwie, po zwierzęcemu, i padł, wciąż strzelając. Sunjet zmienił wokół niego piach w długie pasma szkła. Krótkie, grube kable wznosiły się i opadały na jego korpus jak maczugi. Jego krzyk urwał się gwałtownie. Krew płynęła z niego ociężale, jak erupcje lawy, które czasem można zobaczyć w gardzieli wulkanu.

Podszedłem strzelając.

Pistolety interfejsowe szalały jak żywa furia w moich dłoniach. Biołące z płytek słało mi szczegóły. Pociski penetrująco-odłamkowe, pełne magazynki. Dostępna wizja, poza furia, odnalazła strukturę w tym czymś wijącym się przede mną, i kałasznikowy zaczęły prowadzić ciągły ogień. Biosprężenie kontrolowało celność z mikrometrową precyzją.

Fragmenty kabli odrywały się i odskakiwały, spadając na piasek, gdzie rzucały się jak wyłowione z wody ryby.

Opróżniłem oba pistolety.

Wypluły magazynki i niecierpliwie rozwarły głodne paszcze. Uderzyłem kolbami o pierś. Zadziałał podajnik w uprzęży, a kolby pistoletów wciągnęły świeże magazynki z gładkim, magnetycznym kliknięciem. Moje dłonie, znów ciężkie, wystrzeliły w przód, gorliwie szukając celu.

Mordercze kable zniknęły, odrąbane. Pozostałe skoczyły ku mnie przez piach i zginęły, pocięte na kawałki, jak warzywa pod nożem wprawnego kucharza.

Znów opróżniłem magazynki.

Załadowałem.

Opróżniłem.

Załadowałem.

Opróżniłem.

Załadowałem.

Opróżniłem.

Załadowałem.

Opróżniłem.

I kilka razy uderzyłem w klatkę piersiową, nie słysząc, jak uprząż trzaska pustym podajnikiem. Otaczające mnie kable zostały zredukowane do grzywy niepewnie chwiejących się kikutów. Odrzuciłem opróżnione pistolety i chwyciłem pierwszy z brzegu kawał stali ze zniszczonego rusztowania wyrzutni. W górę, nad głowę i w dół. Najbliższy kikut rozpadł się na kawałki. Góra. Dół. Kawałki. Strzępy. Góra. Dół.

Uniosłem sztabę i zobaczyłem patrzącą na mnie głowę Cruickshank.

Upadła na piasek, a długie, splecione włosy częściowo zasłoniły szeroko otwarte oczy. Miała rozchylone usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, a jej twarz wyrażała unieruchomiony ból.

Szum w moich uszach umilkł.

Opuściłem ramiona i sztabę, wreszcie wzrok na drgające niemrawo wokół mnie kawałki kabli.

W nagłym zmrażającym chłodem powrocie rozsądku przy moim boku pojawił się Jiang.

– Daj mi granat korozyjny – powiedziałem i sam nie poznałem własnego głosu.

\* \* \*

*Nagini* utrzymywała pozycję trzy metry nad plażą. W otwartych włazach ładunkowych po obu stronach zamontowano karabiny maszynowe na pociski przeciwpancerne. Przy celownikach karabinów siedzieli Deprez i Jiang, z twarzami zabarwionymi bladym blaskiem z maleńkich ekranów czujników celowniczych. Jak dotąd, nie mieliśmy czasu na uzbrojenie systemów automatycznych.

Ładownię za nimi zapełniał zebrany pośpiesznie sprzęt z plastobaniek. Broń, pojemniki zjedzeniem, ubrania; cokolwiek można było zgarnąć i przenieść pod czujnym wzrokiem osłony karabinów maszynowych. Boja rozszereżeniowa Mandrake leżała w jednym z końców ładowni, a jej obłe ciało kiwało się lekko na metalowym pokładzie, w miarę jak Ameli Vongsavath dokonywała drobnych korekt pozycji *Nagini*. Pod wpływem nalegań Matthiasa Handa była pierwszym przedmiotem podniesionym z nagle niebezpiecznej, płaskiej połaci turkusowego piasku pod nami. Wszyscy posłuchali go w odrętwieniu.

Boja była najprawdopodobniej uszkodzona, jej stożkowa osłona poszarpana i rozdarta na znacznej długości. Panele monitorujące zostały wyrwane z mocowań, a wewnętrzne urządzenia wystawały jak poszarpane strzępy wnętrza, niczym pozostałości...

Dość.

Zostały jeszcze dwie godziny. Cyfry błyskały w moim oku.

Yvette Cruickshank i Ole Hansen byli na pokładzie. System odzysku szczątków ludzkich w postaci robota o napędzie grawitacyjnym, unosząc się delikatnie nad spryskanym krwią piaskiem, wciągnął wszystko, co mógł znaleźć, posmakował, sprawdzając DNA, a potem rozdzielił szczątki do dwóch z pół tuzina pojemników w tylnej części. Proces rozdzielania i depozycji wiązał się z odgłosami, które przypominały mi wymiotowanie. Kiedy robot odzyskowy zakończył pracę, każda z toreb została oderwana, zapieczętowana laserowo i oznakowana kodem paskowym. Sutjiadi z kamienną twarzą zaniósł je po jednej do schowka na ciała w tylnej części ładowni i tam upakował. Żadna z toreb nawet w najmniejszym stopniu nie sugerowała, że mieści coś na kształt ludzkiego ciała.

Nie udało się odzyskać żadnego ze stosów korowych. Ameli Vongsavath skanowała w poszukiwaniu śladów, ale aktualna teoria głosiła, że nanoby kanibalizowały wszystko, co nieorganiczne, do budowy następnego pokolenia. Nie udało się nam też znaleźć broni Cruickshank i Hansena.

Złapałem się na tym, że martwo wpatruję się w drzwiczki schowka na ciała, i poszedłem na

górze.

Na pokładzie załogowym w kabinie rufowej leżał szczelnie zapakowany w permaplastik kawałek nanobowego kabla, analizowany właśnie pod mikroskopem przez Sun Liping. Tuż za nią tłoczyli się Sutjiadi i Hand. Tanya Wardani stała w kącie, opierając się o ścianę i obejmując ramionami. Jej twarz była nieprzenikniona. Usiadłem jak mogłem najdalej od reszty.

– Zobacz. – Sun zerknęła na mnie i odchrząknęła. – Jest tak, jak powiedziałeś.

– W takim razie nie muszę patrzeć.

– Twierdzisz, że to są nanoby? – zapytał z niedowierzaniem Sutjiadi. – Nie...

– Cholerna brama nie jest jeszcze otwarta, Sutjiadi – słyszałem wyzwanie we własnym głosie.

Sun znów zajrzała na ekran mikroskopu. Chyba znajdowała w tym osobliwą formę ucieczki.

– To spleciona konfiguracja – powiedziała. – Ale elementy wcale się nie dotykają. Muszą wiązać się ze sobą wyłącznie dzięki dynamice pól. To jak, no nie wiem, bardzo silny system mięśni elektromagnetycznych na mozaikowym szkielecie. Każdy z nanobów generuje część pola i to właśnie utrzymuje je na miejscu. Ładunek z sunjeta po prostu przechodzi między nimi. Może odparować kilka pojedynczych nanobów w bezpośredniej trasie wiązki, choć wydają się być odporne na bardzo wysokie temperatury, ale to i tak nie wystarczy do zniszczenia całej struktury, a prędzej czy później inne jednostki przesuną się, by zastąpić martwe komórki. Całość jest w zasadzie organiczna. Hand zerknął na mnie z zaciekawieniem.

– Wiedziałeś to?

Spojrzałem na swoje dłonie. Wciąż jeszcze odrobinę się trzęsły. Pod skórą biopłyty nie chciały przestać się prężyć. Spróbowałem to zablokować.

– Domyśliłem się. W trakcie strzelaniny. – Wbiłem w niego wzrok. Kątem oka dostrzegłem, że Wardani też się we mnie wpatruje. – Możesz to nazwać intuicją Emisariusza. Sunjet na nic się nie przydał, bo poddaliśmy już kolonie działaniu wysokotemperaturowej plazmy. Wyewoluowały tak, by sobie z tym radzić, i teraz są odporne na broń promienistą.

– A ultrawibracje? – zapytał Sutjiadi, zwracając się do Sun.

Potrząsnęła głową.

– Puściłam przez nie strzał testowy i nic się nie dzieje. Nanoby rezonują wewnątrz pola, ale to ich nie niszczy. Mniej efektów niż w przypadku promienia sunjeta.

– Stała amunicja to jedyne, co działa – stwierdził z namysłem Hand.

– Tak, ale nie na długo. – Wstałem, żeby wyjść. – Daj im trochę czasu, a wyewoluują coś i na to. Oraz granaty korozyjne. Powiniennem był zostawić je na później.

– Gdzie idziesz, Kovacs?

– Na twoim miejscu, Hand, kazałbym Ameli podnieść nas trochę wyżej. Kiedy tylko nauczą się, że nie wszystko, co je zabija, mieszka na ziemi, szybko zaczną hodować dłuższe ramiona.

Wyszedłem na zewnątrz, idąc śladem swoich myśli jak ubrania porzuconego po drodze do łóżka i długiego snu. Trochę przypadkową trasą dotarłem z powrotem do ładowni, gdzie zauważyłem, że chyba uaktywnione wreszcie zostały systemy automatycznego celowania karabinów maszynowych. Luc Deprez stał po przeciwnej niż jego broń stronie wjazdu, paląc jedno z otrzymanych od Cruickshank cygar z Indigo City i wpatrując się w plażę trzy metry niżej. Na drugim końcu pokładu Jiang Jianping siedział ze skrzyżowanymi nogami przed schowkiem na ciała. Powietrze było gęste od pełnej niezrozumienia ciszy, pełniącej u samców funkcję żalu.

Opadłem koło wręgi i zacisnąłem oczy. Odliczanie jaskrawo świeciło w nagłym mroku przed moimi oczami. Jedna godzina, pięćdziesiąt trzy minuty. Odlicza.

Przez moją głowę przemknęło wspomnienie Cruickshank. Uśmiechniętej, skupionej na zadaniu,

palącej, w szczycie orgazmu, rozerwanej w powietrzu...

*Dość tego.*

Usłyszałem szelest ubrania i podniosłem wzrok. Przede mną stał Jiang.

– Kovacs. – Przykucnął, schodząc do mojego poziomu, i zaczął jeszcze raz. – Kovacs, przykro mi. Ona była dobrym żołą...

W mojej prawej dłoni błysnął pistolet interfejsowy, a jego lufa uderzyła go w czoło. Upadł w tył, siadając w szoku.

– Zamknij się, Jiang. – Zacisnąłem usta i wolno wciągnąłem powietrze. – Powiesz jeszcze jedno cholerne słowo, a udekoruję Luca twoim mózgiem.

Czekałem, a pistolet sprawiał wrażenie, jakby ważył z piętnaście kilogramów. Podtrzymała go dla mnie biopłyta. W końcu Jiang wstał i zostawił mnie w spokoju.

Godzina pięćdziesiąt. Pulsowało mi to w głowie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Hand zwołał formalne spotkanie na godzinę i siedemnaście minut przed otwarciem bramy. Później niż można było się spodziewać, ale może pozwolił najpierw wszystkim nieformalnie wyrazić swoje uczucia. Na górnym pokładzie krzyki rozlegały się prawie od chwili, kiedy stamtąd zszedłem. Tu w ładowni słyszałem ich ton, ale bez uaktywniania neurochemii nie wyłapywałem treści. Zdawało się, że trwa to bardzo długo.

Od czasu do czasu słyszałem ludzi wchodzących i opuszczających ładownię, ale nikt z nich nie podszedł blisko, a ja nie potrafiłem zebrać dość energii czy zainteresowania, żeby spojrzeć w górę. Wydawało się, że jedyną osobą, która nie trzymała się ode mnie z daleka, był Semetaire.

*Czyż nie mówiłem ci, że będę miał tu pracę?*

Zamknąłem oczy.

*Gdzie jest twój pocisk przeciwpiechotny, wilku Klina? Gdzie się podziała twoja ekstrawagancka furia, teraz, kiedy jej potrzebujesz?*

*Nie...*

*Szukasz mnie teraz?*

*Nie robię już tego główna.*

Śmiech niczym grzechot stosów korowych wysypywanych z pojemnika.

– Kovacs?

Podniosłem wzrok. To Luc Deprez.

– Chyba lepiej będzie, jak pójdziesz na górę – powiedział.

Hałas nad naszymi głowami nieco się uspokoił.

\* \* \*

– Nie opuścimy – powiedział cicho Hand, rozglądając się po kabinie – powtarzam, nie opuścimy tego miejsca, nie zostawiając po drugiej stronie bramy palika roszczeniowego Mandrake. Przeczytajcie warunki waszych kontraktów. Tekst o wykorzystaniu każdej możliwej szansy jest wszechobecny i ma znaczenie nadrzędne. Cokolwiek kapitan Sutjiadi rozkaże wam teraz zrobić, jeśli odlecimy stąd bez próby wykorzystania szansy, zostaniecie poddani egzekucji i zwróceni do odpadków dusz. Czy to jasne?

– Nie, to nie jest jasne – wykrzyczała w odpowiedzi Ameli Vongsavath przez otwarty właz kokpitu. – Ponieważ jedyną możliwością, jaką w tej chwili widzę, jest to, żeby ktoś na własnych plecach zaniósł ten pieprzony znacznik przez plażę i spróbował wrzucić go przez bramę, licząc, że może jeszcze zadziała. Dla mnie nie wygląda to na szansę na cokolwiek poza samobójstwem. To coś, co tam czeka, zabiera nasze stosy.

– Możemy skanować za nanobami... – próbował Hand, ale zagłuszyły go gniewne głosy. W bezsilnej złości uniósł ręce nad głowę.

Sutjiadi nakazał ciszę i posłuchano go.

– Wszyscy jesteśmy żołnierzami – nieoczekiwanie odezwał się Jiang. – Nie kempistowskimi poborowymi. Nie mamy szans.

Rozejrzał się wokół, jakby zaskoczył siebie tak samo jak wszystkich pozostałych.

– Kiedy poświęcałeś się na równinie Danang – powiedział Hand – wiedziałeś, że nie masz żadnych szans. Oddałeś życie. To właśnie teraz od was kupuję.

Jiang spojrział na niego z niesmakiem.



– Oddałem życie za żołnierzy pod moimi rozkazami. Nie dla zysku.

– Och, Damballah. – Hand uniósł wzrok do sufitu. – A jak myślisz, o co toczy się ta wojna, ty durny, pieprzony wojaku? Jak myślisz, kto zapłacił za szturm na Danang? Wbij to sobie do głowy. Walczysz dla mnie. Dla korporacji i ich cholernego, marionetkowego rządu.

– Hand. – Oderwałem się od drabinki we włączce i podszedłem do środka kabiny. – Wydaje mi się, że twoja technika sprzedaży podupada. Czemu nie powiesz im reszty?

– Kovacs, nie zamierzam...

– Siadaj. – Słowa smakowały jak popiół, ale musiało być w nich coś więcej, ponieważ posłusznie wypełnił polecenie.

Natychmiast wszystkie twarze zwróciły się w moją stronę.

*Tylko znów nie to.*

– Nigdzie nie polecimy – oświadczyłem. – Nie możemy. Chcę się stąd wydostać równie mocno, jak każdy z was, ale nie możemy tego zrobić, zanim nie umieścimy tam tej boi.

Przeczekałem falę protestów, absolutnie niezainteresowany tłumieniem ich. Zrobił to dla mnie Sutjiadi. Zapadła cisza była bardzo krucha.

Obróciłem się do Handa.

– Czemu nie powiesz im, kto wypuścił tu system ROSNOP? Powiedz im, dlaczego tu jest.

Tylko na mnie popatrz.

– Dobrze. Ja im powiem. – Rozejrzałem się po wyczekujących twarzach, czując, jak cisza twardnieje i pogłębia się. Machnąłem ręką w stronę Handa. – Nasz siedzący tu sponsor ma w swojej korporacji w Landfall kilku wrogów, którzy bardzo ucieszyliby się, gdyby nie wrócił. Nanoby stanowią ich sposób na upewnienie się, że tak będzie. Jak dotąd się to nie udało, ale w Landfall jeszcze tego nie wiedzą. Jeśli stąd wystartujemy, natychmiast to odkryją, i bardzo wątpię, żebyśmy zdołali pokonać pierwszą połowę krzywej lotu, zanim nadleci jakiś pocisk. Prawda, Matthias?

Hand kiwnął głową.

– A kody Klina? – zapytał Sutjiadi? – To się nie liczy?

Pytanie wzbudziło więcej mamrotanych wątpliwości.

– Co Klin mo...

– Czy to ID wejścia? Dzięki za...

– Czemu nikt nam nie...

– Zamknijcie się. – Ku memu zaskoczeniu, zrobili to. – Dowództwo Klina przetransmitowało nam kod wejścia do użytku w sytuacji awaryjnej. Nie zostaliście o tym powiadomieni, ponieważ – poczułem, jak w kąci moich ust zakrada się uśmiech – nie musieliście wiedzieć. Nie macie dostatecznego znaczenia. Cóż, teraz wiecie i pewnie brzmi to jak gwarancja bezpiecznego lotu. Hand, zechciałbyś wyjaśnić, w czym tkwi błąd?

Przez chwilę patrzył w podłogę, potem z powrotem podniósł głowę. W jego oczach pojawiła się determinacja.

– Dowództwo Klina odpowiada przed Kartelem – zaczął tonem wykładowcy. – Ktokolwiek wypuścił tutaj system nanobów ROSNOP, musiał mieć do tego jakąś formę akceptacji Kartelu. Te same kanały mogły im dostarczyć kody autoryzacyjne, jakimi posługuje się Isaac Carrera. Klin stanowi najbardziej prawdopodobnego kandydata na naszego snajpera.

Luc Deprez przesunął się leniwie przy ścianie.

– Kovacs, jesteś z Klina. Nie wierzę, żeby mieli zamordować jednego ze swoich. Nie są z tego znani.

Zerknąłem na Sutjiadię. Jego twarz zeszywniała.

– Tak się nieszczęśliwie składa – odpowiedziałem – że Sutjiadi jest poszukiwany za zamordowanie oficera Klina. Mój związek z nim czyni mnie zdrajcą. Wszystko, co muszą zrobić wrogowie Handa, to dostarczyć Carrerze listę załogi tej wyprawy. Wykluczy to wszelkie wpływy, jakie mógłbym mieć.

– A nie blefujesz? O ile wiem, Emisariusze z tego słyną.

Skinąłem głową.

– Mógłbym spróbować. Ale szanse są dość marne, a jest prostszy sposób.

To ucięło cichy szmer rozmów.

Deprez przechylił głowę.

– A polega on na?

– Jedynym, co umożliwi nam zabranie się stąd w jednym kawałku, jest postawienie tej boi albo czegoś w tym stylu. Jeśli na tym statku znajdzie się flaga Mandrake, wszystkie zakłady przepadną, i możemy spokojnie wracać do domu. Wszystko inne może zostać odczytane jako blef, bo nawet jeśli uwierzą w to, co znaleźliśmy, koledzy Handa mogą zrobić tu nalot i umieścić własną boję, kiedy już będziemy martwi. Żeby wykluczyć tę opcję, musimy przetransmitować potwierdzenie przejęcia.

Chwila skupiła tak wiele napięcia, że powietrze zdawało się drżeć i chwiać jak krzesło odchylone na tylnych nogach. Patrzyli na mnie. Wszyscy, *cholera*, patrzyli na mnie.

*Proszę, tylko znów nie to.*

– Brama otwiera się za godzinę. Plan jest taki: rozwalamy otaczające ją skały z baterii ultrawibracyjnych, przelatujemy przez bramę i umieszczamy tę cholerną boję. Potem wracamy do domu.

Znów eksplodowało napięcie. Stałem w chaosie głosów i czekałem, wiedząc już, jak zakończy się ta paplanina. Zgodzą się. Zgodzą się, ponieważ zrozumieli coś, co ja i Hand już wiedzieliśmy. Dostrzegą, że to jedyna opcja, jedyny sposób na wydostanie się stąd. A gdyby ktoś nie widział tego w ten sposób...

Poczułem w sobie drzenie wilczych genów, jak przytłumione warczenie.

Gdyby ktoś nie widział tego w ten sposób, zastrzeliłbym go.

\* \* \*

Jak na kogoś, kto specjalizował się w systemach maszynowych i zagłuszaniu elektronicznym, Sun zdumiewająco sprawnie radziła sobie z ciężką artylerią. Dokonała najpierw ostrzelań testowych baterii ultrawibracyjnej na różne cele na klifie, a potem Anieli Vongsavath podprowadziła *Nagini* na niecałe pięćdziesiąt metrów od wejścia do jaskini. Z przednimi ekranami włączonymi do osłony przed odłamkami, otworzyła ogień do skały.

Wywołała tym dźwięk końcówek stalowych drutów drapiących po miękkim plastiku, dźwięk żuków Jesiennego Ognia żywiących się pięknorostem przy niskim przypiływie, dźwięk Tanyi Wardani usuwającej kości kręgosłupa ze stosu Deng Zhao Juna w burdelhotelu w Landfall. Brzmiało to jak wszystkie te zgrzytające, szeleszczące i piskliwe dźwięki zmieszane razem i wzmocnione do apokaliptycznych proporcji.

Brzmiało, jakby świat rozpadał się na części.

Przyglądałem się temu na ekranie na dole w ładowni, mając do towarzystwa dwa automatyczne karabiny maszynowe i schowek na ciała. I tak nie było miejsca dla widowni w kokpicie, a nie miałem ochoty zostać z resztą żyjących w kabinie załogowej. Siedziałem na pokładzie i bez zaangażowania patrzyłem na obrazy. Skała zmieniała kolor z szokującą szybkością, w miarę jak

ulegała i pękała pod ciśnieniami o natężeniu ruchów płyt tektonicznych, a potem gwałtownemu spadkowy odłamków pędzących w dół, zmienianych w gęste chmury pyłu, zanim mogły uciec promieniom ultrawibracyjnym, przesuającym się w gruzach. Czułem w trzewiach słabe wrażenie dyskomfortu z rezonansu. Sun strzelała na niskiej mocy i ekranując broń, żeby zminimalizować na pokładzie *Nagini* najgorsze efekty strzałów ultrawibracyjnych, ale i tak świdrujący skowyt wiązki i krzyki torturowanych skał przebijały się przez dwa otwarte włazy i wwierały w uszy jak autochirurg.

Wciąż widziałem ginącą Cruickshank.

Dwadzieścia trzy minuty.

Ultrawibracje ustały.

Brama wyłoniła się ze zniszczenia i kłębow pyłu jak drzewo z zamieci. Wardani mówiła, że nie może zostać uszkodzona przez żadną znaną jej broń, ale Sun i tak zaprogramowała systemy uzbrojenia *Nagini* tak, by przerwały ogień, gdy tylko zauważą bramę. Teraz kiedy pył zaczął opadać, zobaczyłem porwane resztki sprzętu pani archeolog, rozbite i rozrzucone po okolicy przez ostatnie sekundy strzałów ultrawibracyjnych. Trudno wprost było uwierzyć w masywną niewzruszoność artefaktu górującego nad rumowiskiem.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi lekki dreszcz podziwu, nagle uprzytomniłem sobie, na co patrzę. Wróciły do mnie słowa Sutjadięgo.

*To nie jest nasze miejsce. Nie jesteśmy gotowi.*

Odrzuciłem je.

– Kovacs? – Sądząc po brzmieniu przenoszonego interkomem głosu Anieli Vongsavath, nie byłem jedyną osobą reagującą dreszczem na starszą cywilizację.

– Jestem.

– Zamykam włazy pokładowe. Odsuń się.

Gniazda karabinów maszynowych gładko wsunęły się głębiej w pokład, a pokrywy włazów opadły, odcinając światło. Po chwili włączyło się zimne, wewnętrzne oświetlenie.

– Jakiś ruch. – Ostrzegawczo odezwała się Sun. Mówiła na kanale ogólnym, więc zaraz po tym usłyszałem serię gwałtownie wciąganych przez resztę załogi oddechów.

Podłoga zachwiała się lekko, gdy Vongsavath podniosła *Nagini* dodatkowe kilka metrów w górę. Przytrzymałem się ścianki i wbrew sobie spojrzałem na pokład pod stopami.

– Nie, nie pod nami. – Zabrzmiało to tak, jakby Sun mi się przyglądała. – Wydaje mi się, że to idzie na bramę.

– Cholera, Hand. Ile tego tu jest? – zapytał Deprez. Doskonale mogłem sobie wyobrazić, jak dyrektor wzrusza ramionami.

– Nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek limitach wzrostu systemu ROSNOP. Z tego, co wiem, równie dobrze mogło rozprzestrzenić się pod całą plażą.

– Myślę, że to mało prawdopodobne – stwierdziła Sun ze spokojem technika w trakcie eksperymentu. – Automatyczni strażnicy wykryliby coś tak dużego. Zresztą, nie zniszczyło pozostałych robotów strażniczych, a zrobiłoby to, gdyby rozprzestrzeniało się lateralnie. Podejrzewam, że otworzyło bramę w naszym perymetrze, po czym przepłynęło do wnętrza po linii...

– Patrzcie – odezwał się Jiang. – Jest tam.

Na ekranie nad głową zobaczyłem ramiona nanobów wyłaniające się z usłanego gruzem terenu przy bramie. Może próbowały już przejść pod fundamentami, lecz im się nie powiodło. Kiedy uderzyły, kable były oddalone od najbliższej krawędzi cokołu o dobre dwa metry.

– No i cholera, proszę, idziemy – odezwał się Schneider.

– Nie, czekaj. – Tym razem Wardani, a w jej głosie zabrzmiał dziwny ton, jakby duma. – Czekaj i patrz.

Kable wyglądały, jakby miały problemy z uchwyceniem materiału, z którego zrobiona była brama. Opadały na niego, a potem ześlizgiwały się, jakby były naoliwione. Przyglądałem się, jak proces powtarza się przynajmniej z pół tuzina razy, a potem gwałtownie wciągnąłem powietrze, gdy z piasku wystrzeliło następne, dłuższe ramię, wzniosło się w powietrze na dobre sześć metrów i owinęło wokół dolnych krzywizn kolumny. Gdyby ta sama macka wystrzeliła pod *Nagini*, spokojnie mogłaby ściągnąć nas na ziemię.

Nowy kabel naprężył się i usztywnił.

I zniknął.

W pierwszej chwili myślałem, że Sun zlekceważyła moje polecenia i otworzyła ogień z ultrawibracyjnych. Potem dotarło do mnie, że nanoby uodporniły się już na tę broń.

Pozostałe kable również zniknęły.

– Sun? Co się, do cholery, stało?

– Właśnie usiłuję się tego dowiedzieć. – Bliski kontakt Sun z maszynami zaczynał ujawniać się w jej sposobie mówienia.

– Ona to wyłączyła – powiedziała wyjaśniająco Wardani.

– Co wyłączyła? – zapytał Deprez.

Teraz w głosie Tanyi słychać było uśmiech. – Nanoby funkcjonują w osłonie elektromagnetycznej. Ona je ze sobą łączy. Brama po prostu wyłączyła pole. – Sun?

– Wygląda na to, że madame Wardani ma rację. Nigdzie w pobliżu artefaktu nie wykrywam żadnej aktywności elektromagnetycznej. I żadnego ruchu.

Delikatny szum obwodów indukcyjnych, gdy wszyscy przetrawiali tę informację. Potem znów głos Depreza, zamyślony. – I my mamy przez to coś przelecieć?

\* \* \*

Biorąc pod uwagę to, co działo się wcześniej i co czekało na nas po drugiej stronie, godzina zero przy bramie wyglądała zdumiewająco niedramatycznie. Dwie i pół minuty przed czasem ściekające krople ultrafioletowego światła, widoczne jak dotąd tylko przez filigranowy ekran Wardani, zaczęły się pojawiać jako płynne, fioletowe linie przesuwające się wzdłuż zewnętrznych krawędzi kolumny. W świetle dziennym spektakl nie robił większego wrażenia niż latarnia lotniskowa o zmierzchu.

Osiemnaście sekund przed coś zaczęło się dziać wzdłuż linii zagłębionych złożeń. Przypominało to otrząsanie skrzydeł.

Dziewięć sekund przed na szczycie kolumny pojawiła się gęsta, czarna kropka. Błyszczała jak pojedyncza kropla wysokiej klasy oleju i zdawała się wirować wokół własnej osi.

Osiem sekund później z niespieszną płynnością powiększyła się do postawy kolumny, a potem jeszcze bardziej. Zniknął cokół, a razem z nim piach na głębokość około metra.

W kuli ciemności błyszcząły gwiazdy.

## CZEŚĆ IV

### NIEWYJAŚNIONE ZJAWISKA

*Każdy, kto buduje satelity, których nie potrafimy zestrzelić, zasługuje na poważne traktowanie, a jeśli kiedyś wróci po swój sprzęt, powinniśmy odnosić się do niego z wyjątkową ostrożnością. To nie religia, to zdrowy rozsądek.*

### QUELLCRISTA FALCONER

*Metafizyka dla rewolucjonistów*

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nie lubię otwartego kosmosu. Miesza człowiekowi w głowie.

To nic fizycznego. W przestrzeni można popełnić więcej błędów niż na dnie oceanu albo w toksycznej atmosferze, jak na przykład na Glimmer V. W próżni można być znacznie bardziej swobodnym, i czasami z tego korzystałem. Głupota, zapominalstwo i panika nie zabijają człowieka z tak samo nieuniknioną pewnością, jak w mniej wybaczących środowiskach. Ale nie o to chodzi.

Satelity Świata Harlana siedzą na wysokości pięciuset kilometrów i gdy tylko coś takiego zobaczą, zestrzelą wszystko o masie większej niż sześćosobowy helikopter. Istnieją pewne godne uwagi wyjątki od tego zachowania, ale jak dotąd nikt nie był w stanie dojść, co je spowodowało. W rezultacie Harlanicy nie latają za dużo w powietrzu, a zawroty głowy są równie powszechne jak cięże. Kiedy dzięki uprzejmości marines Protektoratu w wieku osiemnastu lat pierwszy raz ubrałem kombinezon próżniowy, cały mój umysł zamienił się w bryłę lodu, a patrząc w nieskończoną pustkę pod nogami, słyszałem wydobywające się z głębi gardła własne skomlenie. Wyglądało to jak bardzo długi upadek.

Warunkowanie Emisariuszy umożliwia radzenie sobie z większością lęków, ale wciąż ma się świadomość tego, co człowieka przeraża, bo czuje się nacisk uaktywniającego się warunkowania. Czulem to w sobie za każdym razem. Na orbicie nad Loyko w trakcie Rewolty Pilotów, biorąc udział w misji razem z komandosami próżniowymi Randalla za zewnętrznym księżycem Adoracion, i raz w głębinach przestrzeni międzygwiazdnej, grając w śmiertelną grę w znaczniki z członkami Bandy Nieruchomości wokół kadłuba porwanej barki kolonizacyjnej *Mivesemdi*, spadając bez końca wzdłuż jej trajektorii o lata świetlne od najbliższego słońca. Strzelanina przy *Mivesemdi* była najgorsza. Wciąż miewam z jej powodu koszmary.

*Nagini* prześliznęła się przez rozciętą przez bramę szczelinę w trójwymiarowej przestrzeni i zawisała w pustce. Tak jak wszyscy, wypuściłem oddech powstrzymywany od chwili, gdy statek szturmowy zaczął sunąć w stronę bramy, wstałem z miejsca i poszedłem do kokpitu, podskakując lekko w dostosowującym się do zmienionych warunków polu grawitacyjnym. Widziałem gwiazdy na ekranie, ale chciałem zobaczyć je przez wzmocnione przezroczystości dzioba statku szturmowego. Czasem pomaga, jeśli stanie się przed przeciwnikiem twarzą w twarz, wyczuje pustkę czającą się ledwie kilka centymetrów przed nosem. Pomaga człowiekowi przypomnieć, gdzie zaszedł od zwierzęcych korzeni swojej istoty.

Oczywiście otwarcie włazów łączących przedziały w trakcie lotu w przestrzeni stanowi jaskrawe naruszenie przepisów, ale nikt nic nie powiedział, nawet kiedy musiało stać się jasne, gdzie się wybieram. Kiedy przeszedłem przez właz, Ameli Vongsavath przywitała mnie dziwnym spojrzeniem, ale ona też milczała. Z drugiej strony, była pierwszym pilotem w historii ludzkości, który doświadczył natychmiastowego przeskoku z planetarnego lotu na wysokości sześciu metrów w środek głębokiej przestrzeni, więc przypuszczam, że zajmowały ją inne kwestie.

Wpatrywałem się przed siebie nad jej lewym ramieniem. Spojrzałem w dół i poczułem, jak moje palce zaciskają się na oparciu fotela.

Wrócił strach.

Znajome przesunięcie w głowie, jak komory ciśnieniowe blokujące części mojego mózgu w jaskrawym oświetleniu. Warunkowanie.

Odetchnąłem.

– Jeśli zamierzasz tu zostać, równie dobrze możesz usiąść – rzuciła Vongsavath zajęta monitorem pozycji, który zaczął właśnie głupieć od braku planety pod nami.

Przecisnąłem się do fotela drugiego pilota i opadłem na niego, rozglądając się za taśmami pasów.

– Widzisz coś? – zapytałem z kontrolowanym spokojem.

– Gwiazdy – odpowiedziała krótko.

Chwilę czekałem, przyzwyczajając się do widoku, czując równocześnie swędzenie w zewnętrznych kącikach powiek, gdy odruchy na poziomie instynktów blokowały patrzenie kątem oka, szukając jakiegoś sposobu na intensywny brak światła.

– To jak daleko jesteśmy?

Vongsavath wcisnęła klawisze na zestawie astrogacyjnym.

– Według tego? – Gwizdnęła cicho. – Siedemset osiemdziesiąt milionów kilometrów. Wierzysz w to?

Umieszczało nas to jeszcze w granicach orbity Banharn, samotnego i raczej niewyróżniającego się gazowego olbrzyma trzymającego straż przy zewnętrznych granicach systemu Sanction. Trzysta milionów kilometrów dalej w ekliptyce krążyło morze gruzu, zbyt rozległe, by nazywać je pasem, który z jakichś powodów nigdy nie zagregował w planety. Kilka setek milionów kilometrów od jego drugiego końca znajdowała się Sanction IV Gdzie byliśmy kilka sekund temu.

Imponujące.

Dobra, międzygwiazdny transfer strunowy może umieścić człowieka po drugiej stronie takiej liczby kilometrów, że znacznie szybciej zabrakłoby mu miejsca na pisanie zer. Ale najpierw trzeba dać się zdigitalizować, a potem po drugiej stronie załadować do nowej powłoki. Wszystko to wymaga czasu i odpowiedniej techniki, jak każdy proces.

Tu nie doświadczyliśmy żadnego procesu, a w każdym razie nic, co ludzie potrafiliby tak zakwalifikować. Po prostu przeskoczyliśmy przez linię. Gdybym miał ku temu inklinacje i kombinezon próżniowy, mógłbym dosłownie ją przekroczyć.

Wróciło do mnie, zjeżdżając mi włosy na karku, wyrażone przez Sutjiadię uczucie *braku przynależności*. Obudziło się warunkowanie i zdusiło je. Zdumienie razem ze strachem.

– Zatrzymaliśmy się – wymamrotała Vongsavath, bardziej do siebie niż do mnie. – Coś wyhamowało nasze przyspieszenie. Można by się spodziewać... Święty Boże.

Jej głos, i tak cichy, przygasł przy ostatnich dwóch słowach do szeptu i zdawał się tracić energię tak samo, jak *Nagini*. Oderwałem wzrok od cyfr, które właśnie zmaksymalizowała na wyświetlaczu, i natychmiast pomyślałem, wciąż obracając się w planetarnym kontekście, że wlecieliśmy do cienia. Zanim przypomniałem sobie, że tu nie ma żadnych gór i nie za wiele światła słonecznego, które można by przysłonić, dopadł mnie ten sam mroźny szok, który musiał porazić Vongsavath.

Gwiazdy nad naszymi głowami odsuwały się w mrok.

Znikały w ciszy, połykane z przerażającą szybkością przez potężne, zasłaniające je cielsko czegoś, co zdawało się wisieć ledwie parę metrów nad górnymi bulajami.

– To jest to – powiedziałem, a gdy przebrzmiały te słowa, przebiegł mnie zimny dreszcz, jakbym dokonał właśnie jakiegoś aktu przyzwania.

– Dystans... – Vongsavath potrząsnęła głową. – To jest prawie pięć kilometrów od nas. To oznacza, że ma...

– Dwadzieścia siedem kilometrów w poprzek – sam przeczytałem dane. – Pięćdziesiąt trzy długości. Zewnętrzne struktury wystające...

Zrezygnowałem.

– Duży. Bardzo duży.

– Prawda? – Tuż za mną zabrzmiał głos Wardani. – Zobacz krenelaż na krawędzi. Każde z tych zagłębień ma prawie kilometr.

– Może zacznę sprzedawać tu miejsca? – ostro odezwała się Vongsavath. – Madame Wardani, proszę wrócić do kabiny i siąść w fotelu.

– Przepraszam – wymamrotała. – Byłam po prostu...

Syreny. Przerwany jęk, rozcinający przestrzeń kokpitu.

– Nadlatuje – krzyknęła Vongsavath i kopnęła *Nagini* w rufę.

Był to manewr, który w studni grawitacyjnej byłby bardzo bolesny, ale w sytuacji, gdy działała na nas tylko siła pokładowych generatorów grawitacyjnych, sprawiał bardziej wrażenie efektu specjalnego z sensorii, jakiegoś anielskiego triku sztukmistrza z holoprzesunięciem.

Strzępy walki w próżni.

Zobaczyłem lecący pocisk, przesuający się majestatycznie w stronę bulajów po prawej stronie.

Usłyszałem systemy bojowe zgłaszające gotowość do służby usłużnymi i pełnymi entuzjazmu maszynowymi głosami.

Krzyki z kabiny za plecami.

Zacząłem się spinać. Ciężko zaskoczyło warunkowanie, zmuszając mnie do gotowej na uderzenia bezwładności...

*Chwileczkę.*

– To nie może być prawda – powiedziała nagle Vongsavath. – W kosmosie nie widzi się pocisków. Nawet te budowane przez nas poruszają się zbyt szybko, by człowiek mógł je śledzić.

– Nie ma groźby zderzenia – zauważył komputer bojowy, jakby był rozczarowany. – Nie ma groźby zderzenia.

– To się ledwie rusza. – Potrząsając głową, Vongsavath wywołała nowy ekran. – Prędkość osiowa... Ach, to po prostu dryfuje.

– W każdym razie są to części maszynowe – uznałem, wskazując na małe maksima w czerwonym zakresie skanu spektralnego. – Może obwody. Na pewno nie kamienie. W każdym razie nie tylko.

– Ale to jest całkowicie bezwładne. Niech no puszczę...

– Może po prostu nas trochę podwieszysz? – Dokonałem w głowie szybkich obliczeń. – Jakieś sto metrów. Będzie nam praktycznie siedziało na szybie. I włącz zewnętrzne reflektory.

Vongsavath wbiła we mnie wzrok, który w jakiś sposób zdołał połączyć lekceważenie i groźbę. Nie było to zgodne z podręcznikowymi rekomendacjami. Co ważniejsze, prawdopodobnie jej system wciąż przepełniony był szalejącą adrenaliną. Takie rzeczy budzą w człowieku zrzędlivość.

– Już lecę – powiedziała w końcu.

Za oknami rozjarzyły się zewnętrzne reflektory.

Z pewnych względów nie był to najlepszy pomysł. Utwardzany, przezroczysty stop okien stworzono do warunków walki w próżni, co oznaczało, że mogły zatrzymać wszystko, oprócz najbardziej rozpędzonych mikrometeoroidów bez choćby porysowania powierzchni. Z pewnością nie mogło im zaszkodzić zetknięcie z czymś dryfującym. Ale przedmiot, który odbił się o nos *Nagini*, i tak wywołał wstrząs.

Stojąca za mną Tanya Wardani wydała z siebie piskliwy, szybko zdławiony jęk.

Choć przypalony i porozrywany przez ekstremalne zimno i brak ciśnienia na zewnątrz, obiekt mimo wszystko dawał się rozpoznać jako ciało ludzkie, ubrane stosownie do warunków lata na wybrzeżu Dangrek.



– Święty Boże – znów wyszeptała Vongsavath.

Patrzyła na nas pozbawiona oczu, przyczerniona twarz z pustymi oczodołami zamaskowanymi przez ciągnące się wokół pasma rozprysniętej, zamrożonej tkanki. Usta wypełniał krzyk, równie bezgłośny, jak musiał być w chwili, gdy jego właściciel próbował wyrazić głosem agonię rozpadu. Pod absurdalnie krzykliwą letnią koszulą ciało poznaczone było wypukłościami, które jak przypuszczałem, pochodziły od przebitego żołądka i jelit. Jedna ze szponiastych rąk stuknęła kostkami w szybę. Druga ręka odgięta była do tyłu, nad głowę, nogi wygięte, w przód i tył. Ktokolwiek to był, zginął, spadając w próżnię.

Zginął spadając.

Za moimi plecami cicho płakała Wardani.

Powtarzała jakieś imię.

\* \* \*

Resztę znaleźliśmy dzięki nadajnikom skafandrów, dryfujących przy dnie trzystumetrowego zagłębienia w strukturze kadłuba, zebranych wokół czegoś, co wyglądało jak brama dokująca. Było ich czworo, wszyscy mieli na sobie tanie, wciągane stroje próżniowe. Sądząc po ich wyglądzie, troje zginęło, kiedy skończyło się im powietrze, co według specyfikacji kombinezonów musiało zająć sześć do ośmiu godzin. Czwarty nie musiał czekać tak długo. Od lewej do prawej strony hełmu na wylot wypalona była elegancka, pięciocentymetrowa dziura. Przemysłowy palnik laserowy, który tego dokonał, wciąż wisiał przymocowany taśmą przy nadgarstku.

Vongsavath jeszcze raz wysłała do pracy wyposażonego w chwytak robota do odzyskiwania ludzkich szczątków. W milczeniu przyglądaliśmy się na ekranach, jak niewielkie urządzenie chwytające w ramiona każde z ciał i sprowadza je do *Nagini* z tą samą łagodnością i zwinnością, jaką stosowało przy bramie wobec spieczonych i poprzebijanych szczątków Tomasa Dhasanapongsakula. Tym razem, ponieważ ciała były owinięte w biel strojów próżniowych, wyglądało to prawie jak kosmiczny pogrzeb puszczony w przeciwną stronę. Martwi wynoszeni z głębokiej przestrzeni i odbierani w centralnej śluzie powietrznej *Nagini*.

Wardani nie potrafiła tego znieść. Zeszła do ładowni razem z resztą, kiedy Vongsavath otwierała zewnętrzny właz śluzy ze sterówki. Przyglądała się, jak Sutjadi i Luc Deprez odbierają ciała ubrane w kombinezony próżniowe. Jednak kiedy Deprez zerwał zamknięcia z pierwszego hełmu i odsłonił ukrytą wewnątrz twarz, zaczęła łkać zdławionym głosem i uciekła do najdalszego kąta ładowni. Słyszałem, jak wymiotuje. Powietrze wypełnił kwaśny odór.

Poszedł do niej Schneider.

– Tego też znasz? – zapytałem niepotrzebnie, wpatrując się w martwą twarz. Była to kobieta o ciele czterdziestolatki, z szeroko otwartymi oczami o oskarżycielskim spojrzeniu. Była zamrożona na kamień. Kark sztywno sterczał z pierścienia wieńczącego kombinezon, unosząc głowę nad pokładem. Elementy grzejne kombinezonu musiały działać trochę dłużej niż zapas powietrza, ale jeśli kobieta stanowiła część tego samego zespołu, który znaleźliśmy w sieciach trawlera, musiała tu być przynajmniej od roku. Nie robią kombinezonów, które zapewniłyby przetrwanie takiego okresu.

Schneider odpowiedział za panią archeolog.

– To Aribowo. Aribowo Pharintorn. Była w Dangrek naszą specjalistką od glifów.

Kiwnąłem głową w stronę Depreza. Odblokował pozostałe hełmy i je pozdejmował. Martwi patrzyli na nas, leżąc rzędem, z głowami uniesionymi, jakby brali udział w seansie jakiegoś grupowego treningu mięśni brzucha. Aribowo i trzech mężczyzn. Tylko oczy samobójcy były

zamknięte, z rysami twarzy ułożonymi w wyraz takiego spokoju, że miało się ochotę jeszcze raz sprawdzić obecność gładkiej, kauteryzowanej dziury, którą ten człowiek wypalił sobie przez własną czaszkę.

Patrząc na niego, zastanawiałem się, jak ja bym postąpił. Widząc, jak zamyka się za mną brama, wiedząc natychmiast, że będę musiał umrzeć tam w mroku. Wiedząc, że nawet gdyby natychmiast wysłano szybki statek ratunkowy dokładnie w te współrzędne, ratunek przyszedłby o całe miesiące za późno. Zastanawiałem się, czy miałbym dość odwagi, by czekać, wisząc w nieskończonej nocy z nadzieją, że nadejdzie cud.

Albo mieć odwagę, by nie czekać.

– To Weng. – Schneider wrócił i stał teraz tuż za moim ramieniem. – Nie pamiętam nazwiska. Też był jakimś specem od teorii glifów. Pozostałych nie znam.

Zerknąłem przez pokład do miejsca, gdzie kulila się pod ścianą Tanya Wardani, mocno obejmując się ramionami.

– Może zostawiłbyś ją w spokoju? – wysyczał Schneider.

Wzruszyłem ramionami.

– OK. Luc, wróć do śluzy i wpakuj Dhasanapongsakula do worka, zanim zacznie się roztopiać. Potem resztę. Pomogę ci. Sun, czy możesz zrobić przegląd boi? Sutjiadi, może byś jej pomógł. Chciałbym wiedzieć, czy w ogóle zdołamy wykorzystać ten cholerny sprzęt.

Sun ponuro kiwnęła głową.

– Hand, lepiej, żebyś zaczął myśleć o innych ewentualnościach, ponieważ jeśli ta boja jest spieprzona, będziemy potrzebować alternatywnego planu akcji.

– Czekaj chwilę. – Po raz pierwszy, od kiedy go spotkałem, Schneider wyglądał na szczerze przestraszonego. – Mamy tu zostać? Po tym, co stało się z tymi ludźmi, mamy tu zostać?

– Schneider, nie wiemy, co się stało z tymi ludźmi.

– Czy to nie oczywiste? Brama jest niestabilna, zamknęła się za nimi.

– To bzdury, Jan. – Przez chrypienie głosu Wardani przebijała siła, ton, który sprawił, że coś rozpalilo mi się w żołądku. Spojrzałem w jej stronę. Podniosła się na nogi, wycierając wierzchem dłoni twarz z łez i odrobinek wymiocin. – Ostatnim razem otworzyliśmy ją i była otwarta przez kilka dni. W sekwencji, którą puściłam wtedy i teraz, nie ma żadnych niestabilności.

– Tanya – Schneider chyba poczuł się zdradzony. Szeroko rozłożył ręce. – Mam na myśli...

– Nie wiem, co się tu stało, nie wiem, jakich – ostatnie słowa wydusiła z wysiłkiem – popieprzonych sekwencji glifów użyła Aribowo, ale nam się to nie zdarzy. Wiem, co robię.

– Z całym szacunkiem, madame Wardani – Sutjiadi rozejrzał się po twarzach zebranych, oceniając poparcie. – Przyznała pani, że nasza wiedza na temat tego artefaktu jest niekompletna. Nie bardzo widzę, jak może pani gwarantować...

– Jestem mistrzem Gildii. – Wardani sztywnym krokiem podeszła do ułożonych w rzędzie ciał, błyskając oczami. Wyglądało to tak, jakby wściekała się na nich za to, że dali się zabić. – Ta kobieta nie była. Weng Xiaodong nie był. Tomas Dhasanapongsakul nie był. Ci ludzie byli grzebaczami. Może i utalentowanymi, ale to nie wystarczy. Mam ponad siedemdziesiąt lat doświadczenia na polu archeologii marsjańskiej i jeśli mówię wam, że brama jest stabilna, to znaczy, że tak jest.

Potoczyła wokół siebie płonąącym wzrokiem. Nikt nie podjął dyskusji.

\* \* \*

Zatrucie z wybuchu nad Sauberville coraz mocniej dobierało się do moich komórek. Zanim

poradził mi się z ciałami, minęło więcej czasu, niż się spodziewałem. Z pewnością trwało to znacznie dłużej, niż powinno zająć oficerowi Klina Carrery, a kiedy schowek na ciała zamknął się wreszcie za nimi, poczułem się kompletnie wypompowany.

Jeśli Deprez czuł to samo, nie pokazywał tego po sobie. Może powłoki Maori trzymały się zgodnie ze specyfikacją. Powędrował przez ładownię do miejsca, gdzie Schneider pokazywał Jiangowi Jianpingowi jakąś sztuczkę z uprzążą grawitacyjną. Przez chwilę się wahałem, po czym odwróciłem się i ruszyłem w stronę drabiny na górny pokład, mając nadzieję, że w przedniej kabynie znajdę Tanyę Wardani.

Zamiast tego znalazłem Handa, który przyglądał się na głównym ekranie potężnemu korpusowi marsjańskiego statku, przesuwanego się wolno pod nami.

– Trzeba czasu, żeby się do tego przyzwyczaić, co?

W jego głosie brzmiał pełen chciwości entuzjizm. Zewnętrzne światła *Nagini* zapewniały oświetlenie na kilkaset metrów we wszystkie strony, ale w miarę jak struktura nikła w mroku, dalej miało się świadomość jej potęgi, przysłaniającej gwiazdy. Zdawała się ciągnąć w nieskończoność, wykrzywiając się pod dziwnymi kątami i wypuszczając odrośla jak bańki tuż przed pęknięciem, uniemożliwiając oczom odnalezienie granic czerni. Stało się tam i już myślało, że dostrzegło się krawędź, że widzi się słaby blask gwiazd. Wtedy błyski światła gasły lub przeskakiwały, i okazywało się, że to, co uważało się za gwiazdy, było tylko iluzją na powierzchni olbrzymiego cienia. Kadłuby statków kolonijnych floty Konrada Harlana zaliczały się do największych ruchomych struktur, jakie kiedykolwiek stworzyła ludzka nauka, ale temu pojazdowi mogłyby służyć jako szalupy ratunkowe. Nawet habitaty w systemie Nowego Bejingu nie dorównywały mu rozmiarami. To miało skalę, na którą nie byliśmy jeszcze gotowi. *Nagini* wisiała przy statku międzygwiazdowym jak mewa przy jednym z masowców, które przewoziły pięknorosty z Newpest do Millsport. Nic nie znaczyliśmy, maleńki, zdezorientowany pasażer na gapę.

Opadłem na fotel naprzeciw Handa i obróciłem go w stronę ekranu, czując przy tym drżenie rąk i kręgosłupa. Przenoszenie zwłok nie należało do przyjemnych, a kiedy pakowaliśmy do torby Dhasanapongsakula, zamrożone pasma tkanki ocznej, sterzące z jego oczodołów jak korał, odłamały się pod naciskiem mojej dłoni jak plastik. Poczułem przez folię, jak ustępują, i usłyszałem kruche dźwięki, jakie przy tym wydały.

Ten ledwie słyszalny dźwięk, cichy świergot szczegółowych konsekwencji śmierci, zablokował we mnie większość podziwu, jaki odczuwałem wcześniej wobec olbrzymich rozmiarów marsjańskiego statku.

– Po prostu większa wersja barki kolonizacyjnej – stwierdziłem. – Teoretycznie my też moglibyśmy takie budować. Tylko że trudniej jest nadać przyspieszenie takiej masie.

– Najwyraźniej dla nich nie był to problem.

– Najwyraźniej.

– Więc myślisz, że to właśnie statek kolonizacyjny?

Wzruszyłem ramionami, starając się okazywać luz, którego nie czułem.

– Istnieje ograniczona liczba powodów, dla których ktoś chciałby zbudować coś tak wielkiego, bo taka konstrukcja może służyć tylko do transportu albo mieszkania. A trudno jest wymyślić powód, dla którego mieliby zbudować habitat tak daleko w przestrzeni. Nie ma tu nic, co można by badać, ani żadnych surowców do wydobywania.

– Jeśli to barka kolonijna, trudno zgadnąć, dlaczego tutaj zaparkowali.

*Strzyku-strzyk.*

Zamknąłem oczy.

– Dlaczego chcesz wiedzieć, Hand? Kiedy wrócimy, to coś zniknie w jakimś korporacyjnym doku na asteroidzie. Nikt z nas nigdy więcej tego nie zobaczy. Chyba nie zamierzasz się przywiązać? Dostaniesz swój procent, bonus czy cokolwiek cię tam motywuje.

– Myślisz, że nie jestem ciekaw?

– Myślę, że to nie ma dla ciebie znaczenia.

Potem nic już nie mówił do czasu, aż Sun wróciła z ładowni ze złą nowiną. Wyglądało na to, że boja została nieodwracalnie uszkodzona.

– Nadaje sygnały – powiedziała. – I przy odrobinie wysiłku można naprawić silniki. Potrzebuje nowego generatora zasilającego, ale myślę, że mogę odpowiednio zmodyfikować jeden z generatorów skuterów. Ale systemy lokalizacyjne są do niczego i nie mamy ani narzędzi, ani materiałów, żeby je naprawić. Bez nich boja nie utrzyma pozycji. Nawet podmuch z naszych silników prawdopodobnie pchnąłby ją gdzieś w kosmos.

– A gdybyśmy wypuścili ją już po odpaleniu silników? – Hand popatrzył na Sun, potem na mnie i znów na nią. – Vongsavath może wyliczyć trajektorię i pchnąć nas, a potem wypuścić boję, kiedy już będziemy w ruchu. A...

– Wtedy – zakończyłem za niego – wektor ruchu, którego boja nabierze w chwili, kiedy ją wyrzucimy, wystarczy, żeby i tak oddryfowała, prawda, Sun?

– Tak jest.

– A jeśli ją przymocujemy?

Uśmiechnąłem się bez rozbawienia.

– Przymocować? Gdzie byłeś, kiedy nanoby próbowały się przyczepić do bramy?

– No cóż, będziemy musieli wymyślić jakiś sposób – stwierdził defensywnie. – Nie wrócimy do domu z pustymi rękami. Nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko.

– Spróbuj przyspawać coś do tego statku, a w ogóle nie wrócimy do domu, Hand. Dobrze o tym wiesz.

– W takim razie – jego głos podniósł się nagle do krzyku – musi być jakiś inny sposób!!

– I jest.

Tanya Wardani stała we włączce do kokpitu, gdzie uciekła na czas chowania trupów. Wciąż była blada i miała zaczerwienione oczy, ale spod tego wszystkiego przebijał niemal eteryczny spokój, jakiego nie widziałem, od kiedy wyciągnęliśmy ją z obozu.

– Madame Wardani. – Hand rozejrzał się po kabinie, jakby chciał sprawdzić, kto jeszcze był świadkiem tego, że stracił panowanie nad sobą. – Chce nam pani coś zaproponować?

– Tak. Jeśli Sun Liping może naprawić systemy zasilania boi, z pewnością możemy ją tam umieścić.

– Gdzie ją umieścić? – zapytałem.

Uśmiechnęła się lekko.

– Wewnątrz.

Na chwilę zapadła cisza.

– Wewnątrz – kiwnąłem głową w stronę ekranu, na niekończące się kilometry obcej struktury – tego?

– Tak. Możemy wejść przez stanowisko załadunkowe i zostawić boję gdzieś w bezpiecznym miejscu. Nie ma powodu zakładać, że kadłub nie przepuszcza fal radiowych, przynajmniej w niektórych miejscach. Większość marsjańskich struktur jest przezroczysta dla radia. Zresztą i tak możemy testować transmisję, aż znajdziemy odpowiednie miejsce.

– Sun. – Hand znów patrzył na ekran, niemal w rozmarzeniu. – Ile czasu potrzeba, żeby dokonać

napraw systemu zasilania?

– Jakież osiem do dziesięciu godzin. Na pewno nie więcej niż dwanaście. – Sun obróciła się do pani archeolog. – Ile czasu pani potrzebuje, madame Wardani, na otwarcie doku ładunkowego?

– Och. – Wardani zaprezentowała nam kolejny dziwny uśmiech. – Już jest otwarty.

Miałem tylko jedną szansę, by z nią porozmawiać, zanim przygotujemy się do dokowania. Spotkałem ją, gdy szła do toalety statku, dziesięć minut po pospiesznej i dyktatorskiej odprawie, jaką Hand urządził dla wszystkich na dole. Stała plecami do mnie i zderzyliśmy się niezgrabnie w wąskim korytarzyku. Odwróciła się z krzykiem i zauważyłem, że na jej czole lśniły kropelki potu, prawdopodobnie wynik kolejnych torsji. Jej oddech brzydko pachniał, a zza drzwi za jej plecami dochodził kwaśny odór wymiocin.

Zauważyła, w jaki sposób na nią patrzę.

– Co?

– Dobrze się czujesz?

– Nie, Kovacs. Umieram. A co u ciebie?

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Och, tylko nie ty! Myślałam, że wyjaśniłam już wszystko z Sutjiadim i Schneiderem.

W milczeniu przyglądałem się gorączkowemu błyskom w jej oczach. Westchnęła.

– Słuchaj, jeśli to usatysfakcjonuje Handa i umożliwi nam powrót do domu, to tak, to dobry pomysł. I zdecydowanie jest to bezpieczniejsze niż próba przymocowania boi do kadłuba.

Potrząsnąłem głową.

– Nie o to chodzi.

– Nie?

– Nie. Chcesz zobaczyć wewnątrz tego czegoś, zanim Mandrake zwinie to do jakiegoś tajnego doku. Chcesz to osiąść, choćby na kilka godzin. Prawda?

– A ty nie?

– Myślę, że nie licząc Sutjiadiego i Schneidera, wszyscy chcemy. – Wiedziałem, że Cruickshank na pewno miałaby na to ochotę; widziałem blask w jej oczach na samą myśl. Budzący się entuzjazm, który wykazywała przy relingu trawlera. To samo zdumienie, które dostrzegłem na jej twarzy, kiedy patrzyła na odliczanie aktywowanej bramy w jeszcze nieodsłoniętej jaskini. Może dlatego właśnie wcale nie protestowałem, jeśli nie liczyć tej rozmowy prowadzonej w ciężkim odorze wymiocin. Może byłem to komuś winien.

– W takim razie. – Wardani wzruszyła ramionami. – W czym problem?

– Wiesz, na czym polega problem.

Parsknęła niecierpliwie i ruszyła, żeby się przepchnąć obok mnie. Nie odsunąłem się ani na krok.

– Kovacs, zejdz mi z drogi – wysyczała. – Za pięć minut lądujemy i muszę być w kokpicie.

– Tanya, czemu oni nie weszli do środka?

– Już o tym roz...

– Bzdury, Tanya. Urządzenia Ameli rejestrują w środku atmosferę nadającą się do oddychania. Znaleźli sposób na otwarcie systemu dokującego albo już go takim zastali. A potem czekali tutaj na śmierć, aż skończy się im powietrze w kombinezonach. Czemu nie weszli do środka?

– Byłeś na odprawie. Nie mieli jedzenia, nie mieli...

– Tak, słyszałem, jak wymyślasz tony bardzo mądrych wyjaśnień, ale nie usłyszałem nic na temat tego, czemu czworo archeologów wołało raczej zginąć w swoich kombinezonach kosmicznych,

niż spędzić ostatnie godziny, wędrując po największym odkryciu archeologicznym w historii ludzkości.

Przez chwilę się zawahała i zobaczyłem w jej oczach kobietę przy wodospadzie. Potem wrócił do nich gorączkowy blask.

– Dlaczego mnie o to pytasz? Czemu nie włączysz po prostu jednego z zestawów IOO i ich, cholera, nie spytasz? Mają całe stosy, prawda?

– Zestawy IOO są spieprzone, Tanya. Zniszczone wyciekami razem z bojami. Więc pytam cię jeszcze raz, czemu nie weszli do środka?

Znów umilkła i odwróciła wzrok. Wydało mi się, że kątem oka dostrzegłem, jak drży. Podniosła na mnie wzrok z tym samym spokojem, który widziałem w obozie.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – A skoro nie możemy ich zapytać, to w takim razie przychodzi mi na myśl tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– Tak. – Ze znużeniem odsunąłem się od niej. – A przecież o to w tym wszystkim właśnie chodzi, prawda? Dowiadywanie się. Odkrywanie historii. Niesienie pieprzonego kaganka ludzkiej oświaty. Nie interesują cię pieniądze, nie obchodzi cię, kto będzie miał prawa własności, i z pewnością nie przeszkadza ci fakt, że umierasz. Więc czemu miałoby to obchodzić kogoś innego, prawda?

Zadygotała, ale tylko przez moment, i natychmiast się uspokoiła. A potem odwróciła się, zostawiając mnie wpatrzonego w blade światło płytki iluminium, o którą się opierała.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Było jak w delirium.

Pamiętam, jak kiedyś przeczytałem, że kiedy archeolodzy po raz pierwszy dostali się do podziemnych mauzoleów na Marsie, uznanych później za miasta, spory ich procent oszalał. Załamanie nerwowe było wtedy chorobą zawodową archeologów. W poszukiwaniu kluczy do zrozumienia marsjańskiej cywilizacji poświęcono niektóre z najlepszych umysłów tamtego stulecia. Niezlamani i ściągnięci do szalejącej choroby umysłowej w sposób, w jaki zawsze kończą archetypiczne czarne charaktery w horrorach sensoryjnych. Otepiali. Starci z ostrej jak brzytwa intelektualnej sprawności do lekko przytępionej, trochę rozmytej i rozproszonej ogólnikowości. Przytrafiało im się to tuzinami. Zdarci psychicznie przez stały kontakt z pozostałościami nieznanymi umysłów. Gildia zużywała ich jak skalpele chirurgiczne wbijane w wirujący kamień szlifierski.

– No cóż, przypuszczam, że skoro pani może lecieć... – odezwał się Luc Deprez, patrząc bez entuzjazmu na Tanyę Wardani.

Emanował irytacją i zmieszaniem. Przypuszczam, że miał ten sam problem z wyliczeniem potencjalnych możliwości pułapek, co ja. Kiedy warunkowanie bojowe wchodzi tak głęboko, niemożność robienia tego, do czego zostało się wyszkolonym, doprowadza człowieka do szału, jak przy rzuceniu nikotyny. A wypatrzenie pułapki w marsjańskiej architekturze przypominało próbę złapania ślizgownicy z Mitcham Point gołymi rękami.

Od potężnego i wystającego z komory hangaru progu wewnętrzna struktura statku rosła w górę i wokół nas, nie przypominając niczego, co kiedykolwiek widziałem. Szukając jakichś porównań, mój umysł przywołał obraz z dzieciństwa w Newpest. Którejś wiosny, nurkując przy rafie Hirata od strony Głębi, dorobiłem się paskudnej blizny, kiedy przewód doprowadzający mojego łatanego i wielokrotnie naprawianego kombinezonu zahaczył o wystający koral na głębokości piętnastu metrów. Widząc, jak powietrze gwałtownie ucieka przez dziurę w burzy srebrzystych baniek, zastanawiałem się przez chwilę, jak takie zjawisko mogłoby wyglądać od wewnątrz.

Teraz już wiedziałem.

Te bańki były zamrożone w bezruchu, zabarwione perłowymi odcieniami błękitu i różu w miejscach, gdzie pod ich powierzchnią jarzyły się niewyraźne źródła światła, ale poza tą zasadniczą różnicą w czasie trwania, były równie chaotyczne jak mój uciekający tamtego dnia zapas powietrza. Zdawało się, że nie ma żadnej architektonicznej prawidłowości czy logiki w sposobie, w jaki się łączyły. Miejscami stykały się tylko na metr, gdzie indziej zakrzywione ściany po prostu przerywały krzywiznę tam, gdzie napotykały obwód sąsiada. W miejscu, gdzie wlecieliśmy, sufit nigdy nie opadał niżej niż na dwadzieścia metrów.

– Przynajmniej podłoga jest płaska – wymamrotała Sun Liping, klękając, by pogłodzić błyszczącą powierzchnię pod stopami. – I mieli... mają... generatory grawitacyjne.

– Pochodzenie gatunków. – Głos Tanyi Wardani huczał trochę w katedralnej pustce. – Wyewoluowali w studni grawitacyjnej, dokładnie tak samo jak my. Na dłuższą metę nieważkość nie jest zdrowa, niezależnie od tego, ile sprawia radości. A skoro ma się grawitację, potrzeba płaskich powierzchni, na których można kłaść różne przedmioty. Czysty racjonalizm. Tak samo jak komora dokowa. Wszyscy mogą sobie chcieć rozprostowywać skrzydła, ale żeby zaparkować statek kosmiczny, potrzeba linii prostych.

Wszyscy zerknęliśmy w tył, na szczelinę, przez którą weszliśmy. W porównaniu do miejsca, gdzie staliśmy teraz, krzywizny stacji dokującej były praktycznie skromne. Długie, pochyłe ściany wypuczone na zewnątrz jak rozciągnięte, śpiące na sobie węże z dwumetrową warstwą tłuszczu.

Zwoje tylko nieznacznie odchyłały się od linii prostej, jakby nawet mimo ograniczeń funkcjonalnych doku marsjańscy stocznioowcy nie byli w stanie oprzeć się organicznemu ozdobnikowi. Wprowadzenie dokującego pojazdu przez coraz gęstsza atmosferę utrzymywaną w miejscu przez jakieś urządzenia w nierównych ścianach nie wiązało się z żadnym niebezpieczeństwem, ale patrząc na boki, i tak miało się wrażenie, że zapuszcza się we wnętrzości jakiegoś śpiącego potwora.

Delirium.

Czułem, jak to drażni lekko górne krawędzie mojego pola widzenia, odsysając łagodnie gałki oczne i wzbudzając we mnie luźne wrażenie opuchlizny za czołem. Przypominało to trochę tanie wirtualizacje, których używałem do gier w czasach, gdy jeszcze byłem dzieckiem, te w których konstrukt nie pozwalał postaci podnieść wzroku wyżej niż kilka stopni nad horyzont, nawet jeśli tam właśnie miał go zabrać następny etap gry. Tutaj czułem to samo, obietnicę tępego bólu za oczami od nieustannych prób dostrzeżenia, co znajduje się wyżej. Świadomość istnienia nad głową przestrzeni, którą ciągle chce się sprawdzać.

Krzywizna błyszczących powierzchni wokół nas dokładała do tego przechył, luźne wrażenie, że za chwilę się wywróci i że właściwie w tym zgrzytliwie obcym otoczeniu chyba najlepiej byłoby się wywrócić i spokojnie poleżeć. Że cała ta nedorzeczna struktura ma grubość skorupki jajka i w każdej chwili może się rozpaść, jeśli tylko zrobi się coś niewłaściwego, a to może się skończyć wypluciem w kosmos.

Delirium.

Lepiej się do tego przyzwyczaić.

Pomieszczenie nie było puste. Na granicy równej powierzchni z podłogi wylaniały się szkieletowe konstrukcje przypominające rusztowania. Przypomniałem sobie holozdjęcia z programu, który oglądałem jako dziecko, przedstawiające marsjańskie grzędy, łącznie z wygenerowanymi na nich wirtualnymi Marsjanami. Tutaj fakt, że grzędy były puste, nadawał każdej ze struktur wrażenie niesamowitego wymizerowania i nagości, co bynajmniej nie pomagało na czający się na karku niepokój.

– Zostały złożone – wymamrotała Wardani, patrząc do przodu. Wyglądała na zdziwioną.

Przy dolnych krzywiznach bańkowej ściany stały pod najwyraźniej złożonymi prętami grzęd jakieś maszyny, których funkcji nie byłem w stanie nawet odgadnąć. Większość z nich wyglądała kolczasto i agresywnie, ale kiedy Wardani przeszła obok jednej, ta tylko zaszemrała cicho i przesunęła część ze swoich kolców.

Plastikowy grzechot i szybko wznoszący się jęk – w dłoniach wszystkich obecnych w pustej komorze natychmiast pojawiła się broń.

– Och, na miłość boską. – Wardani ledwie rzuciła spojrzeniem za siebie. – Odprężcie się, dobrze? To śpi. To maszyna.

Schowałem kałasznikowa i wrzuciłem ramionami. Deprez zauważył mój wzrok i wyszczerzył zęby.

– Maszyna do czego? – chciał wiedzieć Hand.

Tym razem Wardani się obejrzała.

– Nie wiem – sapnęła zmęczonym głosem. – Daj mi kilka dni i w pełni wyposażoną ekipę laboratoryjną, a może będę mogła ci powiedzieć. W tej chwili mogę jedynie stwierdzić, że jest uśpiona.

Sutjiadi podszedł kilka kroków bliżej, trzymając w dłoniach gotowego do strzału sunjeta.

– Skąd pani o tym wie?

– Bo gdyby tak nie było, to proszę mi wierzyć, że już musielibyśmy nawiązać z nią jakieś



interakcje. A poza tym, czy może pan sobie wyobrazić kogoś ze skrzydłami wznoszącymi się metr nad ramiona, kto umieszcza aktywną maszynę tak blisko zakrzywionej ściany? Mówię wam, całe to miejsce zostało przygotowane do wyjazdu. Spakowane.

– Madame Wardani ma chyba rację – stwierdziła Sun, obracając się wokół własnej osi z podniesionym ramieniem, do którego miała przyczepiony zestaw pomiarowy Nuhanovica. – W ścianach są wykrywalne obwody, ale większość z nich jest nieaktywna.

– Coś musi tym wszystkim sterować. – Ameli Vongsavath stała z rękami w kieszeniach, wpatrując się w przestrzeń w centrum komory. – Mamy nadające się do oddychania powietrze. Trochę rzadkie, ale ciepłe. Zresztą całe to miejsce musi być jakoś ogrzewane.

– Systemy nadzorcze. – Tanya Wardani zdawała się tracić zainteresowanie maszynami. Podeszła z powrotem do grupy. – Miało je też sporo z głębiej zakopanych miast na Marsie i Ziemi Nkrumaha.

– Po takim czasie? – Sutjiadi nie wyglądał na szczęśliwego.

Wardani westchnęła. Wskazała kciukiem w stronę wejścia do doku.

– Kapitanie, to nie są czary. Te same systemy działają dla nas na stojącej tam *Nagini*. Jeśli wszyscy zginiemy, ona będzie tam siedzieć przez dobre kilka stuleci i czekać, aż ktoś wróci.

– Tak, a jeśli będzie to ktoś, kto nie ma kodów, rozwali go na strzępy. To mnie nie uspokaja, madame Wardani.

– Cóż, może na tym polega różnica między nami i Marsjanami. Trochę cywilizacyjnego wyrafinowania.

– I lepsze baterie – dorzuciłem. – To wszystko działa znacznie dłużej, niż mogłaby *Nagini*.

– Co z przepuszczalnością fal radiowych? – zapytał Hand.

Sun pomajstrowała przy systemie Nuhanovica. Bardziej masywne części zamontowanego na jej ramieniu sprzętu badawczego zamigotały. W powietrzu nad wierzchem jej dłoni pojawiły się symbole. Wzruszyła ramionami.

– Nie jest zbyt dobra. Ledwie odbieram sygnał nawigacyjny z *Nagini*, a ona stoi po drugiej stronie ściany. Przypuszczam, że to ekranowanie. Jesteśmy w doku i blisko kadłuba. Wydaje mi się, że musimy wejść trochę głębiej.

Zauważyłem wymianę zaniepokojonych spojrzeń między członkami grupy. Deprez dostrzegł to i uśmiechnął się lekko.

– W takim razie, kto chce się za to zabrać? – zapytał spokojnie.

– To chyba nie jest dobry pomysł – stwierdził Hand.

Wyszedłem z formacji obronnej, którą instynktownie stworzyliśmy, przeszedłem między dwoma prętami grzęd i sięgnąłem do brzegu otworu nad głową. Kiedy podciągałem się do góry, przez moje ciało przewaliły się fale zmęczenia i lekkich mdłości, ale teraz już się ich spodziewałem, więc zablokowała je neurochemia.

Przestrzeń po drugiej stronie była pusta. Nawet śladu kurzu.

– Może to i nie jest dobry pomysł – zgodziłem się, opadając z powrotem. – Ale ile istot ludzkich będzie miało taką szansę w tej części następnego tysiąclecia? Potrzebujesz dziesięciu godzin, prawda, Sun?

– Co najwyżej.

– A sądzisz, że możesz stworzyć nam przyzwoitą mapę przy pomocy tego czegoś? – wskazałem na zestaw Nuhanovica.

– Wysoce prawdopodobne. To najlepsze oprogramowanie analizujące, jakie można kupić za pieniądze. – Pokłoniła się lekko w stronę Handa. – Inteligentne systemy Nuhanovica. Nie produkują

nic lepszego.

Przeniosłem wzrok na Ameli Vongsavath.

– Systemy uzbrojenia *Nagini* są aktywne i zabezpieczone?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Przy parametrach, jakie ustawiłam, mogłaby odeprzeć pełen atak taktyczny bez pomocy z naszej strony.

– No cóż, w takim razie mamy jednodniowy bilet do Koralowego Zamku. – Rzuciłem spojrzenie Sutjiadiemu. – Oczywiście ci z nas, którzy zechcą.

Rozglądając się wokół, stwierdziłem, że pomysł zaczyna się przyjmować. Deprez już to kupił, z twarzą i postawą zdradzającą ciekawość, ale z wolna i pozostali zaczęli zapalać się do wyprawy. Wszystkie głowy obracały się, by przyjrzeć się obcej architekturze, a żelazne rysy miękły pod wpływem zdumienia. Nawet Sutjiadi nie potrafił całkiem się temu oprzeć. Ponura ostrożność, którą zachowywał od chwili, gdy pierwszy raz wciągnęliśmy w płuca górne warstwy atmosfery komory hangaru, zaczynała się roztopiać. Lęk przed nieznanym odpływał, skasowany przez coś znacznie mocniejszego.

Małpią ciekawość. Cecha, którą pogardliwie wypomniałem Wardani, kiedy przybyliśmy na plażę koło Sauberville. Łobuzerska, świergocąca inteligencja istoty dzungli, która z radością wspięłaby się na tkwiące tam od niepamiętnych czasów, antyczne kamienne posągi i wsadzała palce do pustych oczodołów tylko po to, żeby sprawdzić, co jest w środku. Kryształowo czyste pragnienie wiedzy. To właśnie przyгнаło nas tutaj, całą drogę z trawiastych równin centralnej Afryki. To właśnie prawdopodobnie któregoś dnia pchnie nas tak daleko, że dostaniemy się tam przed światłem Słońca z czasów tych afrykańskich dni.

Hand stanął na środku, upozowany na wodza.

– Może najpierw ustalmy jakieś priorytety – powiedział ostrożnie. – Sympatyzuję z waszymi pragnieniami obejrzenia tego pojazdu, sam chciałbym go zobaczyć, ale naszym zasadniczym zadaniem jest znalezienie bezpiecznego miejsca na umieszczenie boi. Tym musimy się zająć przede wszystkim, i sugeruję, żebyśmy zrobili to razem. – Obrócił się do Sutjiadiego. – Potem możemy podzielić się na grupy eksploracyjne. Kapitanie?

Sutjiadi kiwnął głową, ale był to nietypowy jak na niego nieznaczny ruch. Podobnie jak reszta, nie zwracał już tak naprawdę uwagi na ludzkie częstotliwości.

\* \* \*

Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości na temat stanu kadłuba marsjańskiego statku, kilka godzin w zmrożonych bańkach jego architektury wystarczyło, by całkowicie o nich zapomnieć. Przeszliśmy ponad kilometr, skręcając w losowo wybrane przejścia między komorami. W niektórych miejscach połączenia znajdowały się mniej więcej na poziomie podłogi, ale gdzie indziej wycięto je tak wysoko, że Wardani lub Sun musiały włączać uprząż grawitacyjną i wzbijać się wysoko, żeby móc tam zajrzeć. Jiang i Deprez przyjęli na siebie sprawdzanie wejścia do każdej kolejnej komory z symetryczną skutecznością zabójców.

Nie znaleźliśmy niczego, co moglibyśmy uznać za żywe.

Maszyny, na które się natykaliśmy, zupełnie nas ignorowały, a nikt z nas nie miał ochoty zbliżyć się do nich dostatecznie, by wywołać żywszą reakcję.

W miarę jak wchodziliśmy coraz głębiej w masyw statku, znajdowaliśmy struktury, które przy odrobinie wyobraźni można by nazwać korytarzami – długie, bulwiaste przestrzenie z jajowatymi

wejściami na obu końcach. Wyglądało, jakby do ich budowy zastosowano tę samą technikę, co do wielkich komór, z nieznaczną modyfikacją.

– Wiesz, czym to wszystko jest? – odezwałem się do Wardani, kiedy czekaliśmy, aż Sun sprawdzi kolejny otwór wysoko w górze. – To jak aerożel. Jakby budowali tylko podstawową ramę, a potem... – potrząsnąłem głową. Idea uparcie nie chciała dać się przybrać w słowa. – Nie wiem, po prostu wpuścili do środka kilka kilometrów sześciennych wysokowytrzymałego aerożelu i poczekali, aż stwardnieje.

Wardani uśmiechnęła się lekko.

– Owszem, możliwe. Coś w tym stylu. To oczywiście umieszczaloby ich naukę o plastyczności zdecydowanie wyżej niż naszą, nieprawdaż? Skoro potrafili modelować piany na taką skalę.

– Może nie. – Obmacywałem kształty rodzącej się idei, czując jej liczne jak w origami krawędzie. – Szczegółowa struktura nie miałaby tu znaczenia. Wystarczyłoby cokolwiek, co się ukształtowało. Potem tylko trzeba wypełnić przestrzeń niezbędnymi rzeczami. Sterowniki, systemy podtrzymywania życia, broń...

– Broń? – Popatrzyła na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Czy to musi być statek bojowy?

– Nie, to był przykład. Ale...

– Coś tu jest – odezwała się Sun przez słuchawki. – Jakiś rodzaj drzewa albo...

Trudno wyjaśnić, co nastąpiło potem.

Usłyszałem nadchodzący dźwięk.

Z absolutną pewnością wiedziałem, co usłyszę, na ułamki sekund zanim w powietrzu z bańki badanej przez Sun dobiegł do nas niski ton. Wiedza była dziwnie niewzruszona, słyszana jak echo rzucone wbrew powolnemu upływowi mijającego czasu. Jeśli była to emisariuszowska intuicja, działała na poziomie wydajności, z jakim dotąd zetknąłem się tylko w snach.

– Śpiewodrzewa – wyszeptała Wardani.

Przysłuchiwałem się gasnącym echom, odrzucając odczuwany przed chwilą dreszcz przeczucia, i nagle zapragnąłem znaleźć się z powrotem po drugiej stronie bramy, mając przeciw sobie przyziemne niebezpieczeństwa w postaci systemu nanobów i opadu radioaktywnego z zamordowanego Sauberville.

Wiśnie i musztarda. Niewytłumaczalna mieszanka aromatów spływających w dół pod wpływem dźwięków. Jiang podniósł swojego sunjeta.

Zazwyczaj nieruchome oblicze Sutjadiego się zmarszczyło.

– Co to jest?

– Śpiewodrzewa – powiedziałem, przysłaniając własny niepokój aurą wiedzy i doświadczenia.

– Coś w rodzaju marsjańskiej rośliny doniczkowej.

Widziałem kiedyś jedną taką na Ziemi. Wykopaną z marsjańskiej skały, z której wyrosła w ciągu poprzednich kilku tysięcy lat, i ustawioną na cokole jako dzieło sztuki u bogacza. Wciąż śpiewała, gdy cokolwiek jej dotknęło, choćby powiew, wydzielając wiśniowo-musztardowy zapach. Nie żywa, nie martwa, niepodlegająca żadnym kategoriom ludzkiej nauki.

– Jak to jest przymocowane? – chciała wiedzieć Wardani.

– Wyrasta ze ścian – głos Sun wrócił zabarwiony znajomym już zdumieniem. – Jak jakiś rodzaj koralu...

Wardani cofnęła się o krok, robiąc sobie miejsce na start, i sięgnęła do napędu uprząży grawitacyjnej. Powietrze przeszył jęk aktywujących się generatorów.

– Lecę tam.

– Chwileczkę, madame Wardani – Hand przysunął się, blokując jej miejsce. – Sun, jest tam jakieś przejście?

– Nie, cała bańka jest zamknięta.

– W takim razie wracaj na dół. – Podniósł rękę, żeby wyprzedzić Wardani. – Nie mamy na to czasu. Później, jeśli będzie pani miała ochotę, może pani tu wrócić, kiedy Sun będzie naprawiać boję. W tej chwili musimy znaleźć bezpieczne miejsce do transmisji.

Na twarzy pani archeolog pojawił się lekko buntowniczy wyraz, ale była zbyt zmęczona, żeby naciskać. Wyłączyła silniki grawitacyjne – gasnący jęk maszynowego zawodu – i odwróciła się, mamrocząc pod nosem coś, co podryfowało w górę nad jej ramieniem prawie jak aromat wiśni i musztardy. Oddaliła się od dyrektora Mandrake w stronę wyjścia. Stojący jej na drodze Jiang zawahał się przez chwilę, potem ją przepuścił. Westchnąłem.

– Brawo, Hand. Ona jest tu jakby miejscowym przewodnikiem – machnąłem ręką dookoła – a ty chcesz ją wkurzyć. Nauczyli cię tego, kiedy zajmowałeś się tym swoim doktoratem z inwestycji konfliktowych? Mówili, że trzeba wkurzać ekspertów przy każdej możliwej okazji?

– Nie – odpowiedział bezbarwnie. – Ale nauczyli mnie nie tracić czasu.

– Słusznie. – Ruszyłem za Wardani i dogoniłem ją na początku korytarza wychodzącego z komory. – Hej, poczekaj. Wardani. Wardani, uspokój się, dobrze? Facet to dupek i co z tym zrobisz?

– Pieprzony kupczyk.

– No cóż, tak. Ale on też jest powodem, dla którego w ogóle tu jesteśmy. Nie powinnaś lekceważyć siły handlu.

– A ty co, jesteś teraz pieprzonym filozofem ekonomii?

– Ja... – Stałem. – Słuchaj...

– Nie, jeszcze nie skon...

– Nie, słuchaj. – Podniosłem rękę i wskazałem wzdłuż korytarza. – Tam. Słyszysz to?

– Niczego nie sły... – Umilkła. Do tego czasu neurochemia wzmocniła dla mnie dźwięk tak, że nie miałem już najmniejszej wątpliwości.

Gdzieś dalej w korytarzu coś śpiewało.

\* \* \*

Znaleźliśmy je dwie komory dalej. Cały las śpiewodrzew bonsai, wyrastających z podłogi i dolnych części krzywizny wylotu korytarza, w miejscu gdzie łączył się z główną bańką. Drzewa wyglądały, jakby przebiły się przez zasadniczą strukturę pojazdu z podłogi wokół złącza, choć przy ich korzeniach nie było widać żadnych śladów uszkodzeń, jakby materiał kadłuba zamknął się wokół nich jak zagojona tkanka. Najbliższa maszyna stała w pełnej szacunku odległości dziesięciu metrów, skurczona w korytarzu.

Pieśń emitowana przez drzewa najbardziej przypominała dźwięk skrzypiec, ale odtwarzany z nieskończenie powolnym przesuwem pojedynczych włosów smyczka przez mostek i bez żadnej melodii, jaką mógłbym wyłapać. Dźwięk rozbrzmiewał na najcichszych poziomach słyszalności, ale za każdym razem, kiedy narastał, czułem, jak coś przewraca mi się w żołądku.

– Powietrze – powiedziała cicho Wardani. Goniła mnie przez bulwiaste korytarze i bankowe komnaty, a teraz przykucnęła przed słupkami śpiewodrzew, bez tchu, ale z błyszczącymi oczami. – Musi tu zachodzić konwekcja z innego poziomu. One śpiewają tylko przy kontakcie powierzchniowym.

Słumiłem w sobie niechciany dreszcz.

– Jak myślisz, ile mają lat?

– Kto wie? – Z powrotem się wyprostowała. – Jeśli cały czas było tu planetarne pole grawitacyjne, to powiedziałabym, że mają nie więcej niż kilka tysięcy. Ale tak nie jest. – Zrobiła krok do tyłu i potrząsnęła głową, przykładając dłoń do policzka i zasłaniając usta palcami, jakby chciała się powstrzymać przed wypowiedzeniem pochopnej opinii. Czekałem. W końcu zabrała dłoń i z wahaniem wskazała. – Przyjrzyj się wzorom gałęzi. One nie... Zazwyczaj nie rosną w ten sposób. Nie tak powyginane.

Spojrzałem w stronę, którą wskazywała. Najwyższe z drzew sięgały mniej więcej do moich piersi, wysuwając z centralnego pnia wrzecionowate, czerwono-czarne kamienne konary w obfitości, która zdawała się znacznie bujniejsza i zawila niż ta, jaką widziałem u muzealnego okazu na Ziemi. Otaczające je inne, mniejsze drzewa naśladowały wzór, za wyjątkiem...

Dogoniła nas reszta towarzystwa, z Deprezem i Handem na czele.

– Gdzie żeście, do diabła... Och.

Delikatny śpiew drzew przybrał na sile o niemal niezauważalny ułamek, ożywiony prądami powietrza wywołanymi ruchem ciał przez komorę. Pod wpływem wydawanego przez nie dźwięku poczułem lekką suchość w gardle.

– Tylko im się przyglądam, Hand, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Madame Wardani...

Rzuciłem dyrektorowi ostrzegawcze spojrzenie.

Deprez podszedł i stanął za panią archeolog.

– Czy one są niebezpieczne?

– Nie wiem. Normalnie nie, ale...

Wreszcie zrozumiałem, co cały czas nie dawało mi spokoju, domagając się uwagi tuż pod powierzchnią świadomości.

– One rosną ku sobie nawzajem. Spójrzcie na gałęzie na tych mniejszych. Wszystkie rosną w górę i na zewnątrz. Te wyższe rozgałęziają się we wszystkie strony.

– To sugeruje jakiś rodzaj komunikacji. Integralny system relacyjny. – Sun obeszła grupę drzew, analizując je przy pomocy skanera emisji na ramieniu. – Chociaż, hmm...

– Nie znajdziesz żadnego promieniowania – rzuciła Wardani prawie sennie. – Wchłaniają je jak gąbki. Całkowita absorpcja wszystkiego oprócz światła w zakresie czerwieni. Sądząc na podstawie składu mineralnego, zewnętrzna powierzchnia w ogóle nie powinna być czerwona. Powinny odbijać całe spektrum.

– Ale tego nie robią. – Hand powiedział to w taki sposób, jakby zastanawiał się nad aresztowaniem drzew za to przestępstwo. – Czemu tak jest, madame Wardani?

– Gdybym to wiedziała, byłabym już prezesem Gildii. O śpiewodrzewach wiemy mniej niż praktycznie o każdym innym aspekcie marsjańskiej biosfery. Prawdę mówiąc, nie mamy nawet pojęcia, czy można je zaliczyć do biosfery.

– One rosną, prawda?

Zauważyłem, jak Wardani uśmiecha się szyderczo.

– Kryształły też. Co wcale nie oznacza, że żyją.

– Nie wiem, co o tym sądzi reszta – odezwała się Ameli Vongsavath, stukając w śpiewodrzewa swoim sunjetem – ale dla mnie to wygląda jak jakiś wykwit.

– Albo sztuka – rzucił Deprez. – Jak mielibyśmy to odróżnić?

Vongsavath potrząsnęła głową.

– Luc, to jest statek. Nie umieszcza się dzieł sztuki pokojowej w miejscach, gdzie będzie się o nią potykać przy każdym przejściu. Przyjrzyj się temu. Są tu wszędzie.

– A jeśli można nad nimi przelecieć?

– I tak by przeszkadzały.

– Sztuka zderzeniowa – zasugerował Schneider ze złośliwym uśmiechem.

– Dobra, wystarczy. – Hand zamachał rękami, robiąc sobie tym samym trochę miejsca między drzewami i ich nową widownią. Powietrze wzbudzone ruchami rak wywołało delikatne dźwięki. Aromat w powietrzu zgęstniał. – Nie mamy...

– Na to czasu – przedrzeźniała go Wardani. – Musimy znaleźć bezpieczne miejsce na nadajnik.

Schneider roześmiał się w głos. Zagryzłem wargi, powstrzymując uśmiech, i starałem się nie patrzeć w stronę Depreza. Podejrzewałem, że kontrola Handa się sypie, i nie miałem ochoty go teraz bardziej drażnić. Wciąż nie byłem pewien, co robi, kiedy straci panowanie nad sobą.

– Sun – głos dyrektora znów zabrzmiał spokojnie. – Sprawdź górne wyjścia.

Specjalistka od systemów kiwnęła głową i włączyła uprząż grawitacyjną. Rozległ się jęk silników, który po chwili pogłębił się, gdy podeszwy jej butów oderwały się od podłogi i wzniosła się w górę. Jiang i Deprez stanęli po bokach, unosząc sunjety do osłony.

– Nie ma tu przejścia – zawołała do nas z pierwszego otworu.

Usłyszałem zmianę dźwięku i natychmiast zerknąłem na śpiewodrzewa. Tylko Wardani patrzyła na mnie i zobaczyła moją twarz. Za plecami Handa jej usta otworzyły się w bezgłośnym pytaniu. Kiwnąłem głową w stronę drzew i nastawiłem ucho.

*Słuchaj.*

Wardani podeszła bliżej, potem potrząsnęła głową.

– To niemożliwe... – wyszeptała.

A jednak.

Delikatne, skrzypcowe dźwięki pieśni podlegały modulacji. Reagowały na równomierne, ciągłe bzyczenie silników grawitacyjnych, a może na samo pole grawitacyjne. Nieznacznie rosły w siłę.

Budziły się.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Odpowiednie miejsce na nadajnik Handa znaleźliśmy cztery grupy śpiewodrzew i około godzinę drogi dalej. Do tego czasu zaczęliśmy już zawracać w stronę doku, posługując się wstępną mapą budowaną przez skanery Nuhanovica na ramieniu Sun. Oprogramowaniu mapującemu marsjańska architektura nie podobała się wcale bardziej niż mnie, co było oczywiste i czego dowodziły długie przerwy po każdorazowym załadowaniu przez Sun nowej porcji danych. Jednak po kilku godzinach wędrówki i pewnej dawce natchnionego dłubania ze strony specjalistki od systemów, program zaczął oferować w miarę inteligentne pomysły dotyczące tego, gdzie mieliśmy szukać. Może nie powinno nas dziwić, że miał całkowitą rację.

Wyczołgując się razem z Sun z potężnej, spiralnej rury, której gradient był zbyt ostry dla ludzkiej wygody, chwiejnie stanęliśmy na brzegu szerokiej na pięćdziesiąt metrów platformy, która pozornie wystawiona była ze wszystkich stron na otwartą przestrzeń. Nad naszymi głowami wznosił się kryształowoczysty, rozgwieżdżony kosmos, przerywany jedynie kośćmi nagiej struktury centralnej, przypominającej żurawia portowego z Millsport. Wrażenie nagości było tak absolutne, że poczułem, jak moje gardło zamyka się natychmiast w odruchu wyuczonym do walki w próżni. Płuca, wciąż przeciążone od wspinaczki, zadrżały słabo w klatce piersiowej.

Opanowałem się.

– To pole siłowe? – zapytałem Sun, ciężko dysząc.

– Nie, jest lite. – Zmarszczyła się nad wyświetlaczem na przedramieniu. – Przejrzyste tworzywo, około metra grubości. Naprawdę imponujące. Żadnego zniekształcenia. Całkowicie kierunkowa kontrola wizualna. Patrz, masz swoją bramę.

Stałem pod rozgwieżdżonym niebem nad naszymi głowami, przyglądając się prostokątnemu satelicie szarobłękitnego światła czołgającemu się przez ciemność.

– To musi być wieżyczka kontroli doku – zdecydowała Sun, klepiąc się po ramieniu i wolno obracając. – I co, nie mówiłam? Inteligentne mapowanie Nuhanovica. Nie robią nic lepsze...

Jej głos umilkł. Zerknąłem w bok i zobaczyłem, jak rozszerzają się jej oczy, skupione gdzieś dalej w przestrzeni. Idąc za jej spojrzeniem, skierowałem wzrok na szkieletową strukturę w środku platformy. Zobaczyłem Marsjan.

– Lepiej wezwij pozostałych – poleciłem nieobecny głosem.

Wisiele nad platformą jak duchy orłów, które torturami doprowadzono do śmierci. Szeroko rozłożone skrzydła, schwyte w jakiś rodzaj sieci, poruszały się upiornie w luźnych prądach powietrza. Było ich tylko dwóch, jeden zawieszony pod samym szczytem centralnej struktury, drugi mniej więcej na wysokości ludzkiej głowy. Podchodząc ostrożnie bliżej, zauważyłem, że sieć była metaliczna, obwieszona jakimiś urządzeniami, których przeznaczenie nie miało dla mnie więcej sensu niż maszyny napotkane w bańkowych komorach.

Minąłem kolejną grupę śpiewodrzew, z których większość nie sięgała wyżej kolan. Ledwie na nie spojrzałem. Za sobą słyszałem, jak Sun wrzeszczy w spiralę do reszty grupy. Jej podniesiony głos zdawał się naruszać coś w powietrzu. Echa goniły po kopule. Doszedłem do niższego z Marsjan i stanąłem pod ciałem.

Oczywiście, już ich widziałem. Kto nie widział. Karmią tym człowieka już od przedszkola. Marsjanie. Zastąpili mitologiczne stworzenia naszego zaściankowego, ziemskiego dziedzictwa, bogów i demony, których kiedyś używaliśmy jako podstaw do legend. *Nie można przecenić*, napisał Gretzky jeszcze w czasach, kiedy najwyraźniej wciąż miał trochę rozumu, *siły ciosu, jaki odkrycie to zadało naszemu poczuciu przynależności do wszechświata i wrażeniu, że w pewien sposób należy*

*Jak mi to wyłożyła Wardani, w trakcie pustynnego wieczoru na balkonie magazynu Roespinoedjiego:*

Bradbury, rok 2089 czasu prekolonialnego. Bohaterowie-założyciele ludzkiej starożytności zostają zdemaskowani jako ignorancy despoci, którymi prawdopodobnie zawsze byli, gdy odkodowanie marsjańskich systemów informacyjnych dostarcza dowodów na istnienie międzygwiazdnej kultury przynajmniej tak starej, jak cała rasa ludzka. Sięgająca tysiącleci wiedza z Egiptu i Chin zaczyna wyglądać jak baza danych z sypialni dziesięciolatka. Mądrość wieków jednym ruchem zredukowana do pijackich opowieści bandy staruszków. Lao Tzu, Konfucjusz, Jezus Chrystus, Mahomet – cóż ci faceci wiedzieli? Zaściankowi prowincjusze, nigdy nie byli poza planetą. Gdzie byli, gdy Marsjanie przekraczali przestrzeń międzygwiazdną?

Oczywiście – *kwaśny uśmiech w jednym z kącików ust Wardani* – powszechnie uznane religie zaczęły walczyć. Zwykle strategie. Włączyć Marsjan w uznany schemat świata, przegrzebać pisma święte albo stworzyć nowe, zmienić interpretację. Jeśli to się nie powiodło albo brakowało szarych komórek na taki wysiłek, po prostu zaprzeczyć wszystkiemu jako dziełu złych sił i wysadzić w powietrze wszystkich, którzy mówią inaczej. To powinno zadziałać.

Ale nie zadziało.

Przez chwilę zdawało się, że może się udać. Wzbierająca histeria wywołała brutalne wojny sekt, i świeżo ustanowione uniwersyteckie wydziały ksenologii często stawały w płomieniach. Uzbrojona eskorta dla znanych archeologów i częste strzelaniny między fundamentalistami oraz policją. Ciekawe czasy dla studentów...

Z tego wszystkiego wyłoniły się nowe wyznania. Większość z nich wcale nie tak różna od starych, a równie dogmatyczna. Ale pod tym wszystkim nadeszła narastająca fala świeckiej wiary w coś, co trochę trudniej było zdefiniować niż Boga.

Może chodziło o skrzydła. Archetyp tak głęboko zakorzeniony w kulturze – anioły, demony, Ikar i niezliczeni podobni mu idioci rzucający się z wież i urwisk, póki wreszcie nie zrobiliśmy tego właściwie – ludzkość mocno się tego chwyciła.

Może po prostu stawka była zbyt wysoka. Mapy astrogacyjne z ich obietnicą nowych światów, na które mogliśmy po prostu polecieć, mając pewność ich podobieństwa do Ziemi, bo no cóż, tak w nich napisano.

Cokolwiek to było, musiało być nazwane wiarą. Nie była to wiedza; Gildia nie była wtedy aż tak pewna swoich tłumaczeń, a nie wypuszcza się setek tysięcy zapisanych umysłów i klonowanych embrionów w głębiny przestrzeni międzygwiazdnej bez czegoś znacznie mocniejszego niż teoria.

Była to wiara w uniwersalne działanie Nowej Wiedzy. W miejsce terracentrycznego zaufania do ludzkiej nauki i jej zdolności do Zrozumienia Tego Wszystkiego, pojawiło się łagodniejsze zaufanie w strzelisty gmach Marsjańskiej Wiedzy, która niczym pobłażliwy ojciec pozwoli nam wypłynąć na ocean i naprawdę sterować łodzią. Wybiegaliśmy za drzwiami nie jako dzieci dorastające i pierwszy raz opuszczające dom, ale w charakterze raczkujących brzdąców, trzymając się ufnie małą piastką pazura marsjańskiej cywilizacji. Całemu procesowi towarzyszyło całkowicie irracjonalne poczucie bezpieczeństwa i spokoju. To właśnie, oraz tak bardzo ceniona przez Handa liberalizacja ekonomiczna, kierowało ludzką diasporą.

Trzy czwarte miliona śmierci na Adoracion wiele zmieniło. To oraz kilka innych politycznych



wad, które ujawniły się wraz z powstaniem Protektoratu. Na Ziemi podniosły łeb stare wiary, polityczne i duchowe, uzbrojone w tomy żelaznych zasad. *Żyliśmy zbyt swobodnie i musimy za to zapłacić. W imię stabilności i bezpieczeństwa od tej pory wszystko musi być kontrolowane silną ręką.*

Bardzo niewiele pozostało z krótkiego rozkwitu entuzjazmu dla wszystkiego, co marsjańskie. Wycinski wraz ze swoją pionierską ekipą nie istnieją już od stuleci, przegnani ze stanowisk uniwersyteckich, pozbawieni funduszy, a w niektórych wypadkach wręcz zamordowani. Gildia zamknęła się na świat, zazdrośnie strzegąc odrobiny swobody intelektualnej, na jaką zezwala jej Protektorat. Marsjanie zostali zredukowani z czegoś, co zbliżało się do pełnego zrozumienia, do dwóch praktycznie niepowiązanych obrazów. Z jednej strony podręcznikowo suche serie obrazów i notek zawierających tyle danych, ile Protektorat uznał za dopuszczalne ze względów społecznych. Każde dziecko uczy się, jak wyglądali, zarysu anatomii ich skrzydeł i szkieletu, dynamiki lotu, nużących szczegółów parzenia się i wychowywania potomstwa, wirtualnych rekonstrukcji ich opierzenia i ubarwienia, opartych na kilku zapisach wizualnych, jakie zdołaliśmy odczytać, uzupełnionych domysłami Gildii. Symbole grzęd, prawdopodobne ubrania. Kolorowa, łatwo przyswajalna wiedza. Niewiele socjologii. Zbyt słabo zrozumiana, nie dość wyjaśniona, zbyt płynna, a zresztą, czy ludzie naprawdę chcą sobie tym zawracać głowy...

*– Odrzucona wiedza – powiedziała, drżąc lekko w chłodzie pustyni. – Dobrowolna ignorancja wobec czegoś, co mogliśmy spróbować zrozumieć.*

Z drugiej strony kolumny frakcjonalnej zbierają się bardziej ezoteryczne elementy. Dziwaczne odłamy religijne, szeptane legendy i potajemnie rozpowszechniane informacje o wykopaliskach. Tam pozostała część z tego, czym kiedyś byli dla nas Marsjanie, ich wpływ wciąż można opisać szeptanymi słowami. Tam mogą być nazywani tak, jak kiedyś określił ich Wycinski – *nowymi starożytnymi, uczącymi nas prawdziwego znaczenia tego słowa. Nasi tajemniczo odeszli dobroczyńcy, pochylający się nisko, by pogłaskać po karku naszą cywilizację zimnym końcem skrzydła, by przypomnieć, że sześć czy siedem tysięcy lat pisanej historii nie jest czymś, co tutaj nazywa się starożytnością.*

\* \* \*

Ten Marsjanin był martwy.

I to od dawna, to było oczywiste. Ciało uległo mumifikacji w podtrzymującej je uprzęży, skrzydła stały się cienkie jak pergamin, a głowa wyschła do długiej wąskiej czaszki z półotwartym dziobem. Oczy w zapadłych oczodołach były całkowicie poczerńiałe, na wpół ukryte pod opuszczoną membraną powiek. Poniżej dziobu skóra wydymała się na czymś, co zapewne musiało być narządem gardłowym. Podobnie jak skrzydła, wyglądał na cienki jak z papieru i półprzejrzysty.

Spod skrzydeł wystawały kanciaste kończyny, sięgające przez sieć uprzęży z delikatnie wyglądającymi pazurami zaciśniętymi na urządzeniach. Poczułem lekki przyptyw podziwu. Kimkolwiek był, zginął przy sterach.

– Nie dotykaj tego – wrzasnęła Wardani zza moich pleców i nagle zdałem sobie sprawę, że wyciągnąłem rękę w stronę dolnej krawędzi rusztowania.

– Przepraszam.

– Nie chciałbyś, żeby doszło do rozpadu skóry. Pod warstwą tłuszczu mają alkaliczną wydzielinę, która w chwili śmierci wymyka się spod kontroli. Przypuszczamy, że za życia utrzymuje ją w równowadze utlenianie pożywienia, ale jest dostatecznie silna, by rozpuścić większość ciała,

przynajmniej w obecności pary wodnej. – Mówiąc, równocześnie obchodziła ramę pajęczyny z automatyczną ostrożnością, która musiała wynikać ze szkolenia Gildii. Twarz miała całkowicie skupioną, a oczy ani na chwilę nie odrywały się od skrzydlatej mumii nad nami. – Kiedy giną w taki sposób, to po prostu przeżera się przez tłuszcz i wysycha na pył. Bardzo żrący, jeśli się go wciągnie w płuca albo dostanie się do oczu.

– Słusznie. – Cofnąłem się o kilka kroków. – Dzięki za ostrzeżenie.

Wzruszyła ramionami.

– Nie spodziewałam się ich tu znaleźć.

– Statki mają załogi.

– Tak, Kovacs, a miasta mieszkańców. Jak dotąd przez ponad czterysta lat wykopalisk na trzech tuzinach planet udało się nam znaleźć zaledwie kilkaset ciał Marsjan.

– Wcale mnie to nie dziwi, skoro mieli w ciałach takie paskudztwa. – Schneider podszedł do nas i przyglądał się, stojąc po drugiej stronie ramy z siatką. – A co się działo z tym czymś, jeśli przez jakiś czas nie jedli?

Wardani rzuciła mu poirytowane spojrzenie.

– Nie wiemy. Prawdopodobnie spowodowałyby to rozpoczęcie procesu rozkładu.

– To musiało boleć – stwierdziłem.

– Tak, przypuszczam, że musiało. – Najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać z żadnym z nas.

Była całkowicie pochłonięta znaleziskiem.

Schneider nie rozumiał aluzji. A może po prostu potrzebował paplania, które zagłuszyłoby niesamowity bezruch otaczającej nas przestrzeni i wzroku skrzydlatych istot nad nami.

– W jaki sposób skończyli z czymś takim? Bo to chyba – ziewnął – nie jest cechą selektywną ewolucyjnie, prawda? Zabija cię, jeśli jesteś głodny...

Znów spojrzałem na wysuszone ciało z rozrzuconymi kończynami, czując świeżą falę szacunku, którego pierwszy raz zaznałem, gdy uświadomiłem sobie, że Marsjanie zginęli na stanowiskach. W mojej głowie pojawiło się coś niedefiniowalnego, coś, co moje zmysły Emisariusza rozpoznały jako intuicyjny szept na granicy zrozumienia.

– Przeciwnie, to bardzo selektywne – uświadomiłem sobie to dopiero, kiedy zacząłem mówić. – To musiało ich napędzać. Musiało z nich zrobić najtwardszych sukinsynów na niebie.

Wydawało mi się, że zauważyłem na twarzy Tanyi Wardani delikatny cień uśmiechu.

– Tego rodzaju intelektualne odkrycia powinieneś publikować, Kovacs.

Schneider parsknął śmiechem.

– Prawdę mówiąc – ciągnęła, patrząc na martwego Marsjanina i wpadając w ton wykładowcy – aktualne argumenty ewolucyjne za takim przystosowaniem głoszą, że pomagało to zachować higienę w zatłoczonych gniazdach. Vavsik i Lai ogłosili je kilka lat temu. Wcześniej większość Gildii przychyliła się do pomysłu, że zwalczało to pasożyty skóry i infekcje. Vavsik i Lai właściwie temu nie przeczą, po prostu startują do lepszej pozycji. Istnieje również oczywiście hipoteza najtwardszych sukinsynów na niebie, którą rozwinęła pewna liczba mistrzów Gildii, choć żaden nie ujął jej tak elegancko jak ty, Kovacs.

Ukloniłem się.

– Myślicie, że moglibyśmy ściągnąć ją na dół? – zaczęła głośno zastanawiać się Wardani, cofając się trochę, żeby uzyskać lepszy widok na ramę podtrzymującą linki sieci.

– Ją?

– Tak, to strażniczka grzędy. Popatrz na ostrogę na skrzydle i grzebień kostny z tyłu czaszki. Kasta wojowników. Z tego, co wiemy, wszystkie były samicami. – Znów przyjrzała się linkom. –

Myślicie, że możemy to uruchomić?

– A czemu by nie. – Podniosłem głos, żeby być słyszonym na drugim końcu platformy. – Jiang, widzisz tam coś, co wyglądałoby jak wyciągarka?

Jiang popatrzył w górę, potem potrząsnął głową.

– A ty, Luc?

– Madame Wardani!

– Skoro mowa o sukinsynach – wymamrotał Schneider.

Matthias Hand pędził szybkim krokiem, by dołączyć do małej grupki pod rozciągniętym ciałem.

– Madame Wardani, mam nadzieję, że nie myśli pani nawet o tym, żeby zrobić coś więcej, niż tylko popatrzeć na ten egzemplarz.

– Prawdę mówiąc – odpowiedziała – szukamy jakiegoś sposobu na ściągnięcie go w dół. Masz z tym jakiś problem?

– Tak, madame Wardani, mam. Ten statek i wszystko, co zawiera, stanowi własność Korporacji Mandrake.

– Nie, dopóki nie włączysz boi. Przynajmniej tak nam powiedziałaś, żeby nas tu ściągnąć.

Hand uśmiechnął się niewyraźnie.

– Proszę nie robić problemów, madame Wardani. Została pani dostatecznie dobrze opłacona.

– Och, *opłacona*. Zostałam *opłacona*. – Wardani wbiła w niego wzrok. – *Pieprz się*, Hand.

Ostro ruszyła przez platformę i stanęła na jej krawędzi, patrząc na zewnątrz.

Spojrzałem na przedstawiciela Mandrake.

– Hand, co się z tobą dzieje? Chyba ci mówiłem, żebyś jej nie wkurzał. Architektura rzuca ci się na mózg czy co?

Zostawiłem go i podszedłem do miejsca, gdzie Wardani stała z opuszczoną głową, obejmując się ciasno ramionami.

– Nie zamierzasz wyskoczyć, prawda?

Parsknęła.

– Kawał łajna. Umieściłby pieprzone logo korporacji na bramach raj, gdyby przypadkiem kiedyś je znalazł.

– No nie wiem. On jest dość religijny.

– Tak? Zabawne, że nie przeszkadza mu to w jego działalności komercyjnej.

– No cóż. Zorganizowana religia, sama wiesz.

Znów parsknęła, ale tym razem ze śmiechem, a jej postawa rozluźniła się nieco.

– Nie wiem, czemu dałam się tak wyprowadzić z równowagi. I tak nie mam tu narzędzi, żeby poradzić sobie z resztkami organicznymi. Niech zostanie tam w górze. Kto się tym przejmuje?

Uśmiechnąłem się i położyłem jej rękę na ramieniu.

– Ty – powiedziałem łagodnie.

\* \* \*

Kopuła nad naszymi głowami okazała się równie przezroczysta dla sygnałów radiowych, co dla spektrum widzialnego. Sun dokonała serii podstawowych pomiarów przy pomocy posiadanego wyposażenie, a potem wszyscy poszyliśmy z powrotem do *Nagini* i przydźwigaliśmy na platformę uszkodzoną boję razem z trzema skrzynkami narzędzi, które według Sun mogły okazać się przydatne. Zatrzymywaliśmy się w każdej komorze, oznaczając drogę bursztynowymi znacznikami samoprzylepnymi i malując podłogę farbą iluminowaną, przeciwko czemu usilnie protestowała Tanya

Wardani.

– To się zmyje – powiedziała jej Sun Liping tonem sugerującym, że wcale jej to nie obchodzi.

Nawet przy użyciu kilku uprząży grawitacyjnych dostarczenie boi do wyznaczonego jej miejsca było długą i męczącą pracą, która stawała się ogromnie irytująca z powodu bańkowego chaosu architektury statku. Do czasu gdy zmontowaliśmy wszystko na platformie – przy jednej z krawędzi, z zachowaniem pełnego szacunku dystansu do zmumifikowanych, pierwotnych właścicieli – byłem wykończony. Szalejące w moich komórkach zniszczenia od promieniowania zaczynały przekraczać możliwości jakiegokolwiek kontroli przy pomocy leków.

Znalazłem fragment centralnej struktury nieumieszczony bezpośrednio pod żadnym z ciał i oparłem się o niego, wyglądając na gwiazdny bezkres, podczas gdy moje nadwerężone ciało próbowało ustabilizować puls i stłumić rodzące się w trzewiach mdłości. Między gwiazdami mrugnęła do mnie brama, wznosząca się ponad horyzont platformy. Dalej po prawej, na granicy pola widzenia, zwisał najbliższy Marsjanin. Spojrzałem w górę, skąd truchło patrzyło na mnie przysłoniętymi oczami. Uniosłem w salucie palec do czoła.

– Tak. Wkrótce do ciebie dołączę.

– Słucham?

Obróciłem głowę i zobaczyłem stojącego kilka metrów dalej Luca Depreza. W swojej odpornej na promieniowanie powłoce Maori wyglądał prawie kwitnąco.

– Nic. Łączę się.

– Rozumem. – Sądząc po wyrazie jego twarzy, jasne było, że nie rozumiał. – Tak się zastanawiałem... Chciałbyś się przejść i rozejrzeć?

Potrząsnąłem głową.

– Może później. Ale nie będę cię zatrzymywał.

Zmarszczył się, ale zostawił mnie w spokoju. Widziałem, jak wychodzi, ciągnąc za sobą Ameli Vongsavath. W innym miejscu na platformie reszta wycieczki zebrała się w małej grupce i rozmawiała przyciszonymi głosami. Wydawało mi się, że słyszę, jak kępka śpiewodrzew delikatnie kontrapunktuje, ale nie czułem się na siłach uaktywniać neurochemu. Poczulem, jak z gwiazd spływa na mnie wszechogarniające zmęczenie, a platforma jakby przechyla się pod moimi stopami. Zamknąłem oczy i oddryfowałem w coś, co nie do końca było snem, ale miało wszystkie jego wady.

*Kovacs...*

*Pieprzony Semetaire.*

*Tęsknisz za swoją rozerwaną góralką z Limonów?*

*Nawet...*

*Chciałbyś, żeby była w jednym kawalku, co? Czy wołałbyś, żeby jej fragmenty dobierały się do ciebie niepołączone?*

Moja twarz skurczyła się w miejscu, gdzie uderzyła jej stopa, gdy nanoby rzuciły ją w moją stronę.

*Jest w tym coś pociągającego, nie? Pokawałkowana hurysa na twoje rozkazy. Dłoń tu, dłoń tam. Krzywizny pełne ciała. Że tak powiem, dopasowane do klienta. Miękkie ciało, Kovacs. Podatne na kształtowanie. Mógłbyś wypełnić nim swoje dłonie. Dopasować do siebie.*

*Semetaire, doprowadzasz mnie...*

*I niekierowana żadną, niewygodną niezależną wolą. Wyrzuć części, które nie są ci potrzebne. Części, które wydalają, które myślą o czymś poza zmysłowym użyciem. Życie pozagrobowe kryje wiele przyjemności...*

*Cholera, zostaw mnie w spokoju, Semetaire.*

*Czemu miałbym to robić? Samotnie jest zimno, morze chłodu głębsze niż to, na które patrzyłeś z kadłuba Mivesemdi. Czemu miałbym porzucać cię dla pustki, skoro byłeś dla mnie tak życzliwy. Wysłałeś do mnie tyle dusz.*

*Dobra, dość tego, sukinsynu...*

Obudziłem się złany potem. Tanya Wardani przykucnęła metr ode mnie, przyglądając mi się uważnie. Marsjanin wiszący za nią patrzył ślepo w dół, jak jeden z aniołów w katedrze andrycznej w Newpest.

– Dobrze się czujesz, Kovacs?

Przycisnąłem palce do oczu i zamrugałem z powodu wywołanego tym bólu głowy.

– Przypuszczam, że całkiem nieźle, jak na truposza. Nie poszłaś na wycieczkę?

– Czuję się jak kupa gówna. Może później.

Podciągnąłem się nieco wyżej. Po drugiej stronie platformy Sun nieustannie pracowała nad wyciągniętymi na zewnątrz obwodami boi. Jiang i Sutjiadi stali niedaleko, rozmawiając przyciszonymi głosami. Zakaszlałem.

– Mamy tu ograniczone zapasy później. Wątpię, żeby zajęło to Sun całe dziesięć godzin. Gdzie jest Schneider?

– Poszedł gdzieś z Handem. Jak to się stało, że sam nie zwiedzasz Koralewego Zamku?

Uśmiechnąłem się.

– Nigdy w życiu nie widziałaś Koralewego Zamku, Tanya. O czym ty mówisz?

Usadowiła się obok mnie, twarzą do gwiazd.

– Próbuję twojego żargonu ze Świata Harlana. Masz z tym jakiś problem?

– Pieprzeni turyści.

Roześmiała się. Cieszyłem się dźwiękiem jej śmiechu, dopóki nie zamilkł, a potem siedzieliśmy przez chwilę w towarzyskiej ciszy, przerywanej jedynie przez odgłosy lutowania obwodów.

– Nieźle niebo – powiedziała w końcu.

– Jasne. Odpowiesz mi na archeologiczne pytanie?

– Jeśli chcesz.

– Gdzie oni się podziali?

– Marsjanie?

– Tak.

– Cóż, to duży kosmos. Kto...

– Nie, nie ci Marsjanie. Załoga tego statku. Czemu porzucili to wszystko? Nawet dla nich zbudowanie czegoś takiego musiało kosztować planetarny budżet. O ile jesteśmy w stanie stwierdzić, ten statek nadal funkcjonuje. Ogrzewanie, podtrzymywana atmosfera, działające systemy dokowe. Czemu nie zabrali go ze sobą?

– Kto wie? Może opuszczali go w pośpiechu.

– Och, daj...

– Nie, mówię poważnie. Jeśli wycofali się z całego regionu kosmosu, albo zostali zniszczeni, albo się powybijali. Zostawili wiele rzeczy. Całe miasta.

– Tak, Tanya, ale nie można zabrać ze sobą miasta. Trzeba je zostawić. A statek kosmiczny może wędrować razem z tobą. Co sprawiło, że porzucili coś takiego?

– Zostawili stacje orbitalne wokół Świata Harlana.

– One są zautomatyzowane.

– No i? Ten statek też, przynajmniej w zakresie systemów nadzorczych.

– Tak, ale został zbudowany do obsługi załogowej. Nie trzeba być archeologiem, żeby to

zobaczyć.

– Kovacs, czemu nie pójdziesz do *Nagini* i trochę nie odpoczniesz? Żadne z nas nie ma dość sił, by zwiedzać to miejsce, a ty przyprawiasz mnie o ból głowy.

– Myślę, że to jednak promieniowanie.

– Nie, ja...

Zatrzeszczała opuszczona na klatkę piersiową słuchawka indukcyjna. Zamrugalem i przyglądałem jej się przez chwilę bezmyślnie, potem podniosłem i umieściłem na miejscu.

– ...stu leż... taj – powiedział głos Vongsavath, podniecony i mocno zniekształcony szumami. – Cokolwiek to... nie wydaj... zginął z gło...

– Vongsavath, tu Kovacs. Spokojnie. Zwolnij nieco i zacznij od początku.

– Powiedziałaś – powtórzyła z naciskiem – Z... źliśmy... ciało. Lu... ciało. Część... cał... agie na górze koło doku... łania. I wygląda na... coś go... zabiło.

– Dobra, idziemy tam. – Podniosłem się na nogi, zmuszając się do mówienia z taką szybkością, by Vongsavath miała szansę zrozumienia pomimo interferencji. – Powtarzam. Idziemy do ciebie. Bądźcie ostrożni, plecy do pleców i nie ruszajcie się. I strzelajcie do wszystkiego, co się poruszy.

– Co się dzieje? – zapytała Wardani.

– Kłopoty.

Rozejrzałem się po platformie i nagle wróciły do mnie grzmiąco słowa Sutjiadiego.

*W ogóle nie powinno nas tu być.*

Nad moją głową Marsjanin patrzył na nas pustym wzrokiem. Odległy jak anioł i równie pomocny.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Leżał w jednym z bulwiastych tuneli, około kilometra głębiej w cielsko statku, w kombinezonie i wciąż w zasadzie nienaruszony. W łagodnym, bladoniebieskim świetle ścian rysy twarzy w hełmie były mocno obciążone na kościach czaszki, ale poza tym nie wyglądały na znacząco rozłożone.

Uklęknąłem obok trupa i zajrzałem w zapieczętowaną twarz.

– Nie wygląda tak źle.

– Sterylne powietrze – stwierdził Deprez. Trzymał sunjeta opartego na biodrze, a jego spojrzenie nieustannie skakało do spuchniętej przestrzeni sufitowej w górze. Dziesięć metrów dalej w miejscu, gdzie tunel łączył się z kolejną komorą, chodziła nerwowo Ameli Vongsavath. Wyglądała na spiętą. – I środki przeciwbakteryjne, jeśli to choć w połowie przyzwoity kombinezon. Ciekawe. Zbiornik jest wciąż w jednej trzeciej napełniony. Niezależnie od tego, jak zginął, nie było to uduszenie.

– Jakież uszkodzenia kombinezonu?

– Jeśli nawet, to ja ich nie widzę.

Przysiadłem na piętach.

– To nie ma najmniejszego sensu. Powietrze nadaje się do oddychania. Po co zakładać kombinezon?

Deprez wzruszył ramionami.

– Po co ginąć w kombinezonie po drugiej stronie otwartej śluzy z powietrzem? Nic z tego nie ma sensu, nie staram się już nic zrozumieć.

– Uwaga – rzuciła Vongsavath.

Wydobyłem praworęczny pistolet interfejsowy i dołączyłem do niej przy wyjściu. Dolna krawędź statku wznosiła się nieco ponad metr nad podłogą i w górę po krzywej jak w szerokim uśmiechu, zanim zaczynała się zwężać, zbliżając się do dachu, i w końcu łączyła się w ostro zakrzywionym szczycie. Po każdej stronie znajdowały się dwa metry osłoniętej przestrzeni i dość miejsca, by za nimi przykucnąć. Prawdziwe marzenie snajpera. Deprez zwinął się za osłoną po prawej z sunjetem wzniesionym do strzału. Przykucnąłem za Vongsavath.

– Brzmiało to jak odgłos upadku – powiedziała cicho. – Nie ta komora, może następna.

– Dobra. – Poczulem, jak neurochem wsuwa się zimno w moje kończyny, ładując serce. Dobrze wiedzieć, że pomimo sięgającego kości zmęczenia, wynikającego z zatrucia promieniowaniem, systemy wciąż były aktywne. A po tak długim wpatrywaniu się w cienie, walce z pozbawionymi oblicza koloniami nanobów i duchami trupów, ludzkich i nie tylko, obietnica prawdziwej walki stanowiła prawie przyjemność.

Pieprzyć prawie. Czulem, jak satysfakcja ścieka po ścianach mojego żołądka na myśl o zabijaniu.

Deprez podniósł rękę znad kanału projekcyjnego sunjeta.

*Słuchaj.*

Tym razem usłyszałem to – przytłumiony odgłos szurania po drugiej stronie komory. Wyciągnąłem drugi pistolet interfejsowy i przysiadłem za osłoną podniesionej krawędzi. Warunkowanie Emisariusza wypchnęło z moich mięśni resztki napięcia i zapakowało je w sprężony refleks pod powierzchnią spokoju.

Coś poruszyło się w przestrzeni po drugiej stronie następnego pomieszczenia. Wciągnąłem powietrze i wycelowałem.

*Zaczynamy.*

– Jesteś tam, Ameli?

Głos Schneidera.

Usłyszałem syk Vongsavath mniej więcej równocześnie z moim. Wyprostowała się.

– Schneider? Co ty tam robisz? Omal cię nie zastrzeliłam.

– No tak, jak zawsze jesteś przyjacielska. – W wyjściu pojawił się Schneider, przerzucając nogi przez krawędź drzwi. Jego sunjet zwisał, beztrzesko zawieszony na ramieniu. – Pędzimy ze wszystkich sił na ratunek, a ty w podzięcie rozwalasz nas na kawałki.

– Czy to kolejny archeolog? – zapytał Hand, który wszedł do komory zaraz za Schneiderem. Prawą rękę zaciskał na absurdalnie wyglądającym ręcznym blasterze. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy, odkąd go poznałem, był uzbrojony. Nie wyglądał właściwie. Broń kalala jego aurę gabinetu na dziewięćdziesiątym piętrze. W jego rękach była jak pęknięta elewacja, jak autentyczne zdjęcia z bitwy wstawione w teledysk rekrutacyjny Lapinee. Hand nie był człowiekiem, który osobiście trzyma broń. A przynajmniej nie tak bezpośrednio i brudną jak blaster cząsteczkowy.

*W dodatku w kieszeni ma ukryty ogłuszacz.* Świeżo pobudzone do gotowości bojowej warunkowanie Emisariusza zakłuło niecierpliwie.

– Chodźcie i zobaczcie – zasugerowałem, maskując niepokój.

Dwójka nowo przybyłych przekroczyła dzielącą nas otwartą przestrzeń ze zblazowanym brakiem ostrożności, który wręcz krzyczał do moich odruchów bojowych. Hand oparł się dłońmi o krawędź wejścia do tunelu i wbił wzrok w ciało. Nagle zauważyłem, że jego twarz jest popielata od choroby popromiennej. Trzymał się sztywno, jakby nie był pewien, jak długo jeszcze może stać. W kąciu ust ujawnił się tik, którego nie było, gdy wylądowaliśmy w komorze dokowej. Stojący obok niego Schneider wręcz promieniał.

Zdławiłem budzącą się we mnie iskierkę sympatii. Witaj w cholernym klubie, Hand. Witaj na poziomie ziemi na Sanction IV.

– On ma na sobie kombinezon – zauważył Hand.

– Słuszna uwaga.

– Jak zginął?

– Nie wiemy. – Poczulem, jak przewalała się przez mnie kolejna fala zmęczenia. – I szczerze mówiąc, nie mam nastroju na autopsję. Po prostu naprawmy tę boję i wynośmy się stąd w cholerę.

Hand dziwnie na mnie spojrzał.

– Będziemy musieli go ze sobą zabrać.

– W takim razie możesz mi pomóc. – Podeszedłem do trupa w kombinezonie i podniosłem jedną nogę. – Łap za stopę.

– Zamierzasz go ciągnąć?

– My, Hand. My będziemy go ciągnąć. Nie wydaje mi się, żeby miał protestować.

\* \* \*

Prawie godzinę zabrało nam dostarczenie ciała przez powykęcane korytarze i wydęte komory marsjańskiego statku na pokład *Nagini*. Większości tego czasu wymagało odszukiwanie samoprzylepnych sygnalizatorów i iluminowanych strzałek naszej pierwotnej trasy, ale dokładało się do tego zmęczenie z choroby popromiennej. Kilka razy po drodze Hand i ja musieliśmy się zatrzymać, żeby zwymiotować, zmienialiśmy się więc ze Schneiderem i Deprezem. Kończył się czas ostatnich ofiar Sauberville. Wydawało mi się, że nawet Deprez, w swoim odpornym na promieniowanie ciele Maori, zaczynał wyglądać na chorego, gdy taszczył nieporęczny, owinięty



kombinezonem ładunek przez ostatnie przejście przed dokiem. Kiedy zacząłem zwracać na to uwagę, przekonałem się, że i u Vongsavath widać taką samą bladość i worki pod oczami.

*Czy widzisz? wyszeptało coś, co mogło być Semetairem.*

Miałem wrażenie, że coś potężnego i groźnego czai się gdzieś w rozdętych przestrzeniach architektury statku, unosząc się na cienkich jak pergamin skrzydłach i patrząc.

Kiedy skończyliśmy i wszyscy już wyszli, zostałem jeszcze, wpatrując się w antyseptyczne fioletowe światło schowka na ciała. Poobijane, ubrane w skafandry kosmiczne postacie w środku wyglądały jak stadko odzianych w stroje ochronne graczy w piłkę zderzeniową w stanie nieważkości po tym, jak zapalają się światła i włącza grawitacja po zakończeniu meczu. Torby z resztkami Cruickshank, Hansena i Dhasanapongsakula były prawie niewidoczne.

*Umieram...*

*Jeszcze nie umierasz...*

Warunkowanie Emisariusza przejmujące się czymś, co jeszcze nie dobiegło końca, nie zostało rozwiązane.

*Ziemia jest dla martwych.* Zobaczyłem iluminacyjny tatuaż Schneidera unoszący się przed moimi oczami jak latarnia. Jego twarz, wykrzywioną przez ból z ran.

*Martwi?*

– Kovacs? – We włazie za mną stanął Deprez. – Hand chce, żebyśmy wszyscy wrócili na platformę. Zabieramy jedzenie. Idziesz?

– Dogonię was.

Kiwnął głową i zeskoczył na podłogę na zewnątrz. Usłyszałem głosy, ale spróbowałem je stłumić.

*Umieranie?*

*Ziemia jest...*

*Kłębki światła wirujące jak motki na wyświetlaczu...*

*Brama...*

*Brama, widziana przez okna kokpitu Nagini...*

*Kokpit...*

Potrząsnąłem głową w irytacji. Intuicja Emisariusza to nawet w najlepszych przypadkach dość zawodny system, a agonia od zatrucia promieniowaniem nie jest najlepszym stanem, w jakim można próbować jej użyć.

*Jeszcze nie umieram.*

Zrezygnowałem z próby zrozumienia schematu i pozwoliłem zalać się spokojowi, czekając, gdzie może mnie zabrać.

Błyszczące, fioletowe światło schowka na ciała.

Porzucone w nim powłoki.

Semetaire.

\* \* \*

Zanim wróciłem na platformę, było już prawie po obiedzie. Poza wiszącą wysoko dwójką zmumifikowanych Marsjan, reszta towarzystwa siedziała wokół rozmontowanej boi na dmuchanych fotelach, bez większego entuzjazmu zjadając resztki polowych racji żywnościowych. Raczej im się nie dziwiłem – w moim stanie sam zapach tego jedzenia przyprawiał o skurcz gardła. Odkaszlnąłem, próbując coś z tym zrobić, a potem pospiesznie podniosłem ręce, ponieważ na ten dźwięk wszyscy

chwycili za broń.

– Hej, to ja.

Niechętnie pomruki i szum odkładanej broni. Doszedłem do kręgu i rozejrzałem się za siedzeniem. Foteli było mniej więcej tyle co ludzi. Jianping i Schneider siedzieli na podłodze, Jiang ze skrzyżowanymi nogami mając wokół siebie pustą przestrzeń, Schneider rozwalony przed fotelem Tanyi Wardani z miną posiadacza, od której dostałem nerwowego tik. Machnąłem ręką, rezygnując z zaoferowanej porcji, i przysiadłem na brzegu fotela Vongsavath, żałując, że nie jestem w lepszej kondycji.

– Co cię zatrzymało? – zapytał Deprez.

– Zastanawiałem się nad czymś.

Schneider roześmiał się głośno.

– Człowieku, to ci szkodzi. Nie rób tego. Masz – poturlał w moją stronę puszkę amfetaminowej coli. Zatrzymałem ją butem. – Pamiętasz, co mi powiedziałeś jeszcze w szpitalu? Nie myśl, żołnierzu. Nie czytałeś warunków zaciągu?

Wywołało to kilka niemrawych śmiechów. Kiwnąłem głową.

– Kiedy on tu przyleci, Jan?

– Co?

– Spytałem – kopnąłem puszkę z powrotem w jego stronę. Przechwycił ją nadspodziewanie sprawnie. – Kiedy on tu przyleci?

Wszelkie konwersacje urwały się gwałtownie jak jedyna i niepowtarzalna próba powietrznego rajdu Konrada Harlana na Millsport. Rozwalone na atomy przez trzask odstawianych puszek z jedzeniem i nagłą ciszę, która znalazła to w zaciśniętej pięści Schneidera.

Prawej pięści. Jego pusta lewa dłoń była odrobinę za wolna, sięgając po broń ułamki sekund po tym, jak wycelowałem w niego kałasznikowa. Zobaczył go i znieruchomiał.

– Nie – powiedziałem.

Czułem, jak stojąca obok mnie Vongsavath sięga do kieszeni po ogłuszacz. Położyłem wolną rękę na jej ramieniu i lekko potrząsnąłem głową. Wcisnąłem w głos emisariuszowską siłę przekonywania.

– Nie trzeba, Ameli.

Jej ramię opadło za biodro. Kątem oka widziałem, że jak dotąd wszyscy pozostali jeszcze siedzieli. Nawet Wardani. Lekko się rozluźniłem.

– Jan, kiedy on ma tu przylecieć?

– Kovacs, nie wiem, o czym ty, do cholery...

– Ależ wiesz. Kiedy ma tu przylecieć? A może nie chcesz już mieć obu rąk?

– Kto?

– Carrera. Kiedy, do cholery, ma tu przylecieć, Jan. Ostatnia szansa.

– Nie wi... – głos Schneidera przeszedł w ostry krzyk, gdy pistolet interfejsowy wybił dziurę w jego dłoni, zmieniając trzymaną przez niego puszkę w strzępy metalu. W powietrze wytrysnęła krew i amfetaminowa cola, o dziwnie zbliżonym kolorze. Rozbryzgi spadły na twarz Tanyi Wardani, na co zareagowała gwałtownym podskokiem.

*To nie jest konkurs popularności.*

– O co chodzi, Jan – zapytałem łagodnie. – Ta powłoka, którą dał ci Carrera, nie dość szybko reaguje endorfinami?

Wardani zerwała się na równe nogi.

– Kovacs, on jest...

– Nie mów mi Tanya, że to ta sama powłoka. Pieprzyłaś się z nim teraz i dwa lata temu. Wiesz. Otepiałe potrząsnęła głową.

– Tatuaż... – wyszeptwała.

– Tatuaż jest nowy. Świeci nowością, nawet jak na iluminium. Zrobili mu go na nowo, razem z podstawową chirurgią plastyczną w ramach pakietu. Prawda, Jan?

Jedyny dźwięk, jaki opuścił usta Schneidera, to agonalne jęczenie. Trzymał strzaskaną dłoń na wyciągnięcie ręki, patrząc na nią z niezrozumieniem. Krew ściekała na pokład.

Poczułem, że jestem zmęczony.

– Przypuszczam, że wolałeś sprzedać się Carrerze, niż iść na wirtualne przesłuchanie – stwierdziłem, wciąż kątem pola widzenia skanując reakcje pozostałych. – W sumie trudno mieć do ciebie pretensje. A skoro zaoferowali ci nowiutką powłokę bojową z pełną specyfikacją odporności radiacyjno-chemicznej i indywidualnie dopasowaną, no cóż, w dzisiejszych czasach nie za często spotyka się na Sanction IV tego rodzaju oferty. I trudno przewidzieć, ile brudnych bombardowań obie strony będą jeszcze prowadzić. Tak, sam bym poszedł na taki interes.

– Masz na to jakieś dowody? – zapytał Hand.

– Masz na myśli coś poza faktem, że jest jedynym spośród nas, który jeszcze nie poszarzał? Popatrz na niego, Hand. Trzyma się lepiej niż powłoki Maori, a one są robione na takie warunki.

– Nie nazwałbym tego dowodem – zauważył w zamyśleniu Deprez. – Choć to nieco dziwne.

– On kłamie – wysyczał Schneider przez zaciśnięte zęby. – Jeśli ktoś tu robi na dwie strony dla Carrery, to Kovacs. Na miłość Samedi, on jest *porucznikiem Klina*.

– Nie przeceniaj swojego szczęścia, Jan.

Schneider rzucił mi nienawistne spojrzenie, lamentując nad swoim bólem. Wydało mi się, że śpiewodrzewa po drugiej stronie platformy zaczynają mu akompaniować.

– Niech ktoś da pakiet medyczny – wyjęczał.

Sun sięgnęła do swojego pakietu. Potrząsnąłem głową.

– Nie. Najpierw powie nam, ile mamy czasu, zanim przez bramę przeleci Carrera. Musimy się przygotować.

Deprez wzruszył ramionami.

– Czy wiedząc, że tu będzie, nie jesteśmy automatycznie gotowi?

– Nie na Klin.

Wardani bez słowa podeszła do Sun i wyrwała pakiet medyczny z fibrorzepowego zaczepu na jej piersi.

– Daj mi to. Jeśli wy, sukinsyny w mundurach, nie chcecie tego zrobić, ja się tym zajmę.

Uklękła obok Schneidera i otworzyła pakiet, rozsypując jego zawartość na podłodze w poszukiwaniu bandaży.

– Te pakiety z zielonymi brzegami – bezradnie odpowiedziała Sun.

– Dziękuję – rzuciła Wardani przez zęby. Posłała mi krótkie spojrzenie. – I co teraz zamierzasz zrobić, Kovacs? Mnie też okaleczysz?

– Sprzedałby nas wszystkich, Tanya. Już to zrobił.

– Nie wiesz tego na pewno.

– Wiem, że w jakiś sposób zdołał przeżyć dwa tygodnie na pokładzie szpitala o ograniczonym dostępie bez żadnej uprawniającej go do tego dokumentacji. Wiem, że zdołał się wcisnąć do mesy oficerskiej bez przepustki. Wykrzywiła twarz.

– Pieprzę cię, Kovacs. Kiedy kopaliśmy w Dangrek, zdołał blefem zdobyć dla nas od władz Sauberville dziewięcioletniowy grant na zasilanie. Bez żadnej pieprzonej dokumentacji.

Hand odchrząknął.

– Wydawałoby mi się...

Nagle statek rozjarzył się wokół nas.

Przez przestrzeń pod kopułą przemknęły błyskawicą fragmenty wybuchającego nagle światła, pęczniejącego do litych bloków przejrzystego koloru, owiniętych wokół centralnej struktury. Iskrzące wyładowania skakały w powietrzu między barwami, linie mocy wytrzęsione na zewnątrz jak podarte sztormem żagle wyrwane z olinowania. Całe ich fontanny wypływały z górnych poziomów wirującego, powiększającego się światła, zalewając pokład i budząc w miejscach, gdzie padły, głębszy blask przejrzystej powierzchni. Gwiazdy w górze przygasły. W centrum tego wszystkiego zmumifikowane ciała Marsjan zniknęły, otoczone zmieniającym kształt tornadem blasku. Błyskom towarzyszył dźwięk, bardziej wyczuwalny niż słyszany przez skąpaną w świetle skórę, narastające dudnienie i drżenie powietrza, które odczuwałem jak przyływ adrenaliny na początku walki.

Vongsavath dotknęła mojego ramienia.

– Patrz na zewnątrz – powiedziała z naciskiem. Choć stała tuż obok mnie, miałem wrażenie, że krzyczy przez wichurę. – Patrz na bramę!

Obróciłem głowę i zaangażowałem neurochem, żeby dostrzec coś przez kłębiące się pod kryształowym dachem strumienie światła. Z początku nie potrafiłem pojąć, o czym mówiła Vongsavath. Nie mogłem odnaleźć bramy i przypuszczałem, że musiała być gdzieś po drugiej stronie statku, na zupełnie innej orbicie. Potem wyzerowałem się na niewyraźnym kłębku szarości, zbyt ciemnym, żeby...

I wtedy zrozumiałem.

Burza światła i mocy szalejąca wokół nas nie ograniczała się do przestrzeni pod kopułą. Niebo wokół marsjańskiego statku również budziło się do życia. Gwiazdy przygasły do ledwie widocznych kropek przeświecających przez zasłonę czegoś, co rozmywało ich obraz, niewyraźne i drżące, wiele kilometrów za orbitą bramy.

– To ekran – stwierdziła pewnie Vongsavath. – Atakują nas.

Sztorm nad naszymi głowami z wolna się uspokajał. W świetle pływały teraz kłębki cieni, czasem uciekając do rogów ekranu jak ławice przestraszonych, srebrnych rybek widzianych w negatywie, gdzie indziej eksplodując w powolny, akrobatyczny ruch, zajmując pozycje na setkach różnych poziomów wokół wyłaniających się ponownie ciał dwójki Marsjan. Sekwencyjne fragmenty błyskających barw mrugały w rogach dostrojonych pól w odcieniach pereł i szarości. Ogólne brzęczenie przycichło i statek zaczął przemawiać do siebie bardziej ukształtowanymi sylabami. Dźwięczne nuty odbijały się echem przez platformę, przemieszane z głębokimi, organowymi impulsami dźwięku.

– To... – Mój umysł zawędrował do wąskiej kabiny trawlera, łagodnie zbudzonej spirali danych, kłębków informacji zgarniętych do górnego rogu. – To *wyświetlacz danych*?

– Słuszna uwaga. – Tanya Wardani szła wzdłuż zewnętrznych brzegów blasku i wskazywała wzory cieni i światła zebrane wokół dwóch ciał. Na jej twarzy błyszczała osobliwa euforia. – Trochę bardziej rozbudowane niż przeciętny biurkowy wyświetlacz holograficzny, prawda? Zakłada, że ta dwójka dysponuje głównymi sterami. Nie są w stanie z nich skorzystać, ale chyba statek sam potrafi o siebie zadbać.

– To *zależy*, co przyleci – ponuro odpowiedziała Vongsavath. – Sprawdźcie górne ekrany. Szare tło.

Podążyłem wzrokiem za jej ramieniem. Wysoko w górze, tuż pod krzywizną kopuły, perłowa powierzchnia szerokości dziesięciu metrów wyświetlała mleczną wersję przyciemnionego teraz

obrazu gwiazd na zewnątrz.

Coś się tam poruszało, szczupłe niczym rekin i kanciaste na tle gwiazd.

– Cóż to, do cholery, jest? – zapytał Deprez.

– Nie domyślasz się? – Wardani pawie dygotała od siły tego, co w niej w tej chwili szalało.

Stała z dala od naszej grupki. – Spójrzcie w górę. Wsłuchajcie się w statek. On wam powie, czym jest.

Marsjańskie systemy danych nie przemawiały w żadnym języku, który moglibyśmy zrozumieć, ale z pośpiechem, który nie wymagał tłumaczenia. Oderwane światła – przypomniałem sobie technoglifowe cyfry – to odliczanie, błyskające jak cyfry śledzące pocisk. Płaczliwe tony świergotały w górę i w dół nieludzkiej skali.

– Nadlatuje – powiedziała Vongsavath, zahipnotyzowana. – Przygotowujemy się do walki z tym czymś. Automatyczne systemy bojowe.

*Nagim...*

Obróciłem się na pięcie.

– Schneider – krzyknąłem.

Ale Schneidera już nie było.

– Deprez – krzyknąłem przez ramię, pędząc przez platformę. – Jiang. On idzie do *Nagini*.

Ninja dogonił mnie, zanim dotarłem do końca spiralnej rury, Deprez został kilka kroków z tyłu. Obaj trzymali w gotowości sunjety ze złożonymi kolbami dla większej wygody. Na dnie rury wydawało mi się, że słyszę stukot wywracającego się człowieka i krzyk bólu. Poczulem rodzące się we mnie wilcze warczenie.

*Zdobycz!*

Biegliśmy, ślizgając się i potykając na stromej pochyłości, aż dotarliśmy do dna i pustej, błyskającej znacznikiem przestrzeni pierwszej komory. Na podłodze rozsmarowana była krew w miejscu, gdzie wywrócił się Schneider. Ukląkłem obok i poczułem, jak moje wargi odsłaniają zęby. Podniosłem się i spojrzałem na towarzyszy.

– Nie będzie poruszał się za szybko. Nie zabijajcie go, jeśli możecie tego uniknąć. Nadal musimy poznać plany Carrery.

– Kovacs!

Głos Handa, dobiegający z rury, gotował się wręcz z tłumionej furii. Deprez rzucił w moją stronę krzywy uśmiech. Potrzasnąłem głową i pobiegłem w stronę wyjścia do następnej komory.

*Łowy!*

Niełatwo się biegnie, kiedy każda komórka ciała próbuje się wyłączyć i umrzeć, ale geny wilka i cokolwiek jeszcze biotechnicy Klina wrzucili do koktajlu, przebiły się przez opary mdłości i warczeniem zdławiły zmęczenie. Warunkowanie Emisariusza pchało je w górę.

*Sprawdź, czy jesteś gotowy do działania.*

*Dzięki, Virginia.*

Wokół nas statek drżał i trząsał się, budząc do życia. Biegliśmy przez korytarze pulsujące sekwencjami pierścieni fioletowego światła, jakie widziałem ściekające po krawędziach bramy tuż przed jej otwarciem. W jednej z komór wyszła nam na powitanie któraś z maszyn o kolczastym grzbiecie, mrugając do nas technoglifami i cicho klekocząc. Zatrzymałem się w miejscu; do rąk wskoczyły mi pistolety, a Deprez i Jiang stanęli po obu moich stronach. Impas trwał przez dłuższą chwilę, po czym ludzie i maszyna rozeszli się, każde w swoją stronę, mamrocząc pod nosem.

Wymieniliśmy spojrzenia. Pomimo potwornego dyszenia wymęczonych płuc i walenia w skroniach, zdobyłem się na uśmiech.

– Chodźcie.

Tuzin sal i korytarzy dalej Schneider okazał się sprytniejszy, niż się spodziewałem. Gdy razem z Jiangiem wypadliśmy na otwartą przestrzeń bańki, z drugiego wyjścia powitały nas strzały z sunjeta. Poczulem na policzku ukłucie bliskiego strzału, a potem Nina u mego boku pociągnął mnie na ziemię wyciągniętym w bok ramieniem. Następny strzał przeleciał dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stałem. Jiang dostał, przetoczył się i dołączył do mnie na podłodze twarzą w górę, patrząc z lekkim niesmakiem na dymiący rękaw.

Deprez wyhamował w cieniu wejścia, przez które przebiegliśmy, i przyłożył oko do systemu celowniczego swojej broni. Ściana osłonowego ognia, który otworzył, przetoczyła się po brzegach pułapki Schneidera i – zwięziłem oczy – w najmniejszym stopniu nie zaszkodziła materiałowi ściany. Jiang przetoczył się pod ognistą wiązką i znalazł węższy kąt do korytarza przed nami. Strzelił raz, popatrzył w mrok i potrząsnął głową.

– Uciekł – powiedział, wspinając się na nogi i wyciągając do mnie rękę.

– Ach, dzięki. – Wstałem. – Dzięki, że mnie popchnąłeś.

Skłonił się uprzejmie i ruszył przez komorę. Deprez poklepał mnie po ramieniu i poszedł w jego ślady. Potrząsnąłem głową i ruszyłem za nimi. Przy wyjściu przyłożyłem dłoń do krawędzi w miejscu, do którego strzelał Deprez. Powierzchnia nie była nawet ciepła.

Przy gardle zaskwierczał mi sprzęt indukcyjny. Przez trzaski statycznego szumu przebił się głos Handa. Jiang znieruchomiał przed nami z przechyloną głową.

– ...vacs, to... mnie... st... rzam, wr... st...

– Proszę powtórzyć – Jiang bardzo starannie wymawiał słowa.

– ...saiiii... port ni...

Jiang obejrzał się na mnie. Machnąłem w powietrzu kantem dłoni i rozłączyłem swój komunikator. Palcem wskazałem przed siebie. Ninja rozluźnił się i ruszył dalej, płynnie jak tancerz. Poszliśmy za nim trochę mniej wdzięcznym krokiem.

Przewaga Schneidera wzrosła. Poruszaliśmy się teraz wolniej, sprawdzając wejścia i wyjścia do komór w standardowej procedurze szturmowej. Dwa razy wyłapaliśmy ruch przed nami i musieliśmy się czołgać tylko po to, żeby znaleźć kolejną maszynę kręcącą się po pustej sali i klekoczącą coś do siebie cicho. Jedna z nich szła za nami przez chwilę jak porzucony pies szukający pana.

Dwie komory od doku usłyszeliśmy włączające się silniki *Nagini*. Ostrożność poszła w diabły. Zerwałem się do chwiejnego sprintu. Wyprzedził mnie Jiang, potem Deprez. Próbując za nimi nadążyć, jeszcze przyspieszyłem, poddawszy się skurczom i wymiotom w pół drogi przez ostatnią salę. Deprez i ninja byli o dwadzieścia metrów ode mnie, kiedy przypadli do wyjścia z doku. Wytarłem wierzchem dłoni strużkę trzymających się ust wymiocin i wyprostowałem się.

Przenikliwy, huczący, wybuchowy wrzask, jak hamulce wciśnięte gwałtownie wobec rozszerzającego się kosmosu.

Bateria ultrawibracyjna *Nagini* strzelająca w zamkniętej przestrzeni.

Rzuciłem sunjeta i miałem już ręce w pół drogi do uszu, gdy impuls umilkł równie gwałtownie, jak się zaczął. Deprez zatoczył się z powrotem w pole widzenia, pomalowany krwawo od stóp do głów, bez sunjeta. Za nim brzęczenie silników *Nagini* pogłębiło się do ryku, gdy Schneider odpalił je, podnosząc statek. Huk rozdzieranego powietrza na przegrodach atmosferycznych, przetaczającego się z powrotem kominem komory dokowej i owiewającego mi twarz jak ciepły wiatr. Potem nic. Rwąca cisza zniekształcona wysokim szumem nadweryżonego słuchu, próbującego poradzić sobie z nagłym brakiem hałasu.

W brzęczącej ciszy schyliłem się po sunjeta i podszedłem do miejsca, gdzie na podłogę padł Deprez, plecami opierając się o zakrzywioną ścianę. Patrzył tępo na swoje dłonie i pokrywającą je posokę. Jego twarz była pokryta czerwienią i czernią z tego samego źródła. Jego kameleonochromowy strój bojowy już stosownie zmieniał kolor.

Wydałem z siebie jęk, a on spojrzał w górę.

– Jiang?

– To... – Podniósł dłonie w moją stronę, a jego rysy wykrzywiły się, jak twarz dziecka, które nie jest pewne, czy będzie płakać. Wypowiadał słowa po jednym, jakby musiał zatrzymać się i sklejać je razem. – Jest... Jiang... Jest... Tu... – Zaciśnął pięści. – Kurwa.

Zwieszony przy szyi komunikator zatrzeszczał bezsilnie. Po drugiej stronie komory poruszyła się maszyna, naigrując się z nas bezczelnie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

*Człowiek zdjęty to nie trup. Nie zostawiajcie za sobą stosów.*

Większość elitarnych jednostek specjalnych lubi śpiewać na tę nutę; z pewnością robił tak Korpus Emisariuszy. Ale wobec nowoczesnego uzbrojenia coraz trudniej jest śpiewać to na poważnie. Działo ultrawibracyjne rozsmarowało Jianga równomiernie na dziesięciu metrach kwadratowych pokładu hangaru i przyległej ściany. Żaden z kawałków rozbitej i poszarpanej tkanki nie był ani trochę bardziej stały niż to, co ściekało z Luca Depreza. Przez chwilę chodziliśmy w tym we wszystkie strony, zdrapując strzępki butami i przykucając, żeby sprawdzić drobne czarne skrżepki, ale niczego nie znaleźliśmy.

Po dziesięciu minutach Deprez powiedział to za nas obu.

– Wydaje mi się, że tracimy tylko czas.

– Tak. – Podniosłem głowę, gdy coś zadźwięczało w kadłubie pod naszymi stopami. – Myślę, że Vongsavath miała rację. Jesteśmy ostrzeliwani.

– Wracamy?

Przypomniałem sobie o komunikatorze i z powrotem go włączyłem. Ktokolwiek wrzeszczał na nas poprzednio, dał sobie spokój, na kanale nie było nic oprócz interferencji i dziwnego łkania, które mogło pochodzić od fali nośnej.

– Tu Kovacs. Powtarzam, tu Kovacs. Jaki mamy status?

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, potem w słuchawce zatrzeszczał głos Sutjiadiego.

– ...ało? o... az... start. Schnei... ły?

– Przerywa, Markus. Proszę o status. Czy jesteśmy atakowani? Erupcja zniekształceń brzmiących tak, jakby dwa lub trzy głosy próbowały zagłuszyć Sutjiadiego. Czekałem.

W końcu dotarł do mnie prawie wyraźny głos Tanyi Wardani.

– ...otem tutaj... acs... czni. My... ny... czeństwa... rzam, nie... niebe... stwa.

Kadłub znów zaśpiewał, jak uderzony gong świątynny. Z powątpiewaniem popatrzyłem na pokład pod stopami.

– Powiedziałaś bezpieczni?

– Ta... o nieb... caj natych... czni... rzam, bezpieczni.

Popatrzyłem na Depreza i wzruszyłem ramionami.

– To musi być jakaś nowa definicja tego słowa.

– Czyli jednak wracamy?

Rozejrzałem się wokół, lustrując poukładane rzędami węzowe ciała ścian komory dokowej, a potem spojrzałem w spryskaną krwią twarz. Podjąłem decyzję.

– Na to wygląda. – Znów wzruszyłem ramionami. – To podwórko Wardani. Jak dotąd się nie myliła.

\* \* \*

Na platformie marsjańskie systemy komputerowe przeszły w lśniącą konstelację funkcjonalności, podczas gdy ludzie stali pod nimi, gapiąc się jak wierni będący świadkami nieoczekiwanego cudu.

Nietrudno było zrozumieć dlaczego.

W przestrzeni wokół centralnej struktury unosił się zestaw ekranów i wyświetlaczy. Niektóre stanowiły oczywiste odpowiedniki systemów bojowych dowolnego okrętu, inne nie dawały się



porównać z niczym, co kiedykolwiek widziałem. Współczesne pole bitwy zaznajamia człowieka z modularnymi wyświetlaczami danych i umiejętnością odczytania potrzebnych szczegółów z tuzina różnych ekranów i informacji błyskawicznie i bez udziału świadomości. Warunkowanie Korpusu Emisariuszy doprowadza te umiejętności jeszcze dalej, ale czułem, jak gubię się w kątowych geometriach potężnego marsjańskiego systemu. Tu i tam dostrzegałem zrozumiałe dane, obrazy, które mogłem odnieść do tego, co faktycznie działo się w przestrzeni wokół nas, ale nawet między tymi elementami trafiały się brakujące fragmenty w miejscach, gdzie ekrany przechodziły na częstotliwości nieodpowiednie dla ludzkich oczu. Gdzie indziej nie byłem w stanie stwierdzić, czy ekrany były wyświetlane w całości, uszkodzone czy całkowicie spalone.

Ze zrozumiałych danych zdołałem zidentyfikować telemetrię optyczną w czasie rzeczywistym, wielokolorowe wykresy spektrograficzne, mapowanie trajektorii i modele analityczne dynamiki walki, monitory skuteczności rażenia i graficzne inwentarze magazynów, coś, co mogło stanowić grawitacyjną notację gradientową...

Środek ekranu co drugiego wyświetlacza zajmował atakujący statek.

Zjeżdżając pod zawadiackim, bocznym kątem w dół krzywizny słonecznej grawitacji, zbliżało się do nas szczupłe, chirurgicznie sterylne połączenie prętów i eliptycznych krzywych, krzyczące wręcz okrętem bojowym. Ledwie o tym pomyślałem, zaraz pojawił się dowód. Na ekranie, który nie pokazywał realnej przestrzeni, przez pustkę zamrugała do nas broń. Na zewnątrz kopuły ekrany zamigotały fluorescencyjnym blaskiem. Kadłub statku pod stopami zadrżał.

*Co znaczyło...*

Umysł rozjaśnił mi się w zrozumieniu.

– Nie wiem, co to jest – odezwała się Sun konwersacyjnym tonem, gdy stanąłem przy jej boku. Zdawała się być całkowicie pochłonięta tym, czemu się przyglądała. – W każdym razie broń nadświetlna. On musi być jeszcze prawie jednostką astronomiczną od nas, a za każdym razem natychmiast nas trafia. Z drugiej strony, nie wygląda na to, żeby robił jakieś szkody.

Vongsavath kiwnęła głową.

– Przypuszczam, że to wstępne zagłuszacze systemu. Żeby namieszać w systemach obronnych. Może jakiś rodzaj dysruptora grawitacyjnego. Słyszałam, że Mitoma prowadzi jakieś badania... – przerwała. – Patrzcie, nadlatuje salwa torped. Ludzie, to całkiem sporo sprzętu jak na jeden strzał.

Miała rację. Przestrzeń przed atakującym pojazdem zapełniła się drobnymi, złotymi śladami tak gęsto, że mogły również stanowić interferencję na powierzchni ekranu. Wtórne ekrany wywołały szczegóły i zobaczyłem, jak rój tka zawile wzory unikowo-ochronne przez miliony kilometrów pustki.

– Wydaje mi się, że one też lecą z nadświetlną. – Sun potrząsnęła głową. – Ekran jakoś sobie z tym radzi i wyświetla odwzorowanie. Myślę, że to już się wydarzyło.

Pojazd, na pokładzie którego stałem, dudnił odległe, a poszczególne wibracje nadchodziły z tuzina różnych kątów. Na zewnątrz tarcze znów rozbłysły, i odniosłem luźne wrażenie, jakby tłum czegoś mrocznego wciskał się do środka w mikrosekundowych pulsach obniżonej energii.

– Przeciwsalwa – powiedziała Vongsavath z brzmącą w głosie satysfakcją. – Znów to samo.

Niełatwo było przyglądać się tej scenie, bo przypominało to trochę próbę śledzenia ognia laserów. Na ekranach nowy rój rozbłysnął fioletem, splatając się z nadlatującą burzą złota i wybuchając w rozbłyskach światła gasnącego równie szybko, jak się pojawiało. Każdy błysk zabierał ze sobą plamki złota, aż niebo między statkami całkiem opustoszało.

– Piękne – wyszeptała Vongsavath. – Cholernie piękne.

Oprzytomniałem.

– Tanya, słyszałem słowo „bezpiecznie”. – Wskazałem na szalejące tęczowymi barwami

w górze nad nami odwzorowanie bitwy. – Według ciebie to jest „bezpiecznie”?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na zbryzgane krwią twarz i ubranie Luca Depreza.

– Odpręż się, Kovacs. – Vongsavath wskazała na jeden z wykresów trajektorii. – Widzisz, to kometarne. Wardani przeczytała to samo z glifów. Po prostu przeleci w pobliżu, wymieniając trochę ognia, a potem znów pomknie w kosmos.

– *Kometarne?*

Pilot rozłożyła ręce.

– Pobitewna orbita cmentarna, zautomatyzowane systemy bojowe. To zamknięta pętla. Wygląda na to, że powtarza się od tysięcy lat.

– Co się stało z Janem? – głos Wardani był pełen napięcia.

– Odleciał bez nas. – Uderzyła mnie pewna myśl. – Wleciał w bramę, prawda? Widzieliście to?

– Tak, jak penis do cipki – stwierdziła Vongsavath z nieoczekiwanym jadem. – Jak chce, to facet potrafi latać. To był mój cholerny statek.

– Bał się – powiedziała archeolog otępiałym głosem.

Luc Deprez wbił w nią spojrzenie z pokrytej maską krwi twarzy.

– Wszyscy się baliśmy, Wardani. To nie jest wytłumaczenie.

– Idioci. – Rozejrzała się po naszych twarzach. – Wy wszyscy pieprzeni idioci. Nie bał się tego... cholernego cyrku świateł. Bał się jego.

Dźgnęła palcem w moją stronę, wbijając wzrok w moje oczy.

– Gdzie jest Jiang? – zapytała nagle Sun. W szalejącej wokół nas burzy obcej techniki zauważenie nieobecności cichego ninji zabrało trochę czasu.

– Luc ma na sobie jego większość – powiedziałem brutalnie. – Reszta leży na podłodze doku, dzięki uprzejmości ultrawibratorów *Nagini*. Pewnie jego Jan też się bał, co, Tanya?

Wzrok Wardani pomknął w bok.

– A jego stos? – Na twarzy Sutjiadiego nie pojawiła się żadna emocja, ale nie musiałem tego widzieć. Wilcze geny bardzo starały się przekazać mi to samo pulsujące uczucie w głębi czaszki.

*Zginął członek stada.*

Zablokowałem ten zew emisariuszowskimi sztuczkami. Potrząsnąłem głową.

– Ultrawibracje, Markus. Dostał pełny ładunek.

– Schneider... – głos Vongsavath załamał się i musiała zacząć od początku. – Ja go...

– Zapomnij o Schneiderze – powiedziałem. – On nie żyje.

– Stań w kolejce.

– Nie, Ameli, on już nie żyje. Naprawdę nie żyje. – Gdy skupiało się na mnie spojrzenie ich oczu, Tanya Wardani znów popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. – Zaminowałem komórki paliwowe *Nagini*. Ustawiłem je na wybuch przy przyspieszeniu w planetarnym ciężeniu. Wyparował zaraz po tym, jak przeleciał przez bramę. Miał szczęście, jeśli została blacha.

Nad naszymi głowami kolejne fale złotych i fioletowych pocisków spotkały się w maszynowym tańcu i migocząc, starły się w niebyt.

– Wyszadziłeś *Nagini*? – Trudno było stwierdzić, co Vongsavath czuje, tak bardzo zdławiony był jej głos. – Wyszadziłeś mój statek?

– Jeśli wrak będzie tak rozproszony – odezwał się w zamyśleniu Deprez – Carrera może założyć, że wszyscy zginęliśmy w wybuchu.

– Jeśli Carrera w ogóle tam rzeczywiście jest – Hand patrzył na mnie w taki sam sposób jak wcześniej na śpiewodrzewa. – Jeśli to wszystko nie jest jakimś emisariuszowskim spiskiem.

– Och, o co chodzi, Hand? Schneider próbował ubić z tobą jakiś dodatkowy interes, kiedy

poszliście sobie na spacer?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Kovacs.

Może i nie. Nagle poczułem się zbyt zmęczony, by przejmować się czymkolwiek.

– Carrera i tak tu przyleci – stwierdziłem. – Jest bardzo drobiazgowy, a zresztą będzie chciał zobaczyć statek. Znajdzie sposób na zneutralizowanie systemu nanobowego. Ale jeszcze poczeka. Nie przejdzie tu, póki szczątki *Nagini* dekorują krajobraz, a odczyty z drugiej strony bramy wskazują na bitwę kosmiczną w pełnej skali. To go powstrzyma. I da nam trochę czasu.

– Czasu na co? – zapytał Sutjiadi.

Pytanie zawisło w powietrzu. Poczułem, jak budzi się we mnie Emisariusz, gotowy, by rozegrać to po swojemu. Na krańcach peryferyjnej wizji przyglądałem się ich twarzom i postawom, ważyłem możliwe sojusze i ewentualne zdrady. Zdławiłem emocje, oddarłszy użyteczne niuanse, które mogłem z nich pozyskać, a resztę wyrzuciłem. Oderwałem wilczą lojalność stada i wygładziłem wszelkie uczucia, jakie wciąż unosiły się ociążale w przestrzeni między Tanyą Wardani i mną. Opadłem w strukturalne zimno misji Emisariusza. Podjąłem decyzję i zagrałem ostatnią kartą.

– Zanim zaminowałem *Nagini*, zdjąłem kombinezony kosmiczne z zebranych przez nas ciał i schowałem je w niszy pierwszej komory za dokiem. Jeśli odliczyć ten z przepalonym hełmem, zostają cztery sprawne. To standardowe jednoczęściowce. Zapasy powietrza odświeżą się w obecności atmosfery, nie pod ciśnieniem, tak jak tutaj. Wystarczy przekręcić zawory, a same zassają. Wylecimy w dwóch falach. Ktoś z pierwszej wróci z dodatkowymi kombinezonami.

– A wszystko to – stwierdziła szyderczo Wardani – z Carrerą czekającym po drugiej stronie bramy, żeby nas przejąć. Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

– Nie każę wam wyruszać już teraz – powiedziałem cicho. – Po prostu sugeruję, żebyśmy wrócili i zabrali kombinezony, póki jeszcze czas.

– A kiedy Carrera wejdzie na pokład? Co według ciebie mamy wtedy zrobić? – Nienawiść wzbierająca na jej twarzy była jednym z brzydszych widoków, jakie ostatnio oglądałem. – Ukryć się przed nim?

– Tak. – Przyglądałem się reakcjom pozostałych. – Dokładnie tak. Wejdziemy głębiej w statek i przeczekamy. Bez względu na to, kogo wyśle Carrera, będą mieli dość sprzętu, żeby wykryć nasze ślady w doku i innych miejscach. Ale nie znajdą niczego, co nie może zostać wyjaśnione przez naszą wcześniejszą obecność, zanim wszyscy wsiedliśmy na *Nagini* i wysadziliśmy się w powietrze. Logiczne będzie założenie, że wszyscy zginęliśmy. Przeszuka, ustawi boję roszczeniową, dokładnie tak jak planował, a potem odleci. Nie ma dość ludzi ani czasu, żeby pilnować kadłuba długości ponad pięćdziesięciu kilometrów.

– Nie – zgodził się Sutjiadi. – Ale zostawi oddział strażników.

Niecierpliwie machnąłem ręką.

– Więc ich zabijemy.

– I bez wątpienia po drugiej stronie bramy czekał będzie drugi oddział – ponuro zauważył Deprez.

– I co? Jezu, Luc. Robiłeś takie rzeczy, prawda?

Uśmiechnął się do mnie przepraszająco.

– Tak, Takeshi. Ale wszyscy jesteśmy chorzy. A mówisz o Klinie. Mniej więcej dwudziestu ludzi tutaj, prawdopodobnie drugie tyle po tamtej stronie bramy.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy naprawdę... – Pokładem wstrząsnął nagły dreszcz, dostatecznie silny, żeby Hand i Tanya Wardani lekko się zatoczyli. Pozostali poradzili sobie z nim z warunkowanym walką spokojem, ale...

Rozległ się jęk struktur kadłuba. Śpiewodrzewa na platformie zdawały się emanować współczucie tuż poniżej poziomu słyszalności.

Zwinał się we mnie słaby niepokój. Coś było nie tak.

Spojrzałem w górę na ekrany i zobaczyłem, jak nasza sieć obronna po raz kolejny zmiata systemy ataku. Za każdym razem wszystko zdawało się rozgrywać trochę bliżej.

– Kiedy mnie tu nie było, wszyscy zgodnie uznaliście, że jesteśmy bezpieczni, tak?

– Policzyliśmy to sobie, Kovacs. – Vongsavath kiwnęła głową w stronę Sun i Wardani. Oficer systemów przechyliła głowę. Wardani tylko wbijała we mnie płonący wzrok, – Wygląda na to, że nasz przyjaciel dogania nas mniej więcej raz na tysiąc dwieście lat. A biorąc pod uwagę datowanie większości ruin na Sanction IV, oznacza to, że ta potyczka rozegrała się już jakieś sto razy bez widocznego efektu.

A jednak mój niepokój narastał. Zmysły Emisariusza, podkrecone do granic możliwości, wyczuły jakiś zgrzyt, coś, co tak emanowało złem, że niemal słyszałem trzask płomienia.

... Łkająca fala nośna...

... Śpiewodrzewa...

... Zwalniający czas...

Wbiłem wzrok w ekrany.

*Musimy się stąd wydostać.*

– Kovacs?

– Musimy się...

Czułem, jak słowa przeciskają się przez wyschnięte usta, jakby ktoś inny używał mojej powłoki wbrew mojej woli, po czym umilkły.

Wrogi statek wyprowadził wreszcie prawdziwy atak.

Wystrzelił z przednich powierzchni statku jak coś żywego. Bezkształtna, wirująca czernią kula pomknęła ku nam jak upostaciowiona nienawiść. Na ekranach pomocniczych widać było, jak rozdziera wokół siebie strukturę przestrzeni i zostawia za sobą falę wzburzonej rzeczywistości. Nietrudno było zgadnąć, na co patrzymy.

*Broń hiperprzestrzenna.*

Obiekt z fantastycznych sensorii. I chore marzenie każdego komandora floty w Protektoracie.

Statek, marsjański statek – i dopiero teraz zrozumiałem z instynktowną wiedzą Emisariuszy, że ten drugi nie był marsjański, w ogóle go nie przypominał – pulsował w sposób, który wywoływał w moich wnętrznościach fale mdłości i natychmiast spowodował ból wszystkich zębów. Zatoczyłem się i padłem na kolana.

Coś zwymiotowało w przestrzeń przed atakiem. Coś gotowało się, prężyło i rozrywało na części z ledwie wyczuwalnym wybuchem. Poczułem wstrząs odrzutu rozchodzący się po kadłubie wokół mnie, brak ciszy, który był czymś więcej niż tylko wibracją w zwykłej przestrzeni.

Na ekranie mroczny pocisk rozpadł się na strzępy, rozpryskując dziwnie lepko wyglądające fragmenty. Zauważyłem, jak zewnętrzna tarcza rozbłyśnie, drga i niknie jak płomień zdmuchniętej świecy.

Statek wrzasnął.

Nie dało się tego inaczej określić. Przetaczający się, modulowany płacz, który zdawał się emanować z przestrzeni wszędzie wokół nas. Był to dźwięk tak potężny, że przy nim wrzask baterii ultrawibracyjnych *Nagini* był prawie do zniesienia. Jednak o ile strzał ultrawibracyjny uderzył i rozbił mój słuch, ten dźwięk prześliznął się przez niego i przeszedł bez wysiłku jak laserowy skalpel. Nawet podnosząc ręce do uszu, wiedziałem, że zupełnie nic to nie da.

Ale i tak to zrobiłem.

Krzyk przybierał na sile, trwał i w końcu odtoczył się z platformy, zastąpiony przez mniej agonalne pastisze piskliwych alarmów z systemów komputerowych i ledwie słyszalnego, gasnącego echa z...

Zawirowałem.

... Ze śpiewodrzew.

Tym razem nie było żadnych wątpliwości. Łagodnie, jak wiatr wiejący nad zerodowanym skalnym grzbietem, śpiewodrzewa zebrały krzyk statku i odtwarzały go sobie nawzajem w zniekształconych tonacjach, które prawie mogły być muzyką.

To była fala nośna.

W górze coś szeptało w odpowiedzi. Spojrzałem i zdawało mi się, że widzę migoczący pod kopułą cień.

Na zewnątrz znów włączyły się tarcze.

– Cholera – powiedział Hand, wstając. – Co to by...

– Zamknij się. – Wpatrywałem się w miejsce, gdzie jak sądziłem, dostrzegłem cień, ale zgaśnięcie gwiazd w tle zatopiło go w perłowym świetle. Trochę po lewej jedno z marsjańskich ciał patrzyło na mnie pomiędzy blasku systemów danych. Szlochanie śpiewodrzew nie ustawało, szarpiąc za mój żołądek.

A potem znów rozległ się sięgający wnętrzości, chory puls i dudnienie pokładu pod stopami.

– Odpowiadamy ogniem – wyjaśniła Sun.

Na ekranie pojawiła się kolejna czarna masa, wypluta z jakiejś baterii głęboko w trzewiach marsjańskiego statku i posłana w stronę zbliżającego się przeciwnika. Tym razem odrzut trwał dłużej.

– To niesamowite – odezwał się Hand. – Niewiarygodne.

– Uwierz w to – powiedziałem płasko. Wrażenie nadciągającej katastrofy nie odeszło z gasnącym echem ostatniego ataku. Wręcz przeciwnie, przybrało na sile. Spróbowałem przywołać emisariuszowską intuicję przez warstwy zmęczenia i ogłupiających mdłości.

– Nadchodzi – ostrzegła Vongsavath. – Zasłońcie uszy.

Tym razem pocisk obcego statku dotarł znacznie bliżej, zanim przechwyciła go i zneutralizowała marsjańska sieć obronna. Fale uderzeniowe z wybuchu rzuciły nas wszystkich na podłogę. Poczulem, jakby cały statek okręcił się wokół nas jak wyżymana szmata. Sun zwymiotowała. Zewnętrzna tarcza wyłączyła się i tak pozostała.

Przygotowany na ponowny krzyk statku, zamiast tego usłyszałem długi lament żałobny w niskiej tonacji, który zacisnął pazury wokół ścięgien moich ramion i klatki piersiowej. Śpiewodrzewa podchwyciły go i wzmocniły, tym razem wyżej, już nie w gasnące echo, ale w pełną emanację na własnych prawach.

Usłyszałem, jak ktoś za mną syczy, i odwróciłem się, by zobaczyć Wardani gapiącą się w ekrany z niedowierzaniem. Poszedłem wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyłem ten sam cień przepływający wyraźnie przez górną część przestrzeni wypełnionej ekranami.

– Co... – To Hand, którego głos przygasł, gdy kolejna plama ciemności przesunęła się od lewej strony i jakby zatańczyła chwilę z pierwszą.

Do tego czasu wiedziałem, i co dziwne, natychmiast pomyślałem, że ze wszystkich ludzi właśnie Hand nie powinien być zaskoczony, że on powinien zrozumieć to pierwszy.

Pierwszy cień obniżył się i zawirował wokół ciała Marsjanina.

Spojrzałem na Wardani, odszukałem jej oczy i bijącą z nich otępiałą niewiarę.

– Nie – wyszeptała, ledwie poruszając wargami. – To niemożliwe.

A jednak.

Wyłaniali się ze wszystkich stron kopuły, najpierw pojedynczo i parami, wjeżdżając w górę krystalicznej krzywizny i odrywając się nagle w pełną, trójwymiarową egzystencję, strząśniętą przez każde konwulsyjne zniekształcenie, jakich zaznawał ich statek w bitwie szalejącej na zewnątrz. Odrywali się i opadali do poziomu podłogi, a potem wznosili z powrotem i zaczynali krążyć wokół centralnej struktury. Nie wydawali się świadomi naszej obecności, ale żaden z nich nas nie dotknął. W górze ich przejście nie wywarło żadnego efektu na holograficzne ekrany, jeśli nie liczyć lekkich fal, gdy przez nie przenikali, a część z nich zdawała się nawet okazjonalnie przekraczać materiał kopuły i wylatywać w otwartą przestrzeń. Więcej nadciągało kolumną przez rurę korytarza, którym dotarliśmy na platformę, wciskając się w coraz bardziej zatłoczoną przestrzeń.

Wydawany przez nich dźwięk był tym samym lamentem, który wcześniej zaczął statek, tym samym zawodzeniem, jakiemu teraz nadawały formę śpiewodrzewa na podłodze, tą samą falą nośną, jaką odebrałem w interkomie. W powietrzu rozchodziły się ślady aromatu wiśniowo-musztardowego, ale zmieszane teraz z czymś jeszcze, czymś przypalonym i starym.

Na zewnątrz rozerwało się i wybuchło zniekształcenie hiperprzestrzenne. Tarcze wróciły na swoje miejsce, tym razem zabarwione na fioletowo, a kadłub statku drżał od odrzutu w miarę, jak jego baterie strzelały raz za razem we wrogi pojazd. Już mnie to nie obchodziło. Przepadły wszelkie wrażenie fizycznego dyskomfortu, zamrożone do ściśnięcia w piersiach i rosnącego ciśnienia za oczami. Platforma zdawała się powiększać wokół mnie i reszta grupy znajdowała się teraz zbyt daleko na rozległej przestrzeni, by mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Nagle uświadomiłem sobie, że sam też płaczę, cicho łkając w ograniczonej przestrzeni moich zatok.

– *Kovacs!*

Obróciłem się, czując się tak, jakbym stał do pasa w strumieniu lodowato zimnej wody, i zobaczyłem Handa, który odchyliwszy klapę kieszeni, uniósł ogłuszacz.

Jak później oceniłem, odległość wynosiła niecałe pięć metrów, ale miałem wrażenie, że pokonanie jej zajmuje całe wieki. Rzuciłem się w przód, zablokowałem ramię z bronią naciskiem na wrażliwy punkt i walnąłem go łokciem w twarz. Zawył i padł, a ogłuszacz ze stukiem uderzył o podłogę i ślizgiem odleciał dalej. Rzuciłem się za nim, zamglonym wzrokiem szukając gardła Handa. Odepchnęło mnie słabe ramię. Coś krzyczał.

Moja prawa dłoń usztywniła się w mordercze ostrze. Neurochem skupił wzrok przez rozmycie.

– Wszyscy zginiemy, ty pieprzony...

Cofnąłem rękę do ciosu. Szlochał.

Rozmycie.

Woda w moich oczach.

Przetarłem je dłonią, zamrugałem i zobaczyłem jego twarz. Po jego policzkach strumieniem płynęły łzy. Przez łkanie ledwie mógł mówić.

– Co? – Moja ręka rozluźniła się i trzasnąłem go mocno w twarz. – Co powiedziałaś?

Przełknął. Wciągnął powietrze.

– Zastrzel mnie. Zastrzel nas wszystkich. Użyj ogłuszacza, Kovacs. To właśnie ich zabiło!

I nagle uświadomiłem sobie, że moja twarz też jest zalana łzami, że mam ich pełne oczy. Czulem łkanie w opuchniętym gardle, tę samą tęsknotę, którą odbijały śpiewodrzewa, nie za statkiem, zrozumiałem wreszcie, ale za przepadłą przed tysiącleciem załogą. Rozcinające mnie ostrze było żalem za Marsjanami, obcym bólem przechowanym tu w sposób, który nie miał sensu poza legendami przy ognisku w Mitcham Point. Zamrożony, nieludzki ból w piersiach i wnętrznościach, którego nie

dało się pozbyć, i nie do końca dostrojona nuta w uszach, o której wiedziałem, że jeśli się nasili, rozbije mnie jak surowej jajko.

Poczułem słabo falę i wstrząs kolejnego prawie trafienia ciemnej materii. Stada cieni nad moją głową zawirowały i zaskrzeczały, wznosząc się wyżej pod kopułą.

– *Zrób to, Kovacs!*

Zatoczyłem się do pionu. Znalazłem własny ogłuszacz i wystrzeliłem z niego do Handa. Rozejrzałem się za pozostałymi.

Deprez trzymał ręce przy skroniach, chwiejąc się jak drzewo na wietrze. Sun padła na kolana. Sutjiadi między nimi, niewyraźny w migotliwej perspektywie moich łez. Wardani, Vongsavath...

Za daleko, za daleko w gęstym świetle i rozpaczliwym bólu.

Warunkowanie Emisariusza po omacku przejęło kontrolę i wyłączyło zalew emocji wywołanych przez otaczające mnie łkanie. Odległość zmalała. Moje zmysły wróciły do normy.

Zawodzenie zebranych cieni przybrało na sile, gdy przejmowałem ręczną kontrolę nad osłonami psychicznymi i mrocznymi przełącznikami. Wdychałem to jak Guerlain 20, korodując jakiś system blokad wewnętrznych, leżący poza granicami analitycznej fizjologii. Poczułem, jak nadchodzą zniszczenia, wzbierając do eksplozji.

Podniosłem ogłuszacz i zacząłem strzelać.

Deprez. Załatwiony.

Sutjiadi, obracający się z niedowierzaniem na twarzy, gdy obok niego padł zabójca.

Załatwiony.

Za nim klęczy Sun Liping, z kurczowo zaciśniętymi oczami, unosząc do twarzy pistolet. Analiza systemowa. Ostatnia deska ratunku. Rozpracowała to, po prostu nie miała ogłuszacza. I nie wiedziała, że ma go ktoś inny.

Zatoczyłem się przed siebie, krzyżąc do niej niesłyszalnie w burzy żalu. Blaster wsunął się pod jej policzek. Strzeliłem pospiesznie z ogłuszacza, ale spudłowałem. Bliżej.

Blaster eksplodował. Wąską wiązką rozerwał jej policzek i klinga bladego ognia wystrzeliła ze szczytu jej głowy, zanim bezpiecznik wyłączył obwód, gasząc wiązkę. Padła na bok, z parą kłębami wylatującą z ust i oczu.

Coś strzeliło mi w gardle. Maleńkie poczucie straty, wzbierające i wyciekające w ocean żalu wyśpiwawanego do mnie przez śpiewodrzewa. Moje usta otworzyły się, może by wykrzyknąć część tego bólu, ale było go zbyt wiele. Zamknął się bezdźwięcznie w moim gardle.

Vongsavath zatoczyła się na mnie z boku. Okręciłem się i ją złapałem. Miała szeroko otwarte oczy, zalane łzami. Próbowałem ją odepchnąć, dać sobie trochę miejsca na strzał, ale przywarła do mnie, jęcząc z głębi gardła.

Ładunek wykrzywił ją i opadła na ciało Sun.

Wardani stała po drugiej stronie, za nimi, patrząc na mnie.

Kolejny wybuch ciemnej masy. Skrzydlate cienie nad nami wrzasnęły i zapłakały, a ja poczułem, jak coś we mnie pęka.

– Nie – powiedziała Wardani.

– Kometarne – krzyknąłem do niej przez jęki. – To musi minąć, my po prostu...

Wtedy coś rzeczywiście się rozdarło i upadłem na pokład, zwijając się z bólu, jak ryba przebita harpunem.

Sun – zginęła z własnej ręki po raz drugi.

Jiang – rozsmarowany na papkę na podłodze doku. Stos przepadł.

Cruickshank, rozerwana na strzępy, stos przepadł. Hansen też. Odliczanie rozwinęło się

w szybki podgląd w czasie, rzucając się jak wąż w śmiertelnych drgawkach.

*Smród obozu, z którego wyciągnąłem Wardani, dzieci umierające z głodu pod kontrolą zrobotyzowanych karabinów i rządami wypalonego, okablowanego ludzkiego wraka.*

*Statek szpitalny, mizerna chwila odpoczynku między polami śmierci.*

*Pluton, członkowie stada rozrywani wokół mnie na kawałki przez inteligentny szrapnel.*

*Dwa lata rzezi na Sanction IV.*

*Wcześniej Korpus.*

*Innenin, Jimmy de Soto i reszta, z umysłami przewierconymi na wylot przez wirus Rawling.*

*Wcześniej inne planety. Inny ból, w większości nie mój. Śmierć i emisariuszowskie oszustwa.*

*Świat Harlana i stopniowe emocjonalne okaleczanie dzieciństwa w slumsach Newpest.*

*Ratujący życie skok w radosną brutalność marines Protektoratu. Dni wymuszania.*

Porozstawiane życia, spędzane w mule ludzkiej nędzy. Blokowany ból, spakowany, przechowywany na inwentaryzację, która nigdy nie nadeszła.

W górze Marsjanie wirowali i wyplakiwali swój żal. Czuję, jak narasta we mnie krzyk, wzbierając od środka, i wiedziałem, że wychodząc, rozerwie mnie na strzępy.

A potem wyładowanie.

A potem ciemność.

Opadłem w nią z wdzięcznością, mając nadzieję, że duchy niepomszczonych trupów mogą minąć mnie w mroku, nie zauważając.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

*Na brzegu jest zimno i zbliża się sztorm. Czarne strzępki opadu mieszają się z płatkami brudnego śniegu, a wiatr podrywa ze wzburzonej powierzchni morza chmury wodnego pyłu. Niechętne fale rzucają się leniwie na błotnistozielony piach, który nabrał takiej barwy pod jarzącym się niebem. Kurczę ramiona osłonięte kurtką, wciskam ręce do kieszeni i zamykam twarz przed pogodą jak pięść.*

*Dalej wzdłuż krzywizny plaży ogień rzuca na niebo pomarańczowo-czerwoną poświatę. Samotna, owinięta kocem postać siedzi przy ogniu od strony lądu. Choć wcale nie chcę, zaczynam iść w tamtą stronę. Nie mam żadnego innego miejsca, gdzie mógłbym iść, a ogień daje ciepło.*

*Brama jest zamknięta.*

*To wygląda niewłaściwie, wiem, że z jakiegoś powodu nie jest prawdą.*

*A jednak...*

*W miarę jak się zbliżam, mój niepokój rośnie. Skurczona postać nie porusza się i nie zdradza, czy wie o moim nadejściu. Wcześniej martwiłem się, że może być wrogiem, ale teraz nieufność drży i ustępuje, żeby zrobić miejsce dla strachu, że to ktoś, kogo znam, i że jest martwy...*

*Jak wszyscy inni, których znam.*

*Dostrzegam, że za postacią siedzącą przy ognisku z piasku wznosi się jakaś struktura, olbrzymi, szkieletowy krzyż, do którego coś jest luźno przymocowane. Wiejący wiatr i niesiony przez niego ostry jak igły deszcz ze śniegiem nie pozwalają mi widzieć dostatecznie daleko, by przekonać się, co to za obiekt.*

*Wiatr teraz lamentuje, jak coś, co kiedyś słyszałem i czego się bałem.*

*Docieram do ognia i czuję uderzenie ciepła na twarzy. Wyjmuję ręce z kieszeni i wyciągam je przed siebie.*

*Postać się porusza. Próbuję tego nie zauważać. Nie chcę tego.*

*– Ach, pokutnik.*

*Semetaire. Zniknął gdzieś sardoniczny ton; może sądzi, że już go nie potrzebuje. Zamiast tego widzę coś, co przypomina współczucie. Wspaniałomyślne ciepło kogoś, kto wygrał grę, co do rezultatu której i tak nie miał wiele wątpliwości.*

*– Słucham?*

*Śmieje się.*

*– Bardzo zabawne. Może przysiądziesz przy ogniu, będzie znacznie cieplej.*

*– Nie jest mi aż tak zimno – odpowiadam drżąc i ryzykuję spojrzenie na jego twarz. Jego oczy błyszczą w świetle ogniska. On wie.*

*– Dużo czasu zabrało ci dotarcie tutaj, wilku Klina – mówi uprzejmie. – Możemy poczekać jeszcze trochę.*

*Przez rozsunięte palce przyglądam się płomieniom.*

*– Czego ode mnie chcesz, Semetaire?*

*– Och, daj spokój. Czego chcę? Przecież doskonale to wiesz, – Zrzuca z siebie koc i wdzięcznie wstaje. Jest wyższy, niż pamiętam, i elegancko groźny w swoim poszarpanym czarnym płaszczu. Wsadza na głowę szpiczasty kapelusz, przekrzywiając go zawadiacko. – Chcę tego samego, co wszyscy inni.*

*– A to co? – wskazuję głową w stronę konstrukcji za nim.*

*– To? – Pierwszy raz zdaje się być wytrącony z równowagi. Może trochę zakłopotany. – To, no cóż. Powiedzmy, że to alternatywa. Alternatywa dla ciebie, ale naprawdę nie wydaje mi się,*

żebyś chciał...

*Przyglądam się majaczącej strukturze i nagle widzę wyraźniej przez wiatr, śnieg, mżawkę i opad.*

*To ja.*

*Przymocowany do struktury strzępkami sieci, trupioszare ciało ciskające na miejsca między sznurami, ciało odpychające się od sztywnej struktury rusztowania, głowa zwieszona z karku. Do mojej twarzy dobrały się mewy. Oczodoły są puste, a policzki rozdarte. Na czole miejscami widać kość.*

*Nachodzi mnie odległa myśl, że musi mi łać być zimno.*

*– Ostrzegałem cię. – W jego głos wślizguje się ślad dawnej drwiny. Niecierpliwi się. – To alternatywa, ale myślę, że zgodzisz się, że tu w dole przy ogniu jest znacznie wygodniej. I jest jeszcze to.*

*Otwiera sękatą dłoń i pokazuje mi trzymany w niej stos korowy, poznaczony krwią i strzępkami tkanki. Uderzam otwartą dłoń w tył własnej czaszki i znajduję tam poszarpaną dziurę, pustą przestrzeń u podstawy czaszki, w którą z przerażającą łatwością wsunęły się moje palce. Po drugiej stronie uszkodzeń czuję wilgotną, gąbczastą masę tkanki mózgowej.*

*– Widzisz – mówi niemal z żalem.*

*Wyciągam palce z otworu.*

*– Skąd to masz, Semetaire?*

*– Och, nietrudno je zdobyć. Zwłaszcza na Sanction IV.*

*– Masz stos Cruickshank? – pytam go z nagłym przyływem nadziei.*

*Waha się przez chwilę.*

*– Ależ oczywiście. Prędzej czy później wszystkie do mnie trafiają. – Kiwa do siebie głową. – Prędzej czy później.*

*Powtórzenie sprawia wrażenie wymuszonego. Jakby próbował się przekonać. Czuję, jak nadzieja znów ginie, wyciekając na piasek.*

*– W takim razie później – mówię do niego, znów wyciągając dłonie do ognia. Wiatr uderza w moje plecy.*

*– O czym ty mówisz? – Śmiech, który rozlega się po tych słowach, również jest wymuszony. Uśmiecham się lekko. Ten uśmiech jest okraszony starym bólem, ale jest w nim coś uspokajającego.*

*– Pójdę już sobie. Nic tu dla mnie nie ma.*

*– Pójdziesz? – Jego głos nagle staje się bardzo nieprzyjemny. Trzyma błyszczący czerwienią w świetle ognia stos między palcem wskazującym i kciukiem. – Nigdzie nie pójdziesz, mój szczeniaczku z wilczego stada. Zostajesz tu ze mną. Musimy wyrównać rachunki.*

*Tym razem to ja się śmieję.*

*– Wynoś się w diabły z mojej głowy, Semetaire.*

*– Ty... tu... – sięga ku mnie przez ogień szponiastymi palcami*

*– zostaniesz.*

*I w mojej dłoni pojawia się kałasznikow, pistolet z pełnym magazynkiem pocisków przeciwpiechotnych. No proszę, kto by pomyślał.*

*– Muszę iść – rzucam. – Powiem Handowi, że przesyłasz pozdrowienia.*

*Wyciąga się, rozczapierzając ręce, z płonącymi oczami*

*Podnoszę broń.*

*– Zostałeś ostrzeżony, Semetaire.*

*Strzelam w miejsce tuż poniżej ronda kapelusza. Trzy strzały, w krótkiej serii.*

*Uderzenie pcha go w tył, rzucając na piasek pełne trzy metry od ognia. Czekam chwilę, żeby przekonać się, czy wstanie, ale przepadł. Wraz z jego odejściem płomienie widocznie przygasają.*

*Patrzę w górę i widzę, że krzyżowa struktura jest pusta, cokolwiek to oznacza. Przypominam sobie martwą twarz, wiszącą tam wcześniej, i przykucam przy ogniu, grzejąc się, póki nie gaśnie do żarzących się węgli.*

*W gorącym popiele widzę stos korowy, wypalony do czysta i połyskujący metalicznie między ostatnimi kawałkami spalonego drewna. Sięgam w popioły i podnoszę go kciukiem i palcem wskazującym, trzymając go tak samo jak wcześniej Semetaire.*

*Trochę parzy, ale to nie szkodzi.*

*Chowam go i kałasznikowa, wciskam gwałtownie ziębnące dłonie z powrotem do kieszeni kurtki i prostuję się, rozglądając wokół.*

*Jest zimno, ale gdzieś musi być jakieś wyjście z tej pieprzonej plaży.*

## CZEŚĆ V

### ROZDARCIE WEWNĘTRZNE

*Spójrz w oczy faktom. Potem działaj zgodnie z nimi. To jedyna znana mi mantra, jedyna doktryna, jaką mogę wam zaoferować, a jest to trudniejsze, niż myślicie, ponieważ przysięgam, że ludzie zdają się sprzętowo niezdolni do spojrzenia w oczy faktom. Nie módlcie się, nie marzcie, nie wkupujcie się w tysiącletnie dogmaty i martwą retorykę. Nie poddawajcie się warunkowaniu albo wizjom czy popapranemu zmysłowi... wszystko jedno. SPÓJRZCIE W OCZY FAKTOM. POTEM działajcie.*

QUELLCRISTA FALCONER

*Mowa przed szturmem na Millsport*

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Panorama nocnego nieba, kryształowo ostra.

Przez chwilę przyglądałem się jej tępo, patrząc, jak dziwnie pokawałkowany czerwony blask wspina się na nią z lewej krawędzi pola widzenia, po czym znów ucieka.

*To powinno coś dla ciebie znaczyć, Tak.*

Niczym rodzaj kodu, wpleciony w sposób, w jaki blask zakłócił skraj mojego pola widzenia, pojawiło się w nim coś planowego. Wzniosło się, a potem ponownie opuściło w kontrolowanych ruchach.

Jak glify. Jak cyfry.

I nagle nabrało to dla mnie znaczenia i poczułem zalewającą całe moje ciało falę zimnego potu, gdy uświadomiłem sobie, gdzie jestem.

Czerwony blask to wyświetlacz czołowy, pulsujący na misie hełmu kombinezonu kosmicznego, w którego wnętrzu byłem uwięziony.

*To nie jest pieprzone nocne niebo, Tak.*

Byłem na zewnątrz.

A potem ciężar wspomnień, osobowości i przeszłości spadł na mnie jak mikrometeoryt, przebijając się przez cienką przejrzystą osłonkę, która podtrzymywała moje życie wewnątrz.

Zamachałem rękami i przekonałem się, że nie mogę nimi poruszać od nadgarstków w górę. Moje palce wymacały sztywną ramę pod plecami, potem delikatne dudnienie systemu napędowego. Spróbowałem się rozejrzeć, wykręcając głowę.

– Hej, wychodzi z tego.

Głos był znajomy pomimo tego, że rozlegał się z lekkim metalicznym zniekształceniem interkomu kombinezonu. Ktoś inny zachichotał słabo.

– Jesteś, cholera, zaskoczony, stary?

Zmysł bliskości podsunął ruch po prawej stronie. Nad sobą zobaczyłem nachylający się kolejny hełm, z przyłbicą przyciemnioną do nieprzenikliwej czerni.

– Hej, poruczniku. – Kolejny, znany mi głos. – Właśnie wygrał pan dla mnie pięćdziesiąt dolców NZ. Mówiłem tym pieprzonym pierdzielom, że wyjdzie pan z tego szybciej niż inni.

– Tony? – zdołałem wyszeptać.

– Hej, nie ma też rozwalonego mózgu. Zapiszcie jeszcze jeden dla 391 plutonu, ludzie. Jesteśmy cholernie nieśmiertelni.

Sprowadzili nas z powrotem z marsjańskiego pancernika jak procesję pogrzebową komanda próżniowego. Siedem ciał na samobieżnych noszach, cztery żuki szturmowe i dwudziestopięciosobowa gwardia honorowa w pełnym wyposażeniu bojowym. Kiedy Carrera wysłał wreszcie ludzi na drugą stronę bramy, wyraźnie nie chciał ryzykować.

Tony Loemanako przeprowadził nas z powrotem w nieskazitelnym stylu, jakby zdobywanie przyczółków za marsjańskimi bramami było czymś, co robił przez całe życie. Najpierw wysłał przez nią dwa żuki, ich śladem nosze i piechotę, z komandosami przechodzącymi parami po prawej i lewej, zamykając przejście dwoma ostatnimi żukami wycofującymi się tyłem. Silniki kombinezonów, noszy i żuków ustawione były na wzniesienie się natychmiast po wejściu w pole grawitacyjne Sanction IV, a kiedy kilka sekund później wylądowały, dokonało się to w zsynchronizowany sposób na komendę nadaną z kombinezonu Tony'ego Loemanako.

Klin Carrery.

Dźwigając się na noszach na tyle, na ile pozwalała przytrzymująca mnie sieć, przyglądałem się

całemu procesowi i próbowałem stłumić poczucie dumy i przynależności, które wmawiały mi wilcze geny.

– Witamy w bazie, poruczniku – odezwał się Loemanako, opuszczając pięść i stukając łagodnie w napierśnik mojego kombinezonu. – Teraz już będzie z panem dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Jego głos w interkomie nabrał siły.

– Dobra, ludzie, ruszać się. Mitchell i Kwok, zostać w kombinezonach i zostawić w gotowości dwa żuki. Reszta pod prysznic, chwilowo koniec pływania. Tan, Sabyrov i Munharto, wróćcie tu za kwadrans. Ubierzcie się, jak chcecie, ale weźcie sprzęt, żeby dotrzymać towarzystwa Kwok i Mitchellowi. Reszta ma wolne. Kontrola *Cnoty*, proszę o przysłanie opieki medycznej.

Dźwięczący w interkomie śmiech. Wokół mnie wyczuwało się ogólne rozluźnienie postaw, widoczne nawet przez masę sprzętu do walki próżniowej i nieodbijające światła czarne, polistopowe kombinezony pod spodem. Odkładano broń, składając ją, odłączając lub po prostu wsuwając do kabur. Piloci żuków zeszli ze stanowisk z precyzją mechanicznych lalek i poddali się spływającej w dół plaży fali odzianych w kombinezony ciał. Na piasku tuż przy granicy morza czekał na nich transporter bojowy Klina *Cnota Angin Chandry*, przyczajony na szturmowych, szponiastych podporach jak prehistoryczna krzyżówka krokodyla i żółwia. Jego potężnie, opancerzone, kameleonochromowe cielsko błyszczało błękitem, odzwierciedlającym barwę piasku plaży w popołudniowym słońcu.

Dobrze było znów go zobaczyć.

Rozglądając się po plaży, stwierdziłem, że przedstawiała sobą obraz totalnego poboju. W każdą stronę, na ile byłem w stanie sięgnąć wzrokiem przy ograniczonym polu widzenia, piasek był rozrzucony i pomarszczony wokół płytkiego krateru stopionego szkła wywołanego przez eksplozję *Nagini*. Wybuch zabrał ze sobą plastobańki, nie zostawiając nic oprócz śladów spalenizny i kilku nędznych, metalowych resztek, które jak podpowiadała mi zawodowa duma, nie mogły stanowić części statku szturmowego. *Nagini* wybuchła w powietrzu, a eksplozja musiała pochłonąć w jednej chwili dosłownie wszystkie cząsteczki jej struktury. Jeśli ziemia była dla martwych, Schneiderowi zdecydowanie udało się wyróżnić z tłumu. Jego większość prawdopodobnie nadal znajdowała się w stratosferze, rozprzestrzeniając się na całą planetę.

*W tym jesteś dobry, Tak.*

Wyglądało na to, że wybuch zatopił również trawler. Wykręcając głowę, mogłem dostrzec tylko wystającą z wody rufę i nadtopioną resztkę kadłuba. Przez głowę przeleciały mi wyraźne wspomnienia – Luc Deprez i butelka taniej whisky, gadki o polityce i zakazane przez rząd cygara, Cruickshank nachylająca się nade mną w...

*Tak, nie rób tego.*

Klinowcy ustawili kilka własnych obiektów, zastępując zniszczony obóz. Kilka metrów od krateru, po lewej stronie, stało sześć dużych plastobanek, a w dole, pod pyskiem statku bojowego, dostrzegłem zamykane, kanciaste kabiny i polistopowe ciśnieniowe zbiorniki pryszniców. Powracające komando próżniowe odstawiło cięższe uzbrojenie na okryte płachtami stojaki i stłoczyło się przy włączniku wejściowym do pryszniców.

Z *Cnoty* wyłoniła się grupka ludzi w mundurach Klina z białymi naramiennikami jednostki medycznej. Zebrali się wokół noszy, włączyli ich napędy i poprowadzili nas w stronę jednej z plastobanek. Gdy moje nosze podniosły się w powietrze, Loemanako klepnął mnie w ramię.

– Zobaczmy się później, poruczniku. Wpadnę do pana, jak tylko pana zapakują. Muszę teraz iść się splukać.

– Jasne. Dzięki, Tony.

– Dobrze znów pana widzieć, sir.

W plastobańce medycy uwolnili nas z przytrzymującej na noszach upręży, a potem pracując z wprawą i ergonomią ruchów, zdjęli z nas kombinezony. Dzięki temu, że byłem świadomy, było mnie trochę łatwiej rozpakować niż pozostałych, ale wiele nie mogłem pomóc. Zbyt długo nie przyjmowałem leków antyradiacyjnych i samo zgięcie czy uniesienie każdej kończyny wymagało sporego wysiłku woli. Kiedy w końcu wyciągnęli mnie z kombinezonu i przenieśli na łóżko, wszystko, co później mogłem zrobić, to odpowiedzieć na serię pytań zadanych mi przez lekarza, który równocześnie przeprowadzał wobec mojej powłoki serię standardowych testów pobitewnych. Zdołałem w trakcie tego utrzymać na wpół otwarte oczy i patrzeć nad jego ramieniem, jak te same badania przeprowadzano na reszcie. Sun, która w dość oczywisty sposób nie nadawała się do szybkiej naprawy, została bezceremonialnie zarzucona w rogu.

– Więc jak, doktorze, będę żył? – wymamrotałem w którejś chwili.

– Nie w tej powłoce – odpowiedział, przygotowując równocześnie koktajl antyradiacyjny w hipnosprayu. – Ale myślę, że mogę pana utrzymać w obiegu jeszcze trochę. Oszczędzę panu konieczności rozmowy ze starym w wirtualu.

– Czego chce, raportu?

– Tak sędzę.

– W takim razie lepiej naszprycuj mnie czymś, żebym przy nim nie usnął. Masz jakiś met?

– Nie wydaje mi się, poruczniku, żeby to był w tej chwili dobry pomysł.

To wzbudziło we mnie śmiech, który zakończył się suchym kaszlem.

– Jasne, masz rację. To paskudztwo zrujnuje mi zdrowie.

Żeby dostać tetramet, musiałem odwołać się do swojej rangi, ale w końcu mnie naszprycował. Kiedy wszedł Carrera, mniej więcej nadawałem się do użytku.

– Porucznik Kovacs.

– Isaac.

Na jego pobrużdżonej twarzy pojawił się uśmiech jak słońce wschodzące nad granią. Potrząsnął głową.

– Kovacs, ty sukinsynu. Czy zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi wysłałem na tę półkulę, żeby cię szukali?

– Pewnie nie więcej, niż mogłeś. – Podciągnąłem się trochę wyżej na łóżku. – Czyżbyś się o mnie martwił?

– Myślę, poruczniku, że naciągnął pan warunki swojego kontraktu oficerskiego bardziej niż otwór kompanijnej dziwki. Dwa miesiące samowolki. *Ruszam szukać czegoś, co może być warte całej tej wojny. Wrócę później.* To trochę ogólnikowe.

– Przynajmniej dokładne.

– Doprawdy? – Usiadł na brzegu łóżka, a jego kameleonochromowy kombinezon dopasował się natychmiast do wzoru koca. Tkanka świeżych blizn na czole i policzku napięła się, gdy zmarszczył czoło. – To okręt bojowy? – Tak.

– Da się go wykorzystać?

Zastanowiłem się.

– Zależy od posiadanego wsparcia archeologicznego. Powiedziałbym, że raczej tak.

– A jak wygląda twoje obecne wsparcie archeologiczne?

Zerknąłem przez otwartą przestrzeń plastobańki do miejsca, gdzie Tanya Wardani leżała zwinięta pod cienkim niczym prześcieradło kocem termoizolacyjnym. Podobnie jak reszta ekipy z *Nagini*, która przeżyła, była pod wpływem środków uspokajających. Medyk, który podawał jej

leki, powiedział, że jej stan jest stabilny, ale nie pożyje dłużej niż ja.

– Przepadło. – Zacząłem kaszleć i dłuższą chwilę nie umiałem się powstrzymać. Carrera przeczekał, a kiedy skończyłem, podał mi chusteczkę. Wycierając usta, wskazałem słabo w stronę Wardani. – Podobnie jak reszta z nas. A jak twoje?

– W tej chwili nie mamy na pokładzie archeologa, chyba że uwzględnić Sandora Mitchella.

– Nie liczyłbym na niego. To facet z hobby, nie archeolog. Jak to się stało, że nie przyleciałeś z ekipą grzebaczy, Isaac? – *Schneider musiał ci powiedzieć, w co się wkupujesz.* Rozważyłem to w ułamku sekundy i zdecydowałem się nie zdradzać jeszcze tego kawałka informacji. Nie wiedziałem, jaką ma wartość, o ile w ogóle, ale kiedy człowiekowi w harpunie zostaje ostatni magazynek, nie strzela do pływ. – Musiałeś mieć jakieś pojęcie, w co się tutaj pakujesz.

Potrząsnął głową.

– Korporacyjne gierki, Takeshi. Szumowiny z wież. Od takich ludzi nie dostaniesz więcej powietrza niż absolutne minimum, żeby wejść na pokład. Aż do dzisiaj wszystko, co wiedziałem, to fakt, że Hand wszedł w coś dużego i że jeśli Klin sprowadzi im chociaż cząstkę tego, nad czym pracuje, zostanie nam to sownie wynagrodzone.

– Tak, ale dali ci kody do systemu nanobowego. Na Sanction IV nie ma nic cenniejszego. Daj spokój, Isaac, musiałeś się domyślić, o co chodzi.

Wzruszył ramionami.

– Wymienili cyfry, to wszystko. Dobrze wiesz, że tak właśnie działa Klin. A skoro o tym mowa... Hand to ten przy drzwiach, prawda? Ten szczupły?

Kiwnąłem głową. Carrera podszedł tam i przyjrzał się uważnie śpiącemu dyrektorowi.

– Tak. Brakuje mu kilka kilo w porównaniu do zdjęcia, jakie mam w komputerze. – Przespacerował się po tymczasowym szpitalu, spoglądając w lewo i prawo na inne łóżka i ciało w rogu. Przez odlot metu i zmęczenie czułem, jak w nerwach mrowi mnie stara ostrożność. – Oczywiście, to nie dziwi, biorąc pod uwagę natężenie promieniowania. Jestem zaskoczony, że w ogóle jeszcze chodzicie po okolicy.

– Nie chodzimy – zauważyłem.

– Słusznie. – Uśmiech wyglądał sztucznie. – Jezu, Takeshi. Czemu nie odczekaliście kilku dni? Moglibyście dostać połowę dawki. Wszyscy moi ludzie są na standardowych przeciwpromiennych, wyjdziemy z tego najwyżej z bólem głowy.

– Nie moja decyzja.

– No tak, pewnie nie. Kim jest nieaktywna?

– Sun Liping. – Spojrzenie na nią bolało bardziej, niż się spodziewałem. Wygląda na to, że wilcze więzy grupowe to śliska sprawa. – Oficer systemów.

Mruknął coś pod nosem.

– Pozostali?

– Ameli Vongsavath, pilot. – Wskazywałem ich zakrzywionym palcem wskazującym i kciukiem. – Tanya Wardani, archeolog, Jiang Jianping i Luc Deprez, obaj misje specjalne.

– Rozumiem. – Carrera znów się zmarszczył i kiwnął w stronę Vongsavath. – Ale jeśli to jest wasz pilot, to kto prowadził statek szturmowy w chwili wybuchu?

– Facet o nazwisku Schneider. To on mnie wciągnął w ten numer. Pieprzony cywilny pilot. Wystraszył się, kiedy zaczęło się tam robić gorąco. Zabrał statek, rozwalił z ultrawibratorów Hansena, gościa, którego zostawiliśmy na straży, a potem wywalił włazy, porzucając nas na...

– Poleciał sam?

– Tak, chyba że chcesz liczyć pasażerów ze schowka na trupy. Zanim przeszliśmy na drugą



stronę, straciliśmy dwa ciała przez nanoby. I znaleźliśmy po drugiej stronie sześć kolejnych. Aha, i jeszcze dwa utopione w sieciach trawlera. Wygląda na to, że był to zespół archeologiczny sprzed wojny.

Wcale nie słuchał, po prostu czekał, aż skończę.

– Yvette Cruickshank, Markus Sutjiadi. To tych członków twojej grupy zabił system nanobowy?

– Tak. – Spróbowałem udać lekkie zaskoczenie. – Masz listę załogi? Jezu, ci twoi śmierdziele z wież przedarli się przez kupę twardych, korporacyjnych zabezpieczeń.

Potrząsnął głową.

– Niezupełnie. Oni mieszkają w tej samej wieży, co twój przyjaciel. Prawdę mówiąc, to rywale do awansu. Jak powiedziałem, śmieci. – Kiedy to mówił, w jego głosie w ogóle nie słyhać było jadu, tylko ton, który dla mojej emisariuszowskiej anteny brzmiał jak domieszka ulgi. – Pewnie nie odzyskałeś stosu żadnej z ofiar nanobów?

– Nie, a czemu pytasz?

– To nie ma znaczenia. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, żebyś to zrobił. Moi klienci powiedzieli mi, że system dobiera się do wszystkich wbudowanych elementów. Kanibalizuje je.

– Tak, dokładnie tak przypuszczaliśmy. – Rozsunąłem ręce. – Isaac, nawet gdybyśmy odzyskali stosy, zostałyby odparowane wraz ze wszystkim, co znajdowało się na pokładzie *Nagini*.

– Tak, to była zdumiewająco totalna eksplozja. Wiesz może coś na jej temat, Takeshi?

Wyszczrzyłem zęby.

– A jak myślisz?

– Myślę, że szturmowe lock mity nie wyparowują w powietrzu bez żadnego powodu. I mam wrażenie, że nie jesteś dostatecznie wściekły na tego Schneidera za ucieczkę.

– No cóż, gość jest martwy. – Carrera założył ręce na piersi i spojrzał na mnie, więc podjąłem:

– No dobra, zaminowałem silniki. I tak zresztą nigdy nie ufałem Schneiderowi bardziej niż natryskowym prezerwatywom.

– Wygląda na to, że nie bez powodu. A biorąc pod uwagę wyniki, to szczęściem dla ciebie pojawiliśmy się my. – Wstał i zatarł ręce. Przez jego wewnętrzne bariery wymknęło się coś bardzo nieprzyjemnego. – Lepiej odpocznij, Takeshi. Jutro rano będę chciał wysłuchać pełnego raportu.

– Jasne. – Wzruszyłem ramionami. – I tak nie mam już za wiele do powiedzenia.

Uniósł brwi.

– Doprawdy? Moje skanery twierdzą co innego. W ciągu ostatnich siedmiu godzin zarejestrowaliśmy po drugiej stronie bramy uwolnienie większej ilości energii niż łączny koszt generacji wszystkich transferów strunowych na i z Sanction IV od chwili, kiedy został zasiedlony. Jak dla mnie, to został ci spory kawałek historii do opowiedzenia.

– Ach, to. – Machnąłem niedbale ręką. – Cóż, no wiesz, automatyczna bitwa kosmiczna galaktycznych starożytnych. Nic wielkiego.

– Jasne.

Już wychodził, kiedy nagle jakby coś sobie przypomniał.

– Takeshi.

Poczułem, jak moje zmysły napinają się jak w trakcie bitwy.

– Tak? – spytałem z wysiłkiem, siląc się na swobodę.

– Tak z ciekawości. Jak planowałeś wrócić? Po tym, jak wysadziłeś statek szturmowy? Wiedzieliście przecież o nanobach i znałeś poziom promieniowania tła. Nie mieliście transportu, może oprócz tego gównianego trawlera. Co zamierzałeś zrobić, odmaszerować? Wszyscy jesteście ledwie dwa kroki od śmierci. Co to, u diabła, za strategia, żeby wysadzać jedyny dostępny środek na

wydostanie się stąd?

Spróbowałem odtworzyć swój tok rozumowania. Cała ta sytuacja, wsysający wir pustych korytarzy i sal marsjańskiego statku, zmumifikowane spojrzenie ciał i bitwa rozgrywana bronią o niewyobrażalnej mocy – wszystko to zdawało się ginąć w dawno minionej przeszłości. Przypuszczam, że dzięki emisariuszowskiemu skupieniu mógłbym to wyciągnąć z powrotem, ale na drodze leżało zimne przeczucie, które zdecydowanie odradzało taki krok. Potrząsnąłem głową.

– Nie wiem, Isaac. Miałem schowane kombinezony. Może chciałem podlecieć i zawisnąć przy krawędzi bramy, nadając przez nią wołanie o pomoc.

– A gdyby brama nie przepuszczała fal radiowych?

– Przepuszcza światło gwiazd. I najwyraźniej odczyty skanerów.

– To nie znaczy, że spójna...

– Wtedy przerzuciłbym przez nią pieprzoną boję ratunkową i miał nadzieję, że przeżyje z nanobami dostatecznie długo, żebyście zdołali ją namierzyć. Jezu, Isaac. Jestem Emisariuszem. Wymyślamy takie rzeczy w biegu. W najgorszym razie, mieliśmy prawie działającą boję roszczeniową. Sun mogła ją naprawić, ustawić na nadawanie, a potem wszyscy mogliśmy wywalić sobie dziury w mózgach i poczekać, aż ktoś przyleci się przyjrzeć. Nie miałoby to wielkiego znaczenia, i tak nikomu nie zostało więcej niż tydzień w tych powłokach. A ktokolwiek by przyleciał sprawdzić ten sygnał roszczeniowy, musiałby nas ponownie upowłokować. Nawet martwi bylibyśmy ekspertami.

Uśmiechnął się. Ja także.

– Mimo wszystko, Takeshi, nie nazwałbym tego idealnym planowaniem strategicznym.

– Isaac, ty nadal nic nie rozumiesz. – Do mojego głosu przedarła się odrobina powagi, kasując uśmiech. – Jestem Emisariuszem. Plan strategiczny polegał na zabiciu każdego, kto próbowałby mnie zadźgać. Przeżycie, cóż, jeśli się uda, to bonus, a jeśli nie... – Wzruszyłem ramionami. – Jestem Emisariuszem.

Jego uśmiech lekko zbladł.

– Odpocznij trochę, Takeshi – powiedział łagodnie.

Przyglądałem się, jak wychodzi, po czym spojrzałem na nieruchomą postać Sutjiadiego. Miałem nadzieję, że tetramet utrzyma mnie do czasu, aż oprzytomnieje i dowie się, co musi zrobić, żeby uniknąć śmierci z rąk plutonu egzekucyjnego Klina.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Tetramet to jeden z moich ulubionych prochów. Nie nawala człowieka tak ostro jak niektóre wojskowe stymulanty, co znaczy, że nie traci się kontroli nad użytecznymi informacjami o środowisku, w rodzaju *nie, nie możesz latać bez upręży grawitacyjnej* lub *uderzenie w to rozwali ci wszystkie kości dłoni*. Równocześnie pozwala sięgnąć do zasobów na poziomie komórkowym, o posiadaniu których żaden niewarunkowany człowiek w ogóle nie ma pojęcia. Kop płonie jasno i czysto, a efekt uboczny powoduje tylko lekkie błyszczenie powierzchni, które nie powinny tak dobrze odbijać światła, i delikatne drżenie na krawędziach przedmiotów, którym przypisuje się jakąś osobistą wartość. Jeśli się chce, można zaznać lekkich halucynacji, ale to wymaga skupienia. Lub, oczywiście, przedawkowania.

Zjazd nie jest gorszy niż po większości trucizn.

Zanim pozostali się obudzili, zacząłem się czuć trochę zbyt szalony, chemiczne rozbłyski mruganiem ostrzegały mnie przed zbliżającym się końcem jazdy, i chyba trochę za ostro potrząsałem Sutjiadim, kiedy nie zareagował tak szybko, jakbym chciał.

– Jiang, hej, Jiang. Otwórz te cholerne oczy. Zgadnij, gdzie jesteśmy.

Zamrugął, patrząc na mnie z dziwnie dziecięcą twarzą.

– Gdzie...

– Z powrotem na plaży, stary. Przyleciał Klin i wyciągnął nas ze statku. Klin Carrery, moja stara jednostka. – Entuzjazm dla moich byłych towarzyszy broni wylewał się ze mnie może trochę zbyt obficie, ale znowu nie aż tak, żeby nie można było tego przypisać tetrametowi, chorobie popromiennej i wystawieniu na kosmiczną obcość. Zresztą, i tak nie miałem pewności, że plastobańka jest monitorowana. – Cholera, Jiang, Klin nas uratował.

– Klin? To... – Przez ekrany oczu powłoki Maori widziałem, jak stara się zebrać do kupy strzępy informacji. – Miło. Klin Carrery. Nie wiedziałem, że zajmują się akcjami ratunkowymi.

Wyprostowałem się, siedząc na krawędzi jego łóżka, i uśmiechnąłem się szeroko.

– Przyszli mnie szukać. – Pomimo całej pretensjonalności, stwierdzenie to wywołało we mnie dziwne ciepło. Z punktu widzenia Loemanako i reszty 391 plutonu było to zresztą pewnie bliskie prawdy. – Możesz w to uwierzyć?

– Skoro tak mówisz. – Sutjiadi dźwignął się na łokciach. – Komu jeszcze udało się przeżyć?

– Wszystkim, oprócz Sun – machnąłem ręką. – Ale da się ją odzyskać.

Wykrzywił twarz. Wspomnienia, przedzierające się przez mózg jak odłamki szrapnela.

– Tam... Ty to... widziałeś?

– Tak, widziałem.

– To były duchy – powiedział, dławiąc się słowami.

– Jiang, jak na bojowego ninję za łatwo dajesz się wystraszyć. Kto wie, co widzieliśmy. Z tego, co wiemy, był to jakiś rodzaj nagrania.

– Dla mnie to brzmi jak całkiem niezła funkcjonalna definicja słowa „duch”. – Ameli Vongsavath siedziała naprzeciw łóżka Sutjiadiego. – Kovacs, czy ty mówiłeś, że ci z Klina po nas przyszli?

Kiwnąłem głową, świdrując ją wzrokiem przez dzielącą nas przestrzeń.

– Dokładnie tak, jak powiedziałem Jiangowi. Wygląda na to, że wciąż mam przywileje członkowskie.

Załaapała. Nawet nie mrugnęła, łapiąc aluzję i podtrzymując jej wiarygodność.

– Tobie to dobrze. – Rozejrzała się po niemrawo ruszających się na innych łóżkach postaciach.

– Więc komu będę miała przyjemność powiedzieć, że nie jesteśmy trupami?

– Sama sobie wybierz.

Potem poszło już łatwo. Wardani przyjęła nową tożsamość Sutjiadiego z wyuczonym w obozie absolutnym brakiem reakcji – gładko przekazany w ciszy ładunek kontrabandy. Hand, którego dyrektorskie warunkowanie było prawdopodobnie trochę mniej traumatyczne, ale równie kosztownie dopasowane, bez mrugnięcia jej dorównał. A jeśli chodzi o Luca Depreza, cóż, był działającym w ukryciu wojskowym zabójcą, przywykł do takich niespodzianek.

Na tym wszystkim, jak sygnał interferencji, kładły się wspomnienia naszych ostatnich świadomych chwil na pokładzie marsjańskiego okrętu. Łączyły nas wszystkich ciche, wspólne zniszczenia, których nikt nie był jeszcze gotów w pełni analizować. Zamiast tego ograniczyliśmy się do luźnego i niechętnego wspomniania ostatnich chwil; nerwowe, pełne brawury wypowiedzi wpływające z otchłani niepokoju i odzwierciedlające mrok po drugiej stronie bramy. Oraz, miałem nadzieję, dość emocjonalnego zagłuszania, by zamaskować przed podsłuchującymi oczami i uszami transformację Sutjiadiego w Jianga.

– Przynajmniej – powiedziałem w pewnym momencie – teraz wiemy, czemu zostawili to cholerstwo dryfujące w kosmosie. Efekt, który widzieliśmy, przebija promieniowanie i skażenie biologiczne na ulicach, bo te przynajmniej można wyczyścić. Potraficie sobie wyobrazić obsługę stanowisk bojowych na pancerniku, jeśli za każdym razem przy bliskim wystrzale wyskakuje stara załoga i zaczyna potrząsać łańcuchami?

– Ja – powiedział Deprez z naciskiem – nie wierzę w duchy.

– Wtedy nie wyglądałaś na kogoś, komu by to przeszkadzało.

– Myślicie – odezwała się Vongsavath, z wysiłkiem formułując myśli, jakby walczyła z prądem przyływu – że wszyscy Marsjanie umierając, zostawiają za sobą... coś takiego?

Wardani potrząsnęła głową.

– Jeśli tak, jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkaliśmy. A przez ostatnie pięćset lat wykopaliśmy całkiem sporo marsjańskich ruin.

– Czuję.. – Sutjiadi przełknął ślinę. – Oni krzyczeli, wszyscy. To był masowy wstrząs. Śmierć całej załogi. Może po prostu nigdy jeszcze nie natknęliście się na coś takiego. Kiedy byliśmy jeszcze w Landfall, powiedziała pani, że marsjańska cywilizacja znacznie nas wyprzedzała. Może oni po prostu nie umierali gwałtowną śmiercią w większej ilości. Może już wyewoluowali ponad to.

Parsknąłem.

– Niezła sztuczka, jeśli się ją opanuje.

– A my najwyraźniej tego nie potrafimy – stwierdziła Wardani.

– Może potrafilibyśmy, gdyby po każdorazowym masowym morderstwie pozostawało coś takiego.

– Kovacs, to absurd – Hand podniósł się z łóżka, kierowany nagłym przyływem dziwnej, wrogiej energii. – Wszyscy nasłuchaliście się za dużo zniewieściałego, antyhumanitarnego intelektualizmu tej kobiety. Marsjanie wcale nie wyewoluowali wyżej niż my. Wiecie, co ja tam widziałem? Widziałem dwa okręty wojenne, których budowa musiała kosztować miliardy, zamknięte w bezpłodnym cyklu powtórzeń, w bitwie, która niczego nie rozwiązała sto tysięcy lat temu i nadal do niczego nie prowadzi. Jaki to postęp w stosunku do tego, co mamy na Sanction IV? Umieli zabijać się nawzajem równie dobrze, jak my.

– Brawo, Hand. – Vongsavath kilka razy zaklaskała powoli w dłoń w sardonicznym aplauzie.

– Powinieneś zostać oficerem politycznym. Jest tylko jeden problem z tym twoim mięśniackim humanizmem. Drugi statek nie należał do Marsjan. Prawda, madame Wardani? Miał zupełnie inną

konfigurację.

Wszystkie oczy skierowały się na Wardani, która siedziała z opuszczoną głową. W końcu dźwignęła ją, spojrzała mi w oczy i niechętnie potwierdziła skinieniem.

– To nie wyglądało na przykład marsjańskiej techniki, jaki widziałam albo o którym słyszałam.  
– Głęboko wciągnęła powietrze. – Opierając się na tym, co widziałam, możemy stwierdzić, że Marsjanie toczyli z kimś wojnę.

Niepokój znów podniósł się z podłogi, sunąc między nami jak opary mgły i zamrażając konwersację. Drobne przeczucie pobudki, jaka czeka całą ludzkość.

*To nie jest nasze miejsce.*

Te kilka stuleci, przez które pozwolono nam bawić się na trzech tuzinach planet, jakie Marsjanie zostawili nam jako plac zabaw, nie widziało dorosłych, a bez nadzoru nie da się przewidzieć, co przepełni przez płot albo co nam zrobią przypadkowi intruzi. Z południowego nieba znikło światło, wycofując się przez odległe dachy, a na pustych ulicach w dole zrobiło się nagle zimno i pusto.

– To nonsens – zaprotestował Hand. – Dominium marsjańskie rozpadło się w rebelii kolonialnej, wszyscy się co do tego zgadzają. Madame Wardani, tak przecież utrzymuje Gildia.

– Tak, Hand. – Głos Wardani wręcz ociekał pogardą. – A jak myślisz, czemu tak twierdzi? Kto przyznaje jej fundusze, ty kretynie z klapkami na oczach? Kto decyduje, w co będą wierzyć nasze dzieci?

– Istnieją dowody...

– Nawet, *kurwa*, nie mów mi o dowodach. – Jej wyniszczona twarz płonęła furją. Przez chwilę myślałem, że rzuci się na dyrektora. – Ty ignorancki sukinsynu. Co ty wiesz o Gildii? Ja z tego żyję, Hand. Mam ci powiedzieć, ile dowodów zostało zatajonych, ponieważ nie pasowały do protektoratowej wizji świata? Ilu naukowców okrzyczano antyludzkimi i zrujnowano, ile ich projektów zarżnięto, a wszystko dlatego, że nie chcieli podporządkować się oficjalnej wykładni? Ile gówna wypuszcza mianowany kanclerz Gildii za każdym razem, kiedy tylko Protektorat zażyczy sobie czegoś za swoje fundusze?

Hand był chyba wstrząśnięty nagłym wybuchem furii w tej wymizerowanej, umierającej kobiecie. Zmieszał się.

– Statystyczne szanse na istnienie dwóch cywilizacji międzygwiazdnych ewoluujących tak blisko...

Ale ta rozmowa przypominała walkę z huraganem. Wardani miała teraz własny, emocjonalny odpowiednik haju tetrametowego. Jej głos był jak bicz.

– Czy ty jesteś niedorozwinięty umysłowo? Czy nie uważałeś, kiedy otwieraliśmy bramę? To natychmiastowa transmisja masy na odległości międzyplanetarne, technika, którą zostawili, ot tak. Myślisz, że taka cywilizacja będzie limitowana do kilkuset lat świetlnych przestrzeni? Widzieliśmy w działaniu broń nadświatłą. Te statki mogły spokojnie przylecieć z drugiego krańca pieprzonej galaktyki...

Oświetlenie w plastobańce zmieniło się, gdy ktoś podniósł klapę wejściową. Odwracając na chwilę wzrok od twarzy Wardani, zobaczyłem stojącego w wejściu Tony'ego Loemanako w kombinezonie kameleonochromowym. Z trudem powstrzymał uśmiech.

Podniosłem rękę.

– Cześć, Tony. Witaj w podniosłych salach akademickiej debaty. Nie krępuj się pytać, jeśli nie nadążysz za którymś z technicznych terminów.

Loemanako poddał się i wyszczerzył zęby.

- Mam dzieciaka na Latimerze, chce być archeologiem. Mówi, że nie chce zawodu związanego z przemocą, jak jego staruszek.
- To tylko taki etap, Tony. Wyrósnie z tego.
- Mam nadzieję. – Loemanako poruszył się sztywno i dostrzegłem, że pod kombinezonem kameleonochromowym miał na sobie strój ruchowy. – Komendant chce się z wami natychmiast spotkać.
- Chce zobaczyć wszystkich?
- Tak, powiedział, żebym przyprowadził wszystkich, którzy są przytomni. Wydaje mi się, że to ważne.

\* \* \*

Na zewnątrz plastobańki wieczór ograniczył niebo do szarego blasku na zachodzie i gęstniejącej ciemności na wschodzie. Pod jego kopułą obóz Carrery stanowił wzór uporządkowanej aktywności oświetlonej lampami Angiera zamontowanymi na trójnogach.

Emisariuszowski odruch stworzył dla mnie jego mapę, zimne szczegóły unoszące się nad mrowiącym ciepłem poczucia towarzystwa przy kominku i wspólnego spędzania wieczoru.

W górze, przy bramie, strażnicy siedzieli na swoich żukach, przechylając się w przód i tył i gestykulując z ożywieniem. Wiatr niósł do nas strzępy śmiechu, który rozpoznałem jako chichot Kwok, ale odległość sprawiała, że nie mogłem słyszeć słów. Strażnicy unieśli przyłbice, ale poza tym byli przygotowani do natychmiastowego wejścia w próżnię i uzbrojeni po zęby. Pozostali żołnierze, których Loemanako wysłał im do towarzystwa, stali wokół przenośnego działła ultrawibracyjnego z podobną niedbałą gotowością. Nieco dalej na plaży kolejna grupa mundurów Klina zajmowała się czymś, co wyglądało jak elementy generatora tarczy. Inni chodzili między *Cnotą Angin Chandry* do polistopowej kabiny i plastobaniek, nosząc skrzynki, w których mogło być praktycznie wszystko. Nad tym wszystkim błyszczały światła z mostka *Cnoty* i platformy załadunkowej, gdzie pokładowe dźwigi przerzucały kolejne skrzynie ze sprzętem z wnętrza statku na oświetlony piach.

– Jak to się stało, że wylądowałeś w stroju ruchowym? – zapytałem Loemanako, kiedy prowadził nas przez strefę wylądunku.

Wzruszył ramionami.

– Baterie kablowe w Rayong. Nasze systemy zagłuszania padły w niewłaściwej chwili. Strzaskało mi lewą nogę, kości miednicy i żebra. A, i jeszcze część lewego ramienia.

– Cholera. Miałeś szczęście, Tony.

– Och, nie jest tak źle. Po prostu potrzeba cholernie dużo czasu, żeby się właściwie zagoiło. Doktor mówi, że kable były pokryte jakimś kancerogenem, który strasznie miesza przy regeneracji. – Skrzywił się. – Chodzę tak już od trzech tygodni. Straszna męka.

– No cóż, dzięki, że po nas wyszedłeś. Zwłaszcza w takim stanie.

– Bez obaw. I tak łatwiej się w tym poruszać w próżni niż tutaj. Jak się ma na sobie strój ruchowy, polistop to tylko kolejna warstwa.

– Pewnie tak.

Carrera czekał pod komorą załadunkową *Cnoty*, ubrany w ten sam kombinezon polowy, który miał na sobie wcześniej, i mówił do małej, podobnie ubranej grupy oficerów. Kilku ludzi w cywilnych strojach zajmowało się montowaniem jakiegoś sprzętu na krawędzi wjazdu. Mniej więcej w pół drogi między *Cnotą* a generatorem tarczy, na wyłączonym podnośniku widłowym

siedział dość żałośnie wyglądający osobnik w poplamionym mundurze, przyglądając się nam przekrwionymi oczami. Kiedy ja też zacząłem mu się przyglądać, roześmiał się i konwulsyjnie potrząsnął głową. Podniósł jedną rękę i zaczął wściekle pocierać się nią po karku, a usta otworzył, jakby ktoś właśnie oblał go wiadrzem zimnej wody. Jego twarz drgała w drobnych spazmach, które rozpoznałem. Dreszcze kablogłowych.

Może zauważył grymas przelatujący przez moją twarz.

– O tak, patrz tutaj – warknął. – Nie jesteś taki sprytny, nie jesteś aż tak cholernie sprytny. Mam cię za antyhumanizm, mam to wszystko w rejestrze, wszystko słyszałem, razem z twoimi antykartelowymi żalami, jak to chciałbyś...

– Zamknij się, Lamont. – Loemanako nie odezwał się głośno, ale kablogłowy podskoczył, jakby właśnie został podpięty. Jego oczy alarmująco zatańczyły w oczodołach i skulił się. Idący obok mnie Loemanako prychnął.

– Oficer polityczny – rzucił i kopnął trochę piasku w stronę dygoczącego ludzkiego wraka. – Wszyscy oni są, cholera, tacy sami. Sama gęba.

– Ten wygląda, jakby znał swoje miejsce.

– No tak. – Loemanako uśmiechnął się krzywo. – Zdziwiłbyś się, jak szybko ci polityczni tracą zainteresowanie swoją pracą, kiedy tylko zainstaluje się im łącze i podepnie kilka razy. Nie mieliśmy wykładu o poprawnym myśleniu przez cały miesiąc, a te pliki personalne, no cóż, czytałem je i nawet nasze matki nie mogłyby napisać o nas nic lepszego. Zdumiewające, jak te dogmaty polityczne szybko odpływają. Nie tak, Lamont?

Oficer polityczny jeszcze mocniej się skulił, odwracając od Loemanako. W jego oczach pojawiły się łzy.

– Działa lepiej, niż bicie – stwierdził beznamiętnie mój towarzysz, patrząc na Lamonta. – Wiesz, z Phibunem i, jak się nazywał ten drugi gównogęby sukinsyn?

– Portillo – odpowiedziałem.

– Tak, właśnie. Widzisz, nigdy nie miało się pewności, czy rzeczywiście dostał dość mocno, albo czy nie naskoczy od tyłu, kiedy wyliże trochę swoje rany. Teraz nie mamy już tego problemu. Myślę, że to zasługa wstydu. Jak tylko zainstaluje się im gniazdo i pokaże, jak się podłączyć, sami sobie to robią. A kiedy im się to potem zabierze... Działa jak czary. Widziałem raz Lamonta, jak łamał sobie paznokcie, próbując wyciągnąć kable interfejsowe z zamkniętego zestawu.

– Czemu nie dacie mu spokoju – odezwała się Tanya Wardani. – Nie widzisz, że już się złamał? Loemanako rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

– Cywil? – zapytał.

– W zasadzie tak – odpowiedziałem, kiwając głową. – Ona jest, hm, czasowo oddelegowana.

– Cóż, to czasem działa.

Kiedy się zbliżyliśmy, Carrera skończył właśnie swoją odprawę, i otaczający go oficerowie zaczęli się rozchodzić. Kiwnął głową Loemanako.

– Dziękuję, sierżancie. Czyżby Lamont robił wam jakieś problemy?

Sierżant uśmiechnął się wilczo.

– Nic, czego już nie żałuje, sir. Ale myślę, że może czas, żeby znów mu zrobić przerwę.

– Zastanowię się nad tym, sierżancie.

– Tak jest, sir.

– A tymczasem... – Carrera zmienił obiekt zainteresowania. – Poruczniku Kovacs, jest kilka...

– Chwileczkę, komendancie. – Głos Handa, zdumiewająco opanowany i wygładzony, biorąc pod uwagę stan, w jakim musiał się znajdować.

Carrera przerwał.

– Tak?

– Jestem pewien, że wie pan, kim jestem, komendancie. Podobnie jak mnie znane są intrygi w Landfall, które doprowadziły do pańskiej obecności tutaj. Jednak może pan nie być świadom stopnia, w jakim został pan oszukany przez ludzi, którzy pana tu wysłali.

Carrera spojrział mi w oczy i uniósł brwi. Wzruszyłem ramionami.

– Nie, myli się pan – odpowiedział uprzejmie dowódca Klina. – Jestem dość dobrze poinformowany o stopniu, w jakim pańscy koledzy z Mandrake ekonomicznie gospodarowali prawdą. Szczerze mówiąc, niczego innego się nie spodziewałem.

Zapadła cisza, wyraźnie świadcząca o załamaniu się szkolenia Handa. To było warte uśmiechu.

– W każdym razie – mówił dalej Carrera – ta kwestia z obiektywną prawdą w ogóle mnie nie obchodzi. Dostałem sporo grosza.

– Mniej niż mógł pan dostać – z podziwu godną szybkością zareagował Hand. – Moje interesy tutaj zostały zatwierdzone na poziomie Kartelu.

– Już nie. Twoi wredni mali przyjaciele cię sprzedali, Hand.

– W takim razie popełnili błąd, komandorze. Nie widzę powodu, dla którego miałby go pan powielić. Proszę mi wierzyć, nie pragnę, żeby kara spadła na ludzi, którzy na nią nie zasłużyli.

Carrera uśmiechnął się lekko.

– Pan mi grozi?

– Nie ma powodu patrzeć na sytuację w taki...

– Zapytałem, czy pan mi grozi. – Ton komandora Klina był uprzejmy. – Chciałbym usłyszeć proste tak lub nie.

Hand westchnął.

– Powiedzmy po prostu, że istnieją siły, które mogę wezwać, a których moi koledzy nie wzięli pod uwagę, a przynajmniej niedostatecznie docenili.

– Och, tak. Zapomniałem, że jest pan człowiekiem wiary. – Carrera zdawał się być zafascynowany stojącym przed nim człowiekiem. – Houganem. Wierzy pan w te... siły duchowe? Mogą zostać wynajęte mniej więcej w ten sam sposób, co żołnierze.

Stojący obok mnie Loemanako zachichotał.

Hand znów westchnął.

– Komendancie, wierzę, że obaj jesteście cywilizowanymi ludźmi i...

Przeorał go strzał z blastera.

Carrera musiał ustawić broń na rozproszoną wiązkę – zazwyczaj nie wywołuje się takich uszkodzeń tak małymi, a ten, którego użył komendant Klina, był wręcz ultrakompaktowy. Sugestia bulwiastego korpusu wewnątrz zaciśniętej pięści, zatraskowy projektor w kształcie rybiego ogona wystający między drugim i trzecim palcem. Emisariusz we mnie zauważył, że ciepło ze strzału wciąż jeszcze rozchodziło się z lufy w widocznych falach.

Żadnego odrzutu, brak widocznego błysku i pchnięcia w tył w miejscu, gdzie uderzyła wiązka. Przez moje uszy przeleciał trzask i Hand stanął w miejscu, mrugając, z dymiącą dziurą w brzuchu. Potem musiał do niego dotrzeć smród rozwalonych jelit i patrząc w dół, wydał z siebie wysoki, jękliwy krzyk, wyrażający w równym stopniu panikę, co ból.

Ultrakompaktowce wymagają chwili, żeby ponownie się naładować, ale nie potrzebowałem wizji peryferyjnej, aby stwierdzić, że atakowanie Carrery byłoby błędem. Żołnierze na platformie ładunkowej w górze, Loemanako obok mnie i grupka oficerów Klina wcale się nie rozeszli – po prostu rozproszyli się, robiąc nam miejsce na wejście w zasadzkę.



Zgrabnie. Bardzo zgrabnie.

Hand zatoczył się, wciąż skowycząc, i twardo usiadł na piasku. Jakaś brutalna cząstka mnie miała ochotę się rozeźmiać. Rękami machał w powietrzu blisko ziejącej rany w brzuchu.

*Znasz to uczucie*, przypomniała jakaś inna część mnie, z zaskoczeniem wywołując chwilowe współczucie. *Strasznie boli, ale nie wiesz, czy odważysz się tego dotknąć.*

– Znów błąd – odezwał się Carrera do postrzelonego dyrektora u swoich stóp. Jego ton nie zmienił się ani o włos. – Nie jestem cywilizowanym człowiekiem, Hand, jestem żołnierzem. Profesjonalnym dzikusiem, a zatrudnili mnie ludzie tacy jak ty. Nie chciałbym mówić, kim przez to jesteś. Oczywiście, nie muszę dodawać, że nie masz już władzy w wieży Mandrake.

Dźwięk, który wydawał Hand, zaczynał ewoluować w stronę konwencjonalnego wrzasku. Carrera obrócił się w moją stronę.

– Och, odpręż się, Kovacs. Nie mów mi, że sam nie chciałeś mu tego wcześniej zrobić.

Zdobyłem się na wzruszenie ramion.

– Raz czy dwa. Przypuszczam, że musiałbym się do tego zmusić.

– No cóż, teraz już nie musisz.

Siedzący na ziemi Hand wykręcił się i wstał. Z jego agonii wydobyło się coś, co mogło być słowami. Na granicy pola widzenia dostrzegłem kilka postaci idących w jego stronę. Skan peryferyjny, wciąż napięty do granic bólu przez zalew adrenaliny, zidentyfikował Sutjiadiego i – proszę, proszę – Tanyę Wardani.

Carrera powstrzymał ich machnięciem.

– Nie, nie ma takiej potrzeby.

Hand teraz zdecydowanie coś mówił, wyrzucał z siebie przerywane syczenie sylab niebrzmiałych jak żaden język, który znałem czy słyszałem, może za jednym wyjątkiem. Jego lewa dłoń uniosła się w stronę Carrery z rozsuniętymi palcami. Przykucnąłem do jego poziomu, dziwnie poruszony przez wykrzywioną siłę jego twarzy.

– Co to jest? – Komendant Klina nachylił się bliżej. – Co on mówi?

Odchyliłem się na piętach.

– Wydaje mi się, że właśnie cię przeklina.

– Och, no cóż, przypuszczam, że w takich okolicznościach ma ku temu powody. Mimo wszystko.

– Carrera wyprowadził długie, potężne kopnięcie w bok dyrektora. Inkantacja Handa rozpadła się, zagłuszona krzykiem, gdy zwinął się w pozycję płodu. – Nie widzę też powodu, żeby tego słuchać. Sierzancie.

Loemanako wystąpił krok do przodu.

– Sir.

– Poproszę wasz nóż.

– Tak jest, sir.

Trzeba Carrerze przyznać – nigdy nie widziałem, żeby prosił kogokolwiek pod swoimi rozkazami o coś, czego nie zrobiłby sam. Wziął od Loemanako wibronóż, włączył go i jeszcze raz kopnął Handa, rzucając go brzuchem na piach. Krzyki dyrektora rozmyły się w kaszlenie i bulgotanie wciąganego powietrza. Carrera ukląkł nad jego plecami i zaczął ciąć.

Przytłumione krzyki Handa wskoczyły nagle na wyższy poziom, gdy poczuł, jak w jego ciało wbija się nóż, po czym nagle ustały, gdy Carrera przeciął mu kręgosłup.

– Tak lepiej – mruknął dowódca Klina.

Dokonał drugiego nacięcia u podstawy czaszki, znacznie bardziej elegancko, niż ja zrobiłem to kiedyś w biurze promotora w Landfall, i wydlubał kawałek przeciętego kręgosłupa. Potem wyłączył

nóż, wytarł go ostrożnie o ubranie Handa i wstał. Podał nóż razem z kawałkiem kręgosłupa Loemanako.

– Dziękuję, sierzancie. Zanieście to Hammadowi i powiedzcie, żeby nie zgubił. Właśnie zarobiliśmy premię.

– Tak jest, sir. – Loemanako rozejrzał się po twarzach zebranych. – A, hm...?

– Och, tak. – Carrera uniósł rękę. Na jego twarzy nagle ujawniło się zmęczenie. – To. Jego ręka opadła jak coś porzuconego.

Z pokładu ładunkowego powyżej usłyszałem wyładowanie, przytłumione trzaśnięcie, a zaraz po nim chitynowe szelesty. Spojrzałem w górę i zobaczyłem spadającą z góry chmurę czegoś, co wyglądało jak rój okaleczonych nanokopterów.

Z dziwnym ośpieniem intuicyjnie zrozumiałem, co ma się stać, lecz nie uruchomiłem odruchów bojowych, co musiało mieć swoje korzenie w połączeniu choroby popromiennej z dołem po tetracie. Miałem tylko czas spojrzeć na Sutjiadię. Zauważył mój wzrok i jego wargi drgnęły. Wiedział równie dobrze jak ja. Równie dobrze, jakby przed ekrany naszych oczu umieszczono pulsujące, czerwone litery.

*Gra...*

Z nieba zaczęły spadać pająki.

Niezupełnie, ale tak to wyglądało. Wystrzelili z moździerza kontroli tłumu prawie pionowo w górę, z ograniczonym ładunkiem o małej mocy do ograniczonego rozrzutu. Szare inhibitory wielkości pięści upadły w kole o średnicy niewiele ponad dwadzieścia metrów. Te przy najbliższym skraju przed upadkiem na piasek odbiły się najpierw i zsunęły po pancerzu statku, ślizgając się i machając kończynami za jakimś uchwytem z intensywnością, którą później wspominałem prawie z rozbawieniem. Inne upadły wprost w piasek i natychmiast zaczęły wybiegły z maleńkich kraterów turkusowego piasku, jak drobne kraby z klejnotów w wirtualnym rajy Tanyi Wardani.

Spadały w tysiącach.

*Gra...*

Opadały na nasze głowy i ramiona, miękkie jak zabawki dla dziecka w kołysce, i zaczepiały się o ubrania.

Pędziły w naszą stronę po piasku i wspinały się nam po nogach.

Niewzruszenie znosiły potrząsanie, walenie i wszelkie próby pozbycia się ich.

Te, które Sutjiadiemu i pozostałym udało się oderwać i odrzucić, lądowały na piasku, trzepiąc kończynami, i natychmiast ruszały z powrotem.

Pełne wiedzy, przysiadły nad zakończeniami nerwów i przez ubrania i skórę zatapiały w nich cieńsze od włosa kły.

*Gra...*

Wgryzły się.

*... skończona.*

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Nie miałem mniej niż inni powodów, żeby pompować adrenalinę, ale powolny walec radioaktywnych zniszczeń mocno osłabił zdolność ciała do uwalniania bojowych chemikaliów. Inhibitory zareagowały właściwie. Poczulem, jak dźgają moje nerwy, ale było to łagodne znieczulenie, szumienie, które powaliło mnie tylko na jedno kolano.

Powłoki Maori były lepiej przygotowane go walki, więc zostały potraktowane znacznie ostrzej. Deprez i Sutjiadi zatoczyli się i walnęli w piach, jakby postrzelono ich z ogłuszaczy. Vongsavath zdołała zachować kontrolę nad upadkiem i wylądowała na ziemi bokiem, z szeroko otwartymi oczami.

Tanya Wardani tylko stała w miejscu, z wyrazem totalnego zdumienia na twarzy.

– Dziękuję, panowie. – To Carrera zwracał się do ludzi obsługujących moździerze. – Przykładowe skupienie.

Zdalnie kontrolowane inhibitory neuralne. Najwyższej klasy technika kontroli porządku publicznego. Ledwie kilka lat temu zniesiono embargo kolonialne. Kiedy jeszcze pracowałem jako lokalny doradca wojskowy, zademonstrowano mi działanie nowiutkiego systemu na tłumach w Indigo City. Po prostu nigdy jeszcze nie byłem po drugiej stronie lufy.

*Spokój, z uśmiechem wyjaśnił mi entuzjastyczny kapral służb porządku publicznego. To wszystko, czego potrzeba. Oczywiście, to dość zabawne w sytuacji zamieszek ulicznych. Łąduje na człowieku coś takiego, więc tylko się bardziej wkurza, a to oznacza, że mocniej go klują. Mogą nawet zatrzymać działanie serca. Żeby wyrwać się ze spirali, trzeba by chyba mieć pieprzone szkolenie zen, ale wie pan co, jakoś niewielu mamy w tym sezonie demonstrantów zen.*

Zachowałem emisariuszowski spokój niczym kryształ, starłem z umysłu konsekwencje i wstałem. Trzymające się mnie pająki napięły się trochę pod wpływem ruchu, ale nie ugryzły mnie ponownie.

– Cholera, poruczniku, cały jest pan tym pokryty. Muszą pana lubić.

Loemanako stał, śmiejąc się do mnie z kręgu czystego piasku, podczas gdy nadmiarowe jednostki inhibitorowe pełzały przy zewnętrznych granicach pola, które musiał generować jego znacznik. Trochę w prawo od niego Carrera poruszał się w podobnym polu nietykalności. Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem innych oficerów Klina, nietkniętych i czekających.

Eleganckie. Cholernie eleganckie.

Za nimi oficer polityczny Lamont błaznował, prześmiewczo wskazując na nas palcem.

No cóż, trudno mu się dziwić.

– Tak, myślę, że lepiej będzie, jeśli je z ciebie zbierzemy – stwierdził Carrera. – Przepraszam za szok, poruczniku Kovacs, ale nie było innego bezpiecznego sposobu na schwytanie tego kryminalisty.

Wskazał na Sutjiadiego.

*Prawdę mówiąc, Carrera, mogłeś po prostu uśpić wszystkich w bańce szpitalnej. Ale to nie byłoby dostatecznie dramatyczne, a tam, gdzie chodzi o wykroczenia przeciw Klinowi, ludziom podoba się stylizowane przedstawienie, prawda?*

Poczulem, jak w ślad za myślą przez mój kręgosłup przesuwa się dreszcz.

I natychmiast go zdławiłem, zanim mógł się stać gniewem lub strachem, który obudziłby warstwę pokrywających mnie pajaków.

Odpowiedziałem zmęczonym tonem.

– O czym ty, do cholery, mówisz, Isaac?

– Ten człowiek – głos Carrery nabralł mocy, żeby dobrze go słyszano. – Przedstawił ci się fałszywie jako Jiang Jianping. Jego prawdziwe nazwisko to Markus Sutjiadi i jest poszukiwany za zbrodnie przeciw personelowi Klina.

– Tak. – Loemanako przestał się uśmiechać. – Sukinsyn załatwił porucznika Veutina i jego sierżant.

– Veutina? – Spojrzałem z powrotem na Carrerę. – Wydawało mi się, że był gdzieś w okolicach Bootkinaree.

– Tak, był. – Dowódca Klina patrzył na bezwładną postać Sutjadiego. Przez chwilę miałem wrażenie, że zastrzeli go na miejscu z blastera. – Do chwili gdy ta kupa łajna zbuntowała się i nakarmiła Veutina jego własnym sunjetem. Zabił go naprawdę. Stos przepadł. Sierżant Bradwell spotkał taki sam los, kiedy próbowała go powstrzymać. I jeszcze dwóch moich ludzi zarobiło rozwalone powłoki, zanim ktoś załatwił tego matkojebcę.

– Nikomu coś takiego nie ujdzie na sucho – ponuro stwierdził Loemanako. – Prawda, poruczniku? Żaden lokalny kmiołek nie będzie zabijał personelu Klina, a potem uciekał. Gównojad pójdzie do anatomizera.

– To prawda? – zapytałem Carrery dla zachowania pozorów.

Spojrzał mi w oczy i skinął głową.

– Naoczni świadkowie. Sprawa otwarta i zamknięta.

Sutjiadi poruszył się u jego stóp jak coś, na co nadeptano.

Zgarnęli ze mnie pająki przy pomocy miotełki dezaktywującej, a potem wrzucili je do pojemnika. Carrera podał mi znacznik i zbliżająca się już ku mnie nowa fala wolnych inhibitorów cofnęła się, gdy tylko go przypiąłem.

– W sprawie tego raportu – powiedział, gestem zapraszając mnie na pokład *Cnoty*.

Za mną moich towarzyszy prowadzono z powrotem do plastobańki; zataczali się, gdy drobne porywy adrenalinowego oporu wyzwalały nowe fale ugryzień ich neuralnych strażników. Na opuszczonej scenie przedstawienia obsługa mózdzierza zajęła się zbieraniem do pojemników wciąż pełzających jednostek, które nie zdołały się do nikogo przyczepić.

Odchodząc, Sutjiadi spojrzał mi w oczy. Prawie niedostrzegalnie potrząsnął głową.

Nie musiał się martwić. Ledwie byłem w stanie wspiąć się na rampę wejściową prowadzącą do wnętrza statku, a co dopiero mówić o atakowaniu Carrery z pustymi rękami. Przywarłem do ostatnich resztek odlotu tetrametowego i poszedłem za dowódcą Klina przez wąskie, wypełnione uchwytami na sprzęt korytarze, w górę drabinkowej rury grawitacyjnej i do ciasnej przestrzeni, która stanowiła jego osobistą kwaterę.

– Proszę siadać, poruczniku. Jeśli znajdzie pan gdzieś miejsce.

Kabina była zapchana, ale drobiazgowo wręcz schludna. Pod wysuwającym ze ściany blatem biurka w rogu spoczywało wyłączone łóżko grawitacyjne. Powierzchnia robocza mieściła kompaktowy wyświetlacz danych, starannie ustawiony zestaw chipów książkowych i niewielką ceramiczną statuetkę, wyglądającą jak dzieło sztuki z Hun Home. Drugi stół, po przeciwnej stronie wąskiego przejścia, zawalony był sprzętem projekcyjnym. Pod sufitem unosiły się dwa hologramy ustawione w taki sposób, żeby umożliwić oglądanie z łóżka. Jeden pokazywał spektakularny obraz Adoracion z wysokiej orbity, ze słońcem właśnie przebijającym się przez zielone i pomarańczowe krawędzie. Drugi przedstawiał grupę rodzinną, Carrerę i ładną kobietę o oliwkowej skórze, otaczającą rękami ramiona trojga dzieci w różnym wieku. Komendant Klina wyglądał na szczęśliwego, ale powłoka na hologramie była starsza niż ta, którą miał na sobie teraz.

Za stołem projekcyjnym wypatrzyłem spartańskie metalowe krzesło. Carrera przyglądał się, jak siadam, a potem oparł się na biurku, składając ręce.

– Byłeś ostatnio w domu? – zapytałem, wskazując głową w stronę orbitalnego hologramu.

Jego wzrok nie opuścił mojej twarzy.

– Minęło trochę czasu. Doskonale wiedziałeś, że Sutjiadi jest poszukiwany przez Klin, prawda?

– Wciąż nie jestem przekonany, że to Sutjiadi. Hand sprzedał mi go jako Jianga Janpinga. Skąd masz pewność?

Prawie się uśmiechnął.

– Niezła próba. Moi przyjaciele z wieży dali mi kody genetyczne powłok bojowych oraz dane upowłokowien z komputera Mandrake. Bardzo im zależało, żebym wiedział, że Hand ma u siebie zbrodniarza wojennego. Pewnie uważali, że będzie to dla mnie dodatkowy bodziec, który pomoże mi podjąć decyzję.

– Zbrodniarz wojenny. – Starannie rozejrzałem się po kabinie. – Cóż za interesujący dobór terminologii. Zwłaszcza jak na kogoś, kto nadzorował pacyfikację Decatur.

– Sutjiadi zamordował jednego z moich oficerów. Oficera, od którego miał przyjmować rozkazy. W każdym znanym mi prawie wojennym stanowi to zbrodnię.

– Oficera? Veutina? – Nie do końca byłem w stanie stwierdzić, czemu się z nim spierałem, chyba że kierowała mną ogólna inercja. – Daj spokój, czy ty przyjmowałeś rozkazy od Psa Veutina?

– Na szczęście, nie muszę. Ale jego pluton przyjmował i wszyscy byli wobec niego fanatycznie lojalni. Veutin był dobrym żołnierzem.

– Nie bez powodu nazywali go psem, Isaac.

– Nie bierzemy udziału w konk...

– ...ursie popularności. – Zdobyłem się na uśmiech. – Ten tekst robi się już trochę stary. Veutin był cholernym sukinsynem i dobrze o tym wiesz. Jeśli Sutjiadi go spalił, przypuszczam, że miał ku temu dobry powód.

– Powody nie czynią człowieka sprawiedliwym, poruczniku Kovacs. – W głosie Carrery zabrzmiały nagle łagodne tony, które zaalarmowały mnie, że przekroczyłem granicę. – Każdy napakowany sprzętem alfons na Plaza de los Caidos ma powód, żeby pociąć twarz każdej z kurew, ale to nie oznacza, że dobrze robi. Joshua Kemp ma powody dla swoich działań i z jego punktu widzenia mogą one być nawet dobre. To nie czyni go prawym.

– Musisz bardziej uważać na to, co mówisz, Isaac. Taki relatywizm może zaprowadzić cię za kratki.

– Wątpię. Widziałeś Lamonta.

– Tak.

Zapadła cisza, przepływając między nami.

– A więc – odezwałem się w końcu. – Zamierzasz wsadzić Sutjiadiego do anatomizera.

– A mam jakiś wybór?

Tylko na niego spojrzełem.

– Jesteśmy Klinem, poruczniku. Wiesz, co to oznacza. – W jego tonie brzmiał teraz cień nacisku. Nie wiem, kogo próbował przekonać. – Złożyłeś przysięgę, tak samo jak wszyscy inni. Znasz kod. Chaosowi przeciwstawiamy jedność i wszyscy muszą o tym wiedzieć. Ci, z którymi się zadajemy, muszą mieć świadomość, że nie wolno z nami zadzierać. Potrzebujemy tego strachu, jeśli mamy działać wydajnie. A moi żołnierze muszą wiedzieć, że ten strach jest absolutny. Że będzie wymuszany. Bez tego się rozpadniemy.

Zamknąłem oczy.

- Jak chcesz.
- Nie wymagam od ciebie, żebyś się temu przyglądał.
- Wątpię, żeby było dość miejsc.

Zza zamkniętych oczu usłyszałem, jak się porusza. Kiedy popatrzyłem, nachylał się nade mną, opierając się rękami o krawędź stołu projekcyjnego, z twarzą wykrzywioną gniewem.

– Teraz się zamkniesz, Kovacs. Zdławisz ten bunt. – Jeśli czekał na opór, nie znalazł w mojej twarzy nawet jego śladu. Cofnął się o pół metra i wyprostował. – Nie pozwolę ci tak po prostu olać stanowiska. Jesteś zdolnym oficerem. Wzbudzasz lojalność u swoich ludzi i rozumiesz walkę.

- Dzięki.
- Możesz się śmiać, ale ja cię znam. To fakt.

– To *biotech*, Isaac. Dynamika stada z wilczych genów, blokada serotoniny i psychoza Emisariuszy, żeby pilotować ten cały pieprzony bałagan. Pies mógłby zrobić to, co ja zrobiłem dla Klina. Na przykład, Pies sukinsyn Veutin.

– Tak. – Wzruszenie ramion, gdy znów opierał się o krawędź biurka. – Ty i Veutin mieliście bardzo zbliżone profile. Mam w aktach oceny psychochirurga, jeśli mi nie wierzysz. Ten sam gradient Kemmericha, to samo IQ i brak ogólnego zakresu empatii. Dla niewyszkolonego oka moglibyście być tym samym człowiekiem.

– Tak, tylko że on jest martwy. To musi go wyróżniać nawet dla niewyszkolonego oka.

– Cóż, w takim razie może nie do końca taki sam brak empatii. Emisariusze dali ci dość wyszkolenia dyplomatycznego, żebyś nie lekceważył ludzi w rodzaju Sutjiadiego. Ty byś sobie lepiej z nim poradził.

– A więc zbrodnia Sutjiadiego polega na tym, że został niedoceniony? Pewnie wygląda to na równie dobry powód do zamęczenia człowieka na śmierć jak każdy inny.

Znieruchomiał i wbił we mnie wzrok.

– Poruczniku Kovacs, chyba nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Egzekucja Sutjiadiego nie podlega dyskusji. Zamordował moich żołnierzy i jutro o świcie wymierzę mu karę za tę zbrodnię. Może się to panu nie podobać...

– Jak cudownie ludzkie z twojej strony.

Zignorował mnie.

– ...ale trzeba to zrobić i dopilnuję tego. A pan, jeśli wie, co jest dla niego dobre, podpisze się pod tym.

– Albo? – Nie zabrzmiało to aż tak buntowniczo, jakbym chciał, i zepsułem efekt kaszlem, który wstrząsnął całym moim ciałem i wyrzucił z płuc zakrwawioną flegmę. Carrera podał mi chusteczkę.

– Mówił pan...?

– Pytałem, co będzie, jeśli nie podpiszę się pod tym upiornym cyrkiem?

– Wtedy poinformuję ludzi, że świadomie próbował pan chronić Sutjiadiego przed sprawiedliwością Klina.

Rozejrzałem się za jakimś miejscem, gdzie mógłbym wyrzucić zabrudzoną chusteczkę.

– Czy to oskarżenie?

– Pod stołem. Nie, tutaj. Obok twojej nogi. – Wskazał mi kosz. – Kovacs, nie ma znaczenia, czy to zrobiłeś, czy nie. Myślę, że tak, ale tak naprawdę wcale mnie to nie obchodzi. Muszę mieć porządek, a sprawiedliwości musi stać się zadość. Dostosuj się do tego, a może dostaniesz z powrotem swój stopień i nowy oddział. Jeśli wyjdiesz poza szereg, będziesz następny.

– Loemanako i Kwok się to nie spodoba.

– Tak, nie spodoba się. Ale są żołnierzami Klina i dla dobra Klina postąpią zgodnie

z rozkazami.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o wzbudzanie lojalności.

– Lojalność to waluta, jak każda inna. To, co zyskałeś, możesz wydać. A chronienie znanego mordercy członków Klina to więcej, niż możesz sobie pozwolić. – Nachylił się nad krawędzią biurka. Zmysły Emisariusza odczytały pozycję jego osłoniętego kombinezonem ciała jako końcową rozgrywkę. W ten sposób zawsze stał w ostatniej rundzie sesji sparingowych, które źle się dla niego potoczyły. W takiej pozycji widziałem go, kiedy załamały się wokół nas oddziały rządowe w przesmyku Shalai i z nieba jak front burzowy spadła na nas piechota powietrzna Kempa. Z tego miejsca nie ma już ucieczki. – Nie chcę cię stracić, Kovacs, i nie chcę denerwować żołnierzy, którzy służyli pod twoją komendą. Ale ostatecznie, Klin to coś więcej niż składający się na niego żołnierze. Nie możemy sobie pozwolić na wewnętrzne rozłamy.

Przy przeważającej przewadze liczebnej i sprzętowej przeciwnika, zostawiony na śmierć w Shalai, Carrera utrzymał pozycję w bombardowanych ulicach i budynkach przez dwie godziny, aż wszystko przykryła i zasłoniła burza. Wtedy poprowadził zbombardowanymi i wyniszczonymi ulicami morderczą kontrofensywę przy akompaniamencie wyjącego wichru i kłębow pyłu, aż fale radiowe zgęstniały od rozkazów spanikowanych dowódców piechoty powietrznej, nakazujących odwrót. Kiedy burza minęła, przesmyk Shalai usłany był ciałami kempistów, a Klin stracił mniej niż tuzin żołnierzy.

Znów nachylił się nade mną, już opanowany. Jego wzrok uważnie badał moją twarz.

– Czy to zrozumiałe, poruczniku? Potrzebna nam ofiara. Może się nam to nie podobać, panu i mnie, ale taka jest cena członkostwa w Klinie.

Kiwnąłem głową.

– Czyli jesteś gotów przejść nad tym do porządku?

– Isaac, ja umieram. Mniej więcej wszystko, na co w tej chwili jestem gotów, to trochę snu.

– Rozumiem. Nie będę cię już zatrzymywał. Dobrze. – Machnął ręką przez wyświetlacz danych, który obudził się, rozwijając obraz. Westchnąłem i spróbowałem się skupić. – Grupa penetracyjna obliczyła ekstrapolowaną trajektorię na podstawie kąta wlotu *Nagini* i dotarła w pobliże doku, którym dostaliście się do środka. Loemanako mówi, że nie było tam widać żadnych urządzeń sterujących. Więc jak dostaliście się do środka?

– Już było otwarte. – Nie miałem dość sił, żeby wymyślać jakieś kłamstwa, zresztą przypuszczałem, że i tak wkrótce podda przesłuchaniu pozostałych. – Z tego, co wiemy, nie ma tam żadnych zamykanych drzwi.

– Na okręcie wojennym? – Jego oczy się zwięziły. – Trudno mi w to uwierzyć.

– Isaac, ten statek włącza tarczę przestrzenną, która odstaje przynajmniej na dwa kilometry od kadłuba. Po jaką cholere miałiby montować blokady dla indywidualnych doków?

– Widziałeś to?

– Tak. I to w działaniu.

– Hmm. – Dokonał kilku drobnych poprawek przy wyświetlaczu. – Jednostki niuchaczy znalazły ludzkie ślady dobre trzy albo cztery kilometry we wnętrzu. Ale was znaleźli w bańce obserwacyjnej nie więcej niż półtora kilometra od wejścia.

– Cóż, to nie mogło być trudne. Oznaczyliśmy drogę, malując cholernie wielkie strzałki z iluminium.

Rzucił mi twarde spojrzenie.

– Chodziłeś po wnętrzu?

– Nie, ja nie. – Potrząsnąłem głową i zaraz tego pożałowałem, bo mała kabina zaczęła bardzo

nieprzyjemnie pulsować wokół mnie i straciłem ostrość widzenia. – Niektórzy tak. Nie mam pojęcia, jak daleko zaszli.

– Nie wygląda to na zorganizowaną ekspedycję.

– Bo nią nie było – powiedziałem z irytacją. – Nie wiem, Isaac. Może spróbowałbyś wyhodować w sobie trochę zadziwienia, co? Może ci się przydać, kiedy tam dotrzesz.

– Na to by wyglądało. – Zawahał się i chwilę trwało, zanim skojarzyłem, że czuje się zakłopotany. – Wy... hm... widzieliście... duchy?

Wzruszyłem ramionami, zwalczając niekontrolowany chichot.

– Coś widzieliśmy. Wciąż nie jestem pewien, co takiego. Czyżbyś podsłuchiwał swoich gości, Isaac?

Uśmiechnął się i przepaszająco machnął dłonią.

– Udzieliły mi się zwyczaje Lamonta. A skoro on stracił zainteresowanie podsłuchem, uznałem, że szkoda by było, gdyby marnował się taki dobry sprzęt. – Znow wskazał na wyświetlacz. – Raport medyczny mówi, że wszyscy mieliście symptomy ciężkiego porażenia z ogłuszacza, poza tobą i oczywiście Sun.

– Tak, Sun się zastrzeliła. My... – Nagle wszystko to wydało się niemożliwe do wytłumaczenia, jak próba samotnego dźwignięcia potężnej masy. Ostatnie chwile na marsjańskim statku przesłonięte ostrym bólem i promieniowaniem tego, co zostawiła za sobą załoga. Pewność, że ten obcy żal rozerwie nas na kawałki. Jak przekazać to człowiekowi, który poprowadził mnie w szalejącym ogniu do zwycięstwa w przesmyku Shalai i tuzinie innych bitew? Jak przebić się przez lodowato zimną i diamentowo jasną rzeczywistość tamtych chwil?

*Rzeczywistość?* Nieoczekiwanie kopnęły mnie wątpliwości.

*Faktycznie?* I skoro już przy tym jesteśmy, czy ponura rzeczywistość broni, w której żył Isaac Carrera, była jeszcze faktycznie realna? Czy kiedykolwiek była? Ile z tego, co pamiętam, było faktami?

*Nie, słuchaj, masz przecież emisariuszowską pamięć...*

Ale czy było aż tak źle? Spojrzałem na wyświetlacz, z wysiłkiem usiłując zebrać myśli. Hand to nazwał, a ja kupiłem jego termin z czymś niewiele odbiegającym od paniki. Hougan Hand. Hand maniak religijny. Czy kiedykolwiek indziej zaufałem mu tak bardzo?

Czemu w takim razie mu zaufałem?

*Sun.* Kurczowo chwyciłem się faktu. *Sun wiedziała. Widziała, co nadchodzi, i wołała rozwalić sobie mózg, niż tego doświadczyć.*

Carrera dziwnie mi się przyglądał.

– Tak?

*Ty i Sun...*

– Chwileczkę. – Coś mi zaświtało. – Powiedziałaś oprócz Sun i mnie?

– Tak. Wszyscy pozostali wykazują standardowe ślady traumy elektroneuralnej. Jak mówiłem, silny ładunek.

– Ale nie ja.

– No cóż, nie. – Wyglądał na zdziwionego. – Ty byłeś nietknięty. A co, pamiętasz, jak ktoś do ciebie strzelał?

Kiedy skończyliśmy, spłaszczył wyświetlacz danych ruchem dłoni o stwardniałej skórze i odprowadził mnie z powrotem pustymi korytarzami statku bojowego, a potem przez ciche odgłosy pogrążonego we śnie obozu. Nie rozmawialiśmy zbyt dużo. Cofnął się wobec mojego zmieszania



i pozwolił, by raport rozszedł się po kościach. Prawdopodobnie nie potrafił uwierzyć, że widzi jednego ze swoich łańcuchowych Emisariuszy w takim stanie.

Sam miałem poważne problemy, by w to uwierzyć.

*Ona cię postrzeliła. Upuściłeś ogłuszacz i ona strzeliła. A potem siebie. Musiała.*

W innym wypadku...

Zadygotałem.

Na czystej łasze piasku w okolicy rufy *Cnoty Angin Chandry* wznosili szafot na egzekucję Sutjadiego. Zasadnicze słupy podpór były już na miejscu, wkopane głęboko w piasek i przygotowane na zamontowanie skośnej, porowatej platformy rzeźniczej. W oświetleniu z trzech lamp Angiera i zalewie blasku z tylnego włazu zrzutowego statku struktura wyglądała jak wyrastający z plaży pazur. Na piasku obok leżały czekające na zmontowanie części anatomizera, jak segmenty osy, którą ktoś posiekał na śmierć.

– Wojna się przesuwają – odezwał się Carrera. – Na tym kontynencie Kemp to już przeszłość. Od tygodni nie mieliśmy uderzenia powietrznego. Wykorzystuje Flotę Gór Lodowych do ewakuacji swoich sił przez Cieśninę Wacharin.

– Nie może tam utrzymać wybrzeża? – zapytałem automatycznie, kierowany cieniem uwagi z setek odbytych w przeszłości odpraw.

Carrera potrząsnął głową.

– Nie ma szans. To równina zalewowa na setki kilometrów na południe i wschód. Nigdzie nie da się wkopać, a nie ma sprzętu, żeby budować podwodne bunkry. To oznacza brak długoterminowego zagłuszania i wspieranych sieciowo systemów uzbrojenia. Daj mi jeszcze sześć miesięcy, a zbrojne amfibie pogonią go z wybrzeża. Kolejny rok, a zaparkujemy *Cnotą* w Indigo City.

– A co potem?

– Słucham?

– Co potem? Kiedy już zdobędziesz Indigo City, kiedy Kemp zbombarduje albo zaminuje czy rozwali częściami każdy mający jakąkolwiek wartość obiekt i ucieknie w góry z prawdziwymi twarogłowymi, co wtedy?

– No cóż. – Carrera wydał policzki. Zdawał się szczerze zaskoczony tym pytaniem. – To co zwykle. Kontrola strategii na obu kontynentach, ograniczone akcje policyjne i szukanie kozłów ofiarnych, aż wszystko się uspokoi. Ale do tego czasu...

– Ale do tego czasu nas już tu nie będzie, tak? – Wcisnąłem ręce w kieszenie. – Precz z tej pieprzonej kuli błota gdzieś, gdzie potrafią rozpoznać przegraną, kiedy im się przytrafi. Daj mi przynajmniej tyle dobrych wieści.

Spojrzał na mnie i mrugnął.

– Dom Hunów wygląda nieźle. Wewnętrzny spór o władzę, sporo intryg pałacowych. Coś w sam raz dla ciebie.

– Dzięki.

Przy wejściu do plastobańki na zewnątrz przedostawały się ciche głosy. Carrera przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać.

– Chodź i dołącz do imprezy – stwierdziłem ponuro. – Oszczędzisz sobie dłubania w zabawkach Lamonta.

Trzej pozostali członkowie wyprawy Mandrake zgromadzili się na krzesłach wokół niskiego stołu przy ścianie szpitala. Ochrona Carrery oczyściła ich z masy jednostek inhibitorowych, zostawiając każdemu więźniowi standardowe zabezpieczenie w postaci jednego inhibitora przyczajonego jak rakowa narośl u podstawy karku. Dzięki temu wszyscy wyglądali na dziwnie

przygarbionych, jakby zostali przyłapani na konspiracji.

Gdy weszliśmy do środka, obejrzelisię, reagując w bardzo różny sposób. Deprez był najmniej ekspresywny; na jego twarzy prawie nie drgnął żaden mięsień. Vongsavath spojrzała mi w oczy i uniosła brwi, a Wardani wlepiła wzrok za mnie, w miejsce gdzie stał Carrera, i splunęła na wyczyszczoną podłogę.

– Zakładam, że to dla mnie – spokojnie stwierdził dowódca Klina.

– Podzielcie się – zasugerowała. – Wystarczy na was obu.

Carrera się uśmiechnął.

– Odradzałbym tak podkrecać nienawiść, madame Wardani. Mały przyjaciel na pani karku chętnie się pani odgryzie.

Bez słów potrząsnęła głową. Jedną rękę odruchowo podniosła w pół drogi do inhibitora, ale zaraz ją opuściła. Może już próbowała go usuwać. Tego błędu nie popełnia się dwa razy.

Carrera podszedł do rozprysniętej na podłodze plwociny, schylił się i starł ją jednym placem. Przyjrzał się jej uważnie, podsunął do nosa i się skrzywił.

– Nie zostało pani dużo czasu, madame Wardani. Na pani miejscu byłbym trochę bardziej uprzejmy wobec osoby, która będzie doradzać w sprawie pani ewentualnego ponownego upowłokowienia.

– Wątpię, żeby decyzja należała do pana.

– No cóż. – Dowódca Klina wytarł palce o prześcieradło z najbliższego łóżka. – Przecież powiedziałem „doradzał”. Ale z drugiej strony to wymaga założenia, że dotrze pani do Landfall w stanie nadającym się do upowłokowienia. A do tego może nie dojść.

Wardani obróciła się do mnie, blokując tym samym Carrerę. Subtelny afront, który sprawił, że dyplomatyczny element mojego warunkowania miał ochotę bić brawo.

– Czy ten twój kochaś próbuje mi grozić?

Potrząsnąłem głową.

– Chyba tylko wyjaśnia sytuację.

– Dla mnie to zbyt subtelne. – Rzuciła zde gustowanym spojrzeniem na komendanta Klina. – Może lepiej po prostu strzelisz mi w brzuch. Ten sposób chyba sprawdza się najlepiej. Przypuszczam, że to twoja ulubiona metoda pacyfikacji cywili.

– Ach tak, Hand. – Carrera przyciągnął sobie wolne krzesło. Odwrócił je oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem. – Czyżby był pani przyjacielem?

Wardani popatrzyła na niego w milczeniu.

– Nie spodziewałem się tego – podjął. – Zupełnie do pani nie pasuje.

– To nie ma nic do...

– Wiedziała pani, że jest odpowiedzialny za zbombardowanie Sauberville?

Kolejna pauza bez słów. Tym razem twarz pani archeolog zbladła od szoku, i nagle dostrzegłem, jak głęboko wgrzyzło się w nią promieniowanie.

Carrera też to zauważył.

– Tak, madame Wardani. Ktoś musiał przygotować grunt dla waszej małej wyprawy, a Matthias Hand tak zaaranżował sprawę, że dokonał tego nasz wspólny przyjaciel, Joshua Kemp. Och, oczywiście bezpośrednio nie brał w tym udziału. Wojskowa dezinformacja, starannie wymodelowana, której następnie równie starannie pozwolono wyciec wzdłuż odpowiednich kanałów. Jednak dość, by przekonać bohatera rewolucji w Indigo City, że Sauberville lepiej wyglądałoby jako czarna plama oraz że trzydziestu siedmiu moich ludzi nie potrzebuje już swoich oczu. – Rzucił spojrzeniem w moją stronę. – Pewnie się domyśliłeś, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Wydawało mi się to prawdopodobne. W innym wypadku byłoby to trochę zbyt szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Niedowierzające spojrzenie Wardani przeskoczyło do moich oczu.

– Widzi pani, madame Wardani. – Carrera wstał, jakby bolało go całe ciało. – Jestem pewien, że chciałaby pani widzieć we mnie potwora, ale nim nie jestem. Ja po prostu wykonuję swoją pracę. To ludzie tacy jak Matthias Hand wywołują wojny, a ja zarabiam na życie, walcząc za nich. Proszę o tym pamiętać, kiedy następnym razem będzie pani chciała mnie obrazić.

Nic nie odpowiedziała, ale czułem, jak jej spojrzenie przepala mi bok twarzy. Carrera odwrócił się do wyjścia, potem się zatrzymał.

– Och, madame Wardani, i jeszcze jedno. Nie podoba mi się słowo „kochaś”. – Popatrzył na podłogę, jakby się namyślał. – Wielu uznałoby, że wykazuję bardzo ograniczony zakres preferencji seksualnych, a penetracja analna się do nich nie zalicza. Jednak z pani zapisków obozowych widzę, że nie można tego samego powiedzieć o pani.

Wydała z siebie nieartykułowany dźwięk. Prawie słyszałem, jak trzeszczy i wywraca się ratunkowe rusztowanie, zbudowane w jej wnętrzu przez techniki Emisariuszy. Dźwięk zniszczeń. Nagle znalazłem się na nogach.

– Isaac, ty...

– Ty? – Odwracając się do mnie, uśmiechał się, szczerząc zęby jak czaszka. – Ty, ty... *szczeniaku*. Lepiej siadaj.

Ten rozkaz prawie zmroził mnie w miejscu. Emisariuszowska żółć wezbrała we mnie i odrzuciła go.

– Kovacs... – głos Wardani, jak pękający drut.

Spotkałem Carrerę w pół drogi, sięgając szponiastą ręką do jego gardła, a nogą wyprowadzając niezdarne kopnięcie z powykrzywianej chorobą pozycji. Potężne ciało określiło się i zablokowało oba ataki z okrutną łatwością. Kopnięcie zsunęło się w lewo, wytrącając mnie z równowagi, a moje ramię zostało schwyte w łokciu i zmiażdżone.

Wywołało to chrupiący dźwięk w tyle mojej głowy, jak pusta szklaneczka po whisky rozdeptana nogą w jakimś nędznie oświetlonym barze. Mój mózg zalała agonía, wyduszając pojedynczy, krótki krzyk, zdławiony zaraz neurochemicznym zarządzaniem bólem. Powłoka bojowa na indywidualne zamówienie Klina – wyglądało na to, że przynajmniej to jeszcze działało. Carrera nie zwolnił uchwytu, a ja zawisłem w jego bloku na ręce jak wyłączona lalka. Ostrożnie wygiąłem nieuszkodzone ramię, a on się roześmiał. Potem wykręcił zgruchotany staw, tak że ból przesłonił mi oczy czarną płachtą, i rzucił mnie na podłogę. Niedbałe kopnięcie w brzuch zwinęło mnie w kulkę, której nie interesowało już nic powyżej poziomu kostek.

– Przyślę lekarza – usłyszałem, jak mówi gdzieś w górze. – I madame Wardani, sugerowałbym, żeby trzymała pani zamknięte usta, bo w innym przypadku przyślę tu paru z moich mniej wrażliwych ludzi, żeby je pani czymś wypełnili. To może pani przypomni, co znaczy słowo „kochaś”. Nie wchodzić mi więcej w drogę, kobieto.

Zaszeleściło ubranie, a potem przykucnął przy moim boku. Jedną ręką chwycił mnie za szczękę i obrócił mi twarz w górę.

– Kovacs, jeśli chcesz dla mnie pracować, lepiej pozbądź się tego łąjna sentymentów. Och, a na wypadek, gdybyś nie zamierzał tego robić. – W wyciągniętej dłoni trzymał zwinętego pajaka inhibitorowego. – To środek czysto tymczasowy. Tylko do chwili gdy skończymy z Sutjiadim. W ten sposób wszyscy będziemy się czuli bezpieczniej.

Przekręcił otwartą dłoń na bok, a zwinięta jednostka inhibitorowa sturlała się w przestrzeń. Moim przytępionym endorfinom zmysłom zdawało się, że trwa to bardzo długo. Niemal z fascynacją przyglądałem się, jak pajak jeszcze w powietrzu rozwija nogi i opada na nie na podłogę niecały metr od mojej głowy. Tam zebrał się w sobie, okręcił raz czy dwa, a potem popędził w moją stronę. Wspiął się na moją twarz, potem dalej, do kręgosłupa. Cieniutka lodowa igielka sięgnęła przez ciało do kości i poczułem, jak pająkowate kończyny sztywnieją wokół mojego karku.

*No cóż.*

– Do zobaczenia, Kovacs. Zastanów się nad tym. – Carrera wstał i wyszedł. Przez chwilę leżałem, sprawdzając pieczęcie na miękkim kocu odrętwienia, w które owinęły mnie systemy mojej powłoki. Potem na moim ciele pojawiły się dłonie, pomagając mi podnieść się do pozycji siedzącej, której wcale nie miałem ochoty osiągać.

– Kovacs. – To Deprez zajął mi w twarz. – Dobrze się czujesz, stary?

Zakaszlałem słabo.

– Jasne, wspaniale.

Oparł mnie o krawędź stołu. Wardani podeszła w pole widzenia za jego plecami.

– Kovacs?

– Uchhhhh, przykro mi z tego powodu, Tanya. – Zaryzykowałem szybkie spojrzenie, żeby ocenić poziom kontroli na jej twarzy. – Powinienem był cię ostrzec, żebyś go nie ruszała. On nie reaguje jak Hand. Nie przyjmuje takich rzeczy.

– Kovacs. – Na jej twarzy drgały mięśnie, co mogło stanowić pierwsze objawy walenia się pospiesznie zbudowanej konstrukcji ratunkowej. Albo nie. – Co oni zamierzają zrobić z Sutjiadim?

Pytanie wzbudziło we mnie małą sadzawkę spokoju.

– Rytualna egzekucja – stwierdziła Vongsavath – prawda?

Kiwnąłem głową.

– Co to znaczy? – Głos Wardani był denerwująco spokojny. Pomyślałem, że może powinienem przebudować swoje założenia odnośnie stanu jej zdrowia. – Co zamierzają z nim zrobić?

Zamknąłem oczy i przywołałem obrazy z ostatnich dwóch lat. Wspomnienia zdawały się przywołać tępy, drzemiący ból, wzbierający od strzaskanego stawu. Kiedy miałem dość, podniosłem wzrok, znów patrząc na jej twarz.

– To jak autochirurg – powiedziałem. – Przeprogramowany. Skanuje ciało, mapuje układ nerwowy. Mierzy wytrzymałość. Potem uruchamia program renderujący.

Oczy Wardani rozszerzyły się nieco.

– Renderujący?

– Rozbiera go na części. Zdziera skórę, rozcina ciało, łamie kości. – Przywołałem wspomnienia. – Wypruwa wnętrzności, gotuje oczy w oczodołach, roztrzaskuje zęby i drażni nerwy.

Wykonała bezradny gest, jakby chciała się obronić przed słowami.

– Urządzenie cały czas podtrzymuje go przy życiu. Jeśli facet wygląda, jakby miał zapaść w szok, przerywa. Jeśli potrzeba, podaje mu stymulanty. Oczywiście, bez środków przeciwbólowych.

Teraz miałem wrażenie, jakby między nami pojawiła się piąta osoba, przykucnięta przy moim boku, i z wyszczerzonymi zębami ścisnęła kawałki połamanej kości w moim ramieniu. Siedziałem zatopiony we własnym, przytłumionym przez biotech bólu, wspominając los, jaki spotkał poprzedników Sutjiadiego, gdy żołnierze Klina zbierali się podziwiać rytuał Jak wokół jakiegoś magicznego ołtarza ku czci wojny.

– Jak długo to trwa? – zapytał Deprez.

– Zależy. Większość dnia. – Słowa same ze mnie wypływały. – Musi się skończyć przed nocą. To część rytuału. Jeśli nikt nie zatrzyma tego wcześniej, maszyna dokonuje sekcji czaszki przy resztkach światła. To zazwyczaj kończy sprawę. – Chciałem przestać mówić, ale wyglądało na to, że nikt nie chce mnie powstrzymać. – Oficerowie i personel cywilny mają możliwość zgłoszenia pod głosowanie szybkiej śmierci, ale nie robią tego przed późnym popołudniem, nawet ci, którym się to nie podoba. Nie mogą sobie pozwolić na to, że ktoś uzna ich za zbyt miękkich. A i nawet wtedy, nawet tak późno, widziałem, jak głosowanie obraca się przeciw nim.

– Sutjiadi zabił dowódcę plutonu Klina – stwierdziła Vongsavath. – Obawiam się, że tu nie będzie głosowania nad litościwym końcem.

– On jest słaby – powiedziała z nadzieją Wardani. – Ma przecież chorobę popromienną...

– Nie. – Wyprostowałem ramię; pomimo neurochemii przez rękę przebiegła fala ostrego bólu. – Powłoki Maori zostały zaprojektowane do walki w zanieczyszczonym środowisku. Mają bardzo wysoką wytrzymałość.

– Ale neuroche...

Potrząsnąłem głową.

– Zapomnij, Maszyna się do tego dostosuje i najpierw zniszczy ośrodki kontroli bólu, po prostu je wyrwie.

– Więc wtedy zginie.

– Nie, *nie zginie* – krzyknąłem. – To nie działa w taki sposób.

Potem nikt już nic nie mówił.

Przyszła para medyków, ten, który wcześniej podawał mi leki, oraz nieznana mi kobieta o twarzy o twardych rysach. Zbadali moje ramię ze starannością i kompetencją, ale bez zaangażowania. Obecność jednostki inhibitorowej oraz to, co mówiła ona na temat mojego statusu, nie zostały w żaden sposób skomentowane. Przy pomocy mikrozesztawu ultrawibracyjnego rozbili kawałki kości wokół strzaskanego stawu, po czym w długich, głęboko zatopionych w ciele monofilamentach umieścili biosprzęt regeneracyjny, oznaczając jego położenie zielonymi markerami na skórze, a potem uaktywnili chip, który przekazywał komórkom moich kości, co mają robić oraz, co ważniejsze, jak cholernie szybko mają się z tym uporać. *Żadnego obijania się. Nieważne, co robicieś w normalnym świecie, teraz jesteś częścią operacji wojskowej, żołnierzu.*

– Kilka dni – powiedział ten, którego znałem, odrywając z mojego ramienia plaster z ładunkiem szybko uwalnianej endorfiny. – Wyczyściliśmy ostre krawędzie, więc zginanie nie powinno wywoływać uszkodzeń w otaczających tkankach. Ale będzie to bolało jak sukinsyn, a także spowolni proces leczenia, więc proszę tego raczej unikać. Dam panu temblak, żeby pan pamiętał.

Kilka dni. Będę miał szczęście, jeśli za kilka dni ta powłoka wciąż będzie oddychać. Przez głowę przeleciało mi wspomnienie lekarki na pokładzie orbitalnego szpitala. *Och, niech to wszyscy diabli.* Wezbrało we mnie poczucie absurdu, uciekając w postaci nieoczekiwanego uśmiechu.

– Dzięki. Przecież nie chcemy spowalniać procesu leczenia, prawda?

Odpowiedział niemrawym uśmiechem, po czym szybko odwrócił wzrok. Temblak przyczepił się ciasno od bicepsa do dolnej części przedramienia, ciepły i kojący.

– Jest pan częścią załogi anatomizera? – zapytałem go.

Rzucił mi dziwne spojrzenie.

– Nie. Tam potrzeba specjalisty od skanów. Ja się tym nie zajmuję.

– Skończyliśmy, Martin – ostro odezwała się kobieta. – Pora iść.

– Tak. – Ale poruszał się wolno, niechętnie zwijając swój połowy zestaw medyczny. Przyglądałem się, jak w przeznaczonych na to kieszonkach znika jego zawartość, zamocowane taśmą

narzędzia chirurgiczne i łaty kolorowych plastrów.

– Hej, Martin. – Kiwnąłem głową w stronę pakietu. – Zostaw mi kilka tych pomarańczowych. Wiesz, chciałbym dzisiaj dłużej pospać.

– Uch...

Kobieta odchrząknęła.

– Martin, nie jesteś...

– Och, zamknij się, do cholery. – Odwrócił się do niej ze wzbudzoną nagle furją. W głowę kopnął mnie instynkt Emisariusza. Sięgnąłem do pakietu za jego plecami. – Nie masz wyższego stopnia, Zeyneb. Podam, co mi się będzie, cholera, podobało, a ty...

– W porządku – powiedziałem cicho. – I tak już je mam.

Oboje odwrócili się, wbijając we mnie spojrzenie. Podniosłem w górę zwisający kawałek taśmy z plastrami, które chwyciłem wolną ręką. Uśmiechnąłem się słabo.

– Nie martwcie się, nie wezmę wszystkich na raz.

– Może powinien pan – powiedziała kobieta – sir.

– Zeyneb, mówiłem ci, żebyś się zamknęła. – Martin pospiesznie zgarnął swój pakiet i ciasno objął go ramionami. – One szybko działają. Niech więc nie bierze pan więcej niż trzy na raz. To pozwoli panu przespać cok... – Przełknął ślinę. – Cokolwiek będzie się działo wokół pana.

– Dzięki.

Zebraли resztę swojego sprzętu i wyszli. Zeyneb spojrzała na mnie jeszcze od wyjścia z plastobańki z wykrzywionymi ustami. Odezwała się zbyt cicho, żebym usłyszał. Martin uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć, i oboje wyszli na zewnątrz. Przyglądałem się, jak wychodzą, po czym spojrzałem na pasek plastrów w zaciśniętej pięści.

– To twoje rozwiązanie? – zapytała Wardani cichym, lodowatym głosem. – Naćpać się i patrzeć, jak wszystko odjeżdża?

– A masz lepszy pomysł?

Odwróciła się.

– Więc zejdź z tej cholernej wieży modłów – wysyczałem – i zachowaj dla siebie tę prawość.

– Moglibyśmy...

– Co moglibyśmy? Mamy inhibitory, większość z nas dzieli zaledwie kilka dni od śmierci z powodu katastrofalnych uszkodzeń komórkowych i nie wiem, jak wy, ale mnie boli ramię. Och tak, a całe to miejsce jest okablowane na obraz i dźwięk do kabiny oficera politycznego, do której, o ile wiem, Carrera ma całkiem swobodny wstęp. – Poczułem lekkie poruszenie siedzącej mi na karku maszyny i uświadomiłem sobie, że mój gniew wygrywa z wyczerpaniem. Stłumiłem go. – Zrobiłem już wszystko, co w mojej mocy, Tanya. Jutro czeka nas cały dzień słuchania jęków umierającego Sutjiadięgo. Radź sobie z tym, jak chcesz. Ja po prostu zamierzam to przespać.

Rzucanie w nią słowami sprawiało mi zacieklą satysfakcję, przypominającą wyciąganie szrapnela z rany we własnym ciele. Ale wciąż widziałem przed oczami komendanta obozu, podłączonego do prądu, ze źrenicą pozostałego ludzkiego oka skaczącą luźno pod powieką.

*Jeśli się położę, prawdopodobnie nigdy już nie wstanę.* Znów usłyszałem te słowa, które wyszeptał głosem umierającego. *Więc po prostu zostaję w fotelu. Niewygoda mnie budzi. Czasami.*

Zacząłem się zastanawiać, jakiej niewygody potrzebowałbym na tym etapie gry. Do jakiego fotela musiałbym się przymocować.

*Gdzieś musi być jakieś wyjście z tej cholernej plaży.*

I zacząłem się domyślać, dlaczego moja dłoń na końcu uszkodzonego ramienia nie była pusta.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Sutjiadi zaczął krzyczeć krótko po tym, jak zrobiło się jasno.

Przez pierwsze kilka sekund wściekła furia, prawie uspokajająca w swej ludzkości, ale to nie trwało długo. W niecałą minutę każdy ludzki element wygotował się do białej kości zwierzęcej agonii. W tej formie rozsmarowywał się po plaży z rzeźnickiego piedestału skowyt za skowytem, wypełniając powietrze jak coś fizycznego, nawiedzającego słuchaczy. Czekaliśmy na to od świtu, ale i tak uderzyło w nas jak podmuch eksplozji. Drgnęliśmy, siedząc na łóżkach, w których nikt nawet nie próbował spać. To wrażenie przyszło po nas wszystkich i dotknęło nas z chorą intymnością. Przesunęło swoimi oślizgłymi łapskami po mojej twarzy, zacisnęło je na klatce piersiowej, wstrzymując oddech, postawiło mi włosy na karku i zmusiło do pojedynczego drgnięcia powieki. Siedzący na karku pająkowaty inhibitor posmakował mojego systemu nerwowego i poruszył się z zainteresowaniem.

*Zablokować to.*

W tle krzyków inny znany mi dźwięk. Niski pomruk podnieconej widowni. Klin przyglądający się sprawiedliwości.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, otworzyłem zaciśnięte pięści. Paski plastrów spadły na koc.

Coś zamigotało.

Zobaczyłem przed sobą wizję martwego Marsjanina tak wyraźnie, że mógł to być obraz z wyświetlacza siatkówkowego.

*To krzesło...*

*... mnie budzi.*

*Wirujące kłębki światła i cieni...*

*Zawodzenie obcego żalu...*

Czułem...

Wizja Marsjan w spiralach krystalicznego bólu, nie martwi...

Potężne, nieludzkie oczy zaglądające w moje z czymś, co...

Otrząsnąłem się z tego.

Ludzki skowyt trwał dalej, falując wzdłuż nerwów, wwiercając się do szpiku. Wardani schowała twarz w dłonie.

*Nie powinienem czuć się tak źle*, argumentowała jakaś odległa część mnie. *To nie pierwszy raz, kiedy...*

Nieludzkie oczy. Nieludzkie wrzaski.

Vongsavath zaczęła łkać.

Poczułem, jak to we mnie wzbiera, gromadzi się w spiralach tak, jak u Marsjan. Jednostka inhibitorowa się napięła.

*Nie, jeszcze nie.*

Emisariuszowska kontrola zimno i metodycznie odrywała ludzkie odruchy dokładnie wtedy, kiedy tego potrzebowałem. Przywitałem ją jak kochankę na słonecznej plaży Wardani – myślę, że się uśmiechałem, gdy nadeszła.

Na zewnątrz, na podeście, Sutjiadi wykrzykiwał żalosne zaprzeczenia, słowa wyszarpywane z niego jak szczypcami.

Sięgnąłem do płytki temblaka na ramieniu i przesunąłem go wolno w stronę nadgarstka. Przez kość pod spodem przebiegły ukłucia, gdy ruch wzburzył znaczniki regeneracyjne.

Sutjiadi zawył, poszarpane szkło przez ścięgna i chrząstki w mojej głowie. Inhibitor...

*Zimno. Zimno.*

Temblak dosunął się do nadgarstka i zawisł luźno. Sięgnąłem do pierwszego z biozmaczników.

Ktoś mógł się nam przyglądać z kabiny Lamonta, ale bardzo w to wątpiłem. Za dużo ciekawszych pozycji w menu. Zresztą, kto pilnuje aresztantów z systemami inhibitorowymi na kręgosłupach? Po co? Można przecież zaufać maszynie i zająć się czymś bardziej interesującym.

Sutjiadi krzyknął.

Chwyciłem znacznik i szarpnąłem z równomiernie rosnącą siłą.

*Nie robisz nic złego, przypomniałem sobie. Tylko tu siedzisz i słuchasz umierającego człowieka, a przez ostatnie kilka lat zrobiłeś dość, żeby się tym nie przejmować. Systemy Emisariusza ogłupiają wszystkie gruczoły adrenaliny i owijają człowieka w warstwę zimnej obojętności.* Na poziomie głębszym niż świadome myśli wierzyłem w to, co do siebie mówiłem. Inhibitor na moim karku poruszył się i z powrotem zapadł w sen.

Drobne rozdarcie i włókno bioregeneracyjne wyszło z ciała.

Za krótkie.

*Cho...*

*Zimno.*

Sutjiadi zawył.

Wybrałem kolejny znacznik i poruszyłem nim ostrożnie z boku na bok. Poczułem, jak pod powierzchnią skóry monofilament rozcina mi ciało do kości, i wiedziałem, że ten też nie wystarczy.

Podniosłem wzrok i zauważyłem, że Deprez mi się przygląda. Jego usta uformowały pytanie. Posłałem mu lekki uśmiech i spróbowałem kolejnego znacznika.

Sutjiadi zawył.

Dopiero czwarty okazał się odpowiedni – poczułem, jak rozcina tkankę wzdłuż długiej krzywizny przez i wokół mojego łokcia. Pojedynczy plaster endorfinowy, który zaaplikowałem sobie wcześniej, utrzymywał ból na poziomie drobnej niewygody, ale napięcie i tak dźwięczało we mnie jak struny. Na nowo chwyciłem się emisariuszowskiego kłamstwa, że *absolutnie nic się tu nie dzieje*, i mocno pociągnąłem.

Włókno wyszło z ciała jak sznur wodorostów z mokrego piasku na plaży, wrywając bruzdę w przedramieniu. Krew trysnęła mi na twarz.

Sutjiadi zawył. Pałący krzyk, przesuwający się po całej skali rozpacz i niewiary w to, co robiła z nim maszyna i co działo się z wypreparowanymi włóknami jego ciała.

– Kovacs, co ty, u diabła... – Wardani zamknęła się, gdy rzuciłem jej ostre spojrzenie i dźgnąłem palcem w stronę karku. Ostrożnie owinałem monofilament wokół lewej dłoni i zawiązałem go za znacznikiem. Potem, nie dając sobie czasu do namysłu, rozsunąłem palce i szybkim ruchem mocno zacisnąłem pętlę.

*Nic się nie dzieje.*

Monofilament rozciął dłoń, jak przez wodę przeszedł przez warstwę tkanki i dotarł do biopłytki interfejsowej. Odległy ból. Z niewidocznego rozcięcia cienką linią wypłynęła krew, zalewając po chwili całą dłoń. Usłyszałem, jak Wardani gwałtownie wciąga powietrze, a potem jęczy, gdy obudził się inhibitor.

*Nie tutaj, powiedziały moje nerwy jednostce przyczajonej na karku. Tutaj nic się nie dzieje.*

Sutjiadi zawył.

Odwiązałem włókno i wyciągnąłem z rany, a potem rozprostowałem uszkodzoną dłoń. Brzegi rany się rozeszły. Wcisnąłem kciuk do szczeliny i...



*NIC się tu nie dzieje. Absolutnie nic.*

... przekręciłem, aż ciało się oderwało.

Zabolało, nawet z pieprzoną endorfiną, ale miałem, co chciałem. Pod przemieszaną masą mięśni i tkanki tłuszczowej wystawała czysta, biała powierzchnia płytki interfejsowej, umazana krwią i drobno poznaczona bioobwodami. Mocniej rozerwałem ranę, aż udało mi się odsłonić większy kawałek płytki. Potem bez większego skupienia niż przy przeciąganiu się, sięgnąłem do tyłu i przycisnąłem zmasakrowaną dłoń do inhibitora.

I zacisnąłem pięść.

Przez jedną chwilę pomyślałem, że wyczerpały się moje zapasy szczęścia. Szczęścia, dzięki któremu udało mi się usunąć monofilament z ciała bez uszkodzania większych naczyń krwionośnych i wydobyć biopłytkę bez rozcinania użytecznych ścięgien. Szczęście, że nikt nie patrzył na ekrany Lamonta. Takie szczęście musi się w którymś momencie wyczerpać, i kiedy inhibitor poruszył się w moim niepewnym uchwycie, poczułem, jak cała chwiejąca się struktura kontroli Emisariusza zaczyna się rozpadać.

*Kurwa.*

Płytką interfejsową – *przywiązana do użytkownika, przy bezpośrednim kontakcie z wrogiem i wobec wszelkich niezakodowanych obwodów* – zadrżała w rozdartej dłoni i coś spięło się za moją głową.

Inhibitor zgiął z krótkim, elektronicznym piskiem.

Stęknąłem, a potem pozwoliłem bólowi przedrzeć się przez zaciśnięte zęby, gdy sięgnąłem nieuszkodzoną dłonią i zacząłem uwalniać się z uchwytu maszyny na moim karku. Ciało zaczynało reagować przytłumionym dygotaniem sięgającym coraz dalej w kończynach i rozpościerającym zdrętwienie na rany.

– Vongsavath – poleciłem, kiedy już uwolniłem się od inhibitora. – Chcę, żebyś tam wyszła i znalazła Tony’ego Loemanako.

– Kogo?

– Tego gościa, który przyszedł po nas wczoraj wieczorem. – Nie musiałem już powstrzymywać emocji, ale przekonałem się, że systemy Emisariusza i tak to robiły. Nawet pomimo niezmierzonej agonii Sutjiadiego wdzierającej się do moich zakończeń nerwowych, miałem wrażenie, że odkryłem w sobie niehumanitarną głębię cierpliwości, którą mogłem ją zrównoważyć. – Nazywa się Loemanako. Prawdopodobnie znajdziesz go blisko stołu tortur. Powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać. Nie, czekaj. Lepiej po prostu przekaż mu, że mówiłem, że go potrzebuję. Dokładnie tymi słowami. I żadnych wyjaśnień. To powinno go tu sprowadzić.

Vongsavath popatrzyła na zasłoniętą klapę plastobańki, która ledwie tłumiała niekontrolowany skowyt Sutjiadiego.

– Tam? – powiedziała.

– Tak. Przykro mi. – W końcu udało mi się oderwać metalowego pajaka. – Sam bym poszedł, ale trudniej byłoby mi to sprzedać. A ty wciąż masz na sobie tę maszynkę.

Przyjrzałem się pancerzowi inhibitora. Z zewnątrz nie było widać żadnych śladów uszkodzeń wywołanych przez systemy przeciwingierencyjne płytki interfejsowej, ale jednostka była bezwładna, a jej kończyny zwisały swobodnie.

Ameli podniosła się niepewnie.

– Dobrze. Pójdę.

– I Vongsavath...

– Tak?

– Wyluzuj się tam. – Podniosłem zamordowany inhibitor. – Spróbuj się niczym nie podniecać.

Chyba znów się uśmiechałem. Vongsavath przyglądała mi się przez chwilę, potem uciekła. Gdy wychodziła, przez chwilę wyraźniej docierały do środka krzyki Sutjiadiego, a potem kłapa opadła z powrotem.

Skupiłem uwagę na leżących obok mnie lekach.

\* \* \*

Loemanako prawie przybiegł. Zanurkował przez kłapę przed Vongsavath – kolejny chwilowy przyptyw agonii Sutjiadiego – i szybkim krokiem podszedł do centralnej wysepki plastobańki, gdzie dygocząc, leżałem zwinięty na końcu łóżka.

– Przepraszam za hałasy – powiedział, nachylając się nade mną. Jedną ręką łagodnie dotknął mojego ramienia. – Poruczniku, czy pan...

Uderzyłem w górę, w odsłonięte gardło.

Tuż nad większymi naczyniami krwionośnymi przykleiłem sobie pięć ukradzionych poprzedniej nocy plastrów, szybko uwalniających tetramet. Gdybym nosił niewarunkowaną powłokę albo miał mniej własnego warunkowania, umierałbym teraz w drgawkach.

Nie śmiałem zaaplikować sobie mniej.

Uderzenie rozerwało tchawicę Loemanako i rozdarło ją w poprzek. Trysnęła krew, grzejąc wierzch mojej dłoni. Zatoczył się do tyłu, wykrzywiając twarz, z oczami jak u dziecka pełnymi bólu i niedowierzania. Zerwałem się z łóżka...

*Coś z wilczych genów płacze we mnie z powodu zdrady...*

... i dobiłem go.

Wywrócił się i leżał nieruchomo.

Stałem nad ciałem, dudniąc we wnętrzu pulsem tetrametu. Stopy poruszały się pode mną niepewnie. Drżenie mięśni twarzy schodziło w dół i ogarniało całe ciało.

Na zewnątrz krzyki Sutjiadiego zamodulowały ku wyższym tonom, w coś nowego i jeszcze gorszego.

– Zdejmijcie z niego strój ruchowy – powiedziałem szorstko.

Żadnej reakcji. Rozejrzałem się dookoła i zdałem sobie sprawę, że mówię do siebie. Deprez i Wardani zwalili się na łóżka, oślepieni. Vongsavath usiłowała wstać, ale nie potrafiła skoordynować kończyn. Zbyt wiele emocji – inhibitory posmakowały ich krwi i odpowiednio zareagowały.

– Cholera.

Przeszedłem się między nimi, zaciskając okaleczoną dłoń na korpusach pajaków, a potem odrywając je, gdy dygotały spazmatycznie. Płynąc na fali tetrametu, prawie nie można było zachowywać się łagodniej. Deprez i Wardani zareagowali na śmierć swoich inhibitorów jękiem. Z Vongsavath poszło trudniej, rzuciła się i przypaliła mi otwartą dłoń. Zwymiotowała i dostała spazmów. Uklęknąłem przy niej i wsadziłem jej palce do gardła, przytrzymując język, aż minął napad epilepsji.

– Dobrze...

Piskliwy skowyt Sutjiadiego.

– ...się czujesz?

Słabo skinęła głową.

– Więc pomóż mi zdjąć ten strój ruchowy. Nie mamy za wiele czasu, zanim ktoś zauważy jego

nieobecność.

Loemanako uzbrojony był we własny pistolet interfejsowy, standardowy blaster i wibronóż, który pożyczył Carrerze poprzedniego wieczoru. Rozciąłem mu ubranie i zabrałem się do stroju ruchowego pod spodem. To był model bojowy – wyłączył się i dał ściągnąć z prędkością pola bitwy. Piętnaście sekund i chwiejna pomoc Vongsavath wystarczyły, żeby wyłączyć silniki grzbietowe i kończyn oraz rozpiąć konstrukcję. Ciało Loemanako leżało z rozdartym gardłem i rozrzuconymi kończynami w zestawie sterczących w górę płyt z giętkostopu, przypominając mi luźno ciała butlogrzbietów, wypatroszone i częściowo wyfiletowane do pieczenia na grillu na plaży Hirata.

– Pomóż mi go z tego wytoczyć...

Za moimi plecami ktoś zacharczał. Obejrzałem się i zobaczyłem Depreza, dźwigającego się do pionu. Zamrugał kilka razy i zdołał skupić na mnie wzrok.

– Kovacs. Czy ty... – Zauważył Loemanako. – To dobrze. A teraz może dla odmiany zechciałbyś nas wtajemniczyć w swoje plany?

Ostatnie pchnięcie wytoczyło wreszcie ciało Loemanako z rozwiniętego stroju ruchowego.

– Plan jest prosty, Luc. Zamierzam zabić Sutjiadiego i wszystkich, którzy tam są. Kiedy ja się tym będę zajmował, chcę, żebyś dostał się do wnętrza *Cnoty* i poszukał załogi albo świadomych przeciwników tego przedstawienia. Prawdopodobnie znajdziesz po kilku z obu kategorii. Masz. – Kopnąłem do niego blaster. – Myślisz, że potrzebujesz czegoś więcej?

Ociężale potrząsnął głową.

– Możesz mi jeszcze dać nóż? I prochy. Gdzie jest ten cholerny tetramet?

– Na moim łóżku, pod kocem. – Położyłem się w stroju Loemanako, nie przejmując się rozbieraniem, i zacząłem zaciągać rozpórki podtrzymujące na klatce piersiowej i żołądku. Nie idealne, ale nie miałem czasu. Loemanako był potężniej zbudowany niż moja powłoka, a czujniki serwowzmacniaczy powinny reagować na ruch i przez ubranie. – Wyjdziemy razem – mówiłem jednocześnie. – Wydaje mi się, że zanim zaczniemy, warto zaryzykować przejście magazynu polistopowego.

– Ja też idę – ponuro stwierdziła Vongsavath.

– Nie, cholera, ty nie. – Zamknąłem ostatnią z blokad ciała i poszukałem kolejnych na ramionach. – Potrzebuję cię w jednym kawałku; jesteś jedyną osobą, która potrafi latać statkiem bojowym. Nie spieraj się, to jedyny sposób, żeby udało nam się stąd wydostać. Ty musisz zostać tutaj i utrzymać się przy życiu. Dajcie nogi.

Krzyki Sutjiadiego przycichły do półprzytomnych jęków. Poczułem dreszcz alarmu wzdłuż kręgosłupa. Jeśli maszyna uzna za stosowne przerwać egzekucję i pozwoli swojej ofierze dojść do siebie i odzyskać przytomność, siedzący w ostatnich rzędach mogą zacząć odchodzić, robiąc sobie przerwę na papierosa. Włączyłem silniki, kiedy Vongsavath wciąż mocowała jeszcze ostatnie zaczepy przy kostce, i bardziej poczułem, niż usłyszałem budzące się do życia serwomotory. Zgiąłem ramiona – dźgnięcie bólu w złamanym łokciu, klucie w zniszczonej dłoni – i poczułem moc.

Szpitalne stroje ruchowe zaprojektowane są i zaprogramowane na przybliżenie normalnej ludzkiej siły i ruchów, osłaniając równocześnie obszary traumy i pilnując, by żadna część ciała nie została nadwreżona ponad limit rekonwalescencyjny. W większości wypadków parametry są wpisane sprzętowo, żeby powstrzymać głupich sukinsynów przed grzebaniem i zmianami właściwych ustawień.

Stroje wojskowe działają trochę inaczej.

Napiąłem ciało, a strój podniósł mnie z ziemi do pionu. Pomyślałem o kopnięciu na wysokość krocza, a strój wystrzelił z prędkością i siłą dostateczną, by przebić stal. Uderzenie w tył lewą ręką,

po łuku. Strój wyprowadził je jak neurochem. Kucnąłem i wyprostowałem się, wiedząc, że na życzenie serwowotory wyrzucą mnie na pięć metrów w górę. Sięgnąłem i z maszynową precyzją podniosłem prawą ręką pistolet interfejsowy Loemanako. Na wyświetlaczu zamigotały cyfry, rozpoznając kody Klina z nieuszkodzonej dłoni. Zapłonął czerwony blask światełka poziomu załadowania, a dzięki swędzeniu w dłoni wiedziałem, co mieścił w sobie magazynek. Standardowe pociski do walki próżniowej. Pociski z płaszczem i rdzeniem plazmowym. Ładunki niszczące.

Na zewnątrz maszyna zdołała w jakiś sposób pobudzić Sutjiadiego z do krzyków. Ochrypłych, bo zdzierał sobie gardło. Głębszy dźwięk. Zadowolona widownia.

– Weź nóż – powiedziałem Deprezowi.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Na zewnątrz był piękny dzień.

Słońce grzało mnie w skórą i błyszczało na kadłubie statku bojowego. Od morza wiała lekka bryza, bieląc grzbiety fal. Sutjiadi wykrzykiwał swoją agonię w bezduszne, błękitne niebo.

Patrząc w dół na brzeg morza, zobaczyłem, że wokół anatomizera ustawili rzędy krzeseł na metalowych ramach. Nad głowami widowni widać było tylko górną część urządzenia. Neurochem podkreślił ostrzejsze widzenie – wrażenie głów i ramion spiętych w fascynacji tym, co działo się na podeście, a potem nagle mignięcie czegoś gładkiego, cienkiego jak błona i zalanego krwią, wyrwanego z ciała Sutjiadiego przez szczypce i schwytanego przez wiatr. Równocześnie z Sutjiadiego wydobył się nowy skowyt. Odwróciłem się.

*Poskładałeś i wyniosłeś Jimmiego de Soto, choć krzyczał i próbował wydrapać sobie własne oczy. Możesz zrobić i to.*

*Gotowość do działania!*

– Barak polistopowy – rzuciłem pod nosem do Depreza i ruszyliśmy plażą w stronę dalszego końca *Cnoty Angin Chandry*, na tyle szybko, by nie pobudzić peryferyjnego widzenia jakiegoś weterana Klina. Nie ma w tym żadnej sztuki, uczą tego człowieka w oddziałach specjalnych – płytki oddech, płynne ruchy. Zminimalizować wszystko, co może wyzwolić zmysły zbliżeniowe wroga. Pół minuty swędzącego wystawienia na widok wystarczyło, a potem masyw kadłuba *Cnoty* osłonił nas przed rzędami siedzeń.

Po drugiej stronie baraku natknęliśmy się na młodziaka w mundurze Klina, opartego o ściankę i wymiotującego wnętrzności na piasek. Kiedy wyłoniliśmy się z za rogu, podniósł zalaną potem, pełną nieszczęścia twarz.

Deprez zabił go nożem.

Kopnąłem drzwi, wywalając je dzięki sile stroju ruchowego, i wskoczyłem do środka, ze wzrokiem nastawionym na równoczesny skan w nagłym mroku.

Pod jedną ze ścian w równym rzędzie stały szafki. Na stole w rogu leżały porzucone hełmy. Stojaki na ścianach oferowały buty i sprzęt do oddychania. Właz do pryszniców był otwarty. Cywilna pracownica Klina spojrzała ku nam, odwracając się od wyświetlacza na kolejnym stole, z twarzą wymęczoną i gniewną.

– Już, cholera, powiedziałam Artoli, że nie jestem... – Zauważyła strój ruchowy i wyteńczyła wzrok, wstając. – Loemanako? Co ty tu...

Nóż przemknął w powietrzu znad mojego ramienia jak czarny ptak. Zatopił się w jej szyi, tuż nad obojczykiem, a ona jęknęła w szoku, zrobiła niepewny krok w moją stronę i padła.

Deprez przeszedł obok mnie, przyklęknął, by sprawdzić efekt rzutu, i wyciągnął nóż. Jego ruchy charakteryzowały się czystą ergonomią, zaprzeczając stanowi wyniszczonych promieniowaniem komórek.

Wstał i zauważył, że mu się przyglądam.

– O co chodzi?

Kiwnąłem głową w stronę zabitej przed chwilą kobiety.

– Nieźle, jak na umierającego, Luc.

Wzruszył ramionami.

– Tetramet. Powłoka Maori. Miewałem gorsze warunki. Położyłem pistolet interfejsowy na stole, podniosłem dwa hełmy i rzuciłem do niego jeden.

– Robiłeś już coś takiego?

– Nie. Nie jestem kosmonautą.

– OK. Załóż to. Trzymaj za zaczepy, nie pobrudź przyłbicy. – Z szybkością tetrametu zebrałem buty i zestawy powietrzne. – Powietrze podłączasz tutaj, o, w ten sposób. Pakiet zapina się na klatce piersiowej.

– Nie potrzebu...

– Wiem, ale w ten sposób będzie szybciej. I dzięki temu będziesz mógł zachować opuszczoną przyłbicę. Może ci to ocalić życie. Teraz stań na podszwach butów, przyczepią się. Jeszcze muszę to wszystko włączyć.

System natrysków przymocowano do ściany tuż obok wjazdu. Włączyłem jedną jednostkę, potem kiwnąłem na Depreza, żeby poszedł za mną, i przeszedłem wjazdem do sekcji pryszniców. Wjazd zamknął się za nami i wyłapałem gęstą woń rozpuszczalnika polistopu tryskającego w zamkniętej przestrzeni. Lampki aktywnej jednostki błysnęły w mrocznym pomieszczeniu na pomarańczowo, rozświetlając tuziny wirujących nitek polistopu tryskających z sitek natrysku i rozlewających się jak olej na skośnej podłodze kabiny.

Wszedłem do środka.

Kiedy robi się to pierwszy raz, towarzyszy temu dość upiorne uczucie, jak tonięcie żywcem w błocie. Polistop łąduje na człowieku cienką warstwą, która szybko narasta do śliskiego mułu. Zbiera się na kopule krzyżujących się siatek na szczycie hełmu, potem ścieka w dół, wokół głowy, kłując w gardło i nozdrza, choć wstrzymuje się oddech. Odpychanie molekularne trzyma go z dala od wizjera przyłbicy, ale hełm zostaje zakryty w dwadzieścia sekund. Reszta ciała, aż do podszew butów, zajmuje jeszcze dodatkowych dziesięć. Lepiej trzymać go z dala od otwartych ran i podrażnionej skóry; mocno piecze, zanim wyschnie.

Auuuuuuuuu!

Jest wodoszczelny, całkowicie hermetyczny i zatrzyma wysokoenergetyczny pocisk jak pancierz statku bojowego. Z większej odległości odbija nawet ogień z sunjetów.

Wszedłem z kabiny i przez polistop namacałem kontrolki zestawu tlenowego. Włączyłem przepływ powietrza. Koło mojej szczęki zasyczał tlen, wypełniając kombinezon i odsuwając go od ciała. Wyłączyłem nadmuchi i sięgnąłem do przełącznika przyłbicy. Przesłona bezgłośnie przesunęła się w górę.

– Teraz ty. Nie zapomnij wstrzymać oddechu.

Gdzieś na zewnątrz wciąż krzyczał Sutjiadi. Mrowiło mnie od tetrametu. Prawie wyciągnąłem Depreza spod prysznic, włączyłem mu nawiew powietrza i przyglądałem się, jak nadyma się jego kombinezon.

– Dobra, gotowe. – Przełączyłem na standardowy pobór powietrza. – Trzymaj przesłone opuszczoną. Jeśli ktoś będzie coś od ciebie chciał, pokaż mu taki sygnał. Nie, kciuk wygięty w ten sposób. To oznacza, że kombinezon ma awarię. Może ci to kupić chwilę na podejście. Daj mi trzy minuty, potem ruszaj. I trzymaj się z dala od rufy.

Głowa w hełmie energicznie pokiwała. Przez przyciemnioną przesłonę nie byłem w stanie zobaczyć twarzy. Zawahałem się moment, potem poklepałem go po ramieniu.

– Spróbuj nie dać się zabić, Luc.

Opuściłem z powrotem przyłbicę hełmu. Potem pozwoliłem prowadzić tetrametowi, po drodze przez przebieralnię zgarnąłem lewą ręką pistolet ze stołu i dałem się ponieść pędowi na zewnątrz, w krzyki.

Jedną z trzech minut zużyłem na przejście szerokim łukiem wokół tyłu baraku polistopowego i szpitalnej plastobańki. Z tej pozycji mogłem dostrzec bramę i minimalną ochronę, pozostawioną tam

przez Carrerę. Tak samo jak poprzedniego wieczoru – pięcioosobowa straż, w tym dwóch w kombinezonach, i jeden włączony żuk. Jedna z postaci w kombinezonie, sądząc po przykurczonej postawie ze skrzyżowanymi nogami, to Kwok. Cóż, nigdy nie była fanką sesji anatomizera. Pozostałych nie potrafiłem zidentyfikować.

Wsparcie maszynowe. Ruchome działo ultrawibracyjne oraz jeszcze jakiś zautomatyzowany sprzęt, ale w tej chwili wszystkie zwrócone w niewłaściwą stronę, pilnując mroku za bramą. Odetchnąłem i ruszyłem przez plażę.

Zauważyli mnie z dwudziestu metrów – wcale się nie ukrywałem. Radośnie pomachałem nad głową pistoletem interfejsowym, a drugą ręką wykonałem gest informujący o awarii. Strasznie bolała mnie poszarpana dziura w lewej dłoni.

Z piętnastu metrów wiedzieli, że coś jest nie tak. Zauważyłem, że Kwok się spina, i użyłem jedynej karty, jaką mogłem jeszcze zagrać. Stuknąłem w przełącznik i w odległości dwunastu metrów stanąłem, czekając, aż podniesie się przyłbica. Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz zdradziła wstrząs, radość, zmieszanie i troskę. Rozluźniła się i podniosła z ziemi.

– Poruczniku?

Zastrzeliłem ją pierwszą. Pojedynczy strzał, przez otwartą przesłonę. Wybuchający rdzeń plazmowy rozwalił hełm na kawałki, gdy biegłem do przodu.

*Gardło piekące rozdartą lojalnością wilczego stada...*

Drugi kombinezon był w ruchu, kiedy go dostałem, pojedynczy skok w stroju ruchowym i wyprowadzone w powietrzu kopnięcie rzuciło go plecami na korpus żuka. Odbił się, jedną ręką sięgając, by opuścić przyłbicę hełmu. Złapałem go za ramię, zmiażdżyłem je w nadgarstku i strzeliłem wprost w krzyczące usta.

Coś potężnie uderzyło mnie w pierś i rzuciło plecami na piach. Zauważyłem, że jedna z postaci bez kombinezonu sunie w moją stronę z wyciągniętym pistoletem. W ułamku sekundy pistolet interfejsowy podrzucił moim ramieniem i odstrzeliłem mu nogi spod ciała. W końcu krzyk mogący rywalizować z Sutjiadim, a czas uciekał. Opuściłem osłonę hełmu i zgąłem nogi. Strój ruchowy poderwał mnie z powrotem do pionu. W miejscu, gdzie leżałem, piach zagotował się od strzału z sunjeta. Obróciłem się i wypuściłem pocisk. Żołnierz z sunjetem zawirował od siły uderzenia, a po chwili z jego pleców wystrzeliły błyszczące czerwienią kawałki kręgosłupa, wyrzucone siłą eksplodującej plazmy.

Ostatni próbował walki w zwarciu, blokując moje ramię z pistoletem i rzucając masę ciała na moje kolano. Byłby to niezły ruch przeciw człowiekowi nieosłoniętemu pancerzem, ale żołnierz nie był dość uważny. Krawędź jego stopy odbiła się od stroju ruchowego i zachwiał się. Okręciłem się, wyprowadzając kopnięcie z całą siłą, jaką dawał mi strój ruchowy.

Złamałem mu kręgosłup.

Coś zadźwięczało o pancerz żuka. Obejrzałem się na plażę i zobaczyłem postacie wysypujące się z prowizorycznego amfiteatru, wyciągające broń. Odruchowo strzeliłem, potem zdołałem przejąć kontrolę nad przytępienymi tetrametem procesami myślowymi i wskoczyłem na żuka.

Systemy obudziły się od jednego uderzenia w przełącznik – światelka i przepływ danych na osłoniętych i solidnie opancerzonych panelach instrumentów. Uruchomiłem silnik, wykonałem ćwierć obrotu w stronę nadciągających posiłków, wybrałem broń i...

*Ryk, ryk, RYK.*

Gdy włączyły się wyrzutnie, na mojej twarzy pojawił się drapieżny uśmiech.

Środki wybuchowe nie na wiele się zdają w walce próżniowej. Nie ma żadnej przyzwoitej fali uderzeniowej, a energia termiczna rozprasza się bardzo szybko. Przeciw ludziom w kombinezonach

konwencjonalne środki wybuchowe są prawie bezużyteczne, a jeśli chodzi o broń jądrową, no cóż, ta trochę mija się z celem podczas walki na małym dystansie. Naprawdę potrzebna jest inteligentniejsza broń.

Pociski inteligentnych szrapneli wycinały podwójne, poskręcane ślady między żołnierzami na plaży. Lokalizatory z mikrosekundową precyzją sterowały trasą lotu tak, by wyrzucić subamunicję w miejscu, gdzie będzie mogła dokonać największych zniszczeń organicznych. Za ledwie widoczną mgiełką odrzutu, którą wzmocnienie wizji mojej przyłbicy oznaczyło na bladoróżowo, każdy strzał uwalniał grad monomolekularnych odłamków przemieszanych z setkami większych kawałków o wielkości zęba, z krawędziami jak brzytwy. Każdy z nich zatopi się w materii organicznej, a potem ją rozerwie.

Ta właśnie broń dwa miesiące temu porwała na strzępy mój 391 pluton. Zabrała oczy Kwok, kończyny Eddiego Munharto i moje ramię.

*Dwa miesiące? Czemu wydaje się, jakby to była wieczność?*

Żołnierze Klina znajdujący się najbliżej każdego z wybuchów dosłownie rozpuszczali się w burzy metalowych odłamków. Pokazało mi to wspomagane neurochemią widzenie, pozwalając mi patrzeć, jak zmieniają się z mężczyzn i kobiet w poszarpane zwłoki tryskające krwią z tysięcy drobnych ran wlotowych i wylotowych, a potem bryzgają chmurami poszarpanej tkanki. Ci nieco dalej po prostu ginęli nagłą śmiercią.

Pociski radośnie przeleciały przez nich wszystkich, uderzyły w rzędy otaczających Sutjiadięgo siedzeń i wybuchły. Cała struktura na chwilę uniosła się w powietrze i pochłonęły ją płomienie. Blask eksplozji rozlał się pomarańczem na kadłubie *Cnoty Angin Chandry*, a na piach i wodę spadł deszcz odłamków. Huk przetoczył się po plaży i wstrząsnął żukiem unoszącym się na polu grawitacyjnym.

Odkryłem, że z moich oczu zaczynają płynąć łzy.

Pchnąłem żuka naprzód nad zbryzganym krwią piaskiem, siedząc wyprostowany w siodełku, i zacząłem szukać, czy ktoś przeżył. W ciszy po wybuchach napęd grawitacyjny wydawał absurdalnie łagodny odgłos, który przypominał głaskanie piórami. Tetramet błyszczał na krawędziach mojej wizji i drżał w ścięgna.

W połowie drogi przez strefę zniszczeń zauważyłem paru rannych z Klina, ukrytych między dwiema plastobańkami. Podryfowałem w ich kierunku. Kobieta była w kiepskim stanie – mogła tylko pluć krwią, ale jej towarzysz, słysząc nadlatującego żuka, podciągnął się do pozycji siedzącej. Zobaczyłem, że szrapnel przeorał mu twarz, oślepiając go. Ramię od mojej strony było urwane, został z niego tylko kikut ze sterczącą, postrzępioną kością.

– Co... – załkał.

Pocisk płaszczowy załatwił go na amen. Leżąca obok niego kobieta przeklęła mnie, wysyłając do jakiegoś piekła, o którym nigdy jeszcze nie słyszałem, i umarła, dusząc się własną krwią. Unosiłem się nad nią przez kilka chwil z opuszczonym pistoletem, po czym wykręciłem żuka, gdy coś trzasnęło płasko w okolicy statku bojowego. Przeskanowałem wybrzeże za improwizowanym stosem pogrzebowym Sutjiadięgo i zauważyłem ruch tuż przy wodzie. Kolejny żołnierz, prawie nietknięty – musiał się wczołgać pod kadłub statku i uniknąć tym samym rzezi. Pistolet w moim ręku znajdował się poniżej poziomu ekranu żuka. Widział tylko kombinezon polistopowy i pojazd Klina. Wstał, ociężale potrząsając głową. Z jego uszu wypływała krew.

– Kto... – wciąż powtarzał. – Kto?

Nie patrząc pod nogi, wszedł na płyciznę, rozglądając się wokół, a potem przenosząc wzrok na mnie. Podniosłem przyłbicę hełmu.



– Porucznik Kovacs? – Prawie krzyczał, nie panując nad głosem z powodu głuchoty. – Kto to zrobił?

– My – odpowiedziałem mu, wiedząc, że nie może mnie usłyszeć. Nie rozumiejąc, przyglądał się moim ustom.

Podniosłem pistolet. Strzał na chwilę przygwoździł go do kadłuba, a potem eksplodując, rozerwał go na strzępy. Opadł do wody i dryfował tam, wypuszczając gęste chmury krwi.

Ruch na *Cnocie*.

Okręciłem się na żuku i zobaczyłem, jak postać w kombinezonie polistopowym zatacza się w wejściu i pada. Strój ruchowy wyskoczył nad ekranem żuka i wylądował w wodzie, utrzymywany w pionie przez żyra. Tuzin susów zaniósł mnie do skurczonej postaci i zauważyłem otwór po strzale z sunjeta, który wypalił z boku żołądek. Rana była potężna.

Przyłbica odsunęła się w górę. Deprez. Dyszał ciężko.

– Carrera – zdołał wycharczeć. – Przedni właz.

Już byłem w ruchu, choć wiedziałem, że jest za późno.

Przedni właz został odstrzelony w trybie awaryjnej ewakuacji. Leżał częściowo zakopany w kraterze piachu, rzucony tam siłą wybuchu ładunków awaryjnych. Ślady stóp w miejscu, gdzie ktoś zeskoczył trzy metry z kadłuba na piach. Odciski prowadziły do baraku polistopów.

*Pieprzą cię, Isaac, pieprzę cię, ty cholerny sukinsynu.*

Wpadłem przez drzwi do baraku z kałasznikowem w pełnej gotowości. Nic. Pusto. Przebieralnia wyglądała tak, jak ją zostawiłem. Trup kobiety, porzucony sprzęt w słabym oświetleniu. Za włazem wciąż działał natrysk. Doszedł do mnie odór polistopu.

Wskoczyłem do środka, sprawdziłem rogi. Nic.

*Cholera.*

*Cóż, logiczne.* Odruchowo wyłączyłem urządzenia natrysku. *Czego się spodziewałeś, że łatwo go będzie zabić?*

Wyszedłem na zewnątrz znaleźć resztę i przekazać im dobrą nowinę.

\* \* \*

Deprez umarł, kiedy mnie nie było.

Gdy do niego wróciłem, zrezygnował już z oddychania i wpatrywał się w błękitne niebo, jakby był nim lekko znudzony. Nie było krwi – z małej odległości sunjet całkowicie ją kauteryzuje, a sądząc po ranie, wyglądało na to, że Carrera dostał go od razu.

Vongsavath i Wardani znalazły go przede mną. Klęczały na piasku w niewielkich odległościach po obu jego stronach. Vongsavath ścisnęła w jednej dłoni zdobyczny blaster, ale widać było, że nie wkłada w to serca. Ledwie podniosła wzrok, gdy padł na nią mój cień. Przechodząc, pogłaskałem ją po ramieniu i przykucnąłem przed panią archeolog.

– Tanya.

Usłyszała to w moim głosie.

– Co teraz?

– Znacznie łatwiej jest wyłączyć bramę, niż ją otworzyć, prawda?

– Tak. – Znieruchomiała i podniosła na mnie wzrok, przyglądając się mojej twarzy. – Istnieje procedura wyłączenia, która nie wymaga kodowania. Skąd wiesz?

Wzruszyłem ramionami, sam się nad tym zastanawiając. Intuicja Emisariusza zazwyczaj nie działa w ten sposób.

– Przypuszczam, że to ma sens. Zawsze trudniej jest otworzyć zamek, niż zatrzasnąć za sobą drzwi.

– Tak – powiedziała znacznie ciszej.

– Ile trzeba czasu na jej wyłączenie?

– Kovacs, cholera, nie wiem. Kilka godzin. Dlaczego?

– Carrera wciąż żyje.

Wykaszała z siebie przerywany śmiech.

– Co?

– Widzisz tę cholernie wielką dziurę w Lucu? – Tetramet buzował we mnie jak prąd, karmiąc rosnący gniew. – Zrobił ją Carrera. Potem wydostał się przez przedni właz awaryjny, umalował się polistopem i do tej pory jest już po drugiej stronie tej pieprzonej bramy. Czy to dla ciebie dostatecznie jasne?

– W takim razie, czemu go tam po prostu nie zostawisz?

– Ponieważ jeśli to zrobię – zmusiłem się do przyciszenia głosu i spróbowałem opanować napływ tetrametu. – Jeśli to zrobię, podleci, kiedy będziesz usiłowała zamknąć bramę i cię zabije. A potem resztę. Prawdę mówiąc, w zależności od tego, jaki sprzęt Loemanako zostawił na pokładzie, może zaraz tu wrócić z taktyczną głowicą jądrową.

– W takim razie, czemu się po prostu zaraz stąd nie zabierzemy? – zapytała Vongsavath. Machnęła ręką na *Cnotę Angin Chandry*. – Tym czymś mogę w kilka minut umieścić nas po drugiej stronie planety. Cholera, w kilka miesięcy pewnie moglibyśmy opuścić ten system.

Spojrzałem na Tanyę Wardani i czekałem. Trwało to kilka chwil, ale w końcu potrząsnęła głową.

– Nie. Musimy zamknąć bramę.

Vongsavath wzniosła ręce ku niebu.

– Po jaką cholere? Kto się...

– Daj spokój, Ameli. – Dzięki strojowi znów się wyprostowałem. – Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby przebicie się przez bloki zabezpieczeń Klina zajęło ci mniej niż dzień. Nawet z moją pomocą. Obawiam się, że będziemy musieli to zrobić metodą siłową.

*A ja będę miał szansę zabić człowieka, który zamordował Luca Depreza.*

Nie byłem pewien, czy przemawiał przeze mnie tetramet, czy po prostu wspomnienia butelki whisky, wspólnie wypitej na pokładzie trawlera, który leżał teraz zatopiony na dnie morza. Chyba nie miało to zbyt wielkiego znaczenia.

Vongsavath westchnęła i podniosła się na nogi.

– Weźmiesz żuka? – zapytała. – Czy może chcesz uprzęż grawitacyjną?

– Będziemy potrzebować obu.

– Tak? – nagle wyglądała na zainteresowaną. – Do czego? Chcesz, żebym...

– Żuki wyposażone są w haubice jądrowe na dwudziestokilatonowe pociski. Zamierzam wystrzelić z nich na drugą stronę i sprawdzić, czy możemy tym usmażyć Carrere. Najprawdopodobniej nie. Przypuszczam, że będzie się czegoś takiego spodziewał i wycofa się dalej. Ale przynajmniej odgonimy go na dostatecznie długo, żeby wysłać przez bramę żuka. Podczas gdy on ściągnie na siebie cały ogień dalekiego zasięgu, ja wskoczę tam z uprzężą. Potem... – wzruszyłem ramionami. – To już uczciwa walka.

– I jak przypuszczam, ja nie...

– Masz całkowitą rację. Jakie to uczucie być niezastąpioną?

– W tej okolicy? – Rozejrzała się po usłanej trupami plaży. – Zupełnie nie na miejscu.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

– Nie możesz tego zrobić – cicho powiedziała Wardani.

Skończyłem ustawiać nos żuka przodem do środka przestrzeni bramy i odwróciłem się w jej stronę. Pole grawitacyjne mruczało do siebie.

– Tanya, widzieliśmy, jak brama wytrzymuje atak broni, której... – usiłowałem znaleźć odpowiednie słowa. – ...której przynajmniej ja nie rozumiem. Naprawdę myślisz, że lekkie łaskotki bombą taktyczną mogą jej zaszkodzić?

– Nie o to mi chodziło. Spójrz na siebie.

Spojrzałem w dół na kontrolki panelu sterowania ogniem.

– Pożyję jeszcze kilka dni.

– Tak, w szpitalnym łóżku. Naprawdę myślisz, że w takim stanie masz jakieś szanse w starciu z Carrerą? W tej chwili na nogach trzyma cię tylko ten strój.

– Bzdury. Zapominasz o tetracie.

– Jasne. Z tego, co widziałam, śmiertelna dawka. Jak długo możesz się na niej utrzymać?

– Wystarczająco. – Rzuciłem spojrzeniem w jej stronę i ruszyłem obok niej w dół plaży. – Co, u diabła, zatrzymuje Vongsavath?

– Kovacs. – Odczekała, aż na nią spojrzę. – Spróbuj bomby. I zostaw to tak. Zamknę bramę.

– Tanya, czemu nie strzeliłaś do mnie z ogłuszacza?

Cisza.

– Tanya?

– Dobra – powiedziała gwałtownie. – *Olej* swoje pieprzone życie po drugiej stronie. Nic mnie to nie obchodzi.

– Nie o to zapytałem.

– Ja... – opuściła wzrok – spanikowałam.

– Bzdury, Tanya. Przez ostatnie parę miesięcy widziałem, jak robisz różne rzeczy, ale paniki nigdy nie zauważyłem. Nie wydaje mi się, żebyś znała znaczenie tego słowa.

– Doprawdy? Myślisz, że tak dobrze mnie znasz?

– Dostatecznie dobrze.

Parsknęła.

– Pieprzeni żołnierze. Pokaż mi żołnierza, a ja ci pokażę popieprzonego, nieuleczalnego romantyka. Nic o mnie nie wiesz, Kovacs. Pieprzyłeś się ze mną, a i to tylko w wirtualu. Myślisz, że mnie poznałeś? Uważasz, że daje ci to prawo do osądzania ludzi?

– Masz na myśli ludzi takich jak Schneider? – Wzruszyłem ramionami. – Sprzedałby nas Carrerze, Tanya. I wiesz o tym, prawda? On spokojnie obejrzałby spektakl z Sutjiadim w roli głównej.

– Och, jesteś z siebie dumny, o to chodzi? – Wskazała na krater w miejscu, gdzie zginął Sutjiadi, i pełne czerwienią, porozrzucane strzępy ciał i tkanki rozciągające się na sporym obszarze. – Myślisz, że coś tu osiągnąłeś, prawda?

– Chciałaś, żebym zginął? Zemsta za Schneidera?

– Nie!

– To nie problem, Tanya. – Znów wzruszyłem ramionami. – Jediną rzeczą, której nie potrafię zrozumieć, jest to, czemu *nie* zginąłem. Czyżbyś chciała to skomentować jako ekspert od Marsjan?

– Nie wiem. Ja... spanikowałam. Już mówiłam. Złapałam ogłuszacz, jak tylko go upuściłeś i sama się nim ogłuszyłam.

– Tak, wiem. Carrera powiedział, że miałaś objawy neuroszoku. Po prostu chciał wiedzieć, dlaczego ja ich nie miałem i dlaczego obudziłem się tak szybko.

– Może – powiedziała, nie patrząc na mnie – nie masz tego, co siedzi wewnątrz pozostałych.

– Ahoj, Kovacs.

Oboje obróciliśmy się z powrotem w stronę plaży.

– Kovacs. Zobacz, co znalazłam.

To Vongsavath, jadąca w żółtym tempie na kolejnym żuku. Przed nią potykając się, szła samotna ludzka postać. Zmrużyłem powieki i podkręciłem ostrość, żeby lepiej widzieć.

– Cholera, nie wierzę.

– Kto to?

Zaszeleściłem suchym śmiechem.

– Typ, który potrafi wszystko przeżyć. Patrz.

Lamont wyglądał nędznie, ale nie gorzej, niż kiedy ostatni raz się spotkaliśmy. Jego żalonna sylwetka była spryskana krwią, ale chyba ani kropla nie należała do niego. Oczy zacisnął do szparek i próbował zwalczyć drżenie ciała. Rozpoznał mnie i jego twarz się rozpromieniła. Podskoczył do przodu, potem zatrzymał się, obrócił i popatrzył na żuka poganiającego go w górę plaży. Vongsavath rzuciła coś do niego i znów ruszył do przodu, aż zatrzymał się kilka metrów ode mnie, przeskakując dziwnie z jednej stopy na drugą.

– Wiedziałem! – Głośno zachichotał. – Wiedziałem, że to zrobisz. Mam twoją kartotekę, wiedziałem, że tak będzie. Słyszałem cię. Słyszałem, ale nic nie powiedziałem.

– Znalazłam go w tunelu wentylacyjnym pod zbrojownią – wyjaśniła Vongsavath, zatrzymując żuka i zsiadając z niego. – Przepraszam. Chwilę trwało, zanim go z stamtąd wykurzyłam.

– Słyszałem cię, widziałem – zamruczał Lamont, pocierając się energicznie po karku. – Mam cię w kartotece, Ko-ko-ko-kokovacs. Wiedziałem, że to zrobisz.

– Doprawdy? – stwierdziłem ponuro.

– Słyszałem cię, widziałem, ale nic nie powiedziałem.

– Cóż, i to był twój błąd. Dobry oficer polityczny zawsze informuje przełożonych o swoich podejrzeniach. Tak głosi regulamin. – Podniosłem leżący na konsoli żuka pistolet interfejsowy i strzeliłem Lamontowi prosto w pierś. Strzał został oddany pospiesznie i pocisk rozdarł go zbyt wysoko, żeby od razu zabić. Ładunek plazmowy wybuchł w piasku pięć metrów za nim. Padł na ziemię z krwią tryskającą z rany wlotowej, po czym skądś zebrał siły, by podnieść się na kolana. Wyszczерzył do mnie zęby.

– Wiedziałem, że to zrobisz – powiedział ochryple i wolno zwałił się na bok. Wyływająca z niego krew wsiąkała w piasek.

– Masz uprząż? – zapytałem Vongsavath.

\* \* \*

Wysłałem Wardani i Vongsavath, żeby na czas odpalenia ładunku schowały się za najbliższą skalną granią. Nie chciałem tracić czasu, jaki potrzebny byłby na zapakowanie ich w polistop. Nawet przy takiej odległości, nawet w mrozie absolutnej próżni po drugiej stronie bramy, wystrzelone przez żuka pociski jądrowe wyemitują dość twardego promieniowania, by ugotować nieosłoniętego człowieka.

Oczywiście, wcześniejsze doświadczenia sugerowały, że brama poradzi sobie z obecnością niebezpiecznego promieniowania mniej więcej w taki sam sposób, jak z bliskością nanobów – nie

pozwole na nie. Ale mogliśmy się w tym punkcie mylić. A zresztą, nie mieliśmy tak naprawdę pojęcia, co Marsjanie uważali za tolerowaną dawkę.

*W takim razie, czemu tu siedzisz, Tak?*

*Kombinezon wchłonie promieniowanie.*

Jednak chodziło o coś więcej niż tylko to. Siedząc na żuku z sunjetem na kolanach i pistoletem interfejsowym wciśniętym za pas, zwracając twarz w stronę bańki gwieździstego nieba, wykreowanej przede mną w świetle przez bramę, czułem narastającą i osiadającą we mnie inercję celu. Fatalizm płynący głębiej niż tetramet, przekonanie, że nie zostało już tak wiele do zrobienia, i jakkolwiek wynik zwieńczy moje wysiłki po drugiej stronie, po prostu będzie musiał mi wystarczyć.

*To musi być agonía, Tak. W końcu musiała cię dopaść. Nawet z metem na poziomie komórkowym każde ciało będzie musiało...*

*A może po prostu przeraża cię myśl o przejściu na drugą stronę i wylądowaniu na Mivesemdi.*

*Możemy przestać gadać i przejść do rzeczy?*

Pocisk haubicy wystrzelił z kadłuba żuka dostatecznie wolno, by dało się go zobaczyć, z cichym odgłosem zasysania przeleciał przez bramę i oddalił się między gwiazdy. Po kilku sekundach pole widzenia zalał biały blask. Przyłbica hełmu automatycznie ściemniała. Czekałem, usadowiony na żuku, aż światło przygaśnie. Jeśli przez bramę przedostało się coś poza spektrum widzialnym, alarm skażeniowy na hełmie kombinezonu nie uznał tego za istotne.

*Miło mieć rację, prawda?*

*Nie, żeby miało to jakieś znaczenie.*

Wcisnąłem przycisk podniesienia przyłbicy i zagwizdałem. Drugi żuk wysunął się zza występu skalnego i wyrwał krótką bruzdę przez piach. Vongsavath osadziła go ze swobodną perfekcją, ustawiając równo z moim. Wardani zsiadła zza niej z bolesną powolnością.

– Tanya, powiedziałaś „dwie godziny”?

Zignorowała mnie. Nie odezwała się od chwili, gdy zastrzeliłem Lamonta.

– No cóż. – Jeszcze raz sprawdziłem bezpiecznik na sunjecie. – Cokolwiek zamierzasz zrobić, zacznij w tej chwili.

– A co, jeśli nie wrócisz na czas? – zaprotestowała Vongsavath.

Wyszczrzyłem się w uśmiechu.

– Nie bądź głupia. Jeśli nie uda mi się załatwić Carrery i wrócić tutaj w dwie godziny, to nie wrócę wcale. Wiesz o tym.

Potem opuściłem przyłbicę i włączyłem silnik żuka.

Przez bramę... Równie łatwe, jak spadanie.

Żołądek podskoczył mi do gardła, gdy na pokład wdarła się nieważkość. Tuż za nią pojawił się lęk przestrzeni.

*No i cholera, znów to samo.*

Carrera pokazał, na co go stać.

Drobne rozbłyski różu na wyświetlaczu przyłbicy, gdy gdzieś nade mną włączył się silnik. Refleks Emisariusza zarejestrował to natychmiast i moje ręce wykręciły żuka w stronę ataku. Zarżały systemy uzbrojenia. Z wyrzutni wyskoczyła para dron przechwytyjących. Wyleciały po łuku, żeby uniknąć ewentualnych systemów obrony bezpośredniej, w jakie mogłyby być wyposażone nadlatujące pociski, potem przeleciały przez moje pole widzenia z przeciwnych stron i wybuchły. Wydawało mi się, że jedna z nich zaczęła schodzić z kursu, trochę wirować w chwili detonacji. Rozbłysło bezgłośnie, białe światło, a przyłbica ograniczyła mi widoczność.

W tej chwili byłem już zbyt zajęty, żeby się przyglądać.

Kopnięciem odepchnąłem się od żuka, blokując równocześnie nagłą falę paniki wywołaną oderwaniem się od podłoża i upadkiem w mrok. Moja lewa ręka popęzła w stronę kontrolki upręży. Zamroziłem ją.

*Jeszcze nie.*

Żuk wykręcił się przede mną i odleciał, z wciąż włączonym silnikiem. Zablokowałem myśli o nieskończonej pustce, w której dryfowałem, i zamiast tego skupiłem się na ledwo wyczuwanej masie statku w górze. W słabym świetle gwiazd strój polistopowy i uprząż napędowa na moich plecach były praktycznie niewidoczne. Brak włączonego napędu oznaczał, że nie dało się mnie wyśledzić niczym, oprócz najczulszych detektorów grawitacyjnych, a byłem gotów się założyć, że Carrera nie miał nic takiego pod ręką. Jak długo nie włączałem napędu, jedynym widocznym celem w okolicy były silniki żuka. Leżąc skurczony w pozbawionej ciężaru ciszy, przyciągnąłem sunjeta za linkę i przycisnąłem kolbę do ramienia. Oddychałem. Próbowałem nie czekać zbyt intensywnie na następny ruch Carrery.

*No chodź, sukinsynu*

*O-o. Spodziewasz się, Tak.*

*Nauczymy was niczego się nie spodziewać. W ten sposób będziecie na to gotowi.*

*Dzięki, Virginia.*

Odpowiednio wyekwipowane komando próżniowe nie musi robić większości z takich bzdur. W hełm kombinezonu ładuje się pełen zestaw systemów detekcyjnych, koordynowanych przez paskudny bojowy komputer osobisty, odporny na przypadłości, do których istoty ludzkie wykazują tendencję w próżni. Trzeba się mu poddać, ale jak w większości działań wojennych w tych czasach, właśnie maszyna wykonuje resztę pracy.

Nie miałem czasu na znalezienie i zainstalowanie sprzętu bojowego Klina, ale z drugiej strony byłem przekonany, że nie zrobił tego również Carrera. W tej sytuacji mógł się posłużyć wyłącznie zakodowanym na Klin sprzętem, który Loemanako i jego zespół zostawili na pokładzie statku, oraz zapewne własnym sunjetem. A wbrew naturze Klina jest porzucanie gdzieś sprzętu – na pewno nie zostało go więc wiele.

*Masz nadzieję.*

Reszta pozostawała na poziomie jeden na jednego, prymitywizm sięgający aż do czasów orbitalnych bohaterów, takich jak Armstrong czy Gagarin. A to, jak przekonywał mnie tetramet, musiało działać na moją korzyść. Pozwoliłem zmysłom Emisariusza pokryć gotowość i poganianie tetrametu i przestałem czekać na cokolwiek.

*Tam.*

Różowy błysk na tle ciemnej krawędzi potężnego kadłuba.

Okręciłem się gładko, na ile pozwalał strój ruchowy, ustawiłem się w linii na punkt startowy i włączyłem napęd na maksimum. Gdzieś przede mną rozbłysło białe światło, zalewając dolną część mego pola widzenia. Pocisk Carrery dotarł do żuka.

Wyłączyłem napęd. W ciszy sunąłem w stronę statku. Czulem, jak pod przyłbicą na moją twarz wypływa grymas satysfakcji. Ślad pędnika zgubi się w wybuchu żuka i Carrera znów nie znajdzie po mnie śladu. Mógł się spodziewać czegoś takiego, ale nie mógł mnie widzieć, a kiedy to się zmieni...

Na powierzchni kadłuba obudził się ogień z sunjeta. Rozproszona wiązka. Przez moment struchlałem w kombinezonie, potem uśmiech z powrotem wypełził mi na twarz, gdy dotarło do mnie, co widzę. Carrera strzelał szeroko, za bardzo z tyłu w stosunku do kąta między miejscem, gdzie zginął żuk, a tym, w którym byłem faktycznie.

*Jeszcze nie. Jeszcze...*

Kolejny strzał z sunjeta, równie odległy. Przyglądałem się, jak wiązka rozbłyska i gaśnie, przygotowując własną broń. Dystans nie przekraczał teraz kilometra. Jeszcze kilka sekund, a maksymalnie skupiona wiązka powinna się przebić przez polistop chroniący Carrerę i wszelką materię organiczną, jaka znajdzie się jej na drodze. Szczęśliwy strzał mógłby zabrać mu głowę albo przetopić się przez serce czy płuca. Mniej szczęśliwy – wywołać uszkodzenia, z którymi będzie sobie musiał radzić, i to w czasie, kiedy będę się zbliżał.

Czułem, jak na myśl o tym moje usta cofają się, odsłaniając zęby.

Przestrzeń wokół mnie wybuchła światłem.

Przez moment tak krótki, że zauważyłem go tylko przy emisariuszowskich prędkościach, pomyślałem, że wróciła załoga marsjańskiego statku, rozwścieczona atomowym wybuchem tak blisko ich barki pogrzebowej i irytującymi ukłuciami walki.

*Flara. Ty głupi durniu, oświetlił cię.*

Włączyłem napęd i zawirowałem, odskakując w bok. Z szańca na kadłubie nad moją głową gonił mnie ogień sunjeta. Przy jednym ze skrętów zdołałem odpowiedzieć ogniem. Trzy krótkie sekundy, ale wiązka Carrery umilkła. Uciekłem w stronę dachu, schowałem się za jakiś element architektury, a potem odwróciłem pęd uprząży i wyhamowałem, żeby spowolnić dryf. W skroniach szumiała mi krew.

*Dostałem go?*

Bliskość kadłuba wymusiła zmianę perspektywy otoczenia. Obco ukształtowana bryła pojazdu nad głową stała się nagle powierzchnią planetoidy, a ja unosiłem się głową w dół pięć metrów nad jej powierzchnią. Sto metrów wyżej równomiernie płonęła flara, rzucając powykręcane cienie na elementy konstrukcji, obok których dryfowałem. Dziwne szczegóły znaczyły powierzchnię wokół mnie, jakieś zawijasy i wystające elementy struktury, jak wzory w płaskorzeźbie, glify na monumentalną skalę.

*Dosta...*

– Nieźle uniki, Kovacs. – Głos Carrery zabrzmiał w moich uszach tak wyraźnie, jakby siedział w hełmie tuż obok mnie. – Nieźle, jak na nie-próżniowca.

Sprawdziłem wyświetlacz hełmu. Radio kombinezonu ustawione było tylko na odbiór. Przekrzywiłem głowę w hełmie i zaświecił się symbol transmisji. Ostrożny ruch ciałem przekręcił mnie równoległe do kadłuba. Równocześnie...

*Niech mówi.*

– Kto ci powiedział, że nie jestem próźniowcem?

– Och tak, zapomniałem. To fiasko z Randallem. Ale kilka takich wyjść raczej nie robi z ciebie weterana próźni. – Usiłował grać dobrotliwe rozbawienie, ale niezbyt dobrze ukrywał brzmiącą w głosie furję. – A to wyjaśnia, dlaczego łatwo będzie cię zabić. Dokładnie to zamierzam zrobić, Kovacs. Planuję rozbić przyłbicę twojego hełmu i patrzeć, jak gotuje ci się twarz.

– W takim razie lepiej się do tego zabierz. – Przeskanowałem bąble na powierzchni kadłuba przede mną, rozglądając się za dobrym punktem snajperskim. – Ponieważ nie planuję zostać tu zbyt długo.

– Ach, wróciłeś tylko podziwiać widoki, co? Czy może zostawiłeś w komorze dokowej holopornos, do którego się przywiązałeś?

– Po prostu pilnuję, żebyś nie wszedł w drogę, kiedy Wardani będzie zamykać bramę. To wszystko.

Krótką przerwą, w której słyszałem, jak oddycha. Skróciłem linkę łączącą mnie z sunjetem, póki



nie uniósł się tuż obok mojego prawego ramienia, potem dotknąłem kontrolek pozycji upręży i zaryzykowałem półsekundowy impuls. Taśmy napięły się, gdy sprzężone silniczki na plecach podniosły mnie delikatnie w górę i do przodu.

– W czym problem, Isaac? Smutno ci?

Wydał jakiś dźwięk z głębi gardła.

– Jesteś kupą gnoju, Kovacs. Sprzedałeś swoich towarzyszy jak jakiś mieszkaniec wież. Zamordowałeś ich dla pieniędzy.

– Myślałem, że o to w tym wszystkim właśnie chodzi, Isaac.

– Nie częstuj mnie tym pieprzonym queilizmem, Kovacs. Nie po tym, jak zabiłeś setki osób personelu Klina. Nie z krwią Tony’ego Loemanako i Kwok Yuen Yee na rękach. Ty jesteś mordercą. Oni byli żołnierzami.

Drobne ukłucie w gardle i oczach na dźwięk nazwisk.

*Stłumić to.*

– Jak na żołnierzy, dość łatwo było ich powyrzynać.

– Pieprz się, Kovacs.

– Wszystko jedno. – Wyciągnąłem ręce w stronę zbliżającej się niewielkiej krzywizny kadłuba, gdzie niewielka bańka formowała zaokrągloną ostrogę po jednej ze stron głównej struktury. Reszta ciała przesunęła się w pozycję natychmiastowego zatrzymania. Na sekundę zlał mnie pot na myśl, że powierzchnia kadłuba może być w jakiś sposób zaminowana na kontakt...

*No cóż. Nie da się przewidzieć wszystkiego.*

... i moje osłonięte rękawicami dłonie spoczęły na zakrzywionej powierzchni, hamując. Sunjet odbił się łagodnie od mojego ramienia. Zaryzykowałem szybkie spojrzenie przez wcięcie w miejscu, gdzie spotykały się dwie bańkowate formy. Schowałem się z powrotem. Pamięć Emisariusza zbudowała obraz i odcisnęła mi go w pamięci.

Miałem przed sobą komorę dokową, umieszczoną na środku trzystumetrowego wgłębienia, otoczonego bańkowanymi uwypukleniami, zniekształconymi przez mniejsze wypukłości, wznoszące się z ich zboczy. Grupa Loemanako musiała tu zostawić lokalizator, ponieważ inaczej Carrera nie miał szans trafić tu tak szybko na kadłubie, którego wymiary wynosiły trzydzieści na sześćdziesiąt kilometrów. Znów spojrzałem na wyświetlacz odbiornika kombinezonu, ale jedynym aktywnym kanałem był ten, na którym odbierałem nieco chrapliwy oddech Carrery. Nic dziwnego; wyłączył nadawanie natychmiast po przygotowaniu zasadzki. Nie miałyby sensu ogłaszanie swojego położenia.

*Więc gdzie, do cholery, jesteś, Isaac? Słyszę twój oddech, więc chcę cię zobaczyć, żebym mógł go powstrzymać.*

Ostrożnie przesunąłem się znów na pozycję z widokiem i zacząłem małymi porcjami skanować krajobraz przede mną. Wszystko, czego mi było trzeba, to jeden nieostrożny ruch. Tylko jeden.

*Ze strony Isaaca Carrery, wielokrotnie odznaczanego dowódcy komanda próżniowego, mającego na koncie pół tysiąca walk w próżni, z których większość wygrał? Nieostrożny ruch? Jasne, Tak. Już go robi.*

– Wiesz, Kovacs, zastanawiam się. – Jego głos znów był spokojny. Zdołał zapanować nad gniewem. Biorąc pod uwagę okoliczności, była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałem. – Jaki interes zaoferował ci Hand?

*Skanuj, szukaj. Niech mówi.*

– Więcej niż ty mi płacisz, Isaac.

– Wydaje mi się, że zapominasz o naszym doskonałym programie opieki zdrowotnej.

– Skąd. Po prostu staram się wyeliminować potrzebę korzystania z niego.

*Skanuj, szukaj.*

– Tak źle ci było, gdy walczyłeś dla Klina? Miałeś cały czas gwarancję ponownego upowłokowienia, a człowiek o twoim szkoleniu raczej nie musiał się obawiać prawdziwej śmierci.

– Troje z mojego zespołu raczej by się z tobą nie zgodziło w tej kwestii, Isaac. To znaczy, gdyby nie byli już naprawdę martwi.

Lekkie wahanie.

– Z twojego zespołu?

Skrzywiłem się.

– Jiang Jianping został zmieniony w papkę przez strzał z ultrawibratorów, nanoby zabrały Hansena i Cruicksha...

– Twój zes...

– Słyszałem, co mówisz, już za pierwszym razem, Isaac.

– Och, przepraszam. Po prostu zastanawiałem się...

– Szkolenie nie ma z tym nic wspólnego i dobrze o tym wiesz. Taką pieprzoną gadkę możesz sprzedać na piosenkę Lapinee. Maszyny i szczęście, to na Sanction IV zabija albo utrzymuje przy życiu.

*Skanuj, szukaj, znajdź tego sukinsyna.*

*I uspokój się.*

– Na Sanction IV i w każdym innym konflikcie – powiedział cicho Carrera. – Ze wszystkich ludzi właśnie ty powinieneś o tym wiedzieć. Taka jest natura tej gry. Jeśli nie chciałeś grać, nie powinieneś być się w to angażować. Klin to nie armia z poboru.

– Isaac, cała pieprzona planeta została powołana na tę wojnę. Nikt już nie ma wyboru. *A jeśli ma się brać w tym udział, to lepiej mieć duże działa.* Na wypadek gdybyś nie poznał, to Quell.

Parsknął.

– Dla mnie brzmi to jak zdrowy rozsądek. Czy ta dziwka nigdy nie powiedziała nic oryginalnego?

*Tam.* Moje naładowane tetrametem nerwy podskoczyły. *Dokładnie tam.*

Wąska krawędź czegoś zbudowanego przez ludzką technikę, surowy kanciasty kontur złapany przez światło flary między krzywiznami u podstawy bulwiastego wyrostka. Brzeg silnika uprząży napędowej. Umieściłem sunjeta na miejscu i wymierzyłem w cel. Przeciągnąłem odpowiedź.

– Ona nie była filozofem, Isaac. Była żołnierzem.

– Terrorystką.

– Spieramy się o terminologię.

Nacisnąłem spust sunjeta. Ogień przeskoczył nieckowatą przestrzeń i rozprysnął się na konturze okrętu. Coś eksplodowało przy kadłubie, rozsypując się na kawałki. Poczułem, jak w kącikach ust pojawia mi się uśmiech.

*Oddech...*

Tylko to mnie ostrzegło. Delikatny szelest oddechu na granicy słyszalności odbiornika kombinezonu. Przytłumiony wysięk.

*Ku...*

Coś niewidocznego rozerwało się i rozbłysło światłem nad moją głową. Coś równie niewidzialnego odbiło się od mojej przyłbicy, pozostawiając po sobie delikatnie błyszczące „V” pękniętego szkła. Poczułem więcej uderzeń w kombinezon.

*Granat!*

Instykt pchnął mnie w prawo. Później zdałem sobie sprawę dlaczego. Była to najkrótsza droga

między pozycją Carrery i moją, pozwalająca ominąć pierścien otaczającej komorę dokową architektury kadłuba. Jedna trzecia koła, a Carrera podkradł się do mnie, równocześnie mówiąc. Ściągnął uprząż, która i tak zdradzałaby jego ruchy, i użył jej jako przynęty, po czym poruszając się od uchwytu do uchwytu, pokonał całą drogę wokół. Wykorzystał gniew, by ukryć stres w głosie podczas tej wędrówki i zamaskować przyspieszony oddech, a w którymś momencie, gdy uznał, że zbliżył się dostatecznie, przyczał się i czekał, aż zdradzę się sunjetem. Mając za sobą doświadczenie dekad walki próżniowej, użył jedynej broni, która go nie zdradziła.

*Doprawdy wzorowa akcja.*

Ruszył na mnie przez dzielące nas pięćdziesiąt metrów przestrzeni jak latająca wersja Semetaira na plaży, wyciągając ramiona. W prawej ręce ścisnął sunjeta, w lewej pestkowca Philipsa. Choć nie miałem żadnego sposobu na wykrycie go, wiedziałem, że drugi, przyspieszony polem elektromagnetycznym granat już leci między nami.

Stuknąłem w klawisz, budząc do życia napęd, i odskoczyłem w tył. Kadłub zniknął z mojego pola widzenia, potem wrócił od góry, gdy oddalałem się spiralą. Odepchnięty podmuchem silników pędnych, granat eksplodował i zasypał przestrzeń odłamkami. Poczułem, jak ich kawałki przebijają się przez moją nogę i stopę; nagle, paraliżujące uderzenia, a potem ścieżki bólu przez ciało, jak tnące biofilamenty. Bębunki uszu strzeliły mi boleśnie od spadku ciśnienia w kombinezonie. W tuzinie innych miejsc polistop wgiął się do środka, ale wytrzymał.

Niezdarnie skoczyłem w górę nad bulwiastą naroślą, stanowiąc w świetle flary doskonały, rozciągnięty cel. Kadłub i łożyska wirowały wokół mnie. Ból w uszach osłabł, gdy polistop zakrzepł, łątając uszkodzenia. Nie miałem czasu, by rozglądać się za Carrerą. Wyrównałem pęd uprzęży, potem jeszcze raz zanurkowałem w stronę rozciągającego się pode mną bańkowego krajobrazu. Wokół mnie błyskał ogień z sunjeta.

Uderzyłem w kadłub pod kątem, wykorzystałem impet do zmiany trajektorii i zauważyłem kolejny strzał rozcinający przestrzeń po lewej. W przelocie dostrzegłem Carrerę, gdy przyłgnął na chwilę do zaokrąglonej powierzchni wyżej na krzywiźnie niecki. Wiedziałem już, jaki będzie jego następny ruch. Odepchnie się z tego miejsca przy pomocy dobrze wymierzonego kopnięcia i polecą po prostej w moim kierunku, strzelając po drodze. W którymś momencie znajdzie się dostatecznie blisko, żeby wybić w kombinezonie dziury, których polistop nie będzie już w stanie zasklepić.

Odbiłem się od kolejnej bańki. Znowu idiotyczne wirowanie. Wciąż nietrafiony ogień z sunjeta, ale coraz bliżej. Znowu wyrównałem pędniki, i spróbowałem kursu, który zabrałby mnie do cienia wystającej bulwy. Wyłączyłem zasilanie. Wyciągnąłem ręce za czymś, czego mógłbym się chwycić, i złapałem jeden ze wzorków reliefowych, które zauważyłem wcześniej. Wyhamowałem ruch i okręciłem się, szukając Carrery.

Żadnego śladu. Wyszedłem z pola widzenia.

Odwróciłem się i popęzłem ostrożnie wokół bulwiastej narośli. Pod ręce podsunął mi się kolejny powykęcany relief, więc sięgnąłem...

*O cholera.*

Trzymałem się skrzydła Marsjanina.

Szok sprawił, że na sekundę zamarłem. To wystarczyło, żebym pomyślał, że to jakiś rodzaj rzeźby na powierzchni kadłuba i bym na jakimś głębszym poziomie zrozumiał, że wcale nie.

Marsjanin zginął krzycząc. Skrzydła miał odrzucone do tyłu, w większej części zatopione w powierzchni kadłuba, skąd wystawały tylko przy zaokrąglonych końcach i w miejscach, gdzie siatka mięśni wyrastała z wykrzywionego kręgosłupa. Głowę odchylił w agonii, z rozwartym dziobem i oczami błyszczącymi jak wypolerowane dzety z ogona komety. Jedna pazurzasta kończyna

wniosła szpony nad powierzchnię kadłuba. Całe ciało pokryte było materiałem statku, z którym walczyło, tonąc w nim.

Przesunąłem spojrzeniem po powierzchni przed sobą, po porzrzucanych bazgrołach wystających szczegółów i w końcu zrozumiałem, na co patrzę. Kadłub wokół niecki otaczającej komorę dokową – cały, dosłownie cała bąblowata powierzchnia – stanowił masowy grób, pajęczynową pułapkę dla tysięcy Marsjan, którzy zginęli, uwięzieni w substancji, która wylała, zagotowała się i wytrysnęła, kiedy...

*Kiedy co?*

Rozmiary katastrofy przekraczały wszystko, co potrafiłem sobie wyobrazić. Nie miałem pojęcia, jaka broń mogła dokonać czegoś takiego, jakie zdarzenia musiały się rozegrać w konflikcie między dwiema cywilizacjami tak bardzo wyprzedzającymi ludzkie imperium zbudowane na zagarniętych szczątkach, jak my wyprzedzaliśmy mewy, których ciała zaśmiecały wodę wokół Sauberville. Nie miałem pojęcia, jak mogło do tego dojść. Widziałem tylko wyniki. Widziałem tylko trupy.

*Nic nigdy się nie zmienia. Sto pięćdziesiąt lat świetlnych od domu, a wszędzie wciąż powtarza się to samo łajno.*

*To musi być jakaś pieprzona kosmiczna stała.*

Granat odbił się od innego zatopionego w kadłubie Marsjanina dziesięć metrów dalej, zawirował i wybuchł. Odtoczyłem się od podmuchu. Krótki deszcz odłamków w plecy i jedno przebicie pod ramieniem. Spadek ciśnienia jak nóż wbijający się w bębunki uszu. Krzyknąłem.

*Pieprzyć to.*

Odpaliłem silniczki i wystrzeliłem z za bulwiastej narośli, nie wiedząc, co zamierzam zrobić, zanim tego faktycznie nie zrobiłem. Sunąca w przestrzeni sylwetka Carrery pojawiła się nie dalej niż pięćdziesiąt metrów ode mnie. Zobaczyłem, że strzela z sunjeta, odwróciłem się plecami i zanurkowałem wprost w paszczę doku. Gonił mnie jego głos, prawie rozbawiony.

– Gdzież to się wybierasz, Kovacs?

Coś wybuchło na moich plecach i przestał działać silnik napędowy. Poczułem palące gorąco. Carrera i jego cholerne umiejętności walki próżniowej. Jednak przy uzyskanej już prędkości i, no cóż, może odrobinie szczęścia z krainy duchów, wyłudzonej od pragnącego zemsty ducha Handa – *w końcu cię zastrzelił, Matt, a ty przekląłeś sukinsyna* – żeby przekupić rękę losu...

Wbiłem się w bariery atmosferyczne komory dokowej pod ostrym kątem, odkryłem pod sobą grawitację i zwałem się na jedną ze ścian z tłustych węży. Odbiłem się, nabrawszy nagle wagi, i rozpląsałem na pokładzie, zostawiając za sobą smużki dymu i płomieni ze zniszczonych silników na plecach.

Przez dłuższą chwilę leżałem nieruchomo w jaskiniowej ciszy komory.

W końcu usłyszałem dochodzący skądś w moim hełmie dziwny, bulgotliwy dźwięk. Upłynęło kilka sekund, zanim uświadomiłem sobie, że się śmieję.

*Wstawaj, Takeshi.*

*Och, daj spokój...*

*Tutaj może cię zabić ostatecznie, Tak. WSTAWAJ.*

Wyciągnąłem ręce i spróbowałem się podciągnąć. Złe ramię, złamany staw łokciowy wygiął się wewnątrz kombinezonu. Przez nadwerżone mięśnie i ścięgna przeleciał ból. Przetoczyłem się, z trudem łapiąc powietrze, i spróbowałem z drugą ręką. Lepiej. Strój ruchowy zarzęził nieco, coś zdecydowanie nie działało tak jak powinno, ale postawił mnie na nogi. Teraz pozbyć się szczątków na plecach. Zwalnianie awaryjne wciąż działało. Pozbyłem się obciążenia, ale sunjet zaplątał się w uprzęży i nie chciał się wyplątać. Przyglądałem mu się przez długą, bezmyślną chwilę, po czym

odczepiłem linkę zabezpieczającą z kombinezonu i uwolniłem ją z drugiej strony.

– Dobr... vacs. – Głos Carrery, stłumiony i zniekształcony przez interferencje struktury wewnętrznej. – Jeśli... te... ja... temu.

Dalej mnie ścigał.

Sunjet ugrzązł.

*Zostaw gol*

*I walczyć z nim pistoletem? W polistopie?*

*Broń jest tylko przedłużeniem ramienia* – krzyknęła rozpaczliwie w mojej głowie Virginia Viadura. – *To wy jesteście zabójcami i niszczycielami. Jesteś całością, z nią czy bez niej. Zostaw to!*

*Dobra, Virginia. Zachichotałem cicho. Jak każesz.*

Rzuciłem się w stronę ozdobionego wysokim nadprożem wyjścia z komory, wyciągając z kieszeni pistolet interfejsowy. Sprzęt Klina ustawiony był w skrzyniach na podłodze doku. Boja lokacyjna, bezceremonialnie wyrwiona, wciąż w gotowości, zapewne tak, jak zostawił ją Carrera. Pobliska otwarta skrzynka z wystającymi elementami rozmontowanego granatnika Philipsa. Wpisany w scenę pośpiech, ale żołnierski. Kontrolowana szybkość. Kompetencja walki. Carrera był w swoim żywiole.

*Wynoś się stąd w cholere, Tak.*

Do następnej komory. Marsjańskie maszyny poruszyły się, najeżyły, a potem niechętnie odsunęły, mamrocząc coś do siebie. Przebiegłem między nimi, podążając za wymalowanymi strzałkami. *Nie, nie biegnij za cholernymi strzałkami.* Skręciłem w lewo przy pierwszej nadarżającej się okazji i pobiegłem korytarzem, w który nie zapuszczała się nasza ekspedycja. Maszyna potoczyła się kilka kroków za mną, potem zawróciła.

Wydało mi się, że słyszę odgłosy ruchu gdzieś za sobą i w górze. Szybkie spojrzenie w górę, w przestrzeń nad głową. Niedorzeczność.

*Weź się w garść, Tak. To tetramet. Wziąłeś za dużo i teraz masz halucynacje.*

Więcej komór, krzywizny przechodzące jedne w drugie i zawsze przestrzeń w górze. Zabroniłem sobie patrzeć w tę stronę. Ból z odłamków granatów w nodze i ramieniu zaczynał przesiąkać przez chemiczną zbroję tetrametu, budząc echa w zrujnowanej lewej dłoni i rozwalonym stawie prawego łokcia. Szaleńcza energia, którą czułem wcześniej, zdegradowała się do luźnego wrażenia szybkości i wibrujących napadów niewytłumaczalnego rozbawienia, które groziły wybuchami chichotu.

W takim stanie dotarłem do ciasnego, zamkniętego pomieszczenia, odwróciłem się i znalazłem twarzą w twarz z moim ostatnim Marsjaninem.

Tym razem zmumifikowane membrany skrzydeł owinięte były wokół szkieletowej postaci, która siedziała przykucnięta na niskiej grzędzie. Długa czaszka opadła do przodu na klatkę piersiową, ukrywając narząd świetlny. Oczy były zamknięte.

Uniósł dziób i spojrzał na mnie.

*Nie, cholera, nic takiego nie zrobił.*

Potrząsałem głową, podszedłem bliżej ciała i wbiłem w nie wzrok. Skądś nadeszła ochota, by pogłaskać długi grzebień kostny z tyłu czaszki.

– Posiedzę tu sobie tylko przez chwilę – obiecałem, tłumiąc kolejny chichot. – Cichutko. Tylko kilka godzin, to wszystko, czego mi trzeba.

Używając sprawnego ramienia, opuściłem się na podłogę i oparłem o skośną ścianę za nami, ściskając pistolet interfejsowy jak amulet. Moje ciało składało się z ciepłego kłębka skręconych,

luźnych lin wewnątrz klatki stroju ruchowego, słabo dygoczącym zbiorem miękkiej tkanki, której zabrakło woli ożywiania egzoszkieletu. Przesunąłem spojrzeniem ku szczytowi komory i przez chwilę wydawało mi się, że widzę tam wymachujące blade skrzydła, próbujące uciec więżącej je krzywiznie. W którymś momencie uświadomiłem sobie jednak, że mam je w głowie, ponieważ poczułem, jak ich cienka niczym papier powierzchnia obija się o wewnętrzną stronę mojej czaszki, trąc delikatnie, lecz boleśnie wewnętrzne strony gałek ocznych i stopniowo zasłaniając widziany obraz, jasno-ciemno, jasno-ciemno, jasno-ciemno, ciemno... I cienki, narastający jęk, jak żal.

\* \* \*

– Obudź się, Kovacs.

Łagodny głos i coś szturchającego mnie w dłoń. Czułem, jakby moje oczy były całkowicie zaklejone. Uniosłem rękę, ale dłoń odbiła się od gładkiej krzywizny przyłbicy.

– Obudź się. – Już nie tak łagodnie. Wraz ze zmianą tonu przez moje nerwy przebiegła lekka fala adrenaliny. Zamrugalem gwałtownie i skupilem wzrok. Marsjanin wciąż tam był – *coś takiego, Tak* – ale zasłaniała mi go częściowo postać w kombinezonie polistopowym, stojąca w bezpiecznej odległości trzech lub czterech metrów, z sunjetem pochylonym pod ostrożnym kątem.

Szturchanie w dłoń się powtórzyło. Przekręciłem hełm i spojrzałem w dół. Jedna z marsjańskich maszyn dotykała mojej dłoni zestawem delikatnie wyglądających receptorów. Odepchnąłem ją, a ona cofnęła się o kilka kroków, po czym niespeszona, wróciła do wężania.

Carrera się roześmiał. W głośniczkach hełmu zabrzmiało to zbyt głośno. Poczułem się, jakby trzepoczące skrzydła w jakiś sposób opróżniły moją głowę, tak że cała czaszka była teraz równie delikatna, jak zmumifikowane szczątki, z którymi dzieliłem komorę.

– Tak jest. Ta pieprzona maszyna przyprowadziła mnie do ciebie, wyobrażasz to sobie? Naprawdę pomocny mały rupieć.

Wtedy ja też się roześmiałem. W tamtej chwili zdawało mi się to jedynym stosownym zachowaniem. Dowódca Klina do mnie dołączył. Podniósł lewą ręką pistolet interfejsowy i roześmiał się jeszcze głośniejsze.

– Zamierzałeś mnie zabić przy pomocy tego?

– Wątpię.

Obaj przestaliśmy się śmiać. Jego przyłbica odjechała w górę i spojrzał na mnie z twarzą, która wyglądała na nieco wymizerowaną. Przypuszczałem, że nawet ten krótki czas, jaki spędził w marsjańskim statku, idąc moim tropem, nie był dla niego zbyt przyjemny.

Napiąłem dłoń, raz, w nadziei, że pistolet Loemanako nie był zakodowany tylko na niego, że może każda płytką interfejsowa w dłoni będzie w stanie go przyciągnąć. Carrera zauważył mój ruch i potrząsnął głową. Rzucił mi broń na kolana.

– I tak jest rozładowany. Możesz go sobie trzymać, jeśli chcesz, niektórym łatwiej odejść w ten sposób. Chyba im to pomaga. Przypuszczam, że to substytut, może matczynej dłoni, a może własnego fiuta. Zechcesz wstać przed śmiercią?

– Nie – powiedziałem cicho.

– Otworzysz hełm?

– Po co?

– Po prostu daję ci taką możliwość.

– Isaac... – odchrząknąłem, co zabrzmiało, jakbym przepychał przez gardło kłęb stalowych drutów. Słowa też drapały. Nagle wydały mi się szalenie ważne. – Isaac, przykro mi.

*Dopiero ci będzie.*

Przeleciało to przeze mnie jak łyzy za oczami. Jak wilcze łyzy i skowyczący ból straty, która ścisnęła mi gardło z powodu śmierci Kwok i Loemanako.

– Dobrze – powiedział po prostu. – Ale trochę za późno:

– Isaac, widziałeś, co jest za tobą?

– Tak. Robi wrażenie, ale jest martwy. I nie widziałem żadnych duchów. – Czekał. – Masz jeszcze coś do powiedzenia?

Potrząsnąłem głową. Podniósł sunjeta.

– To za to, że zamordowałeś moich ludzi – wyjaśnił.

– Patrz na to cholerstwo – zawołałem, wkładając w głos siłę emisariuszowskiej intonacji, i jego głowa obróciła się na ułamek sekundy. Zerwałem się z podłogi, zginając strój ruchowy, rzuciłem pistolet w otwór podniesionej przyłbicy hełmu i skoczyłem na niego.

Mizerne skrawki szczęścia, dół po tetramecie i słabnąca kontrola nad odruchami Emisariusza. To wszystko, co mi zostało, więc z zaciśniętymi zębami pchnąłem je w dzielącą nas przestrzeń. Kiedy zaskwierczał sunjet, trafił w miejsce, gdzie już mnie nie było. Może zadziałało ostrzeżenie, odwracające jego uwagę, może rzucony w stronę twarzy pistolet, a może po prostu wystarczyło głębokie przekonanie, że już po wszystkim.

Kiedy w niego uderzyłem, zatoczył się do tyłu, a mnie udało się uwięzić sunjeta między naszymi ciałami. Przesunął się w bojowy blok judo, który nieopancerzonego człowieka zrzuciłby z jego biodra. Utrzymałem się dzięki sile stroju Loemanako. Kolejne dwa niepewne kroki i obaj uderzyliśmy w zmumifikowane ciało Marsjanina. Przechylił się i spadł. Wturlaliśmy się w jego ciało jak klauni, nieporadnie usiłując podnieść się na nogi. Ciało się rozpadło. W powietrze wokół nas wystrzeliła chmura bladopomarańczowego pyłu.

*Przykro mi.*

*Przykro ci będzie, jeśli skóra się rozpadnie.*

Z otwartym hełmem i ciężko dysząc, Carrera musiał wciągnąć pełne płuca tego świństwa. Jeszcze więcej osiadło w jego oczach i na odsłoniętej skórze twarzy.

Pierwszy krzyk, gdy poczuł, jak go to zjada.

Potem wrzaski.

Zatoczył się, odsuwając ode mnie. Puścił sunjeta na podłogę i sięgnął rękami do twarzy. Drapanie prawdopodobnie tylko wprowadziło pył głębiej w rozpuszczaną tkankę. Wypłynął z niego skowyt z głębi gardła, a spomiędzy palców i nad dłońmi zaczęła przeciekać bladoczerwona piana. W tej chwili pył musiał przegryźć się przez część jego strun głosowych, ponieważ krzyki przekształciły się w dźwięk przypominający odgłosy psującego się ścieku.

Upadł na podłogę, trzymając kurczowo dłonie przy twarzy, jakby mógł w jakiś sposób utrzymać ją na miejscu, wyrzucając z płuc gęste strzępy krwi i tkanki ze zniszczonych płuc. Do czasu gdy udało mi się podnieść sunjeta i wrócić, tonął we własnej krwi. Pod polistopem jego ciało dygotało od szoku.

*Przykro mi.*

Przyłożyłem lufę broni do jego dłoni, osłaniających rozpuszczającą się twarz, i nacisnąłem spust.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Kiedy skończyłem opowieść, Roespinoedji klasnął w dłonie, a ten gest sprawił, że wyglądał prawie jak dziecko, którym nie był.

– To cudowne – powiedział z zachwytem. – Prawie jak legenda.

– Daj spokój – rzuciłem.

– Naprawdę. Jesteśmy tak młodą kulturą. Ledwie stulecie planetarnej historii. Potrzebujemy takich rzeczy.

– Cóż. – Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po stojącą na stole butelkę. W złamanym stawie łokciowym zaskwierczał przytłumiony ból. – Możesz dostać prawa do tej historii. Idź i sprzedaj to grupie Lapinee. Może zrobią z tego cholerstwa operę konstruktową.

– Możesz się śmiać. – W oczach Roespinoedjiego błyskały ogniki przedsiębiorczości. – Ale rynek chłonie takie opowieści. Praktycznie wszystko, co tu mamy, importowane jest z Latimera, a jak długo można żyć na cudzych smach?

– Kemp sobie radzi. – Znów nalałem sobie pełną szklaneczkę whisky.

– Och, to polityka, Takeshi. To nie to samo. Przemieszane sentymenty neoquellistowskie i staroświecki korni... – strzelił palcami – Och, jesteś ze Świata Harlana. Jak się to coś nazywa?

– Komunitarianizm.

– O, właśnie. – Mądrze potrząsnął głową. – W przeciwieństwie do dobrej opowieści heroicznej, to nie wytrzyma próby czasu. Planowa produkcja i równość społeczna jak z jakiegoś strasznie nędznego produktu szkolnego. Kto się na to nabierze, na miłość Samedi? Gdzie aromat? Gdzie krew i adrenalina?

Napiłem się whisky i uciekłem wzrokiem nad dachy magazynów Odkrywki 27 do miejsca, gdzie w świetle zachodu słońca wznosiły się kanciaste stawy czoła odkrywki. Ostatnie plotki, odebrane z częściowo zagłuszanych i na wpół zakodowanych częstotliwości, twierdziły, że na równikowym zachodzie wojna nabiera tempa. Ruszyło przeciwuderzenie Kempa, którego Carrera nie brał pod uwagę.

Szkoda, że nie mieli już w okolicy Carrery, który by za nich myślał.

Zadrzałem lekko, gdy whisky spływała mi gardłem. Ugryzła dostatecznie mocno, ale uprzejmie. To nie były szczyny z Sauberville, które wypłem z Luciem Deprezem subiektywny eon temu, czyli przed tygodniem. Jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak Roespinoedji traktował poważnie te historie.

– W tej chwili leje się tam całkiem sporo krwi – zauważyłem.

– Tak, w *tej chwili* tak. Ale to rewolucja. Pomyśl, co będzie potem. Przypuśćmy, że Kemp wygra tę śmieszłą wojnę i wprowadzi swój system głosowania. Jak myślisz, co będzie potem? Powiem ci.

– Tak myślałem.

– W niecały rok zaczniesz podpisywać te same kontrakty z Kartelem dla tej samej dynamiki wzrostu dobrobytu, a jeśli nie, jego ludzie, hmm... wygłoszą go z Indigo City i zrobią to za niego.

– Nie wygląda mi na faceta, który mógłby odejść bez rozgłosu.

– Tak, na tym polega problem z głosowaniem – stwierdził rozsądnie Roespinoedji. – Czy ty go właściwie kiedyś spotkałeś?

– Kempa? Tak, kilka razy.

*Jest jak Isaac. Jak Hand. Jak oni wszyscy. Ta sama impulsywność, to samo cholerne przekonanie, że ma rację. Po prostu inny sen, co do którego się nie myli.*



– Jest wysoki – stwierdziłem.

– Ach. No cóż, powinien.

Odwróciłem się, by spojrzeć na siedzącego obok mnie chłopca.

– Nie martwi cię to, Djoko? Co się stanie, jeśli kempieści wywalczą sobie drogę tak daleko?

Wyszczrzył zęby.

– Wątpię, żeby ich biegli polityczni bardzo różnili się od tych z Kartelu. Wszyscy mają pragnienia. Zresztą, z tym, co mi dałeś, myślę, że mam dość kapitału przetargowego, żeby spotkać się z samym Szpiczastym Kapeluszem i odkupić moją ciężko obciążoną duszę. – Jego wzrok się wyostriżył. – Przy założeniu, że dezaktywowaliśmy wszystkie twoje pakiety zabezpieczające na wypadek śmierci.

– Odpręż się. Mówiłem ci, że zainstalowałem ich tylko pięć. Dość, żeby Mandrake mogła kilka znaleźć, jeśli jej spece trochę poszukają. To wszystko, na co mieliśmy czas.

– Hmm. – Roespinoedji okręcił resztkę whisky wokół dna swojej szklaneczki. Rozważny ton w tak młodym głosie brzmiał absurdalnie. – Osobiście uważam, że szaleństwem było ryzykować z tak małą ich liczbą. Co by było, gdyby Mandrake znalazła wszystkie?

Wzruszyłem ramionami.

– No i co? Hand nie odważyłby się zaryzykować pewności. Za duża stawka. Bezpieczniej było zapłacić. To podstawa dobrego blefu.

– Tak. No cóż, to ty jesteś Emisariuszem. – Wskazał na leżącą na stole między nami wąską sztabkę wielkości dłoni, zawierającą wynalazek Klina. – Jesteś pewien, że Mandrake nie zdoła rozpoznać tych transmisji?

– Zaufaj mi. – Uśmiechnąłem się na te słowa. – Najwyższej klasy wojskowy system maskujący. Bez takiego małego pudełka transmisji nie da się odróżnić od szumów. Jesteś dumnym i jedynym właścicielem marsjańskiego statku międzygwiazdowego. To ściśle limitowana edycja.

Roespinoedji schował deszyfrator i uniósł dłonie.

– Dobra. Wystarczy. Interes ubity. Nie wal mnie już nim po głowie. Dobry sprzedawca wie, kiedy przestać się targować.

– Ale lepiej, żebyś nie próbował mnie wyruchać – powiedziałem uprzejmie.

– Jestem człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa, Takeshi. Najpóźniej pojutrze. Najlepsze, co można kupić. – Westchnął. – Przynajmniej w Landfall.

– I technik, żeby dobrze to zamontować. Prawdziwy technik, nie jakiś szkolony w wirtualu podrzędny partacz.

– Dziwne podejście, jak na kogoś, kto zamierza spędzić w wirtualu najbliższe dziesięciolecie. Wiesz, sam mam wirtualny dyplom. Administracja biznesowa. Trzy tuziny doświadczonych wirtualnie historii spraw. Znacznie lepsze niż w świecie rzeczywistym.

– Figura retoryczna. Powtarzam, dobry technik. Nie próbuj na mnie oszczędzać.

– Cóż, jeśli mi nie ufasz – zaczął wzburzony – czemu nie poprosisz o tę przysługę swojej koleżanki pilota?

– Będzie się przyglądać. A wie dość, żeby rozpoznać fuszerkę.

– Jestem pewien, że tak. Wydaje się bardzo kompetentna.

Poczułem, jak moje usta wykrzywają się na to niedopowiedzenie. Nieznane przyrządy, zakodowane przez Klin blokady, które próbowały uaktywnić się przy każdym manewrze i śmiertelne zatrucie promieniowaniem. Ameli Vongsavath poradziła sobie z tym wszystkim z zaciśniętymi zębami i klnąc tylko chwilami, przewożąc transporter z Dangrek do Odkrywki 27 w nieco ponad piętnaście minut.

– O tak. Bardzo.

– Wiesz – Roespinoedji zachichotał. – Kiedy wczoraj wieczorem zobaczyłem światła Klina na tym potworze, myślałem, że mój czas się skończył. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że można porwać ich transporter.

Znów zadrzałem.

– Nie było łatwo.

Przez chwilę siedzieliśmy przy stoliku, patrząc, jak światło słońca przesuwają się po podporach koparki odkrywkowej. Na ulicy obok magazynu Roespinoedjiego dzieci bawiły się w jakąś grę, która wiązała się z dużą ilością biegania i krzyków. Ich śmiech docierał do patio na dachu jak dym z cudzego grilla na plaży.

– Nazwałś jakoś ten statek? – Zapytał w końcu Roespinoedji.

– Nie, nie bardzo mieliśmy czas na takie rzeczy.

– Na to wygląda. Cóż, teraz już masz. Jakies pomysły?

Wzruszyłem ramionami.

– *Wardani?*

– Ach. – Spojrzał na mnie przebiegle. – Chciałaby tego?

Podniosłem swoją szklaneczkę i ją osuszyłem.

– A skąd mam, cholera, wiedzieć?

\* \* \*

Prawie się do mnie nie odezwała od czasu, gdy przepelźłem z powrotem przez bramę. Zabicie Lamonta umieściło mnie chyba ostatecznie poza jakąś granicą. To albo fakt, że mechanicznie krążąc w stroju ruchowym, zadałem prawdziwą śmierć ponad setce personelu Klina, których ciała wciąż zaśmiecają plażę. Wyłączyła bramę z twarzą wyrażającą mniej uczuć niż powłoka z odrzutu z Synthety, jak android poszła za mną i Vongsavath do wnętrza *Cnoty Angin Chandry*, a kiedy dotarliśmy do siedziby Roespinoedjiego, zamknęła się w swoim pokoju i już z niego nie wyszła.

Nie czułem się w nastroju, żeby coś z tym robić. Byłem zbyt zmęczony na rozmowę, którą musielibyśmy przeprowadzić, i nie do końca nawet przekonany, że byłaby konieczna, a poza tym, jak sobie powiedziałem, zanim załatwimy interes z Roespinoedjim, miałem na głowie inne rzeczy.

Interes z Roespinoedjim został załatwiony.

Następnego ranka obudziły mnie dość późno odgłosy grupy techników, którzy przybyli z Landfall w kiepsko pilotowanym samochodzie powietrznym. Wstałem i wyszedłem im na spotkanie, czując lekkiego kaca po whisky i otrzymanym od Roespinoedjiego potężnym koktajlu z czarnorynkowych środków przeciw chorobie popromiennej i przeciwbólowych. Młodzi, elegancy i prawdopodobnie bardzo dobrzy w swoim fachu, od pierwszego wejrzenia wzbudzili we mnie niechęć. Pod czujnym okiem Roespinoedjiego przeszliśmy przez pierwsze powitalne starcie, ale najwyraźniej traciłem swoją zdolność wzbudzania lęku. Ich zachowanie nie odbiegło od standardowego: „Hmm, coś jest nie tak z tym chorym gościem w kombinezonie”. W końcu poddałem się i poprowadziłem ich do transportera, gdzie Vongsavath czekała już przy włączonym wejściowym z założonymi rękami, ponuro zadowolona ze swojego statku. Na jej widok technicy natychmiast odrzucili dumę.

– Jest OK – powiedziała do mnie, kiedy próbowałem wejść za nimi do środka. – Może poszedłbyś i pogadał z Tanya? Wydaje mi się, że ma ci coś do powiedzenia.

– Mnie?

Niecierpliwie wzruszyła ramionami.

– Komuś, a wygląda na to, że zostałeś wybrany. Ze mną nie chce rozmawiać.

– Nadal siedzi w swojej kabinie?

– Wyszła na zewnątrz. – Vongsavath machnęła ręką w stronę garstki budynków, stanowiących centrum miasta Odkrywki 27. – Idź. Przypilnuję tych facetów.

Znalazłem ją pół godziny później, stojącą na ulicy w górnej części miasta i wpatrującą się w fasadę przed sobą. W ścianie uwięziono tam kawałek marsjańskiej architektury, z idealnie zachowanymi, niebieskimi płytkami sklejonymi teraz z obu stron, które tworzyły część ściany i łuku wejścia. Na poznaczonej glifami powierzchni ktoś namalował farbą iluminiową grube litery ODZYSK FILTRÓW. Za wejściem nierówny grunt zawalony był rozmontowaną maszyną zebraną na suchej ziemi w mniej więcej równe rzędy, co wyglądało jak jakieś dziwne poletko. Po okolicy kręciło się bez celu kilka postaci w kombinezonach.

Kiedy podszedłem, obejrzała się. Wymizerowana twarz, wyzarta gniewem, którego nie potrafiła uwolnić.

– Śledzisz mnie?

– Nie celowo – skłamałem. – Dobrze spałaś?

Potrząsnęła głową.

– Ciągłe słyszę Sutjadięgo.

– Rozumiem.

Kiedy cisza przeciągnęła się zbyt długo, kiwnąłem w stronę łuku.

– Wchodzisz tam?

– Czy ty, kur...? Nie, zatrzymałam się tylko, żeby... – i wskazała bezradnie na zbezczeszczone farbą marsjańskie płytki.

Przyjrzałem się glifom.

– Opis silnika ponadświatelnego, co?

Prawie się uśmiechnęła.

– Nie. – Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami wzdłuż wgłębienia jednego z glifów. – To szkolne credo. Coś w rodzaju skrzyżowania wiersza i zestawu instrukcji bezpieczeństwa dla świeżo opierzonych pisklaków. Część z tego to równania, przypuszczam, że na wznoszenie i przyciąganie. To również rodzaj graffiti. Tu jest napisane... – przerwała, potrząsnęła głową. – Nie da się powiedzieć, co tam napisano. Ale to, ach, obiecuje oświecenie, poczucie wieczności wywodzące się z marzenia o wykorzystaniu skrzydeł, zanim faktycznie zaczniesz latać. I radzi, żeby zrobić solidną kupę, zanim wzbije się w powietrze nad zamieszkałą okolicą.

– Nabierasz mnie. Wcale tam tak nie napisali.

– Napisali. A wszystko wiąże się z jednym równaniem. – Odwróciła się. – Byli dobrzy w łączeniu różnych teorii. Z tego, co możemy stwierdzić, w ich psychice nie było miejsca na podziały.

Demonstracja wiedzy chyba ją wyczerpała. Opuściła głowę.

– Wybierałam się do czoła odkrywki – powiedziała. – Do kawiarni, którą Roespinoedji pokazał nam poprzednim razem. Nie wydaje mi się, żeby mój żołądek utrzymał cokolwiek, ale...

– Jasne. Pójdę z tobą.

Popatrzyła na strój ruchowy, dość wyraźnie teraz widoczny pod ubraniem, które dostarczył mi przedsiębiorca z Odkrywki 27.

– Może przydałby mi się taki.

– Nie bardzo jest sens to zakładać, biorąc pod uwagę, ile zostało nam czasu.

Ruszyliśmy w górę zbocza.

– Jesteś pewien, że to opłacalne? – zapytała.

– Co? Sprzedanie Roespinoedjiemu największego odkrycia archeologicznego ostatnich pięciuset lat za pudełko wirtualu i czarnorynkowe okno startowe? A jak myślisz?

– Myślę, że to pieprzony kupiec i nie możesz mu zaufać ani trochę bardziej niż Handowi.

– Tanya – powiedziałem łagodnie. – To nie Hand sprzedał nas Klinowi. Roespinoedji robi interes tysiąclecia i dobrze o tym wie. Dotrzyma umowy, wierz mi.

– Cóż, to ty jesteś Emisariuszem.

Kawiarnia wyglądała prawie dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, stado wyglądających na porzucone krzesła i stolików, zebranych w cieniu rzucanym przez potężne słupy i rozpory konstrukcji koparki odkrywkowej. W górze słabo świeciło holomenu, a z głośniczków zawieszonych na budowlu rozbrzmiewała cicho muzyka Lapinee. Wokół stolików poustawiane były marsjańskie artefakty, jednak nie potrafiłem dostrzec w tym żadnej prawidłowości. Byliśmy jedynymi klientami.

Śmiertelnie znudzony kelner wysunął się z ukrycia i stanął przy stole. Wyglądał na urażonego. Zerknąłem na menu, potem na Wardani. Potrząsnęła głową.

– Tylko woda – powiedziała. – I papierosy, jeśli je macie.

– Site seveny czy Wola Zwycięstwa?

Skrzywiła się.

– Site seveny.

Kelner popatrzył na mnie, najwyraźniej w nadziei, że nie zamierzam zepsuć mu dnia i zamówić jakiegoś jedzenia.

– Macie kawę?

Kiwnął głową.

– Przynieś mi trochę. I dodaj do niej whisky.

Kelner się oddalił. Za jego plecami uniosłem brwi w stronę Wardani.

– Daj mu spokój. Praca tutaj nie jest pewnie zbyt wesoła.

– Mogło być gorzej. Mógłby zostać poborowym. Zresztą – machnąłem na otaczające nas artefakty. – Przyjrzyj się dekoracjom. Czegóż więcej chcesz?

Słaby uśmiech.

– Takeshi – nachyliła się w moją stronę nad stołem – kiedy zainstalujesz sprzęt do wirtualu, ja... nie lecę z tobą.

Skinąłem głową. *Spodziewałem się tego.*

– Przepraszam.

– Za co mnie przepraszasz?

– Ty, hmm... Dużo dla mnie zrobiłeś w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Wydostałeś mnie z obozu...

– Wyciągnęliśmy cię z obozu, ponieważ cię potrzebowaliśmy. Pamiętaj o tym.

– Byłam zła, kiedy to powiedziałam. Nie na ciebie, ale...

– Tak, na mnie. Na mnie, Schneidera, cały cholerny świat w mundurach. – Wzruszyłem ramionami. – Nie mam do ciebie pretensji. I miałaś rację. Wyciągnęliśmy cię, bo byłaś nam potrzebna. Nic mi nie jesteś winna.

Studiowała swoje leżące na kolanach dłonie.

– Potem pomogłeś mi się zebrać, Takeshi. Nie chciałam tego wtedy przed sobą przyznać, ale ta emisariuszowska technika działa. Jest mi coraz lepiej.

– To dobrze. – Zawahałem się, a potem zmusiłem, żeby kontynuować. – Pozostaje faktem, że

zrobiłem to, bo cię potrzebowałem. Potraktuj to jak część pakietu ratunkowego; nie miało sensu wyciągać cię z obozu, gdybyśmy zostawili tam twoją duszę.

Jej wargi zadrżały.

– Duszę?

– Przepraszam, figura retoryczna. Spędziłem za dużo czasu w okolicy Handa. Słuchaj, nie mam problemu z tym, że tu zostajesz. Jestem teraz tylko trochę ciekaw dlaczego, to wszystko.

Wrócił kelner, więc umilkliśmy. Postawił przed nami napoje i papierosy. Tanya Wardani otworzyła paczkę i zaferowała mi jednego przez stół. Potrząsnąłem głową.

– Rzucam. To paskudztwo cię zabije.

Roześmiała się prawie bezgłośnie i wyjęła papierosa. Kiedy dotknęła łątki zapalającej, w powietrzu pojawiły się smużki dymu. Kelner odszedł. Napiałem się kawy z whisky, miło zaskoczony jej smakiem. Wardani wydmuchnęła dym w przestrzeń pod koparką.

– Dlaczego zostaję?

– Właśnie.

Popatrzyła na stół.

– Nie mogę teraz wyjechać, Takeshi. Prędzej czy później to, co znaleźliśmy, trafi do ludzi. Znow otworzą bramę. Albo polecą tam statkiem międzyplanetarnym.

– Tak, prędzej czy później. Ale w tej chwili na przeszkodzie stoi wojna.

– Mogę poczekać.

– Czemu nie czekać na Latimerze? Tam jest o wiele bezpieczniej.

– Nie mogę. Sam powiedziałeś, że przelot *Cnotą* trwa przynajmniej jednaście lat. Przy pełnym przyspieszeniu i bez żadnych korekt kursu, które może będzie musiała robić Ameli. Kto wie, co się tu stanie przez najbliższe jednaście lat?

– Na przykład może się skończyć wojna.

– Wojna może się skończyć w przyszłym roku, Takeshi. Potem Roespinoedji zacznie się zajmować swoją inwestycją, a kiedy do tego dojdzie, chcę być na miejscu.

– Dziesięć minut temu nie ufałaś mu bardziej niż Handowi. Teraz chcesz dla niego pracować?

– My, hm... – Znow wbiła wzrok w dłonie. – Rozmawialiśmy o tym dziś rano. Jest gotów mnie ukryć do czasu, aż wszystko się uspokoi. Dać mi nową powłokę. – Uśmiechnęła się, lekko zmieszana.

– Od kiedy zaczęła się wojna, trochę trudno tu znaleźć mistrza Gildii. Przypuszczam, że stanowią część jego inwestycji.

– Tak myślałem. – Nawet kiedy te słowa opuszczały moje usta, nie bardzo umiałem określić, czemu tak bardzo usiłuję odwieść ją od tej decyzji. – Wiesz, że to nie pomoże, jeśli zaczną cię szukać Klin.

– Czy to prawdopodobne?

– To możli... – Westchnąłem. – Nie, raczej nie. Carrera prawdopodobnie ma gdzieś kopię bezpieczeństwa w dobrze ukrytym miejscu, ale trochę potrwa, zanim uświadomią sobie, że nie żyje. Jeszcze dłużej, zanim zdobędą zgodę na upowłokowanie kopii. A nawet jeśli dotrze aż do Dangrek, nie został nikt, kto powiedziałby mu, co się tam stało.

Zadygotała i odwróciła wzrok.

– Trzeba było to zrobić, Tanya. Musieliśmy zatrzeć ślady. Ze wszystkich ludzi właśnie ty powinnaś mieć tego świadomość.

– Co? – Jej wzrok przeskoczył z powrotem na mnie.

– Powiedziałem, że ze wszystkich ludzi właśnie ty powinnaś o tym wiedzieć. Przecież to właśnie zrobiłaś poprzednio. Nieprawdaż?

Gwałtownie odwróciła wzrok. Smużkę dymu z papierosa porwał wiatr. W zapadłej ciszy nachyliłem się ku niej.

– To już nie ma znaczenia. Nie potrafisz zatopić nas między Sanction a Latimerem, a kiedy już się tam znajdziemy, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. W porządku, nie leć z nami, ale jestem ciekaw, dlaczego chcesz tu zostać.

Poruszyła ręką jakby niezależnie od własnej woli, zaciągnęła się papierosem, mechanicznie wypuściła dym. Wzrok utkwiała w czymś, czego nie widziałem ze swojego miejsca.

– Od jak dawna wiesz?

– Wiem? – Zastanowiłem się nad tym. – Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że wiedziałem od dnia, gdy wyciągnęliśmy cię z obozu. Nie potrafiłem tego zdefiniować, ale czułem, że coś nie gra. Ktoś próbował cię odbić, zanim przylecieliśmy. Komendant zdradził mi to w rzadkiej chwili szczerości.

– Musiał być niezwykle ożywiony jak na siebie. – Zaciągnęła się dymem i wysyczała to przez zęby.

– No cóż. Potem oczywiście pojawili się twoi przyjaciele na pokładzie rekreacyjnym w Mandrake. Powinienem był zauważyć już na starcie. Przecież to najstarsza sztuczka prostytutek. Zaprowadzić jelenia do ciemnej alejki, trzymając go za fiuta, i przekazać w ręce alfonsa.

Zadrzała. Zmusiłem się do uśmiechu.

– Przepraszam. Figura retoryczna. Po prostu dość głupio się czuję. Powiedz mi, ten numer z przystawieniem broni do głowy to tylko sztuczka czy mówili poważnie?

– Nie wiem. – Potrząsnęła głową. – To kadra gwardii rewolucyjnej. Najlepsi ludzie Kempa. Zdjęli Denga, kiedy poszedł się za nimi rozejrzeć. Zabili go naprawdę, stos spalili, a ciało sprzedali na części. Powiedzieli mi o tym, kiedy czekaliśmy na ciebie. Może żeby mnie wystraszyć, nie wiem. Przypuszczam, że prędzej by mnie zastrzelili, niż pozwolili, żebym znów wymknęła im się z rąk.

– Tak, mnie też całkiem nieźle przekonali. Ale to ty ich wezwałaś, prawda?

– Tak – powiedziała sama do siebie, jakby po raz pierwszy odkrywając prawdę. – Zrobiłam to.

– Zechciałabyś powiedzieć mi dlaczego?

Wykonała nieznaczny ruch, może potrząsnęła głową, a może tylko zadrzała.

– OK. – Nie nalegałem. – Powiesz mi jak?

Zebrała się w sobie i spojrzała na mnie.

– Kodowany sygnał. Przygotowałam to, kiedy ty i Jan wyszliście umawiać się z Mandrake. Powiedziałam im, żeby czekali na mój sygnał, potem zadzwoniłam ze swojego pokoju w wieży, kiedy już byłam pewna, że faktycznie wybieramy się do Dangrek. – Na jej twarzy pojawił się uśmiech, ale głos mógł należeć do maszyny. – Zamówiłam bieliznę i kod lokacyjny w cyfrach. Elementarne metody.

Kiwnąłem głową.

– Zawsze byłaś kempistką?

Przesunęła się niecierpliwie.

– Nie jestem stąd, Kovacs. Tutaj nie mam żadnych politycznych poglądów ani własnych opinii. – Rzuciła mi gniewne spojrzenie. – Ale na miłość boską, Kovacs. To ich cholerna planeta, prawda?

– Dla mnie to całkiem jasna deklaracja polityczna.

– Jasne. Przyjemnie musi być bez przekonań politycznych. – Znów zaciągnęła się papierosem i zauważyłem, że jej dłonie lekko dygoczą. – Zazdroszczę ci tej twojej cholerniej, zadowolonej z siebie, świętoszkowatej obojętności.

– Cóż, nie tak trudno do niej dojść, Tanya. – Próbowałem opanować obronny ton głosu. –

Spróbuj popracować jako doradca wojskowy Joshua Kempa, gdy Indigo City rozpada się wokół ciebie na kawałki w ulicznych buntach. Pamiętasz te milisie systemy inhibitorowe, którymi poczęstował nas Carrera? Kiedy pierwszy raz widziałem je w użyciu na Sanction IV, gwardia Kempa używała ich do ochrony handlarzy artefaktami w Indigo City na rok przed rozpoczęciem wojny. Zmaksymalizowane, ciągłe wyładowanie. Żadnej litości dla wyzyskiwanej klasy. Po pierwszych kilku czystkach ulicznych człowiek musi zobojeźnieć.

– Więc zmieniłeś strony. – Ta sama pogarda, którą słyszałem w jej głosie tamtej nocy w barze, tej nocy, kiedy przegoniła Schneidera.

– Cóż, nie natychmiast. Przez chwilę rozważałem zamordowanie Kempa, ale wydawało mi się, że nie warto. Zastąpiłby go jakiś członek rodziny albo cholerny kadrowicz. A wtedy wojna i tak wyglądała już na nieuniknioną. Jak mawiała Quell, mężczyźni muszą wyszumieć się własnymi hormonami.

– W ten sposób to przeżyłeś? – wyszeptała.

– Tanya, od tamtej pory cały czas próbuję się stąd wydostać.

– Ja... – wzruszyła ramionami. – Przyglądałam ci się, Kovacs. Przyglądałam ci się w Landfall, w tej strzelaninie w biurze promotora, w wieży Mandrake, na plaży w Dangrek, z twoimi ludźmi. Ja... zazdrościłam ci tego, co masz. Tego, jak żyjesz sam ze sobą.

Uciekłem na chwilę do kawy z whisky. Chyba tego nie zauważyła.

– Ja nie potrafię. – Słowom towarzyszył bezradny, obronny gest. – Nie potrafię wyrzucić ich z głowy. Dhasanapongsakula, Aribowo, reszty. Nawet nie widziałam, jak giną, ale... – Głośno przełknęła ślinę. – Skąd wiedziałeś?

– Poczęstujesz mnie jednak papierosem?

Bez słów podała mi paczkę. Zapaliłem i wciągnąłem dym, ale nie okazałem żadnych emocji. Moje systemy były tak zawałone uszkodzeniami i lekami Roespinoedjiego, że zdziwiłbym się, gdyby jakaś się pojawiła. Miałem po prostu komfort rutyny, nic więcej.

– Intuicja Emisariuszy nie działa w taki sposób – powiedziałem wolno. – Jak już mówiłem, wiedziałem, że coś jest nie tak. Po prostu nie chciałem tego przyjąć do wiadomości. Ty, hm, robisz dobre wrażenie, Wardani. Na jakimś poziomie nie chciałem wierzyć, że to ty. Nawet kiedy dokonałaś sabotażu w ładowni...

– Vongsavath powiedziała... – zaczęła.

– Tak, wiem. Ona nadal myśli, że to Schneider. Nie ujawniłem prawdy. Sam byłem pewien, że to Schneider po tym, jak nas zdradził. Jak już powiedziałem, nie chciałem myśleć, że to możesz być ty. Kiedy Schneider się zdradził, ruszyłem za nim jak pocisk samonaprowadzający. Przyszła taka chwila, w hangarze, kiedy go rozpracowałem. Wiesz, co poczułem? Ulgę. Znalazłem rozwiązanie i nie musiałem już myśleć, kto jeszcze może być w to zaangażowany. Tyle, jeśli chodzi o obojętność. Milczała.

– Ale był cały stos powodów – podjąłem – dla których Schneider nie mógł odpowiadać za wszystkie nasze kłopoty. A warunkowanie Emisariusza po prostu zaczęło mi je podsuwać pod nos i nie mogłem ich dłużej ignorować.

– Na przykład?

– Na przykład to. – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem przenośny czytnik danych. Membrana rozwinęła się nad stołem, a kłębki światła wyewoluowały w pełen wyświetlacz. – Oczyść dla mnie tę przestrzeń.

Przyjrzała mi się dziwnie, potem nachyliła się i zgarnęła kłębki wyświetlacza w lewy górny róg. Gest obudził echa w mojej głowie, wróciły godziny spędzone na przyglądaniu się jej pracy na

ekranach monitorów. Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się.

– Ciekawy zwyczaj. Większość z nas po prostu spłaszcza je do powierzchni. Przypuszczam, że to bardziej ostateczne, bardziej satysfakcjonujące. Ale ty jesteś inna. Ty sprzątasz w górę.

– Wycinski. To jego metoda.

– Od niego się tego nauczyłaś?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie tak.

– Ale nie jesteś Wycinskim, prawda?

Wybuchnęła urywanym śmiechem.

– Nie, nie jestem. Pracowałam z nim na Bradburym i Ziemi Nkrumaha, ale mam połowę jego lat.

Czemu o tym pomyślałaś?

– Bez powodu. Po prostu przyszło mi to do głowy. Przypomniał mi się wirtual z cyberseksem. W tym, co ze sobą robiłaś, było sporo męskich tendencji. Po prostu się zastanowiłem. Kto mógłby lepiej wiedzieć, jak spełnić męskie fantazje, niż inny mężczyzna?

Uśmiechnęła się do mnie.

– Mylisz się, Takeshi. Całkowicie się mylisz. Kto lepiej wiedziałby, jak spełnić męskie marzenia, niż kobieta.

Przez chwilę coś między nami zaiskrzyło, gasnąc, zanim naprawdę zaistniało. Jej uśmiech odpłynął.

– Więc co mówiłeś?

Wskazałem na wyświetlacz.

– To wzór, jaki za sobą zostawiasz. Taki wzór zostawiłaś na wyświetlaczu jednostki na trawlerze. Prawdopodobnie po tym, jak zamknęłaś bramę przed Dhasanapongsakulem i jego kolegami, po tym jak zabiłaś tych dwóch na łodzi i wrzuciłaś ich w sieci. Widziałem to rano po imprezie. Wtedy to do mnie nie dotarło, ale jak już mówiłem, tak działa warunkowanie Emisariuszy. Po prostu zbiera się małe strzępki danych, aż zaczną coś znaczyć.

Patrzyła w skupieniu na ekran wyświetlacza, ale i tak udało mi się zauważyć przechodzący przez nią dreszcz, kiedy wymieniłem nazwisko Dhasanapongsakula.

– Kiedy już zacząłem się rozglądać, znalazłem inne strzępki. Granaty korozyjne w ładowni. Oczywiście, to Schneider musiał wyłączyć pokładowe monitory *Nagini*, ale ty się z nim pieprzyłaś. Właściwie stara miłość. Nie przypuszczam, żebyś miała trudności, żeby go przekonać. Podobnie jak ze mną, kiedy zaprosiłaś mnie na pokład rekreacyjny w Mandrake. Z początku nie trzymało się to kupy, bardzo starałaś się umieścić boję roszczeniową na pokładzie. Po co najpierw próbować ją zniszczyć, a potem ciężko pracować, żeby ją ustawić?

Sztywno kiwnęła głową. Większość jej myśli krążyła wokół Dhasanapongsakula. Mówiłem w próżnię.

– To nie miało sensu do chwili, kiedy pomyślałem, co jeszcze zostało zniszczone. Nie boje, tylko zestawy IOO. Wyłączyłaś je wszystkie. Ponieważ dzięki temu nikt nie zdołałaby umieścić Dhasanapongsakula i pozostałych w wirtualu i dowiedzieć się, co się z nimi stało. Oczywiście, w końcu mieliśmy wrócić do Landfall i to wyjaśnić. Ale... ty... nie planowałaś naszego powrotu, prawda?

To ściągnęło ją z powrotem. Rzuciła mi smutne spojrzenie nad kłębam dymu.

– Wiesz, kiedy rozpracowałem większość intrygi? – Mocno zaciągnąłem się papierosem. – Kiedy leciałem z powrotem do bramy. Widzisz, byłem przekonany, że do czasu kiedy tam doleczę, będzie już zamknięta. Z początku nie bardzo wiedziałem dlaczego, ale to trzymało się kupy. Oni przeszli przez bramę, a ta się za nimi zamknęła. Wtedy zastanowiłem się, jak to się stało i jak biedny



Dhasanapongsakul trafił na drugą stronę w koszulce. Wtedy przypomniałem sobie wodospad.

Zamrugła.

– Wodospad?

– Tak. Każdy normalny człowiek w euforii po stosunku pchnąłby mnie w plecy, wrzucając do tego basenu, a potem się roześmiał. Oboje byśmy się roześmiali. Zamiast tego zaczęłaś płakać. – Przyjrzałem się rozżarzonej końcówce papierosa, jakby było tam coś interesującego. – Stałaś przy bramie z Dhasanapongsakulem i przepchnęłaś go przez nią. A potem ją zatrzasnęłaś. Wcale nie trzeba dwóch godzin na jej zamknięcie, prawda, Tanya?

– Nie – wyszeptła.

– Czy już wtedy myślałaś, że będziesz musiała zrobić ze mną to samo?

– Ja... – potrząsnęła głową. – Nie wiem.

– Jak zabiłaś tamtych dwóch na trawlerze?

– Ogłuszacz. Potem sieci. Utonęli, zanim się obudzili. Ja. – Odchrząknęła. – Wyciągnęłam ich później, zamierzałam... nie wiem... gdzieś ich zakopać. Może nawet poczekać kilka dni, zaciągnąć ich do bramy i spróbować ją otworzyć, żeby ich też przez nią przerzucić. Spanikowałam. Nie mogłam znieść czekania i zastanawiania się, czy Aribowo i Weng nie znajdą jakiegoś sposobu na otwarcie bramy, zanim skończy się im powietrze.

Spojrzała na mnie buntowniczo.

– Tak naprawdę wcale w to nie wierzyłam. Jestem archeologiem, wiem jak... – Umilkła. – Nawet nie byłam w stanie sama otworzyć bramy dość szybko, żeby ich uratować. Musiałam siedzieć na trawlerze ze świadomością, że są tuż po jej drugiej stronie. Duszą się. Miliony kilometrów stąd, gdzieś w kosmosie nad moją głową, a równocześnie tuż obok, w jaskini. Tak blisko.

Kiwnąłem głową. Wtedy na plaży w Dangrek powiedziałem Wardani i Vongsavath o ciałach, które znalazłem zatopione w substancji marsjańskiego pojazdu, gdy polowaliśmy na siebie z Carrerą przy kadłubie. Ale nigdy nie powiedziałem żadnej z nich o ostatnich trzydziestu minutach spędzonych wewnątrz statku, o rzeczach, które widziałem i słyszałem, zataczając się z powrotem do pobrzmiwającej echami pustki komory dokowej z uprzężą grawitacyjną Carrery na plecach; rzeczach, które czułem obok siebie, lecąc z powrotem do bramy. Po jakimś czasie moje pole widzenia zwęziło się wyłącznie do słabego kręgu światła orbitującego w czerni i nie chciałem się rozglądać wokół ze strachu przed tym, co mógłbym zobaczyć, co mogło lecieć obok mnie, oferując szponiastą rękę. Po prostu wyleciałem w światło, ledwie zdolny wierzyć, że wciąż tam jest, przerażony, że w każdej chwili może się zatrzasnąć i zamknąć mnie w ciemności.

*Halucynacje tetrametowe*, powiedziałem sobie później, i to musiało mi wystarczyć.

– Czemu w takim razie nie wzięłaś trawlera?

Znów potrząsnęła głową i zdusiła papierosa.

– Spanikowałam. Wycinałam stopy z tej dwójki w sieciach i po prostu... – Zadygotała. – Poczułam się tak, jakby ktoś mi się przyglądał. Wrzuciłam ich z powrotem do wody, a stopy cisnęłam w morze, najdalej jak potrafiłam. Potem uciekłam. Nawet nie próbowałam wysadzić jaskini, żeby zatrzeć ślady. Przeszłam całą drogę do Sauberville. – Jej głos zmienił się w sposób, którego nie potrafiłem zdefiniować. – Ostatnie kilka kilometrów podwiózł mnie samochodem naziemnym jakiś facet. Młody, z paroma dziećmi, które wiózł z powrotem z wycieczki grawiślizgiem. Pewnie teraz wszyscy nie żyją.

– Tak.

– Ja... Sauberville nie było dostatecznie daleko. Uciekłam na południe. Kiedy Protektorat podpisał porozumienie, byłam w głębi równin Bootkinaree. Siły Kartelu zabrały mnie z kolumny

uciekierów. Trafiłam do obozu razem z resztą. Wtedy wydawało mi się to prawie sprawiedliwe.

Wyciągnęła z paczki nowego papierosa i wsadziła go sobie do ust. Zerknęła na mnie.

– Bawi cię to?

– Nie. – Dokończyłem kawę. – Choć jedno mnie interesuje. Co robiłaś w okolicach Bootkinaree? Czemu nie skierowałaś się z powrotem do Indigo City? Przecież byłaś kempistką.

Skrzywiła się.

– Nie wydaje mi się, żeby kempieści ucieszyli się na mój widok, Takeshi. Właśnie wymordowałam całą ich ekspedycję. Trochę trudno byłoby to wyjaśnić.

– Kempieści?

– Tak. – W jej tonie brzmiało teraz tłumione rozbawienie. – A jak myślisz, kto sfinansował tę wyprawę? Wyposażenie próżniowe, sprzęt górniczy i konstrukcyjny, jednostki analogowe i systemy obróbki danych. Daj spokój, Takeshi. Byliśmy u progu wojny. Skąd, według ciebie, mieliśmy wziąć taki sprzęt? Kto, twoim zdaniem, wymazał wszelkie informacje o bramie z archiwów Landfall?

– Jak już powiedziałem, nie chciałem o tym myśleć. Więc to był numer kempistów. Czemu ich zabiłaś?

– Nie wiem. – Machnęła ręką. – Wydawało się to właściwe.

– Może być. – Zgasilem papierosa, oparłem się pokusie wzięcia następnego, a potem i tak go wzięłem. Przyglądałem się jej i czekałem.

– To... – Przerwała. Potrząsnęła głową. Zaczęła jeszcze raz, z przesadną starannością wymawiając słowa. – Myślałam, że jestem po ich stronie. To miało sens. Wszyscy się zgodziliśmy. W rękach Handa statek stałby się argumentem przetargowym, którego Kartel nie mógłby zignorować. Mógł wygrać dla nas tę wojnę, i to bez rozlewu krwi.

– Uch-och.

– Potem odkryliśmy, że to statek bojowy. Aribowo znalazła baterię uzbrojenia. Dość charakterystyczną. Potem kolejną. Ja... – Umilkła i napiła się trochę wody. Znów odchrząknęła. – Zmienili się. Prawie z dnia na dzień wszyscy się zmienili. Nawet Aribowo. Jakby ich coś opętało. Jakby posiadała ich jakaś świadomość, jak w horrorach sensoryjnych. Jakby coś przeszło przez bramę i...

Kolejny grymas.

– Pewnie wcale ich jednak tak dobrze nie znałam. Tych dwóch na trawlerze to żołnierze. Nie znaleźliśmy się. Ale oni też się zmienili. Wszyscy mówili o tym, czego mogli dokonać. O konieczności, rewolucyjnej potrzebie. Zamierzali odparować Landfall z orbity, włączyć silniki statku, brali już pod uwagę napęd nadświetlny, chcieli przenieść wojnę na Latimera. Przeprowadzić bombardowanie planetarne Latimer City, Portausaint, Soufriere. Wszystko zniszczyć, zmusić Protektorat, żeby skapitulował.

– Mogliby to zrobić?

– Może. Systemy na Ziemi Nkrumaha są dość proste. Jeśli ten statek był choć trochę podobny... – Wzruszyła ramionami. – Nie był, jednak wtedy tego nie wiedzieliśmy. Sądziли, że mogą zrealizować swoje plany i tylko to się dla nich liczyło. Nie chcieli już argumentu przetargowego. Chcieli maszyny wojennej. I ja im ją dałam. Śmiali się ze śmierci milionów, jakby to był dobry żart. Upijali się w nocy, omawiając szczegóły. Śpiewając cholerne pieśni rewolucyjne. Usprawiedliwiając to retoryką. Całe to gówno, jakie ścieka ciągle z kanałów rządowych obrócone o sto osiemdziesiąt stopni. Obłudne frazesy, teorie polityczne, a wszystko żeby usprawiedliwić użycie maszyny do zmasakrowania planet. I ja im ją dałam. Beze mnie chyba nie daliby rady otworzyć bramy. Byli tylko grzebaczami. Potrzebowali mnie. Nie mogli znaleźć nikogo innego,

wszyscy mistrzowie Gildii byli już w drodze powrotnej na Latimera w liniowcach z kriokapsułami, uciekając przed tym, co nadchodziło, albo siedzieli poukrywani w Landfall, czekając na nadejście opłaconego przez Gildię transferu strunowego. Weng i Aribowo przyjechali szukać mnie w Indigo City. Błagali, żebym im pomogła. I zrobiłam to. – Kiedy odwróciła się do mnie, w jej twarzy odcisnęło się coś, co wyglądało jak błaganie. – Dałam im go.

– Ale zabrałaś im go z powrotem – stwierdziłem łagodnie.

Sięgnęła ręką przez stół. Chwyliła moją dłoń i przez chwilę ją trzymała.

– Czy planowałaś zrobić to samo z nami? – zapytałem, kiedy uznałem, że trochę się uspokoiła.

Próbowała cofnąć dłoń, ale ją przytrzymałem.

– Teraz to już nie ma znaczenia – powiedziałem z naciskiem. – Wszystko już się dokonało, teraz tylko musisz nauczyć się z tym żyć. Tak właśnie się to robi, Tanya. Po prostu przyznaj się, jeśli to prawda. Wobec siebie, jeśli nie chcesz tego wyznać mnie.

W kąciu jej oka pojawiła się pojedyncza łza.

– Nie wiem – wyszeptwała. – Po prostu próbowałam przeżyć.

– To wystarczy – odpowiedziałem.

Siedzieliśmy w ciszy, trzymając się za ręce, aż pojawił się kierowany jakimś impulsem kelner, żeby sprawdzić, czy nie chcemy czegoś jeszcze.

\* \* \*

Później, w drodze powrotnej przez ulice Odkrywki 27, minęliśmy ten sam plac ze złomem i te same artefakty marsjańskie uwięzione w ścianie. W moim umyśle wybuchły obrazy, zamrożona agonia Marsjan, zatopionych i uwięzionych w bańkach tworzywa kadłuba ich statku. Tysiące, rozciągające się po mroczny horyzont asteroidalnej masy statku, cała rasa zatopionych aniołów machających skrzydłami w ostatniej, szaleńczej próbie ucieczki przed nieznaną katastrofą, która spotkała statek w ogniu walki.

Spojrzałem w bok na Tanyę Wardani i w nagłym przebłytku przypominającym działanie empatyny wiedziałem, że myśli o tym samym obrazie.

– Mam nadzieję, że tu nie przyleci – wymamrotała.

– Słucham?

– Wycinski. Kiedy rozejdzie się wieść, będzie chciał tu przylecieć, żeby zobaczyć, co znaleźliśmy. Myślę, że to może go zniszczyć.

– Pozwolą mu na to?

Wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę to trudno go gdzieś zatrzymać, jeśli się uprze. Przez ostatnie stulecie siedział na synekurze na Bradburym, ale wciąż ma kilku przyjaciół w Gildii. Wzbudza podziw. A także trochę poczucia winy za to, jak został potraktowany. Ktoś odda mu przysługę i wyłga dla niego przekaz strunowy przynajmniej do Latimera. Jest dostatecznie bogaty, żeby resztę drogi opłacić samemu. – Potrząsnęła głową. – Ale to go zabije. Jego cudowni Marsjanie walczący i ginący w tysiącach, jak ludzie. Masowe groby i planetarne bogactwo skupione w machinach wojennych. To zniszczy wszystko, w co tak bardzo chciał wierzyć.

– Cóż, w końcu byli drapieżnikami...

– Ależ wiem. Drapieżniki muszą być mądrzejsze, drapieżniki będą dominować, drapieżniki ewoluują cywilizację i wychodzą do gwiazd. Ta sama stara, cholerna melodia.

– Ten sam stary, cholerny wszechświat – podsunąłem łagodnie.

– To po prostu...

– Przynajmniej nie walczyli już między sobą. Sama powiedziałaś, że ten drugi statek nie należał do Marsjan.

– Z pewnością na taki nie wyglądał. Ale czy tak jest lepiej? Zjednoczyć rasę, żeby można było dołożyć komuś innemu? Czy nie mogli wyjść poza takie myślenie?

– Nie wygląda na to.

Wcale mnie nie słuchała. Patrzyła tępo na wmurowane w ścianę artefakty.

– Musieli wiedzieć, że zginą. Pewnie zadziałał instynkt, zmuszając ich do próby ucieczki, odlotu. Jak przed wybuchem bomby wyciąga się ręce, żeby zatrzymać pocisk.

– I wtedy kadłub się stopił?

Znów wolno potrząsnęła głową.

– Nie wiem, ale nie wydaje mi się. Zastanawiałam się nad tym. Broń, którą widzieliśmy, nie miała chyba aż takiej mocy. – Zamachała rękami – Raczej zmieniała długość fal materii. Takie odniosłam wrażenie. Wydaje mi się, że to przez to kadłub zniknął, a oni unosili się w przestrzeni, wciąż żywi, ale wiedząc, że ich statek zaraz zniknie. Myślę, że wtedy próbowali odlecieć.

Zadygotałem na to wspomnienie.

– To musiał być zacieklejszy atak niż ten, który widzieliśmy – mówiła dalej. – To, czego byliśmy świadkami, nawet go nie przypominało.

Prychnąłem.

– Tak, no cóż, zautomatyzowane systemy miały sto tysięcy lat, żeby go rozpracować. Do tej pory powinny to doprowadzić do poziomu sztuki. Słyszałaś, co powiedział Hand, zanim zrobiło się naprawdę ciężko?

– Nie.

– Powiedział, że to zabiło Marsjan. Myślał wprawdzie o tym, którego znaleźliśmy w korytarzu, ale to chyba dotyczy i pozostałych. Weng, Aribowo, resztę grupy. Dlatego zostali na zewnątrz, póki nie skończyło im się powietrze. Im też się to przytrafiło, prawda?

Zatrzymała się i obróciła twarzą do mnie.

– Słuchaj, jeśli to...

Skinąłem głową.

– Tak. Tak właśnie pomyślałem.

– Wyliczyliśmy, że statek porusza się po orbicie kometarnej. Sprawdziliśmy wskaźniki glifowe i własne urządzenia. Okazało się, że przylatuje tam mniej więcej co tysiąc dwieście lat. Jeśli zdarzyło się to również załodze Aribowo, to znaczy...

– To oznacza kolejne bliskie spotkanie z innym statkiem kosmicznym. Odstęp to rok do osiemnastu miesięcy i kto wie, na jakiej orbicie.

– Statystycznie... – wyszeptała.

– Jasne. O tym też pomyślałaś. Jakie są szanse, że dwie ekspedycje zorganizowane w odstępie osiemnastu miesięcy miałyby szanse zobaczenia tego samego zjawiska... No jakie?

– Minimalne.

– I to przy ostrożnej ocenie. Praktycznie żadne.

– Chyba że...

Znów kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się, bo widziałem, jak w jej ciało z powrotem wypełnia siłą, nadpływająca niczym prąd pod wpływem wniosków z rozumowania.

– Tak jest. Chyba że lata tam tyle śmieci, że takie zjawiska są bardzo powszechne. Chyba że, innymi słowy, widzieliśmy powtarzające się pozostałości bitwy całej floty i to na skalę systemową.

– Zauważylibyśmy to – powiedziała niepewnie.

– Wątpię. W okolicy jest mnóstwo przestrzeni, a nawet pięćdziesięciokilometrowy kadłub jest mały jak na standardy asteroidowe. Zresztą, prawdę mówiąc, nie szukaliśmy. Od kiedy się tu znaleźliśmy, skierowaliśmy całą uwagę ku ziemi, zbierając wszystkie możliwe archeologiczne śmieci, jakie tylko mogliśmy wykopać. Zwrot nakładów. Tak właśnie nazywa się gra prowadzona w Landfall. Zapomnieliśmy patrzeć w innym kierunku.

Roześmiała się, a w każdym razie, tak to wyglądało.

– Nie jesteś Wycynskim, prawda, Kovacs? Bo czasem mówisz dokładnie jak on.

Zdobyłem się na kolejny uśmiech.

– Nie, ja też nie jestem Wycynskim.

W kieszeni zadzwonił mi telefon, który otrzymałem od Roespinoedjiego. Wygrzebałem go, krzywiąc się z powodu bólu, jakim zareagował mój łokieć.

– Tak?

– Mówi Vongsavath. Ci faceci już skończyli. Jeśli chcesz, możemy stąd odlecieć przed wieczorem.

Spojrzałem na Wardani i westchnąłem.

– Dobra. Przyjdę do ciebie za kilka minut.

Schowałem telefon i znów ruszyłem ulicą. Wardani poszła za mną.

– Hej – zawołała.

– Tak?

– Te teksty na temat patrzenia na zewnątrz i unikaniu grzebania w ziemi... Skąd tak nagle ci się to wzięło, mister nie – jestem Wycynskim?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Może to wspomnienie ze Świata Harlana. To jedyne miejsce w Protektoracie, gdzie myśląc o Marsjanach, patrzy się w górę. Owszem, mamy własne wykopaliska i zabytki, ale jedyna rzecz, o której nie możemy zapomnieć w związku z Marsjanami, to satelity. Krążą nad naszymi głowami dzień po dniu, jak anioły o nadwrażliwych palcach, uzbrojone w miecze. Element nocnego nieba. Biorąc to pod uwagę, nic z tego, co odkryliśmy, tak naprawdę mnie nie zaskakuje. Właściwie już czas.

– Tak.

Energia, która z powrotem wypełniła jej ciało, dotarła także do jej głosu. Wiedziałem już, że sobie poradzi. Był taki moment, kiedy sądziłem, że nie zostaje tu z powodów, o których mi powiedziała. Obawiałem się, że fakt, iż tu zostaje, traktuje jak pewnego rodzaju karę, którą sama sobie wymierza. Ale przebijający w jej głosie entuzjizm przekonał mnie, że tak nie jest.

Poradzi sobie.

Poczułem się jak u końca długiej podróży. Wspólnej drogi, która zaczęła się od bliskiego kontaktu technik Emisariuszy służących naprawie psychiki na pokładzie skradzionego promu po drugiej stronie planety.

Wrażenie to przypominało uczucie towarzyszące zdzieraniu strupa.

– Jeszcze jedno – powiedziałem, gdy doszliśmy do zaniedbanej i pełnej piachu ulicy, prowadzącej do nędznego lądowiska Odkrywki 27. Przed nami obraz niewyraźnie rozmazywało pole maskujące transportera bojowego, które przybrało barwę pyłu. Zatrzymaliśmy się, patrząc na nie.

– Tak?

– Co mam zrobić z twoją częścią pieniędzy?

Parsknęła śmiechem, tym razem zupełnie szczerym.

– Prześlij mi je transferem strunowym. Jedenaście lat, tak? Daj mi coś, na co będę mogła

czekać.

– Dobra.

Niżej, na lądowisku, z pola maskującego wyłoniła się nagle Ameli Vongsavath i stanęła, patrząc w naszą stronę, osłaniając dłonią oczy przed słońcem. Dźwignąłem rękę i pomachałem jej, potem ruszyłem w stronę statku i czekającej nas długiej drogi.

## EPILOG

*Potężne silniki Cnoty Angin Chandry wypychają ją z płaszczyzny ekliptyki w głęboki kosmos. Porusza się szybciej, niż może wyobrazić sobie większość ludzi, ale i tak dość wolno jak na standardy międzygwiazdne. Przy pełnym przyspieszeniu zdoła osiągnąć tylko część prędkości podświetlonej, którą umiały rozwinąć barki kolonizacyjne lecące w drugą stronę przed stuleciem. Statek nie został zbudowany do lotów w przestrzeni międzygwiazdnej, ale jego systemy naprowadzania pochodzą z fabryk Nuhanovica, i w stosownym czasie doleci tam, gdzie się wybiera.*

*Tutaj, w wirtualu, człowiek ma tendencję do zapominania o świecie zewnętrznym. Ludzie wynajęci przez Roespinoedjiego spisali się na medal. Jest tu wybrzeże z poznaczonego wiatrem i deszczami wapienia, schodzącego do wody jak warstwy stopionego wosku u podstawy świeczki. Jego skąpane w słońcu ściany i tarasy są tak białe, że przyglądanie się im bez szkieł powoduje ból oczu, a morze zalane jest blaskiem. Można skoczyć w wapienia prosto w pięć metrów krystalicznie czystej wody i chłód, który ściera pot ze skóry jak stare ubranie. Pływają tam różnobarwne ryby, przemykając między formacjami koralowca wyrastającymi z piasku niczym barokowe fortyfikacje.*

*Dom jest stary i obszerny, wbudowany we wzgórze. Wygląda jak zamek, któremu ktoś odciął górną część. Powstały w ten sposób płaski dach z trzech stron otoczony jest balustradą i wyłożony mozaikami. Z czwartej strony można zejść z niego prosto na wzgórze. Wewnątrz jest dość miejsca, żebyśmy wszyscy mogli być sami, jeśli tylko chcemy, ale umeblowanie zachęca do zebrań w kuchni i jadalni. Systemy domu puszczaają sporo muzyki, dyskretne hiszpańskie gitary z Adoracion i Latimer City. Wzdłuż większości ścian stoją regały pełne książek.*

*W ciągu dnia temperatura wzrasta do wartości, przy których człowiek ma ochotę zaraz po śniadaniu wskoczyć na kilka godzin do wody. Wiezorami ochładza się na tyle, że zakłada się cienką kurtkę czy marynarkę, jeśli chce się siedzieć na dachu i przyglądać gwiazdom, co wszyscy robimy. Nie jest to panorama gwiazd, jaką w tej chwili widać z fotela pilota Cnoty Angin Chandry – jeden z techników powiedział mi, że oparli format na jakimś zarchiwizowanym oryginale z Ziemi. Tak naprawdę nikogo to nie obchodzi.*

*Jak na życie po śmierci, to nie jest złe. Może nie spełnia standardów, których spodziewałby się ktoś taki jak Hand – na przykład nie dość ograniczony dostęp – ale w końcu zostało zaprojektowane przez zwykłych śmiertelników, i na pewno jest lepsze od tego, w czym zamknięta jest martwa załoga Tanyi Wardani. Jeśli, zgodnie z tym, co mówi Ameli Vongsavath, puste korytarze i pokłady Cnoty Angin Chandry nadają jej wrażenie statku duchów, to i tak jest to nieskończenie spokojniejsza forma nawiedzenia niż to, co zostawili nam Marsjanie po drugiej stronie bramy. Jeśli jestem duchem, zapisanym i krążącym z elektronową szybkością po obwodach w ścianach statku, to nie mam na co się skarżyć.*

*A jednak wciąż zdarzają się chwile, kiedy rozglądam się wieczorami wokół dużego drewnianego stołu, nad pustymi butelkami i fajkami, i żałują, że pozostałym się nie udało. Najbardziej brakuje mi Cruickshank. Deprez, Sun i Vongsavath stanowią dobre towarzystwo, ale żadne z nich nie ma w sobie tej swoistej szorstkiej życzliwości, którą góralka z Limonów kręciła wokół siebie jak maczugą. Oczywiście, żadne z nich nie jest też zainteresowane seksem ze mną, tak jak ona.*

*Sutjadiemu też się nie udało. Jego stos był jedynym, którego nie stopiłem na plaży w Dangrek. Próbowaliśmy go ściągnąć, zanim wylecieliśmy z Odkrywki 27, ale wyszedł jako krzyżący szaleniec. Staliśmy wokół niego w formacie na chłodnym, kamiennym dziedzińcu, ale nie*

poznał nas. Krzyczał, kołysał się i ślinił, uciekając przed każdym, kto próbował go dotknąć. W końcu go wyłączyliśmy, a potem skasowaliśmy również format, bo w naszych umysłach dziedziniec został trwale skażony.

Sun mamrotała coś na temat psychochirurgii. Przypomniałem sobie sierżanta z Wedge, o którym mówili, że upowłokowili go o raz za dużo, i wyraziłem swoje wątpliwości. Ale Sutjiadi dostanie najlepszą psychochirurgię na Latimerze. Ja płacę.

Sutjiadi.

Cruickshank.

Hansen.

Jiang.

Ktoś mógłby powiedzieć, że tanio się wykupiliśmy.

Chwilami, kiedy siedzę pod nocnym niebem, dzieląc butelkę whisky z Lukiem Deprezem, prawie się z tym zgadzam.

\* \* \*

Vongsavath co jakiś czas znika. Przyjeżdża po nią jakiś sztywno odziany konstrukt wymodelowany na biurokratę z Lat Osiedlenia na Hun Home w antycznym poduszkowcu ze składanym dachem. Za każdym razem robi straszne zamieszanie wokół jej pasów bezpieczeństwa, co niezmiernie bawi wszystkich obecnych, po czym odjeżdżają we wzgórza za domem. Rzadko znika na dłużej niż pół godziny.

Oczywiście, w czasie rzeczywistym to kilka dni. Wykonawcy Roespinoedjiego zwolnili dla nas czas pokładowego wirtualu w maksymalny możliwy sposób. Musiało być to dla nich niezwykle doświadczeniem – większość klientów życzy sobie, żeby czas wirtualny biegł dziesiątki czy setki razy szybciej niż faktyczny. Z drugiej strony, większość ludzi nie ma przed sobą ponad dziesięciolecia lotu w absolutnej pustce. Przeżywamy jedenastoletni lot w czasie mniej więcej stukrotnie krótszym niż rzeczywisty. Tygodnie na pokładzie pełnej duchów Cnoty to dla nas zaledwie godziny. Dolecimy do systemu Latimera po miesiącu.

Oczywiście, znacznie łatwiej byłoby to po prostu przespać, ale Carrera nie miał lepszego zdania o naturze ludzkiej niż wszystkie pozostałe sępy zgromadzone wokół trupa Sanction IV. Podobnie jak wszystkie statki dysponujące potencjalną możliwością ucieczki przed wojną, transporter został wyposażony jedynie w awaryjną kapsułę hibernacyjną dla pilota. To bardzo dobry sprzęt – większość czasu, jaki Vongsavath spędza poza wirtuałem, zużywa na rozmrażanie i ponowne schładzanie złożonych systemów kriokapsuły. Ten biurokrata z Hun Home stanowi skomplikowany żart ze strony Sun Liping, zasugerowany, a następnie wpisany w format, kiedy Vongsavath wróciła któregoś wieczora, plując jadem na brak wydajności procesora kapsuły.

Vongsavath oczywiście przesadza w sposób typowy dla drobnych niewygód w sytuacji, kiedy życie jest prawie tak doskonałe, że stają się poważnymi problemami. Zazwyczaj nie znika nawet na dość długo, by zdążyła wystygnąć jej kawa, a sprawdzane przez nią systemy pokładowe jak dotąd okazały się w stu procentach bezbłędne. Systemy naprowadzania Nuhanovica. Jak powiedziała kiedyś Sun na pokładzie statku marsjańskiego, nie produkują nic lepszego.

Przypomniałem jej tę uwagę kilka dni temu, kiedy leżeliśmy, unosząc się na plecach pośród niskich, turkusowych fal z dała od lądu, z oczami zamkniętymi przed blaskiem słońca. Powiedziała, że nie pamięta. Wszystko, co zaszło na Sanction IV, zaczyna się już nam zacierać w pamięci, jakby zdarzyło się w poprzednim życiu. Wygląda na to, że w życiu pozagrobowym traci się poczucie



czasu, a może po prostu nie odczuwa się już potrzeby pilnowania go. Każde z nas może w każdej chwili sprawdzić w panelu komputerowym wirtualu, jak długo nas nie ma i kiedy dokładnie przylecimy na miejsce, ale wygląda na to, że nikt nie ma na to ochoty. Wolimy, żeby było to nieokreślone. Wiemy, że na Sanction IV upłynęły już całe lata, ale ile dokładnie, wydaje się – i pewnie jest – bez znaczenia. Wojna mogła się już skończyć, może wywalczono już pokój. A może nie. Jakoś nie ma to dla nas znaczenia. Żyjący nie wzruszają nas tutaj.

Przynajmniej przez większość czasu.

Czasem jednak zastanawiam się, co może w tej chwili robić Tanya Wardani. Zastanawiam się, czy już siedzi gdzieś na granicach systemu Sanction, wykrzywiając twarz nowej powłoki, zmęczonej i skupionej nad jakimiś glifowymi blokadami na pokładzie marsjańskiego pancernika. Zastanawiam się także, ile jeszcze krąży tam po okolicy sterowanych przez maszyny kadłubów, które zbliżają się, by ostrzelać się z odwiecznym wrogiem, a potem z powrotem zapadają w noc, z urządzeniami naprawiającymi wszelkie uszkodzenia w przygotowaniu na następny raz. Na co jeszcze możemy się natknąć w tych niespodziewanie zatłoczonych przestrzeniach, kiedy już zaczniemy szukać. A potem, czasem, rozważam, co one w ogóle tam robią. O co walczyły w przestrzeni wokół niewyróżniającej się gwiazdy i czy warto było walczyć.

Jeszcze rzadziej zastanawiam się nad tym, co będę musiał zrobić, kiedy już znajdziemy się na Latimerze, ale szczegóły wydają się nierealne. Quelliści będą chcieli raportu. Będą chcieli wiedzieć, czemu nie udało mi się skłonić Kempa do pełniejszego wypełnienia ich planów odnośnie całego sektora Latimera i czemu sytuacja na planecie nie wygląda ani trochę lepiej niż w chwili, kiedy mnie tam przesyłali. Przymuszczałnie nie o to im chodziło, kiedy mnie wynajmowali.

Coś wymyślę.

Nie mam w tej chwili powłoki, ale to drobna niewygoda. Mam połowę udziału w dwudziestu milionach dolarów NZ umieszczonych na koncie w Latimer City i grupkę przyjaciół o statusie weteranów oddziałów specjalnych, a na dodatek jeden z nich twierdzi, że jest związany z jedną z bardziej szanowanych rodzin wojskowych na Latimerze. Sutjadiemu trzeba będzie znaleźć psychochirurga. Czulem też wyjątkowo silną potrzebę odwiedzenia Limonów i przekazania rodzinie Yvette Cruickshank wiadomości o jej śmierci. Poza tym, pomyślałem, że mógłbym udać się na porośniętą srebrną trawą ruiny Innenin i posłuchać echa tego, co znalazłem z Tanyą Wardani.

Takie mam priorytety po zmartwychwstaniu. Jeśli dla kogoś to problem, może się natychmiast do mnie zgłosić.

Na swój sposób czekam już na koniec miesiąca.

To całe życie pozagrobowe jest cholernie przereklamowane.

# Spis treści

<a href="#">PODZIĘKOWANIA..</a>	4
<a href="#">CZEŚĆ I.</a>	5
<a href="#">ROZDZIAŁ PIERWSZY..</a>	6
<a href="#">ROZDZIAŁ DRUGI.</a>	12
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZECI.</a>	22
<a href="#">ROZDZIAŁ CZWARTY..</a>	30
<a href="#">ROZDZIAŁ PIĄTY..</a>	36
<a href="#">ROZDZIAŁ SZÓSTY..</a>	45
<a href="#">ROZDZIAŁ SIÓDMY..</a>	58
<a href="#">ROZDZIAŁ ÓSMY..</a>	68
<a href="#">CZEŚĆ II.</a>	79
<a href="#">ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY..</a>	80
<a href="#">ROZDZIAŁ DZIESIĄTY..</a>	87
<a href="#">ROZDZIAŁ JEDENASTY..</a>	98
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUNASTY..</a>	104
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYNASTY..</a>	112
<a href="#">ROZDZIAŁ CZTERNASTY..</a>	119
<a href="#">ROZDZIAŁ PIĘTNASTY..</a>	129
<a href="#">ROZDZIAŁ SZESNASTY..</a>	140
<a href="#">ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY..</a>	147
<a href="#">CZEŚĆ III.</a>	153
<a href="#">ROZDZIAŁ OSIEMNASTY..</a>	154
<a href="#">ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY..</a>	160
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY..</a>	167
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY..</a>	178
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.</a>	188
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.</a>	196
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY..</a>	205
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY..</a>	211
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY..</a>	228
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY..</a>	236
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY..</a>	241
<a href="#">ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY..</a>	247
<a href="#">CZEŚĆ IV..</a>	254
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY..</a>	255
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY..</a>	266
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.</a>	276
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.</a>	286
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY..</a>	297
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY..</a>	308
<a href="#">CZEŚĆ V..</a>	311
<a href="#">ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY..</a>	312

<a href="#"><u>ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY..</u></a>	<a href="#"><u>320</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY..</u></a>	<a href="#"><u>330</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY..</u></a>	<a href="#"><u>346</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY..</u></a>	<a href="#"><u>353</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY..</u></a>	<a href="#"><u>361</u></a>
<a href="#"><u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI.</u></a>	<a href="#"><u>377</u></a>
<a href="#"><u>EPILOG..</u></a>	<a href="#"><u>396</u></a>